

Terapia

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.27

Jonathan Kellerman

Terapia

(Therapy)

Przełożył Przemysław Bieliński

Pamięci Warrera Zevona

Specjalne podziękowania dla dr Leah Ellenberg.

Rozdział 1

Kilka lat temu pewien psychopata spalił mi dom. Tego wieczoru, kiedy to się stało, byłem na kolacji z kobietą, która ten dom zaprojektowała i mieszkała w nim ze mną. Jechaliśmy przez Beverly Glen, gdy w ciemności, niczym śmiertelne zawodzenie kojotów, rozległo się wycie syren.

Szybko ucichło. To znaczy, że nieszczęście wydarzyło się gdzieś blisko, ale nie było powodu, by zakładać, że dotknęło nas. Jeśli człowiek nie jest najgorszym czarownikiem, to myśli sobie: Jakiegoś biednego drania spotkało coś parszywego.

Tamtej nocy przekonałem się, że może być inaczej.

Od tamtej pory syrena karetki albo wozu strażackiego w mojej okolicy zawsze coś we mnie budzi – skurcz mięśni, wstrzymanie oddechu, arytmiczny trzepot tego czegoś, co ma kolor wiśni i tkwi w mojej piersi.

Pawłow miał rację.

Jestem psychologiem klinicznym, mógłbym coś z tym zrobić, ale uznałem, że lepiej nie.

Czasami odrobina nerwów pozwala mi czuć, że żyję.

Kiedy zawyły syreny, Milo i ja jedliśmy kolację we włoskiej restauracji na szczycie Glen.

Była dziesiąta trzydzieści, chłodny, czerwcowy wieczór. Restaurację zamykają o jedenastej, ale byliśmy ostatnimi klientami, a kelner wyglądał na zmęczonego. Kobieta, z którą się spotykałem,

prowadziła wieczorowy wykład z psychologii na uniwersytecie, a partner Milo, Rick Silverman, miał pełne ręce roboty na ostrym dyżurze w Cedars-Sinai, gdzie próbował uratować pięć najciężej rannych ofiar karambolu na autostradzie w Santa Monica.

Milo właśnie zamknął sprawę napadu i wielokrotnego zabójstwa w sklepie monopolowym przy Pico Boulevard. Zakończenie śledztwa wymagało więcej uporu i wytrwałości niż myślenia. Milo mógł wybierać sprawy, którymi się zajmował, a na jego biurku chwilowo nie było żadnych nowych.

Skończyłem wreszcie zeznawać w ciągnących się bez końca przesłuchaniach w sprawie opieki nad dzieckiem, o którą walczyli sławny reżyser i jego żona, sławna aktorka. Zacząłem konsultację z pewnym optymizmem. Reżyser był kiedyś aktorem i zarówno on, jak i jego żona potrafili grać. Teraz, trzy lata później, dwoje dzieci – na początku w całkiem dobrej kondycji psychicznej – mieszkało we Francji i było kłębkiem nerwów.

Milo i ja przedzieraliśmy się dzielnie przez focaccię i sałatkę kaparową, orrechianti nadziewane szpinakiem i roztluczoną na papier cielęcinę. Żaden z nas nie miał ochoty rozmawiać. Milczenie osładzała butelka dobrego białego wina. Czuliśmy się dziwnie zadowoleni z siebie; życie było niesprawiedliwe, ale obaj dobrze wykonaliśmy swoją robotę.

Kiedy usłyszałem syreny, nie oderwałem wzroku od talerza. Milo przerwał jedzenie.

Serwetka wepchnięta za kołnierz jego koszuli była poplamiona szpinakiem i oliwą z oliwek.

– Nie martw się – powiedział. – To nie pożar.

– Kto tu się martwi?

Odgarnął włosy z czoła, wziął nóż i widelec, nabił kęs, pogryzł, połknął.

– Skąd wiesz? – spytałem.

– Że to nie pożar? Zaufaj mi, Alex. To czarno-biali. Poznają częstotliwość.

Niedaleko zaskomlał następny radiowóz. Potem trzeci. Milo wyciągnął malutką, niebieską

komórkę i wcisnął guzik, wybierając numer. Uniosłem brwi.

– Z ciekawości – powiedział. Połączył się. – Mówi porucznik Sturgis. Co to za wezwanie na górnym Beverly Glen? Tak, przy Mulholland.

Czekał; jego zielone oczy w słabym oświetleniu restauracji wydawały się prawie piwne. Pod poplamioną serwetką miał niebieską koszulkę polo, która zupełnie nie pasowała do jego bladej karnacji. Na opadających niczym świeżo napełnione bukłaki policzkach wyraźnie odznaczały się ślady po trądziku. Dużą twarz okalały białe, długie baki; wyglądały jak paski skunksa doklejone do jego czarnych włosów. Milo jest gejem, policjantem i moim najlepszym przyjacielem.

– Naprawdę? – powiedział. – Przydzielono już jakiegoś detektywa? Dobrze, proszę posłuchać, przypadkiem jestem w pobliżu, mogę tam być za dziesięć... nie, piętnaście... nie, dwadzieścia minut. Tak, tak, jasne.

Zatrzasnął mały telefon.

– Podwójne zabójstwo, dwa ciała w samochodzie. Skoro jesteśmy tak blisko, pomyślałem, że możemy rzucić na to okiem. Miejsce przestępstwa jeszcze nie jest zabezpieczone, technicy też nie dojechali, możemy więc zjeść deser. Co powiesz na cannoli?

Złożyliśmy się na rachunek, potem Milo zaproponował, że odwiezie mnie do domu, ale żaden z nas nie potraktował tego poważnie.

– W takim razie – powiedział – bierzemy seville’a.

Prowadziłem szybko. Miejsce przestępstwa znajdowało się na zachodniej stronie skrzyżowania Glen i Mulholland, na końcu wąskiej, spękanej, granitowej drogi oznaczonej tablicą Własność prywatna i pnącej się po zarośniętym sykomorami zboczu wzgórza.

U wylotu drogi stał policyjny radiowóz. Do jednego z drzew przybita była plansza z napisem Na sprzedaż i logo agencji nieruchomości Westside Realtor. Milo błysnął odznaką mundurowemu w radiowozie i przejechaliśmy.

Na końcu drogi znajdował się dom, otoczony wysokim, czerniejącym w ciemności żywopłotem. Dwa następne radiowozy zatrzymały nas dziesięć metrów przed wjazdem. Zaparkowaliśmy i poszliśmy dalej na piechotę. Niebo miało odcień purpury, powietrze wciąż smakowało gorzko po dwóch pożarach lasu, które wydarzyły się na początku lata, jednym niedaleko Camarillo, drugim za Tujunga. Oba dopiero co ugaszono. Jeden z nich zaproszył strażak.

Za żywopłotem wznosił się solidny, drewniany płot. Podwójna brama stała otworem. Ciała leżały bezwładnie w czerwonym mustangu kabrio, zaparkowanym na półkolistym, wyłożonym kamiennymi płytami podjeździe. Za podjazdem stał dom, opustoszała posiadłość, wielka i neokolonialna, w dzień pewnie radosna i kolorowa. O tej porze była szara jak plastelina. Podjazd odgradzał jakieś dwa tysiące metrów kwadratowych dziedzińca, ocienionego olbrzymimi sykomorami. Dom wyglądał na niedawno zbudowany; wrażenie psuła zbyt duża liczba okien o wydumanych kształtach, ktoś jednak był na tyle rozsądny, że oszczędził drzewa. Mały czerwony samochód miał złożony dach. Zatrzymałem się, patrząc, jak Milo podchodzi, uważając, by nie przekroczyć taśmy. Nic nie zrobił, tylko patrzył. Kilka chwil później przez bramę weszło dwóch techników, ciągnąc na wózku kilka pudeł. Milo zamienił z nimi parę słów, potem przeszedł pod taśmą.

Wrócił do seville'a.

– Wygląda to tak: rany postrzałowe w głowach obojga, chłopak i dziewczyna, młodzi. On siedzi na fotelu kierowcy, ona obok niego. On ma rozpięty rozporek i do połowy rozpiętą koszulę. Ona nie ma bluzki, która leży na tylnym fotelu razem ze stanikiem. Na nogach miała czarne legginsy. Są ściągnięte do kostek, ma rozchylone nogi.

– Aleja kochanków? – spytałem.

– Pusty dom – odparł Milo. – Dobra okolica. Z podwórka jest pewnie ładny widok. Noc

należy do nas i tak dalej? Jasne.

– Skoro wiedzieli o domu, mogli być stąd.

– Chłopak dobrze ostrzyżony, dobrze ubrany. Tak, też stawiałbym na miejscowych.

– Ciekawe, dlaczego brama była otwarta.

– Może nie była, ale któreś z nich było jakoś powiązane z domem i miało do niej pilot.

Równie dobrze dom mógł należeć do rodziny któregoś z nich. Technicy zrobią swoje, miejmy nadzieję, że znajdą w kieszeniach jakieś dokumenty. Numery rejestracyjne sprawdzamy w tej chwili.

– Widać gdzieś broń? – spytałem.

– Morderstwo-samobójstwo? Raczej nie.

Potarł twarz. Dłoń zawisała mu na ustach; ściągnął w dół dolną wargę i puścił ją tak, że podskoczyła.

– Co?

– Dwa strzały w głowę i coś jeszcze, Alex. Ktoś wbił dziewczynie w klatkę piersiową coś jakby krótką włócznię czy bełt z kuszy. Tutaj. – Dotknął miejsca pod mostkiem. – Z tego, co tam widziałem, to cholerstwo przebiło ją na wylot i wbiło się w fotel. Siła uderzenia ją podrzuciła, ciało leży trochę dziwnie.

– Włócznia.

– Ktoś ją nadział, Alex. Kula w głowę nie wystarczyła.

– Ktoś się pastwił... – powiedziałem. – To wiadomość. Rzeczywiście się kochali, czy ktoś ich tak ułożył?

Milo błysnął przerażającym uśmiechem.

– Tu wkraczamy na twoje terytorium.

Rozdział 2

Technicy i koroner założyli rękawiczki i zrobili swoje w beznamiętnym świetle reflektorów.

Milo rozmawiał z mundurowymi, którzy przyjechali na miejsce jako pierwsi, a ja stałem i patrzyłem.

Mój przyjaciel podszedł do jednej z wielkich sykomor, powiedział coś pozornie w powietrze, a zza pnia wyszedł zdenerwowany Latynos w workowatym ubraniu. Mówiąc, gestykułował zamasyście i wyglądał na poruszonego. Milo słuchał. Wyjął notes i bazgrał w nim, nie odrywając wzroku od mówiącego. Kiedy skończył, pozwolił mężczyźnie odejść z miejsca zbrodni.

Włócznia w piersi dziewczyny wyglądała na broń domowej roboty – pręt z kutego żelaza, wycięty z ogrodzeniowego przęsła. Koroner, który ją wyciągnął, tak właśnie stwierdził, kiedy wynosił ją za żółtą taśmę i kładł na płachcie folii.

Mundurowi przeszukali cały teren posiadłości, szukając takiego ogrodzenia. Znaleźli podobne wokół basenu, ale nie zgadzała się średnica.

Wydział komunikacji przysłał dane wozu. Roczny mustang był zarejestrowany na Jerome'a Allana Quicka, zamieszkałego przy South Camden Drive w Beverly Hills. Portfel w kieszeni spodni zabitego zawierał prawo jazdy, według którego chłopak był Gavinem Ryanem Quickiem. Zabito go dwa miesiące po dwudziestych urodzinach. Oprócz prawa jazdy w portfelu była legitymacja studenta drugiego roku uniwersytetu, ale miała datę sprzed dwóch lat. Z innej kieszeni technicy wydostali skręta w foliowej torebce i prezerwatywę w opakowaniu. Następną, bez opakowania, ale nierozwiniętą, znaleziono na podłodze mustanga.

Czarne legginsy dziewczyny ani jej złota jedwabna bluzka nie miały kieszeni. Ani w samochodzie, ani nigdzie indziej nie było torebki. Jasnowłosa, szczupła, blada, ładna, pozostawała niezidentyfikowana. Nawet po wyjęciu włóczni leżała wygięta, z piersią wyprężoną ku nocnemu niebu, skręconą szyją i szeroko otwartymi oczami, w pajęczej pozycji, której nie

mogłaby przyjąć żadną żywą istotą.

Koroner nie dałby głowy, ale z rozbryzgów krwi tętniczej zgadywał, że została przebita, kiedy jeszcze żyła.

Milo i ja pojechaliśmy do Beverly Hills. Znow zapropomował, że mnie odwiezie, a ja ponownie się roześmiałem. Allison o tej porze powinna już być w domu, ale nie mieszkaliśmy razem, więc nie musiałem jej mówić, gdzie jestem. Kiedy jeszcze mieszkałem z Robin, w większości przypadków dawałem jej znać, że nie wrócę. Czasami to zanieczywałem. To akurat najmniejszy z moich grzechów.

– Kim był ten człowiek, którego przesłuchiwałaś? – spytałem.

– To nocny stróż, zatrudniony przez agencję nieruchomości. Jego praca polega na objeżdżaniu okolicy wieczorem, sprawdzaniu wysoko wycenionych pozycji i pilnowaniu, czy wszystko jest zabezpieczone. Firma rozdaje klucze agentom, inni mogą pożyczać kopie.

Teoretycznie system jest idiotoodporny, ale ludzie nie zamykają drzwi, zostawiają otwarte okna i bramy. Tak pewnie było tutaj. Dom pokazywało dzisiaj klientom trzech agentów. To ostatni przystanek stróża między San Gabriel a plażą. To on znalazł ciało i to zgłosił.

– Ale i tak go przejedziesz parafiną.

– Już to zrobiłem. Nie ma śladów spalonego prochu. Sprawdzę też trzech agentów i ich klientów.

Przejechałem Santa Monica Boulevard, pojechałem na wschód, potem na południe Rodeo Drive. Sklepy były pozamykane, ale ich witryny jasne. Obok Gucciego szedł bezdomny, pchając przed sobą wózek na zakupy.

– A więc bierzesz tę sprawę – powiedziałem.

Odpowiedział pół przecznicy dalej.

– Minęło sporo czasu, odkąd miałem porządną zagadkę. Trzeba trzymać formę.

Zawsze twierdził, że nienawidzi takich zagadek, ale nic nie powiedziałem. Ostatnią zamknęliśmy już jakiś czas temu – sprawę mordercy bez serca, który zabijał ludzi obdarzonych artystycznym talentem. Następnego dnia po złożeniu ostatecznego raportu, Milo stwierdził: „No, teraz poproszę prostacką strzelaninę w barze i koleś z dymiącą spluwą w garści”.

– Tak, tak – stwierdził teraz. – Jestem masochistą. Miejmy to już za sobą.

Jerome Allan Quick mieszkał przy ładnej ulicy półtorej przecznicy na południe od Wilshire.

To był sam środek Beverly Hills, co oznaczało przyjemne domy na tysiącmetrowych działkach, wartych od jednego do dwóch milionów.

Rezydencja Quicków była białym, dwukondygnacyjnym tradycyjnym budynkiem, otwartym na ulicę. Podjazd dzieliły biały minivan i szary mercedes klasy A. Światła zgaszone. Wszędzie spokój. To wkrótce miało się zmienić.

Milo zadzwonił do wydziału w Beverly Hills, by uprzedzić ich, że sam powiadomi rodzinę; potem wysiadł i podszedł do domu. Na jego pukanie odpowiedziała tylko cisza. Kiedy nacisnął dzwonek, zza drzwi rozległy się kroki i kobiecy głos, pytający, kto tam.

– Policja.

Judasz w drzwiach rozjarzył się zapalonym w przedpokoju światłem. Drzwi otworzyły się.

– Policja? – spytała kobieta. – Co się stało?

Miała czterdzieści parę lat, była szczupła, ale szeroka w biodrach, ubrana w welurowy kostium, z okularami na łańcuszku i boso. Włosy, w kolorze popielatego blondu, ułożyła w pozornym nieładzie. W świetle lampy nad drzwiami odróżniłem przynajmniej cztery przenikające się odcienie balejażu. Paznokcie pomalowała srebrnym lakierem. Jej skóra wyglądała na zmęczoną. Skrzywiła się i zamrugała. Dom za nią był cichy.

Nie było dobrego sposobu, żeby wykonać to, co musiał zrobić Milo. Kobieta oklapła, zaczęła krzyczeć, szarpać włosy, wyzywać go od wariatów i cholernych kłamców. Potem wytrzeszczyła

oczy i gwałtownie zakryła usta dłonią, a pomiędzy jej palców dobyło się charczenie.

Pierwszy pobiegłem za nią do kuchni, gdzie wymiotowała do zlewu z nierdzewnej stali. Milo zatrzymał się w drzwiach. Wyglądał żałośnie, ale mimo to nie zapomniał rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Kiedy kobieta konwulsyjnie wymiotowała, stałem za nią, ale jej nie dotykałem. Kiedy skończyła, podałem jej papierowy ręcznik.

– Dziękuję – powiedziała – to było bardzo...

Usiłowała się uśmiechnąć, a potem zobaczyła we mnie obcego, którym byłem, i zaczęła się niekontrolowanie trząść.

Kiedy w końcu dotarliśmy do salonu, uparła się, żebyśmy usiedli, chociaż sama stała.

Przycupnęliśmy na skraju niebieskiej, brokatowej kanapy. Pokój był ładnie urządzone.

Patrzyła na nas przekrwionymi oczami. Miała bladą twarz.

– Przynieść panom kawy i ciasta?

– Proszę nie robić sobie kłopotu, pani Quick – powiedział Milo.

– Sheila. – Pospieszyła z powrotem do kuchni. Milo zacisnął i rozprostował dłonie. Bolały mnie oczy. Patrzyłem na rycinę Picassa przedstawiającą starego gitarzystę, reprodukcję zegara z wiśniowego drewna, różowe, jedwabne kwiaty w kryształowym wazonie, rodzinne zdjęcia. Sheila Quick, szczupły, siwowłosy mężczyzna, ciemnowłosa dziewczyna koło dwudziestki i chłopak z mustanga.

Wróciła z dwoma różnej wielkości kubkami kawy rozpuszczalnej, słoikiem słodzika w proszku i talerzem ciastek z cukrem. Miała pobielale wargi.

– Tak mi przykro. Proszę, może po tym zrobi się panom lepiej.

– Proszę pani... – zaczął Milo.

– Sheila. Mój mąż jest w Atlancie.

– W interesach?

– Jeny handluje metalami. Odwiedza złomy, odlewnie i takie tam. – Zaczęła się bawić włosami. – Proszę, niech się panowie częstują.

Biorąc ciasteczko z talerza, upuściła je i, próbując podnieść je z dywanu, rozgniotła na okruchy.

– No i proszę, co narobiłam! Załamala ręce i rozplakała się.

Milo był łagodny, ale naciskał i szybko wpadł w rutynę – on zadawał krótkie pytania, ona udzielała długich, nieskładnych odpowiedzi. Własny głos wydawał się ją hipnotyzować. Nie chciałem myśleć o tym, co się będzie działo, kiedy już wyjdziemy.

Gavin był młodszym z jej dwojga dzieci. Dwudziestotrzyletnia córka, Kelly, studiowała prawo na Uniwersytecie Bostońskim. Chłopak był bardzo spokojny. Żadnych narkotyków, żadnego podejrzanego towarzystwa. Matka nie umiała powiedzieć, kto mógłby chcieć go skrzywdzić.

– To bardzo głupie pytanie, detektywie.

– Muszę o to spytać, proszę pani.

– Nie w przypadku Gavina. Nikt nie chciałby go skrzywdzić, on już dość się wycierpiał.

Milo czekał.

– Miał straszny wypadek samochodowy – powiedziała.

– Kiedy to było, proszę pani?

– Niecały rok temu. Ma szczęście, że nie...

Głos uwiązał jej w gardle. Opuściła głowę, kryjąc twarz w dłoniach, zgarbiła się i zadrżała.

Spojrzała na nas dopiero po chwili.

– Gavin był z grupą kolegów ze studiów, kończył właśnie drugi rok na uniwersytecie, studiował ekonomię. Interesował go biznes. Nie to, czym się zajmuje Jerry, ale rachunkowość,

nieruchomości, duże rzeczy.

– Co się stało?

– Co... a, wypadek? Bezsensowny, zupełnie bezsensowny, ale czy dzieci słuchają? Oni się tego wypierali, ale jestem pewna, że miał z tym coś wspólnego alkohol.

– Oni?

– Chłopak, który prowadził, i jego firma ubezpieczeniowa. Chcieli ograniczyć swoją odpowiedzialność. Oczywiście. Dzieciak z Whittier, Gavin znał go ze szkoły. Zginął, więc nie mogliśmy za bardzo dręczyć jego rodziców, ale zanim firma ubezpieczeniowa zwróciła nam koszty leczenia Gavina... nie musicie panowie tego wysłuchiwać.

Złapała chusteczkę i otarła oczy.

– Co dokładnie się stało, pani Quick?

– Co się stało? W sześć osób wcisnęli się do głupiej małej toyoty i jechali za szybko Pacific Coast Highway. Byli na koncercie w Ventura i wracali do Los Angeles. Kierowca, chłopak, który zginął, Lance Hernandez, wypadł z zakrętu i wbił się prosto w urwisko. On i pasażer z przodu zginęli na miejscu. Dwaj chłopcy z tyłu, obok Gavina, odnieśli tylko lekkie obrażenia. Gav siedział wciśnięty między nich. Był najchudszy, więc usiadł pośrodku, bez pasów. Policjanci z patrolu powiedzieli nam, że miał szczęście, iż był tak mocno ściśnięty, bo dzięki temu nie poleciał do przodu. Zamiast tego uderzył czołem w tył fotela kierowcy. Miał nadwerżone ramię i kilka pękniętych kostek w stopach. Najśmieszniejsze, że nie było krwi ani siniaków, tylko mały guz na czole. Nie wpadł w śpiączkę ani nic takiego, ale powiedzieli nam, że doznał poważnego wstrząsu mózgu. Przez kilka dni miał kłopoty z pamięcią, zanim zupełnie przejaśniło mu się w głowie, minęło kilka tygodni. Poza tym, kiedy zniknął guz, nie było po nim nic widać. Ale jestem jego matką. Wiedziałałam, że był inny.

– W jakim sensie inny, pani Quick?

- Spokojniejszy... czy to ważne? Co to ma wspólnego z tym wszystkim?
- Chcemy jak najwięcej o nim wiedzieć, proszę pani.
- Nie rozumiem, po co. Najpierw przychodźcie tu i rozdzieracie mi życie na strzępy, a potem... Przepraszam, wyzywam się na panach, zamiast się po prostu zabić. – Duży uśmiech. – Najpierw mój chłopczyk zderza się z fotelem, teraz mówicie mi, że zastrzelił go jakiś wariat... Gdzie to się stało?
- Przy Mulhoolland Drive, na północ od Beverly Glen.
- Aż tam? Nie wiem, co on mógł tam robić. – Spojrzała na nas z odnowionym sceptycyzmem, jakby miała nadzieję, że co do wszystkiego się pomyliliśmy.
- Siedział w swoim samochodzie z młodą kobietą.
- Z młodą... – Sheila Quick zmięła w dłoni chusteczkę. – Blondynka, z dobrą figurą, ładna?
- Tak, proszę pani.
- Kayla – powiedziała. – O mój Boże, Gavin i Kayla, dlaczego nie powiedzieliście mi, że oni oboje... teraz muszę powiedzieć Pauli i Stanowi... o Boże, jak ja im...
- Kayla była dziewczyną Gavina?
- Jest... była. Nie wiem, byli ze sobą. – Sheila Quick odłożyła chusteczkę na poduszkę kanapy i znieruchomiła. Zgnieciony papier zaczął się rozwijać, jakby z własnej woli, a ona na niego patrzyła.
- Pani Quick? – powiedział Milo.
- Gavin i Kayla schodzili się i rozchodzili – powiedziała. – Znali się z ze szkoły, Beverly High. Po wypadku, kiedy Gavin... – Potrząsnęła głową. – Nie mogę powiedzieć jej rodzicom, przepraszam... Powiecie im?
- Oczywiście. Jak Kayla miała na nazwisko i gdzie mieszkają jej rodzice?
- Możecie zadzwonić ode mnie z kuchni. Na pewno nie śpią, przynajmniej Stan. Pracuje w

nocy. Jest muzykiem, komponuje muzykę do reklam i filmów. Bardzo dobrze mu się wiedzie.

Mieszkają we Flats.

– Nazwisko, proszę pani?

– Bartell. Kiedyś Bartelli czy coś takiego, jakoś po włosku. Kayla jest blondynką, ale to Włoszka. Pewnie z północnych Włoch. Przynajmniej ze strony Stana, nie wiem, jak z Paulą.

Myślicie, że powinnam zadzwonić do męża w Atlancie? Tam jest bardzo późno, a na pewno miał ciężki dzień.

Milo zadał pani Quick jeszcze kilka pytań; niczego się nie dowiedział. Namówił ją, żeby napiła się kawy, spytał o rodzinnego lekarza, Barry’ego Silvera, i obudził go. Doktor mieszkał w Beverly Hills i powiedział, że niedługo się zjawi.

Milo spytał, czy może obejrzeć pokój Gavina, a Sheila Quick zaprowadziła nas po wyłożonych bordową wykładziną schodach na piętro. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Pokój był duży, pomalowany na jasnoniebiesko. Cuchnął zgnilizną i niemytym ciałem. Podwójne łóżko było niezastane, na podłodze wałały się pogniecione ubrania, wszędzie leżały porzrzucone książki i papiery, brudne talerze i pudełka po jedzeniu na wynos. Widywałem mieszkania handlarzy narkotyków, w których panował większy porządek po policyjnym nalocie.

– Gavin był kiedyś bardzo porządny – powiedziała Sheila Quick. – Przed wypadkiem.

Próbowałam, dałam sobie spokój. – Wzruszyła ramionami. Wstyd zaczerwienił jej twarz.

Zamknęła drzwi. – Niektórych bitew nie warto staczać. Macie panowie dzieci?

Pokręciliśmy głowami.

– Może macie szczęście.

Nalegała, żebyśmy wyszli przed przyjściem doktora, a kiedy Milo próbował się z nią spierać, przycisnęła dłoń do skroni i skrzywiła się, jakby sprawiał jej wielki ból.

– Chcę zostać z moimi myślami. Proszę.

– Tak, proszę pani.

Zdobył adres Stana i Pauli Bartell. Ta sama ulica, Camden Drive, ale kwartał osiemsetny, półtora kilometra na północ, po drugiej stronie dzielnicy przemysłowej.

– We Flats – powtórzyła Sheila Quick. – Mają tam niezły kawał domu.

Kiedy widzi się Beverly Hills na filmach, to prawie zawsze są Flats. Reżyserzy najczęściej wybierają skąpane w słońcu, wysadzone palmami ulice w rodzaju Foothill czy Beverly, ale jeśli chodzi o ukazanie pierwotnego kalifornijskiego przepychu, tak naprawdę można wykorzystać każdą szerszą ulicę między Santa Monica i Sunset. We Flats rozpadające się ruiny zaczynały się od dwóch milionów zielonych, a wielkie stiukowe potwory osiągały ceny trzy razy wyższe.

Wszyscy turyści ze wschodu zazwyczaj odnoszą w tej okolicy to samo wrażenie: bardzo czysto, bardzo zielono, bardzo małe działki. Domy, które zdołałyby wielohektarowe posiadłości w Greenwich, Scarsdale czy Shaker Heights, tu powciskano w kwadraty o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych. Nie powstrzymuje to ich mieszkańców od wznoszenia tysięcy pięćsetmetrowych imitacji posiadłości z Newport, rozpychających się łokciami między sąsiadami.

Dom Bartellów był jednym z właśnie takich – olbrzymim, płaskim od frontu tortem weselnym, wznoszącym się za żałośnie małym trawniczkiem, zajęтым niemal w całości przez kolisty podjazd. Całość otaczało białe ogrodzenie ze złotymi zwieńczeniami. Przy elektrycznie otwieranej bramie wisiała tabliczka firmy ochroniarskiej, informująca, że strażnicy pilnujący posesji są uzbrojeni. Za płotem widać było podwójne, matowo przeszklone drzwi, podświetlone zielenią. Nad nimi, w gigantycznym, okrągłym oknie żarzył się rozpalony do białości żyrandol. Przed domem nie było samochodów; czterodrzwiowy garaż zapewniał dość miejsca, by ustawić w nim wszystkie zabytkowe auta właścicieli.

Milo wziął głęboki oddech, powiedział: „Do dzieła” i wysiedliśmy. Na Sunset śmigwały

samochody, ale North Camden Drive była pusta. Beverly Hills ma słabość do drzew. Wzdłuż Camden rosły magnolie, które wyglądałyby wspaniale w Karolinie Południowej. Tutaj skarłowaciały od suszy i smogu, ale kilka kwitło i czułem ich zapach.

Milo wcisnął guzik domofonu.

– Tak? – warknął męski głos.

– Pan Bartell?

– Kto tam?

– Policja.

– W jakiej sprawie?

– Czy moglibyśmy wejść?

– O co chodzi?

Milo zmarszczył brew.

– O pana córkę.

– Moją... Chwila.

Kilka sekund później front domu zalało światło. Zobaczyłem, że po obu stronach drzwi rosły w donicach drzewka pomarańczowe. Jedno się przekrzywiło. Drzwi otworzyły się i na podjazd wyszedł wysoki mężczyzna. Zatrzymał się pięć metrów przed nami, osłonił oczy dłonią, zrobił trzy kroki w naszą stronę, w krąg światła, jak na scenie.

– O co chodzi? – spytał niskim, ochrypłym głosem.

Stan Bartell podszedł bliżej – pięćdziesiąt parę lat, opalenizna rodem z Palm Springs. Był potężny, z szerokimi barami; miał orli nos, wąskie usta i kanciasty, masywny podbródek.

Woskowo-białe włosy związał z tyłu w kucyk. Na nosie miał okulary w czarnych oprawkach, na szyi cienki złoty łańcuszek, do tego mieniący się kolorami tęczy jedwabny szlafrok, sięgający do samej ziemi.

Milo wyciągnął odznakę, ale Bartell nie podszedł ani o krok bliżej.

– Co z moją córką?

– Proszę pana, naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy weszli.

Bartell zdjął okulary i uważnie się nam przyjrzał. Oczy miał osadzone blisko siebie, ciemne, badające.

– Jesteście z policji Beverly Hills?

– Z Los Angeles.

– To co tu robicie? Sprawdzę was, więc jeśli to jakiś szwindel, zostaliście ostrzeżeni.

Wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi.

Czekaliśmy na chodniku. Na południowym skraju kwartału pojawiły się światła samochodu, potem dobiegły nas basowe łupnięcia i obok przejechał wolno lincoln navigator. Za kierownicą siedział chłopak, wyglądający na nie więcej niż piętnaście lat, z odwróconą czapką baseballową na głowie. Z wnętrza samochodu ryczał hip-hop. Lincoln pojechał dalej na Sunset.

Minęło pięć minut bez słowa ani żadnego znaku od Stana Bartella.

– Ile szczegółów poda mu policja Beverly Hills? – spytałem.

– Kto wie?

Zaczekaliśmy jeszcze parę minut. Milo przesunął dłonią po białych prętach ogrodzenia.

Spojrzał na tabliczkę firmy ochroniarskiej. Wiedziałem, o czym myśli – tyle zabezpieczeń, i wszystko na nic.

Elektryczna brama się rozsunęła. Stan Bartell wyszedł przed dom, stanął na schodach i pomachał, żebyśmy weszli.

– Na temat tego, co tu robi policja z Los Angeles, wiedzą tylko tyle – powiedział, kiedy doszliśmy do drzwi – że chodzi o zawiadomienie w sprawie chłopaka, którego zna moja córka.

Pokażcie mi odznakę, tak na wszelki wypadek.

Milo pokazał.

– Zgadza się – powiedział Bartell. – A więc co się stało z Gavinem Quickiem?

– Zna go pan?

– Jak powiedziałem, moja córka go zna. – Bartell wcisnął dłonie do kieszeni szlafroka. – Czy to zawiadomienie oznacza to, co myślę

– Gavin Quick został zamordowany – powiedział Milo.

– Co ma z tym wspólnego moja córka?

– Z Gavinem znaleziono dziewczynę. Młoda, blondynka...

– Bzdura – przerwał Bartell. – To nie Kayla.

– Gdzie jest Kayla?

– Wyszła. Zadzwońię do niej z komórki. Chodźcie, pokażę wam.

Weszliśmy za nim do środka. Hol miał grubo ponad pięć metrów wysokości, marmurową posadzkę i był o wiele większy niż salon Quicków. Dom był orgią beżu, oprócz widocznych wszędzie ametystowo-zielonych szklanych kwiatów. Olbrzymie abstrakcyjne płótna bez ram pomalowano w te same, niezobowiązujące ziemiste barwy.

Stan Bartell bez słowa przeprowadził nas przez kilka innych olbrzymich pokoi do studia na tyłach. Drewniana podłoga, sufit wsparty na belkach. Kanapa, dwa składane krzesła, fortepian, elektryczne organy, syntezatory, miksery, magnetofony, saksofon altowy na stojaku i wspaniała gitara archtop w otwartym futerale, w której rozpoznałem wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów d'aquisto.

Na ścianach wisiały oprawione w ramki złote płyty.

Bartell opadł na kanapę, wycelował oskarżycielsko palec w Mila i wyjął z kieszeni telefon.

Wybrał numer, przyłożył telefon do ucha, zczekał.

Nic.

– To nic nie znaczy – powiedział. A potem jego opalona na brąz twarz zmięła się i zaczął rozdzierająco szlochać.

Milo i ja staliśmy bezradnie, nie wiedząc, co zrobić.

– Co ten pierdolony mały gnojek jej zrobił? – spytał w końcu Bartell.

– Gavin?

– Mówiłem Kayli, że jest dziwny, żeby trzymała się od niego z daleka. Zwłaszcza po wypadku, wiecie o tym jebanym wypadku, prawda? Na pewno miał jakieś uszkodzenie mózgu, mały skur...

– Jego matka...

– Ona? Pieprznięta dziwka.

– Miał pan z nimi problemy?

– To wariatka – powiedział Bartell.

– Co ma pan na myśli?

– Jest po prostu dziwna. Nie wychodzi z domu. Problem polegał na tym, że ich syn łąził za moim aniołkiem. – Bartell zacisnął olbrzymie dłonie w pięści. Uniósł wzrok w górę i zakołysał się. – O Jezu, niedobrze, kurwa, jak niedobrze!

W oczach mignęły mu iskierki paniki.

– Moja żona, ona jest w Aspen. Nie jeździ na nartach, ale wyjeżdża tam na lato. Na zakupy, dla powietrza. Niech to szlag, ona umrze, po prostu zwinie się w kłębek i, kurwa, zwyczajnie umrze.

Bartell zgiął się wpół, objął kolana i znów się zakołysał.

– Jak to się mogło stać?

– Dlaczego myśli pan, że Gavin Quick mógł coś zrobić Kayli? – spytał Milo.

– Bo był... Był dziwny. Kayla знаła go od liceum. Kilka razy ze sobą zrywali, ale on ciągle

wracał, a ona za łatwo go przyjmowała. Mały drań przyłaził, węszył tu, nawet kiedy jej nie było. Naprzykrzał się mi, jakby podlizywanie się staremu mogło coś pomóc. Pracuję w domu, staram się coś zrobić, a ten mały skurwiel pieprzy mi coś o muzyce, próbuje ze mną rozmawiać, jakby miał coś do powiedzenia. Piszę sporo dżingli, gonią mnie terminy, myślicie, że mam ochotę dyskutować o alternatywnym punku z jakimś pajacem? Siadał, nie chciał wyjść. W końcu powiedziałem pokojówce, żeby przestała go wpuszczać.

– Obsesyjna osobowość – powiedziałem.

Bartell zwiesił głowę.

– Czy po wypadku zrobił się bardziej natrętny? – spytał Milo.

Bartell podniósł wzrok.

A więc on to zrobił.

– To mało prawdopodobne, panie Bartell. Na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnej broni, więc myślę, że był po prostu ofiarą.

– Co pan mówi? Co pan, do kurwy nędzy...

Odgłos kroków – lekkich kroków – sprawił, że wszyscy trzej się obejrzelśmy.

W drzwiach stała ładna, młoda dziewczyna w obcisłych dżinsach biodrówkach, lśniących jak naoliwione, i krótkiej czarnej bluzeczce odsłaniającej płaski, opalony brzuch. W pępku miała dwa kolczyki, jeden z turkusem. Na ramię zarzuciła czarną, jedwabną torebkę wyszywaną w kwiaty. Miała zbyt dużo makijażu, haczykowaty nos i zdecydowany podbródek; jej długie, proste włosy miały kolor świeżego siana. Dekolt bluzki odsłaniał rozcięcie między piersiami, na którym wisiało duże, złote K na łańcuszku.

Twarz Staną Bartella przybrała odcień plamistego beżu.

– Co, do...

Huknął się dłonią w serce, a potem wyciągnął obie ręce do dziewczyny.

– Malutka, moja malutka!

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Co się stało, tato?

Rozdział 3

Gdzie się, do cholery, podziewałaś? – spytał Stan Bartell.

Kayla Bartell patrzyła na ojca, jakby oszalała.

– Wyszłam.

– Z kim?

– Z kolegami.

– Dzwoniłem do ciebie na komórkę,

Kayla wzruszyła ramionami.

– Wyłączyłam ją. W klubie było głośno i tak bym nie usłyszała.

Bartell zaczął coś mówić, potem przyciągnął ją do siebie i przytulił. Zerknęła na nas, jakby oczekując ratunku.

– Taaa-tooo.

– Dzięki Bogu – powiedział Bartell. – Dzięki Bogu wszechmogącemu.

– Kto to jest, tato?

Bartell puścił córkę i spojrzał na nas wrogo.

– Proszę wyjść.

– Panno Bartell...– zaczął Milo.

– Nie! – krzyknął Bartell. – Wynocha. Ale już.

– Kto to jest, tato?

– Nikt.

– Będę chciał porozmawiać z Kaylą – powiedział Milo.

– Kiedy świnie polecą concorde'em.

Kiedy doszliśmy do drzwi, Bartell stanął na schodach i dźgnął palcem pilot. Brama zaczęła się zamykać – Milo i ja ledwie zdążyliśmy uciec, zanim się ze szczękiem zasunęła.

Bartell trzasnął drzwiami.

– Oto twój przyjaciel policjant – powiedział Milo – rozdający uśmiechy i wszędzie mile widziany.

– Ciekawa rzecz, że Bartell założył, iż to Gavin zrobił coś Kayli – powiedział, kiedy odjeżdżaliśmy. – Użyłeś słowa „obsesyjny”.

– Wrogość Bartella mogła być po prostu resentymentem w stosunku do kogoś, kto węszy wokół jego aniołka. A obsesyjność może być ubocznym efektem urazu głowy.

– A ten chlew w jego pokoju? Matka chłopaka twierdzi, że kiedyś był porządny. To pasuje do urazu mózgu?

Po solidnym uderzeniu w płyty czołowe wszystko może się zmienić.

– Na stałe?

– Zależy od tego, jak poważne było uszkodzenie. W większości przypadków to przejściowe.

– Gavin miał wypadek dziesięć miesięcy temu.

– To zły znak – powiedziałem. – Chciałbym się dowiedzieć, jak ogólnie funkcjonował.

Legitymacja studencka w jego kieszeni miała dwa lata. Zakładając, że wyleciał, co robił od tamtej pory?

– Może narażał się niewłaściwym ludziom – powiedział Milo. – Był obsesyjny.

Porozmawiam jeszcze raz z Sheilą. Bartell powiedział, że była dziwna. Zauważyłeś coś?

– W okolicznościach, w jakich ją widzieliśmy, byłoby dziwne, gdyby się nie załamała.

– Tak... Sprawdzę ojca, kiedy wróci z Atlanty... Uwielbiam swoją pracę, wystarczy na jedną noc. Wysadź mnie na Glen i dobranoc.

Skręciłem w Sunset i wjechałem w Holmby Hills.

– Najważniejsze pytanie w tej chwili to: kim była dziewczyna? – powiedział Milo. – I dlaczego ona została przebita, a Gavin nie?

– To i jej ułożenie wskazują, że cała sprawa miała podtekst seksualny – powiedziałem. – Eliminujesz mężczyznę, zabawiasz się z kobietą.

– Myślisz, że koroner znajdzie ślady seksualnej napaści?

– Jeśli mamy do czynienia z seksualnym psychopata, samo przebicie mogło wystarczyć.

– Namiastka penetracji?

Kiwnąłem głową.

– Więc może to bardziej pokręcona sprawa – powiedział. – Nie ma żadnego związku z ofiarami, dzieciaki po prostu przypadkiem były w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

– Mogło być i tak.

Milo cicho się zaśmiał.

– A ja wziąłem to na ochotnika.

– A jest ktoś lepszy od ciebie?

– To znaczy?

– To znaczy, że bardzo dobrze sobie z tym poradzisz.

Nie odpowiedział. Zwolniłem, pokonałem kilka zakrętów, wyjechałem na prostą i spojrzałem na niego. Po jego ustach pełzała najśłabsza z sugestii uśmiechu.

– Super z ciebie kumpel – powiedział.

Następnego ranka zjadłem wczesne śniadanie z Allison Gwynn, zanim przyjęła pierwszego pacjenta. Jej gabinet mieści się w Santa Monica, przy Montana, na wschód od Boutique Row. Spotkaliśmy się w pobliskiej cukierni. O siódmej czterdzieści w lokalu nie było jeszcze ludzi.

Allison miała białe sandały i biały lniany kostium, od którego wyraźnie odcinały się jej czarne włosy. Nigdy nie wychodziła z domu bez makijażu i odpowiedniego zestawu biżuterii. Dzisiaj były to korale i złoto, które kupiliśmy podczas ostatniej wyprawy do Santa Fe.

Czekała na mnie na miejscu, wypłała pół filiżanki kawy.

– Dzień dobry. Aleś ty przystojny.

Pocałowałem ją i usiadłem.

– Dzień dobry, moje śliczności.

Spotykaliśmy się od nieco ponad pół roku i wciąż byliśmy jeszcze na tym etapie, kiedy puls przyspiesza, a twarz się czerwieni.

Zamówiliśmy słodkie bułeczki i zaczęliśmy zwykłą rozmowę. Najpierw drobiazgi, potem seksualne przekomarzanie, potem praca. Takie pogaduszki mogą zabić związek, ale na razie obojgu nam się to podobało.

Allison pierwsza. Ciężki tydzień, wystawianie ocen na zajęciach, które prowadziła, pełny terminarz pacjentów, wolontariat w hospicjum. W końcu zaczęliśmy rozmawiać o poprzedniej nocy. Allison interesuje się tym, co robię – więcej niż interesuje. Przyciągają ją najpaskudniejsze aspekty ludzkiej natury i czasem się zastanawiam, czy nie to właśnie trzyma nas razem. Może to przez życiowe doświadczenia. Kiedy była nastolatką, upokorzono ją seksualnie; została wdową w wieku dwudziestu kilku lat; nosi pistolet w torebce i uwielbia strzelać do papierowych ludzkich sylwetek. Staram się o tym nie myśleć. Kiedy człowiek za dużo analizuje, nie starcza mu czasu na życie.

Opisałem jej miejsce zbrodni.

– Mulholland Drive – powiedziała. – Kiedy chodziłam do Beverly, często tam jeździliśmy.

– My?

Wyszczерzyła się wesoło.

– Ja i inne teoretyczne dziewice.

– Religijne doświadczenie.

– Wtedy na pewno nie – powiedziała. – Chłopcy i tak dalej; dużo entuzjazmu, mało finezji.

Zaśmiałem się.

– A więc to było popularne miejsce spotkań.

– Które ciebie ominęło, biedny chłopczyku ze Środkowego Zachodu. Tak jest, mój drogi, Mulholland było miejscem spotkań. Pewnie dalej jest, chociaż prawdopodobnie nie dzieje się tam już aż tyle, bo teraz dzieciakom wolno to robić w swoich pokojach. Nie mogę uwierzyć, ilu z moich pacjentów się na to godzi. Wiesz, jak to uzasadniają? Lepiej, jeśli wiem, gdzie są.

– Dwie rodziny pewnie właśnie tak teraz o tym myślą.

Założyła włosy za ucho.

– To tragedia.

Przyszły nasze bułeczki, ciepłe, posypane migdałowymi płatkami.

– Pusty dom – powiedziała Allison. – Aż tak twórczy nie byliśmy. Pewnie zauważyli szyld „Na sprzedaż” i otwartą bramę, skorzystali z okazji. Biedni rodzice. Najpierw wypadek chłopca, potem to. Powiedziałeś, że się zmienił. W jaki sposób?

– W jego pokoju był chlew, a matka twierdziła, że kiedyś był porządny. Niewiele mówiła. To nie była dobra pora, żeby ją wypytywać.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ojciec jego byłej dziewczyny opisał go jako obsesyjnego.

– Jak to?

– Niespodziewanie przyjeżdżał do niej do domu. Kiedy jej nie było, naprzykrzał się ojcu, przesiadywał, wypytywał. Ojciec sugerował też, że Gavin był zbyt natrętny w stosunku do jego córki. Jego pierwszą reakcją, kiedy pomyślał, że córka nie żyje, było stwierdzenie, że to Gavin

coś jej zrobił.

– To wygląda bardziej na opiekuńczego tatę.

– Możliwe.

– Czy wystąpił syndrom powstrząsowy? – spytała. – Utrata przytomności, zaburzenia widzenia, dezorientacja?

– Matka wspominała tylko o przejściowej utracie pamięci.

– Wypadek zdarzył się dziesięć miesięcy temu – powiedziała Allison. – A matka wciąż opisuje go jako zmienionego.

– Wiem. Uraz mógł być trwały. Ale nie jestem pewien, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, Ally. Miejsca spotkań przyciągają podglądaczy i inne, gorsze typy. Albo Gavina i jego dziewczynę zaskoczono podczas stosunku, albo zostali ułożeni tak, żeby na to wyglądało.

– Wariat. – Allison przyjrzała się swojej bułeczce, ale jej nie ruszyła. Uśmiechnęła się. – Technicznie rzecz biorąc.

– Jest trochę za wcześnie na techniczne branie rzeczy – powiedziałem.

– Mulholland Drive. Człowiek robi różne rzeczy, kiedy myśli, że jest nieśmiertelny.

Przeszliśmy spacerem trzy przecznice do jej gabinetu. Dłoń Allison ścisnęła moje ramię.

Miała sandały na wysokich obcasach, dzięki czemu czubek jej głowy sięgał mojej dolnej wargi.

Bryza od oceanu unosiła jej włosy, miękkie kosmyki ocierały się o moją twarz.

– Miło zgłosił się do tego na ochotnika? – spytała.

– Nie wydawał się potrzebować dodatkowej zachęty.

– Da się to chyba wytłumaczyć – powiedziała. – Wyglądał ostatnio na niezle znudzonego.

– Nie zauważyłem.

– Znasz go lepiej, ale tak to dla mnie wyglądało.

– Teraz nie będzie miał czasu na nudę.

– Ty też.

– Jeśli będę mu potrzebny.

Roześmiała się.

– Tobie też się to przyda.

– Wyglądałem na znudzonego?

– Raczej niespokojnego. Rozpierała cię energia, jak dzikie zwierzę w klatce.

Zawarczałem, uderzyłem się w pierś wolną ręką i wydałem z siebie niezbyt głośny okrzyk

Tarzana. Dwie kobiety maszerujące w naszą stronę ściągnęły usta i ominęły nas szerokim łukiem.

– Właśnie zepsułeś im cały dzień – powiedziała Allison.

Milo znudzony. Cały czas biadolił, narzekał na stres w pracy i w domu, ogólny upadek świata i wszystko, co akurat miał pod ręką, więc nigdy nie zastanawiałem się nad taką możliwością.

Kiedy Allison widziała go po raz ostatni... dwa tygodnie temu. Późna kolacja w Café

Moghul, indyjskiej restauracji niedaleko komisariatu West Los Angeles, która służy mu za drugie biuro. Właściciele wierzą, że jego obecność zapewnia im spokój i bezpieczeństwo, więc traktują go jak maharadzę.

Tamtego wieczoru Allison, ja, Rick i Milo zostaliśmy ugoszczeni aż do przesady. Allison i Milo siedzieli obok siebie i przez większość czasu rozmawiali. Chwilę trwało, zanim Milo się do niej przekonał. Do samego faktu, że jestem z kimś innym. Robin i ja byliśmy ze sobą ponad dziesięć lat, a Milo ją uwielbiał. Robin znalazła szczęście u boku innego mężczyzny. Uważałem, że radzę sobie z tym całkiem nieźle, i próbowałem zbudować nowy związek. Tylko czasami mi nie wychodziło.

Czekałem, aż Milo przestanie się zachowywać jak dziecko w samym środku procesu o opiekę.

Następnego ranka zadzwonił do mnie i powiedział:

– Masz swoje dziwactwa, ale kiedy sobie już jakąś upatrzysz, jest świetna.

Zadzwonił następnego dnia po morderstwie.

– Na dziewczynie nie ma nasienia ani śladów seksualnej napaści. Chyba, że uznać za taki włócznie. Oboje zastrzelono z tej samej dwudziestki-dwójki, po jednej kuli, prosto w czoło.

Rozwścieczeni szaleńcy z reguły opróżniają cały magazynek. Co znaczy, że to ktoś opanowany.

Może to nie był jego pierwszy raz.

– Pewny siebie i ostrożny – powiedziałem. – Poza tym nie chciał robić dużo hałasu.

– Może. Chociaż biorąc pod uwagę miejsce... najbliższy dom jest kilkaset metrów dalej...

– Pewnie mógł sobie tym nie zaprzętać głowy. Poza tym taki pistolet tylko by puknął, nie byłoby głośnej eksplozji. Nie ma ran wylotowych, kule rykoszetowały w czaszce i poszatkowały tym dzieciakom mózgi, jak można się spodziewać po dwudziestce-dwójce.

– Dziewczyna zidentyfikowana?

– Jeszcze nie. Wygląda na to, że w systemie nie ma jej odcisków palców, ale nie mogę nic powiedzieć na pewno, bo pieprzy nam się komputer. Rozmawiałem z chłopakami z osób zaginionych, zbierają jakieś papiery. Podzwoniłem trochę na inne posterunki, ale młode blondynki nie są rzadkością kiedy mowa o zaginionych. Moim zdaniem okaże się, że to kolejna przyjaciółka Gavina z Beverly Hills. Chociaż gdyby tak było, można by się spodziewać, że ktoś już zacznie za nią tęsknić, a nikt stamtąd nie zgłaszał zaginięcia żadnej dziewczyny.

– Mogła u kogoś nocować – powiedziałem. – Dzisiejsi rodzice są bardziej pobłażliwi. A jeśli byli bogaci, prawdopodobne, że nie ma ich w mieście.

– Miło by było porozmawiać z Kaylą... Kazałem też kornerowi strzelić parę fotek z autopsji.

Właśnie je odebrałem, wybrałem najmniej przerażającą, żeby móc ją pokazywać ludziom.

Wygląda na niej prawie, jakby spała. Chcę, żeby Quickowie rzucili na to okiem – ojciec, kiedy

wróci, może siostra też. Dzwoniłem do nich, ale nikt nie odbierał, nawet automat.

– Żałoba – powiedziałem.

– A ja im ją przerwę. Masz ochotę jechać ze mną? Na wypadek, gdybym potrzebował kogoś wrażliwego.

Rozdział 4

W popołudniowym świetle rezydencja Quicków była jeszcze ładniejsza – zadbana, trawnik przystrzyżony, dookoła klomby niecierpków. Parkowanie w ciągu dnia było dozwolone tylko dla posiadaczy przepustek. Milo położył na desce rozdzielczej swoją policyjną plakietkę, drugą dał mnie, żebym zostawił ją w seville’u. W wolnej ręce trzymał dużą szarą kopertę. Zostawiłem plakietkę w samochodzie.

– Proszę, teraz jestem tu oficjalnie.

– Hu-ha. Znowu razem. – Milo zgiął jedną nogę i poruszył głową na boki. Otworzył kopertę i wyjął z niej zdjęcie zabitej dziewczyny.

Ładna twarz była teraz bladą maską. Przyjrzałem się szczegółom: lekko zadarty nos, dołek na brodzie, kolczyk w brwi. Żółte, zlepione kosmyki włosów, na zdjęciu zielonkawie. Zielonkawy odcień skóry, prawdziwy. Rana po kuli była dużą, czarną myszką, napuchniętą wokół krawędzi, nieco z boku na gładkim czole. Dookoła oczu purpurowe sińce – krew spływająca z mózgu.

Krwawy osad pod nosem. Usta miała lekko rozchylone, zęby proste i równe.

Na moje oko w żaden sposób nie można było powiedzieć, że wygląda „prawie jakby spała”.

Oddałem zdjęcie Milowi i razem ruszyliśmy do domu państwa Quicków.

Otworzyła nam kobieta w czarnym kostiumie. Młodsza od Sheili Quick, szczupła, kanciasta i ciemnowłosa, o zdecydowanych rysach twarzy. Miała krótkie włosy, nastroszone z przodu, usztywnione lakierem.

Oparła dłonie na biodrach.

– Przykro mi, odpoczywają.

Milo pokazał jej odznakę.

– To nie zmienia faktów. – Panno...

– Eileen. Jestem siostrą Sheili. To moja odznaka. – Wysunęła z kieszeni garsonki kremową wizytówkę. Na palcu miała trzykaratowy brylant.

EILEENPAXTON

Starszy Wiceprezes

i Główna Księgową

Digimorph Industries

Simi Valley, Kalifornia

– Digimorph – powiedział Milo.

– Supertechnologie komputerowe. Pracujemy przy filmach. Przy największych planach zdjęciowych.

Milo się uśmiechnął.

– Proszę, tu ma pani zdjęcie, panno Paxton.

Pokazał jej fotkę.

Spojrzenie Eileen Paxton nie drgnęło, ale poruszyła ustami.

– To ta dziewczyna, znaleziona przy Gavinie?

– Poznaje ją pani?

– Nie, ale nie mam powodu. Myślałam, że Gavin został znaleziony ze swoją dziewczyną. Tą małą z krzywym nosem. Tak mi powiedziała Sheila.

– Pani siostra tylko tak założyła – powiedział Milo. – Nie bez przyczyny, ale pomyliła się. To jeden z powodów, dla których tu jesteśmy.

Cały czas trzymał zdjęcie przed Eileen Paxton.

– Może pan to schować – powiedziała.

– Czy pan Quick wrócił z Atlanty?

– Śpi. Oboje śpią.

– Kiedy według pani będzie można z nimi porozmawiać?

– Skąd mam wiedzieć? To straszny cios dla całej rodziny.

– Tak, proszę pani, zgadzam się.

– To miasto – powiedziała Paxton. – Ten świat.

– W takim razie dobrze – stwierdził Milo. – Przyjdziemy kiedy indziej. Odwróciliśmy się, a Eileen zaczęła zamykać drzwi, kiedy z wnętrza domu dobiegł męski głos.

– Kto tam, Eileen?

Paxton była już do połowy w środku, kiedy powiedziała coś niezrozumiałego. Męski głos odpowiedział. Głośniej. Milo i ja odwróciliśmy się w stronę domu. Wyszedł z niego mężczyzna, tyłem do nas. Mówił do drzwi.

– Nie potrzebuję ochrony, Eileen.

Stłumiona odpowiedź. Mężczyzna zamknął drzwi, obrócił się, popatrzył na nas.

– Jestem Jerry Quick. Macie panowie jakieś wieści w sprawie morderstwa mojego chłopaka?

Wysoki, szczupły, o wąskich ramionach, miał granatowy sweter, spodnie khaki i białe nike'i. Przerzedzone siwe włosy czesał „z pożyczką”, teraz niedokładnie ułożoną. Miał pociągłą twarz, głęboko pobrużdżoną, o wystającej, wąskiej szczęce. Pomarszczoną skórę pod szeroko rozstawionymi, błękitnymi oczami znaczyły sine smugi. Opadające powieki nadawały mu taki wygląd, jakby z trudem powstrzymywał się od zaśnięcia.

Cofnęliśmy się do schodów. Milo wyciągnął rękę. Quick krótko ją uściśnął i zerknął na mnie.

– Macie już coś?

– Obawiam się, że nie. Jeśli ma pan chwilę...

– Oczywiście, że mam. – Usta Quicka skrzywiły się, jakby zjadł coś nieświeżego. – Ta moja szwagierka. Raz rozmawiała ze Spielbergiem i wydaje się jej, że jest Bóg wie kim... Proszę, wejdźcie panowie. Moja żona jest zupełnie wyłączona, doktor dał jej valium czy coś takiego, ale ze mną wszystko w porządku. Mnie też usiłował naszprycować, ale chcę jasno myśleć.

Milo i ja usiedliśmy na tej samej niebieskiej kanapie, a Jerome Quick zajął fotel, kopię

chippendale'a. Znów przyjrzałem się rodzinnym zdjęciom. Chciałem wyobrazić sobie Gavina jako kogoś innego niż to coś w mustangu.

Za życia Gavin był wysokim, ciemnowłosym, sympatycznym z wyglądu chłopakiem. Miał pociągłą twarz i szeroko rozstawione oczy ojca. Ciemniejsze – szarozielone. Na starszych zdjęciach nosił okulary. Jego pojęcie o modzie nigdy się nie zmieniło. Schludne, klasyczne ubrania, znaczki znanych firm. Krótkie włosy, zawsze albo konserwatywnie przycięte, albo ostrożnie nażelowane i postawione. Zwykły chłopak z niepewnym uśmiechem, ani przystojny, ani brzydki. Wystarczy się przejść podmiejską ulicą, zajrzeć do centrum handlowego czy multipleksu albo uczelnianego kampusu i widać takich całe mrowie. Jego siostra – studentka prawa w Bostonie – była przeciętnej urody, poważna.

Quick zobaczył, czemu się przyglądam.

– To był Gav. – Głos uwiązł mu w gardle. Zaklął pod nosem. – Do roboty.

Milo przygotował go na widok zdjęcia, a potem mu je pokazał. Quick machnął ręką.

– Nigdy jej nie widziałem. – Opuścił wzrok na dywan. – Żona mówiła panom o wypadku?

– Tak.

– Tamto, a teraz to.

Zerwał się, podszedł do pseudo chippendale'owego stolika, przez chwilę patrzył na kryształową szkatułkę, potem otworzył ją, wyjął papierosa i przypalił go zapalniczką do kompletu.

Pod sufit uniósł się błękitny dym. Quick szybko się zaciągnął, usiadł i chrapliwie się zaśmiał.

– Rzuciłem pięć lat temu. Sheila uważa, że wypada zostawiać papierosy dla gości, chociaż teraz nikt już przecież nie pali. Jak za starych, dobrych czasów Hollywood i tak dalej. Siostra opowiada jej takie hollywoodzkie pierdoły...

Spojrzał na papierosa, strząsnął popiół na dywan, roztarł go obcasem. Czarna, wypalona

dziura wydawała się sprawiać mu satysfakcję.

– Czy Gavin mówił coś o swojej nowej dziewczynie? – spytałem. – Nowej?

– Po Kayli.

– Po niej – powiedział Quick. – Też niezła wariatka. Nie, nic nie mówił.

– A powiedziałałby panu?

– Co pan ma na myśli?

– Czy był otwarty w swoich osobistych sprawach?

– Otwarty? – powtórzył Quick. – Mniej niż przed wypadkiem. Często wszystko mu się mieszało. To znaczy, na początku. Jak miało się nie mieszać, dostał, o tutaj. – Dotknął swojego czoła.

Dokładnie w tym samym miejscu pocisk wszedł w głowę jego syna. Jeszcze o tym nie wiedział. Nie było powodu, żeby wiedział.

– Mieszało mu się – powtórzyłem za nim.

– Przez jakiś czas. Ale okazało się, że nie umie się już skupić na nauce, więc wyleciał ze szkoły.

Quick zaciągnął się i skrzywił, jakby sprawiało mu to ból.

– Dostał prosto w płaty czołowe – powiedział. – Powiedzieli nam, że są odpowiedzialne za osobowość. Więc naturalnie...

– Gavin się zmienił – dokończyłem.

– Nic wielkiego, ale jasne, coś się musiało zmienić. Ale potem mu się poprawiło, prawie wszystko. W każdym razie jestem pewien, że wypadek Gavina nie ma z tym nic wspólnego.

Zaciągał się raz za razem, znów strzepnął popiół.

– Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił. Drań zostawił jakieś ślady?

– Nie mamy żadnych podejrzanych i bardzo mało informacji – powiedział Milo. – Nie udało

nam się nawet zidentyfikować dziewczyny.

– Nie kojarzę jej i nie sędzę, żeby Sheila wiedziała, kto to jest. Znamy tych samych ludzi.

– Może nam pan powiedzieć coś o Gavinie, coś, co by pomogło?

– Gavin był świetnym facetem – powiedział Quick, jakby wyzywał nas, żebyśmy zaprzeczyli. – Miał głowę na karku. Cholernie dobrze grał w golfa. Obaj uwielbialiśmy golfa. Uczyłem go, a on szybko pojął w czym rzecz i przegonił mnie samego. Handicap siedem, a był coraz lepszy. Tak było przed wypadkiem. Potem nie miał już tej koordynacji, ale wciąż był dobry. Czasami się rozpraszał... czasami chciał powtarzać w nieskończoność to samo uderzenie, zrobić to idealnie.

– Perfekcjonista – powiedziałem.

– Tak, ale w pewnym momencie człowiek zaczyna się zapętlać i musi przestać. Jeśli chodzi o jego zainteresowania, lubił biznes, tak samo jak ja. – Jerry Quick oklapł. – To też się zmieniło. Stracił zainteresowanie biznesem. Chciał robić inne rzeczy. Ale uznałem, że to przejściowe.

– Miał inne pomysły na życie? – spytałem.

– Raczej fantazje. Niespodziewanie ekonomia poszła w odstawkę, a Gavin postanowił zostać pisarzem.

– Jakim pisarzem?

– Żartował, że będzie pracował dla brukowców, obsmarowywał znanych ludzi.

– Tylko żartował.

Quick spojrzał na mnie ze złością.

– Zaśmiał się, ja też. Mówiłem wam, nie umiał się skupić. Jak, do cholery, miałby pisać do gazety? Raz, kiedy była u nas Eileen, spytał ją, czy zna jakieś sławne osobistości, które mógłby obsmarować. Potem do mnie mrugnął, ale Eileen prawie sfajdała się w spodnie. Wygłosiła mowę, jak to sławni ludzie mają prawo do prywatności. Sam pomysł o obrażeniu jakiegoś

ważniaka przestraszył ją, jak cholera... w każdym razie, o czym to ja...

Oczy mu się zaszkliły. Zaciągnął się papierosem.

– Gavin chciał zostać dziennikarzem.

– Jak mówiłem, to nie było na poważnie.

– Co Gavin robił z wolnym czasem, kiedy wyleciał ze szkoły?

– To i owo – powiedział Quick. – Myślałem, że wróci do szkoły, ale najwyraźniej nie miał zamiaru, więc... To był dla niego ciężki okres, nie chciałem go naciskać. Myślałem, że może będzie zdawał jeszcze raz, na wiosnę.

– Coś jeszcze się zmieniło? – spytałem.

– Przestał sprzątać pokój. Zupełnie się zapaścił. Nigdy nie był specjalnie porządny, ale zawsze dbał o siebie. Teraz trzeba było mu czasami przypominać, żeby się wykąpał, umył zęby i uczesał. Nienawidził tego, bo było mu wstyd. Nigdy się nie spierał, nie obrażał, mówił tylko: „Przepraszam, tato”. Jakby wiedział, że coś się zmieniło, i żałował tego. Ale wszystko szło ku lepszemu, wychodził z tego, wracał do formy... Znow zaczął biegać. Był dobry, potrafił przebiec osiem, nawet dziesięć kilometrów, jakby to było nic. Jego lekarz mówił mi, że wróci do zdrowia.

– Który lekarz?

– Wszyscy. Był neurolog, jak on się nazywał... – Quick się zaciągnął, wyjął z ust papierosa i postukał się w policzek wolną ręką. – Jakiś Hindus, polecił nam go Barry Silver, nasz lekarz rodzinny. Hindus, ze Świętego Jana... Singh. Nosi turban, musi być jednym z tych... no, wiecie panowie. Barry, oprócz tego, że to nasz lekarz, jest naszym przyjacielem, gram z nim w golfa, więc zaufałem jego poleceniu. Singh zrobił jakieś testy i powiedział, że nie widzi w mózgu Gavina żadnych uszkodzeń. Powiedział, że Gav będzie potrzebował trochę czasu, zanim wyzdrowieje, ale nie da się powiedzieć, ile. Potem wysłał nas do terapeutki, psychologa. Żeby pomóc Gavowi wyjść z traumy.

– Neuropsychologa? – spytałem.

– To terapeutka, tylko tyle wiem – powiedział Quick, – Kobieta, Koppel, była w telewizji, w radiu.

– Mary Lou Koppel.

– Zna ją pan?

– Słyszałem o niej – powiedziałem.

– Na początku Gavin chodził do jednego z jej partnerów, ale coś im tam nie pasowało, więc przeniósł się do niej.

– Co było nie tak z pierwszym partnerem?

Quick wzruszył ramionami.

– Cały ten proces... Płaci się, żeby dzieciak poszedł i z kimś pogadał, wszystko to wielka tajemnica, nie wolno wypytywać, o co chodzi. – Zaciągnął się papierosem. – Gavin powiedział mi, że nie dogaduje się z tym facetem i że Koppel zgodziła się go przyjąć. W tej samej cenie.

Oboje liczyli dwie stowy za godzinę i nie przyjmowali pieniędzy z ubezpieczenia.

– Pomogło?

– Kto wie?

– Co powiedziała panu doktor Koppel?

– Nic. Byłem wyłączony z całej tej terapii. Dużo podróżuję. Za dużo, chciałem to trochę ograniczyć.

Wypalił papierosa do filtra, wziął następnego i odpalił go od pierwszego, a potem zdusił tego pierwszego kciukiem i palcem wskazującym. I rzucił na dywan.

Coś wymamrotał.

– Słucham? – powiedział Miło.

Uśmiech Quicka był nagły i niepokojący.

– Bez przerwy podróżuję. To piekło. Znaście linie lotnicze, ten diabelski pomiot. Regularny pasażer? Nic ich to nie obchodziło. Tym razem, kiedy Sheila zadzwoniła do mnie i powiedziała o Gavinie, a ja powiedziałem im, dlaczego muszę wracać do domu, potraktowali mnie jak króla. Oznaczają kogoś jako pogrążonego w żałobie i przez całą drogę ma się priorytet. Przenieśli mnie do pierwszej klasy, całą drogę wokół mnie skakali.

Warknął krótko, co mogło być w zamierzeniu śmiechem. Zaciągnął się, zakaszał, znów się zaciągnął.

– Tego było trzeba. Tego było trzeba, żeby potraktowali mnie jak człowieka.

Milo zapytał go o córkę.

– Powiedziałem Kelly, żeby została w Bostonie – odparł Quick. – Ma egzaminy, co to da, jeśli tu przyjedzie? Kiedy oddacie nam... oddacie nam Gavina i urządzimy pogrzeb, wtedy wróci.

Kiedy to będzie?

– Trudno powiedzieć, proszę pana – powiedział Milo.

– Lubicie to powtarzać.

Milo się uśmiechnął.

– Kayla Bartell...

– Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Znała Gava z liceum i trochę się ze sobą wygłupiali.

– Wygłupiali?

– Jak to dzieciaki – powiedział Quick. – Jej ojciec jest jakimś kompozytorem. Eileen mówi, że to ważna osobistość.

– Nigdy go pan nie spotkał.

– Dlaczego miałbym spotkać?

– Gavin i Kayla...

– To była jego sprawa... Szczerze mówiąc, panowie, nie rozumiem tych wszystkich pytań –

powiedział Quick. – To, co się stało, nie mogło mieć nic wspólnego z Gavem. Pojechał na Mulholland z jakąś dziewczyną i zboczeniec, jakiś seksualny zwyrodnialec to wykorzystał, tak? To oczywiste, prawda? Nie tak myślicie?

Zanim Milo zdążył odpowiedzieć, Quick spojrział na schody. Eileen Paxton zbiegła na dół, ignorując nas, i pobiegła do kuchni.

Usłyszeliśmy odkręcany kran. Potem ostry szczęk garnków. Kilka chwil później po schodach zeszła Sheila Quick, niepewnie, chwiejnie. Zatrzymała się na ostatnim stopniu, przyjrzała się uważnie podłodze, jakby wahając się, czy jej zaufać. Miała rozmyte spojrzenie i mocno trzymała się poręczy. Była ubrana w różową podomkę; przez noc postarzała się o dziesięć lat.

Zobaczyła nas i wybełkotała: „Dzień dobry”. Zauważyła papierosa w ręku męża i kąciki jej ust opadły.

Jerome Quick zaciągnął się wyzywająco.

– Nie stój tak, zejdz na dół, ostrożnie, jesteś na valium.

Nie ruszył się, żeby jej pomóc.

Stała.

– Czy jest coś... nowego, detektywie?

Milo pokręcił głową.

– Przepraszam, że znów niepokoiimy, pani Qui...

– Nie, nie, nie, pomagacie mi... nam. Był pan bardzo... łaskawy. Wczoraj wieczorem. To nie mogło być dla pana łatwe. Był pan łaskawy. To nie było łatwe dla pana ani dla mnie.

– Sheila, wracaj do łóżka – powiedział Jerry Quick. – Jesteś...

– Byli bardzo mili wczoraj wieczorem, Jerry. Będzie uprzejmie, jeśli...

– Jestem pewien, że byli wspaniali, ale...

– Jerry, chcę być uprzejma – powiedziała z naciskiem, oddzielając każde słowo. Zeszła ze

schodów i usiadła z boku na fotelu. – Dzień dobry – powiedziała wesoło.

– Proszę pani – powiedział Milo – dowiedzieliśmy się, że dziewczyna z Gavinem nie była Kaylą Bartell.

– Powiedział pan, że to blondynka – odparła Sheila Quick.

– Mało takich w Los Angeles – sarkastycznie zauważył jej mąż.

– Mam zdjęcie – powiedział Milo. – To nie jest przyjemny widok, zrobiono je *post mortem*, ale jeśli mogłaby pani na nie spojrzeć... Gdyby udało nam się ją zidentyfikować, przyspieszyłoby to sprawę.

Sheila Quick tylko na niego patrzyła. Pokazał jej zdjęcie.

– Wygląda na taką... nieżywą. Biedna mała. – Pokręciła głową. Wyrwała zdjęcie z ręki Mila i przyjrzała mu się z bliska. Jej palce zaczęły drżeć, a kąciki ust zadygotały. – Pokazujecie takie zdjęcie Gavina innym ludziom?

– Sheila – powiedział Quick.

– Nie, proszę pani – odparł Milo. – Wiemy, kim jest Gavin.

Przyjrzała się zdjęciu.

– Gavin nie mówił, że ma nową dziewczynę.

– Gavin miał dwadzieścia lat – powiedział Jerome Quick. – Nie musiał spowiadać się ze swojego życia towarzyskiego.

Sheila Quick dalej patrzyła na zdjęcie. W końcu je oddała.

– Jeszcze jedno.

– Słucham?

– Jeszcze jedno czyjeś dziecko nie żyje.

Rozdział 5

Milo dostał pisemne zezwolenie na przesłuchanie lekarzy Gavina i wyszliśmy. Dochodziła

piąta po południu, niebo jaśniało jadowitym odcieniem mlecznej bieli. Obaj mieliśmy podły nastrój i byliśmy głodni. Pojechaliśmy do lokalu przy Little Santa Monica, wzięliśmy kanapki i kawę. Moja była z rostbefem i ostrą musztardą na pumperniklu. Milo wybrał mokrego, wielowarstwowego potwora wyłożonego pastrami, sałatką coleslaw, papryczkami i czymś, czego nie udało mi się zidentyfikować; wszystko to było wepchnięte we francuską bułkę. Kiedy się w nią wgryzł, całość się rozleciała. Wydawało się, że sprawia mu to radość. Przełknął.

– Modelowa rodzina – powiedział.

– Nie nadają się na reklamę domowego ogniska – stwierdziłem – ale to nie ma znaczenia.

Ojciec może mieć rację.

– Nieznany zboczeniec zabija jego chłopca. To na pewno dystansuje rodzinę od całej sprawy.

– Nie wydaje mi się, żeby to była zbrodnia rodzinna – powiedziałem. – Fakt, że rodzina nie zna dziewczyny, może oznaczać, że była z rodzaju tych, których nie przedstawia się mamie. Co może oznaczać, że to ona była głównym celem.

– Kimś, kto ma paskudnych znajomych.

– Morderca nadział ją i zabrał jej torebkę. To mogło być zbieranie trofeów, ale możliwe, że po prostu nie chciał, żeby ją za szybko zidentyfikowano.

– Głównym celem napaści seksualnej, zabójstwa czy jednego i drugiego?

– Nie wiem – powiedziałem. – Nie było seksualnego napastowania, ale według mnie samo przebicie ma seksualny podtekst. Gavin był postrzelony raz – załatwiony. To by pasowało, jeśli morderca chciał się go pozbyć, żeby móc się zająć tym, czego chciał.

– Jeśli Gavin został zastrzelony pierwszy. Nie ma możliwości, żeby to udowodnić.

– Logika to potwierdza – powiedziałem. – Dziewczyna była żywa, kiedy morderca ją przebił. Mało prawdopodobne, żeby Gavin siedział i biernie się temu przyglądał. Albo żeby morderca ryzykował starcie z młodym, zdrowym mężczyzną. Zastrzelił Gavina, a potem skupił się na

dziewczynie. Była słabsza, wystraszona, a dominacja mordercy ją obezwładniła. Może obiecał, że nic jej nie zrobi, jeśli nie będzie stawiała oporu. Były jakieś ślady walki?

Milo pokręcił głową.

– Patrzyła, jak Gavin zostaje zamordowany – powiedziałem – siedziała tam, przerażona, i miała nadzieję, że nic jej się nie stanie. Morderca przebił ją prętem, a potem zastrzelił. Jak dla mnie, to świadczy o dużych pokładach gniewu. Kiedy oboje już nie żyli, miał czas zbadać swoje dzieło, pobawić się nimi. Albo Gavin i dziewczyna sami zaczęli układać się w seksualnie nacechowanej pozycji, albo on ich tak ułożył. Dlatego że to faktycznie była zbrodnia na tle seksualnym, albo dlatego że chciał, żeby na taką wyglądała.

Milo odłożył kanapkę.

– Dajesz mi za duży wybór.

– Od czego są przyjaciele? – powiedziałem. – Natrafiłeś już na inne morderstwa, gdzie ofiarę przebito?

– Jeszcze nie. – Podniósł kanapkę i wielki kęs zniknął w jego ustach. – Myślisz, że prezerwatywa należała do Gavina, czy przyniósł ją morderca?

– Miał ją w kieszeni, więc pewnie była jego.

– A więc uważasz, że badanie psychiki Gavina to strata czasu? Myślałem, że ta terapeutka mogłaby nam pomóc. A ty ją znasz.

– Wiem, kim jest.

– Z telewizji.

Zaczyna się. Zasłoniłem usta kubkiem kawy.

– Krzywisz się, kiedy o niej mówisz – stwierdził Milo.

– To nie jest ktoś, kogo prosiłbym o radę.

– Dlaczego nie?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły.

– To opowiedz ogólnie.

Pięć lat temu, całkiem poza tym rozsądny sędzia poprosił mnie, żebym ocenił stan siedmioletniej dziewczynki, uwięzionej w samym środku paskudnego rozwodu. Oboje rodzice byli doświadczonymi pracownikami poradni małżeńskich. To powinno stanowić wystarczające ostrzeżenie.

Matka była młodą, bierną, nienaturalnie nerwową kobietą o ostrych rysach twarzy, którą wychowywała para gwałtownych alkoholików i która przeszła od doradzania parom do leczenia zatwardziałych narkomanów w publicznej klinice w Bellflower. Jej były mąż, dwadzieścia lat od niej starszy, był nadętym psychopata, świeżo upieczonym seksuologiem i swego rodzaju guru, z doktoratem Ligi Bluszczowej i nową posadą w instytucie jogi w Santa Barbara.

Oboje nie odzywali się do siebie od ponad roku, ale upierali się przy wspólnej opiece nad dzieckiem. Układ był prosty – trzy dni w jednym, domu, cztery w drugim. Żadne z rodziców nie widziało problemu w przerzucaniu dziecka między oddalonymi o sto pięćdziesiąt kilometrów domem ojca z imitacji cegły w aśramie i smutnym mieszkaniem matki w Glendale. Sednem sporu miał być kalendarz – kto dostaje cztery dni, kto trzy, i co z wakacjami? Po dwóch miesiącach wściekłych kłótni przeszliśmy do koordynacji konwencjonalnej diety matki z wegetariańską kuchnią ojca.

Prawdziwym sednem sprawy była wzajemna nienawiść, dwieście tysięcy dolarów na wspólnym koncju inwestycyjnym i rzekoma seksualna drapieżność czterech kochanek ojca. Kiedy zajmuję się takimi sprawami, zawsze staram się porozmawiać z terapeutami, a obie walczące strony takich miały. Terapeutą ojca był osiemdziesięcioletni hinduski swamin, który mówił po angielsku z ciężkim akcentem i brał leki na nadciśnienie. Pojechałem do Santa Barbara, spędziłem przyjemne dwie godziny z korpulentnym, brodatym starszym gościem, wdychając

zapach kadzidła i nie dowiadując się niczego konkretnego. Ojciec nie pojawił się u swojego mentora od pół roku.

– To pana nie martwi? – spytałem.

Swamin zmienił pozycję kwiatu lotosu, wygiął się jakoś niemożliwie, mrugnął do mnie i się uśmiechnął.

– Co ma być, to będzie.

– Jest taka piosenka.

– Doris Day – powiedział. – Świetna piosenkarka.

Terapeutką matki była Mary Lou Koppel, która nie zgodziła się ze mną porozmawiać.

Najpierw mnie unikała, nie odbierając moich telefonów. Po piątej próbie oddzwoniła i wyjaśniła.

– Jestem pewna, że pan rozumie, doktorze Delaware. To kwestia poufności.

– Doktor Wetmore wyraziła zgodę.

– Obawiam się, że nie do niej należy decyzja.

– A do kogo?

W słuchawce zatrzeszczało.

– Chodzi mi o ideę, a nie aspekt prawny. Teresa Wetmore jest w tym momencie niezwykle podatna na wszelkie urazy. Thad jest niezwykle agresywny, jak na pewno pan wie.

– Fizycznie?

– Emocjonalnie – powiedziała. – I to się liczy. Teresa i ja zrobiłyśmy pewne postępy, ale to jeszcze potrwa. Nie mogę ryzykować spuszczenia demonów z łańcucha.

– Chodzi mi o dobro dziecka.

– Pan ma swoje priorytety, ja swoje.

– Doktor Koppel, zależy mi na każdym wniosku, jaki może mi pani podsunąć i jaki mógłby

pomóc mi doradzić sądowi.

Cisza na linii. Trzaski.

– Doktor Koppel?

– Jedyne wnioski, jakimi mogę się z panem podzielić, doktorze – powiedziała – to unikać

Thada Wetmore’a jak morowej zarazy.

– Miała z nim pani kłopoty.

– Nigdy się z nim nie spotkałam, doktorze. I zamierzam zrobić wszystko, żeby tak zostało.

Napisałem do niej potem list, który wrócił nieotwarty. Sprawa jąrzyła się, dopóki

Wetmore’om nie skończyły się pieniądze, a ich prawnicy nie zrezygnowali. Sędzia postąpił

według moich zaleceń – oboje rodzice musieli się jeszcze dużo nauczyć o wychowywaniu dzieci,

zanim wspólna opieka nad córką miała szansę zadziałać. W każdym przypadku cotygodniowa

trzystukilometrowa wycieczka w tę i z powrotem nie leżała w najlepszym interesie dziecka.

Kiedy sędzia spytał, czy chciałbym podjąć się edukacji rodziców, powiedziałem, że dostarczę

listę nazwisk, a potem zacząłem się zastanawiać, kto mi ostatnio podpadł.

Trzy miesiące później Teresa i Thaddeus Wetmore’owie każde z osobna złożyli na mnie

skargi dotyczące etyki zawodowej w stanowej komisji psychologicznej. Wykaraskanie się z tego

zajęło mi trochę czasu, ale w końcu zarzuty oddalono. Niedługo potem doktor Mary Lou Koppel

nagle zaczęła się pojawiać w radiu i telewizji.

Jako ekspert od doradztwa małżeńskiego.

Milo dokończył kanapkę.

– Wydaje się przemiła. Czym kupuje media?

– Czym chce.

– Samozwańczy ekspert?

– Talk-show zawsze kogoś potrzebują – powiedziałem. – Jeśli twierdzisz, że jesteś

specjalistą, to znaczy, że jesteś. Doktor Koppel wynajęła pewnie specja od public relations i załatwiła sobie reklamę, która napędza jej praktykę.

– Taka młoda, a taka cyniczna.

– Jedno na dwa to nie tak źle.

Milo się wyszczerzył, wytarł kanapką sos z talerza i pożarł mokrą papkę.

– Czy urazy głowy to chwytliwy temat?

– Jeśli pytasz, czy Koppel jest wykwalifikowanym neuropsychologiem, to nie wiem. Tego właśnie Gavin potrzebował, przynajmniej na początku. Kogoś, kto potrafiłby się dowiedzieć, co naprawdę dzieje się w jego głowie, i zalecić odpowiednią rehabilitację.

– Neurolog mówił, że niczego się nie doszukał.

– Tym bardziej – powiedziałem. – Gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że Koppel nie znała się na neuropsychologii. To wąska dziedzina, która wymaga specjalistycznego szkolenia.

Większość neuropsychologów nie zajmuje się zwykłą terapią i vice versa.

Milo przymknął oczy.

– Claire Argent się tym zajmowała, prawda?

Doktor Claire Argent była jedną z wielu ofiar potwora, którego ścigaliśmy kilka lat temu.

Cichą kobietą, otuloną sekretami, znaną przeciętą na pół w pasie i wciśniętą do bagażnika swojego samochodu.

– Zajmowała – powiedziałem.

Milo wziął głęboki oddech. Zamknął oczy i potarł powieki.

– Twierdzisz, że Gavin mógł być niewłaściwie potraktowany przez Koppel?

– Albo się mylę, i postawiła go na nogi.

Pomyślałem sobie, że byłoby mądrze pogadać z tą Koppel. Nawet jeśli się okaże, że Gavin nie był główną ofiarą, może wspominał o blondynce swojej psycholog.

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Biorąc pod uwagę jej prestiż, nie sądzę, żeby chciałyby kojarzono ją z zamordowanym pacjentem.
- Mam pisemną zgodę od jego rodziców.
- To tylko pozwala jej mówić – powiedziałem. – Nie zmusza. Może sama decydować, co ci powiedzieć. O ile w ogóle coś powie.
- Widzę, że jej naprawdę nie lubisz.
- Utrudniała, kiedy nie musiała. Chodziło o dobro dziecka, a ona miała to gdzieś.

Milo się uśmiechnął.

- Właściwie myślałem, że może ty byś z nią porozmawiał. Jak doktor z doktorem. Miałbym czas zająć się innymi rzeczami. Na przykład dokończyłbym sprawdzanie zaginionych osób i może rozszerzył poszukiwania na inne stany. Przejrzałbym raporty z autopsji, raport balistyczny, obejrzał ubranie dziewczyny. Ale nie ma sprawy. Wziąłem to na siebie i sam to dokończę.

Rzucił pieniądze na stół i wyszliśmy.

- Porozmawiam z nią – powiedziałem.

Zatrzymał się na chodniku. Mijały nas otoczone chmurami perfum mieszkanki Beverly Hills.

- Na pewno?

- Dlaczego nie? Tym razem bez, telefonów. Twarzą w twarz będzie interesująco.

Rozdział 6

Mój dom, zaprojektowany dla dwóch osób, stoi wśród sosen nad konną ścieżką, wijącą się przez Beverly Glen. Wysokie, białe ściany, podłogi z polerowanego drewna, świetliki w interesujących miejscach i niewielka liczba mebli sprawiają, że wydaje się większy, niż jest w rzeczywistości. W języku agencji nieruchomości brzmiałoby to: „Przestrzenny, a zarazem zachowujący pozwalające na przytulność proporcje”. Kiedy przyjeżdżam do domu sam, często widzę w nim tylko nakładające się na siebie echa i mnóstwo negatywnej przestrzeni.

Tego wieczoru był zimny. Minąłem pocztę na stole w jadalni i poszedłem do gabinetu.

Włączyłem komputer, sprawdziłem Mary Lou Koppel w spisie Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, a potem wpisałem jej nazwisko do kilku internetowych wyszukiwarek.

Zrobiła doktorat tam gdzie ja, na uniwerku. Była ode mnie o rok starsza, ale poszła na studia niedługo po tym, jak ja je skończyłem. Jej dysertacja o karmieniu piersią i lękach młodych matek została przyjęta pięć lat później. Potem nastąpił staż w jednym z uniwersyteckich szpitali i klinice psychiatrycznej w San Bernardino.

Miała ważną licencję, nigdy nie wpłynęły na nią żadne skargi do komisji stanowej. Miałem rację – nie posiadała żadnego wykształcenia z zakresu neuropsychologii.

Wyszukiwarki znalazły jej nazwisko czterysta trzydzieści dwa razy – wszystko to były wycinki z wywiadów, których udzieliła różnym stacjom radiowym i telewizyjnym. Przyjrzałem im się bliżej i okazało się, że wiele spośród nich się powtarzało. Właściwych wzmianek były zaledwie trzy tuziny.

Mary Lou Koppel mówiła z wielką pewnością siebie o barierach porozumienia między kobietą i mężczyzną, tożsamości płciowej, zaburzeniach jedzenia, strategiach odchudzania, rozwiązywaniu problemów wewnątrz-zespołowych, kryzysach wieku średniego, adopcji, problemach z nauką, autyzmie, młodzieńczym buncie, syndromie przedmiesiączkowym, menopauzie, panice, fobiach, chronicznej depresji, stresie pourazowym, seksizmie, rasizmie oraz uprzedzeniach ze względu na wiek i wzrost.

Tematem, który wyraźnie najbardziej ją interesował, była reforma więziennictwa. Udzieliła w zeszłym roku ośmiu wywiadów radiowych, w których potępiła przechodzenie od rehabilitacji do karania. W dwóch z nich występowała razem z niejakim Albinem Larsenem, przedstawianym jako psycholog i orędownik praw człowieka.

Znalezione przeze mnie zdjęcia ukazywały ładną kobietę o krótkich, postrzępionych włosach

koloru karmelu. Miała okrągłą twarz, policzki jak wiewiórka i ostry, nieco przekrzywiony w bok podbródek. Długa, ładna szyja zaczynała się już marszczyć. Bystre, ciemne oczy. Szerokie, wyrażające zdecydowanie usta. Wspaniałe zęby, ale uśmiech udawany. Na wszystkich zdjęciach była ubrana na czerwono.

Wiedziałem już, kogo szukać.

Pojechałem do jej gabinetu następnego dnia o jedenastej czterdzieści pięć, doszedłszy do wniosku, że najłatwiej będzie mi ją złapać podczas przerwy na lunch. Pracowała w Beverly Hills, ale nie w Alei Leżanek, Bedford Drive ani na żadnej innej modnej ulicy, przy których zbierali się psychoterapeuci.

Doktor Mary Lou Koppel uprawiała swój zawód w piętrowym budynku przy Olympic Boulevard i Palm Drive, niedaleko południowej granicy miasta. Kawalek dalej mieściły się warsztat lakierniczy i prywatna szkoła, zajmujące dwie połówki bliźniaka. Za nimi kwaciarnia i apteka, oferująca zniżki dla osób starszych. Ruch samochodów na Olympic był nieprzerwany i głośny niczym autostrada.

Budynek Koppel miał pozbawiony okien, ceglany front, pomalowany na kolor mokrego piasku. Nie było na nim żadnych szyldów oprócz małej, czarnej tabliczki z numerem zbyt małym, żeby przeczytać go z drugiej strony ulicy. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz; wywieszona na nich tabliczka kazała wchodzić od tyłu. Za budynkiem znajdował się parking na sześć samochodów i zaułek. Trzy miejsca oznaczone jako zarezerwowane zajmowały małe, ciemne mercedesy, podobne do tego, którym jeździł Jerry Quick.

Znalazłem parkomat na Palm, wróciłem i wszedłem do środka.

Na parterze ciągnął się długi, ciemny, wyłożony czerwoną wykładziną korytarz, biegnący wzdłuż wschodniej ściany budynku i pachnący popcornem jak kinowa sala. Jeden najemca, fundacja Planowana Dobroczynność. Strzałka na ścianie skierowała mnie do schodów, a kiedy

tam dotarłem, litery z imitacji brązu poinformowały mnie, co zastanę na piętrze.

PACIFICA-WEST USŁUGI PSYCHOLOGICZNE

Podłogę piętra pokrywała przemysłowa wykładzina w kolorze cyny; ściany były szaroniebieskie, oświetlenie lepsze. W przeciwieństwie do parteru nie było tu długiego korytarza.

Trzy metry od schodów drogę przegradzała ściana. Na pojedynczych drzwiach widniał napis RECEPCJA.

Za nimi znajdowała się duża, pusta poczekalnia, z obitymi niebieskim tweedem fotelami i pismami na stolikach. Nie było okienka, tylko drzwi i trzy tabliczki: DR FRANCO R. GULL, DR MARY LOU KOPPEL, DR ALBIN A. LARSEN.

Larsen był aktywistą, którego Koppel dopuściła do głosu w kilku swoich wywiadach na temat reformy więziennictwa. Napędzając dwie praktyki za cenę jednego wystąpienia.

Przy każdej tabliczce znajdował się guzik i mała żaróweczka. Napis instruował pacjentów, by oznajmiali swoje przybycie, naciskając guzik. Białe światelko oznaczało, że doktor był wolny, czerwone, że zajęty.

Światelka Gulla i Larsena były czerwone, Koppel białe. Oznajmiłem swoje przybycie.

Kilka chwil później drzwi się otworzyły i stanęła w nich Mary Lou Koppel, ubrana w czerwony, kaszmirowy top z krótkim rękawem, białe lniane spodnie i czerwone buty. W rzeczywistości jej ciemne oczy były prawie czarne. Czyste, lśniące, ciekawe, obejrzały mnie błyskawicznie od stóp do głów. Włosy miała jaśniejsze niż na zdjęciach, przybyło jej kilka zmarszczek, a nagie ramiona były piegowate i bardziej miękkie niż reszta ciała. Na prawym palcu wskazującym nosiła pierścionek z żółtym brylantem – dużym, kanarkowym, otoczonym małymi szafirami. Nie miała obrączki.

– Tak? – powiedziała. Gładki, cichy, niski głos. Radiowy.

Przedstawiłem się, podałem jej wizytówkę, na której jest napisane, że czasami współpracuję

z policją. Przeczytała to, co stało małym drukiem.

– Delaware. – Oddała mi wizytówkę i spojrzała w oczy. – To niezwykle nazwisko... Czy my się już nie spotkaliśmy?

– Kilka lat temu, ale tylko telefonicznie.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Sprawa rozwodowa Wetmore'ów. Sąd poprosił mnie o rekomendację w sprawie opieki nad dzieckiem. Pani była terapeutką Teresy Wetmore.

Zamrugła. Uśmiechnęła się.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie byłam zbyt skora do współpracy, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Nieszczęśliwy zbieg okoliczności – powiedziała. – Czego nie mogłam panu wtedy powiedzieć, doktorze Delaware, i czego pewnie nie powinnam mówić i teraz, to że Terry Wetmore związała mi ręce. Nie podobał jej się pan. Nie ufała panu, zabroniła mi czegokolwiek panu wyjawiać. Nieco mnie to skrępowało.

– Wyobrażam sobie.

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Rygory naszego zawodu. – Dłoń zsunęła się po rękawie mojej marynarki, opadła. – A więc co pana tu dzisiaj sprowadza, w jakiej jeszcze sprawie mogę z panem nie współpracować?

– Gavin Quick.

– Co z nim?

– Został zamordowany dwie noce temu.

– Zamord... O mój Boże. O nie... Niech pan wejdzie.

Poprowadziła mnie krótkim korytarzem, obok kserokopiarki i butli z wodą, do jednych z trojga drzwi w głębi. Jej gabinet był wyłożony boazerią z jasnego klonu, na podłodze leżała

gruba, pluszowa granatowa wykładzina. W pomieszczeniu stały: szklane biurko na czarnej, granitowej podstawie, duży fotel oraz błękitne, skórzane kanapy i fotele, ustawione z biegłością dekoratora wewnątrz. Sufit był korkowy – dźwiękoszczelny. Na ścianach nic nie wisiało. Dyplomy i oprawiona w ramki licencja doktor Koppel stały na szklanej etażerze z boku, obok kryształowych przycisków do papieru i czegoś, co wyglądało na ceramikę Indian Pueblo. Zastłony koloru morskiej zieleni zakrywały, jak uznałem, okna. Ich rozmieszczenie oznaczało widok na parking i zaułek. Pokój był przestronny, a zarazem przytulny. „Przestrzenny, a zarazem zachowujący pozwalające na przytulność proporcje”...

Mary Lou Koppel usiadła za szklanym biurkiem, ja na najbliższym miękkim fotelu. Bardzo miękkim. Zapadłem się i musiałem patrzeć na nią w górę.

– To straszne – powiedziała. – Dopiero co widziałam się z Gavinem w zeszłym tygodniu. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Kiwnąłem głową.

– Co się stało?

Podąłem jej szczegóły, na koniec opowiedziałem o niezidentyfikowanej blondynce.

– Biedny chłopak – powiedziała. – Tyle przeszedł.

– Wypadek.

Położyła obie dłonie na szklanym blacie. Miała cienkie nadgarstki, palce krótkie, ale wąskie, paznokcie pomalowane przezroczystym lakierem. Obok jej prawej ręki stało pudełko z wizytówkami, leżała para okularów do czytania i mały, srebrny telefon komórkowy.

– Czy policja domyśla się, co się stało?

– Nie. Dlatego tu jestem.

– Nie jest dla mnie zupełnie jasne, co pan dla nich robi.

– Czasami sam mam takie wrażenie – powiedziałem. – Tym razem poprosili mnie, żebym się

z panią skontaktował, ponieważ jesteśmy kolegami po fachu.

– Kolegami po fachu – powtórzyła. – Myślą, że mogę im pomóc w rozwiązaniu tej zagadki?

– Rozmawiamy ze wszystkimi.

– Cóż – powiedziała. – Byłam terapeutką Gavina, ale nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie. Na pewno nie sądzi pan, że to mogło mieć coś wspólnego z jego terapią.

– Na tym etapie to otwarta księga, doktor Koppel.

– Mary Lou – powiedziała. – Cóż, oczywiście, rozumiem tę logikę... abstrakcyjnie. –

Przezesłała włosy. – Zanim posuniemy się dalej, powinnam chyba zobaczyć jakieś pisemne upoważnienie. Zdaję sobie sprawę, że z chwilą śmierci Gavina wygasł prawny obowiązek poufności. I z całą pewnością nie chcę wyjść na nieskorą do współpracy. Po raz drugi. Ale... sam pan rozumie, prawda?

– Oczywiście.

Podał jej zgodę podpisaną przez Quicków. Zerknęła na nią. – Nigdy za wiele ostrożności.

Dobrze, co chciałby pan wiedzieć?

– Rodzice Gavina sugerowali, że po wypadku nastąpiły u niego zmiany osobowości.

Zaniedbania higieny osobistej, zachowanie, które można uznać za obsesyjne.

– Czy są panu znane następstwa zamkniętych urazów głowy, doktorze Delaware?

– Nie jestem neuropsychologiem – powiedziałem – ale brzmi to tak, jakby nastąpił syndrom powstrząsowy i pewnie zmiany osobowościowe.

– Przy urazach zamkniętych wszystko jest możliwe... Czy mogę panu mówić Alex?

– Jasne.

Pokazała mi swoje wspaniałe zęby. Znów spoważniała.

– To był wstrząs płata przedczołowego, Alex. Wiesz, jaką rolę pełnią płaty przedczołowe w zakresie reagowania emocjonalnego. Niewykluczone że kiedy głowa Gavina zderzyła się z tym

fotelem, przeszedł coś w rodzaju lekkiej lobotomii.

– Minęło dziesięć miesięcy – powiedziałem – i nie wrócił całkowicie do zdrowia,

– Tak... To mnie martwiło. Z drugiej strony, ludzki mózg, zwłaszcza młody ludzki mózg, bywa cudownie plastyczny. Miałam nadzieję.

– Na całkowite wyzdrowienie?

Wzruszyła ramionami.

– Plastyczność – powiedziałem. – Zajmujesz się neuropsychologią.

Przyglądała mi się badawczo przez pół sekundy.

– Jestem na bieżąco z publikacjami. Nie było potrzeby angażowania neuropsychologa, bo aspektem organicznym zajął się neurolog. Oboje doszliśmy do wniosku, że nic więcej nie zyskamy, poddając Gavina kolejnym testom. Pacjent potrzebował emocjonalnego wsparcia, a moim zadaniem było je mu zapewnić.

Wyjąłem notes.

– Doktor Singh.

– Bardzo dobry człowiek.

– Czy to on skierował do ciebie Gavina?

Kiwnęła głową.

– Kiedy?

– Gavin przychodził na terapię od około trzech miesięcy.

– Siedem miesięcy po wypadku.

– Chwilę trwało, zanim wszystko się poukładało.

Udałem, że czytam coś w notesie.

– Skierowano go do twojej grupy, nie do ciebie bezpośrednio.

– Słucham?

– Powiedziano mi, że Gavin zaczął u jednego z twoich partnerów, a potem przeniósł się do ciebie.

Założyła nogę na nogę. Czarny marmurowy piedestał zasłonił ten ruch, ale dostrzegłem czubek jednego, czerwonego buta.

– Przypominam sobie teraz, że rzeczywiście tak było. Singh skierował Gavina do naszej grupy i Franco, doktor Gull, był wolny. Przyjął Gavina kilka razy, a potem przejęłam go ja.

– Były jakieś problemy między nimi?

– Nie określiłabym tego problemami – powiedziała. – Wtedy, tuż po wypadku, Gavin był niezwykle drażliwy. To też było do przewidzenia. Wiesz, jak to jest z terapeutami i pacjentami. Czasami się dopasowują, czasami nie. A Franco i tak miał już dużo pacjentów.

Czarne oczy odnalazły moje.

– Tak jak to było z tobą i Teresą Wetmore. Jestem pewna, że większość pacjentów uwielbia cię i darzy zaufaniem. Ale inni... Pracujesz w policji na pełny etat czy przyjmujesz jeszcze pacjentów?

– Prowadzę krótkoterminowe, prywatne konsultacje.

– Żadnych terapii?

– Zazwyczaj nie.

– Prywatna praktyka potrafi być ciężka – powiedziała Koppel. – Nonsensy ubezpieczalni, mało skierowań, kiedy kończą się pieniądze... Pewnie praca w policji pomaga w utrzymywaniu stałych dochodów.

– Nie jestem na policyjnym etacie. Dla nich też prowadzę krótkoterminowe konsultacje.

– Ach... – Uśmiechnęła się. – W każdym razie Gavin został moim pacjentem i miałam wrażenie, że robimy postępy. – Rozprostowała nogi i pochyliła się do przodu. – Alex, nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym ci powiedzieć i co pomogłoby policji w śledztwie.

– A co z obsesyjnym zachowaniem Gavina? – spytałem.

– Tak bym tego nie nazwała. To nie było nic na skalę podręcznikowego zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego. Gavin bywał nieco uparty, i tyle.

– Wbijał sobie coś do głowy i nie odpuszczał?

Uśmiechnęła się.

– W twoich ustach brzmi to jak jakaś patologia. A tak nie było. Czasami... ponosił go entuzjazm.

– Jego rodzice powiedzieli, że zmienił życiowy cel. Z biznesu na dziennikarstwo.

To ją chyba zaskoczyło; zacząłem się zastanawiać, jak dobrze znała swojego pacjenta.

– Ludzie zmieniają zdanie – powiedziała. – Zwłaszcza młodzi ludzie. Czasami tragedie sprawiają, że skupiają się na tym, co naprawdę chcą w życiu robić.

– Czy tak właśnie było w przypadku Gavina?

Niezobowiązujące kiwnięcie głową.

– Czy planował wrócić na studia?

– Trudno było mu nie tracić motywacji, Alex. Jednym z moich celów było pomóc mu odzyskać poczucie sensu życia. Ale to musiało następować stopniowo. Gavin wciąż zmagał się ze zmianami.

– Więc miał problemy z percepcją.

– Tak, ale nieznaczne. I, jak sądzę, wyolbrzymione przez napięcie emocjonalne. Ciekawi mnie jedno, Alex. Dlaczego tak cię interesuje jego osobowość?

– Interesuje mnie jego obsesyjność, bo policja się zastanawia, czy nie przez to wpadł w kłopoty.

– Jak to?

– Rozzłościł niewłaściwego człowieka.

– Niewłaściwego człowieka.

– Kogoś, kto byłby zdolny do gwałtownej reakcji.

Dotknęła palcem ust.

– Byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że Gavin zadawał się z takimi ludźmi. Był zwyczajnym miłym chłopcem. Na pewno nigdy o niczym takim mi nie wspominał.

– Czy był komunikatywny?

Czarne oczy spojrzały w sufit.

– Jak by to ująć... Tak, jak wielu młodych mężczyzn, Gavin nie miał zbytnej skłonności do introspekcji.

– O czym mówił?

– Pracowałam z nim, żeby otworzył się i uzewnętrznił swoje uczucia. Gniew spowodowany poczuciem inności. Poczucie winy za to, że przeżył wypadek. Wiesz, dwóch jego przyjaciół w nim zginęło.

Pokiwałam głową.

– Miałam wrażenie, że Gavin wiedział, że coś stracił – powiedziała – pewną bystrość, ostrość spojrzenia, ale miał kłopoty z wyrażeniem tego. Myślę, że podłożem mogła być jakaś postać afazji. A może tylko brak umiejętności wysławiania się młodego mężczyzny. Tak czy inaczej widziałam, że zмага się ze swoimi uczuciami. Nie mogłam za mocno go naciskać, Alex. Ale raz wyraził się w sposób, który wydał mi się wyjątkowo elokwentny. To było kilka tygodni temu. Przyszedł na sesję przybity. Zaczekałam, aż coś powie, a on w końcu uderzył w oparcie kanapy i krzyknął: „Do chuja z tym, doktor K! Kto na mnie spojrzy, mówi, że wyglądam w porządku, znajomi ciągle mi powtarzają, że wszystko jest ze mną OK, ale ja wiem, że wcale nie jestem w porządku”. Potem umilkł, zdyszany i zaczerwieniony, a kiedy znów się odezwał, mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. Powiedział: „To jak w tych filmach o androidach. Już nie jestem

sobą, siedzę w opakowaniu, w którym mnie przywieźli, ale ktoś popierdolił coś z kablami”. A potem powiedział: „Strasznie tęsknię za sobą”. I w końcu się rozplakał. Myślałam, że to przełom, ale w następnym tygodniu odwołał spotkanie, potem następne. Od tamtej pory widziałam go tylko raz i zachowywał się, jakby nic się nie stało. Chciał rozmawiać jedynie o sporcie i samochodach. Jakbyśmy zaczęli od zera. Ale tak to jest z młodymi mężczyznami.

– Czy mówił o swoim życiu towarzyskim? – spytałem.

– Towarzyskim w sensie dziewczyn?

– Tak.

– Miał dziewczynę, znał ją od liceum. Ale to już było skończone.

– Z powodu wypadku?

– Tak sędzę. Powtarzam, musiałam unikać tematów osobistych.

– Gavin bardzo strzegł swojego życia prywatnego.

– Bardzo.

– Wspominał o jakichś innych dziewczynach?

Pokręciła głową.

– Czy mogłaby pani zerknąć na zdjęcie dziewczyny, która została zabita razem z nim? To zdjęcie z kostnicy.

Zadrżała.

– Nie widzę sensu.

– Nie ma sprawy.

– Nie, niech je pan pokaże – powiedziała. – Muszę ogarnąć całość tego nieszczęścia.

Położyłem zdjęcie na szklanym blacie. Koppel nie próbowała go dotykać, tylko patrzyła. Jej usta straciły zdecydowany wyraz. Na jej skroni zapulsowała żyła. Szybko.

– Zna ją pani? – spytałem.

– Nigdy jej nie widziałam. Tylko sobie wyobrażam. Co oni czuli.

Rozdział 7

Mary Lou Koppel odprowadziła mnie do poczekalni i patrzyła, jak schodzę po schodach.

Kiedy zatrzymałem się i obejrzałem, z uśmiechem pomachała mi palcami.

Wróciwszy do domu, sprawdziłem wiadomości. Trzy prośby o pomoc od pacjentów i

Allison, informująca mnie, że zwolnił się jej wieczór; dawno nie byliśmy w kinie, czy mam dzisiaj czas? Zadzwoiłem do niej, zaproponowałem najpierw kolację i powiedziałem, że mogę być u niej o siódmej.

Potem włączyłem komputer, zalogowałem się na MED-LINE i przejrzałem artykuły o zamkniętych uszkodzeniach płatów przedczołowych. Przy poważnych urazach mózgow na prześwietleniu i USG widać było krwawienia i uszkodzenia. W mniej dramatycznych przypadkach szkody były jednak subtelniejsze i niewidoczne, jako rezultat tak zwanego uszkodzenia aksonalnego – mikroskopijnych przecięć włókien nerwowych. W takich przypadkach testy neurologiczne nic nie dawały, najlepszą diagnozę zapewniała ocena neuropsychologiczna. Narzędzia takie jak test sortowania kart Wisconsin czy test figury złożonej Reya-Osterreitha pozwalały zauważyć problemy z uwagą, myśleniem i przetwarzaniem informacji.

Pacjenci z urazami płatów przedczołowych czasami miewali kłopoty z panowaniem nad sobą. Mogli też stawać się impulsywni i obsesyjni.

Wydrukowałem kilka artykułów, przebrałem się w szorty, koszulkę i adidasy i poszedłem pobiegać. Biegałem długo i ostro, nie chcąc myśleć o krótkim, smutnym życiu Gavina Quicka.

Ale mimo to myślałem o nim i skupiłem się na docenianiu własnego. Wziąłem prysznic, przebrałem się i zadzwoniłem do Mila na posterunek. Zanim złapałem go wreszcie w samochodzie, zdążyłem dokładnie przemyśleć rozmowę z Mary Lou Koppel.

Współpracowała ze mną, ale tak naprawdę niewiele mi powiedziała. Może niewiele wiedziała. Gavin chodził na terapię trzy miesiące, domyślałem się, że na sporo sesji nie przyszedł. W połączeniu z jego oporami i omijaniem przez Koppel jego problemów kognitywnych leczenie nie mogło zdać się na wiele.

Podejście Mary Lou Koppel sprowadzało się do tego, co w środowisku określa się mianem „terapii wspierającej”. To nie zawsze jest zła rzecz. Czasami pacjent potrzebuje tylko kogoś, kto będzie mu przytakiwał i na czyim ramieniu można się wypłakać. Ale często „wspieranie” jest po prostu wymówką, że nie robi się nic więcej.

– Mówisz, że udzielała porad przez telefon? – powiedział Milo.

– Może naprawdę się starała. To ona siedziała w tym gabinecie z Gavinem, nie ja.

– Jakiś ty rycerski. Ale i tak jej nie lubisz.

– Nic do niej nie mam – powiedziałem.

– Musiałem się przestyszeć. Dowiedziałeś się, dlaczego tak cię zbyła za pierwszym razem?

– Od razu to poruszyła. Powiedziała, że pacjentka nie znosiła mnie, nie ufała mi i zabroniła cokolwiek mi mówić.

– Wbiła ci szpilę?

– Pacjentka złożyła na mnie skargę.

–Au.

– Skarga została oddalona.

– Jakżeby inaczej – powiedział Milo. – Co to było, zawiedziony czubek?

– Coś w tym rodzaju.

– Dupki.

Terapia wspierająca.

– W każdym razie – powiedziałem – tyle w temacie emocjonalnego stanu Gavina.

– Nie tak bystry jak kiedyś, do tego obsesyjne zachowanie.

– Wiedzieliśmy to już wcześniej.

– Ale to wciąż interesujące.

– Coś nowego w sprawie tożsamości dziewczyny? – spytałem.

– Nie. Dowodów też nie za wiele. Na kierownicy odciski palców Gavina, ale nic na

klamkach drzwi, ani z jego, ani z jej strony. Ktoś dokładnie wszystko wytarł. Czyli mamy do czynienia z zorganizowanym umysłem, zgadza się? Co pasowałoby do scenariusza z śledzeniem.

Na podjeździe dużo śladów opon. Niestety, za dużo i za bardzo się na siebie nakładają, więc technicy nie mogli zrobić odlewu. Można było się tego spodziewać, skoro bez przerwy kręcą się tam ludzie od nieruchomości. Żaden z sąsiadów niczego nie widział ani nie słyszał, nikt nie donosił o podejrzanych ludziach ani nieznanym samochodach. Kazałem gościom z przestępczości seksualnej przejrzeć dane, sprawdzić, czy jakiś Tomcio Podglądacz nie wyszedł ostatnio na warunkowe zwolnienie.

– Wiadomo coś więcej na temat kolejności zgonów?

– Koroner zgadza się z twoimi domysłami, że Gavin zginął pierwszy, ale nie może potwierdzić tego na sto procent, nie ma czym podeprzeć takiej tezy. Rozbryzgi krwi świadczą, że Gavin i dziewczyna siedzieli, kiedy dostali po kulce, a krew na piersi dziewczyny plus prawie czysta rana na jej głowie oznaczają, że żyła, kiedy ktoś przebijał ją żelaznym prętem. Objechałem okolicę w poszukiwaniu budów, chciałem sprawdzić, czy gdzieś zginęły jakieś pręty zbrojeniowe, ale nic. Zaczynam podejrzewać, że to był atak z zaskoczenia. Myślisz, że to ma jakiś sens?

– I to duży – powiedziałem. – Morderca jedzie za nimi, obserwuje, prawdopodobnie parkuje na Mulholland i dalej idzie pieszo. Czeka, widzi pieszczoty, podnieca się. Jeśli prezerwatywa należała do Gavina, on i dziewczyna zamierzali właśnie pójść na całość. W tym momencie facet

wychodzi z ciemności i... bum.

– Element zaskoczenia. Ani na niej, ani w niej nie było nasienia; chociaż była goła od pasa w górę, legginsy miała wciąż na sobie, więc to brzmi logicznie.

– Autopsja wykazała coś jeszcze?

– Jej ostatnim posiłkiem był Big Mac, kilka frytek i keczup. Około sześciu godzin przed śmiercią. W żołądku Gavina znaleźli makaron z bazylią i chleb czosnkowy. Pani Quick potwierdza, że zrobiła to na obiad. Ona i Gavin jedli razem na pięć godzin przed morderstwem.

Potem Gavin siedział trochę w swoim pokoju, a ona poszła do swojego i oglądała telewizję.

– Czyli to nie była randka z kolacją – powiedziałem. – Gavin i dziewczyna jedli osobno.

Spotkali się potem. O której Gavin wyszedł z domu?

– Sheila nie słyszała, jak wychodził. Zrobiła się w tym momencie bardzo zaczepna, powiedziała, że Gavin był dorosły i że nie chciała wisieć mu nad głową.

– Zważywszy na to, co przeszedł – dokończyłem.

– Aha – powiedział Milo. – Jeszcze raz pokazałem jej zdjęcie blondynki, bo nie wyglądała na tak przyćpaną. Ta sama odpowiedź – zupełnie obcy człowiek.

– Może Gavin dopiero co ją poderwał – zasugerowałem.

– Przyszło mi to do głowy i wysłałem detektywa, żeby pochodził po klubach ze zdjęciami ich obojga. Koroner przygotował próbki krwi i tkanki do testów DNA, ale jeżeli dane dziewczyny nie zostały zakodowane w oficjalnym banku danych, to raczej ślepy zaułek. Jak dotąd nic nie wskazuje, żeby figurowała w aktach osób zaginionych. To może oznaczać albo uciekinierkę z innego miasta, albo kogoś, kto uciekł z domu wiele lat temu. Koroner nie chce określać jej wieku, ale przyjrzałem się jej dokładnie i wygląda na trochę starszą od Gavina, może dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu lat. Ubrania miała dobrej jakości, była zadbana – makijaż, kolczyki, lakier do paznokci. Niezbyt ładne zęby, kilka ubytków z tyłu, ale te, które było widać,

proste. Farbowane włosy, ale to naturalna blondynka. Koroner twierdzi, że czuł od niej perfumy, uważa, że to Armani. Nie wyczułem tego na miejscu, a kiedy przyjechałem do kostnicy, dziewczynę było już czuć zupełnie innymi rzeczami. Ale ja to kupuję, doktor Quan ma dobry nos.

– Za porządna na prostytutkę? – spytałem.

– Na dziewczynę z ulicy tak. Była zbyt konserwatywnie ubrana na ulicznicę. Coś droższego? Może. Czemu?

– Nie byli na kolacji – powiedziałem. – Spotkali się tylko w jednym celu.

– Wyobrażasz sobie, że ktoś taki jak Gavin wie, jak znaleźć sobie taką ładną profesjonalistkę? Był ubrany jak studenciak, nie włożył garnitur od Zegny i nie zwiedzał hoteli z plikiem gotówki.

– Ale skoro wychowywał się w Beverly Hills, mógł znać te hotele. Mając dość pieniędzy w portfelu, mógłby negocjować.

– Znaleźliśmy w jego portfelu trzydzieści dolarów.

– A jeśli zapłacił dziewczynie z góry i to ona miała pieniądze? Jej torebka zniknęła. Jeśli tak, rabunek byłby dla mordercy czymś w rodzaju deseru.

– Call girl zabawiająca na świeżym powietrzu chłopaka z urazem mózgu – powiedział Milo.

– Tak bywa przy niektórych urazach. Problemy są mało widoczne. O ile ktoś nie wiedział, jaki Gavin był przedtem, mógłby się nie domyślić, że ma jakiś uraz. Zwykły, porządnie ostrzyżony chłopak w fajnym, małym, czerwonym kabrioletcie. Wiemy, że bywał impulsywny i kompulsywny i może to go skłoniło, żeby spróbować z profesjonalistką. Miał swoje potrzeby, zwłaszcza odkąd zerwał z Kaylą Bartell.

– Koppel powiedziała, dlaczego ze sobą zerwali?

– Założyła, że to był efekt wypadku. Mam wrażenie, że nie wiedziała za dużo o Gavinie.

- Profesjonalistka – powiedział Milo. – Młody, napalony facet, dziewczyna z nim zrywa, może zachwiało to jego wiarą w siebie... Możliwe.
 - Coś jeszcze – powiedziałem. – Jego opowieści o wyszukiwaniu brudów. A jeśli faktycznie zaczął realizować swoje brukowcowe marzenia? Jakie znasz lepsze miejsce do podglądania sławnych ludzi niż drogi hotel?
 - Zaczął szukać gwiazd filmowych i poderwał profesjonalistkę?
 - Młodzieńcza porywczność, podbita urazem mózgu.
 - W porządku – powiedział. – Sprawdzę konsjerżów we wszystkich lepszych hotelach Beverly Hills. Nie, żeby którykolwiek się przyznał, że wpuszcza do środka luksusowe dziwki. Zapytam też tamtejszy departament, czy ją znają, pokażę też zdjęcie naszej obyczajówce. Na razie to tylko dobrze ubrana blondynka.
 - Cokolwiek z jej ubrania da się wyśledzić?
 - Bluzka DKNY, majtki i stanik push-up Calvin Klein, na legginsach nie było metki. Dobre buty. Doskonałe buty – Jimmy Choo. Z tego, co słyszałem, to poważna inwestycja. Jimmy Choo ma sklep w Beverly Hills, przy Little Santa Monica, więc tam pojechałem. Mówimy tu o cenach rzędu pięciuset, sześciuset dolarów za obcas i pasek. Nikt nie rozpoznał jej jako klientki, ale kiedy opisałem but, sprzedawczyni od razu wiedziała, o co chodzi. Model sprzed dwóch sezonów, można go kupić na wyprzedkach w Neimanie, Barneysie, gdziekolwiek.
 - Drogie buty – powiedziałem. – Zadbana. Można by pomyśleć, że kogoś takiego ktoś będzie szukał.
 - Jasne, ale jeśli dziewczyna mieszkała sama, chwilę zajmie, zanim ktoś zauważy, że zniknęła. Wygląda na to, że czeka nas długie, nudne szukanie. Dzięki za pomoc, Alex. Jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać.
- Zabrałem Allison spod jej gabinetu. Miała rozpuszczone włosy. Splotła palce z moimi i

mocno mnie pocałowała. Żadne z nas nie było głodne, więc najpierw postanowiliśmy iść do kina, a zjeść później. W Aero, kilka przecznic dalej na Montana grali stary film braci Coen Śmiertelnie proste. Allison go nie widziała. Ja widziałem, ale zasługiwał na obejrzenie po raz drugi.

Wyszliśmy z kina po dziewiątej i pojechaliśmy do Hakata na Wilshire, gdzie usiedliśmy w budce z dala od plakatów z gwiazdami rocka i wesołego gwaru baru sushi. Zamówiliśmy sake i sałatkę ze skórek łososia, steki teriyaki i mieszanką saskimi.

Spytałem Allison, jak leczyłaby Gavina Quicka.

– Kiedy dostają kogoś z urazem głowy, zazwyczaj są to ludzie po komplecie badań neuropsychologicznych – powiedziała. – Jeżeli ich nie mieli, dostają na nie skierowanie. Jeśli testy wykażą, co konkretnie jest nie tak, zalecam jakąś celową terapię. Kiedy to już załatwię, koncentruję się na mobilizowaniu sił pacjenta.

– Terapia wspierająca.

– Czasami potrzebują czegoś więcej. Najtrudniej im nauczyć się radzić sobie z nowym otoczeniem. Ale oczywiście, wsparcie jest bardzo ważne. To bywa trudne, Alex. Dwa kroki w tył na jeden do przodu, mnóstwo wahań nastroju i nigdy nie wiadomo, jaki będzie efekt końcowy. Generalnie ma się do czynienia z człowiekiem, który wie, że nie jest taki jak kiedyś, i nie potrafi się zmienić.

– Gavin powiedział terapeutce, że brakuje mu samego siebie.

– Dość elokwentnie to wyraził.

Nalałem nam obojgu sake.

– Miła, wesoła randka, co?

Allison uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po rękę.

– To ciągle randki? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, spytała: – Skąd te wszystkie pytania o metodę, kochanie? Jego stan psychiczny ma jakiś związek z morderstwem?

– Jego stan psychiczny nabrał znaczenia, bo Milo zaczął się zastanawiać, czy Gavin przypadkiem nie zdenerwował niewłaściwej osoby. Ale ja sędzę, że to dziewczyna była celem, a Gavin miał po prostu pecha.

– Znów.

Zajęliśmy się jedzeniem. Chwilę później zapytała:

– Kim była terapeutka?

– Kobieta nazwiskiem Mary Lou Koppel. Twierdziła, że zamierzała otworzyć go emocjonalnie. Wygląda na to, że nie poszło jej zbyt dobrze.

Allison odstawiła czarkę.

– Mary Lou.

– Znasz ją?

Kiwnęła głową.

– To dziwne.

– Co?

– Już raz ktoś zamordował jej pacjenta.

Rozdział 8

Odsunąłem talerz z jedzeniem.

– Spotkałam kilka razy Mary Lou – powiedziała Allison. – Na konferencjach, sympozjach.

Raz brałyśmy razem udział w dyskusji panelowej – kiedy byłam jeszcze na tyle głupia, żeby brać udział w dyskusjach panelowych. Najbardziej zapamiętałam jej czerwone ubrania i uśmiech – zawsze się uśmiechała, nawet jeśli było to niestosowne. Jakby szturchał ją z tyłu jakiś medialny trener. W dyskusji miała dużo do powiedzenia, ale nie umiała tego podeprzeć żadnymi danymi.

Najwyraźniej się nie przygotowała, polegała na swojej charyzmie.

– Nie jesteś jej fanką.

– Odrzucało mnie od niej, Alex. Ale zastanawiałam się, czy nie jestem po prostu zazdrosna. Bo wszyscy wiedzieli, jak dobrze sobie radziła zawodowo. Chodziły słuchy, że brała pięćdziesiąt procent więcej niż my wszyscy i mogła sobie pozwolić na wybieranie pacjentów. Morderstwo miało miejsce ponad rok temu. Byłam na konwencji Zachodniego Towarzystwa Psychologicznego w Vegas, a Mary Lou miała wygłosić odczyt na temat psychologii w mediach, który odwołano w ostatniej chwili. Nie zamierzałam na niego iść, ale jeden z moich przyjaciół miał jej wysłuchać – Hal Gottlieb. Poszliśmy wtedy na kolację z paroma innymi osobami i Hal żartował, że stracił sporo pieniędzy w blackjacka i że zamierza pozwać za to Mary Lou Koppel. Bo odwołała odczyt, więc miał wolny czas i zaszedł do kasyna. Potem powiedział nam, że odwołała go, bo któryś z jej pacjentów został zamordowany. Zapadła długa cisza. W końcu ktoś powiedział coś o złej reklamie, a ktoś inny, że dla Mary Lou nie ma czegoś takiego, jak zła reklama, bo wszystko umie obrócić na swoją korzyść.

– Popularna dziewczyna – powiedziałem.

– My, lekarze umysłów, umiemy być bardziej złośliwi od innych. Gdyby tylko nasi pacjenci o tym wiedzieli.

– Pamiętasz jakieś szczegóły morderstwa?

– Z jakiegoś powodu pamiętam, że ofiara była kobietą. Ale możliwe, że to sobie wymyśliłam, naprawdę nie mam pewności, Alex.

– Ponad rok temu.

– Dwa kwietnie temu, po Wielkanocy. To daje czternaście miesięcy.

– Kiedy sprawdzałem Mary Lou w Internecie, nie trafiłem na żadną wzmiankę o morderstwie

– powiedziałem. – Ale mniej więcej w tym czasie zaczęła udzielać wywiadów w kwestii reformy więziennictwa, więc może to zbrodnia wzbudziła jej zainteresowanie tą kwestią.

– Możliwe.

– W niektórych wywiadach obok niej pojawiał się jeden z jej partnerów, gość nazwiskiem Albin Larsen. Znasz go?

Pokręciła głową i szturchnęła sałatkę pałeczką.

– Dwa morderstwa w jednej praktyce. Jeśli praktyka jest dość duża, to chyba nie jest takie niezwykle.

– A Mary Lou miała wielką.

– Tak słyszałam.

– Cóż – powiedziałem – przynajmniej daje to do myślenia. Przekażę Milowi. Dzięki.

– Zawsze się cieszę, jeśli mogę pomóc.

Odgarnęła z twarzy falę czarnych włosów i skubnęła dolną wargę.

Nachyliłem się nad stołem i pocałowałem ją. Ujęła moją twarz obiema rękami, przycisnęła swoje usta do moich, puściła mnie.

Nalałem jeszcze sake.

– Dobrze – powiedziała Allison.

– Najlepszy gatunek.

– Chodziło mi o to, że jestem tu z tobą.

– Och. – Stuknąłem się pięścią w czoło.

Roześmiała się i dotknęła brylantowego kolczyka.

Mimo mojej skłonności do błyskotek, nie potrzebuję znów aż tak wiele do szczęścia.

Żyjemy, nasze mózgi działają prawidłowo – to dobry początek, nie sądzisz?

Następnego ranka skończyłem raport w sprawie opieki i chcąc uciec z domu, pojechałem do sądu West Los Angeles, gdzie zostawiłem dokumenty w gabinecie sędziego. Posterunek policji był niedaleko, więc poszedłem tam pieszo. Dyżurny cywil znalazł mnie i wpuścił bez wpisywania do książki gości.

Wszedłem na schody i minąłem dużą salę detektywów wydziału zabójstw-napadów, gdzie Milo pracował kiedyś razem z innymi. Poszedłem dalej korytarzem.

Spędził w tej sali ponad piętnaście lat. Nigdy nie był „swój” przez swoje preferencje seksualne i samotnicze skłonności. Na początku spotykał się z wrogością, głównie ze strony mundurowych i zwierzchników, ostatnio to jednak ustało, a detektywi nigdy się tak nie zachowywali.

Detektywi są zbyt inteligentni i zbyt zapracowani, żeby zawracać sobie głowę takimi bzdurami. W ciągu ostatnich kilku lat wysoki współczynnik rozwiązanych spraw zaskarbił Milowi ich milczący szacunek.

Nieco ponad rok temu jego życie się zmieniło. Idąc tropem przerażającej, od dwudziestu lat zaniechanej zbrodni seksualnej, odkrył pewne osobiste sekrety szefa policji. Szef, teraz zdymisjonowany, zaproponował mu rozwiązanie – Milo, w zamian za to, że nie zrukuje ich obu, zostanie awansowany na porucznika, ale bez papierkowej roboty, która wiąże się z tym stopniem. Wygnany do własnego gabinetu, z dala od innych detektywów, został przypadkiem specjalnym – wolno mu było wybierać swoje sprawy i miał zbytnio się nie wychylać. Gdyby potrzebował pomocy, mógł zatrudniać młodszych detektywów. Poza tym był sam.

Przenoszenie i dokooptowanie. Władze robią to bez przerwy. Milo wiedział, że jest manipulowany, i nienawidził tego. Rozważał złożenie rezygnacji – przez kilka chwil. Uciekł od samozniszczenia, wmówił sobie, że odosobnienie może oznaczać wolność. Wyższa pensja też nie była zła, a dopóki szef był u władzy, dopóty posada była pewna.

Teraz szefa nie było, a jego następcy jeszcze nie wybrano. Zamiar ubiegania się o tę funkcję zgłosiło dziesięciu kandydatów, w tym zastępca dyrektora z opieki społecznej, który dopisał się do listy po tym, jak udzielił wywiadu pewnej gazecie z San Francisco, w którym przyznał się, że jest homoseksualistą, i przedstawił mężczyznę, z którym był od trzydziestu lat.

Spytałem Mila, czy to zmieniliby cokolwiek w departamencie.

Zaśmiał się.

– Kiedy Berger trafił na listy, wszyscy przewrócili oczami tak głośno, że słyszeć ich było aż w Pacoima. Szanse na wygraną ma mniej więcej takie, jak ja na wyhodowanie drugiej trzustki.

– Mimo to. Sam fakt, że się ujawnił.

– Tylko jeśli chodzi o opinię publiczną. Wszyscy w departamencie wiedzieli o nim od lat.

– Och – powiedziałem.

– Czasy są inne, niż kiedy ja zaczynałem – powiedziałem. – Nikt się nie ogląda, nikt nic nie mówi, nikt nie zostawia świństw w szafkach. Ale zasada, psychodynamika, nigdy się nie zmienia, prawda? Moim zdaniem ludzie są tak po prostu zbudowani, to tkwi w naszym DNA. My – oni, ktoś musi być w środku, ktoś musi być na zewnątrz. Gdyby większość świata była taka jak ja, hetero byliby naznaczeni. To pewnie jakiś efekt ewolucyjny, ale nie umiem tego rozgryźć.

Podzielisz się ze mną jakąś mądrością?

– Zostawiłem pigułki mądrości w samochodzie.

Znów się zaśmiał, w ten pozbawiony wesołości sposób, w którym jest mistrzem.

– Dzikość rządzi. Nigdy nie zabraknie mi pracy.

Drzwi do gabinetu były otwarte. Milo siedział za biurkiem i czytał akta. Pomieszczenie nie miało okien, ledwie mieściło jego jednego. Ściany były gołe, a na biurku stało zdjęcie Mila i Ricka razem. Łowią ryby, gdzieś w Kolorado. Obaj w kraciastych koszulach, wyglądają jak dwaj traperzy. Przez większą część tej wyprawy Milo cierpiał na chorobę wysokościową.

Miał włączony komputer, a jako wygaszacz ekranu rekina ścigającego płetwonurka. Za każdym razem, kiedy żarłoczne szczęki ryby skubały płetwy nurka, ten kopał ją w pysk.

Unoszący się na ekranie napis głosił: ŻADEN DOBRY UCZYNEK NIE UCHODZI NA SUCHO.

Zastukałem w futrynę.

– Tak – mruknął Milo, nie podnosząc wzroku.

– Ciebie też miło widzieć. Okazuje się, że Gavin Quick nie był pierwszym pacjentem Koppel, którego spotkał przedwczesny koniec.

Milo spojrzał na mnie, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. Jego wzrok nabrał ostrości.

Akta, które czytał, dotyczyły Gavina. Zamknął je.

– Co takiego?

Powiedziałem mu.

Siedziałem na zapasowym krześle. Nasze nosy dzielił metr. Nigdzie nie widziałem cienkich cygaretek Mila, ale jego ubranie cuchnęło tytoniem.

– Nieco ponad rok temu – powiedział.

– Allison nie jest pewna, ale sądzi, że ofiara była kobietą. Tyle mogę ci powiedzieć.

– Wiesz co? Departament w końcu wkuśtykał w cyberprzestrzeń. – Postukał w monitor.

Rekin i nurek zniknęli, odsłaniając kilka chaotycznie rozmieszczonych ikonek. Ekran był zamglony i pęknięty w rogu. – Przynajmniej teoretycznie. Ten mały drań lubi się zawieszać.

Dostaliśmy go od jakiegoś prywatnego liceum w Brentwood, bo dzieciaki nie mogły już z niego korzystać.

Zaczął pisać. Komputer zahurkotał jak pralka i powoli coś wczytał. Proszę, mój chłopcze.

Wszystkie zabójstwa na terenie jurysdykcji departamentu w ciągu ostatnich pięciu lat, z nazwiskiem ofiary, datą, wydziałem i statusem. Pewnie nie będzie nadziewania, bo tego już szukałem. Zobaczmy, co da nam „kwiecień”... Przewinał ekran. Mam tu sześć... siedem kobiet.

Pięć spraw zamkniętych, dwie w toku. Zaczniemy od Westside, bo Koppel ma praktykę na Westside. Co ważniejsze, wystarczy, że przejdę kilka metrów i mam dostęp do teczek.

Przejrzałem zawartość ekranu. Teczka. Wygląda na to, że w West Los Angeles jest tylko jedna.

To by upraszczało sprawę, co?

I uprościło.

Flora Elizabeth Newsome, lat trzydzieści jeden, oczy piwne, włosy ciemne, metr sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt pięć kilo. Nauczycielka trzeciej klasy w Canfield Street School, znaleziona w niedzielny poranek w swoim mieszkaniu w Palms, zadźgana i zastrzelona. Nie żyła od co najmniej dwunastu godzin.

Doktor Mary Lou Koppel została przesłuchana przez detektywa drugiej klasy Alphonse'a McKinleya i detektywa drugiej klasy Lorraine Ogden trzydziestego kwietnia. Doktor Koppel nie miała do powiedzenia nic ponad to, że leczyła Florę Newsome na „stany lękowe”.

Nierozwiązane.

Przeczytałem raport z autopsji.

– Zadźgana i postrzelona z dwudziestki dwójki. Byłoby interesujące, gdyby zgadzały się wyniki testów balistycznych. A od zadźgania do przebiccia niedaleka droga.

Milo odchylił się na oparcie swojego fotela.

– Zawsze mogę liczyć, że ożywisz mój żałośnie nużący żywot.

– Myśl o tym jak o terapii – powiedziałem.

Detektyw Alphonse McKinley przeniósł się do Wydziału Metro w Parker Center. Detektyw

Lorraine Ogden pracowała na tym samym korytarzu. Próbowwała zrozumieć coś z bełkotu, którym raczył ją komputer.

Miała około trzydziestu pięciu lat, była dużą, barczystą kobietą o krótkich, ciemnych, przyprószonych

siwizną

włosach

i

wyrażającej

determinację

szczęce.

Nosiła

pomarańczowo-kremową bluzkę we wzory paisley, brązowe spodnie i kremowe pantofle na płaskim obcasie. Na jednej dłoni miała obrączkę i półkaratowy brylant, na drugiej pierścionek z liceum.

– Milo – powiedziała, ledwie podnosząc wzrok. Ekran jej monitora zapełniały rzędy cyferek.

– To coś mnie nienawidzi.

– Chyba właśnie włamałaś się do szwajcarskiego banku.

– Raczej nie, nie widzę swastyk. Co jest?

Milo mnie przedstawił.

– Widywałam tu już pana – powiedziała Lorraine Ogden. – Jakiś psychologiczny problem?

– Zawsze – odparł Milo – ale dzisiaj chodzi nam o poważne sprawy.

Opowiedział jej o morderstwie na Mulholland i jego podobieństwie do sprawy Flory Newsome.

– Ta sama psycholog – powiedziała. – To chyba je łączy.

– We wszystkich trzech przypadkach użyto dwudziestki-dwójki. Nasza ofiara została przebita, twoja zadżgana.

– Jak przebita?

– Żelazny pręt przez mostek.

– Flora była paskudnie pokrojona. Miała też nóż wbity w pierś. – Ogden zacisnęła zęby i jej szczęka zrobiła się jeszcze szersza. – Do niczego w jej sprawie nie doszłam, byłoby miło, gdyby tobie się udało.

– Czytałem akta, ale jeśli masz chwilę czasu, wolałbym, żebyś mi o tym opowiedziała,

Lorraine.

Ogden spojrzała nieprzyjaźnie na komputer i wyłączyła go. Mocno wcisnęła przycisk, całe biurko się zatrzęsło.

– Mój syn powtarza mi, żeby nie kończyć pracy z komputerem w ten sposób. Twierdzi, że od tego w systemie robią się śmieci. Ale i tak nic poza śmieciami nie udało mi się z niego wydusić.

Wstała. Metr osiemdziesiąt w pantoflach. We trójkę wyszliśmy na korytarz.

– Ile lat ma pani syn? – spytałem.

– Dziesięć, ale umyślowo trzydzieści. Uwielbia matematykę i różne techniczne rzeczy.

Wiedziałyby, co robić z tym beznadziejnym rzęchem. – Zwróciła się do Mila: – Chyba konferencyjna A jest pusta. Pobawmy się w déjà vu.

Rozdział 9

Konferencyjna A była prostokątnym, niskim pomieszczeniem zastawionym składanymi krzesłami i stołem, tak jaskrawo oświetlonym, że zapragnąłem się do czegoś przyznać. Na oparciach krzeseł widać było naklejki z wyprzedaży w Wal-Marcie. Stół był zawalony pustymi pudełkami po pizzy. Milo zepchnął je na drugi koniec i usiadł. Lorraine Ogden i ja zajęliśmy miejsca po jego bokach.

Lorraine wzięła akta Newsome, przerzuciła kilka stron, zatrzymała się przy zdjęciach z autopsji, dłuższą chwilę wpatrywała się w błyszczące zdjęcie dziewięć na trzynaście.

– Biedna Flora – powiedziała. – To było jej zdjęcie z rozdania dyplomów. Cal State Los Angeles, dostała tam papiery nauczyciela.

– Miała trzydzieści jeden lat, kiedy zginęła – powiedział Milo. – To stare zdjęcie?

– Nowe. Miała przerwę, pracowała jako sekretarka między szkołą średnią a studium nauczycielskim, zrobiła dyplom zaledwie rok wcześniej. Kończyła próbny okres w szkole.

Dyrektor ją lubił, dzieci uwielbiały, miała tam zostać na etacie.

Paznokciem podważyła brzeg zdjęcia.

– Dała nam to jej matka, bardzo wyraźnie podkreślała, że możemy je zatrzymać. Trochę się przywiązała do mnie i Ala. Sympatyczna starsza pani, wierzyła w nas, nigdy nie zawracała głowy, dzwoniła tylko raz na jakiś czas, żeby nam powiedzieć, że jest pewna, iż rozwiążemy tę sprawę. – Rozdęła nozdrza. – Nie odzywała się chyba od pół roku. Biedna pani Newsome. Evelyn Newsome.

– Mogę? – spytałem, a ona przesunęła teczkę w moją stronę.

Za życia Flora Newsome była atrakcyjna w schludny, nierzucający się w oczy sposób.

Szeroka twarz, gładka cera, ciemne włosy do ramion i żywe, jasnoniebieskie oczy. Do zdjęcia dyplomowego założyła włochaty, biały sweter i cienki złoty łańcuszek z krzyżykiem. Podpis na tyle zdjęcia brzmiał: *Dla mamy i taty. Wreszcie mi się udało?* Niebieski atrament, piękne pismo.

– Mama i tata – powiedziałem.

– Tata zmarł dwa miesiące po obronie Flory. Z mamą też nie było najlepiej, miała poważny artretyzm. Sześćdziesięciolatka, ale wyglądała na siedemdziesiąt pięć. Po tym, jak Flora została zabita, wyprowadziła się z domu i zamieszkała w domu starców. Jeśli coś takiego nie zamienia człowieka w staruszkę z prędkością światła... – Zmarszczyła czoło. – Co mogę wam jeszcze powiedzieć... Chłopak Flory znalazł ją o jedenastej trzydzieści rano, w niedzielę. Byli umówieni na obiad, wybierali się do Bobby J's w Marina. – Prychnęła. – Zabawne, że to pamiętam. Sprawdzaliśmy, restauracja potwierdziła rezerwację. Chłopak przychodzi, puka, nikt nie otwiera. Próbuje dalej, w końcu dzwoni do Flory z komórki, ciągle nic. Dobija się do okna, próbuje zajrzeć do środka, ale zasłony wszystko zasłaniają. Idzie po gospodarza. Nie chciał go wpuścić – widywał go wcześniej, ale tak naprawdę nie znał. Chłopak zagroził, że wezwie policję i gospodarz zgadza się zajrzeć do mieszkania. Minutę później rzyga w krzakach, a chłopak dzwoni

na 911, wzywa ambulans. Nie, żeby była jakaś szansa. Koroner stwierdził, że zabito ją około północy.

Wskazała teczkę. Przysunąłem ją do niej, a ona znów przejrzała zawartość.

– Rany postrzałowe i klute. Naliczyliśmy trzydzieści pięć, gruba przesada. I tak, jest jedna, tuż pod mostkiem. Koroner powiedział, że morderca szarpał nożem. Mnóstwo krwi. Duże ostrze, jednosieczne, coś jak rzeźniczy nóż. Flora miała komplet noży w kuchni, taki drewniany klocek z otworami na każdy nóż, i największego nie było. Uznaliśmy, że morderca zabrał go na pamiątkę albo żeby ukryć dowody.

– Nasz zostawił pręt w dziewczynie – powiedział Milo.

– Uroczo. I co, myślicie, że może tu być jakiś związek?

Milo wzruszył ramionami.

– Dwie osoby zamordowane w obrębie jednej praktyki, podobieństwa sposobie zamordowania.

– Oboje spotkali tego samego czubka w poczekalni?

– To całkiem niezły scenariusz, Lorraine.

Ogden obróciła obrączkę na palcu.

– Żałuję, że nie mogę wam powiedzieć nic więcej o Florze, ale ta sprawa od początku była pokręcona. Ofiara bez dziwactw, wszyscy ją lubili, żadnych znanych wrogów. Od razu śmierdziało mi to psychopatą. Problem w tym, że to był ostrożny psychopata. W salonie były odciski palców. Flory, jej chłopaka, rodziców, gospodarza – to osiemdziesięcioletni stary dziwak z kataraktami, więc nie ma co nawet próbować go podejrzewać. Trochę odcisków palców Flory w sypialni, głównie w okolicy szafy. Ale nic na łóżku ani obok niego. To samo w kuchni i łazience. Ktoś to wytarł. Zwłaszcza łazienkę. Na umywalce ani smużki, żadnych włosów w wannie ani na mydle. Kazaliśmy technikom sprawdzić rury i faktycznie, znaleźliśmy krew Flory,

poza tym po luminolu całe mieszkanie wyglądało jak rzeźnia, wszędzie ślady wycierania we krwi, według koronera to ktoś praworęczny. W kuchni było kilka kieliszków i tylko jeden był tak piszcząco czysty, jakby ktoś go przepuścił przez zmywarkę. Technicy potwierdzili, że na dnie są kryształki soli ze zmywarki.

– Morderca zrobił swoje, posprzątał, napił się.

– Dokładny – powiedziała Ogden. – Ale w tym, jak ją załatwił, nie było żadnej finezji.

Postrzelił ją, kiedy już umarła, ale żyła przez przynajmniej część dźgania nożem. Dużo krwi tętniczej, widzieliście zdjęcia. Zostawił ją leżącą na plecach z rozłożonymi nogami. Nasza teoria jest taka, że zaskoczył ją we śnie. Przynajmniej taką mam nadzieję. Wyobrażacie sobie, że się w trakcie czegoś takiego budzicie? Że wszystko rozumiecie?

Zamknęła teczkę.

– Tyle krwi – powiedział Milo – i żadnych śladów stóp.

– Ani jednego. Gdzie jest OJ.* [Prawdopodobnie chodzi o OJ. Simpsona, byłą gwiazdę futbolu amerykańskiego. W 1994 roku oskarżono go o zamordowanie żony i jej przyjaciela (przyp. red.)], kiedy się go

potrzebuje? Ten drań był ostrożny, panowie. Tyle w temacie starej teorii przeniesienia.

Znaleźliśmy skrawek neoprenu, czarnego plastiku, na rogu nocnego stolika Flory. Wyglądał jak oderwany z większego kawałka. Al i ja zastanawialiśmy się, czy nie przyniósł ze sobą worków na śmieci albo jakiejś folii. Laboratorium powiedziało, że skład pasuje do przemysłowych plandek, jakich używają na budowach. Więc może mamy do czynienia z kimś, kto pracuje w budownictwie. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy na tym skrawku odcisk palca; choćby fragment. – Wyszczrzyła się W uśmiechu. – Jak w telewizji.

– Zero – powiedział Milo.

– Zero do kwadratu. Byłam tak sfrustrowana, że wypełniłam nawet jeden z tych formularzy sporządzania profilu FBI i wysłałam go do Quantico. Cztery miesiące później dostałam oficjalną

odpowiedź od federalnych. Biały mężczyzna, zorganizowany psychopata, prawdopodobnie w wieku między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat, budownictwo brzmiało rozsądnie, ale nie mieli żadnej pewności, nie powoływać się na nich w żadnym razie.

– Nasze podatki na nas pracują.

– Codziennie.

– Pręt ogrodzeniowy z kutego żelaza mógłby ograniczyć liczbę fachów budowlanych – powiedziałem.

– Morderczy kowal – powiedziała Ogden. – Jasne, czemu nie? A może zwinął go tylko z placu budowy i naostrzył. Jeśli chodzi o leczenie... – Zerknęła na mnie. – ...Przepraszam, terapię, dowiedzieliśmy się o niej dopiero po tym, kiedy odkryliśmy, że raz na dwa tygodnie z jej konta są ściągane opłaty. Sto dolarów, dużo jak na kogoś, kto zarabia tygodniowo czterysta. Kiedy zapytaliśmy o to jej matkę, była zaskoczona. Flora nigdy jej nie mówiła, że leczy się na cokolwiek. Al i ja zadzwoniliśmy do doktor... jak ona się nazywała...

– Koppel.

– Właśnie, doktor Koppel. Rozmawialiśmy z nią przez telefon, powiedziała, że widziała się z Florą tylko kilka razy, co się zgadzało z książeczką czekową. Sześć płatności w ciągu trzech miesięcy. Nie chciała wchodzić w szczegóły; zasada poufności. Powiedzieliśmy jej, że nieżyjący tracą ten przywilej, a ona na to, że wie, ale że nie ma o czym mówić. Wydawała się solidnie wstrząśnięta, powiedziała, że właśnie przyleciała z konferencji. Coś kręci?

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział Milo. – Jak powiedziałaś, mordercą mógł być któryś z jej pacjentów. Nie wiesz, dlaczego Newsome poszła na terapię?

– Koppel mówiła coś chyba o „problemach z przystosowaniem”. Coś w tym rodzaju. Wiem, że zaprzeczyła, jakoby coś było nie tak z osobowością Flory. Spytaliśmy o jej związki z dziwakami albo bandziorami, powiedziała, że Flora nigdy o niczym takim nie mówiła. Podała

nam diagnozę – nieprzystosowanie...

– Nieprzystosowanie na podłożu lękowym? – odpowiedziałem.

– Chyba tak. Generalnie chodziło o to, że Flora żyła w stresie – próbny okres w szkole, świadomość, że będzie nauczycielką i odpowiedzialność, jaka się z tym wiązała. Miała też trudności finansowe, bo nie pracowała, kiedy wróciła do szkoły.

– Trudności finansowe – powiedział Milo – ale wykładała sto dolców co dwa tygodnie dla Koppel.

– Koppel powiedziała, że dała jej zniżkę. Obniżyła stawkę o połowę i zgodziła się spotykać z Florą co dwa tygodnie, zamiast co tydzień.

– Poszła jej na rękę.

– Generalnie tak – powiedziała Ogden. – Koppel powiedziała, że jedno spotkanie w tygodniu to minimum, jeśli terapia ma dać efekty, ale dla Flory zrobiła wyjątek. Czy to prawda, doktorze? Istnieje takie minimum?

– Nie.

– Cóż, tak na to patrzyła Koppel. – Ogden przykryła jedną dłoń drugą. Była potężną kobietą, ale ręce miała delikatne jak pianista. – Bardzo podkreślała to, jak potraktowała Florę. Pamiętam, jak sobie pomyślałam, że mówiła głównie o sobie, a nie o pacjentce.

– Ma spore ego – powiedział Milo. – Występuje w radiu.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ogden. – Słucham tylko Fali, przyjemny, spokojny jazz po całym dniu krwi i zła. Rozmawialiście już z nią?

– Doktor Delaware rozmawiał. – Milo spojrzał na mnie.

Streściłem rozmowę.

– Wygląda na to – powiedziała Ogden – że pan też niewiele się dowiedział.

– Może ona niewiele wie – stwierdził Milo. – Doktor Delaware zastanawia się, czy Koppel

nie potraktowała naszej ofiary trochę zbyt niedbale. Tak czy inaczej spróbujemy z nią pogadać jeszcze raz. To za duży zbieg okoliczności. Powinniśmy wiedzieć o Florze coś jeszcze?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Nie braliście pod uwagę jej chłopaka?

– Brian Van Dyne – powiedziała Ogden. – Nauczyciel z tej samej szkoły, kilka lat starszy od Flory. W noc morderstwa poszedł na mecz Lakersów z dwoma kolegami, potem na kolację, później zrobili rundę po barach. Wszystko potwierdzone. Kumple podrzucili go do domu w Santa Monica o drugiej w nocy. Nie podejrzewałam go, ale i tak sprawdziliśmy faceta wykrywaczem kłamstw i parafiną, na wszelki wypadek. Na rękach nie miał osadu z prochu, tyle że testu nie uznano by za ważny, bo minęło zbyt dużo czasu. Wykrywacz przeszedł śpiewająco.

– Dlaczego go pani nie podejrzewała? – spytałem.

– Wydawał się zdruzgotany śmiercią Flory, naprawdę zdruzgotany. Przyjaciele mówili, że na meczu i potem miał świetny humor. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzili, że między nim a Florą wszystko się dobrze układało. Samo w sobie by mnie to nie zniechęciło, ale z wykrywaczem? Nie ma mowy. To nie on.

– Wiedział coś o terapii Flory?

– Nie. Tak samo jak jej matka nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle miało miejsce.

– Sesje co dwa tygodnie – powiedziałem. – Łatwo coś takiego ukryć.

– A Flora z całą pewnością to ukrywała. Van Dyne’owi mówiła, że idzie na aerobik. Co miało sens, zapisała się do klubu sportowego na Sepulveda. Step, aerobik i inne takie. Al i ja przesłuchiwalismy ludzi, którzy tam pracowali, zastanawialismy się, czy nie znalazła tam sobie jakiegoś napakowanego łobuza, żeby zrównoważyć porządnego Briana. Ale nie, trzymała się sama, przychodziła tylko ćwiczyć.

– Trzymała swoją terapię w tajemnicy – powiedziałem.

- To mnie wcale nie zaskakuje, doktorze. Kiedy któryś z naszych kolegów dostaje skierowanie do psychologa, to albo je lekceważy, albo, jeśli pójdzie, nikomu o tym nie mówi.
- Piętno.
- Cały czas. Flora poważnie myślała o Brianie Van Dyne. Jestem w stanie zrozumieć, że nie chciała, żeby on albo jej szef w szkole wiedzieli, że ma problemy.
- Jak długo się z nim spotykała?
- Pół roku.
- Trudno to nazwać otwartą komunikacją – powiedziałem – ale może pani mieć rację. Zastanawiam się tylko, czy powód, dla którego zdecydowała się na leczenie, nie był bardziej piętnujący niż stres w pracy.
- Jakaś głęboko skrywana, mroczna skaza charakteru? Kto wie? Może doktor Koppel nam to zdradzi.
- Jeśli nasza sprawa jest powiązana z twoją – powiedział Milo – możliwe, że trafiłaś w samo sedno, Lorraine. Jakiś wariat, który chodził do Koppel, przyuważył Florę i naszego Gavina w poczekalni i wyczuł zapach ofiary.
- Mężczyzna i kobieta? – spytała Ogden. – A ta dziewczyna, która zginęła z waszym chłopakiem?
- Jeszcze niezidentyfikowana.
- Ogden zmarszczyła brew.
- Nie była chora na głowę?
- Doktor Koppel zaprzeczyła na pytanie, czy ją znała – powiedziałem.
- O ile to cokolwiek warte.
- Wyczuwasz kłamczucha? – spytał Milo.
- Nie aż tak, ale wygląda na to, że w rozmowie z nami obojgiem wykręcała się, jak mogła, a

zbieg okoliczności sugeruje rzeczy oczywiste. Odezwijcie się do mnie, kiedy już z nią pogadacie.

Coś jeszcze?

– Lorraine – powiedział Milo – chciałem przesłuchać niektórych z twoich świadków, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mamę, chłopaka, ludzi, z którymi Flora pracowała.

– Rozmawiaj z kim chcesz, najważniejsze to zamknąć tę sprawę. Znasz Ala McKinleya.

– Porządny facet – powiedział Milo.

– Bystry – dodała Ogden. – Prawdziwy buldog.

Wzięła głęboki oddech.

– Naprawdę się przy tym napracowaliśmy. Przeszukiwaliśmy bazy danych gwałcicieli, sprawdzaliśmy byłych skazańców, którzy pracują na budowach. To przerażające, ilu tych facetów kładzie dachy albo robi za dniówkę. Ale to nic nie dało. Byłam tak sfrustrowana, że miałam nadzieję na następnego trupa, liczyłam, że tym razem może mielibyśmy konkretne ślady, którymi moglibyśmy się zająć. Ładnie, nie? Chciałam, żeby ktoś jeszcze zginął. Neopren... Użył jej noża, ale przyszedł przygotowany z plastikiem. Mamy do czynienia z drapieżnikiem. A oni nie przestają ot, tak. Prawda, doktorze?

Kiwnąłem głową.

– Może ten nie przestał – powiedział Milo.

Rozdział 10

Canfield School zajmowała cały kwartał przy Airdrome Avenue, trzy przecznice na południe od Pico i na wschód od Doheny. Przez płot z drucianej siatki, na tle wymalowanej ściany widać było bawiące się dzieci. Pokój, miłość, harmonia. Twarze małych dzieci jaśniały możliwościami.

To było Baja Beverly Hills, pięć minut jazdy od gabinetu Mary Lou Koppel na Olympic.

Jeśli Flora Newsome jeździła na terapię ze swojego mieszkania w Palms, podróż mogła trwać nieco dłużej, ale nadal dość krótko. Dwadzieścia minut w korkach.

Zastępcą dyrektora była czarna kobieta, Lavinia Robson, z doktoratem i przyjemna w obejściu.

Sprawdziła nasze dokumenty, zadała właściwe pytania, włączyła interkom i wezwała Briana Van Dyne'a.

– Kawy? – spytała.

– Nie, dzięki.

– Flora była słodka, wszystkich nas to zasmuciło. Czy są jakieś nowe dowody?

– Przykro mi, nie, doktor Robson. Czasami dobrze jest spojrzeć na sprawę z dystansu.

– To prawda również w edukacji... ach, oto Brian.

Były chłopak Flory Newsome był wysokim mężczyzną o wąskich ramionach. Miał trzydzieści parę lat, rzednące jasne włosy i cienki wąsik koloru rzadkiej owsianki. Jego cera sugerowała awersję do słońca. Ubrany był w zieloną koszulę, spodnie khaki, brązowy, wełniany krawat i buty na gumowej podeszwie. Grube szkła okularów nadawały jego oczom wyraz oszołomienia. Dodać do tego autentyczny wstrząs spowodowany naszą obecnością i wyglądał jak człowiek, który wylądował na obcej planecie.

– Flora? – powiedział. – Po tak długim czasie?

Miał szepejący, anemiczny głos.

Zadzwonił telefon Lavinii Robson.

– Brian, Pat już wyszła, zabierz może panów do jej gabinetu.

Nieobecna Patricia Rohatyn była szkolnym pedagogiem specjalnym. Jej gabinet był ciasny, wyłożony linoleum, wypełniony książkami i gramami. Klimatyzator grzechotał. W powietrzu unosił się zapach gumki do wycierania.

Przed zasypianym papierami biurkiem stały dwa dziecięce krzeselka.

– Siadajcie, panowie – powiedział Brian Van Dyne i poszedł po trzecie. Wrócił, usiadł

naprzeciw nas na dużym krześle.

Nie próbował nas zdominować. Zapadł się w sobie, usiłując zsunąć się i znaleźć na tym samym poziomie co my.

– To takie dziwne, że panowie tu dziś jesteście – powiedział. – Wczoraj się zaręczyłem.

– Gratulacje – powiedział Milo.

– Przez długi czas po Florze nie miałem ochoty na randki. W końcu pozwoliłem siostrze zaaranżować randkę w ciemno. – Uśmiechnął się tęsknie. – Karen, moja narzeczona, nie zna szczegółów tego, co się stało z Florą. Tylko tyle, że nie żyje.

– Nie musi wiedzieć.

– Właśnie – powiedział Van Dyne. – Cały czas mam z tym problem. Pamiętam. To ja ją znalazłem... Co panów tu sprowadza? Macie w końcu podejrzanego?

Milo założył nogę na nogę, ostrożnie, starając się nie kopnąć stosu pudełek z gramami.

– Rewidujemy sprawę, proszę pana. Czy przypomniał pan sobie cokolwiek od chwili pierwszego przesłuchania?

– Rewidujecie – powiedział Van Dyne, oklapły. – Nie, nic. – Potarł grzbiet nosa. – Dlaczego sprawa została na nowo otwarta?

– Nigdy nie została zamknięta, proszę pana.

– Och – powiedział Van Dyne. – Jasne, oczywiście.

Jego kolana się spotkały.

Od małego krzeselka drętwiały mi plecy, więc się przeciągnąłem. Dla Mila to musiał być koszmar, ale nie dawał tego po sobie poznać.

– Nasza rewizja wykazała – powiedział – że panna Newsome chodziła do psychoterapeuty.

Detektyw Ogden mówiła, że to pana zaskoczyło.

– Totalnie zaskoczyło. Flora nic mi nie powiedziała. Co było dziwne, bo ja chodziłem na

terapię i jej o tym powiedziałem. – Van Dyne zaczął się bawić okularami. – Myślałem, że to był otwarty związek.

– Pan też chodził na terapię – powiedział Milo.

Van Dyne się uśmiechnął.

– Nie jestem wariatem, poruczniku. Byłem trzy lata żonaty, rozwiodłem się sześć miesięcy przed tym, jak poznałem Florę. Żona zostawiła mnie dla jakiegoś faceta, było mi ciężko.

Szczerze mówiąc, wpadłem w depresję. Poszedłem do psychologa, a on skierował mnie do psychiatry na krótko terminowe leczenie antydepresantami. Po trzech miesiącach poczułem się o wiele lepiej i odstawiłem pigułki. Jeszcze dwa miesiące terapii i byłem gotów sam stanąć na nogi. To właśnie umożliwiło mi otwarcie się na związek z Florą. Byłem więc ostatnią osobą, która patrzyłaby z góry na terapię. Flora chyba uważała inaczej.

– Myśli pan, że było jej wstyd?

Van Dyne kiwnął głową.

– Domyśla się pan, dlaczego potrzebowała leczenia? – spytał Milo.

– Nie mam pojęcia. A niech mi pan wierzy, długo o tym myślałem.

– Nie miała problemów.

– Tak mi się wydawało.

– Teraz nie ma pan pewności?

– Zakładam po prostu, że szukała pomocy, bo jakiś problem jednak miała. Musiało to być coś, co Flora uważała za poważne. Nie była osobą, która mówi dla samego mówienia.

– Coś poważnego.

– Poważnego dla niej.

– Poznaliście się państwo tu, w szkole? – spytał Milo.

– Pierwszego dnia. Właśnie przeniósłem się tu z Valley, a Flora zaczynała rok próbny. Była

przydzielona do pomocy innemu nauczycielowi, ale w końcu trafiła do mnie. Potem krok po kroku...

Milo wyjął notes i coś zapisał.

– Domyśla się pan – spytał, nie odrywając wzroku od kartki – kto mógłby chcieć skrzywdzić pannę Newspme?

– Jakiś wariat – powiedział Van Dyne. – Żaden normalny człowiek nie zrobiłby tego, co widziałem. To było... żołądek się od tego przewracał.

– Czy Flora mówiła kiedykolwiek, że kogoś się boi? – spytał Milo. – Czy ktoś ją niepokoił, śledził, cokolwiek takiego?

Przysunął swoją wielką postać bliżej do Van Dyne'a. Użył imienia jego byłej dziewczyny.

– Nigdy. Ale skoro utrzymywała w tajemnicy swoją terapię, nie mam pewności, czy nie ukrywała jeszcze czegoś.

– Czy wydawała się kiedykolwiek przestraszona albo nadmiernie podenerwowana?

– Praca na okresie próbnym była trochę stresująca. Kto lubi być oceniany? Ale radziła sobie świetnie, na pewno by przeszła. Nauczanie dużo dla niej znaczyło, poruczniku. Mówiła mi, że wszystko inne, co robiła przedtem, było tylko pracą, ale nauczanie to kariera.

– Co jeszcze robiła? – spytałem.

– Głównie pracowała w biurach. Była sekretarką w kancelarii prawnej, pracowała w biurze kontroli nad warunkowo zwolnionymi, potem kierowała biurem firmy informatycznej, która zbankrutowała. Wieczorami uczyła się do egzaminów.

– W biurze kontroli w śródmieściu? – spytał Milo.

– Nie powiedziała. Mówiła tylko, że jej się tam nie podoba. Za dużo podejrzanych typów.

Uznałem, że to może być ważne i wspomniałem o tym pierwszym detektywom, ale chyba się ze mną nie zgadzali. Bo Flora już od dość dawna tam nie pracowała.

- Podejrzane typy.
- To jej określenie – powiedział Van Dyne. – Nie chciała o tym rozmawiać. – Splótł ręce na piersi, jakby osłaniając swoje serce. – Jedno, co musicie panowie zrozumieć odnośnie do Flory, to że nie była specjalnie rozmowna. Nie była otwarta ani porywcza. – Obliznął wargi. – Była... tradycyjna, jak ktoś z pokolenia mojej matki.
- Konserwatywna.
- Bardzo. Dlatego byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że chodziła na terapię.
- I nie ma pan pojęcia – powiedział Milo – co ją dręczyło.
- Wydawała się szczęśliwa – stwierdził Van Dyne. – Naprawdę.
- Zadowolona z tego, że ma wyjść za mąż.
- Ze wszystkiego. Była powściągliwą osobą, poruczniku. Staroświecką dziewczyną. – Van Dyne rozłączył palce, ale nie oderwał dłoni od piersi. – Rozmawiał pan z jej terapeutką? Doktor Mary Lou Koppel, to jedna z tych radiowych sław. Możliwe, że Flora dowiedziała się o niej właśnie z radia.
- Czy Flora tak by postąpiła? – spytałem. – Wysłuchała audycji w radiu, a potem zadzwoniła, żeby się umówić?
- Van Dyne chwilę się zastanawiał.
- Nie spodziewałbym się tego, ale kto wie? Co Koppel powiedziała o terapii Flory?
- Jeszcze z nią nie rozmawialiśmy – powiedział Milo.
- Może poszczęści się panom bardziej niż mnie. – Dłonie Van Dyne’a opadły na jego kolana.
- Zadzwoniłem do niej kilka tygodni po zamordowaniu Flory, kiedy się dowiedziałem, że do niej chodziła. Nie wiem nawet, czego chciałem. Pewnie jakiegoś wspomnienia o Florze. Może trochę współczucia, to był straszny okres. Ale jeśli szukałem tego u niej, to zadzwoniłem pod zły adres. Koppel nie była ani trochę współczująca. Powiedziała, że zasada poufności nie pozwala jej ze

mną rozmawiać, i odłożyła słuchawkę. Bardzo szorstko. Zupełnie nie jak terapeuta.

Kiedy odjeżdżaliśmy spod szkoły, Milo nachmurzył się i zapalił panatellę.

– Wrażliwy facet.

– Coś ci się w nim nie podoba?

– Nie w sensie kryminalnym, ale nie chciałbym iść z nim na piwo. Za delikatny. –

Zmarszczył brew. – Pracowała w biurze warunkowych zwolnień, gdzie denerwowali ją kryminaliści. Jedna rozmowa i od razu mamy coś, czego nie było w notatkach Lorraine.

– Na Lorraine i McKinleyu praca w biurze kontroli nie zrobiła wrażenia, bo od tamtej pory minął rok.

– Na mnie łatwiej zrobić wrażenie.

Wróciliśmy na posterunek, gdzie Milo sprawdził dane zatrudnienia Flory Newsome i zlokalizował oddział biura kontroli, w którym pracowała przez pięć miesięcy. Nie ten w centrum, tylko w North Hollywood. Pół godziny jazdy samochodem od miejsca morderstwa.

– Były skazaniec widzi ją, idzie za nią do domu, czai się pod jej mieszkaniem. Włamanie nie byłoby specjalnym wyzwaniem dla zawodowca.

– Odwieczna niezdolność do poprawy – powiedział Milo. – Zastanawiam się, co na ten temat myśli doktor Koppel.

Wstał, przeciągnął się, ciężko usiadł.

– Jest inna możliwość – powiedziałem. – Skazaniec nie poszedł za Florą Newsome, znał ją wcześniej. Dlatego nie było śladów włamania. Dlatego nie musiał przynosić ze sobą noża. Może Flora chodziła na terapię nie tylko dlatego, że miała problemy z przystosowaniem.

– Miła, staromodna dziewczyna kręciłaby z jakąś łajzą?

– Zataiła terapię przed narzeczonym, mogła mieć inne tajemnice.

– Zabawiała się ze skazańcem – powiedział Milo. – Zakazane rozkosze. Poczucie winy

zaprowadziło ją do Koppel. – Spojrzał na mnie. – Ty to umiesz uknuć intrygę.

Odprowadził mnie na ulicę, zerknął na swojego timeksa.

– Chyba zaatakuję Koppel. Sam, skoro między wami są pewne kwestie sporne.

– Kwestie. – Uśmiechnąłem się.

– Hej, czegoś tam się nauczyłem.

Zadzwonił później tego samego wieczoru.

– Wiedziałaś, że psychologowie nie muszą trzymać akt?

– Koppel nie ma żadnych danych o terapii Flory Newsome.

– Poszły do niszczarki miesiąc po jej śmierci. Koppel mówi, że to rutynowe działanie, że każdy zamknięty przypadek idzie do kosza. W przeciwnym razie zaczęłyby się „problemy z magazynowaniem”. Poza tym twierdzi, że dzięki temu chroni poufność danych swoich pacjentów, bo nikt nie może „natknąć się” na kartę.

– Pamiętała coś na temat Newsome?

– Jeszcze mniej niż w rozmowie z Ogden. „Przyjmuję tylu pacjentów, poruczniku”.

– Ale ten pacjent został zamordowany.

– To nic nie zmienia.

– Robiła trudności – powiedziałem.

– Pozornie nie. Była przemiła, ładny uśmiech, swobodne maniery. Przy okazji, kazała cię pozdrowić. Powiedziała, że jesteś prawdziwym dżentelmenem.

– Jestem wzruszony. Wyciągnąłeś z niej jakieś konkrety?

– Powiedziała, że nie jest pewna, ale Newsome przysłała do niej ze „stanami lękowymi”.

Postanowiłem działać wprost i zasugerowałem możliwość, że miała chłopaka skazańca. Żadnej reakcji. Jeśli coś ukrywała, ma oskarowy talent.

– Co miała do powiedzenia na temat dwojga pacjentów zamordowanych w ciągu czternastu

miesiący?

– Wyglądała na trochę wstrząśniętą, kiedy tak to ująłem, ale powiedziała, że nigdy tak nie myślała i że ma tylu pacjentów, iż to naprawdę niczego nie oznacza. Odniosłem wrażenie, że ta pani prowadzi bardzo bogate życie, nie skupia się na niczym za długo, włącznie z pacjentami. Cała rozmowa odbyła się w biegu. Złapałem ją, jak wychodziła z budynku i szła do swojego mercedesa. Jechała na nagrywanie jakiegoś programu i bez przerwy dzwoniła jej komórka. Jeden z jej partnerów, facet nazwiskiem Gull, zaparkował właśnie swojego mercedesa i podszedł się przywitać. Olała go i było widać, że jest do tego przyzwyczajony.

– Dwa morderstwa w jednej praktyce to rutyna?

– Przyciskałem ją, Alex. Zirytowała się, też zaczęła mnie cisnąć, pytała, czy jakiegokolwiek dowody wskazują na powiązanie między Gavinem i Florą. Nie mogłem podawać jej szczegółów, więc musiałem powiedzieć, że nie. A ona na to: „Sam pan widzi. Zważywszy na wielkość mojej praktyki, to statystyczny wypadek”. Ale nie jestem pewny, czy sama w to wierzyła. Ręce miała na kierownicy, a kłykcie białe. Zrobiły się jeszcze bielsze, kiedy spytałem, czy leczyła znanych przestępców. Powiedziała, że nie, oczywiście, że nie, jej pacjenci to sami porządni ludzie. Ale może poruszyłem, no wiesz, jej sumienie i coś sobie przypomniał. Spróbuję jeszcze raz za parę dni i chciałbym, żebyś przy tym był.

– Niejasności i tak dalej.

– W tym momencie im więcej niejasności, tym lepiej. Chcę ją podręczyć. Ale najpierw porozmawiam z ludźmi od warunkowych zwolnień, dowiem się, co pamiętają na temat Flory. Mam też adres i telefon jej matki, i gdybyś znalazł czas, żeby do niej zajrzeć, byłbym bardzo wdzięczny. Muszę pilnować, żeby nie zjechać całkiem na Newsome i nie zapomnieć o Gavinie i blondynce.

– Spróbuję jutro.

– Dzięki, dzięki. – Podał mi numer Evelyn Newsome i jej adres przy Ethel Street w Sherman Oaks. – Nie mieszka już w domu opieki, wyprowadziła się pół roku temu. Może poznała kogoś z cudownym lekarstwem na artretyzm.

– Mam pytać o coś konkretnego?

– O ciemne zakamarki umysłu jej córki przed tym, jak ją zamordowali, i o wszystkich chłopaków Flory przed Brianem Van Dyne’em. Potem pytaj o co chcesz.

– To już jakiś plan.

– Albo jego sensowna kopia. Ta audycja, którą nagrywała Koppel, zgadnij, o czym była.

– O komunikacji.

Milczenie.

– Skąd wiedziałeś?

– Zgadłem.

– Przerażasz mnie.

Rozdział 11

Zadzwoniłem do Evelyn Newsome następnego dnia o dziesiątej.

– Tak? – odezwał się czujny, damski głos. Kiedy się przedstawiłem, zmiękł.

– Państwo z policji byli bardzo, bardzo mili. Czy wiadomo coś nowego?

– Chciałbym wpaść i porozmawiać, pani Newsome. Będziemy od nowa sprawdzać stare tropy, ale...

– Psycholog?

– Przyglądamy się sprawie Flory ze wszelkich możliwych punktów widzenia.

– Och, to świetnie, proszę pana. O mojej Florze mogę rozmawiać zawsze.

Na Ethel Street, kawałek na południe od Magnolia, jechało się dwadzieścia minut przez

Glen, za Ventura Boulevard, w samo serce Sherman Oaks. Po tej stronie gór było o dziesięć

stopni goręcej niż w mieście i tak sucho, że kręciło mnie w nosie. Słońce wypaliło warstwę chmur nad morza, obdarzając Valley błękitem nieba.

Kwartał Evelyn Newsome zapełniały skromne, zadbane parterowe domki, w większości sklecone pospiesznie dla wracających z drugiej wojny światowej weteranów. Nad płotami z sekwojowego drewna wyrastały stare drzewa pomarańczowe i morelowe. Niektóre posesje ocieniały wielkie, poznaczone bliznami wiązy, sosny o gęstych koronach i nieprzycinane morwy. Inne prażyły się, nagie, w bezlitosnym słońcu Valley.

Nowy dom Evelyn Newsome był stiukowym bungalowem w kolorze zielonego groszku, z nowym dachem z imitacji gontu. Płaski trawnik porastała zielona szczecina. Frontowych schodów z obu stron strzegły rajskie ptaki. Huśtawka wisiała nieruchomo w spieczonym, nieruchomym powietrzu.

Wejście zasłaniały siatkowe drzwi przeciw owadom, ale wewnętrzne, drewniane, były otwarte, ukazując ciemny, niski salon. Evelyn Newsome dwa lata temu ktoś zamordował córką; przez telefon wydawała się ostrożna, ale w jakimś stopniu wciąż pozostała ufna.

Zanim zdążyłem nacisnąć guzik dzwonka, w drzwiach pojawił się rosły, siwowłosy mężczyzna. Otworzył je.

– Pan doktor? Walt McKitchen, Evelyn jest w głębi, czeka na pana.

Miał wyprostowane ramiona oraz rumianą twarz, zbudowaną wokół kalafiorowatego nosa i maleńkich ust. Mimo upału ubrany był w szaroniebieską, flanelową koszulę zapiętą pod szyję i szare, wełniane spodnie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Palce miał jak pokryte odciskami parówki. Prowadząc mnie w głąb domu, utykał. Zauważyłem, że jeden jego but ma pięciocentymetrowej grubości ortopedyczną podeszwę.

Minęliśmy maleńką, schludną sypialnię i weszliśmy do równie małego pokoiku w

dobudówce, wyłożonego sękatą sosnową boazerią. Stała w nim włochata, zielona kanapa, regały na książki z płyty paździerzowej i szerokokątny telewizor. Klimatyzator w oknie milczał. Na ścianach wisiało kilka czarnobiałych zdjęć. Grupowy portret batalionu żołnierzy. Młoda para, stojąca przed tym właśnie domem – drzewa jeszcze małe, zamiast trawnika goła ziemia. Obok mężczyzny, po prawej, stał plymouth z lat trzydziestych. Kobieta trzymała w rękach tabliczkę SPRZEDANE.

Evelyn Newsome siedziała na włochatej kanapie, zaokrąglona i przygarbiona. Miała zniszczone, siwe włosy i łagodne, niebieskie oczy. Przed nią, na stoliku stał imbryczek i dwie filiżanki na spodeczkach.

– Doktorze – powiedziała, na poły wstając. – Mam nadzieję, że lubi pan herbatę.

Poklepała poduszkę kanapy po swojej prawej stronie, a ja usiadłem. Ubrana była w białą bluzkę z wyłożonym kołnierzem i bordowe spodnie ze streczu. Od pasa w górę była gruba, za to nogi miała cienkie. Materiał bardziej zwisał, niż się rozciągał.

– Nie, dziękuję bardzo, pani Newsome.

Nalała herbaty do filiżanek. Na obu widniał napis Kasyno Harrah, Reno, Neyada.

– Cukru? Cytryna czy mleko?

– Gorzką poproszę.

Walt McKitchen wciąż stał w drzwiach.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedziała Eveiyn Newsome.

McKitchen zmierzył mnie wzrokiem, zasalutował i zniknął.

– To nasz miodowy miesiąc – powiedziała pani Newsome z uśmiechem. – Pan McKitchen przychodził do żony do domu opieki, gdzie mieszkałam. Ona zmarła, a my się zaprzyjaźniliśmy.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję. Nie sądziłam już, że się stamtąd wydostanę. Artretyzm, ale nie ten spowodowany

osteoporozą, którego dostają wszyscy w moim wieku. Mój był reumatyczny, dziedziczny. Bolało mnie coś przez całe życie. Kiedy Flora odeszła, nie miałam już nic, oprócz bólu. Teraz mam towarzystwo, a mój lekarz wynalazł dla mnie jakieś nowe lekarstwo i radzę sobie świetnie. Coś takiego uczy człowieka, że zawsze może być lepiej.

Rozprostowała palce i przeczesła dłonią włosy.

Herbata była letnia i bez smaku, ale Evelyn Newsome zamknęła oczy, rozkoszując się nią.

Odstawiła filiżankę na stół.

– Mam nadzieję na dobre wieści na temat mojej Flory.

– Dopiero zaczęliśmy na nowo badać sprawę.

Poklepała mnie po ręku.

– Wiem, mój drogi. Mówiłam ogólnie. A teraz, co mogę dla pana zrobić?

– Czy przychodzi pani do głowy cokolwiek, co przypomniała sobie pani od czasu, kiedy pierwsi detektywi...

– Nie byli źli – powiedziała. – On i ona, on był czarny. Mieli dobre chęci. Najpierw miałam nadzieję, potem nie miałam. Przynajmniej byli szczerzy. Powiedzieli mi, że do niczego nie doszli. To przez to, że moja Flora była taka porządna, nie miała jak się dostać pod zły wpływ.

Więc to musiał być ktoś, kogo nie znała, a to utrudnia sprawę. Przynajmniej tak powiedzieli.

– Pani się z tym nie zgadza?

– Nie z tym, że Flora była porządna, ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Jakiś czas przed tym, jak to się stało, Flora pracowała w biurze kontroli nad warunkowo zwolnionymi. Od samego początku nienawidziła tej pracy, a kiedy ją spytałam, dlaczego, powiedziała, że nie lubi ludzi, z którymi musi się tam zadawać. „To rzuć to”, powiedziałam, a ona na to: „Mamo, to tylko chwilowe, dopóki nie dostanę dyplomu, poza tym dobrze płacą. Ciężko znaleźć dobrą pracę”.

Wspominałam o tym detektywom, a oni powiedzieli, że to sprawdzą, ale wątpili, żeby to było

ważne, bo Flora nie pracowała tam już od prawie roku.

– Co Flora mówiła o ludziach, z którymi musiała się tam zadawać?

– Nic więcej niż to, co powiedziałam, a kiedy ją pytałam, zmieniała temat. Pewnie nie chciała mnie martwić. Flora zawsze się o mnie troszczyła. Różnie to ze mną bywało, wie pan, zdrowie.

Spojrzenie jej niebieskich oczu się wyostrzyło.

– A pan myśli, że to mogło mieć jakiś związek z tą pracą? Czy to dlatego pan tu jest... –

Zadrżała jej dłoń. – Pierwsi detektywi byli pewni, że to nieważne, ale wie pan, jakoś mi to nie dawało spokoju.

– Nie mamy dowodów, świadczących o takim powiązaniu, ale badamy to.

– A więc już o tym wiecie.

– Powiedział nam Brian Van Dyne.

– Brian. – Uśmiechnęła się. Przesunęła palcem po logo kasyna.

– Flora miała z nim jakieś problemy?

– Z Brianem? – Evelyn Newsome parsknęła śmiechem. – Wydawało się, że już są małżeństwem. Oboje byli tacy konserwatywni, wie pan? Flora bardzo go lubiła, a on ją wprost uwielbiał.

– Konserwatywni w jakim sensie?

– Starzy jak na swój wiek. Flora zawsze taka była, szybko dorastała. Potem, kiedy znalazła sobie Briana, powiedziałam sobie: „Ma swoją drugą połówkę”. Ojciec Flory był bardzo męski. Tak samo jak pan McKitchen. To mój typ mężczyzny, ale Flora... – Wzruszyła ramionami. – Nie powinnam tak mówić o Brianie, to miły chłopiec. Według mnie spodobał się Florze, bo był zupełnie inny niż jej poprzedni chłopak. Tamten to był męski... Ale miał inne problemy. Ale pan na pewno o tym wie.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Tamci detektywi przesłuchali go, kiedy powiedziałam im o jego usposobieniu. Powiedzieli, że w ogóle go nie podejrzewają.

W aktach sprawy nie było żadnej wzmianki o byłym chłopaku.

– Nie czytałem jeszcze wszystkiego, pani Newsome. O jakie problemy z usposobieniem chodzi?

– Roy potrafi być miłym, młodym człowiekiem, ale strasznie mu odbija. Flora mawiała, że czasami musiała chodzić dookoła niego na paluszkach, kiedy wpadał w złość. Nigdy jej nie uderzył, w ogóle nie było o tym mowy, nie podnosił nawet głosu. Najbardziej przeszkadzała jej właśnie cisza. Opowiadała mi, że zapadał w takie długie, zimne milczenie, a ona nie mogła się z nim wtedy porozumieć.

– Miewał humory – powiedziałem.

– Nie wierzę, że Roy miał cokolwiek wspólnego z tym, co się stało z Florą. Był porywczy, pewnie, ale rozstali się zupełnie spokojnie, a jego rodzinę znam od zawsze. – Zamrugła oczami.

– Prawdę mówiąc, Roy nie miał o co mieć żalu do Flory. To on to zakończył. Odszedł do innej, niewiele wartej, jeśli chce pan znać moje zdanie. Teraz się rozwodzą. To dopiero paskudny bałagan.

– Wciąż ma pani kontakt z Royem.

– Jego rodzice byli naszymi sąsiadami, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Culver City. Roy i Flora razem dorastali, jak brat i siostra. Rodzice Roya mają sklep z rybami akwariowymi. Roy nie lubi zwierząt, zabawne, prawda? Nie widziałam go od dość dawna, rozmawiam za to czasami z jego rodziną. Jego matka powiedziała mi o rozwodzie. Moim zdaniem chciała mi powiedzieć, że Roy powinien być być mądrzejszy i zostać z Florą.

– Jak Roy ma na nazwisko?

– Nichols. Roy Nichols Junior. Mówiłam to tamtym detektywom, wszystko powinno być w aktach.

– Czy Flora lubiła zwierzęta?

Evelyn Newsome pokręciła głową.

– Tu akurat pasowała do Roya. Oboje byli bardzo porządni. Wszystko musiało być czyściutkie. Można by pomyśleć, że Roy znajdzie sobie czystsza pracę.

– A co robi?

– Jest cieślą, buduje domy. Ale to pewnie i tak czystsze niż hydraulika.

– Budowy – powiedziałem.

– Oczywiście.

Spędziłem w sosnowym pokoiku jeszcze kwadrans, nie dowiedziałem się niczego więcej, podziękowałem Evelyn Newsome i wyszedłem. Zadzwoiłem do Mila do pracy, opowiedziałem mu o Royu Nicholsie.

– Nerwowy, nie lubi zwierząt, pracuje na budowie – powiedział. – Kolejna rzecz, o której Lorraine i Alowi nie chciało się pisać.

– Evelyn Newsome powiedziała, że rozmawiali z nim i uznali za czystego.

– Dobra, dobra... Sprawdzę go w bazie danych hrabstwa, tak na wszelki wypadek... Mam tu Roya Deana Nicholisa, data urodzenia, jest w odpowiednim wieku... Proszę: dwa razy notowany. Jazda pod wpływem w zeszłym roku i czterysta piętnastka rok przedtem. Dwa miesiące po tym, jak zginęła Flora.

– Zakłócenie spokoju może oznaczać wszystko – powiedziałem. – A jazda pod wpływem to pewnie alkohol.

– Właśnie sprawdzam dane wydziału komunikacji... Proszę, adres przy Harter Street. To Culver City, niedaleko mieszkania Flory w Palms. Wracasz do miasta? Możemy się spotkać na

posterunku i wpadniemy do żartownisia.

– Ośrodek zwolnień warunkowych w Valley jest niedaleko domu Evelyn Newsome.

Zamierzałem tamtędy przejechać, może rozejrzeć się w środku.

– Nie marnuj czasu. Flora pracowała tam trzy dni, zanim nie przenieśli jej do tymczasowego biura przy Sepulveda i Venice. Jeszcze jeden projekt finansowany z federalnych dopłat.

Otworzyli takich pół tuzina w całym mieście, małe agencje. Żeby skazańcy mieli bliżej, bo inaczej, broń Boże, za dużo wydadzą na dojazdy. Wszyscy mieli nadzieję, że badziory będą się bardziej garnąć.

– Mówisz w czasie przeszłym – powiedziałem.

– Zgadza się. Wcale się bardziej nie garnęli, kilka milionów dolarów w błoto, agencje pozamykano. Flora pracowała, dopóki nie skończyło się dofinansowanie, więc praca nie była jej aż tak niemila, żeby ją rzucić. Nie zrobiła też jakiegoś wyjątkowego wrażenia. Jej kierownik zapamiętał ją jako cichą, powiedział, że przede wszystkim wypełniała formularze i odbierała telefony. Wątpi, żeby zadała się z jakimś skazańcem.

– Dlaczego?

– Bo była zamknięta w sobie, a skazańców nie trafiało tam aż tak wielu.

– Wystarczająco wielu, żeby ją to denerwowało – powiedziałem. – A z Sepulveda i Venice jest bardzo blisko do jej mieszkania. Chciałbym wiedzieć, ilu skazańców przydzielonych do tamtej agencji było notowanych za przestępstwa seksualne.

– Życzę szczęścia. Warunkowe zwolnienia to twierdza biurokracji. Wszystko szło przez ośrodek stanowy w Sacramento, a teraz, kiedy pozamykali agencje, archiwa są gdzieś w przestrzeni kosmicznej. Ale jeśli trop nas poprowadzi w tamtą stronę, zacznę kopać. Na razie zajmijmy się Royem Nicholsem, on też mieszka niedaleko, a z jego danych wynika, że facet ma problem z panowaniem nad sobą. A czy to nie wy właśnie podkreślacie na każdym kroku, że

psychopaci nie lubią zwierząt?

– Że są okrutni wobec zwierząt – powiedziałem. – Matka Flory powiedziała, że Nichols ma obsesję na punkcie porządku.

– Proszę, następne zbroczenie. Akurat ktoś, kto dokładnie wytarłby odciski palców na miejscu przestępstwa. Warto mu się przyjrzeć, prawda? Do zobaczenia za... ile, dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut?

– Brym, brym, brym.

Rozdział 12

Nieoznakowany wóz Mila stał na luzie przy krawężniku przed posterunkiem. Milo siedział za kierownicą i stukał w nią palcem. Zatrzymałem się przy okienku kierowcy. Milo podał mi służbową przepustkę i zaparkowałem po drugiej stronie ulicy. Kiedy wróciłem, drzwi jego samochodu od strony pasażera były otwarte. Jechaliśmy na południe, zanim zdążyłem je zamknąć.

– Bardzo nam się spieszy?

– Sprawdziłem teczkę Roya Nicholasa. Czteryście piętnaście to nie była wybita po pijaku szyba. Chociaż miałeś rację co do tego, że się spił. Nichols pobił jakiegoś faceta w barze w Inglewood, sprął go poważnie, połamał mu kilka kości. Według raportu uważał, że tamten przystawia się do jego dziewczyny; kobieta nazywała się Lisa Jenrette. Wymienili kilka słów, potem poszło samo. Nichols uniknął oskarżenia o napaść dzięki zeznaniom kilku innych klientów, którzy potwierdzili, że tamten uderzył pierwszy i faktycznie przystawiał się do dziewczyny Nicholasa. To był jeden z tych nałogowych dupków, co zawsze szukają zaczepki. Nichols pokrył część kosztów leczenia, przyznał się, sprawa zeszła do zakłócenia porządku. Nie siedział w areszcie, obiecał trzymać się z dala od tamtego baru, poszedł na kurs kontrolowania złości.

Milo popędził bocznymi uliczkami do Olympic, skręcił w prawo, w stronę Sepulveda.

– Ciężki przypadek zazdrości mógł doprowadzić do wybuchu gniewu i tego, co znaleźli w sypialni Flory.

– Evelyn Newsome powiedziała, że to Roy Nichols zakończył ten związek.

– Więc może zmienił zdanie, zrobił się zaborczy. Alex, czytałem raport lekarski tego faceta, którego pobił. Potrzaskane kości twarzy, przemieszczony bark. Jeden ze świadków twierdzi, że Nichols chciał rozdeptać twarz tamtego na miazgę, kiedy udało im się go odciągnąć.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– Kurs panowania nad złością – powiedział Milo. – Myślisz, że to działa?

– Może czasami.

– Proszę, zadanie dla ciebie.

– Myślę, że trzeba czegoś więcej niż kilku obowiązkowych wykładów, żeby zmienić czyjś temperament.

– Żarówka musi chcieć się zmienić.

– Otóż to.

– Następne dolary z podatków psu na budę – stwierdził Milo. – Jak te agencje warunkowych zwolnień.

– Pewnie tak.

– Wiesz co – powiedział. – Wkurza mnie to.

Dom Roya Nicholisa był nieco większą, białą wersją bungalowu Evelyn Newsome, noszącą ślady ambitnej, ale źle pojętej rozbudowy: zbyt szerokie, czarne okiennice, które pasowałyby do trzypiętrowej posiadłości, doryckie kolumny podpierające maleńki daszek nad gankiem, hiszpańska dachówka, różnobarwna, kosztowna i za grubo ułożona, metrowej wysokości podmurówka z kamieni. Trawnik był bujny, zdrowy i zielony jak parada w dniu Świętego

Patryka. Schodów z obu stron strzegły półtorametrowe sagowce – pięćset dolarów w roślinach. Front okalały skarłate jałowce, przyszczyżone przy samej ziemi z precyzją drzewek bonsai. Na podjeździe, pod czarną plandeką bez choćby jednej plamki stało coś dużego. Milo zajrzał pod spód i zobaczyliśmy lśniącego, czarnego forda pikapa ze świeżo chromowanym zderzakiem. Podniesione zawieszenie, wymienione koła. Laminowana, pomarańczowa naklejka na zderzaku głosiła: JAK JEŹDŹE? ZADZWOŃ 1-800-WAL SIĘ.

Podeszliśmy do frontowego wejścia. Na środku czarnych drzwi widniała naklejka firmy ochroniarskiej. Po naciśnięciu dzwonka usłyszeliśmy melodię hymnu amerykańskiego.

– Chwileczkę!

Otworzyła nam kobieta. Wysoka, młoda, ładna, ale zmęczona; miała twarz w kształcie serca, była ubrana w przezroczysty, czarny top i białe spodenki frotte. Wspaniałe nogi, zacięcie na jednej z lśniących łydek. Włosy jasne, prawie białe, bez połysku, związane nad głową w bezładny pęk. Różowy lakier na paznokciach, mocno popękany. Ciemniejszy odcień na paznokciach stóp, w jeszcze gorszym stanie. Za nią widać było pokój zastawiony kartonami.

Nowymi kartonami, o jeszcze prostych krawędziach, zaklejonymi brązową taśmą i oznaczonymi napisem ZAWARTOŚĆ, po którym następowały trzy puste linijki.

Splotła ręce na dużych, miękkich piersiach.

– Tak?

Milo pokazał jej odznakę.

– Pani Nichols?

– Już nie. Chodzi o Roya?

– Tak, proszę pani.

Westchnęła i zaprosiła nas do środka. Nie licząc kawałka podłogi tuż za drzwiami, cały pokój był wypełniony pudłami. O zawiązany worek ze śmieciami stał oparty dziecięcy materac.

– Przeprowadzka?

– Jak tylko przyjedzie ekipa. Powiedzieli, że jutro, ale raz już nie przyjechali. Dom już sprzedany, muszę się wynieść do przyszłego tygodnia. Co zrobił Roy?

– Zakłada pani, że coś zrobił.

– Po coś tu przyszliście, prawda? Ja nic nie zrobiłam, Lorelei też nie. Moja córka. Ma cztery lata, i jeśli się obudzi, wykopię was.

– Pani godność?

– Godność? – powtórzyła, rozbawiona. – Jestem Lisa. Nichols, jeszcze. Pewnie wrócę do panińskiego nazwiska, czyli Jenrette, zawsze uważałam, że jest o wiele ładniejsze niż Nichols. Na razie mam inne rzeczy na głowie. Co zrobił?

– Możliwe, że nic. Chcemy z nim tylko porozmawiać.

– Więc jedźcie do niego do pracy. Pracuje w Inglewood. Na Manchester, niedaleko Forum. Stawiają tam biurowiec. Wiem, że dobrze zarabia, ale niech pan spróbuje wydostać od niego jakiś grosz. Dzięki Bogu jego rodzice są w porządku. Chcą, żeby Lorelei miała godne warunki, chociaż biologicznie to nie ich wnuczka. Powiedziałam im, że zostaję w Los Angeles, a oni mogą ją odwiedzać, jeśli mi pomogą. W przeciwnym razie wracam do Tucson, gdzie mieszkają moi starzy.

– Roy ma węża w kieszeni – powiedział Milo.

– Roy to skąpy stary dziad, chyba że chodzi o jego zabawki.

– To znaczy?

– Samochód, kolekcja whisky, remont domu. Przyjrzał się pan temu domowi? Nigdy nie przestał w nim grzebać. Gdyby nie było tu tych pudeł, pokazałabym wam boazerię, którą położył w innych pokojach. Palisandrowa boazeria, droga sprawa, we wszystkich trzech sypialniach. Ciemno tam jak w domu pogrzebowym, ale on sobie wymyślił, że to podniesie wartość domu

przy sprzedaży. No więc wystawiliśmy dom na sprzedaż, znaleźliśmy kupców i pierwsze, co zamierzają zrobić, to zerwać boazerię.

– Roy na pewno nie był zadowolony – powiedziałem.

– Roy nigdy nie jest z niczego zadowolony.

– Ma humory.

Lisa odwróciła się do mnie.

– Mówi pan, jakby go znał.

– Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Ma pan szczęście.

Milo zapytał, kiedy widziała ostatnio Roya.

– Ponad miesiąc temu. Mieszka z rodzicami, cztery przecznice stąd. Mógłby czasem wpaść, odwiedzić Lorelei.

– Nie odwiedził jej ani razu?

– Odwożę ją tam raz w tygodniu. Nawet jeśli Roy jest wtedy w domu, nie bawi się z nią. Nie może zapomnieć, że to nie jego córka.

Jej oczy zaszyły mgłą. Przystąpiła z nogi na nogę, rozplotła ramiona, spojrzała w dół, na dywan.

– Proszę posłuchać, muszę zadzwonić w kilka miejsc. Powiedzcie mi, co takiego zrobił? To znaczy, jeśli jest niebezpieczny, powinnam chyba wiedzieć?

– Uważa go pani za potencjalnie niebezpiecznego? – spytał Milo.

– Kim pan jest – odparła Lisa Nichols – jakimś psychiatrą? Poszliśmy do takiego, bo chcieliśmy wziąć rozwód. Tak nam kazał sąd, więc to zrobiliśmy. Zamiast udzielać odpowiedzi, zadawał pytania.

– Roy nic nie zrobił. Chcemy z nim tylko porozmawiać o jego byłej dziewczynie.

– Tej zamordowanej? Florze?

– Wie pani o niej.

– Tylko tyle, ile powiedział mi Roy. – Zasłoniła dłonią usta. – Nie chce pan powiedzieć...

– Nie, proszę pani. Zajmujemy się tą sprawą od nowa i rozmawiamy ze wszystkimi, którzy ją znali.

– Mam czteroletnie dziecko – powiedziała Lisa. – Musi pan być ze mną szczery.

– Boi się pani Roya – powiedziałem.

– Boję się jego wybuchów. Nie, żeby kiedykolwiek coś mi zrobił. Ale czasami robi się taki...

Chowa się w sobie.

– Co powiedział pani o Florze Newsome? – spytał Milo.

– Że była... – Lisa Nichols zwinęła górną wargę między zęby. – To zabrzmiało...

– Jak, proszę pani?

– Powiedział mi, że była oziębła. W łóżku. Nie najlepsza w seksie. Powiedział, że pewnie miała jakiegoś faceta, nie wyszło jej z nim i tak jej zostało.

– To była jego teoria?

– Roy postrzega wszystko w kategoriach seksu. Gdyby to zależało od niego...

Odwróciła gwałtownie głowę.

– Muszę skończyć pakowanie. Lori niedługo się obudzi i będę miała związane ręce.

Podana nam adres i numer telefonu rodziców Roya Nicholisa. Milo zadzwonił tam, porozmawiał z matką, skłamał, że jest z firmy budowlanej i szuka pracowników, i zdobył adres obecnego miejsca pracy Nicholisa.

Pojechaliśmy na południe Sepulveda.

– Moim zdaniem Flora nie wystarczała Nicholowski, dlatego ją rzucił. Stąd jego teoria. Albo, jak wy to nazywacie, kiedy zwała się własne gówno na kogoś innego...

– Przenosił swoje problemy na nią – powiedziałem. – W mieszkaniu Flory nie było śladów włamania, więc to by się zgadzało z teorią, że zabił ją ktoś, kogo znała. Liczba ran pasuje do tłumionego gniewu, a seksualne ułożenie sugeruje jego źródło.

– Kuty, żelazny słupek ogrodzeniowy. Na placach budów muszą się takie walać. Coraz bardziej chcę wiedzieć, gdzie ten drań był, kiedy zabito Gavina i blondynkę. Skoro o tym mowa – wysłałem dwóch detektywów do modnych hoteli, potem rozmawiali z policją z Beverly Hills, nikt nie zna naszej dziewczyny w butach Choo. W hotelach prawdopodobnie kłamią, ale policja z Beverly Hills spisuje drogie call girls, a jej nie mają. To tylko kwestia czasu. Ktoś w końcu zacznie za nią tęsknić.

Rozdział 13

Kierownik Roya Nicholasa był drobnym mężczyzną w średnim wieku. Nazywał się Art Rodriguez, miał siwiejącą brodę i współczynnik entuzjazmu kamiennego Buddy. Na jego kasku, nad naklejką z amerykańską flagą widniał napis: DODGER BLUE. Nosił za dużą koszulkę z Disneylandu pod kolorową koszulą, brudne dżinsy i zakurzone robocze buty. W rękę trzymał kupon na wyścigi.

Staliśmy w kurzu i na słońcu, tuż za ogrodzeniem z siatki, otaczającym plac budowy. Do brzydkiego, dwukondygnacyjnego biurowca z cegły dostawiano przybudówkę. Pierwotny budynek był wypatroszony i pozbawiony okien, ale nad dziurą po drzwiach pozostał szyld – GOLDEN AGE INVESTMENTS.

Nowa konstrukcja była na etapie wznoszenia szkieletu. Roy Nichols należał do ekipy, która się tym zajmowała. Rodriguez pokazał go, kucającego na piętrze z nitownicą. Powietrze cuchnęło ciętym drewnem, środkami owadobójczymi i siarką.

– Mam po niego iść? – spytał Art Rodriguez. – Chyba że weźmiecie panowie kaski i sami pójdziecie.

– Niech pan idzie – powiedział Miło. – Nie dziwi pana, że chcemy z nim rozmawiać.

Rodriguez parsknął tytoniowym śmiechem.

– W tym biznesie? Wszyscy moi dekarze to skazańcy, cała masa innych też.

– Nichols nie jest skazańcem.

– Skazaniec, potencjalny skazaniec, jaka to różnica? Każdy dostaje drugą szansę. Dlatego właśnie ten kraj jest tak wspaniały.

– Nichols robi na panu wrażenie potencjalnego?

– Nie wnikam w ich osobiste sprawy – powiedział Rodriguez. – Krok pierwszy, przychodzą, krok drugi, zabierają się do roboty. Jeśli tak jest chociaż z kilkoma, jestem szczęśliwy.

– Na Nicholsie można polegać?

– To jeden z tych niezłych. Jak w zegarku. Właściwie aż trochę ciotowaty.

– Ciotowaty – zainteresował się Miło.

– Ciotowaty – powtórzył Rodriguez. – Wybredny, afektowany, zmanierowany. Wszystko musi być na swoim miejscu, przypomina mi moją żonę.

– Jak to wybredny?

– Chce, żeby nie kurzyć mu na pudełko ze śniadaniem, pieni się, kiedy ktoś bierze jego narzędzia albo nie przychodzi o czasie. Wkurza go każda zmiana codziennej rutyny. Na miłość boską, facet składa kurtkę.

– Perfekcjonista.

– Czym wam podpadł?

– Jeszcze niczym.

– Mam nadzieję, że tak zostanie – powiedział Rodriguez. – Gość przychodzi i robi swoje.

Roy Nichols miał metr dziewięćdziesiąt, ważył ze sto dwadzieścia kilo, miał wystający

brzuch, ramiona jak worki z mąką i nogi jak pnie drzew. Głowę, ukrytą teraz pod kaskiem, golił

na łyso. Pokrywająca jego twarz szczecina i brwi były jasne. Miał przepoconą koszulkę ziemistego koloru i niebieskie dżinsy ogrodniczki. Na prawym bicepsie widniała wytatuowana róża. Jego twarz była kwadratowa i spalona słońcem. Miał podwójny podbródek i skórę pooraną głębokimi zmarszczkami, które sprawiały, że wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści lat. Rodriguez wskazał w naszym kierunku, a Nichols wyminął go i kołyszącym krokiem ruszył w naszą stronę.

– Runda pierwsza, ding – mruknął Milo.

Nichols doszedł do nas.

– Policja? – powiedział. – O co chodzi?

Głos miał cienki i zaskakująco wysoki. Założę się, że niejeden człowiek, który do niego dzwonił, prosił do telefonu jego matkę. Następny zakład o to, że Roy Nichols nigdy się do tego nie przyzwyczał.

Milo wyciągnął rękę.

Nichols pokazał nam zakurzoną dłoń, mruknął: „brudna” i opuścił ją wzdłuż boku. Pokręcił głową.

– O co chodzi?

– O Florę Newsome.

– Teraz? Jestem w pracy.

– Bylibyśmy wdzięczni za kilka minut rozmowy, panie Nichols.

– O czym? – Czerwony rumieniec wypełził na byczy kark Nicholisa i wolno ruszył w górę, na policzki.

– Podchodzimy do sprawy po raz kolejny i rozmawiamy ze wszystkimi, którzy ją znali.

– Znałem ją, ale nie wiem, kto ją zabił. Przechodziłem już przez te pierdoły z jakimiś innymi glinami... Jestem w pracy, człowieku, płacą mi od godziny. To faszyści, człowieku. Posiedzę

dłużej w kiblu i już tną mi wypłatę. Gdyby to była posada związkowa, nie mogliby tego zrobić, ale nie jest, więc dajcie mi święty spokój.

– Załatwimy to z panem Rodriguezem.

– Jasne – powiedział Nichols. Kopnął czubkiem buta piach, jeszcze raz pokręcił głową.

– Tylko kilka minut.

Nichols zaklął pod nosem.

– Zejdźmy chociaż z tego jebanego słońca.

Przeszliśmy w kąt placu budowy, ocieniony przez dwie przenośne toalety. Środki chemiczne zawiodły i zaatakował nas smród. Nichols rozdał nozdrza.

– Śmierdzi. Idealnie. To wszystko jedna wielka kupa gnoju.

– Łatwo się pan denerwuje – powiedział Milo.

– Pan też byś się denerwował, gdyby pana czas przeliczał się na pieniądze, a ktoś go marnował. – Nichols rozpiął skórzany pasek zegarka i spojrzał na wyświetlacz. – Ci pierwsi gliniarze męczyli mnie całymi dniami. Zawracanie głowy. Od razu się domyśliłem, że jestem dla nich podejrzany po tym, jak ze mną pogrywali.

– Pogrywali?

– Jeden miły, drugi dupek. On i ona. On zgrywał tego miłego. Widziałem dość filmów, żeby wiedzieć, o co chodzi. – Przesunął dłonią po łysej czaszce. A teraz wy. Zasuwanie w nadgodzinach, żeby to wyjaśnić, czy jak?

Milo patrzył na niego bez słowa.

– Nie powiedzieli wam, że mam doskonałe alibi? – mówił dalej Nichols.

– Oglądałem mecz w barze, potem grałem w bilard i w rzutki, spałem się. Kumpel podrzucił mnie do domu zaraz po północy, zarzygałem całą kanapę w salonie. Żona mnie przykryła, ale

potem przetrwała to sobie, obudziła mnie dwie godziny później i opieprzyła. Więc jestem kryty, jasne? Cała gromada ludzi to potwierdziła i wasi kumple o tym wiedzą.

Milo na mnie zerknął. Obaj pomyśleliśmy o tym samym – jego żona o tym nie wspomniała.

– Ma pan jakieś teorie co do tego, kto zabił Florę?

– Nie.

– Żadnych?

Nichols oblizał usta.

– Dlaczego miałbym mieć?

– Słyszeliśmy, że ma pan jakąś teorię.

– Nie wiem, o co wam chodzi.

– O popęd seksualny Flory. Czy raczej jego brak.

– Cholera – zaklął Nichols. – Rozmawialiście z Lisa. Czego się po niej spodziewaliście?

Rozwodzimy się, ona mnie nienawidzi. Nie powiedziała wam, że byłem wtedy w domu? Cholera, nie powiedziała. Widzicie – nienawidzi mnie.

– Co to za teoria?

– Tak, jasne, powiedziałem jej tak, ale tak tylko gadałem, wiecie, jak się rozmawia z żoną.

Milo się uśmiechnął.

– Potrzebują tego – powiedział Nichols. – Kobiety. – Kilka razy otworzył i zamknął dłoń, imitując gadanie. – Człowiek wraca do domu po ciężkim dniu pracy i chce tylko odpocząć, a one gadają. Bla, bla, bla. Więc mówi się im to, co chcą usłyszeć.

– Lisa chciała słuchać o popędzie seksualnym Flory?

– Lisa chciała słuchać, że jest świetna, najlepsza, lepsza niż wszystkie inne, które miałem. –

Nichols sapnął pogardliwie. – O to tylko chodziło.

Milo podszedł bliżej.

– Ugłaskiwał pan Lisę, narzekając na Florę? Czy był jakiś konkretny powód, dla którego wybrał pan Florę na zły przykład?

Nichols się cofnął.

– Czy Flora miała problemy z seksem, Roy?

– Jeśli nazwać problemem to, że nie była w stanie tego robić – powiedział Nichols.

– Nie mogła uprawiać seksu?

– Nie mogła dojść. Nic nie czuła tam na dole, leżała jak... dywan. Nie lubiła tego. Nigdy nie powiedziała tego głośno, ale umiała dać to do zrozumienia.

– W jaki sposób?

– Dotykało się ją, a ona patrzyła na człowieka tak... denerwowała się. Jakby... jakby robiło się jej krzywdę.

– To nie brzmi jak radosny związek.

Nichols nie odpowiedział.

– Mimo to umawiał się pan z nią jak długo, rok?

– Niecały. – Nichols otworzył szeroko oczy. – Widzę, do czego zmierzacie.

– Do czego, Roy?

– Że wściekłem się na nią, bo nie chciała mi dać, ale to nie było tak. Nie kłóciliśmy się, zawsze byłem dla niej dobry. Zabierałem ją do kina, na kolacje. Wydawałem na nią pieniądze, a wiele za to nie dostawałem.

– niesprawiedliwy układ – powiedział Milo.

– Wychodzę na drania. – Mięiste ramiona Nicholasa się napięły. Uśmiechnął się. – Zresztą kogo to obchodzi, mam stuprocentowe alibi, możecie o mnie myśleć, co chcecie.

– Zerwał pan z Florą z powodu jej problemów seksualnych, Roy?

– To też byłby powód dla każdego normalnego człowieka. Ale to nie było tak, że tak

naprawdę ze sobą chodziliśmy. Byliśmy sąsiadami, razem dorastaliśmy. Nasi rodzice trzymali się razem, urządzali wspólne grille i tak dalej. Wszyscy jakby nas ze sobą zeswatali, wie pan, o co mi chodzi?

– Rodzicielskie plany matrymonialne – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Właśnie. „Flora to taka miła dziewczyna”. „Flora na pewno będzie dobrą matką”. I

podobałem się jej, więc dlaczego nie, pomyślałem, nie jest brzydka, mogłaby być niezła, gdyby umiała się ubierać. I pieprzyć. Ale bardziej się przyjaźniliśmy, niż chodziliśmy ze sobą. I tak wydałem na nią kupę forsy, kolacje z homarami i tak dalej. Kiedy ze sobą zerwaliśmy, wszystko było w porządku.

– Nie była zdenerwowana?

– Pewnie, że była, ale nie robiła scen, wie pan, o co mi chodzi? Trochę popłakała, ja jej powiedziałem, że zostaniemy przyjaciółmi i tyle.

– Zostaliście przyjaciółmi? – spytałem.

– Nie było między nami... wrogości.

– Widywaliście się jeszcze?

– Nie – powiedział Nichols, teraz patrząc na mnie podejrzliwie. Pogładził łysą głowę wielką dłonią, zdrapał płatek łuszczącej się od słońca skóry. – Spotykałem ją u rodziców. Nic do siebie nie mieliśmy.

– Te kolacje – powiedział Milo. – To był jakiś konkretny lokal?

Nichols spojrzał na niego.

– Homara zjem wszędzie, ale Flora lubiła taki lokal w Marina, przy porcie.

– Bobby J’s.

– Właśnie tam. Lubiała patrzeć na łodzie. Ale jak któregoś dnia zaproponowałem, że

zorganizuję rejs po Marinie, powiedziała, że ma chorobę morską. Cała Flora. Dużo mówiła, mało robiła.

– Flora miała iść do Bobby J's na drugie śniadanie następnego dnia po tym, jak została zamordowana. Razem ze swoim nowym chłopakiem.

– I?

Milo wzruszył ramionami.

– Nowy chłopak? Co, miałem o tym wiedzieć? Nie wmawiajcie mi tu, że ja byłem starym chłopakiem, ona mnie rzuciła, a ja się tym przejąłem, bo to gówno prawda.

– Panie Roy – powiedział Milo – abstrahując od problemów Flory, zakładam, że sypialiście ze sobą?

– Raczej próbowaliśmy. Flora umiała zrobić tak, że nogi miała jak sklezione. I zawsze miało się wrażenie, że się jej robi krzywdę. Moim zdaniem przez to właśnie wpadła w kłopoty. – Nichols wyzywająco wysunął podbródek. – Podpuściła jakiegoś gościa, a potem nie chciała mu dać. Nie wszyscy są tacy wyrozumiali jak ja. Równie dobrze mógł pęć ten jej nowy chłopak. Wyglądał mi na mięczaka, ale przecież to zawsze ci najspokojniejsi, prawda?

– Poznał go pan?

– Raz się spotkaliśmy. Flora przyprowadziła go do moich rodziców. Na Dziękczynienie, był wieczór, skończyliśmy właśnie się napychać. Drzemałem na kanapie – jak się najem, muszę poleżeć. Lisa i moja mama zmywały, a ja z tatą oglądaliśmy telewizję, a tu nagle dzwonek do drzwi. I wchodzi Flora, cała odstawiona, pod rękę z jakimś bladym wymoczkim z cudacznym wąsikiem. Facet wyglądał, jakby się zastanawiał: „Co ja tu, kurwa, robię?” Flora twierdziła, że przyszła odwiedzić moich rodziców, ale wiedziałem, że chciała mi pokazać, że świetnie sobie radzi beze mnie. Takie są kobiety.

Nichols szczerknął zębami.

– Jakby Pan Profesor mógł mi zaimponować. Sprawdziliście go?

– Nie ma pan wysokiego mniemania o panu Van Dyne.

– Nic do niego nie mam, cieszyłem się, że ją ma, może jemu się z nią udało. – Nichols się uśmiechnął. – A może i nie. To już wy musicie sprawdzić. Mogę już wracać zarobić parę groszy?

– Gdzie pan był w poniedziałek wieczorem, powiedzmy, między dziewiętnastą i dwudziestą pierwszą?

– W poniedziałek? Dlaczego? Co się stało w poniedziałek?

Milo podszedł bliżej. Obaj mieli oczy na tym samym poziomie, nosy rozdzielało zaledwie kilka centymetrów. Podbródek Nicholasa dalej wystawał, ale w jego spojrzeniu coś zamigotało i się wzdrygnął.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– W poniedziałek... byłem u rodziców. – Przyznanie się do tego sprawiło, że Nichols znów się zaczerwienił. Tym razem rumieniec doszedł mu do czoła. – Mieszkam tam, dopóki sobie czegoś nie znajdę.

– Na pewno był pan tam w poniedziałek wieczorem?

– Tak, na pewno. Wstaję codziennie o wpół do piątej, żeby zdążyć poćwiczyć, wziąć prysznic, zjeść porządne śniadanie i zdążyć do pracy na wpół do siódmej. Cały dzień zapieprzam, wracam do domu, znów ćwiczę, jem, oglądam telewizję, idę spać o wpół do dziewiątej. Tak wygląda moje szalone życie i jest mi z tym dobrze. Za to nie jest mi dobrze z tym, że przyłazicie tu i zawracacie mi głowę bez powodu. Nie muszę z wami rozmawiać, więc wracam do pracy. Patrzyliśmy, jak odchodzi kołyszącym krokiem.

– Pierwszą nagrodę w konkursie na Pana Uroczonego zdobyyyyyy!... – powiedziałem.

– Na krawędzi – stwierdził Milo.

– I się chwieje.

- Myślisz, że to nasz człowiek?
 - Jeśli jego alibi się nie potwierdzi, poważnie się nim zainteresuję.
 - Flora została zabita między północą a drugą. Twierdzi, że kumpel przywiózł go do domu tuż po północy, a żona obudziła go o drugiej. To brzmi zbyt idealnie, a nie widziałem wzmianki o tym w aktach.
 - A jeśli wrócił trochę wcześniej – powiedziałem – a Lisa obudziła go bliżej pierwszej? Obsobaczyła go, wykrzyczała wszystko, co jej leżało na sercu, i poszła spać, zostawiła go wściekłego i sfrustrowanego. Nie mógł zasnąć. Wstał, wyszedł z domu i pojechał do kogoś innego, kto go frustrował. Duży stres to bodziec w przypadku niektórych morderstw na tle seksualnym. Wielu bardziej zorganizowanych typów utrzymuje zewnętrznie stabilne małżeństwa, wyżywając się na innych kobietach.
 - Poprzytykałeś się z żoną, wyładuj się na byleją.
 - W tej chwili żyje w sporym stresie – powiedziałem. – Seksualnie naładowany facet, który wrócił do domu rodziców.
 - Gavin i blondynka – powiedział Milo. – Para, która właśnie zabiera się do seksu, odpala go, bo sam jest seksualną bombą.
 - Jego alibi na noc morderstwa Gavina i blondynki jest jeszcze bardziej kruche o tyle, że Nichols nie mieszka z rodzicami w jednym pokoju. Mógł swobodnie się wysliznąć, tak żeby o tym nie wiedzieli. Nawet jeśli będą twierdzić coś przeciwnego, to w końcu jego rodzice. Nichols szedł dalej w stronę rusztowania, ani razu się nie obejrzał. Patrzyliśmy, jak wspina się na pierwsze piętro, zakłada pas z narzędziami, przeciąga i podnosi nitownicę. Przeciągnął się jeszcze raz, w zamierzeniu od niechcenia, a potem przycisnął urządzenie do belki.
- Łup, łup, łup.
- Wynośmy się stąd – powiedział Milo i wróciliśmy do samochodu. Zjechaliśmy na

Sepulveda i pojechaliśmy na północ, w stronę Los Angeles. Bulwar był zapchany, a jazda powolna. Powietrze, gorące i nieruchome, wydawało się napierać na drzwi samochodu. Dużo spojrzeń dookoła. Wszyscy wiedzieli, że to nieoznakowany policyjny wóz. Nawet gdybyśmy siedzieli w garbusie, niespokojne oczy Mila by go zdradziły.

– Chciałbym tylko wiedzieć – powiedział – dlaczego Lorraine i Al nie wpisali Nicholasa do książki morderstwa.

– Zapytasz ją?

– Tak właśnie zrobię, kochany. Otwartość, uczciwość, szczerłość.

– Będzie wesoło.

– Daj spokój – powiedział. – Będę delikatny.

Włączył policyjne radio, posłuchał przez kilka chwil wezwań do przestępstw.

– Kocham to miasto – mruknął i zmniejszył głośność do zera.

– Nawet jeśli Nichols jest niewinny – powiedziałem – udzielił nam ważnych informacji.

– O problemach seksualnych Flory?

– Może to powód, dla którego poszła na terapię. To by tłumaczyło, dlaczego nie powiedziała o tym Van Dyne'owi. Jeśli się nad tym zastanowić, opisał ją też jako dość chłodną na zewnątrz.

Chronologia się zgadza, zaczęła terapię po tym, jak Nichols ją rzucił i zanim poznała Van Dyne'a. Nichols twierdzi, że był dżentelmenem, ale na pewno brutalnie jasno dał do zrozumienia, dlaczego chce skończyć związek.

– Pan Taktowny – powiedział Milo. – „Hej, suko, rozkładaj nogi albo szukaj innego frajera”.

– Kiedy Flora doszła już do siebie, mogła dojść do wniosku, że rzeczywiście ma problem.

Fakt, że w przypadku zaburzeń seksualnych wybrała terapeutkę, kobietę, też ma sens.

– Koppel prowadzi też terapię seksualną?

– Wygląda na to, że jest bardzo mało rzeczy, których nie robi.

Światło zmieniło się na czerwone i Milo dotoczył się do sygnalizatora. Nad nami zaryczał schodzący do lądowania jumbo jet.

– Zakładając, że alibi Nicholasa się potwierdzi – powiedziałem, kiedy hałas ucichł – będziesz miał odwagę stawić czoło następnej teorii?

– W tej chwili zgodzę się nawet na astrologa.

– W ramach terapii Koppel zachęciła Florę, żeby ta była nieco odważniejsza i bardziej asertywna, i dziewczyna zaczęła ryzykować. To standardowa procedura w takich przypadkach.

– Jak ryzykować?

– Zaczynać rozmowy z obcymi, może nawet dawać się podrywać. I wybrała niewłaściwego faceta. Co może nas prowadzić z powrotem do biura zwolnień warunkowych. A jeśli Flora zadała się ze skazańcem? Z jakimś agresywnym supermacho, takim jak Roy Nichols, ale bez sąsiedzkiej zażyłości, która trzymała go na wodzy. Morderstwo mogło być efektem seksualnej eskapady, która posunęła się za daleko. Albo Flora zmieniła zdanie i zapłaciła za to straszną cenę.

– Jak w *W poszukiwaniu pana Goodbara* – powiedział Milo. – Tamta dziewczyna też była nauczycielką, ale samotną, i prowadziła drugie życie. Flora była zaręczona z Van Dyne’em. I spotykała się z nim, kiedy zginęła. Twierdzisz, że Panna Pruderyjna zdradziła narzeczonego z jakimś bandziorem?

– Jeśli to był bandzior, poznała go, zanim zaczęła z Van Dyne’em. Chodzi mi o to, że mogła mieć kogoś na boku.

– Drugie życie.

– A może Flora zerwała z tym skazańcem, kiedy poznała Van Dyne’a, a on nie chciał się z tym pogodzić? Nie było śladów włamania, to mogło oznaczać kogoś, kogo Flora знаła, albo doświadczonego włamywacza. Albo jedno i drugie.

– Flora powiedziała matce i Van Dyne’owi, że nienawidzi pracy w biurze zwolnień przez

męty, jakie tam spotyka. Myślisz, że kłamała?

– Ludzie szufladkują swoje życie.

Światło zmieniło się na zielone i ruszyliśmy razem z resztą samochodowego ślimaka. Niebo było brunatne nad horyzontem, blado-krwiste w miejscach, gdzie przebijało się słońce. Milo znów podkręcił radio, posłuchał wezwań, ściszył.

– Zdradzała Van Dyne’a z Panem Niegrzecznym – powiedział. – A może Van Dyne dowiedział się o czymś, o czym miał się nie dowiadywać, i dostał furii. Cholera, przecież wcale nie musi być taki niewinny, jak się wydaje.

Rozważyłem to.

– Matka Flory sugerowała, że Van Dyne nie był męski. Mogła to usłyszeć od Flory. A jego alibi wcale nie było lepsze niż Roya.

– Więc może nie tylko ona miała seksualne problemy. A może stary Brian też nie może?

Taki cichy facet mógłby się tym bardzo sfrustrować.

Podkręcił głośność – nieprzerwany monolog dyżurnego wydawał się go uspokajać. Korek podpełził jeszcze kilka metrów do przodu, a Milo gwałtownie zmienił stację. Złapał jakiś talk-show, posłuchał, jak prowadzący łaja dzwoniącego za podziwianie prezydenta, po raz kolejny ściszył radio.

– Ogden i Al McKinley nie wpisali Nicholasa do książki, ale przepytawali go przez dwa dni.

Staruszek Brian nie dostał nawet tego... Ale co tam, to nawet nie jest moja sprawa. Dopóki nie będzie jakiegoś związku z Gavinem i blondynką.

Znów włączył talk-show. Prowadzący łajał dzwoniącą za uchylanie się od odpowiedzialności za własną otyłość. Przerwał jej wywód i usłyszeliśmy reklamę ziołowego preparatu na odchudzanie.

– Co sądzisz o tych programach? – spytał Milo.

– To nadużycie wolności słowa – odparłem. – I zwykle chamstwo. Lubisz je?

– Nie, chamstwa mam dość w pracy, ale według dzisiejszej gazety, za godzinę ma mówić nasza Mary Lou.

– Naprawdę? – powiedziałem.

– Chcesz posłuchać?

– Wierzę, że człowiek uczy się przez całe życie.

Rozdział 14

Milo poszedł porozmawiać z Lorraine Ogden, a ja usiadłem przy jego biurku i przejrzałem książkę morderstwa Gavina Quicka. Nic nowego. Przeszedłem do teczki Flory Newsome.

Tu też żadnych postępów. Milo wrócił pięć minut później, czerwony na twarzy, kręcąc głową.

Zwolniłem jego fotel, ale przysiadł na krawędzi biurka, rozprostował nogi, rozluźnił krawat.

– Moja wrażliwość zawiodła. Poruszyłem kwestię Nicholasa, a Lorraine powiedziała mi, że urobiła się przy tej sprawie po łokcie i nie będę jej sprawdzał. Powiedziała, że powinienem się trzymać swojej sprawy, że jak się nad tym zastanowić, wcale nie są do siebie podobne, jej mam w to nie mieszać. Potem rzuciła mi w twarz to.

Podał mi pogniecioną kartkę, którą rozprostowałem. Raport balistyczny z laboratorium, z pieczętką Priorytet i podpisem detektyw L.L. Ogden. Porównanie dwudziestki dwójki, z której zabito Gavina i blondynkę, z bronią, która zakończyła życie Flory. Test podpisał technik o nazwisku Nishiyama.

Podobna broń, prawdopodobnie tania, importowana, półautomatyczna, ale nie pasuje.

– Coś takiego – powiedziałem – można użyć, wyrzucić, kupić nowe.

– Wszystko jest możliwe, ale byłoby o wiele milej, gdyby jednak coś się zgadzało. Teraz wkurzyłem koleżankę i nie zbliżyłem się nawet na krok do rozwiązania.

– To detektyw drugiego stopnia, ty jesteś porucznikiem. Myślałem, że hierarchia służbowa jest u was wyraźniejsza.

– Tylko na papierze. Mój brak obowiązków administracyjnych jest obosieczny, wszyscy wiedzą, że nic nie mogę. – Przejrzał wiadomości. – Wygląda na to, że z blondynką dalej nic... – Spojrzał na zegarek. – Koppel na antenie.

Włączył radio na biurku i złapał właściwą stację. Nowy prowadzący, to samo stężenie pogardy. Kłótnia o rasowe podziały; ten redaktor akurat był przeciw.

– Jasne – powiedział Milo – sprawdzajmy dalej buty babci na lotnisku, a pan Hamas sobie spokojnie wchodzi i wychodzi.

– *Dobrze, kochani* – powiedział prowadzący – *mówi Tom Curlie, zbliża się pełna godzina i w każdej chwili spodziewamy się następnego gościa. Doktor Mary Lou Koppel, znany psychiatra, każdy kto nas słucha wie, że była już u nas wcześniej i że jest mądra... A każdy kto nas nie słucha, komu jesteście w ogóle potrzebni, he, he... Dzisiaj będziemy rozmawiać o... co to... Mój dźwiękowiec, jak zwykle pełen charyzmy Gary informuje mnie, że doktor Koppel się spóźnia... Niech pani coś zrobi ze swoją punktualnością, pani doktor. Może pójdzie do psychiatry, he, he, he... Tymczasem my porozmawiamy sobie o ubezpieczeniach samochodowych. Wjechał w was kiedyś z tyłu jeden z tych wariatów, których wszędzie pełno jak najeźdźców z kosmosu? Wiecie, o kim mówię: nieprzytomni, czubki z komórkami przy uszach albo po prostu – zwykli marni kierowcy. Czy któryś z nich pogiął wam zderzak? Albo zrobił coś gorszego? W takim razie znacie wartość dobrego ubezpieczenia, a ubezpieczenia Low-Ball Insurance są jednymi z najlepszych...*

– Koppel to psycholog – powiedział Milo – a nie psychiatra.

– Po co zawracać sobie głowę faktami?

Tom Curlie zakończył swoje pienia i usłyszeliśmy z taśmy reklamę druków prawnych do samodzielnego wypełniania. Potem kobieta o zduszonym głosie przeczytała prognozę pogody i

stan korków.

Następna reklama – Tom Curlie zawodził na temat czegoś o nazwie Boska Mocha, co można było dostać w każdej filii CafeCafe.

– *Enigmatyczny, a zarazem bardzo przyziemny Gary* – powiedział w końcu – *informuje mnie, że doktor Mary Lou Koppel, nasz gość psychiatra, wciąż nie dojechała jeszcze do studia, i że nie odbiera komórki. Cyk, cyk, Mary Lou, właśnie oficjalnie spadłaś z listy uprzywilejowanych gości Toma Curlie, bo Tom Curlie znaczy punktualność, osobista odpowiedzialność i wszystkie pozostałe cnoty, dzięki którym ten kraj jest taki wspaniały. Mimo tego, że kraj ten, w chwili zaćmienia umysłu, wybrał sobie prezydenta, który nie umie się wysłowić... Dobra, komu ona potrzebna, kochani? Porozmawiajmy o psychiatrach i o tym, dlaczego sami są tak szurnięci. To znaczy, tylko ja to widzę, czy naprawdę wszyscy są trochę nie tego? I co wy na to? Ktoś zostaje psychiatrą, bo sam ma źle poukładane w głowie? A może to kwestia nieszczęśliwego dzieciństwa, he, he, he? Co o tym sądzicie, dalej, dzwońcie i powiedzcie mi o tym, I 888 Tom Curlie. Proszę, zapalają się kolejne linie, moim pierwszym rozmówcą jest Fred z Downey. Cześć, Fred. Byłeś ostatnio u psychiatry?*

– *Cześć, Tom. Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że słucham cię codziennie i jesteś naprawdę super...*

– *Doskonała ocena, Fred, ale co z psychiatrami, tymi lekarzami umysłów, czarownikami wudu? Myślisz, że wiosłują jednym wiosłem, mrugają jednym okiem, cierpią na zastój mózgu, tańczą z cieniami w salonie luster? Czy o to chodzi, Fred? Czy zostali lekarzami głów, bo sami chorują na głowę?*

– *No, Tom, ogólnie rzecz biorąc, Tom, znam ich. To było jakieś dwanaście lat temu, siedziałem sobie pod gwiazdami, nie wadząc nikomu, a oni mnie porwali i włożyli mi elektrody w...*

Miło wyłączył radio.

– Cywilizacja i jej braki – powiedziałem.

– Raczej malkontenci. Może Lorraine ma rację i powinienem bardziej się skupić na Gavinie.

Zadzwonię do tych dzieciaków, które brały udział w wypadku, zobaczę, czego się dowiem. Poza tym spróbuję się umówić z jego dziewczyną, Kaylą Bartell, bez jej starego nad głową.

– Cały czas zamierzasz jeszcze raz przesłuchać Koppel?

– To też. – Usiadł w fotelu. – Najwyraźniej nie ma jej w gabinecie albo ten idiota by się z nią skontaktował. Najpierw trochę podzwoimy, a potem może wpadniemy do niej za dwie godzinki? Albo później, jeśli wolisz.

– Dwie mogą być. Chcesz, żebym spróbował pogadać z Kaylą?

– Jeżeli zobaczysz ją na ulicy, proszę bardzo – powiedział Milo. – Ale skoro to Beverly Hills, a jej ojciec jest taki spięty, lepiej trzymajmy się protokołu.

– Wizyty tylko w obecności policjanta na służbie.

– Jakikolwiek by on był.

Jechałem w stronę domu, słuchając Toma Curlie. Mary Lou Koppel nie przyjechała, a Curlie więcej o niej nie wspomniał. Dawał na przemian reklamy i telefony od smutnych, pełnych złości słuchaczy, potem zapowiedział następnego gościa – prawnika specjalizującego się w pozywaniu do sądu sieci fast foodów za dyskryminację rasową i parzenie zbyt gorącej kawy.

– Nie znam się na tym, Bill – powiedział Tom Curlie – ale ja osobiście pozamykałbym ich wszystkich po prostu za kiepskie żarcie.

Zamiast udać się do domu, pojechałem prosto Beverly Hills i minąłem dom Quicków. Na podjeździe stał ten sam biały minivan, ale mercedesa nie było. Zastony były zaciągnięte, a na schodach piętrzył się stosik całodzienniej poczty. Ogrodnik strzygł żywopłot. Obok przeszła anorektyczka z czarnym chow-chow na smyczy. Pies wyglądał na naćpanego. Półtorej przecznicy

dalej na Wilshire przemykały samochody. Rodzina została rozdarta, ale świat kręcił się dalej. Zawróciłem, ruszyłem na północ przez dzielnicę biznesu, wjechałem na Flats, pokrzyłem przy posiadłości Bartellów. W świetle dziennym dom był jeszcze większy, kwadratowy i biały jak świeża kostka mydła. Ogrodzenie wyglądało jak więzienny płot. Garaż na cztery samochody był zamknięty, ale czerwony jeep grand cherokee stał na biegu tuż za elektrycznie otwieraną bramą.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i patrzyłem, jak brama się otwiera, a Kayla Bartell wypada na jezdnię. Rozmawiała przez komórkę. Skręciła w prawo, nie patrząc, czy nic nie jedzie, i popędziła w stronę Santa Monica Boulevard. Mówiła bez przerwy, z ożywieniem, nie mając pojęcia, że jadę za nią, kiedy przetacza się powoli przez znak stopu przy Elevado i zupełnie ignoruje drugi, przy Carmelita. Bez kierunkowskazu skręciła ryzykownie w lewo, w Santa Monica i pojechała na wschód, jedną ręką wciąż trzymając telefon. Drugą kierowała – czasami odrywała ją od kierownicy, zaczynała gestykulować, a samochód zjeżdżał na sąsiedni pas. Kierowcy w większości zachowywali dystans, dopóki inna młoda kobieta w porsche boxsterze nie zatrąbiła i nie pokazała Kayli środkowego palca.

Kayla ją zignorowała, trąkotała dalej, dotarła na Canon Drive, pojechała na południe i zaparkowała w zaułku za salonem fryzjerskim Umberto. Parkingowy przytrzymał jej drzwi, a Kayla wyskoczyła na chodnik, ubrana w czarny top odsłaniający brzuch, czarne skórzane spodnie i buty na wysokim obcasie. Na głowie miała baseballówkę ze srebrną lamówką. Blond kucyk przełożyła nad opaską regulującą.

Nie dała napiwku parkingowemu, tylko się uśmiechnęła. Ktoś powiedział jej, że to wystarczy. Weszła do salonu sprężystym krokiem.

– Strzyżenie za dwieście dolarów – powiedział Milo. – Ach, młodość.

Siedzieliśmy w seville'u, a ja prowadziłem go na wschód Olympic, w kierunku gabinetu

Mary Lou Koppel.

– Skontaktowałeś się z chłopakami z wypadku? – spytałem.

– Z oboma, potwierdzili to, co powiedzieli nam Quickowie. Gavin siedział z tyłu, wciśnięty między nich. Kiedy samochód zderzył się z urwiskiem, byli przypięci pasami i tylko rzuciło ich kilka razy z boku na bok. Ale siła uderzenia wypchnęła Gavina do przodu i uderzył głową w fotel kierowcy. Jeden z nich powiedział, że wystrzelił jak banan ze skórki. Obaj twierdzili, że Gavin był fajnym gościem, ale bardzo się zmienił. Przestał być towarzyski, oddalił się od nich. Pytałem, czy zaczął mieć problemy z myśleniem. Zawahali się. Nie chcieli go obgadywać. Kiedy zacząłem drażnić, potwierdzili, że zrobił się trochę tępy. Po prostu nie był już sobą.

– Wspominali coś o obsesyjnych zachowaniach?

– Nie, ale nie widzieli się z nim już od jakiegoś czasu. Wstrząsnęło nimi jego morderstwo.

Żaden nie miał pojęcia, kto mógłby chcieć zrobić mu krzywdę, nie wiedzieli też o żadnej blondynce, z którą by się umawiał, oprócz Kayli. Jeden z nich nazwał ją „rozpuszczoną małą wiedźmą”.

– Anonimowa blondynka – powiedziałem.

– Dzwoniłem do telewizji – powiedział Milo – pytałem, czy puściliby zdjęcie. Powiedzieli, że nie, że to zbyt straszne, ale gdybym przyniósł im rysunek, który jakoś by je złagodził, mogliby. O ile zmieści się w czasie antenowym. Wysłałem kopię zdjęcia do jednego z naszych rysowników, zobaczymy. Może gazety wydrukują samo zdjęcie. Użyczą biednej małej piętnastu sekund sławy.

– Zbyt straszne – powiedziałem. – Oni na pewno oglądają tę samą telewizję, co ja?

Milo się zaśmiał.

– Media mówią o służbie społeczeństwu, ale sprzedają czas reklamowy. Alex, to przypominało wciskanie scenariusza jakiemuś dupkowi z show-biznesu. Co z tego będę miał; ja,

ja, ja i jeszcze raz ja... Dobra, jesteśmy, zajedź od tyłu, zobaczymy, czy stoi tam mercedes Mary Lou?

Nie stał, ale i tak zaparkowaliśmy i weszliśmy do budynku. Drzwi do Usług

Psychologicznych Pacifica były otwarte. Tym razem poczekalnia nie była pusta. Wysoka kobieta koło czterdziestki chodziła w tę i z powrotem, wykręcając ręce. Była ubrana w szary trykot, białe sportowe skarpetki i różowe nike'i. Miała długie nogi, maleńki korpus i krótkie, czarne, nastroszone włosy zaczesane do przodu. Niebieskie oczy, zapadnięte, podkrążone i zbyt jasne, kontrastowały z czerwoną i błyszczącą twarzą, koloru puszkowanego łososa. Wzdłuż linii włosów i koło uszu łuszczyła się skóra – niedawny peeling. Wyraz jej twarzy mówił, że przywykła do maltretowania, ale zaczyna tego nie lubić. Zignorowała nas, nie przerywając chodzenia.

Wszystkie trzy guziki były czerwone.

Doktorzy Gull, Koppel i Larsen leczyli dusze.

– Ciekawe, kiedy kończy się jej sesja – powiedział Milo.

Czarnowłosa kobieta nie przestała chodzić.

– Jeśli mówi pan o doktor Koppel – powiedziała – niech pan weźmie numerkę. Moja wizyta miała się zacząć dwadzieścia minut temu.

Dwa razy przemierzyła poczekalnię, skubnęła włosy, zatrzymała się, żeby zbadać leżące na stoliku pisma. Wybrała „Współczesne Zdrowie”, przejrzała je, złożone włożyła pod pachę, znów maszerując.

– Dwadzieścia trzy minuty. Lepiej, żeby to był jakiś nagły wypadek.

– Zazwyczaj jest dość punktualna – powiedział Milo.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła. Twarz miała napiętą, a jednocześnie ściągniętą. W jej oczach czaił się strach, jakby patrzyła na zaćmienie.

– Nie jesteście panowie pacjentami – powiedziała.

– Nie jesteśmy? – spytał Milo lekkim tonem.

– Nie, nie, nie, nie. Wyglądacie jak... Co tu robicie?

Wzruszył ramionami, rozpiął marynarkę.

– Czekamy, żeby porozmawiać z doktor Koppel, proszę pani...

– Nie możecie! – krzyknęła kobieta. – Ja jestem następna! Muszę się z nią widzieć!

Milo zerknął na mnie, błagając o pomoc.

– Oczywiście – powiedziałem. – To pani czas. Wyjdziemy, wrócimy później.

– Nie! – zaprotestowała. – To znaczy... Nie musicie iść, nie jestem u siebie, nie wolno mi aż tak zaznaczać swojego ja. Zamrugła, powstrzymując łzy.

– Chcę tylko mieć mój czas. Mój własny czas, to nie jest za bardzo narcystyczne?

– Wcale nie.

– Mój były mąż twierdzi, że jestem nieuleczalnym narcyzem.

– Ach, ci byli – powiedziałem.

Przyjrzała się mi, sprawdzając, czy mówię szczerze. Musiałem zdać test, bo się uśmiechnęła.

– Możecie panowie usiąść – powiedziała.

Usiedliśmy.

W poczekalni przez następne piętnaście minut było cicho. Przez pierwsze pięć kobieta czytała swoje pismo. Potem przedstawiła się jako Bridget. Odwróciła spojrzenie z powrotem na kolorowe strony, ale nie wkładała w to serca. Na jej skroni pulsowała żyła, tak wyraźnie, że widziałem ją z drugiego końca pomieszczenia. Bridget zaciskała i prostowała dłonie, kręciła głową od pisma do czerwonych guzików.

– Nie rozumiem! – powiedziała w końcu.

– Zadzwońmy do niej – powiedziałem. – Odbierze jej poczta, może powiedzą nam, czy coś

się stało.

– Tak – powiedziała Bridget. – Tak, to dobry plan.

Milo wyjął telefon, Bridget wyrecytowała numer, a on go wstukał. Co za zgranie.

– Z doktor Koppel, proszę – powiedział. – Porucznik Sturgis, zna mnie... Co? Na pewno? Bo jestem w jej poczekalni, a jej światelko „zajęte” jest włączone...

Wyłączył telefon.

– Co, co? – dopytywała się Bridget.

– Jej poczta twierdzi, że nie zgłaszała się dzisiaj rano, jak to zwykle robiła, i nie mają pojęcia, gdzie jest. Miała dwóch pacjentów rano przed wywiadem, do nich też nie przyszła.

– Niech ją szlag! – krzyknęła Bridget. – To dopiero kurewski narcyzm! Porwała torebkę, pobiegła do drzwi, otworzyła je szarpnięciem i zatrzasnęła za sobą. Pozostała po niej kwaśna cisza.

– Tak sobie myślę – powiedział Milo – że wolę moją robotę niż twoją.

Pięć minut później załomotał do drzwi wewnętrznych gabinetów. Stłumiony męski głos powiedział coś, co mogło być: „Chwileczkę!” i drzwi odrobinę się uchyliły. Oczy, które wyjrzały ze szpary, były bladobrązowe i nieco ukośne, za ośmiokątnymi okularami. Analityczne.

Nierozbawione.

– Co się tu dzieje? – Dobrze modulowany głos, zabarwiony nordyckim akcentem. To, co widziałem z twarzy mężczyzny, było gładkie i rumiane, podbródek, pokryty przystrzyżoną, blond szarą bródką, przechodził w miękkie ciało. Na środku bródky znajdowały się wąskie, sztywne usta.

– Policja – powiedział Milo. – Szukamy doktor Koppel.

– Policja? I dobijacie się do drzwi? – Mówił spokojnym głosem, prawie rozbawionym pomimo irytacji.

– Pan.

– Doktor Larsen. Jestem właśnie w trakcie sesji z pacjentem i wolałbym, żebyście panowie wyszli. Dlaczego szukacie Mary Lou?

– Nie mogę o tym rozmawiać, proszę pana.

Albin Larsen zamrugął oczami.

– Jak pan sobie życzy.

Zaczął zamykać drzwi. Milo je przytrzymał.

– Panie władzo...

– Jej lampka sesji się świeci – powiedział Milo – ale jej samej nie ma.

Drzwi otworzyły się szerzej i Larsen wyszedł. Miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt kilka lat, spulchniało go jakieś dziesięć kilo nadwagi, a siwiejące włosy przyciął po wojskowemu, tylko trochę dłużej. Zielona, ręcznie robiona na drutach kamizelka na jasnoniebieską koszulę, wyprasowane spodnie, wypolerowane do połysku brązowe pantofle.

Dłuższą chwilę taksował nas wzrokiem.

– Nie ma? Skąd panowie to wiecie?

Milo streścił mu swoją rozmowę z dyżurnym poczty.

– Ach – powiedział Larsen. Uśmiechnął się. – To o niczym nie świadczy. Doktor Koppel mogła zostać wezwana do kryzysu i po prostu zaniedbać zgłoszenia się w poczcie.

– Kryzysu tutaj, w gabinecie?

– Nasza profesja aż wrze od kryzysów.

– Często?

– Wystarczająco często – powiedział Larsen. – Sugeruję, że najlepszym sposobem rozwiązania tej sytuacji będzie, jeśli zostawi mi pan swoją wizytówkę, a ja dopilnuję...

– Widział ją pan dzisiaj, doktorze?

- Nie. Od ósmej rano mam komplet pacjentów. Tak samo Franco, doktor Gull. Wszyscy mamy bardzo napięte rozkłady i staramy się umawiać pacjentów naprzemiennie, żeby uniknąć tłoku w poczekalni.
- Larsen podciągnął rękaw koszuli, odsłaniając różowozłotego, starego roleksa.
- Za dziesięć minut mam następne spotkanie i zostawiłem pacjenta czekającego w gabinecie, co jest straszliwie niesprawiedliwe i nieprofesjonalne. Proszę więc uprzejmie, żeby zechciał pan zostawić mi swoją wizytówkę, a...
- A może zajrzemy i zobaczymy, czy doktor Koppel jest w gabinecie?
- Albin Larsen zaczął krzyżować ręce na piersi, ale się powstrzymał.
- To by było niestosowne.
- W przeciwnym razie, obawiam się, będziemy musieli poczekać tutaj, doktorze Larsen.
- Sztywne usta Larsena zrobiły się jeszcze mniejsze.
- Sądzę, że gdyby poświęcił pan minutę na refleksję, zgodziłby się pan, że postępuje brutalnie.
- Bez wątplenia – odparł Milo. Usiadł i wziął „Współczesne Zdrowie”, porzucone przez kobietę po peelingu.
- Larsen odwrócił się do mnie, jakby mając nadzieję na jakiś rozsądny argument.
- Opuściłem wzrok na dywan.
- Bardzo dobrze – powiedział. – Pójdę sprawdzić.
- Cofnął się do wewnętrznego korytarza i zamknął drzwi. Kilka sekund później wrócił, z niezmiennym wyrazem twarzy.
- Nie ma jej tam. Nie rozumiem tego, ale na pewno musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Teraz niestety muszę wracać do pacjentów. Jeśli upierają się panowie, by tu zostać, proszę, abyście nie robili burd.

Rozdział 15

To właśnie – powiedział Milo, kiedy opuszczaliśmy budynek – był prawdziwy psycholog.

Niewzruszony, spokojny, analizujący wszystko, co się do niego powie.

– Ja się pod to nie łapię?

– Ty, mój przyjacielu, jesteś aberracją.

– Jestem za mało niewzruszony?

– Za bardzo ludzki. Zajrzyjmy do domu doktor K. Masz czas?

– Jasne – powiedziałem. – Zobaczmy, jak mieszkają prawdziwi psychologowie.

Według danych wydziału komunikacji Mary Lou Koppel mieszkała przy McConnell Drive, w Cheviot Hills.

Pojechałem na zachód, za Century City skręciłem na południe w Pico. Kilometr prosto, obok Rancho Park i radaru gliniarza o kamiennej twarzy. Milo mu pomachał, ale policjant nie odpowiedział. McConnell była uroczą uliczką, wijącą się wśród wzgórz i w przeciwieństwie do zdyscyplinowanych ogrodniczo arterii Beverly Hills przystrojona w odważną mieszaninę drzew. Dom Koppel był dwukondygnacyjnym, ceglanym tudorem, wznoszącym się na wysokim pagórku nad trzydziestoma kamiennymi stopniami. Stromy podjazd stanowił wyzwanie dla samochodu ze słabym silnikiem. Nigdzie nie widziałem mercedesa, ale drzwi do garażu były zamknięte..

– Może przestraszyła się dwóch morderstw w swojej praktyce bardziej, niż dała po sobie poznać – powiedział Milo – i postanowiła zrobić sobie małe wakacje.

– Nie zawiadamiając pacjentów?

– Strach potrafi zrobić z człowiekiem coś takiego. –Milo zmierzył wzrokiem schody. –

Dobra, podaj haki i ruszamy w górę. Jak sobie radzisz z reanimacją?

Poszedł pierwszy, mrucząc: „Przynajmniej widok jest niezły”, a ja szedłem dwa kroki za

nim. Kiedy dotarliśmy na górę, sapał i dyszał.

– Nie... potrzebuję... – wykrztusił – cholernej... siłowni.

Z bliska dom był ślicznie utrzymany – okna lśniły, miedziane rynny nie miały nawet plamki, drzwi z rzeźbionego dębu były świeżo polakierowane. Fronton ze starej cegły łagodziły paprocie, kolokazje, papirusy i białe róże. Zadaszony ganek tonął w zapachu rosnących w kamiennej donicy ziół. Centrum małego, idealnego trawniczka stanowiła wielopienna jakaranda. Między gałęziami widać było panoramę wschodu: basen Los Angeles i góry San Gabriel. Mimo smogu widok przyprawiał o zawrót głowy. Milo zadzwonił do drzwi, a ja patrzyłem na tę przestrzeń i myślałem to, co zawsze myślę: o wiele za dużo jak na jedno miasto.

Nikt nie otworzył. Milo zadzwonił jeszcze raz, potem zapukał.

– Skoro nie ma jej samochodu – powiedział – to żadna niespodzianka, ale sprawdźmy dokładnie.

Obeszliśmy dom od lewej i weszliśmy na małe podwórko, zajęte w większości przez basen i gęstą roślinność. Wysokie fikusy po trzech stronach powstrzymywały ciekawość sąsiadów. Basen był wyłożony szarymi płytkami i nieskazitelnie czysty. Na zadaszonym patio stały: ceglany grill, meble ogrodowe i kwiaty w donicach. Z belki dachu zwisał karmnik dla kolibrów, a w kącie bulgotała przyjemnie miniaturowa fontanna z bambusowej rurki i beczułki.

Cała tylna ściana składała się z rozsuwanych, szklanych drzwi. Trzy pary były zasłonięte od środka zasłonami. Milo podszedł do czwartej i zajrzał do środka.

– Ojej – powiedział.

Podszedłem, żeby spojrzeć.

Pokój był zastawiony białymi, skórzanymi kanapami, szklanymi stolikami, barkiem z dębu i granitu i szerokim na półtora metra plazmowym telewizorem z towarzyszącymi mu bajerami audio. W telewizji leciał teleturniej. Rozentuzjasmowani przeciwnicy podskakiwali jak na

trampolinach. Wszystko w świetnych kolorach i jakości.

Po lewej stronie, na jednej ze skórzanych kanap siedziała Mary Lou Koppel, twarzą do nas, tyłem do telewizora. Miała szeroko rozrzucone kończyny, głowę odrzuconą w tył, otwarte usta i oczy wpatrzone w sklepiiony sufit.

Martwo wpatrzone. Z jej piersi sterczało coś długiego i srebrnego, a koloru jej twarzy nie umiałaby przybrać żadna żywa istota.

Wszędzie dookoła biała skóra była zbryzgana rdzawą czerwienią.

Nie weszliśmy do środka. Milo zadzwonił po techników, koronera i dwa radiowozy, żeby ktoś stał na warcie. Dwadzieścia minut później w domu kłębił się tłum.

Koronerem była Azjatka, która słabo mówiła po angielsku i wysliznęła się bez zbędnych dyskusji.

– Choć mówi, że jest cała twoja – powiedział śledczy z biura koronera, potężny, siwowąsy mężczyzna, Arnold Mattingly.

– Poszła? – Milo zmarszczył czoło.

– Ma więcej roboty, niż my kiedykolwiek będziemy mieli – powiedział Mattingly. – W kostnicy nazbierało się sporo trupów.

– Podała ci raport wstępny?

– Wygląda na to, że Koppel została dźgnięta w pierś nożem do listów, do tego ktoś przestrzelił jej głowę. Wiem, że lubisz sam rozpisywać kartę denata, ale jeśli chcesz kopię mojej, zrobię ci odbitkę.

– Dzięki, Arnie. Co było pierwsze, nóż czy strzał?

– Ja tego nie zgadnę, a Cho dzisiaj za wiele nie mówi. – Przysłonił usta dłonią, ale nie ściszył głosu. – Mąż ją zostawił.

– Szkoda – powiedział Milo.

– Fajna babka – powiedział Mattingly. – Naprawdę. W każdym razie, jeśli chcesz znać moje zdanie, wokół rany od noża było dużo krwi. Obficie, jak to mówią. A przy ranie po kuli tylko cienki strumyczek, bardziej osocze niż krew.

– Serce biło, kiedy ktoś ją dźgnął.

– Gdybym miał się zakładać – powiedział Mattingly.

– Broń małego kalibru?

– Na to wygląda. Koppel to ta psycholog, prawda?

– Znasz ją, Arnie?

– Moja żona słucha jej w radiu. Twierdzi, że przemawia przez nią zdrowy rozsądek. To ja pytam, dlaczego trzeba jej płacić? – Pokręcił głową. – Żona dostanie apopleksji, kiedy jej powiem... Mogę powiedzieć, prawda?

– Proszę bardzo – powiedział Milo. – Możesz zadzwonić do radia, jak chcesz. Jeszcze jakieś pomysły?

– Co to, dzień zgadywanek?

– Dzień do dupy. Jestem otwarty na sugestie.

– Jestem tylko marnym pracownikiem służby publicznej. – Mattingly podrapał się w głowę.

– Gdybym miał zgadywać, to w jej zawodzie... Może podpadła jakiemuś wariatowi.

Miałem wrażenie, że dopiero teraz mnie zauważył.

– Mogło tak być, doktorze?

– Jak najbardziej.

Mattingly wyszczerzył się w uśmiechu.

– To właśnie najbardziej podoba mi się w mojej pracy. Miewam rację. A kiedy wracam do domu, zamieniam się w idiotę.

Zebrał swój sprzęt i wyszedł.

– Zadzwoń do radia – powiedziałem. – Może tego właśnie nam potrzeba.

Chwilę potrwało, zanim technicy skończyli zbierać odciski palców, szukać śladów butów, krwi i innych płynów ustrojowych w pozostałych pomieszczeniach, oznak włamania czy walki.

Na narzędziu zbrodni nic nie było. Nie dowiedzieliśmy się niczego oprócz oczywistego faktu, że nóż do papieru, antyczny, z kościaną rękojeścią i ostrzem z najwyższej próby srebra, pochodził z biurka gabinetu Koppel.

Kiedy dom opustoszał, Milo zaczął upokarzające przeszukiwanie, które przechodzą wszystkie ofiary zabójstw.

Przejrzał szafkę z lekarstwami w łazience Koppel. Znalazł tam zwykłe środki toaletowe plus pigułki antykoncepcyjne, krążek dopochwowy i prezerwatywy (Ostrożna dziewczyna), lek na alergię, maść na grzybicę, paracetamol, ibuprofen, peptobismol i lekarskie próbki ambienu na sen.

– Wszystkim doradzała, a sama nie mogła spać – powiedział Milo. – Coś ją dręczyło?

Wzruszyłem ramionami.

Sypialnia była przytulnym, miękkim studium zieleni szaławii i łososiowego różu. Na łóżku leżała pikowana narzuta, wszystko było idealnie ustawione.

Milo przeszukał szafę pełną czerni i czerwieni. W szufladach znalazł bieliznę do spania – od miękkiej flaneli po skąpe kostiumy rodem z porno-shopu. Podniósł parę majteczek z imitacji lamparciej skóry, z wycięciem w kroczu.

– Czegoś takiego nie kupuje się dla siebie. Ciekawe, kto z nią sypiał. Na dnie szuflady znalazł srebrny vibrator w aksamitnym woreczku.

– Wszystkie rodzaje miłości – mruknął.

– Nie przepadałem za Mary Lou Koppel, ale odsłanianie archeologii jej życia było przygnębiające.

Wyszliśmy z sypialni i wróciliśmy do gabinetu, żeby Milo mógł przejrzeć papiery. Nie musieliśmy czekać długo, aby zrobiło się interesująco.

Podobnie jak reszta domu, gabinet był czysty i schludny. Na filigranowym biurku w stylu francuskiego odrodzenia leżał równy stosik dokumentów, przyciśnięty kryształowym przyciskiem do papieru w kształcie róży. Z boku, obok pozłacanego, skórzanego dziennika i zestawu przyborów do pisania, z którego pochodziło narzędzie zbrodni.

Milo najpierw zaatakował szuflady, znalazł zeznania podatkowe Mary Lou Koppel i plik korespondencji od ludzi, którzy słuchali jej radiowych wywiadów i wyrażali zdecydowane opinie, za i przeciw.

Złożył to wszystko razem i włożył do koperty na materiał dowodowy.

– Zadeklarowała dwieście sześćdziesiąt kawałków rocznie z leczenia pacjentów, następne sześćdziesiąt z publicznych wystąpień i inwestycji. Biedna raczej nie była.

Dokumenty sądowe z dolnej szuflady zawierały podsumowanie rozwodu sprzed dwudziestu dwóch lat.

– Mężem był niejaki Edward Michael Koppel – powiedział Milo, przesuwając palcem wzdłuż linijek tekstu. – Kiedy wypełniano te papiery, był studentem prawa na uniwerku...

Rozbieżności nie do pogodzenia, podział majątku... Małżeństwo trwało niecałe dwa lata, nie mieli dzieci.

Wrócił do biurka, podniósł przycisk do papieru w kształcie róży, podniósł plik papierów. Na samej górze leżała karta Gavina Quicka.

Rozdział 16

Cienka karta.

Przeczytanie jej nie zajęło Milowi dużo czasu, a kiedy skończył, miał mocno zaciśniętą szczękę i napięte mięśnie pleców.

Rzucił mi ją.

Mary Lou Koppel opisała szczegółowo powody przyjęcia Gavina Quicka, ale dalsze notatki były pobieżne.

Wstęp wystarczył.

Gavin nie przyszedł do niej z powodu pourazowego stresu spowodowanego wypadkiem.

Został skierowany na terapię przez sędziego hrabstwa Orange po wyroku skazującym, cztery miesiące temu, w sprawie o śledzenie kobiety z Tustin nazwiskiem Beth Gallegos.

Gallegos prowadziła terapię zajęciową w Szpitalu Św. Jana, gdzie zajmowała się Gavinem po wypadku. Według zapisków Koppel Gavin patologicznie się z nią związał, co doprowadziło do przekazania go pod opiekę innego terapeuty. Gavin nie ustępował w próbach umówienia się z nią, wydzwaniał do niej do domu, czasami kilkanaście razy w ciągu jednego wieczoru, potem rozszerzając usiłowania o poranne pobudki, podczas których płakał w słuchawkę i wyznawał Beth miłość.

Pisał do niej długie listy miłosne i wysyłał jej wraz z prezentami – biżuterią i perfumami.

Jednego szalonego tygodnia dzień w dzień przysyłał do Św. Jana po dwa tuziny róż.

Kiedy Beth Gallegos rzuciła pracę i przeniosła się do kliniki rehabilitacyjnej w Long Beach, Gavin jakoś ją odnalazł i wznowił swoje zabiegi.

Wiedząc o jego urazie głowy, Gallegos nie chciała podawać go do sądu, ale kiedy zjawił się pod jej drzwiami w środku nocy, zaczął się dobijać i żądać, żeby go wpuściła, zadzwoniła na policję. Gavin został aresztowany za zakłócanie spokoju, ale policjanci powiedzieli Gallegos, że jeśli chce oskarżyć go o coś poważniejszego, musi postarać się o sądowy zakaz zbliżania się.

Dogadała się z rodzicami Gavina – jeżeli przestanie, ona zapomni o całej sprawie.

Gavin się zgodził, ale tydzień później znów zaczęły się telefony. Beth Gallegos zdobyła zakaz, a kiedy Gavin złamał go, czekając na nią na parkingu przed kliniką, został przymknięty za

śledzenie.

Z powodu wypadku obniżono kwalifikację czynu do wykroczenia, pod warunkiem że poszuka pomocy psychiatry. Jego adwokat poprosił o możliwość zaproponowania terapeuty. Ponieważ zastępca prokuratora okręgowego się nie sprzeciwił, sąd wyraził zgodę i Gavin został skierowany do dr. Franco Gulla.

Koppel zapisała, że poinformowała sąd o przeniesieniu Gavina do niej.

Zabezpieczała się z prawnego punktu widzenia.

Pt. ma słaby wgląd, napisała na końcu formularza. Nie dostrzega, co zrobił źle. Przyp. zw. z urazem głowy. T. położy nacisk na wgląd i szacunek dla osobistej prywatności.

Oddałem teczkę Milowi.

Wyłamywał sobie palce, a jego gęste, czarne brwi nachylały się ku zwężonym w gniewie oczom.

– Ładnie – powiedział. – Nikomu nie przyszło do głowy, żeby mi powiedzieć.

– Quickowie nie chcieli szargać pamięci Gavina. Biorąc pod uwagę szok wywołany jego zamordowaniem, nie byłbym zaskoczony, gdyby „zapomnieli”.

– Tak, tak, jasne, ale cholerne biuro prokuratora hrabstwa Orange? Cholerny sąd? Cholerna doktor Mary Lou? Ktoś dzieciaka rozwała, a nikomu nie przychodzi do głowy powiedzieć mi, że niecały rok temu zrobił się dziwny i kogoś bardzo, bardzo unieszczęśliwił?

– O morderstwie nie mówili w wiadomościach.

– Wysłałem dalekopisy i prośby o informacje na temat blondynki do wszystkich lokalnych jurysdykcji, w tym policji z Tustin, i wszędzie było nazwisko Gavina. Na pewno nikt na nie nawet nie spojrział.

Powykręcał chwilę palce, ale już nie trzaskały.

– Gdyby ludzie wiedzieli... Dobra, dzieciak śledził kobietę, to zupełnie co innego.

– Jaki to ma związek z zamordowaniem Koppel? – spytałem. – Albo Flory Newsome?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery! – krzyknął.

Milczałem.

– Przepraszam – powiedział. – Koppel zginęła pewnie z powodu czegoś, co wiedziała o Gavinie. Co to mogło być, nie mam pojęcia, ale na pewno chodzi o to. Co do Newsome, wygląda na to, że Lorraine miała rację, a ja skupiłem się za bardzo na podobieństwach między tymi dwoma sprawami, za to za mało na różnicach.

Zapakował kartę do torby, przejrzał resztę stosu.

– Rachunki, formularze subskrypcyjne, śmieci – mruknął i odłożył papiery na biurko. –

Właściwie zgłosiłem się do tego na ochotnika – powiedział.

Potrzebujesz wyzwania, pomyślałem. Milczałem.

– Na razie – powiedział – Newsome zostaje problemem Lorraine, ja będę się trzymał Gavina.

I wszystkich komplikacji, które spowodował. Szurnięty mały drań.

Rozdział 17

Morderstwo Mary Lou Koppel trafiło do wiadomości w zwykły sposób – dużo pasji, mało faktów, trochę wypełniacza do gazet, kilka akapitów do energicznych tekstów czytanych przez jasnookich telewizyjnych ludzi od uśmiechów, którzy lubili nazywać się dziennikarzami. Mając poważne braki w kwestii dowodów, spece od informacji rozdęli fakt, że ofiara miała przyczółek na ich terytorium. Określeniami takimi jak „zmysł medialny” szafowano ze zwykłym zachwytem zarezerwowanym dla klisz.

Następnego dnia news umarł.

Milo zadziałał według procedury i poprosił biuro prasowe departamentu, żeby nagłośniło trochę zdjęcie dziewczyny. Jako haczyka użył sugestii, że może się za tym kryć coś większego niż tylko zastrzelenie dwojga dzieciaków na Mulholland – związek między tymi zabójstwami i

zabójstwem Koppel. Gliniarze z działu PR zakwestionowali podstawy do takiego twierdzenia, powiedzieli, że nie ma mowy, by jakakolwiek stacja telewizyjna pokazała zdjęcie prawdziwego trupa, że toną w takich samych prośbach od innych detektywów i obiecali, że się tym zajmą. Dotarłem do gabinetu Mila niedługo po nim, usiadłem, czekając, aż da sobie radę ze zdjęciem marynarki, która wydawała się go dusić. Uwolnił się z niej, przekrzywiając krawat i wyciągając sobie koszulę ze spodni. Siadł na brzegu biurka, przeczytał kartkę z wiadomością, wcisnął przycisk na telefonie.

– Sean? Wejdz.

– Coś nowego w sprawie Koppel? – spytałem.

– O, cześć. Koroner ocenia czas śmierci na zeszłą noc albo wczesny ranek. Nie ma śladów włamania, nikt nie donosił o podejrzanych samochodach w okolicy.

– A strzał?

– Sąsiedzi z północy pojechali do Europy. Na południu mieszka dziewięćdziesięcioletnia staruszka pod opieką pielęgniarki. Pielęgniarka słyszy dobrze, ale obie śpią w pokoju starszej pani, a tam huczą nawilzacz i filtr powietrza, które zagłuszają wszystko cichsze od nuklearnego wybuchu. – Zaśmiał się. – Jakby bogowie spiskowali przeciw nam. Masz jakieś świeże spostrzeżenia?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, we framugę drzwi zapukał wysoki, rudowłosy mężczyzna pod trzydziestkę. Był ubrany w zapinany na cztery guziki szary garnitur, granatową koszulę, granatowy krawat i martensy na nogach. Włosy miał krótko przycięte, a czoło i policzki usiane piegami. Poruszał się niezbornie, był zbudowany jak obrońca futbolowy i miał okrągłą, niemowlęcą twarz, jaką często miewają rudzi.

– Cześć – powiedział Milo.

– Panie poruczniku. – Krótki salut.

– Alex, to detektyw Sean Binchy. Sean, to Alex Delaware, nasz psycholog-konsultant.

Binchy został w drzwiach i wyciągnął rękę. Pomieszczenie było na tyle małe, że tylko w ten sposób mogliśmy uścisnąć sobie dłonie.

– Sean będzie mi pomagał w sprawie Koppel. – Zwrócił się do Binchy’ego: – Wiadomo coś ojej rodzinie?

– Oboje rodzice nie żyją, panie poruczniku. Znalazłem ciotkę w Fairfield, w Connecticut, ale nie widziała doktor Koppel od lat. Cytuję: „Odkąd Mary Lou przeniosła się do Kalifornii, nie chciała mieć z nami nic wspólnego”. Powiedziała, że rodzina pewnie zapłaci za pogrzeb, żeby wysłać im rachunek.

– Nikt nie przyjedzie?

Sean Binchy pokręcił głową.

– Odcięli się od niej. To w sumie smutne. Co do byłego męża, jest tutaj. Znaczy w Los Angeles. Ale nie jest prawnikiem. Zajmuje się nieruchomościami. – Wyjął notatnik. – Encino. Zostawiłem mu wiadomość, ale dotąd się nie odezwał. Pomyślałem, że posprawdzam jeszcze okolicę domu doktor Koppel, a potem ponownie spróbuję go złapać.

– Brzmi nieźle – powiedział Milo.

– Coś jeszcze, panie poruczniku?

– Nie, dokończ wypytywanie sąsiadów. Ciągle nic?

– Przykro mi, nie – powiedział Binchy. – Wygląda na to, że to była spokojna noc w Cheviot Hills.

– W porządku, Sean. Dzięki. Sayonara.

– Na razie, szefie. Miło było pana poznać, doktorze.

– Zgadnij, co robił przedtem – powiedział Milo, kiedy Binchy wyszedł. – Grał na basie w kapeli. Potem usłyszał głos Pana i postanowił, że będzie mu służyć jako gliniarz. Ściął włosy, dał

zarosnąć dziurom po koleczykach i zmieścić się w najlepszych dziesięciu procentach swojego rocznika w akademii. To nowe pokolenie.

– Wydaje się fajny.

– Jest bystry, chociaż trochę sztywny – A do B do C. Zobaczymy, czy nauczy się

kreatywności. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – „Szefie”. Za dużo telewizji... Na razie nie mówił nic o swoim nawróceniu, ale nie mogę nic na to poradzić, że mam wrażenie, iż któregoś dnia spróbuje mnie zbawić. Generalnie chodzi o to, że nie dam rady żonglować Gavinem, blondynką i Koppel sam, a z niego jest pracowita pszczołka... Masz jakieś nowe przemyślenia?

– Koppel przywiozła kartę Gavina do domu, położyła na górze stosu papierów –

powiedziałem. – Zlekceważyła dwa morderstwa w swojej praktyce jako statystyczny przypadek, ale zaniepokoiło ją to, więc wróciła do swoich notatek. Fakt, że karty Newsome tam nie było, oznacza, że mówiła prawdę, twierdząc, iż ją zniszczyła.

– Notatek na temat Gavina nie było za dużo, nie naczytała się.

– Może wystarczył wstęp. Opisała w nim szczegółowo problemy Gavina z prawem. A jeśli powiązała jego zamordowanie ze śledzeniem Gallegos? Wytypowała podejrzanego, podzieliła się z kimś swoimi podejrzeniami i została za to zabita?

– Podzieliła się podejrzeniami ze złoczyńcą? Byłaby na tyle głupia, żeby urządzać konfrontację?

– Możliwe, jeśli był jej pacjentem – powiedziałem. – Gdyby podejrzewała kogoś takiego, nie chciałaby naruszać zasady poufności i iść prosto do ciebie.

– Wracamy do teorii wariata w poczekalni.

– Możliwe też, że nie była pewna, tylko podejrzewała. Więc przedyskutowała to z nim.

– Ryzykowne – stwierdził.

– Terapia to nierówna relacja. Pomimo całego tego gadania o partnerstwie pacjent jest

potrzebujący i słaby, a terapeuta posiada mądrość, którą może się z nim podzielić. Łatwo przecenić swoją władzę. Mary Lou w ogóle miała silną osobowość. Wpadła w sidła mediów, wmówiła sobie, że jest ekspertem od wszystkiego. Może zrobiła się zbyt pewna siebie, uznała, że może go namówić, by oddał się w ręce policji.

– Gdyby się jej udało, ależ by jej spuchło ego.

– Psycholog rozwiązuje zagadkę wielokrotnego morderstwa – powiedziałem. – Jaka to reklama.

Milo chwilę się nad tym zastanawiał.

– Jeden z jej pacjentów do bardzo zły człowiek.

– Nie było śladów włamania – powiedziałem. – To był ktoś, kogo znała i wpuściła do domu.

Warto się temu bliżej przyjrzeć.

– Nie mogę się dostać do danych jej pacjentów.

– Jej partnerzy mogą coś wiedzieć.

– To też psychologowie, Alex. Obowiązuje ich ta sama zasada poufności.

– Nie jestem pewien, jak to wygląda ze strony prawnej, ale jeśli to nie jest oficjalnie ich pacjent, mogą się zgodzić ogólnie coś o nim opowiedzieć.

– Dla mnie to brzmi jak precedens – powiedział Milo. – Co tam, warto spróbować.

Zadzwoił do informacji, zdobył numery doktorów Larsena i Gulla, nagrał się im z prośbą, żeby oddzwonili.

– Jak idzie sprawdzanie odcisków palców z domu Koppel? – spytałem.

– Jest ich tak cholernie dużo, że technicy mówią o przynajmniej tygodniu. Jedna rzecz, którą mi powiedzieli – nie ma ani jednego odcisku w pobliżu ciała. W promieniu co najmniej trzech metrów wszystko zostało dokładnie wytarte. To bardzo dokładny pacjent. Nie może być za bardzo szurnięty, prawda?

– Nawet się nie zbliżył do szurniętego – powiedziałem.

Milo otworzył książkę morderstwa, założoną dla Mary Lou Koppel. Balistyka przysłała dzisiaj rano swój raport. Dwudziestka dwójka, z której ją zastrzelono, była podobna do broni, jakiej użyto, mordując Gavina Ouicka i Florę Newsome, ale nie identyczna. Nawet nie licząc Flory, mamy dwie różne sztuki broni użyte w dwóch morderstwach. To ktoś z łatwym dostępem do tanich spluw i umie sobie radzić na ulicy.

– Doświadczony przestępca – powiedziałem. – Taki, jakiego Flora Newsome mogła spotkać w pracy.

– Czy ktoś taki chodziłby na terapię?

– Gdyby musiał. Spójrz na Gavina Quicka.

Milo szeroko otworzył oczy.

– Wyrok zastępczy. Ktoś, kto musiał iść do psychologa. I dzięki temu mogę obejść tę cholerną zasadę poufności. Przejrzę archiwa sądowe, zobaczę, czy jacyś sędziowie kierowali innych pacjentów do Koppel.

Oklapł.

– Poważna robota.

– Zawęż to do ostatniego roku czy dwóch lat i każ się tym zająć swojej mrówce.

– Tak zrobię – powiedział. – Właśnie tak. Pora też na kolejną rozmowę z Quickami, dowiemy się czegoś o problemach ich chłopaka, może napastował jeszcze kogoś. Jak dotąd odpowiada mi tylko automatyczna sekretarka. Dzwoniłem do prokuratora, który oskarżał Gavina, i do adwokata. Nic mi nie pomogli, kolejna zwykła sprawa. Znalazłem też dwóch kolegów Gavina z wypadku, nie mieli pojęcia, że śledził Beth Gallegos czy kogokolwiek innego. Na formularzu przyjęcia, wypisanym dla sądu, Koppel napisała, że obsesja Gavina może być związana z jego urazem mózgu. Co o tym myślisz?

– To jedna z form obsesyjnego zachowania – powiedziałem. – Jasne, może wynikać z urazu płatów przedczołowych. Jeszcze jedna rzecz, którą musimy wziąć pod uwagę, to że mściwy gość nie musiał być chłopakiem blondynki. To mógł być narzeczony Beth Gallegos. A jeśli Gavin złamał warunki zawieszenia wyroku i znów zaczął ją śledzić?

– Więc tamten zaczyna śledzić z kolei jego, wykańcza go razem z blondynką? A Koppel?

– Pożądanie to nie księgowość.

– Dobrze – powiedział Milo. – Złożmy wizytę obiektowi pożądania Gavina.

Kilka telefonów pozwoliło ustalić, że Beth Gallegos znów zmieniła pracę. Przeniosła się z kliniki w Long Beach do prywatnej firmy terapeutycznej w Westwood.

– Z Westwood blisko do Beverly Hills – powiedziałem, kiedy tam jechaliśmy. – Jeśli Gavin dalej ją śledził, wątpię, żeby tak ryzykowała.

– Dowiedzmy się.

Beth Gallegos była prześliczna. To nie wyjaśniało obsesji Gavina – śledzenie to psychopatologia, a pospolici ludzie są jej ofiarami równie często, co atrakcyjni – lecz było zwykłym stwierdzeniem faktu.

Drobna, czarnowłosa i ciemnoskóra, miała na sobie biały kostium, skrojony rozmyślnie byle jak, który nie ukrywał jednak jej wąskiej talii, zaokrąglonych bioder i pełnych piersi. Oczy bursztynowe, rzęsy długie i podwinięte. Mając dwadzieścia siedem lat, bez makijażu wyglądała na osiemnaście. Czysta, świeża osiemnastolatka. Nie malowała krótko obciętych paznokci.

Czarne włosy, długie i faliste, związała z tyłu głowy w kucyk.

Starła się nie wyróżniać. Jej idealnie owalna twarz, rysy jak z kamei i bujne ciało całkowicie niweczyły ten wysiłek.

Czuła się niezręcznie, rozmawiając z nami na korytarzu placówki oświatowej, więc

zjechaliśmy windą do kawiarenki na parterze. Młoda kelnerka podeszła do nas z uśmiechem, ale

choć Milo odpowiedział jej tym samym, coś w jego powitaniu starło radość z jej twarzy.

Beth Gallegos zamówiła herbatę, ja i Milo colę. Kiedy przyniesiono napoje, Milo wcisnął banknot w dłoń kelnerki. Odeszła szybko i już nie wróciła.

Gallegos zachowywała się nerwowo, odkąd się pojawiliśmy, a Milo próbował ją uspokoić rozmową o jej pracy. Beth pracowała na oddziale rehabilitacji ogólnej, specjalizowała się w ofiarach udarów; jej zadaniem było pomaganie pacjentom w odzyskiwaniu drobnych zdolności motorycznych. Beth uważała, że to ją satysfakcjonuje.

– Tak też brzmi – powiedział Milo.

Gallegos bawiła się filiżanką, unikała naszego wzroku.

– Porozmawiajmy o Gavinie Quicku – powiedział Milo. – Słyszała pani, co się z nim stało?

– Tak. Czytałam w gazecie. To było straszne. Płakałam.

Miała lekko nosowy głos małej dziewczynki i wąskie dłonie o gładkich palcach. Na trzecim palcu lewej ręki tkwił pierścionek z brylantem.

Więcej niż chłopak.

– Płakała pani – powiedział Milo.

– Tak. Czuję się okropnie – mimo tego, co przeszłam przez Gavina – bo wiedziałam, przez co on sam przeszedł. Wiedziałam, że zachowuje się tak przez ZUG.

Milo zamrugał oczami.

– Zamknięty uraz głowy – powiedziałem.

Beth Gallegos przytaknęła, nasypała sobie cukru do herbaty, ale nie piła.

– To jest właśnie dziwne w tych urazach. Czasami badania nic nie wykazują, ale ludzie drastycznie się zmieniają. Jestem pewna, że Gavin nie robiłby takich rzeczy, gdyby nie był ranny.

– Śledził panią jeszcze ktoś z urazem mózgu? – spytał Milo.

Gallegos zasłoniła usta dłonią.

– Nie, niech Bóg mnie broni przed przechodzeniem przez to jeszcze raz. Mówię tylko, że mózg kontroluje wszystko, a kiedy coś się z nim dzieje, zaczynają się problemy. Dlatego zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby Gavin nie stanął przed sądem.

Jej oczy zrobiły się wilgotne.

– Według mnie, proszę pani, nie dał pani wyboru.

– Wszyscy mi to mówią.

– Kim są ci wszyscy?

– Moja rodzina.

– Pani rodzina pochodzi stąd?

– Nie – powiedziała. – Rodzice mieszkają w Niemczech. Mój ojciec jest kapitanem w armii.

Na początku nie mówiłam im, co się dzieje, bo wiedziałam, jak tata by zareagował.

– Jak?

– Na pewno załatwiłby sobie przepustkę, przyleciał tu i poważnie porozmawiał z Gavinem.

Kiedy się w końcu dowiedział, z trudem go powstrzymałam, żeby tego nie zrobił. Między innymi dlatego złożyłam skargę. Musiałam przekonać tatę, że o siebie dbam. Ale i bez tego musiałabym to zrobić. Nie mogłam już tego wytrzymać, a Gavin potrzebował pomocy.

– Nie powiedziała pani o tym rodzicom, ale i tak się dowiedzieli.

– Powiedziała im moja siostra. Mieszka w Tucson, zwierzyłam się jej i kazałam obiecać, że nie powie. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście mnie nie posłuchała. Rozumiem to, nie mam do niej żalu. Jesteśmy sobie bliskie, chodziło jej wyłącznie o moje dobro.

– Ktoś jeszcze radził pani złożyć skargę?

– Co pan ma na myśli?

Miło spojrzał na jej pierścionek.

– Wtedy nie był jeszcze moim narzeczoną – powiedziała Beth Gallegos. – Zaczęliśmy się

spotykać jakiś czas po tym, jak złożyłam skargę.

Milo próbował uśmiechnąć się ciepło.

– Jak się nazywa ten szczęśliwy młody człowiek?

– Anson Conniff.

– Kiedy wielki dzień?

– Na jesieni. – Spojrzenie ciemnych oczu Beth Gallegos nabrało mocy. – Poruczniku, skąd te wszystkie pytania o mnie i moją rodzinę?

– Muszę wyjaśnić kilka niewiadomych.

– Niewiadomych? Poruczniku, proszę mnie w to nie mieszać. Naprawdę nie mogę przechodzić przez to po raz drugi. Proszę.

Uniosła głos. W kawiarni było prawie pusto, ale kilku obecnych klientów się odwróciło.

Milo gapił się na nich, aż wrócili do swoich spraw.

– Przechodzić przez co, proszę pani?

Gallegos załkała i otarła oczy.

– Przez sądy... Nigdy więcej nie chcę już oglądać pisemnego zeznania. Proszę mnie w to nie mieszać.

– Nie zamierzam przysparzać pani nieprzyjemności, panno Gallegos, ale muszę porozmawiać z każdym, z kim Gavin miał jakiś konflikt.

Gallegos pokręciła głową.

– Nie było żadnego konfliktu. Nigdy na niego nie krzyczałam, nigdy nie narzekałam. Po prostu problem wymknął się spod kontroli. Gavin musiał się z nim uporać.

– Czy przestał? – spytałem.

– Tak.

– Zupełnie?

– Zupełnie.

Uciekła wzrokiem w bok.

– Nigdy więcej już się z panią nie kontaktował?

Skubnęła serwetkę, urwała jej rożki, usypała mały stosik konfetti, który pozbiierała i przeniosła na spodeczek.

– Właściwie było już po wszystkim – powiedziała. – Było po wszystkim.

Głos jej drżał.

– Beth, widać, że jest pani przyzwoitą osobą – powiedział Milo. – To oznacza, że jest pani też bardzo kiepskim kłamcą.

Gallegos zerknęła na drzwi, jakby planując ucieczkę.

– Co się stało? – spytał Milo.

– To było tylko raz – powiedziała. – Miesiąc temu. To nie był żaden problem, zwykły telefon, dlatego nikomu o tym nie powiedziałam.

– Gdzie panią znalazł?

– Tutaj. W biurze. Miałam przerwę między pacjentami, sekretarka zawołała mnie do telefonu. Powiedział jej, że jest moim przyjacielem. Nie miała pojęcia o moich... przejściach z Gavinem. Kiedy usłyszałam jego głos... Serce zaczęło mi walić jak młot, od razu się spociłam. Ale on był... w porządku. Żadnych dziwactw. Powiedział, że jest mu przykro z powodu tego, co zrobił, chciał mnie przeprosić. Potem powiedział, że poznał kogoś i że układa sobie życie od nowa, ma nadzieję, że mu wybaczę. Powiedziałam, że już dawno mu wybaczyłam i to było wszystko.

– Myśli pani, że mówił prawdę? – spytał Milo. – O tym, że kogoś poznał.

– Wydawał się mówić szczerze – odparła. – Pogratulowałam mu, ucieszyłam się. –

Odetchnęła. – Wydawał się bardziej... dojrzały. Spokojny.

– Powiedział pani coś o osobie, którą spotkał?

– Nie. Mówił, jakby był szczęśliwy.

– A skoro jest szczęśliwy, to nie będzie pani więcej męczył.

– To też – powiedziała. – Ale wtedy myślałam tylko: Gavin wreszcie się pozbierał.

Dotknęła uszka filiżanki, obróciła ją na spodku.

– Nie mogę powiedzieć, że go nie lubiłam, poruczniku. Czułam do niego litość. I strach, kiedy zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Ale cieszyłam się, że wszystko mu się układa.

– Anson pewnie też się ucieszył – powiedziałem. – Nie powiedziałam Ansonowi o telefonie.

– Za bardzo by się zdenerwował.

– Dość się przy mnie namęczył – powiedziała Beth. – Dopiero co zaczęliśmy się spotykać, kiedy Gavin zaczął za mną chodzić. To kiepski sposób na nowy związek.

– Anson musiał być zły – powiedział Milo.

– Każdy byłby zły. – Oczy Gallegos obeschły. – Nie zamierzacie panowie z nim rozmawiać, prawda?

– Zamierzamy, Beth.

– Dlaczego?

– Jak powiedziałem, muszę pomówić z każdym, kto miał jakiś konflikt z Gavinem.

– Anson nie miał z nim konfliktu... Proszę, nie idźcie tam... Nie wciągajcie w to Ansona. On by nigdy nie skrzywdził Gavina ani nikogo innego. On taki nie jest.

– Jest spokojny? – spytał Milo.

– Dojrzały. Zdyscyplinowany. Umie nad sobą panować.

– Co robi?

– Robi? – spytała Gallegos.

– Gdzie pracuje.

– Naprawdę zamierzacie z nim porozmawiać?

– Musimy, proszę pani.

Beth Gallegos ukryła twarz w dłoniach i trzymała ją tam przez kilka chwil. Kiedy znów na nas spojrzała, była blada.

– Tak bardzo, bardzo żałuję, że Gavin został zabity. Ale naprawdę, więcej tego nie wytrzymam. Na jego procesie byłam zaprzysiężona, to było straszne.

– Zeznawanie bywa trudne.

– Samo przebywanie tam było trudne. Ci ludzie, których widzi się na korytarzach. Zapachy, czekanie. Czekałam cały dzień i w końcu nie zostałam wezwana. Dzięki Bogu. Proces nie był długi, Gavin się przyznał. Później jego rodzice przechodzili obok mnie i jego matka spojrzała na mnie, jakby to była moja wina. Nie powiedziałam nawet Ansonowi, że tam idę, nie chciałam, żeby zwalniał się na cały dzień z pracy.

Spojrzała w lewo, przygryzła wargę.

– Nie, to nieprawda. Pragnęłam, żeby ta sprawa... nie zabrudziła naszego związku. Chciałam, żeby Anson widział we mnie kogoś silnego. Proszę, zostawcie nas w spokoju.

– Beth – powiedział Milo – nie chcę pani stresować. I nie mam powodu sądzić, że pani czy Anson będziecie jeszcze jakoś w to zamieszani. Ale to śledztwo w sprawie morderstwa, a ja nie wykonałbym swojego obowiązku, gdybym z nim nie porozmawiał.

– Dobrze – powiedziała Gallegos ledwie słyszalnym głosem. – Rozumiem... Zdarza się.

– Gdzie mieszka Anson?

– Mieszkamy razem. U niego. Ogden Drive, niedaleko Beverly. Ale nie będzie go tam, pracuje.

– Gdzie?

– Uczy sztuk walki – powiedziała. – Karate, taekwondo, kick boxing. Zdobył okręgowe

mistrzostwo w kick boxingu na Florydzie, niedawno znalazł posadę w dojo niedaleko nas.

Wilshire przy Crescent Heights. Pracuje też z młodzieżą. W niedzielę, w zborze w Bell Gardens.

Oboje jesteśmy chrześcijanami, spotkaliśmy się na kościelnej potańcówce. Pobieramy się we wrześniu.

– Gratulacje.

– To wspaniały facet – powiedziała Gallegos. – Kocha mnie i nie jest zazdrosny.

Rozdział 18

Pojechałem na wschód, w stronę dojo Ansona Conniffa.

– Gavin znalazł kogoś, kto wstrząsnął jego światem – powiedział Milo. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Jeśli mówimy o blondynce, dobrze mu się wydawało. Dlaczego nie mogę się dowiedzieć, kim ona, do cholery, była?

Zamilkł na chwilę,

– Instruktor sztuk walki. Może pokażesz mu te swoje, jak im tam... te tańce karate...

– Kata – powiedziałem. – Minęły całe lata, wyszedłem z formy.

– Doszedłeś do czarnego pasa?

– Brązowego.

– Dlaczego przestałeś?

– Nie miałem w sobie dość gniewu.

– Myślałem, że sztuki walki pomagają kontrolować gniew.

– Sztuki walki są jak ogień – powiedziałem. – Możesz gotować albo palić.

– No, zobaczmy, czy pan Conniff jest ognistym typem.

SZTUKI WALKI I SAMOOBRONA

Jedna wielka sala, wysoka i obwieszona lustrami, z podłogą wyłożoną jasnoniebieskimi matami do ćwiczeń. Wiele lat temu brałem lekcje karate u czeskiego Żyda, który nauczył się samoobrony w czasach nazistów. Straciłem zainteresowanie, straciłem umiejętności. Ale gdy wszedłem do dojo, poczułem zapach potu i dyscypliny, wróciły wspomnienia i natychmiast zacząłem przypominać sobie postawy i ruchy.

Anson Conniff miał metr sześćdziesiąt pięć, ważył sześćdziesiąt parę kilo, miał chłopięcą twarz, harmonijnie zbudowane ciało i długie, ciemnoblonde włosy, z rozjaśnionymi na blond końcówkami.

Surfer, trochę zminiaturyzowany. Był ubrany w biały strój karate z czarnym pasem i mówił głośnym, ostrym głosem do tuzina początkujących, głównie kobiet. Starszy, siwowłosy Azjata poinformował nas, że zajęcia skończą się za dziesięć minut, i poprosił, żebyśmy stanęli z boku.

Conniff przeprowadził kobiety przez pół tuzina postaw, a potem zwolnił uczennice.

Ocierając czoła, wzięły sportowe torby i ruszyły w stronę drzwi.

Uśmiechnął się.

– Mogę panom w czymś pomóc?

Milo błysnął odznaką, uśmiech zniknął.

– Policja? O co chodzi?

– O Gavina Quicka.

– O niego – powiedział Conniff. – Beth przeczytała o nim w gazecie i powiedziała mi.

Zaśmiał się.

– Coś pana bawi, panie Conniff?

– Nie jego śmierć, z tego nigdy bym się nie śmiał. Po prostu zabawne, że rozmawiacie o tym ze mną, trochę jak w filmie. Ale pewnie robicie tylko co do was należy.

Odrzucił włosy z twarzy.

– Dlaczego tak pan myśli? – spytał Milo.

– Bo pomysł, że mógłbym kogoś zabić, kogoś skrzywdzić, jest absurdalny. Jestem chrześcijaninem, czyli popieram życie i sprzeciwiam się śmierci.

– Och – powiedział Milo. – Myślałem, że śmieje się pan z tego, że Gavin Quick nie żyje. Za to, co zrobił Beth.

Różnica wzrostu między Milem i Conniffem rzucała się w oczy. Karate i inne sztuki walki uczą wykorzystywać wielkość przeciwnika przeciwko niemu, ale w samej rozmowie Conniff przegrywał. Spróbował zebrać się w sobie.

– To naprawdę absurd, proszę pana. Gavin nękał Beth, ale nigdy bym się nie cieszył z jego czy czyjejkolwiek innej śmierci. Widziałem jej zbyt dużo.

– Armia? – spytał Milo.

– Dorastanie, proszę pana. Mój brat urodził się z chorobą płuc i umarł, kiedy miał dziewięć lat. To było jeszcze w Des Moines, w Iowa. Większość tych dziewięciu lat zajęły ciągłe powroty Bradleya do szpitala. Byłem o trzy lata starszy i spędziłem w szpitalach dużo czasu. Raz widziałem, jak ktoś umiera, sam proces. Mężczyzna, wcale nie stary, przywieziony na ostry dyżur po jakimś ataku. Lekarze myśleli, że jego stan jest stabilny i wysłali go na górę, na oddział, na obserwację przed wypisaniem. Pielęgniarze zabrali go na wózku do takiej dużej windy dla pacjentów, a moi rodzice i ja przypadkiem jechaliśmy z nimi, bo wieźliśmy Bradleya na dół na prześwietlenie. Mężczyzna na wózku żartował, był wesoły, a potem nagle przestał mówić, spojrzał martwo w przestrzeń i jego głowa opadła na bok, a twarz straciła kolor. Pielęgniarze zaczęli tłuc go w pierś. Matka zasłoniła mi oczy ręką, żebym nie widział, a ojciec zaczął mówić bez przerwy, o byle czym, żebym nie słyszał. Baseball, mówił o baseballu. Kiedy wysiedliśmy z windy, wszyscy milczeli.

Conniff się uśmiechnął.

– Chyba nie przepadam za śmiercią.

– W przeciwieństwie do?

– Ludzi, którzy to lubią.

– Pan lubi samoobronę – powiedział Milo.

Zatoczył ręką koło.

– To? To tylko praca.

– Gdzie pan był w ostatni poniedziałek w nocy?

– Na pewno nie zabijałem Gavina Quicka. – Conniff się rozluźnił.

– W kontekście tematu jest pan dość beztroski.

– A jaki mam być? Pograżony w żałobie? To by było nieszczerze. – Poprawił swój czarny pas i rozstawił szerzej stopy. – Opłakuję Gavina Quicka tak, jak opłakuję śmierć każdego człowieka, ale nie powiem, żebym za nim przepadał. Przysporzył Beth bardzo dużo kłopotów. Ale ona upierała się, żeby załatwić to po swojemu i miała rację. Śledzenie się urwało. Nie miałem powodu, by chcieć go skrzywdzić.

– Po swojemu – powtórzył Milo.

– Unikała go – wyjaśnił Conniff. – Poszła drogą prawną. Ja chciałem konfrontacji z Gavinem, na poziomie słownym. Myślałem, że męska rozmowa mogłaby go przekonać. Beth powiedziała „nie”, a ja to uszanowałem.

– Męska rozmowa.

Conniff potarł dłońmi o kimono. Dłonie miał małe i pokryte odciskami.

– Tak, jestem zazdrosny. Kocham Beth. Ale nie zrobiłem krzywdy Gavinowi Quickowi. Nie miałem powodu.

– Gdzie pan był w poniedziałek?

– Z Beth. Byliśmy w domu. Nawet jeśli nie ufa pan mnie, powinien pan uwierzyć Beth. Jest ucieleśnieniem wybaczenia, duchowość jest dla niej bardzo ważna.

– Co jedliście państwo na kolację? – spytał Milo.

– Kto pamięta takie rzeczy... Pomyślmy, poniedziałek, więc pewnie to, co zostało z niedzieli. W niedzielę jedliśmy steki z grilla i sporo nam zostało... Tak, na pewno, steki. Pociąłem je i przysmażyłem z papryką i cebulą. Beth ugotowała ryż. Tak, na pewno. Nigdzie nie wychodziliśmy.

– Uczęszczał pan kiedykolwiek na psychoterapię, panie Conniff?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Na wszelki wypadek – odparł Milo.

– Dla mnie to trochę osobista sprawa.

– Przepraszam pana, ale...

– I tak odpowiem – stwierdził. – Cała moja rodzina poszła na psychoterapię po śmierci Bradleya. Wszyscy spotykaliśmy się z cudownym człowiekiem, wilebnym doktorem Billem Kehoe, i ja też kilka razy z nim rozmawiałem. Był pastorem naszego kościoła i w pełni wykwalifikowanym klinicznym psychologiem. Ocalił nas od rozpacz. Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze?

– Tylko ten jeden raz chodził pan na terapię – powiedział Milo.

– Tak, poruczniku. Trochę trwało, nawet bardzo długo, zanim przestałem czuć się winny, że ja żyję, a Bradley umarł, ale w końcu mi się udało. Teraz życie jest dla mnie cholernie dobre. Milo sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie blondynki.

– Widział pan kiedyś tę dziewczynę?

Conniff przyjrzał się fotografii.

– Nie. Ale znam ten widok. Czysta śmierć. Takie właśnie sceny oglądałem w dzieciństwie.

Kto to?

– Ktoś, kto zginął razem z Gavinem Quickiem.

– Smutne – powiedział Conniff. – Na tym świecie bez przerwy dzieją się smutne rzeczy.

Najważniejsze to wymijać je i prowadzić uduchowione życie.

Kiedy wróciliśmy z powrotem do samochodu, Milo sprawdził nazwisko Conniffa w bankach danych. Dwa mandaty za złe parkowanie.

– Żaden z niego kryminalista, ale to dziwny typ, co?

– Bardzo konkretny – powiedziałem.

– Z tych, co po sobie dokładnie sprzątają.

– Mówi, że był z Beth.

– Zapytam Beth – stwierdził Milo.

– Jej potwierdzenie wystarczy?

– Jak powiedział Conniff, duchowość jest dla niej bardzo ważna.

Telefon z samochodu zaowocował tą samą opowieścią Beth Gallegos.

Przysmażane steki.

Wróciliśmy na posterunek, gdzie Milo znalazł przefaksowany portret zabitej dziewczyny i wiadomość, żeby zadzwonił do wydziału kontaktów z mediami

– Popatrz tylko – powiedział. – Michał Anioł przewraca się w swojej krypcie.

Rysunek był niedokładny, pozbawiony charakteru, do niczego. Milo zmiął go i wyrzucił, zadzwonił do wydziału kontaktów z mediami w śródmieściu. Posłuchał, odłoży słuchawkę i zazgrzytał zębami.

– W tym mieście wszystko jest cholernym castingiem. Rozmawiali z gazetami i nie są zainteresowane. Może to nawet prawda.

– Mogę zadzwonić do Neda Biondi. Kilka lat temu odszedł na emeryturę z „Timesa”, ale

będzie wiedział, z kim rozmawiać.

– Teraz, kiedy kretyńcy z PR dali mi oficjalne „nie”, nie mogę próbować na własną rękę. Ale może za kilka dni, jeśli wciąż nie damy rady jej zidentyfikować. – Zerknął na timeksa. – Jak u ciebie z czasem i wytrzymałością jelit?

– Wizyta u Quicków? – powiedziałem. – Jasne.

– Wróżysz też z tarota?

Rozdział 19

Ta dziewczyna – powiedziała Sheila Quick – była wynajęta, żeby pomóc Gavinowi, a zamiast tego wpakowała go w kłopoty.

Jej salon wyglądał tak samo, ale zaciągnięte zasłony sprawiły, że panował w nim grobowy nastrój, a powietrze zrobiło się stęchłe. Pudełko papierosów, do którego sięgał Jerome Quick, było puste. Sheila Quick włożyła czarną, bawełnianą sukienkę z suwakiem. Włosy koloru popiołu przykryła czarną, jedwabną szarfą. Twarz miała ściągniętą, białą i starą, na nogach różowe klapki. Stopy nad nimi były gruzłowate i poznaczone niebieskimi żyłami.

– Niewiarygodne – powiedziała.

– Co takiego, proszę pani? – spytał Miło.

– Co mu zrobiła.

– Uważa pani, że winę za aresztowanie Gavina ponosi Beth Gallegos?

– Oczywiście, że tak! Wie pan, jak Gavin ją poznał? Była terapeutką w Św. Janie, miała mu pomóc odzyskać sprawność. Wiedziała, co przeszedł! Powinna mieć więcej zrozumienia!

Miło i ja milczeliśmy.

– Proszę posłuchać – powiedziała Sheila Quick – skoro tak bardzo martwiła się o swoje bezpieczeństwo, dlaczego tak długo zwlekała ze skargą? A potem co zrobiła? Zadzwoiła na policję, wykręciła 911 Jakby chodziło o nie wiadomo jaki nagły wypadek, kiedy Gavin tylko

zapukał do jej drzwi. Wiem, że mówiła, iż się dobijał, ale nikt inny nie słyszał żadnych hałasów,

Gavin powiedział mi, że tylko zapukał, a ja wierzę swojemu synowi!

– Uważa pani, że nie powinna była dzwonić na policję.

– Uważam, że jeśli była tak przekonana, iż jest to dla niej jakiś problem, miała mnóstwo sposobności, żeby przyjść z tym do nas. Dlaczego tego nie zrobiła? Musiała tylko zadzwonić i powiedzieć nam, że według niej Gavin jest trochę... natarczywy. Porozmawialibyśmy z nim.

Dlaczego tak długo zwlekała, skoro było to podobno tak poważne? Jesteście panowie zawodowcami. Czy według was ma to jakiś sens?

– Nigdy przedtem się z państwem nie kontaktowała – powiedział Milo.

– Nigdy, ani razu. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Milo kiwnął głową.

– A potem nagle Gavin został aresztowany, musieliśmy wynająć prawnika i przejść przez te wszystkie szykany. – Jej uśmiech był makabryczny.

Oczywiście w końcu oddalili oskarżenie. To nie było nic poważnego.

– Gavin przyznał się do popełnienia wykroczenia i kazano mu odbyć terapię.

– Poruczniku – powiedziała Sheila Quick – mam nadzieję, że nie sądzi pan, że to, co spotkało mojego Gavina, ma coś wspólnego z czymś, co zrobił. Albo z kimś, kogo znał.

– To nie mógł być żaden jego znajomy?

– Oczywiście, że nie, znamy tylko miłych ludzi. A Gavin... – Zaczęła płakać. – Gavin, po wypadku, nie miał nikogo, oprócz swojego ojca, mnie i swojej siostry.

– Nie miał przyjaciół – powiedziałem.

– O to właśnie chodzi! – powiedziała z zadowoleniem, jakby rozwiązała trudną zagadkę. –

To nie mógł być nikt, kogo znał, bo tak naprawdę z nikim nie utrzymywał kontaktów. Dużo o tym myślałam, poruczniku, i jestem pewna, że mój chłopczyk po prostu znalazł się w

niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

– Nieznajomy – powiedział Milo.

– Niech pan popatrzy na jedenastego września. Czy któryś z tych ludzi znał świnie, które ich zabiły? Właśnie tak to jest, zło czai się dookoła i czasami kąsa, a teraz ukąsiło rodzinę Quicków.

Zerwała się, pobiegła do kuchni, wróciła z talerzem ciastek.

– Proszę się częstować – rozkazała.

Milo wziął ciasteczko, zjadł je na dwa kęsy i podał talerz mnie. Postawiłem go na stoliku z boku.

– A więc niech mi pan powie – powiedziała Sheila Quick – jakie zrobiliście postępy?

Milo strzepnął okruchy ze spodni na dłoń, rozejrzał się, gdzie je wysypać.

– Proszę je zrzucić na dywan, poruczniku. Sprzątam codziennie. Czasami dwa razy dziennie.

Co innego można tu robić? Jerry wrócił już do pracy, zajmuje się swoimi interesami.

Zazdroszczę mu tego.

– Tego, że jest w stanie się skoncentrować? – spytałem.

– Tego, że jest w stanie się odciąć. Mężczyźni tak mają, prawda? Wy, mężczyźni, odcinacie się i idziecie polować, robić interesy i całą resztę, którą, wydaje się wam, powinniście robić, a my, kobiety, siedzimy i czekamy na was, jakbyście byli jakimiś bohaterskimi zdobywcami.

– Pani Quick – powiedział Milo – nie spodoba się pani to pytanie, ale i tak muszę spytać.

Czy Gavin kiedykolwiek miał jakieś problemy z innymi kobietami niż Beth Gallegos?

Dłonie Sheili Quick zacisnęły się w pięści.

– Nie, i sam fakt, że pan coś takiego sugeruje... To takie... wypaczone, krótkowzroczne. –

Zerwała szarfę z głowy i zaczęła gniesć materiał w dłoniach. Włosy miała misternie upięte, ciasno przylegające do czaszki. Przez blond przeświecały siwe odrosty.

– Przykro mi, ale muszę... – zaczął Milo.

– Musi pan, musi pan... Musi pan znaleźć szaleńca, który zabił mojego syna, to właśnie pan musi.

– Ta młoda dama, która była z nim, proszę pani – wciąż nie udało się nam jej zidentyfikować.

Sheila wstała i porwała talerz ciastek z miejsca, gdzie go odstawiłem. Wróciła do kuchni, zamknęła za sobą drzwi i została w środku.

– Zgodnie z przewidywaniami – powiedział Milo – niezła scena. Wiem, że przeszła przez piekło, ale dziesięć do jednego, że już przedtem była z niej harpia.

Mijały minuty.

– Lepiej tam pójde i dokończę rozmowę – powiedział. – Zrób sobie przysługę i zostań tu.

Kiedy wstał, drzwi do kuchni się otworzyły i Sheila Quick wmaszerowała do salonu.

Rozpięła i rozpuściła włosy, ale nie nałożyła makijażu. Milo usiadł. Stała przed nami i oparła dłonie na biodrach.

– Coś jeszcze?

– Dziewczyna, z którą był Gavin...

– Nie znam jej, nigdy jej nie widziałam i nic na to nie poradzę. Nikt z całej rodziny jej nie zna, włącznie z moją córką.

– Pytała pani Kelly.

– Zadzwoiłam i spytałam, czy Gavin się z kimś spotykał, powiedziała, że o niczym takim nie słyszała.

– Byli ze sobą blisko?

– Oczywiście. Kelly jest bystra i wie, co się dookoła niej dzieje.

– Zamierza wrócić? – spytałem.

– Nie. Po co? Ma własne życie. Chociaż ja nie mam. Wpatrzyła się we mnie.

– Gavin był dobrym chłopakiem. Przystojnym, oczywiście, że dziewczęta go lubiły. Dlatego właśnie ta Gallegos tak nie pasuje. Gavin nie musiał uganiać się za jakąś pielęgniarką.

– Kiedy przestał się spotykać z Kaylą Bartell?

– Nie wiem – warknęła. – Dlaczego pan jej nie spyta? Ta... nawet nie przyjechała się ze mną zobaczyć. Ani razu. Nie wysłała nawet listu z kondolencjami. – Różowy kłapek zatupał w dywan. – Skończyliśmy?

– Wie pani o doktor Koppel – powiedział Milo.

– Została zamordowana – powiedziała Sheila Quick. – Słyszałam o tym wczoraj.

Tak po prostu, żadnych emocji.

– Ma pani na ten temat jakieś przemyślenia, pani Quick?

– To straszne – powiedziała. – Wszystkich tu mordują. Co za miasto... Pić mi się chce.

Przynieść panom coś do picia?

– Nie, dziękujemy, proszę pani. Spytam panią o kilka nazwisk. Proszę mi powiedzieć, czy którekolwiek z nich brzmi znajomo. Anson Conniff.

– Nie. Kto to?

– Flora Newsome?

– Nie.

– Brian Van Dyne, Roy Nichols?

– Nie, nie, nie. Kim są ci ludzie?

– Nieważne – powiedział Milo. – Nie musi się pani o to martwić. Dziękujemy za poświęcony nam czas.

– Czas – powtórzyła Sheila Quick. – Tego mam aż za wiele.

Rozdział 20

Sheila Quick odwróciła się do nas plecami. Sami odprowadziliśmy się do drzwi.

Zanim dotarliśmy do samochodu, zadzwoniła komórka Mila. Odebrał; mały, niebieski telefonik zniknął w jego wielkiej dłoni.

– Sturgis... O, witam... Tak, akurat jesteśmy... Tu, pod domem... Tak... Naprawdę?... Gdzie to jest? Kiedy? Jasne, może być. Dziękuję pani, do zobaczenia.

Zatrzasnął telefon.

– To była Eileen Paxton, młodsza siostra Sheili. Była w Beverly Hills na spotkaniu, zamierzała odwiedzić siostrzyczkę, przyjechała, zobaczyła, że jesteśmy i postanowiła poczekać, aż skończymy. Chciałaby porozmawiać.

– O czym?

– O „sprawach rodzinnych”, tak to ujęła. Czeka parę przecznic dalej, na Bedford, w jakiejś włoskiej restauracji na rogu Brighton.

– Czas na tiramisu – powiedziałem.

Milo poklepał się po brzuchu.

– Nawet ja mam swoje granice.

– Rozczarowałeś mnie.

Włoska restauracja nazywała się Pagano i posiadała trzy chwiejne stoliki na zewnątrz, blokujące większą część chodnika przed lokalem. Eileen Paxton siedziała przy jednym z nich, ubrana w czarny kostium i pantofle z odkrytymi piętami na wysokim obcasie. Sączyła kawę latte.

Włosy przycinała nie dawniej niż kilka dni temu, rozjaśniła je o kilka odcieni, nałożyła też mocniejszy makijaż. W uszach miała kolczyki z brylantami, a na szyi nefrytową kolię, wyglądała, jakby coś świętowała.

– Bardzo się cieszę, że mogliśmy się spotkać – powiedziała.

Ocierali się o nas przechodnie. Milo przysunął się bliżej do Paxton.

– Tutaj czy w środku? – spytał.

– Och, tutaj. Lubię puls miasta.

To konkretne miasto było ledwie wioską, wspaniałym pokazem nierzucającego się w oczy bogactwa. Rytm jego pulsu wyznaczali maszerujący szybkim krokiem piesi i rzygające toksynami wielkie silniki. Milo i ja usiedliśmy i zamówiliśmy espresso u kelnera o naćpanym spojrzeniu i sztywnych od pianki włosach. Eileen Paxton wyglądała na zadowoloną, jakby to było ciche, spokojne miejsce, idealne do obiadu na świeżym powietrzu.

– Jakie wrażenie zrobiła na panach moja siostra? – spytała.

Milo zerknął na mnie.

– Wydawała się nieco przybita – powiedziałem.

– Musi pan wiedzieć, że to nie do końca wynik tego, co się stało z Gavinem. Sheila od dawna boryka się z problemami psychologicznymi.

– Przewlekła depresja?

– Depresja, stany lękowe, problemy z radzeniem sobie z codziennością, co pan tylko chce.

Zawsze była kapryśna i spięta. Jestem od niej młodsza, ale to ja się nią opiekowałam. Kiedy wychodziła za Jeny’ego, miałam wątpliwości.

– Co do małżeństwa?

– Co do tego, czy Sheila sobie z tym poradzi – powiedziała Paxton. Odwróciła szybko głowę,

błysnęła zębami do Naćpanego. – Gio, czy mogłabym dostać trochę tych ślicznych małych pistacjowych biscotti? Dziękuję, prawdziwy z ciebie skarb. – Potem powiedziała do nas: –

Trzeba jej przyznać, że się starała i wyglądało na to, iż wszystko jest w porządku. Mimo tego, że dla Jerry’ego nie warto się starać.

– On też ma problemy?

Zmrużyła z wściekłością oczy.

– Jerry to seksualny drapieżnik. Rzuca się na wszystko, co ma waginę, może nawet na

wszystko, co ma cokolwiek innego. Usiłował zaliczyć także mnie. Nie mówiłam tego Sheili, to by zniszczyło ją i ich małżeństwo, a tego nie chciałam mieć na sumieniu.

Ale mówisz to nam, pomyślałem.

– Kiedy to się stało? – spytałem.

– Miesiąc po ich ślubie. Dopiero co wrócili z podróży poślubnej. Ja też byłam mężatką i w czwórkę pojechaliśmy na weekend do Arrowhead. Rodzina mojego pierwszego męża miała tam domek nad jeziorem, wspaniałe miejsce z podwójnym pomostem. Wszystko szło świetnie, dopóki któregoś dnia Sheila nie poszła się zdrzemnąć – szybko się męczy – a mój ówczesny mężulo musiał pojechać w interesach do miasta, był bankierem. Zostałam tylko ja i Jerry.

Poszłam się opalać na pomost, w bikini, kilka minut później przyszedł Jerry. Nie rozmawialiśmy nawet dziesięciu minut, kiedy wykonał ruch. I to nie było nic subtelnego. Wsadził mi rękę w majtki od kostiumu.

Rozcapierzyła palce i machnęła ręką.

– Nie jest delikatny.

Przybył talerz ciastek i nasze espresso. Eileen Paxton poklepała kelnera po dłoni, wybrała ciasteczko, złamała je na pół i ugryzła kęs.

– Co pani zrobiła? – spytałem.

– Wyrwałam stamtąd jego cholerną łapę i powiedziałam mu, co zrobię z jego jajami, jeśli jeszcze raz tego spróbuje. Od tamtej pory mnie nienawidzi, z wzajemnością. Nie tylko z tego powodu. Również za to, co robi mojej siostrze.

– Co robi?

– Zdradzał ją regularnie przez całe małżeństwo.

Nie odpowiedziałem.

– Niech mi panowie wierzą, znam tę łajzę – powiedziała Paxton. – Wszystkie te podróże w

interesach, nie wiadomo jakich. Jego spojrzenia, kiedy jesteście sami. To, jak patrzy na inne kobiety, dziewczyny, które zatrudnia jako sekretarki.

– Co z nimi?

– Dziwki. Podobno to sekretarki, ale wyglądają na takie, co nie umieją nawet pisać na maszynie. Jerry wyjeżdża nie wiadomo gdzie, robi nie wiadomo co, a Sheila zostaje w zasadzie cały czas sama. Nie ma przyjaciół, nie ma towarzystwa. Tak było już kiedy dorastałyśmy. Ja miałam mnóstwo znajomych, Sheila nie umiała nawiązywać kontaktów z ludźmi.

– Robi nie wiadomo co – powiedziałem. – Sheila powiedziała, że handluje metalami.

– Ja też to słyszałam – powiedziała lekkim tonem Paxton.

Ugryzła herbatnik.

– Wątpi w to pani?

– Coś robi na pewno, płaci przecież rachunki. Tak, podróżuje i handluje aluminium czy czymś takim, wszystko jedno. Ale kiedy mój mąż, mój nowy mąż, próbował rozmawiać z nim o inwestycjach, Jerry nie był zainteresowany. A Ted jest świetnym maklerem, kimś, kto mógłby mu pomóc. Mam wrażenie, że Jeny nie jest dobry w tym, co robi, musi się bardzo starać, żeby wyjść na swoje. Co kilka lat przenosi swoje biuro, bez przerwy gdzieś jeździ.

– Zatrudnia dziwki jako sekretarki.

Zawahała się.

– Może wyraziłam się trochę za ostro. Pamiętam po prostu, co mi zrobił wtedy na pomoście.

I to, jak na mnie patrzy.

– Uważa pani, że to może mieć jakiś związek z Gavinem – powiedziałem.

– Chcę, żebyście znali wszystkie fakty, a wiem, że nikt inny ich wam nie poda. To popieprzona rodzina, a Gavin był dziwakiem. Wiem, że Sheila i Jeny powiedzą wam, że przed wypadkiem to był zwykły chłopak, ale tak nie było. Gavin miał problemy.

– Jakie problemy?

Eileen Paxton potarła herbatnikiem o górne zęby, jakby pieszcząc szkliwo. Jej język wysunął się niczym wąż i dotknął ciastka, potem ugryzła je mocno i powoli zaczęła żuć.

– Nie mówiłabym panom tego, ale nie chcę, żeby ktoś wprowadził was w błąd.

– Doceniamy to, proszę pani – powiedział Milo.

– To dobrze – stwierdziła Paxton. – Bo czuję się niezręcznie, zdradzając rodzinne sekrety.

Upiła łyk latte jak ostrożny kot, zlizwała piankę z górnej wargi.

– Jakiego rodzaju problemy miał Gavin? – spytałem.

– Jaki ojciec, taki syn.

– Był seksualnym drapieżnikiem?

– To za mocno powiedziane – powiedziała. – Gavin nie był drapieżnikiem. Jeszcze. Ale był...
dobra, nie ma powodu wam nie mówić, w zeszłym roku miał kłopoty z prawem w związku z kobietą.

– Beth Gallegos – powiedział Milo.

Twarz Paxton wykrzywiło rozczarowanie.

– A więc już wiecie.

– Dowiedzieliśmy się dopiero niedawno, proszę pani. Przed chwilą rozmawialiśmy o tym z pani siostrą.

– Poważnie? Sheila pewnie dostała szału. Winiła ofiarę, zgadza się?

– Tak, proszę pani.

– Zawsze tak reagowała na stres – powiedziała Paxton. – Moja biedna siostrzyczka żyje na innej planecie... O tym też zamierzałam panom powiedzieć. To najpoważniejszy z kłopotów Gavina, ale były też inne.

– Śledził inne kobiety?

– Wiem o przynajmniej jednej, którą molestował, i domyślam się, że było ich więcej. Bo takie zachowanie to reguła, prawda?

– Tak – powiedział Milo. – Kim jest tamta ofiara?

– Gavin miał dziewczynę, jakąś bogatą małą z Flats, widziałam ją tylko raz, chuda, mała blondynka z nosem jak jastrząb. Jak dla mnie zachowywała się trochę jak gówniara. Jej ojciec zrobił majątek na pisaniu melodyjek do reklam. Gavin zrobił się w stosunku do niej seksualnie agresywny, więc go rzuciła.

– Skąd pani to wie?

– Bo mi powiedział.

– Gavin rozmawiał z panią o swoich sprawach osobistych?

– Od czasu do czasu. – Paxton uśmiechnęła się i pogłaskała po szyi. – Młoda, odlotowa ciotka. Imponowało mu, że pracuję w branży, mam więcej wspólnego z popkulturą niż jego rodzice. Od czasu do czasu rozmawialiśmy. Kiedy powiedział mi o Małej Miss Beverly Hills, na imię miała chyba Katia czy jakoś tak, byliśmy wszyscy na kolacji, kawałek stąd, przy II Principe, mają tam boskie jedzenie.

– Będę musiał spróbować – powiedział Milo. – A więc to była rodzinna kolacja?

– Gavin, Sheila i ja. Jerry’ego nie było w mieście. Jak zwykle.

– Jak dawno temu?

– Hm, powiedziałabym pół roku, może trochę więcej. W każdym razie, siedzieliśmy tam i zachwycaliśmy się jedzeniem – przygotowują tam okonia morskiego w piecu opalanym drewnem, robią własny makaron – i nagle Sheila źle się poczuła, to następna jej cecha, nie umie się niczym cieszyć, nawet dobrym jedzeniem, bez cierpienia, więc pobiegła do toalety i dość długo tam została. Gavin zaczął ze mną rozmawiać, przez cały wieczór wyglądał na spiętego. W końcu wydusiłam z niego, o co chodzi. Stracił dziewczynę, bo nie interesował jej seks. Nazwał

ją „nałogową dziewczyną”.

Chwyciła nadgryziony herbatnik między palce wskazujące. Obróciła go. Odłożyła na talerzyk.

– Spytałam go, co się stało, a on mi powiedział. Kiedy mówił, bardzo się podniecił. Było widać, że jest zły i sfrustrowany.

– Bo rozpadł mu się związek.

– Nie, i o to właśnie chodzi. Powiedział, że ma gdzieś dziewczynę, męczył go brak seksu.

Strasznie go to denerwowało.

– To było po wypadku.

– Niedługo po, jakieś osiem miesięcy temu. Ale Gavin zawsze łatwo się denerwował. Kiedy był mały, dostawał napadów hysterii.

– Nadpobudliwość – powiedziałem. – A teraz denerwował się, bo nie uprawiał seksu.

– Mówił o seksie, jakby to było jego prawo. Powiedział, że on i ta dziewczyna, Katia, schodzili się i rozchodzili od czasów liceum, że był już najwyższy czas, żeby mu dała. Jakby był jakiś harmonogram, którego trzeba się trzymać. Potem powiedział, że wszyscy „pieprzą się do utraty wzroku”, cały świat to jedna wielka orgia nurzania się w ruchaniu, a on też zasługuje, żeby się ponurzać, więc ona może iść w cholerę, on znajdzie sobie kogoś innego.

– Dużo gniewu – powiedziałem.

– Zawsze był porywczy. Po wypadku zrobiło się jeszcze gorzej. Jakby wysiadł mu emocjonalny barometr – robił i mówił wszystko, co przychodziło mu do głowy. To znaczy, byłam jego ciotką, a on opowiadał mi o ruchaniu przy stoliku w II Principe. Byłam przerażona.

Tam jadają ważni ludzie.

– Gavin mówił głośno?

– Coraz głośniej i musiałam go upominać, żeby zachowywał się ciszej. Próbowalam

przemówić mu do rozsądku, powiedziałam, że kobiety to nie maszyny, że potrzebują czułości, że seks może być fajny, ale musi sprawiać przyjemność obu stronom. Gavin słuchał, wydawało mi się, że to wszystko do niego dociera. Potem przysunął się do mnie, powiedział: „Eileen, dzięki. Jesteś super”. A potem złapał mnie jedną ręką za pierś, drugą za tył głowy i spróbował wepchnąć mi język do gardła... Gio? Dolej mi, proszę.

Milo przycisnął ją jeszcze trochę, wypytując o życie seksualne Gavina i rodzinę, ale poza ogólną niechęcią nie miała wiele do powiedzenia. Zmienił tor rozmowy na brukowe fantazje Gavina.

– To następna rzecz, która mu imponowała – powiedziała Paxton. – Moja praca w branży.

Bez przerwy mnie prosił, żebym poznała go z kimś sławnym, żeby mógł go obserwować. –

Zaśmiała się. – Jakby się spodziewał, że pomogę mu obrzucać błotem moich przyjaciół.

– Co go najbardziej interesowało?

– Wyrzebywanie brudów i sprzedawanie ich brukowcom. Uważał to za dziennikarski debiut, chciał wyrobić sobie markę jako dziennikarz. Powiedziałam mu, że brukowce to pełne kłamstw śmieci, ale nie chciał tego słuchać. Twierdził, że są uczciwsze od poważnych wydawnictw, bo otwarcie mówią o swoich celach.

– Brudach.

Przytaknęła.

– Po wypadku Gavin widział świat jako wielką kulę brudu.

– Czy zrobił cokolwiek, żeby zostać dziennikarzem? – spytałem.

– Czy skończył jakiś kurs albo poszedł na praktykę? – powiedziała Paxton. – Nic mi o tym nie wiadomo. Wątpię, żeby tak było. Nie był w stanie wrócić do szkoły ani podjąć się jakiegó pracy. Był za bardzo rozkojarzony. Wyleciał ze szkoły, spał do południa, zamienił swój pokój w chlew. Nie mogę go za to winić, na pewno miał coś nie tak z głową. Ale Sheila nawet nie

próbowała nad nim zapanować. A Jerry'ego, oczywiście, nigdy nie było w domu.

– Gavin poszedł na terapię.

– Bo zmusił go do tego sąd.

– Powiedział pani, kto był jego terapeutą.

– Jerry mi to wyjawiał. Doktor Koppel. Jakby to miało jakieś znaczenie. – Zmarszczyła brew.

– Zna ją pani?

– Słyszałam ją w radiu i muszę powiedzieć, że nie zrobiła na mnie za dużego wrażenia.

Prawi tylko morały idiotom, którzy do niej dzwonią. Nie łatwiej po prostu iść do kościoła?

Używała czasu teraźniejszego. Milo i ja spojrzeliśmy po sobie.

– O co chodzi? – spytała.

– Doktor Koppel została zamordowana.

Paxton zbladła.

– Co? Kiedy?

– Kilka dni temu.

– Mój Boże... Dlaczego o tym nie wiedziałam... Mówili o tym w wiadomościach?

– We wczorajszej gazecie był artykuł.

– Nie czytam gazet – powiedziała. – Oprócz „Calendar”. Zamordowana, o mój Boże. Chce pan powiedzieć, że to miało coś wspólnego z Gavinem?

– Nie, proszę pani.

– Ale ona... Czy to mógł być zbieg okoliczności?

– Na pani siostrze nie zrobiło to wrażenia.

– Moja siostra to wariatka. Domyślcie się, kto mógł to zrobić?

Milo pokręcił głową.

– Straszne, straszne – powiedziała. – Myśli pan, że jest szansa, iż to nie miało związku z

Gavinem?

– Nie wiemy, proszę pani.

– O, rany. – Paxton przez chwilę była poważna. Ugryzła herbatnik i wyszczerzyła się w uśmiechu. Z powrotem kokietka. – Teraz zgrywa pan niedostępnego, poruczniku.

– Wcale nie, proszę pani.

– Cóż... Mam nadzieję, że pomogłam. Muszę iść.

– Jeszcze jedno pytanie, proszę pani. Czy pamięta pani to zdjęcie, które pani pokazywałem, to, na którym była dziewczyna zabita razem z Gavinem?

– Tak, oczywiście. Powiedziałam panu, że nigdy jej nie widziałam, i to była prawda.

– Gavin mówił pani, że zamierza znaleźć sobie nową dziewczynę. Mówił innym, że mu się udało.

– Jakim innym?

– Pozostańmy przy „innych”.

– Pan Tajemniczy Detektyw – powiedziała Paxton. Otarła się kolanem o kolano Milo. –

Nowa dziewczyna, tak? Dla Gavina to mogło oznaczać wszystko. Kogoś, za kim postanowił chodzić, niezależnie od tego, czy ten ktoś miał na to ochotę. Kogoś, kogo widział w telewizji.

– Dziewczyna, którą pani pokazywałem, była prawdziwa – powiedział Milo. – I była w samochodzie Gavina, na Mulholland, późno w nocy.

– No i dobrze – powiedziała Paxton z irytacją. – Kogoś sobie znalazł. Każdy w końcu kogoś sobie znajduje. I widzi pan, co się z nią stało?

Dopilnowała, żeby Milo zapłacił rachunek, i znikła, kołysząc się na wysokich obcasach.

– Co za sztuka – powiedział Milo. – Co za rodzina. A więc po co z nami rozmawiała?

Chciała dokuczyć Quickom?

– Gardzi nimi – powiedziałem – ale to nie znaczy, że jej informacje są mniej wartościowe.

- Niewłaściwe zachowania seksualne Gavina? Tak, co chwila się okazuje, że był bardziej szurnięty, niż nam się zdawało.
- Jeśli Paxton miała rację co do Jerome’a Quicka, wiadomo z kogo Gavin brał przykład. Na początku mógł mieć jakiś punkt widzenia kobiet, a wypadek jeszcze bardziej osłabił jego zahamowania. Intryguje mnie ta blondynka. Gavin miał problemy z nawiązywaniem kontaktów z kobietami, był zbyt nachalny. A mimo to atrakcyjna, młoda kobieta miała ochotę na zbliżenie z nim. Młoda kobieta w butach za pięćset dolarów, której zaginięcia nikt nie zgłosił.
- Profesjonalistka – powiedział Milo. – Nie ma innej możliwości.
- Poważna frustracja mogła skłonić chłopaka do płacenia za seks. Chłopak z Beverly Hills mógłby mieć odpowiedni budżet. Zwłaszcza mając ojca, który coś takiego popierał. Wiem, że nie było jej w archiwach obyczajówki, ale mogło jej tam nie być, jeśli była stosunkowo nowa i miała szczęście. Jeśli pracowała na własną rękę, nikt by za nią nie tęsknił. Jeśli pracowała dla kogoś, możliwe, że nie chciał dać się spisać.
- Ojciec, który coś takiego popierał – powiedział Milo. – Tata dawał Gavinowi poważną gotówkę, żeby synek mógł sobie pofolgować?
- Możliwe też – powiedziałem – że tata wiedział, gdzie go posłać.

Handlująca metalami firma Jerome’a Quicka znajdowała się kilka kilometrów na wschód od Beverly Hills, przy Wilshire niedaleko La Brea, na ostatnim piętrze trzypiętrowego, starego budynku, wciśniętego między wyższych sąsiadów.

Szydł w pustym holu oznajmiał, że kilka biur jest do wynajęcia. Większość najemców stanowiły firmy, których nazwy niewiele mówiły o charakterze ich działalności. Biuro Quicka znajdowało się w słabo oświetlonym, wyłożonym linoleum korytarzu. Ściany były przesiąknięte pikantnym, lecz nieprzyjemnym zapachem lekko nieświeżych kotletów.

Samo biuro nie było niczym specjalnym, składało się z małej, prawie pustej recepcji i

gabinetu, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem PROSZĘ NIE WCHODZIĆ.

Wykładzina była brązowa, wytarta do połysku, ściany pokrywała tania, biała imitacja boazerii.

Recepcjonistka siedziała za równie tanim, białym biurkiem. Była młoda i chuda, ładna, ale raczej nieprzystępna, o postrzępionych włosach z ufarbowanymi na niebiesko końcówkami. Makijaż

gruby i szarawy, szminka w kolorze szaroniebieskim, kojarzącym się z niedotlenieniem. Jej błękitne, zakrzywione paznokcie miały po dwa centymetry długości. Była ubrana w obcisły, biały

sweter i czarne spodnie z imitacji skóry. Żuła gumę. Przed nią leżał egzemplarz „Buzz

Magazine”. Brak innych magazynów i krzeseł oraz jej zaskoczenie naszą obecnością świadczyły, że nieczęsto ktoś tu przychodzi.

Na widok odznaki Mila uniosła podkreśloną ołówkiem brew, ale pulsowanie żyły na jej szyi pozostało wolne i równe.

– Pan Quick wyjechał z miasta – powiedziała zaskakująco zmysłowym głosem.

– Dokąd? – spytał Milo.

Poruszyła ramionami.

– SanDiego.

– Dużo podróżuje?

– Bez przerwy.

– A pani ma tu ciszę i spokój.

– Aha. – Niebieskie paznokcie postukały w pismo. Nigdzie nie było widać komputera ani maszyny do pisania.

– Nie jest pani zaskoczona, że chce z nim rozmawiać policja – powiedział Milo.

Wzruszyła ramionami.

– Jasne, że jestem.

– Czy to pierwszy raz, kiedy policja chce z nim rozmawiać?

– Pracuję tu dopiero kilka miesięcy.

– Byli tu wcześniej gliniarze?

– Nie.

Milo pokazał jej zdjęcie blondynki. Mocno zamrugła oczami, odwróciła się.

– Zna ją pani?

– Ona nie żyje?

– Jak widać.

– Nie znam jej.

– To dziewczyna, która zginęła razem z Gavinem Quickiem.

– Och.

– Wie pani o Gavinie.

– Aha. Jasne.

– Smutna sprawa – powiedział Milo.

– Tak naprawdę go nie znałam – odparła dziewczyna. – Bardzo smutna. – Opuściła kąciki

ust. Próbowwała pokazać, że naprawdę tak myśli. Jej piwne oczy pozostały niewzruszone. – Kto to zrobił?

– Tego próbujemy się dowiedzieć, panno...

– Angie.

– Gavin tu przychodził?

– Czasami.

– Jak często, Angie?

– Rzadko.

Milo rozpiął marynarkę i przysunął się bliżej do biurka.

– Od jak dawna tu pani pracuje?

– Trzy i pół miesiąca.

– Przez te trzy i pół miesiąca, ile razy widziała pani Gavina Quicka?

– Hm... Może trzy razy. Możliwe, że cztery, ale raczej trzy.

– Co Gavin robił, kiedy tu był?

– Wchodził do Jerry’ego... Pana Quicka. Czasami razem wychodzili.

– Na obiad?

– Pewnie tak.

– Czy to było w porze obiadu?

– Chyba tak.

– Co pani sądziła o Gavinie, Angie?

– Wyglądał na faceta w porządku.

– Nie sprawiał żadnych problemów?

Oblizwała usta.

– Nie.

– Żadnych? Zawsze był dżentelmenem?

– O co panu chodzi? – spytała.

– Słyszeliśmy – powiedział Milo – że Gavina czasami ponosiło. Entuzjazm.

Brak odpowiedzi.

– Ponosiło go przy kobietach, Angie.

Położyła dłoń na „Buzzie”. Jakby zamierzała złożyć przysięgę: „Przysięgam na wszystko, co cool...”

– Nigdy niczego takiego nie widziałam. Był uprzejmy.

– Uprzejmy – powtórzył Milo. – A przy okazji, jak ma pani na nazwisko?

– Paul. – Angie Paul.

– Aha.

– A więc pan Quick dużo podróżuje.

– Bez przerwy.

– Musi się pani nudzić, tak tu siedzieć.

– Nie narzekam. – Znów poruszyła ramionami.

Milo przesunął się bliżej biurka. Krawędź blatu wbiła mu się w udo.

– Angie, czy Gavin kiedykolwiek panią podrywał?

– Dlaczego miałby to robić?

– Jest pani atrakcyjną kobietą.

– Dzięki – powiedziała bez wyrazu. – Zawsze był kulturalny.

– Dokąd pojechał szef?

– Gdzieś do San Diego. Nie powiedział.

– Nie mówi pani, gdzie go znaleźć?

– Sam dzwoni.

– Zostawia panią samą – powiedział Milo.

– Podoba mi się to – odparła. – Jest cisza i spokój.

Zanim wyszliśmy, Milo spisał jej adres w North Hollywood, numer telefonu i prawa jazdy.

Kiedy jechaliśmy z powrotem na posterunek, sprawdził ją w komputerze. Trzy lata temu Angela

May Paul została aresztowana za posiadanie marihuany.

– Paxton mówiła, że Quick zatrudniał dziwki jako sekretarki – powiedział. – Nie wiem, czy

nasza Angie pod to podpada, ale Quick na pewno nie wybiera spośród dyrektorskich kandydatek.

To jego biuro jest trochę zapuszczone, nie uważasz?

– Nie szaleje – powiedziałem. – Eileen powiedziała, że to płotka.

– Powiedziała, że musiał się starać... Myślisz, że Angie mówiła prawdę, iż nie zna

blondynki? Moim zdaniem zareagowała na zdjęcie, chociaż na tej jej kamiennej twarzy niewiele było widać.

– Mocno zamrugła, kiedy je jej pokazałeś – powiedziałem – ale to w końcu zdjęcie trupa.

– Blondynka – powiedział Milo. – Jimmy Choo i perfumy od Armaniego. Może stary Jeny dbał o juniora.

Sprawdził nagrane wiadomości, chrząknął, rozłączył się.

– Doktorzy Larsen i Gull odpowiedzieli na moje telefony. Wolą się ze mną spotkać z dala od gabinetów, zaproponowali park Roxbury, jutro o trzynastej. Przy ławkach piknikowych po zachodniej stronie, chadzają tam czasami na lunch. Masz ochotę wchłonąć z kolegami trochę tłuszczu wśród trawy i drzew? Mam przynieść piknikowy koszyk?

– Trawa i drzewa brzmią nieźle, ale zapomnij o uprzejmościach.

Rozdział 21

Alex, cieszę się, że cię złapałam.

Minęły miesiące, odkąd słyszałem po raz ostatni głos Robin. Zbiła mnie z tropu. Serce nie zaczęło mi szybciej bić i byłem z tego zadowolony.

– Cześć – powiedziałem. – Co u ciebie?

– W porządku. A u ciebie?

– Świetnie.

Jak uprzejmie, pomyślałem.

– Alex, dzwonię, żeby poprosić cię o przysługę, ale jeśli nie możesz, proszę, powiedz od razu.

– O co chodzi?

– Tima poproszono właśnie, żeby przyleciał do Aspen popracować z Udo Pisano, tym tenorem. Jutro jest koncert, a facetowi siada głos. Chcą Tima na wczoraj, leci wycarterowanym

samolotem. Nigdy nie byłam w Aspen i bardzo chciałam polecieć z nim. Mowa o jednej, może dwóch nocach. Dałbyś radę poniańczyć Spike'a? Wiesz, jak reaguje na schronisko.

– Jasne – powiedziałem – o ile Spike da sobie tu radę.

Kilka lat temu, w upalny letni dzień, mały francuski buldog pokonał morderczy ruch na Sunset Boulevard i dostał się do Glert. Zabłąkał się na moje podwórko, dysząc i potykając się, niebezpiecznie odwodniony. Napoiłem go, nakarmiłem i zacząłem szukać jego właściciela. Okazało się, że to starsza pani, umierająca w posiadłości w Holmby Hills. Jej jedyna spadkobierczyni, córka, miała uczulenie na psy.

Pies nosił niepasujące do niego, rodowodowe imię. Zmieniłem je na Spike i nauczyłem się wszystkiego o psiej karmie. Na nowe otoczenie zareagował z wielkim entuzjazmem, natychmiast zakochał się w Robin, a we mnie zaczął widzieć rywala.

Kiedy Robin i ja zerwaliśmy ze sobą, kwestia opieki nad psem nie podlegała dyskusji. Dostał się jej, razem ze smyczą, miskami, krótką sierścią, którą zostawiał na wszystkich meblach, chrapaniem, parskaniem i aroganckim zachowaniem przy stole. Mnie w nagrodę został nawiedzany przez echa dom.

Rozwazałem przez chwilę znalezienie sobie własnego psa, ale nigdy się do tego nie zabrałem. Nie widywałem zbyt często Spike'a, bo rzadko widywałem Robin. Objął panowanie nad małym domkiem w Venice, który dzielił z Timem Plachette, a Tima miał w nie większym poważaniu niż mnie.

– Wielkie dzięki – powiedziała Robin – na pewno da sobie radę. W głębi serca cię kocha.

– Bardzo w głębi. Kiedy chcesz go przywieźć?

– Samolot odlatuje z Santa Monica, kiedy tylko będziemy gotowi, więc myślałam, żeby go podzucić jak najszybciej.

– Wpadaj.

To nie jest zwykły pies.

Płaski pysk sugeruje, że jego DNA – oprócz psiego – posiada też geny żaby, uszy ma za wielkie, sterczące do góry jak u nietoperza; wyginają się, obracają i składają, reagując na szeroki wachlarz emocji. Nie zajmuje dużo więcej miejsca niż szpic miniatúrka, ale w przestrzeń tę upycha trzynaście kilogramów ciała, głównie grubych kości i mięśni, okrytych czarnym, podpalanym futrem. Jego szyja ma pięćdziesiąt pięć centymetrów obwodu, a kanciasty łeb szerokość trzech dłoni. Wielkie, brązowe ślepia lśnią pewnością siebie. Spike pozwala sobie na szczątkowe, protekcyjne zainteresowanie życiem innych. Jego punkt widzenia jest prosty – życie to kabaret, a on jest w nim najważniejszy.

Kiedy wyprowadzałem go sam na spacer, zbiegały się do nas kobiety. „Och, to najśliczniejszy brzydki pies, jakiego widziałam!”, powtarzały najczęściej.

Tego popołudnia miał taką samą ochotę zostawić Robin, jak pożreć miskę bandaża.

Wyciągnąłem psie ciastko. Spike zerknął żałośnie na Robin. Westchnął i zgarbił się.

– Wszystko będzie dobrze, przystojniaku.

Owinięty w folię spożywczą kawałek hamburgera, który schowałem w kieszeni koszuli, zaalarmował jego radar i przyciągnął do mnie, ale kiedy tylko go zjadł, odbiegł i schował się za nogami Robin. Wspaniałymi nogami.

– Popatrz tylko – powiedziała – bierze mnie na litość.

– Radości rodzicielstwa.

Spike szturchnął nosem jej spodnie. Obcisłe dżinsy nad zamszowymi butami. Robin miała czarną, jedwabną koszulę pod tkaną kamizelką. Rozpuściła kasztanowe loki, twarz miała czystą i świeżą. I te wielkie, wilgotne, piwne oczy. Prosta linia szczęki i wąski, prosty nos.

Te usta; te duże siekacze.

– Wezmę go, a ty jedź – powiedziałem. – Pomarudzi, potem mu przejdzie.

– Masz rację – powiedziała. Ujęła pysk Spike’a w dłonie. – Słuchaj, mały łobuzie. Tata się tobą zaopiekuje, dobrze o tym wiesz.

Jak nazywała Tima? Przybranym tatą?

Spike otworzył paszczę, błysnął zębami, wywalił purpurowy język.

Błagając niebiosa, zaszczekał.

Złapałem go w objęcia, przycisnąłem jego sprężyste, małe ciało do piersi, a on skomlał, wił się i dyszał. Przypominało to trzymanie kuli do kręgli z łapami.

– O rany – powiedziała Robin.

– *Bon voyage*, Rob – odparłem.

Zawahała się, ruszyła do samochodu, zmieniła zdanie i wróciła. Zarzuciła mi rękę na ramię i pocałowała Spike’a prosto w pysk.

Całowała mnie właśnie w policzek, kiedy swoim czarnym jaguarem XJS podjechała Allison.

Złożyła dach i jej czarne włosy powiewały na wietrze jak na reklamie szamponu. Miała na sobie kremowy sweter z błękitnym szalem, na nosie niebieskie okulary przeciwsłoneczne. Jej uszy, szyja, palce i nadgarstki błyszcząły – Allison nie obawia się ozdób.

Wyłączyła silnik, a ramię Robin opadło. Spike próbował zeskoczyć z moich rąk, a kiedy mu się to nie udało, rozdzierająco zawył.

– Cześć wszystkim – powiedziała Allison.

– Cześć – uśmiechnęła się Robin.

Spike spróbował swojego ulubionego manewru pod tytułem „duszę-się-pomocy”.

– Kogo my tu mamy. – Allison poklepała go po łbie, potem pocałowała mnie w usta. Robin cofnęła się kilka kroków.

Spike zamarł; spoglądał na przemian to na jedną, to na drugą. Czasami tak mam, stary, powiedziałem do niego w myślach.

Jęknął.

Kiedy Robin pojechała, poszedłem za Allison po schodach na taras, niosąc wciąż dygoczącego psa. Kiedy stanęliśmy na górze, spojrzała na mnie – nie, na niego. Dotknęła z wahaniem jego wąsatych fafli.

– Spójrz tylko na tego malucha. Zapomniałam już, jaki jest słodki.

Spike polizał jej dłoń.

– Jesteś bardzo, bardzo słodki.

Spike zaczął ciężko dyszeć, a Allison jeszcze trochę go pogłaskała. Zaczął się wiercić, odchylił łeb w tył i udało mu się spojrzeć mi w oczy.

Porozumiewawczo, z wyrazem tryumfu na pysku.

Chwilę później leżał u stóp Allison, gryząc drugie psie ciasteczko w ciągu tyłuż minut i cynicznie ze mnie kpiąc.

Niektórzy to mają szczęście.

Zamordowanie Mary Lou Koppel wstrząsnęło Allison i wydawało się, że właśnie dlatego wpadła. Kiedy robiłem kawę dla nas obojga, zaczęła ze mnie wyciągać szczegóły.

Powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem, czyli niewiele.

– A więc to mógł być pacjent – stwierdziła.

– Na tym etapie wszystko jest możliwe.

Mocno zaciskała dłonie na kubku.

– Jesteś zdenerwowana – powiedziałem.

– To nic osobistego. – Upiła łyk. – Miewałam pacjentów, zwłaszcza mężów pacjentek, przy których czułam się nieswojo. Ale to było w większości wiele lat temu, kiedy przyjmowałam więcej skierowań z agencji... Chyba po prostu śmierć Mary Lou trafiła trochę za blisko. Wydaje się nam, że wiemy, co robimy, i być może stajemy się zbyt pewni siebie. I to nie tylko ja tak

myślę. Miałam telefony od trojga innych psychologów, którzy chcieli o tym porozmawiać.

– Znali Mary Lou?

– Wiedzieli, że spotykam się z tobą, i myśleli, że może uda im się dowiedzieć szczegółów.

Nie martw się, nic nie powiedziałam.

– Co ich dręczyło?

– Nasza praca, ludzka nieprzewidywalność. Chyba chcieli przekonać samych siebie, że Mary Lou była inna i dlatego coś takiego przytrafiło się właśnie jej.

– Mają nadzieję, że wkurzyła jakieś telewizyjnego czubka – powiedziałem – i że to nie miało nic wspólnego z jej praktyką.

– Bingo. Ale z tego, co mi mówisz, to mógł być pacjent. Ktoś, kto spotkał chłopaka Quicków w poczekalni.

– Biorąc pod uwagę impulsywność Quicka, jego stosunek do kobiet, zbiór podejrzanych sięga poza poczekalnię.

– Ale morderstwo Mary Lou – zaprotestowała Allison. – Musiało chodzić o coś związanego z jej praktyką.

– Masz jakiś pomysł, jak dobrać się do akt jej pacjentów? – spytałem. – Nie wiem, jak obejść zasadę poufności.

Zamyśliła się.

– Nie da się, bez jakiegoś konkretnego niebezpieczeństwa, poświadczonego zagrożenia.

– W karcie Gavina nie było niczego takiego. A jeśli Mary Lou ktokolwiek groził, nie zdradziła tego mnie ani Milowi. Jutro mamy się spotkać z jej partnerami.

– Gullem i Larsenem.

– Znasz ich? – spytałem.

– Kilka razy się spotkaliśmy, ale nie rozmawialiśmy.

– Jakieś wrażenia?

– Gull wydaje się bardzo ugrzeczniony, wygląda na typowego terapeutę z Beverly Hills.

Larsen to typ bardziej akademicki.

– Gull był pierwszym terapeutą Gavina – powiedziałem. – Nie ułożyło się im i Gavin został przeniesiony do Koppel. Teraz, kiedy Gavin nie żyje, może Gull powie nam, dlaczego.

– Sporo problemów jak na jednego chłopaka – powiedziała Allison. – Śledzenie, dobieranie się do własnej ciotki.

– Jeśli ciotce można wierzyć, cała ta rodzina jest bardziej niż dysfunkcyjna.

Allison napiła się kawy i wzięła mnie za rękę.

– Przynajmniej tobie i mnie nigdy nie zabraknie pracy.

– Ani Milowi.

Spike przekręcił się na grzbiet i zaczął przebierać swoimi krótkimi łapami.

– Wygląda jak odwrócony na grzbiet żółw – powiedziała Allison. – Co robisz, słodziaku?

Ćwiczysz do rowerowego wyścigu do góry nogami?

– To sygnał, żeby podrapać go po brzuchu – powiedziałem.

Allison uśmiechnęła się i posłuchała.

– Dzięki za tłumaczenie, nie władam jeszcze płynnie psim.

Przestała drapać psa i sięgnęła po kubek. Spike zaprotestował, więc znów się nachyliła.

– Uznaj się za uwarunkowaną – powiedziałem.

Allison się zaśmiała, wzięła kubek; udało jej się jednocześnie pić i dopieszczać psa. Spike beknął, potem zamruczał jak kot. Allison nie wytrzymała.

– To maszyna do efektów dźwiękowych.

– Ma mnóstwo różnych talentów.

– Jak długo zostanie?

– Kilka dni. – Opowiedziałem jej o telefonie Robin.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Chociaż tyle mogłem zrobić – powiedziałem. – To miała być opieka łączona, ale zagłosował przeciw.

– To głupio z jego strony. Na pewno byłeś świetnym ojcem.

Wyprostowała się, pogłaskała mnie po twarzy i przesunęła palcem po moich ustach. Spike zerwał się na nogi i zaszczekał.

– Zaczyna się – powiedziałem. – Spokój, pajacu.

– Och, jakiś ty surowy – ucieszyła się Allison. – Bardzo dobrze wychodzi ci surowość, kochanie. Nigdy przedtem tego nie widziałam.

– To on tak na mnie działa.

– Zawsze chciałam mieć psa – powiedziała. – Znasz moją matkę, za bardzo lubi porządek, żeby się zgodzić na futro na dywanie. A tata zawsze był poza domem, załatwiał interesy. Kiedyś miałam salamandrę. Wylazła z akwarium, schowała się pod łóżkiem i wyschła. Kiedy ją znalazłam, wyglądała jak kawałek suszonego mięsa.

– Biedne, zaniedbywane dziecko.

– Tak, dzieciństwo miałam tragiczne... Chociaż, szczerze mówiąc, nie byłam do Sally bardzo przywiązana. Zimny śluz zniechęca do czułości, nie sądzisz? Ale coś takiego. – Pogłaskała Spike'a po łbie. – Coś takiego byłoby o wiele lepsze.

– To nie takie proste.

– Jak to?

– Pokażę ci.

Wstałem, stanąłem za nią, pogładziłem i pocałowałem ją w szyję. Czekałem, aż Spike dostanie szału.

Patrzył na mnie wyzywająco. Nic nie robił.

Allison miała spory dekolt, wsunąłem tam dłoń.

– Mmm — mruknęła. – Skoro już tu jestem...

– A więc nie przyjechałaś rozmawiać o Mary Lou.

– Przyjechałam, ale co z tego? – powiedziała.

Lekko uszczypnąłem ją w sutek. Odchyliła się do tyłu, wstrzymała oddech, a potem wypuściła go z cichym śmiechem. Sięgnęła w tył i przesunęła ręką po moim boku.

– Masz czas?

Zerknąłem na Spike'a. Niewzruszony.

Wziąłem Allison za rękę, zaprowadziłem ją do sypialni. Spike truchtał dziesięć kroków za nami. Zamknąłem drzwi. Cisza. Kiedy byłem z Robin, bez przerwy marudził.

Zaciągnąłem zasłony, rozebrałem Allison, sam wyostałem się z ubrania. Stanęliśmy brzuch w brzuch, czując swoje szybko bijące serca i rozpalające się, chłodne ciała. Ścisnąłem obiema dłońmi pośladki Allison. Ona pieściła całe moje ciało.

Kiedy niosłem ją do łóżka, zza drzwi wciąż nie dobiegały żadne skargi.

Obejmowaliśmy się, dotykaliśmy i całowaliśmy. Zapomniałem o wszystkim z wyjątkiem Allison.

Dopiero kiedy w nią wszedłem, zaczęło się skrobanie i skomlenie.

Allison od razu je usłyszała. Leżąc z rękami na moich ramionach i nogami zarzuconymi na moje plecy, szeroko otworzyła niebieskie oczy.

Zaczęliśmy się razem poruszać.

Hałas za drzwiami przybrał na sile.

– Och – powiedziała Allison, wciąż się kołysząc. –Widzę... co... miałeś... na... myśli.

Nie przerwałem, ona też nie.

Spike dalej hałasował.

Na próżno.

Rozdział 22

Kiedy obudziłem się o szóstej rano, Allison leżała obok mnie, a Spike spał zwinięty w kłębek na podłodze przy nogach łóżka. Wpuściła go. Przez następne dwa dni nawet nie udawał, że jest grzeczny.

Zostawiłem Allison śpiącą i wyprowadziłem Spike'a na dwór, żeby załatwił swoje sprawy.

Poranek był wilgotny, szary i dziwnie wonny. Wąsy mgły spływały spiralami ze stoków gór.

Drzewa stały niczym czarni wartownicy. Było za wcześnie dla ptaków.

Patrzyłem, jak Spike człapie po podwórku, węsząc i szukając. Szturchnął nosem ogrodowego

ślimaka, uznał, że *escargots* to element jego galijskiego pochodzenia, o którym woli nie

pamiętać, i zniknął za krzakiem. Stojąc w szlafroku, drżąc z zimna i czując, jak przejaśnia mi się

w głowie, zacząłem się zastanawiać, kto bał się aż tak, że zamordował Gavina Quicka i Mary

Lou Koppel. A może tu wcale nie chodziło o strach – może ktoś zabijał po prostu dla

przyjemności?

Potem przypomniałem sobie dziennikarskie fantazje Gavina i moje pytania skierowały się w zupełnie inną stronę.

Przy śniadaniu nie mówiłem Allison nic o morderstwach. O ósmej trzydzieści wyszła do

pracy, a ja krzątałem się przy domu. Spike został przed zimnym telewizorem. Zawsze był

oddanym fanem pustego ekranu; może coś tam widział. Poszedłem do gabinetu i zagrzebałem się

w papierach. Spike wszedł tam za mną, usiadł i patrzył na mnie, aż wstałem, zszedłem do kuchni

i dałem mu trochę siekanego indyka. Przez resztę poranka był szczęśliwy, a o dziesiątej spał już

w kuchni.

Kiedy niedługo potem zadzwonił Milo i poprosił, żebym w południe zabrał go na spotkanie z

doktorami Gullem i Larsenem, ucieszyłem się, słysząc jego głos.

Stałem z włączonym silnikiem przed posterunkiem. Milo się spóźniał. Mundurowi już dwa razy mnie ostrzegali, żebym się tu nie kręcił. Nazwisko Mila nic nie znaczyło dla drugiego z nich, który groził mi mandatem. Kilka razy przejechałem się dookoła kwartału i zastałem Mila czekającego przy krawężniku.

– Przepraszam. Sean Binchy przytrzymał mnie, kiedy już wychodziłem.

Zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek. Miał pomięte ubranie. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio spał.

Bocznymi uliczkami dojechałem do Ohio, skierowałem seville'a na wschód, wbiłem się w korek przy Sepulveda i dowlokłem do Overland, gdzie w końcu mogłem jechać szybciej niż deskorolkarze.

Roxbury Park leżał piętnaście minut drogi dalej, przy Olympic, niecałe półtora kilometra na zachód od gabinetu Mary Lou Koppel. Jeszcze bliżej było stamtąd do domu Quicków przy Camden Drive. Rozmyślałem o ciasnym, zduszonym świecie, który stał się udziałem Gavina po wypadku, aż zawiózł ładną blondynkę na Mulholland Drive.

Milo otworzył oczy.

– Podoba mi się to szoferowanie. Jeśli kiedyś podliczysz nam kilometry, departament będzie się musiał zapożyczyć.

– Święty Alex. Czego chciał Binchy?

– Znalazł sąsiada Koppel, jakiegoś chłopaka mieszkającego siedem domów dalej wzdłuż McConnell, który w noc morderstwa zauważył jeżdżącego w okolicy vana. Wracał późno do domu, koło drugiej, i van minął go, jadąc na północ, od domu Koppel w jego stronę. Zamknął drzwi, został w samochodzie, patrzył, jak van zawraca. Jechał bardzo powoli, jakby kierowca szukał adresu. Chłopak czekał, aż tylne światła zniknęły na dłuższą chwilę. Nie umie

powiedzieć, czy van zaparkował, czy po prostu pojechał, ale więcej już nie wrócił.

– Czujny dzieciak – powiedziałem.

– Kilka tygodni temu po drugiej stronie Motor komuś obrobili dom i rodzice kazali mu uważać.

– Druga w nocy pasuje do teorii koronera. Chłopak widział kierowcę?

– Za ciemno. Mówił, że być może van miał przyciemniane szyby.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście. Binchy mówi, że to wzorowy uczeń Harvard-Westlake, wydaje się porządny. Lubi też samochody, był pewien, że ten van to był ford aerostar. Czarny, szary albo granatowy, nie zauważył żadnych przeróbek. Nie widział tablic, to by było za dużo szczęścia naraz. Nie mamy wiele, ale jeśli znajdziemy podejrzanego z aerostarem, będzie się czym zająć.

– A jak z dostępem do akt Koppel?

– Pytałem trzech zastępców prokuratora, każdy mówił mi to samo. Bez gwałtownego zachowania albo pogroźek ze strony konkretnego pacjenta wobec konkretnej osoby, zapomnij.

– Może jest inny sposób, żeby dowiedzieć się czegoś o prywatnym życiu Gavina – powiedziałem. – Uważał się za dziennikarza, a dziennikarze robią notatki.

– O, rany. – Milo wyprostował się, zaparł obiema rękami o deskę rozdzielczą, jakby próbował się uchronić przed upadkiem do przodu. – Ten chlew, który nazywał swoim pokojem. Tyle papierów, może coś zapisał. A ja nie sprawdziłem. Cholera.

– To była tylko sugestia...

– Kiedy powiadaliśmy Sheilę Quick o Gavinie, pokazywała nam jego pokój. Było mi jej żal, widziałem, jak jej wstyd. Nie zrobiłem przeszukania. – Przycisnął kciuki do skroni. – O, to było po prostu genialne.

– Kiedy powiadaliśmy Sheilę Quick o Gavinie – powiedziałem – cała sprawa wyglądała

na morderstwo na tle seksualnym. Nikt nie podejrzewał, że Gavin mógł odegrać jakąś rolę we własnej śmierci. Wciąż tego nie wiemy.

– Tak, tak, dzięki za terapię, Alex, ale fakt pozostaje faktem, że powinienem był przetrząsnąć ten cholerny pokój od razu. Może zaczynam się sypać... Muszę sobie zapisywać takie rzeczy, bo zapominam. Dobra, starczy tego kwękania. Działamy, działamy. Po Gullu i Larsenie jadę do Quicków. Pani Q na pewno będzie zachwycona, że grzebię w osobistych rzeczach jej zabitego chłopaka. – Skrzywił się. – Miejmy nadzieję, że czegoś nie wyrzuciła.

– Chyba minie trochę czasu, zanim zbierze siły, żeby to zrobić.

– Przy takim trybie życia... – powiedział cicho Milo. – Sprawdziłem jej mężulka. Nasz stary kumpel Jerome zarobił jeden mandat za przekroczenie prędkości i jeden za to, że nie zatrzymał się przed znakiem stopu. Nic o nim nie wiadomo obyczajówce u nas ani żadnej innej, z którą rozmawiałem, aż do Santa Monica i West Hollywood. Jeżeli więc wynajmował call girls dla siebie albo Gavina, robił to ostrożnie. Wpisałem go do kilku wyszukiwarek i jego nazwisko pojawia się tylko raz. Zjazd weteranów z Wietnamu, pięć lat temu w Scranton w Pensylwanii. Przy Century Park East zatrzymałem się na czerwonym świetle. Parę przecznic dalej minąłem uniwersytecki rozmiarami kampus, należący do liceum Beverly Hills High. Potem długi na kwartał pas zieleni, czysty i porządny tą poprawnością potiomkinowskiej wioski, charakterystyczną dla terenów publicznych Beverly Hills.

– Gotów na spotkanie z kolegami po fachu? – spytał Milo. – Mam im mówić, kim jesteś?

– Nie, nie wychylajmy się. Będę tylko słuchał.

– Wieczny obserwator. Pewnie masz rację. Dobra, skręć tu w Roxbury, jedź prosto aż do południowej strony parku i objeżdż ją. Powiedzieli, że będą czekać przy ławkach, w bok od alejki od strony Spalding na zachodniej krawędzi. Tam, gdzie bawią się mamy z dziećmi.

Albin Larsen i potężniejszy, ciemnowłosy mężczyzna w czarnym garniturze siedzieli przy

drewnianym stoliku tuż za zielonym, metalowym ogrodzeniem, biegnącym wzdłuż zachodniej granicy parku. Stolików ogółem było sześć, wszystkie stały w cieniu starych, chińskich wiązów. Beverly Hills traktuje swoje drzewa jak wystawowe pudle – wiązy przystrzyżono w olbrzymie, zielone parasole. Psycholodzy wybrali miejsce przy piaskownicy, gdzie pod czujnym okiem matek i opiekunek bawiły się dzieci. Siedzieli plecami do placu zabaw.

Znalazłem wolne miejsce pod zielonym ogrodzeniem. Większość pozostałych zajmowały terenówki i vany. Wyjątkiem były dwa mercedesy 190, oba ciemnoszare, stojące obok siebie. Takie same, jakie widziałem pod budynkiem Koppel. Takie same, jak ten Jerome’a Quicka.

– Ich auta – powiedział Milo.

– Pracują razem, ale przyjechali tu osobno.

– To znaczy?

– To znaczy, że zobaczymy.

Larsen i Gull nie zauważyli naszego przybycia, więc przez kilka chwil im się przyglądaliśmy. Rozmawiali ze sobą i jedli. Nie mówili o niczym poważnym, nie wydawali się zbyt zaangażowani w tę wymianę zdań.

– Chodźmy – powiedział Milo.

Kiedy byliśmy dziesięć metrów od nich, obaj nas zauważyli i odłożyli plastikowe widelce.

Albin Larsen był ubrany podobnie jak wtedy, gdy Mary Lou Koppel nie przyjechała do gabinetu

– dziergana kamizelka, tym razem brązowa, beżowa lniana koszula i zielony wełniany krawat.

Czarny garnitur Franco Gulla uszyty był z drobno tkanego krepdeszynu, miał wąskie klapy. Pod

nim Gull nosił białą koszulę bez kołnierzyka, zapiętą pod szyję. Złota obrączka, złoty zegarek.

Gull miał szerokie bary i wyglądał na silnego – gruby kark, nos boksera, duża, kanciasta

twarz, którą z trudem można było uznać za przystojną. Głowę okrywała mu masa falistych,

czarnych włosów, przyprószonych siwizną. Podbródek Gulla wyprzedzał całą resztę jego osoby o

dwa centymetry. Równe brwi wystawały spod szarych okularów przeciwsłonecznych, a skórę miał zaróżowioną.

Był trochę młodszy od Larsena, miał czterdzieści parę lat. Kiedy Milo i ja podeszliśmy do stolika, zdjął okulary, ukazując duże, ciemne oczy. Smutne, podkrążone ciemnymi workami. Postarzały go o kilka lat i nadawały jego twarzy wyraz zamyślenia.

Jadł chińszczyznę z pudełka na wynos. Krewetki pływające w czerwonym sosie, smażony ryż i sajgonki. Albin Larsen wybrał sałatkę pietrzącą się w styropianowej misce. Obaj pili mrożoną herbatę z puszek.

– Dzień dobry – powiedział Larsen i nieco sztywno skinął głową. Gull wyciągnął rękę. Miał olbrzymie palce.

Obaj siedzieli w cieniu, ale czoło Gulla zrosił pot. Krewetki na ostro? Milo i ja strzepnęliśmy kurz i liście z ławki i usiedliśmy. Larsen wrócił do jedzenia, Gull uśmiechnął się niepewnie.

– Dziękujemy, że poświęciliście nam panowie czas – powiedział Milo. – Macie pewnie nawał pracy.

Larsen popatrzył na niego znad sałatki. Żaden z mężczyzn nie odpowiedział.

– Pacjenci doktor Koppel – wyjaśnił Milo. – Musicie im wszystko wyjaśniać.

– Tak – powiedział Larsen. – Różnie to znoszą.

– Na szczęście – dodał Gull – nie mówimy tu o jakiejś dużej liczbie. W przeciwieństwie do lekarzy każdy z nas prowadzi najwyżej czterdziestu, pięćdziesięciu pacjentów. Albin i ja podzieliliśmy się bieżącymi podopiecznymi doktor Koppel i skontaktowaliśmy się z nimi. Cały czas pracujemy nad byłymi, ale trudno ich znaleźć. Mary nie trzymała kart dłużej niż rok. Głos miał cichy i gładki, ale mówienie wydawało się go męczyć. Otarł czoło. Wciąż się pocił.

– Czy to powszechna praktyka? – spytał Milo. – Niszczenie kart?

– Każdy terapeuta decyduje o tym sam.

– A pan i doktor Larsen?

– Ja trzymam karty przez dwa lata. A ty, Albin?

– To zależy, ale mniej więcej tyle samo – odparł Larsen.

– Nie ma oficjalnej polityki grupowej – powiedział Milo.

– Nie jesteśmy oficjalnie grupą – powiedział Larsen. – Dzielimy lokal.

– Co teraz będzie z bieżącymi pacjentami doktor Koppel? Jeśli chodzi o leczenie?

– Ci, którzy postanowią kontynuować terapię u mnie albo Albina – odparł Gull – mogą to zrobić. Jeśli wolą kobietę terapeutkę, z przyjemnością im kogoś polecimy.

– Wygląda na to, że wszystko sobie panowie zaplanowaliście – powiedział Milo.

– Musimy być zorganizowani. Jak powiedział Albin, pacjenci różnie to znoszą. Co może być gorszego dla człowieka w potrzebie niż takie nagłe zagubienie?

Gull pokręcił głową, jego włosy zafalowały.

– To koszmar i dla nas, i dla nich. Niewiarygodny.

– Morderstwo doktor Koppel?

Spojrzenie smutnych oczu Gulla stwardniało.

– A mówimy o czymś innym?

Albin Larsen nadział na widelec kawałek pomidora, ale go nie zjadł.

– To wielka strata – ciągnął Gull. – Dla jej pacjentów, dla nas, dla... Mary była żywa, błyskotliwa, dynamiczna. Była kimś, od kogo się uczyliśmy, detektywie. Trudno się nam pogodzić z faktem, że jej już nie ma.

Zerknął na Larsena.

Larsen bawił się liściem sałaty.

– Ludzie gasną ot, tak. – Otarł oczy. – Straciliśmy drogą przyjaciółkę.

– Domyślcie się panowie, kto to zrobił? – spytał Guli.

Milo oparł łokcie na stole.

– Wiem, że obowiązuje panów zasada poufności, ale realne zagrożenie ją znosi. Czy któremuś z was wiadomo o groźbach któregoś z pacjentów wobec doktor Koppel? Czy któryś z pacjentów miał do niej o coś poważne pretensje?

– Pacjent? – spytał Gull. – Skąd taki pomysł?

– Każdy pomysł może być dobry, doktorze. Sprawdzamy wszystkie możliwości.

– Nie – powiedział Gull. – Nie miała takich pacjentów. Absolutnie nie.

Sięgnął po serwetkę, znów otarł czoło.

Milo zerknął na Albina Larsena. Larsen pokręcił głową.

– Doktor Koppel pracowała z ludźmi z problemami – powiedział Milo. – Jak dla mnie to logiczny punkt wyjścia.

– Logiczny w teorii – powiedział Gull – ale nie ma zastosowania w naszej praktyce. Mary nie leczyła socjopatów.

– A kogo leczyła?

– Ludzi z codziennymi problemami z przystosowaniem – odparł Gull. – Lęki, depresje, to, co kiedyś nazywano neurozą. Oprócz tego pomagała ogólnie zdrowym osobom w podejmowaniu kluczowych decyzji.

– Doradztwo zawodowe?

– Doradztwo różnego rodzaju – odparł Gull.

– Nie nazywa się ich już neurotykami?

– Unikamy etykietek, detektywie. Unikamy piętna. Terapia nie jest leczeniem w takim samym znaczeniu, jak procedury medyczne, gdzie lekarz robi coś pacjentowi, a ten biernie się temu poddaje. Terapia jest swego rodzaju umową. Uważamy się za partnerów naszych pacjentów.

- Lekarz i pacjent działają jako zespół.
- Właśnie.
- Problemy z przystosowaniem – powiedział Milo. – Jest pan całkowicie pewien, że praktyka doktor Koppel nie obejmowała ludzi niebezpiecznych.
- Mary nie chciałaby pracować z ludźmi skłonny do przemocy – powiedział Albin Larsen.
- A robiła tylko to, co chciała?
- Była zajęta. Mogła wybierać swoich pacjentów.
- Dlaczego nie chciałaby pracować z ludźmi skłonny do przemocy, doktorze?
- Mary była przeciwna przemocy jako takiej.
- Wszyscy jesteśmy przeciwni, doktorze, ale to nie oznacza, że nie mamy styczności z gorszymi aspektami życia.
- Doktor Koppel udawało się nie wchodzić w tę styczność – powiedział Larsen.
- Naprawdę?
- Tak.
- Słyszałem nagrania radiowe, w których doktor Koppel mówiła o reformie więziennictwa.
- Ach – powiedział Larsen. – Obawiam się, że to mój wpływ. Czy ja też byłem w tych nagraniach?
- Chyba nie, doktorze.

Larsen zacisnął usta.

- To ja zainteresowałem Mary tym tematem. Nie w sensie klinicznym. Była społecznie świadomą jednostką, kwestie społeczne interesowały ją zarówno jako uczonego, jak i człowieka. Ale jeśli chodzi o jej praktykę, koncentrowała się na codziennych problemach zwykłych ludzi. Głównie kobiet. A to chyba wiele wyjaśnia, jeśli chodzi o prawdopodobieństwo znalezienia jej mordercy wśród jej pacjentów.

– Dlaczego, doktorze Larsen?

– Przystępca przemoc jest zazwyczaj domeną mężczyzn.

– Interesuje się pan psychologią przestępców? – spytał Milo.

– Tylko w powiązaniu z kwestiami społecznymi.

– Albin jest zbyt skromny – wtrącił Gull. – Robił wspaniałe rzeczy jako orędownik praw człowieka.

– I przeszedł pan od tego do prywatnej praktyki – powiedziałem.

Larsen zerknął w moim kierunku.

– Każdy robi to, co w danej chwili może.

– Prawami człowieka nie zarobi się na chleb – powiedział Milo.

Larsen odwrócił się do niego.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że ma pan rację, detektywie.

– A więc na liście pacjentów doktor Koppel nie było żadnych psychopatów – powiedział Milo.

To było stwierdzenie, a nie pytanie; żaden z psychologów nie odpowiedział. Albin Larsen zjadł strzęp sałaty. Franco Gull popatrzył na swój złoty zegarek.

Milo wyjął zdjęcie blondynki.

– Czy któryś z panów ją poznaje?

Larsen i Gull przyjrzeni się fotografii. Obaj pokręcili głowami. Gull oblizał wargi. Na nosie zaperlił mu się pot, wytarł go zirytowanym ruchem.

– Kim ona jest?

– Była – powiedział Larsen. – Widać wyraźnie, że nie żyje. – Zwrócił się do Mila: – Czy ta sprawa ma związek z zamordowaniem Mary?

– Jeszcze nie wiemy, doktorze. Czy Mary znała tę dziewczynę? – spytał Gull. Tego też nie

wiemy. A więc żaden z panów nie widział jej w okolicach waszych gabinetów.

– Nigdy – powiedział Gull.

Larsen pokręcił głową. Pociągnął za guzik kamizelki.

– Detektywie, czy powinniśmy o czymś wiedzieć? Dla własnego bezpieczeństwa?

– Martwi się pan o własne bezpieczeństwo?

– Właśnie pokazał nam pan zdjęcie martwej dziewczyny. Zakładam, że według pana jej śmierć ma związek ze śmiercią Mary. O co w tym naprawdę chodzi?

Milo schował zdjęcie do kieszeni.

– Mogę panom doradzić tylko zachowanie normalnej ostrożności. Gdyby któryś z panów zetknął się z groźbami ze strony pacjenta albo ktoś inny z otoczenia doktor Koppel wydał się panom podejrzany, proszę dać mi znać.

Założył nogę na nogę, spojrzał na dokazujące dzieci. Alejką przejechała ciężarówka z lodami i zadzwoniła dzwonkiem. Część dzieci zaczęła pokazywać w jej stronę i podskakiwać.

– Czy coś jeszcze? – spytał Franco Gull. – Mam zapchane popołudnie.

– Tylko kilka pytań – powiedział Milo. – O strukturę panów partnerstwa z doktor Koppel.

– Albin panu powiedział, to nie była oficjalna spółka – powiedział Gull.

– Dzielimy powierzchnię biurową.

– Czyli to czysto finansowy układ?

– Cóż – powiedział Gull – nie redukowałbym go aż tak. Mary była naszą drogą przyjaciółką.

– Co teraz będzie z wynajmem?

Gull popatrzył na niego bez słowa.

– Muszę o to zapytać – powiedział Milo.

– Albin i ja o tym nie rozmawialiśmy, detektywie. Robimy wszystko, co się da, żeby pomóc pacjentom Mary.

Spojrzał na Larsena.

– Byłbym za tym, żebyśmy wzięli na siebie część czynszu Mary, Franco – powiedział

Larsen.

– Jasne – zgodził się Gull. I następne słowa skierował do nas: – To żaden problem. Czynsz jest rozsądny, a Mary płaciła mniej niż my.

– Dlaczego? – spytał Milo.

– Ponieważ – odparł Gull – to ona wyszukała dla nas budynek, załatwiła korzystną umowę, zajęła się remontem.

– Dobra negocjatorka.

– Była dobra – powiedział Larsen. – Jej umiejętnościom dopomógł fakt, że właścicielem budynku jest jej były mąż.

– Ed Koppel?

– Wszyscy mówią na niego Sonny – powiedział Gull.

Wynajmowała od byłego męża?

– Mary i Sonny dobrze się dogadywali – powiedział Gull. – Rozwiedli się wiele lat temu, bez awantur.

– Bez żadnych problemów?

– Wynajął nam lokal po kosztach, detektywie. To chyba o czymś świadczy?

– Chyba tak – powiedział Milo.

– Nie znajdzie pan nikogo, kto znał Mary i źle by o niej mówił – powiedział Gull. – Była cudowną kobietą. To dla nas naprawdę cios.

Jego podbródek zadrżał. Gull założył z powrotem okulary.

– Pewnie wam ciężko – powiedział Milo. – Przykro mi.

Nie wstał.

– Coś jeszcze? – spytał Larsen.

– To już tylko formalność, panowie, ale gdzie byliście w nocy, kiedy zamordowano doktor Koppel?

– Ja byłem w domu – powiedział Gull. – Z żoną i dziećmi.

– Iloma?

– Dwójką.

Milo wyjął notes.

– A gdzie pan mieszka, doktorze?

– Club Drive.

– Cheviot Hills?

– Tak.

– A więc pan i doktor Koppel byliście sąsiadami.

– Mary pomagała nam znaleźć dom.

– Przez pana Koppela?

– Nie – powiedział Gull. – Z tego, co wiem, Sonny zajmuje się tylko nieruchomościami komercyjnymi. Mary wiedziała, że szukamy czegoś lepszego. Poszła na spacer, zobaczyła tablicę NA SPRZEDAŻ i pomyślała, że mogłoby się nam tam spodobać.

– Kiedy to było?

– Rok... czternaście miesięcy temu.

– A przedtem mieszkał pan...

– W Studio City – powiedział Gull. – Czemu pan o to pyta?

Milo odwrócił się do Larsena.

– A pan? Gdzie pan był tamtej nocy?

– Również w domu – odparł Larsen. – Mieszkam w mieszkaniu przy Harvard Street w Santa

Monica, na północ od Wilshire. Wyrecytował adres cichym, zmęczonym głosem.

– Mieszka pan sam?

– Tak. – Larsen się uśmiechnął. – Czytałem, a potem położyłem się spać. Obawiam się, że nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić.

Milo odwzajemnił uśmiech.

– Co pan czytał?

– Sartre’a. *Transcendencję ego*.

– Lekka lektura.

– Czasami dobrze jest wyteńczyć umysł.

– Co prawda, to prawda – powiedział Milo. – Powiem panu, że ta sprawa to prawdziwe wyzwanie.

Larsen nie odpowiedział.

Franco Gull znów spojrzął na zegarek.

– Naprawdę muszę już wracać do gabinetu.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Milo. – Wiem, że nie możecie mi panowie opowiadać o mrocznych sekretach pacjentów z powodu etycznych zakazów. Ale mam pytanie, na które chyba wolno wam odpowiedzieć. Czy któryś z waszych pacjentów jeździ ciemnym fordem aerostarem, minivanem? Czarnym, granatowym, może szarym?

Nad nami szeleściły korony wiązów, z placu zabaw dobiegały radosne piski dzieci.

Ciężarówka lodziarza zadzwoniła dzwonkiem i odjechała.

– Pacjent? – powiedział Albin Larsen. – Nie, nigdy nic takiego nie widziałem.

Spojrzął na Gulla.

– Zgadza się – powiedział Franco Gull. – Nie znam żadnego pacjenta, który by jeździł

takim samochodem. Ale nie miałbym jak tego zauważyć. Jestem w gabinecie, kiedy parkują, nie

wiem, czym jeżdżą, chyba że poruszamy ten temat podczas terapii.

Czoło miał mokre od potu.

Milo zapisał coś w notesie i zamknął go.

– Dziękuję wam, panowie. To na razie wszystko.

– Na razie? – spytał Gull.

– To zależy, jakie jeszcze znajdziemy dowody.

– Odciski palców? – powiedział Gull. – O to panu chodzi?

– Tak, tego typu rzeczy.

Gull wstał tak szybko, że prawie stracił równowagę.

– To ma sens.

Larsen też wstał. Gull był o głowę wyższy i o pół metra szerszy w barach. Football w szkole, może na studiach. Patrzyliśmy, jak obaj idą do swoich mercedesów.

– Czyż nie było to interesujące? – powiedział Milo.

Rozdział 23

Mocno się poci – mruknął Milo, dzwoniąc do wydziału komunikacji.

Zdobycie informacji nie trwało długo. Na Franco Arthura Gulla, mieszkającego przy Club Drive, zarejestrowane były trzy pojazdy. Dwuletni mercedes, corvetta z sześćdziesiątego trzeciego roku i ford aerostar rocznik 1999.

– Proszę, proszę.

Milo wyjął ze schowka plan miasta, znalazł odpowiednią stronę i szturchnął ją palcem.

– Dom Gulla stoi zaledwie kilka przecznic od Koppel, więc to, że ktoś widział w tej okolicy jeden z jego samochodów, to nic dziwnego. Ale świadek twierdzi, że van jechał w kierunku przeciwnym do jego domu. Jakby czegoś szukał.

– Jeżdżenie w tę i z powrotem o drugiej w nocy to nie jest sąsiedzkie zachowanie –

powiedziałem. – Coś takiego robią ludzie, którzy kogoś śledzą.

– Psycholog z takimi problemami. To by dopiero było ciekawe.

– Psycholog, do którego sąd kieruje ludzi z takimi problemami. Może Gavin jakoś się o tym dowiedział i dlatego przeniósł się do Koppel.

– Gull przejeżdża obok jej domu – powiedział Milo. – Nie zniosłaby tego. Gavin jej mówi, następuje wybuch.

– Z drugiej strony... – powiedziałem.

– Co takiego?

– Gullowie mają trzy samochody. Dla niego mercedes i corvetta na weekendowe wypadki.

Czyli aerostar dla żony.

– Podejrzliwej żony – powiedział Milo. – Jasne. Gull i Koppel mieli romansik.

– Kiedy mówiłeś o dowodach, Gull zapytał o odciski palców. Uderzyło mnie to, było nie na miejscu. Możliwe, że wiedział, że jego odciski będą wśród tych, które zdjęliście w domu Koppel.

– Więcej niż partnerzy. Więcej niż sąsiedzi. Znalazła mu dom niedaleko, żeby łatwiej mu było wpadać na igraszki. Pani G. coś podejrzewa i przejeżdża tamtędy o drugiej w nocy.

Sprawdza. Nic dziwnego, że gość się poci jak maratończyk.

– Niedługo się dowiesz – powiedziałem. – Ma stanową licencję, więc jego odciski palców są w systemie.

Milo otworzył swój mały, niebieski telefonik.

– Zadzwoń do techników od razu. Tymczasem złożmy wizytę jego żonie.

– A przekopanie pokoju Gavina?

– To też – powiedział – ale później. – Szeroki uśmiech. – Niespodziewanie zrobiłem się bardzo zajęty.

Dom Gullów był tudorem, podobnym do domu Mary Lou Koppel, trochę mniej

imponującym przez to, że stał na płaskiej działce bez widoku. Trawnik jak na boisku, zwyczajowe klomby niecierpków, młody ambrowiec, dopiero co nabierający kolorów, zasadzony w kraterze po większym drzewie.

Na podjeździe stał aerostar. Granatowy. Dwie naklejki na zderzaku: MOJE DZIECKO JEST WZOROWYM UCZNIEM W WILD ROSE SCHOOL I NAPRZÓD LAKERSI!

Na pukanie Mila drzwi otworzyła latynoska pokojówka. Milo poprosił:

– *La señora, por favor.*

– *Uno momento* – odpowiedziała i zamknęła drzwi. Kiedy znów się otworzyły, stała w nich drobna, bardzo szczupła kobieta około trzydziestu paru lat, z jasnymi, spiętymi w kucyk włosami.

Wyglądała na rozkojarzoną. Odznaka Mila niczego nie zmieniła. Kobieta dalej patrzyła przez nas, jakbyśmy byli przezroczyści.

Prawie białe włosy, niebieskie jak lód oczy, drobne kości, piękne rysy. Nawet stojąc bez ruchu, promieniowała wdziękiem. Tyle że była niebezpiecznie szczupła – skórę miała niemal przezroczystą, a czarny, jedwabny dres luźno z niej zwisał. Dobrze się umalowała, ale czerwonych obwódek wokół oczu nie dało się ukryć.

– Pani Gull – powiedział Milo.

– Jestem Patty.

– Możemy wejść?

– Po co?

– Chodzi o niedawno popełnioną w tej okolicy zbrodnię.

Jedna szczupła dłoń postukała w drugą.

– Co – powiedziała Patty Gull – znów kogoś napadli w Rancho Park?

– To coś poważniejszego, proszę pani. I obawiam się, że ofiarą jest osoba, którą pani zna.

– Ona – powiedziała Patty Gull. Zniżyła głos, z którego zniknęły resztki rozkojarzenia.

Rozłączyła dłonie, opuściła je, oparła na biodrach. Wysunęła dolną szczękę. Chociaż miała delikatne, ptasie rysy, wykrzywiła twarz jak mastiff.

– Jasne, proszę wejść – powiedziała.

Salon miał drewniane okiennice i dębową boazerię, tak ciemną, że prawie czarną. Wyglądał, jakby został urządzony w jeden dzień przez kogoś, kto miał szacunek dla konwencji, mało czasu i budżet na styk – przeciętne kopie antyków, sztychy z końmi za szkłem, martwe natury, jakie można kupić u sprzedawców ulicznych. Na dalsze próby odtworzenia stylu prawdziwej posiadłości składały się płachty kwiecistego perkalu, zbyt błyszczące, mosiężne bibeloty i sztucznie zagracone powierzchnie. Za pokojem widać było korytarz, zasypany zabawkami i innymi dziecięcymi klamotami.

Patty Gull przycupnęła na krawędzi miękkiej kanapy, a my usiedliśmy naprzeciwko niej, na podobnych fotelach. Gull wzięła poduszkę z frędzlami, przycisnęła ją sobie do brzucha jak termofor.

– Zauważyłem naklejkę na zderzaku – powiedział Milo. – Ktoś tu jest fanem Lakersów?

– Ja – odparła. – Byłam Dziewczyną Lakersów. Kiedy byłam jeszcze młoda i piękna.

– Czyli nie tak dawno...

– Niech mi pan nie prawi pochlebstw – powiedziała Patty Gull. – Lubię myśleć, że dobrze się trzymam, ale za dwa lata będę miała czterdziestkę i spieprzyłam sobie ciało, dając mojemu mężowi dwójkę wspaniałych dzieci. Odpłaca mi za to, rznąc inne, kiedy tylko ma okazję.

Nic nie powiedzieliśmy.

– To pies na cipki, detektywie – powiedziała Gull. – Jakbym chciała takiego, mogłam sobie wyrwać koszykarza. Nawet z ławki rezerwowych. – Jej śmiech zabrzmiał nieprzyjemnie. – Byłam grzeczną Dziewczyną Lakersów, po meczach wracałam do domu, nie imprezowałam, trzymałam się zasad. Porządna, katolicka dziewczyna, której wszyscy mówili, że ma dobrze

wyjść za męż. Wysłałam za psychologa, uznałam, że będę miała spokój.

Uderzyła pięścią poduszkę, cisnęła ją na bok i objęła się ramionami.

– Pani Gull...

– Patty. Mam dość, rzucam go.

– Rozwodzicie się państwo?

– Może – powiedziała. – Człowiek patrzy na swoje życie i mówi: „To właśnie muszę zrobić”,

i wydaje mu się to tak oczywiste. A potem zaczynają się wszystkie komplikacje. Dzieci, pieniądze – to zawsze kobieta gorzej wychodzi finansowo. Nie mieszałam się do zawodowych spraw Franco. Mógł ukrywać, co chciał, a ja nic bym o tym nie wiedziała.

– Rozmawiała pani z prawnikiem?

– Nieoficjalnie. Mam przyjaciółkę prawniczkę. Też była Dziewczyną Lakersów, ale w przeciwieństwie do mnie miała dość rozumu, żeby zadbać o swoje wykształcenie. Ja zawsze chciałam zrobić magistra, pracować w jakiejś korporacji. Może w sporcie, uwielbiam sport.

Zamiast tego...

– Załamana ręce. – Po co ja to panom opowiadam? Przyszliście w sprawie tamtej.

– Doktor Koppel.

– Doktor Mary Lou „Pieprzę-mężów-innych” Koppel. Myślicie, że Franco ją zabił?

Patty Gull przyjrzała się swoim paznokciom.

– Powinniśmy tak myśleć, pani Gull?

– Raczej nie. W gazetach pisali, że ktoś ją zastrzelił, a Franco nie ma broni, nie wiedziałby nawet, jak jej użyć. Poza tym nie był u niej tamtej nocy. Wiem, bo w środku nocy wstałam i pojechałam pod jej dom szukać jego samochodu. Nie było go tam.

– O której to było godzinie, proszę pani?

– Musiała być prawie druga nad ranem. Poszłam do łóżka o dziesiątej, jak zwykle. Nocne

życie i tak dalej. Franco wrócił, zanim zasnęłam, pokłóciliśmy się, on wyszedł, a ja poszłam spać.

Kiedy się obudziłam, jego nie było i dochodziła druga. Dostałam szału.

– Bo nie wrócił do domu.

– Bo – powiedziała Patty Gull – nie był skruszony. Ktoś ma poważne kłopoty, twierdzi, że jest skruszony, a potem urządza następną awanturę. Co robi? Przychodzi do żony na kolanach i błaga o wybaczenie. To konstruktywne działanie. Troska, dawanie czegoś. Franco doradziłby coś takiego swojemu pacjentowi. A sam co robi? Wychodzi, wyłącza telefon w samochodzie, nie wraca na noc.

– A więc pojechała go pani szukać.

– Jak cholera.

– Domyślając się, że doktor Gull będzie u doktor Koppel.

– Doktor taki, doktor smaki. Mówi pan, jakby to było jakieś medyczne sympozjum. On ją pieprzył. Raz już ich razem nakryłam. – Złapała tę samą poduszkę, zaczęła ją podrzucać na kościstym kolanie. – Drań i dziwka nie próbowali nawet udawać. Mieszkamy cztery przecznice od siebie. To znaczy, wynajmij pokój, człowieku, nie kalaj własnego gniazda.

– Znalazła ich pani u niej w domu.

– Tak.

– Kiedy?

– Miesiąc temu. Po tym, jak Franco obiecał, że raz na zawsze zrobi coś ze swoim problemem.

– Z tym, że jest psem na cipki.

Jej własne słowa, powtórzone, wydawały się nią wstrząsnąć.

– Eee, tak – powiedziała. – Zawsze był... Zawsze było ciężko. Miałam więcej cierpliwości niż Matka Teresa, powinni mnie kanonizować. A potem znajduję go z nią, tego było już za wiele,

ona nie była nawet atrakcyjna. To już po prostu szczyt bezczelności.

– Jak ich pani znalazła? – spytał Milo.

– Och, to się panom spodoba – powiedziała Patty Gull. – To świetne. Franco wcisnął mi stary kit, że zostaje do późna w pracy. Potem, tuż przed dziewiątą, zadzwonił do mnie ze swojej skrzynki, żeby powiedzieć, że musi zostać jeszcze dłużej. Od razu się zorientowałam, że coś nie gra. Franco nie przyjmuje nagłych wypadków. Zajmuje się głównie znudzonymi, starymi dziewczkami z Beverly Hills. Więc postanowiłam pojechać do niego do gabinetu i zrobić scenę. Co za dużo, to niezdrowo, prawda? Kazałam Marii przypilnować dzieci, wsiadłam w samochód i do tej pory nie wiem dlaczego pojechałam McConnell. Prowadzi na północ, w sumie jest po drodze. Mijam jej dom, a tam jego samochód. Zaparkowany od frontu, przy samej ulicy. To dopiero tupet!

– Dość rażące zachowanie.

– Zaparkowałam, wbiegłam po tych schodach na jej podwórko i tam ich znalazłam, w pokoju na tyłach domu. Miała taki wielki telewizor, leciało w nim porno – najwyraźniej drań i ta dziwka mieli nastrój do zabawy i postanowili naśladować wszystkie świństwa, które oglądali.

– Rany – powiedział Milo.

– Rzeczywiście, rany. Nawet nie zamknęli drzwi, więc po prostu weszłam do środka, minęłam ich, a oni byli tak zajęci sobą, że nawet mnie nie usłyszeli. Dopiero kiedy wyłączyłam telewizor, otworzyli oczy.

Sama je zamknęła. Wspominała.

– To było rozkoszne – powiedziała. – Wyraz ich twarzy. To, jak na mnie patrzyli.

– Szok – powiedział Milo.

– Więcej niż szok. – Patty Gull się uśmiechnęła. – Jakby na środku pokoju wylądowało UFO z innej planety, z innej galaktyki. A ja tam tylko stałam, spojrzeniem mówiłam im, że są

ostatnimi szmatami i w żaden sposób już tego nie zmienią. A potem wyszłam i pojechałam do domu. Dwadzieścia minut później pojawił się Franco, wyglądał, jakby miał raka. Zamknęłam drzwi od środka, nie wpuściłam go i powiedziałam, że jeżeli będzie się dobijał, wezwę policję. Poszedł sobie, wiedziałam, że tak będzie, zawsze sobie idzie. Zobaczyłam go dopiero następnego dnia. Poszedł do pracy, był tam grzecznym małym doktorkiem, a potem wrócił do domu i próbował mnie przekonywać swoim tonem psychologa. Wpuściłam go tylko dlatego, że w międzyczasie porozmawiałam z moją przyjaciółką prawniczką, a ona trochę mnie uspokoiła.

– Doradziła pani, żeby nie składać pozwu.

– Już miałam to zrobić, naprawdę, ale powiedziała, że skomplikowałoby mi to życie szybciej, niż sobie wyobrażam. Więc pozwoliłam temu bydlakowi wrócić do domu, ale nie wolno mu mnie dotykać i nie odzywam się do niego, chyba że przy dzieciach.

– To było miesiąc temu – powiedział Milo. – Między tamtym wieczorem a nocą, kiedy doktor Koppel została zabita, czy przejeżdżała pani obok jej domu?

– Bez przerwy

– Jak często?

– Co drugi dzień – powiedziała Patty Gull. – Jeśli nie częściej. Czasami codziennie. Jeżdżę tamtędy na zakupy, więc dlaczego nie? Pomyślałam, że skoro już obsługuję Franco, mogę równie dobrze zebrać więcej dowodów. Moja przyjaciółka mówi, że nawet przy rozwodach bez orzeczenia winy im więcej się zbierze, tym lepiej.

– Widziała pani tam potem jego samochód?

– Nie – powiedziała. – Niestety. Może robili to w gabinecie. Albo w jakimś motelu.

Zacisnęła powieki.

– Myśli pani, że kontynuowali romans po tym, jak ich pani nakryła – powiedział Milo.

Otworzyła oczy.

– Taki właśnie jest Franco. Pieprzy i pieprzy bez przerwy. Jest chory.

– Ile innych kobiet...

– Nie – przerwała Patty Gull. – O tym nie będziemy rozmawiać. Są rzeczy, o których się nie mówi.

– Czy były wśród nich jego pacjentki? – spytał Milo.

– Nie wiem. Praca Franco to jego sprawa. Taka była umowa.

– Umowa.

– Umowa małżeńska. Ja odpuściłam sobie pracę, poświęciłam mu całe życie i urodziłam dzieci, a on się bawił i nas utrzymywał.

– Dobrze utrzymywał?

Powolnym ruchem ręki wskazała ciemny, kwietny pokój.

– Nie najgorzej.

– Ładny dom.

– Sama go urządziłam. Chcę wrócić na studia, studiować wystrój wnętrz.

– Pani Gull, jeśli chodzi o te inne kobiety...

– Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać. Jaka to różnica? Nie wiem, czy rznął swoje pacjentki. Wiem, że rznął ją. Ale nie zabił tej dziwki. Powiedziałam panu, nie było go tam wtedy.

Poza tym nie starczyłoby mu jaj.

– Gdzie wtedy był?

– W jakimś hotelu, zapomniałam... Zapytajcie jego.

– Skąd pani wie, że tam był?

– Bo zadzwonił do mnie i podał mi numer pokoju, a ja zadzwoniłam tam i go zastałam. To hotel przy Beverly i Pico, kiedyś nazywał się Ramada, nie wiem, jak teraz.

– O czym państwo rozmawialiście?

– O niczym przyjemnym – powiedziała. – A teraz proszę sobie już iść. Mam trochę roboty.

– Proszę się nie obrazić za to pytanie, proszę pani, ale gdzie pani...

– Ja też nie zabiłam tej dziwki. Boję się broni, nigdy nie miałam jej w rękach. To jedyna rzecz, która łączy mnie z Franco. Jesteśmy za wprowadzeniem zakazu posiadania broni, doprowadza nas do szału to, co broń zrobiła z tym krajem. Poza tym Franco wtedy u niej nie było, więc po co miałabym składać tej szmacie wizytę?

– Miała pani powód czuć niechęć do doktor Koppel. Dlaczego miałaby z nią pani nie porozmawiać?

– O tej porze?

– Jeździła pani po mieście o tej porze.

– Pięć minut, w tę i z powrotem – powiedziała Patty Gull. – Tylko żeby sprawdzić. Szukałam jego mercedesa, nie znalazłam go, wróciłam do domu, wzięłam ambien i zasnęłam jak dziecko.

Milo nic nie powiedział.

– Detektywie, gdyby niechęć była wystarczającym motywem, zabijałabym setki kobiet, nie tylko ją. – Zaśmiała się, tym razem z prawdziwą wesołością. – Byłabym seryjną morderczynią.

Milo wyjął zdjęcie zabitej dziewczyny.

– Zna ją pani?

Brawura Patty Gull legła w gruzach. Otworzyła usta, zadrżała jej szczęka.

– Ona jest...? Prawda?

– Tak. Zna ją pani?

– Nie, nie, oczywiście, że nie... To jedna z... Franco ją...?

– W tej chwili nie wiemy, kto to jest.

– Więc po co mi to pan pokazuje... Proszę to zabrać, to straszne.

Milo zaczął chować zdjęcie, ale ręka pani Gull wystrzeliła do przodu i przytrzymała je.

– Ona wygląda jak ja. Nie jest taka ładna jak ja byłam w jej wieku. Ale prawie, to ładna dziewczyna.

Położyła zdjęcie na kolanach, nie odrywając od niego wzroku.

– Ona wygląda jak ja. To straszne.

Rozdział 24

Zostawiliśmy Party Gull w pokoju, który urządziła.

– Straszna kobieta – powiedział Milo, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, – Czy ja się pocę?

– Nienawidzi męża, ale jest pewna, że nie zabił Koppel, dostarcza mu alibi, jak sądzi. Ale to, że nie widziała samochodu Gulla pod domem Koppel w noc morderstwa o niczym nie świadczy.

Jest tam garaż na dwa samochody, mógł wjechać do środka. Zwłaszcza po tym, jak raz już go przyłapała. A może zaparkował kilka przecznic dalej. Trzecia możliwość: zameldował się w hotelu i wziął taksówkę.

– Co tam – powiedział Milo – mógł przejść pieszo, to dwa kilometry. – Szliśmy do samochodu. – Jeśli wezwał taksówkę, mogę się dowiedzieć. Czy Gull cię zaciekawił tak samo jak mnie?

– Jest dość cwany, żeby zacierać swoje tropy tak, jak zrobił to nasz chłopak. A nawet jeśli Patty przesadza, jego stosunki z różnymi kobietami są interesujące. Poza tym nie dogadywał się z Gavinem. A jeśli to było coś więcej niż brak porozumienia? A jeśli Gavin się czegoś dowiedział i stał się przez to dla Gulla groźny?

– Sypianie z pacjentką – powiedział Milo. – Gavin jakoś się o tym dowiaduje – łązi po gabinecie, jest namolny. Mówił o odkrywaniu skandalu, a teraz na niego trafił. Ale w takim razie dlaczego Gull miałby zabijać Koppel? Byli kochankami.

– Może jej oddanie dla niego nie dopuszczało morderstwa. Domyśliła się, co się stało z Gavinem, i zagroziła, że doniesie na Gulla. Albo ich romans nie był mu już potrzebny. Albo

jedno i drugie.

– Mówisz o cholernie zimnym draniu.

– Nie aż tak zimnym – powiedziałem. – Łatwo się poci. Mówię o facecie, który się boi, a mimo to wciąż lubi ryzyko. Kimś, kto sypia z kobietą cztery przecznice od domu, zostaje przyłapany, a potem robi to znów.

– Mary Lou groziła, że na niego doniesie... Na pewno nic takiego nie sugerowała, kiedy z nią rozmawiałem. Z drugiej strony może Gull jeszcze z nią wtedy nie zerwał. Gdyby zrobił to kilka dni później, miałby na głowie dwie zdradzone kobiety... Co sądzisz o tym, że Patty dostrzegła swoje podobieństwo do zabitej dziewczyny?

– Nie zwróciłem na to większej uwagi – powiedziałem. – Jak dla mnie, Patty ma problemy z własnym ego, ale może coś w tym jest.

– Gull symbolicznie zamordował swoją starą? Od samego początku widziałeś w tym symbole.

– Jeśli Gull to nasz człowiek, można to wszystko powiązać z Florą Newsome. Była pacjentką Mary Lou Koppel, więc Gull miałby okazję ją widzieć. Dodać do tego seksualną niedyspozycję Flory, Gulla uważającego siebie za ogiera i prestiż jego zawodowej pozycji, i mamy żyzny grunt dla łatwego uwiedzenia.

– Gull ją zaliczył, a potem sprzątnął. Pacjentkę swojej kochanki, to się nazywa ryzyko.

– Kiedy Flora zginęła, spotykała się już z Brianem Van Dyne'em. Może doktor Gull źle znosi odrzucenie. Przez pacjentów i kochanki.

– Zły doktor – powiedział Milo. – To jego pocenie... Można by pomyśleć, że ktoś tak wyrachowany będzie nad tym panował.

– Co innego być opanowanym, kiedy ma się władzę, czy to przy uwodzeniu, czy to przy morderstwie – powiedziałem. – Planując scenariusz, ustalając choreografię, dominując, bo

wybrało się uległych partnerów. Przesłuchanie przez policję to coś zupełnie innego. Nagle to on znalazł się w pozycji osaczonego.

– Mój urok osobisty go onieśmiela?

– Coś w tym rodzaju.

– Więc najlepiej się z nim nie cackać, atakować jak buldog.

– Otóż to – powiedziałem. – Grać metodą.

– Kurtyna w górę – rzekł Milo. – Poloneza czas zacząć.

Pojechaliśmy do gabinetu Franco Gulla, zaparkowaliśmy na pustym miejscu obok jego mercedesa i ruszyliśmy do tylnego wejścia. Na parterze sprzątaczkę odkurzała korytarz. Wszystkie sześćdziesiąt drzwi do pomieszczeń Planowanej Dobroczynności było zamkniętych, a korytarz pachniał beczynościami i – wciąż – popcornem.

Nadal sprawiał wrażenie nieużywanego. Powiedziałem o tym Milowi.

Milo nie odrywał wzroku od sprzątaczkę. Teraz do niego podszedł. Mężczyzna był chudy, miał trzydzieści parę lat, błyszczącą skórę ostro pijącego bezdomnego, trzydniowy zarost, ciemne włosy w strąkach i oczy przestraszonego królika. Był ubrany w bluzę z logo Uniwersytetu Berkeley, szare, workowate spodnie od dresu i brudne adidas. Jego paznokcie miały czarne obwódki. Nie podnosił głowy i popychał odkurzaczkę, próbując udawać, że potężny, barczysty detektyw wcale nie idzie w jego stronę.

Milo zaskakująco szybkim ruchem nachylił się i wyłączył odkurzaczkę. Kiedy się wyprostował, podszedł bliżej, a jego uśmiech wypełnił całe pole widzenia mężczyzny.

– Cześć.

Brak odpowiedzi.

– Spokojnie tu dzisiaj na parterze.

Mężczyzna obliznął wargi. Bardzo przestraszony królik.

– Aha – powiedział w końcu.

– Co to jest, ta Planowana Dobroczynność?

– Nie mam pojęcia. – Mężczyzna miał cienki, zduszony głos. Wszystko, co się mówi takim głosem, brzmi jak usprawiedliwienie. Jego ramiona uniosły się i opadły, znów się uniosły i tak zostały, przyciśnięte do chudej szyi. Nos i policzki niczym mapę znaczyły popękane naczynka.

Usta miał spękane i wyschnięte, na nadgarstek spod bluzy wypelzały tatuaże.

Milo zerknął na nie, a mężczyzna spróbował schować rękę w rękaw.

– Berkeley, co?

Nie odpowiedział.

– *Alma Mater*?

Pokręcił głową.

– O dawna tu pracujesz?

– Jakiś czas.

– Ile to jest „jakiś czas”?

– Ee... może ee... miesiąc, dwa.

– Może.

– Sprzątam w kilku budynkach tego właściciela.

– Pana Koppela.

– Aha.

– Widziałeś kiedyś, żeby ktoś coś robił w Planowanej Dobroczynności?

– Eee... ee...

– Za trudne pytanie? – spytał Milo. – Wymaga myślenia.

– Chcia... chciałem wymyślić dobrą odpowiedź.

– Dobrą czy prawdziwą?

– Prawdziwą.

Milo złapał mężczyznę za nadgarstek, podwinął rękaw jego bluzy, odsłaniając chude przedramię. Brudna skóra była poznaczona kolistymi bliznami; większość z nich znajdowała się w zgięciu łokcia. Tatuaze były czarno-niebieskie, gdzieś tam z czerwonymi plamami, wyraźnie własnej roboty. Kiepsko narysowane nagie kobiety z wielkimi piersiami. Wąż o tępym spojrzeniu i ociekającymi jadem kłami.

– Zrobiłeś je sobie w Berkeley? – spytał Milo.

– Nie.

– Gdzie jest twoja prawdziwa *Alma Mater*? San Quentin czy Chico?

Mężczyzna znów oblizał wargi.

– Ani tu, ani tu.

– Gdzie siedziałeś?

– Głównie w hrabstwie.

– Tutaj?

– Tutaj i nie tutaj.

– A więc nie siedziałeś długo.

– Nie.

– W czym się specjalizujesz?

– W prochach, ale jestem czysty.

– Czyli włamania i kradzieże.

Mężczyzna oparł dłoń na uchwycie odkurzacza.

– Żadnych kradzieży.

– Jakies napady albo inne poważniejsze rzeczy? – spytał Milo. – Wiesz, że i tak się dowiem.

– Raz – powiedział mężczyzna. – Pobicie. Ale to ten drugi zaczął i szybko wyszedłem na

warunkowe.

- Broń?
- Nóż. Zabrałem go tamtemu. To był wypadek, w sumie.
- W sumie – powiedział Milo. – Bardzo go poharatałeś?
- Przeżył.
- Pokażesz mi jakiś dowód tożsamości?
- Zrobiłem coś?
- Zduś tę myśl, *amigo*. Po prostu jestem dokładny. Wiesz, dlaczego ta jesteśmy, prawda?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Dlaczego tu jesteśmy, *amigo*?
- Przez to, co się stało z panią doktor z góry.
- Nie wiesz, jak się nazywała?
- Doktor Koppel – powiedział mężczyzna. – Była żona. Dobrze ze sobą żyli.
- Słodko i miło – powiedział Milo.
- Nie... ee... Pan Koppel zawsze mówił, żeby dawać jej wszystko czego będzie chciała.
- Czego będzie chciała?
- Jeśli byłby jakiś problem. W budynku. Powiedział, że mamy to szybko naprawić, dać jej wszystko, czego by chciała.
- Nie robi tego dla wszystkich najemców?

Mężczyzna milczał.

- A więc próbujesz mi powiedzieć, żebym nie podejrzewał pana Koppela o zamordowanie swojej byłej, bo wciąż byli kumplami.
- Nie... ee... ja nic nie wiem. – Mężczyzna obciągnął rękaw bluzy.
- Domyślasz się, kto zabił doktor Koppel?

- Nie znałem jej, prawie jej nie widziałem.
- Tylko naprawiałeś u niej różne rzeczy.
- Nie – zaprotestował mężczyzna. – Nie robię nic sam, wzywam hydraulików czy kogoś tam i oni to naprawiają. Ja tu tylko sprzątam. Głównie w budynkach pana Koppela w Valley.
- Ale dzisiaj jesteś po tej stronie wzgórza.
- Jestem tam, gdzie mi każą.
- Oni.
- Firma pana Koppela. Mają wszędzie jakieś budynki.
- Kto kazał ci tu dzisiaj przyjechać?
- Sekretarka pana Koppela. Jedna z sekretarek. Heather. Mogę podać panu numer, jak chce pan sprawdzić.
- Może sprawdzę – powiedział Milo. – A teraz pokaż mi jakiś dowód tożsamości.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i wyłowił z niej spięty gumką plik banknotów. Zdjął gumkę, przełożył pieniądze – wytarte jedynki i piątki – i wyciągnął kalifornijski dowód osobisty.

- Roland Nelson Kristof – powiedział Milo. – To twój obecny adres, Roland?
- Aha.

Milo przyjrzał się dowodowi.

- Szósta ulica... To zaraz za Alvarado, zgadza się?
- Aha.
- Sporo tam ośrodków dla byłych więźniów. Tak jest z tobą?
- Aha.
- A więc ciągle jesteś na warunkowym.
- Aha.
- Jak dostałeś pracę u pana Koppela?

– Załatwił mi ją kurator.

– Kto to taki?

– Pan Hacker.

– Z biura w śródmieściu?

– Aha.

Milo oddał mu dowód.

– Sprawdzę cię, Roland. Bo facet z ośrodka pracujący w budynku, gdzie kogoś zamordowali, to coś, co muszę sprawdzić. Jeżeli się dowiem, że kłamałeś, wpadnę do ciebie do domu i wiesz, że znajdę coś, za co cofną ci zwolnienie. Więc jeśli chcesz mi coś powiedzieć, zrób to teraz.

– Nic nie wiem – powiedział Kristof.

– Nigdy nie miałeś problemów z kobietami? Nie byłeś niegrzeczny?

– Nigdy – powiedział Kristof. Do tej pory odpowiadał bezbarwnym, mechanicznym głosem.

Teraz wkradła się w niego sugestia oburzenia.

– Nigdy – powtórzył Milo.

– Nigdy, ani razu. Ćpałem, odkąd skończyłem czternaście lat. Nikomu nie zrobiłem krzywdy.

– Ale ciągle ćpasz.

– Z wiekiem jest coraz lepiej.

– Z czym?

– Z głodem – powiedział Kristof. – Dni są coraz krótsze.

– Jak tam twoje życie seksualne, Roland?

– Nie posiadam. – Deklaracja Kristofa była pozbawiona żalu, niemal radosna.

– Wydajesz się z tego zadowolony.

– Bo jestem – powiedział. – Wie pan, co z tym robią prochy.

– Nie ma popędu – powiedział Milo.

– Dokładnie. – Kristof uśmiechnął się ze znużeniem, błyskając brązowymi, połamanymi zębami. – Jeszcze jedna rzecz, którą nie trzeba się przejmować.

Milo spisał jego adres i pozwolił mu wrócić do odkurzenia.

– Nałogowy wykolejeniec – powiedział, kiedy wchodziliśmy po schodach do Pacifica-West Usług Psychologicznych.

– Przystępcze wypalenie – odparłem. – W pewnym wieku nie ma się już siły.

– Chcesz zgadnąć, ile ma lat?

– Pięćdziesiąt?

– Trzydzieści osiem.

W poczekalni nikogo nie było. Lampka doktora Larsena była zgaszona, Gulla świeciła na czerwono.

– Jest trzecia czterdzieści – powiedziałem. – Jeśli jego godzina ma czterdzieści pięć minut, niedługo wyjdzie.

– Kocham twoją pracę – powiedział Milo. – Wyobraź sobie, co by było, gdyby chirurdzy tak mogli. Wycinać trzy czwarte wyrostka, a liczyć za cały.

– Wykorzystujemy ten czas na wypisywanie kart i wnioski – zaprotestowałem.

– Albo, w przypadku doktora Gulla, na poukładanie na miejscu wszystkich rzeczy, które się zrzuciło z biurka, kiedy odruchowo postanowiło się przelecieć na nim pacjentkę.

– Jakiś ty cyniczny.

– Dzięki.

O trzeciej czterdzieści sześć drzwi do poczekalni otworzyły się i wyszła z nich tyłem zaczerwieniona, atrakcyjna czterdziestoparolatka, wciąż trajkocząc do Franco Gulla.

Szedł tuż za nią, trzymając ją za łokieć. Kiedy nas zobaczył, opuścił rękę. Kobieta wyczuła jego napięcie, a jej policzki poróżwiały.

Czekałem, aż Gull zacznie się pocić, ale zapanował nad sobą i odprowadził ją do drzwi.

– W takim razie do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Kobieta była pulchną brunetką, tonącą w odmętach szarego kaszmiru. Dotknęła włosów, obdarzyła nas wymuszonym uśmiechem i wyszła.

– Znów? – powiedział Gull. – O co chodzi?

– Widzieliśmy się z pana żoną – wyjaśnił Milo.

Długie milczenie.

– Rozumiem.

Milo się uśmiechnął.

– Patty przechodzi ciężki okres – powiedział Gull. – Nic jej nie będzie.

– Nie zachowywała się, jakby nic jej nie było.

Gull przygładził włosy.

– Może panowie wejdziecie? Następną godzinę mam wolną.

– A przynajmniej czterdzieści pięć minut – mruknął Milo pod nosem.

Gull tego nie usłyszał. Odwrócił się i ruszył w stronę trojga wewnętrznych drzwi. Gabinety

Albina Larsena i Mary Lou Koppel były zamknięte.

Gulla był otwarty. Doktor zatrzymał się przed wejściem.

– Moja żona... ma problemy.

– Na pewno – zgodził się Milo. – Może przydałaby się jej terapia.

Rozdział 25

Gabinet Gulla był o jedną trzecią mniejszy od gabinetu Mary Lou Koppel i zaskakująco prosto urządzone. Nie było tu klonowej boazerii, ściany pokrywała zwykła, beżowa farba.

Skórzane kanapy i fotele w kolorze złamanej bieli stały luźno rozstawione. Koppel miała słabość do kryształowych jaj i indiańskiej ceramiki. Jedynym ukłonem Franco Gulla w stronę dekoracji

wnętrz były oprawione w tanie ramki fotoreprodukcje sztychów przedstawiających zwierzęta z młodymi.

Zorientowałem się, że próbuję wywęszyć zapach seksu, wyczułem tylko słodką jak syrop mieszanę perfum.

Gull rozwalił się na kanapie i poprosił, żebyśmy usiedli.

– Musicie panowie wiedzieć o Patty – powiedział, zanim nasze pośladki dotknęły skóry – że boryka się z pewnymi bardzo poważnymi problemami.

– Małżeńską niewiernością?

Usta Gulla wygięły się w zbolały średnik.

– Jej problemy sięgają o wiele dalej. Jej ojciec był niezwykle agresywny.

– Ach – powiedział Milo. „Ach” było naszym prywatnym żartem. Od wiecny unik psychoterapeuty. Milo odwrócił się tak, żeby Gull nie widział jego mrugnięcia okiem. – Ileż to się dowiadujemy o pani Gull. Najwyraźniej żony terapeutów nie zasługują na poufność.

Oczy Gulla rozbłysły. W cieniu jego szpakowatych loków nad czołem pojawiły się kropelki wilgoci.

Miałem rację – utrata przewagi powodowała u niego chaos w wydzielaniu adrenaliny.

– Mówię panom o Patty, bo musicie panowie znać cały obraz sytuacji.

– Czyli mam nie wierzyć niczemu, co mi powie.

– To zależy, co panu powiedziała.

– Po pierwsze – powiedział Milo – uważa, że nie zabił pan doktor Koppel.

Gull szykował się do protestów. Zmienił front.

– Widzi pan, nawet ktoś, kto nie żywi wobec mnie przyjaznych uczuć wie, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Nie mam nawet...

– Nie znosi pan broni – przerwał Milo. – To też nam powiedziała.

- Broń jest odrażająca.
- Pani Gull uważa, że dostarczyła panu alibi na noc, w którą zabito doktor Koppel.
- Widzi pan – powtórzył Gull, odrobinę się prostując.
- Tak, widzę – powiedział Milo. – Sęk w tym, doktorze, że to, co pana żona uważa za alibi, dla nas wcale nim nie jest.
- Co? Och, niech pan da spokój, to jakieś żarty. – Na linii włosów Gulla pojawiły się duże krople potu. – Po co mi niby alibi?
- Nie chce pan wiedzieć, co powiedziała nam pani Gull?
- Nie. – Teatralne westchnienie. – Dobrze, niech mi pan powie.
- Pani Gull przejeżdżała obok domu doktor Koppel około drugiej w nocy, szukając pana samochodu. Nie widziała go...
- Tak zrobiła? – spytał Gull. – Jakie to... smutne. Tak jak panom mówiłem, Patty ma poważne problemy z zaufaniem.
- Dziwi to pana? – spytał Milo.
- Właściwie po co w ogóle panowie z nią rozmawialiście? Dlaczego przyszło wam do głowy coś tak nieprawdopodobnego...
- Wróćmy do alibi, doktorze. Do pana samochodu, którego nie było na McConnell. To tak naprawdę nic nie znaczy. Mógł pan zaparkować w okolicy. Albo wziąć taksówkę z hotelu, w którym pan mieszkał, czyli...?
- Gull nie odpowiedział.
- Doktorze Gull?
- To moje życie osobiste, detektywie.
- Już nie, proszę pana.
- Dlaczego? – spytał Gull. – Dlaczego to robicie?

Milo wyjął notes.

– Który to był hotel, proszę pana? I tak się dowiemy.

– Jezu Chryste. Crowne Plaza.

– Pico i Beverly Drive.

Guli pokiwał głową.

– Często pan tam nocuje?

– Niby dlaczego?

– Jest blisko pana gabinetu, kiedy pokłóci się pan z żoną.

– Nie kłócimy się aż tak często.

Ołówek Mila postukał w notes.

– Powtarzam pytanie, doktorze.

– Jakie było to pytanie?

– Czy często pan tam nocuje?

– Czasami.

– Kiedy żona wyrzuca pana z domu.

Gull się zaczerwienił. Zacisnął dłonie. Pięści miał olbrzymie.

– Moje sprawy małżeńskie to nie panów...

– Do czego zmierzam – przerwał mu Milo. – Czy w Crowne Plaza pana znają?

– Nie wiem.. w takim miejscu...

– W jakim?

– Interesownym, anonimowym. To nie jest przydrożna karczma – powiedział Gull. – A ja nie

bywam tam znów tak często.

– Jak często oznacza „nie tak znów często”? – spytał Milo.

– Nie umiem tego określić.

– Billing pana karty kredytowej umie.

– To... to całkowicie...

– Nie uważa pan hotelu za drugi dom? Skoro jest tak blisko gabinetu?

– Nie potrzebuję drugiego... Płaciłem gotówką.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się to łatwiejsze.

– Kiedy przyprowadzał pan tam kobiety.

Gull potrząsnął głową.

– To niedorzeczne.

– Przyprowadził pan tam kiedyś doktor Koppel?

– Nie.

– Pewnie pan nie musiał – powiedział Milo. – Skoro mieszkała tak blisko gabinetu. I pana domu. Mógł pan do niej wpaść, wracając z pracy, a potem pojechać do żony i dzieci.

Czoło Gulla było śliskie i blade.

– Nie widzę, do czego pan...

– Jak daleko według pana jest z gabinetu do domu doktor Koppel? Dwa kilometry?

Guli poruszył ramionami.

– Raczej trzy.

– Tak pan myśli?

– Pico aż do Motor, a potem na południe do Cheviot.

– Dogadajmy się – powiedział Milo. – Dwa i pół.

Guli pokręcił głową.

– Naprawdę wydaje mi się, że raczej trzy,

– To brzmi tak, jakby pan to mierzył, doktorze.

– Nie – powiedział Gull. – Ja po prostu... Nieważne. To bezcelowe.

– Wydaje się pan w całkiem dobrej formie, doktorze. Ćwiczy pan?

– Mam w domu automatyczną bieżnię.

– Mały trzykilometrowy spacer w chłodną, czerwcową noc nie byłby dla pana wyzwaniem, prawda?

– To się nigdy nie zdarzyło.

– Nigdy nie szedł pan pieszo z Crowne Plaza do domu doktor Koppel.

– Nigdy.

– W noc, kiedy została zabita – powiedział Milo – gdzie pan był?

– W hotelu.

– Zamawiał pan jedzenie?

– Nie, zjadłem kolację, zanim się wprowadziłem.

– Gdzie?

– W domu.

– Przed kłótnią.

– Tak – powiedział Gull. Przetarł pięścią oko, rękawem wytarł pot z czoła.

– Był pan w hotelu całą noc.

Potarł szczękę.

– Wypożyczyłem film. To będzie na rachunku.

– O której?

– Koło jedenastej. Proszę sprawdzić.

– Sprawdzę – powiedział Milo. – Ale to dowodzi jedynie, że wcisnął pan guzik na pilocie, a nie, że siedział pan w pokoju i oglądał film.

Gull spojrzał na niego.

– Nie zabiłem Mary.

– Jaki był tytuł filmu?

Gull odwrócił wzrok i nie odpowiedział.

– Doktorze?

– To był film dla dorosłych. Nie pamiętam tytułu.

– Pewnie nie ma sensu – powiedział Milo – prosić pana o streszczenie fabuły.

Gullowi udało się słabo uśmiechnąć.

– Kiedy widział pan doktor Koppel po raz ostatni?

– Tamtego popołudnia – powiedział Gull. – Oboje odprowadzaliśmy pacjentów do poczekalni i pożegnaliśmy się. To był ostatni raz.

– Nie było później randki?

– Nie. To już było skończone.

– Co?

– Mary i ja.

– Kto zerwał?

– Oboje – powiedział Gull.

– Bo?

– Bo tak należało postąpić.

Milo otworzył notes, przejrzał notatki.

– Mógł pan też – powiedział – wezwać taksówkę, jeśli nie odprowadził jej pan do domu.

– Nie wezwałem.

– To można sprawdzić, doktorze.

– Niech pan sobie sprawdza do woli.

Milo zatrzasnął notes. Gull podskoczył i znów otarł czoło rękawem.

- Doktorze, dlaczego Gavin Quick rzucił pana jako terapeutę?
- Nie rzucił mnie. Przeniosłem go do Mary.
- Dlaczego?
- To poufne.
- Wcale nie – warknął Milo. – Gavin stracił przywilej poufności w chwili, kiedy ktoś go zastrzelił. Dlaczego go pan przeniósł, doktorze?

Gull zeszywniał i przycisnął mocno ręce do poduszek kanapy, jakby szykował się do startu.

- Nie będę więcej z panami rozmawiał – powiedział. – Nie bez adwokata.
- Zdaje pan sobie sprawę, jak to wygląda.
- Odwołuję się do moich praw i to źle wygląda?
- Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, czemu zasłania się pan prawami?
- Bo – powiedział Gull – nie chcę żyć w państwie policyjnym. Ze wszystkim, co się z tym wiąże. – Zmusił się do uśmiechu. Twarz i szyja błyszczały mu od potu. – Wiedział pan, detektywie, że ze wszystkich grup zawodowych, które wstępowały do partii nazistowskiej, najwięcej entuzjazmu okazywali policjanci?
- Naprawdę? Ja słyszałem, że lekarze.

Uśmiech Gulla zniknął. Doktor spalił trochę kalorii, zanim znów go przywołał.

- To koniec. Ani słowa więcej. – Przesunął palcem po ustach.
- Jasne – powiedział Milo, wstając. – Bez nerwów.

Rozdział 26

Kiedy wychodziliśmy z gabinetu Gulla, gdzieś dzwonił.

- Szykuje prawnika – powiedział Milo na korytarzu.
- To przez twoje pytanie o przeniesienie Gavina do Koppel.
- Jakiś ponury, mroczny sekret. Coś, z czym źle wygląda.

- Zastanawiam się, ile wiedzą Quickowie.
- Jeśli wiedzieli, dlaczego mi nie powiedzieli?
- Może Gavin też wyglądał przez to nie najlepiej.
- Czyli co, Gavin dowiedział się, że facet, który ma mu pomóc rozwiązać problemy ze śledzeniem, sam jest jeszcze lepszy, więc postanowił go wydać? Dlaczego rodzice mieliby o tym nie mówić? I jak w to wcisnąć Koppel?
- Nie wiem – powiedziałem. – Ale wszystko wydaje się łączyć z tym miejscem.
- Każę Binchy’emu zająć się luźną obserwacją Gulla. Zobaczę, czy uda mi się do tego znaleźć jeszcze jednego młodziaka.
- Luźną?
- To nie telewizja, nie mamy nieograniczonych zapasów sprzętu i ludzi. Będę miał szczęście, jak uda mi się załatwić dwie zmiany dziennie.

Zeszliśmy po schodach na parter.

- Jak uważasz – spytał – na ile skuteczny był mój nacisk?
- Sprowadza sobie prawnika.
- A czy niewinny człowiek by to robił? Tak, przycisnąłem go... Naprawdę bardzo mnie ciekawi, dlaczego Gavin go zostawił.
- Neurolog, który przysłał Gavina do Gulla, może coś wiedzieć na ten temat. Specjaliści muszą dobrze żyć z rekomendującymi, więc Gull mógł jakoś to wyjaśnić.
- Singh – powiedział Milo. Wyjął notes, przerzucił kilka kartek. – Leonard Singh ze Św. Jana. Masz coś przeciwko spotkaniu lekarza z lekarzem?
- Nic a nic.
- Poza tym, jeśli wciąż masz ochotę zadzwonić do Neda Biondi, żeby przez niego wcisnąć zdjęcie blondynki do gazet, działaj.

Podał mi zaklejoną kopertę z napisem FOTOGRAFIA, NIE ZGINAĆ.

– Oto twoja szansa zostania „anonimowym źródłem”.

Przesunąłem palcami po ustach.

Dotarliśmy na dół. Rolanda Kristofa i jego odkurzacza nie było już nigdzie widać. Milo popatrzył na długi korytarz.

– Miasto duchów – powiedział. – „Planowana Dobroczynność”. Wyczuwasz *eau de* szwindel?

– Co najmniej *eau de* tajemnicza korporacja – odparłem. – Strasznie napadłeś na Kristofa. Co ci się w nim nie podobało?

– Czuć go było *eau de* kryminał, a mój nos zawsze jest na to wyczulony.

– Myślałem, że to mogło być coś więcej.

– Na przykład co?

– Warunkowo zwolniony zatrudniony przez byłą Koppela, pracujący w budynku, gdzie przebywały wszystkie trzy ofiary morderstw. Flora Newsome pracowała w biurze kontroli nad warunkowo zwolnionymi. Zanim Koppel została zabita, podejrzewaliśmy jakiegoś byłego skazańca.

– Znów Flora – powiedział i ruszył dalej.

– Nie niepokoi cię to? – spytałem, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

– Co takiego?

– To, że Sonny Koppel zatrudnił ćpuna i skazańca do sprzątnięcia. Wszystkie te powiązania ze skazańcami.

– Wszystko mnie niepokoi. – Doszliśmy do samochodu. – Jeśli chodzi o Florę, podejrzewaliśmy, że sypiała z jakimś skazańcem. Mogła się stoczyć, Alex, ale nie wyobrażam jej sobie z takim wrakiem jak Kristof.

– Więc może Kristof nie jest jedynym warunkowo zwolnionym na liście płac Koppela. Może Koppel znalazł sobie źródło taniej siły roboczej. Mary Lou interesowała się resocjalizacją. Może tu być jakiś związek.

– Larsen twierdzi, że poddał jej ten pomysł.

– Larsen był zawiedziony, że nie słyszeliśmy go na nagranych wywiadach. Każdy ma swoje ego.

– Nawet psychologowie?

– Zwłaszcza psychologowie.

Próbował otworzyć drzwi. Seville był zamknięty, więc Milo napiął mięśnie i chrząknął.

Zanim przekręciłem kluczyk w zamku, zabłąkał się już z powrotem do zaułka.

– Czas poznać pana Sonny’ego Koppela – oznajmił, kiedy wrócił. – To kolejna rzecz, którą należało zrobić od razu. Kiedy zostaje zabita jakaś kobieta, jedzie się od razu do jej byłego, to pierwsza zasada każdego detektywa.

– Pracujesz nad trzema sprawami, które rozłazą się w trzy różne strony.

Załamał ręce i zaśmiał się.

– Terapia wspierająca, co?

– Rzeczywistość.

– Gdyby zależało mi na rzeczywistości, nie mieszkałbym w Los Angeles.

Kiedy ruszyliśmy, zamilkł. Minąłem Olympic – oznajmił, że sam porozmawia z Sheilą Quick w sprawie przeszukania pokoju Gavina. Wysadziłem go przed posterunkiem i wróciłem do domu. Spike czekał na mnie pod drzwiami, wyglądał na opuszczonego.

To było coś nowego. Normalnie zachowywał się nonszalancko – spał na ganku, kiedy wracałem, udawał, że śpi, kiedy zbliżała się pora spaceru, dopóki nie podniosłem jego bezwładnego ciała i nie postawiłem go czterema łapami na ziemi.

– Cześć, stary.

Prychnął, strząsnął w moją stronę trochę śliny i polizał mnie po rękę.

– Samotny, co?

Opuścił łeb, ale nie odrywał ode mnie wzroku. Jedno jego ucho drgnęło.

– Bardzo samotny.

Spojrzał w górę i wydał z siebie długi, ochrypły jęk.

– Hej – powiedziałem, przyklękając i głaszcząc go po karku. – Ona jutro wraca.

Za dawnych czasów dodałbym: „Ja też za nią tęsknię”.

Spike pociągnął nosem i przewrócił się na grzbiet. Podrapałem go po brzuchu.

– Co powiesz na trochę ruchu?

Zerwał się na baczność. Sap, sap.

Miałem starą smycz w szafce w gabinecie, kiedy ją przyniosłem, skakał, skomlał i drapał drzwi.

– Miło mi, że doceniasz – powiedziałem.

Uspokoił się. „Nie rozpędzaj się”, mówił wyraz jego pyska.

Jego grube, krótkie łapy i osłabione podniebienie wytrzymały niecały kilometr w górę Glen i z powrotem. Nieźle, jak na dziesięciolatka – w buldożych latach dawno był już na emeryturze.

Kiedy wróciliśmy, był głodny i spragniony, więc napełniłem obie jego miski.

Gdy jadł, zadzwoniłem na ostatni posiadany numer Neda Biondi. Ned przeszedł na emeryturę jako starszy reporter „Timesa” wiele lat temu, mówił coś o przeprowadzce do Oregonu, kiedy więc usłyszałem w słuchawce nagranie mówiące, że abonent jest już niedostępny, nie byłem zdziwiony. Zadzwoniłem do oregońskiej informacji, ale go tam nie mieli.

Leczyłem wiele lat temu córkę Neda – bystrą dziewczynę o zbyt wysokich wymaganiach wobec siebie, która zagłodziła się prawie na śmierć. Uznałem fakt, że Ned nie zostawił żadnej

informacji przekierowującej, za pozytywny. Ich rodzina już mnie nie potrzebowała. Ile lat miałyby teraz Anne Marie? Prawie trzydzieści. W ciągu tych lat Ned dzwonił i opowiadał mi, co u niej, dzięki czemu wiedziałem, że wyszła za mąż, urodziła dziecko i wciąż mówiła coś o karierze.

Wszelkie informacje zawsze pochodziły od Neda. Nigdy nie udało mi się nawiązać kontaktu z jego żoną, która w trakcie terapii niemal się do mnie nie odzywała. Kiedy leczenie dobiegło końca, Anne Marie również przestała ze mną rozmawiać, nie odpowiadała nawet na moje telefony. Raz spytałem o to Neda. Zawstydził się i zaczął przeproszać, więc porzuciłem temat.

Rok po zwolnieniu ze szpitala Anne Marie przysłała mi elegancki list na różowej, perfumowanej papeterii. Jego ton był pełen wdzięczności, przesłanie jasne: „Wszystko ze mną w porządku, daj mi spokój”.

Nie mogłem zadzwonić do niej, żeby zlokalizować Neda. Ktoś z gazety musiał wiedzieć, gdzie mogę go znaleźć.

Kiedy zacząłem wystukiwać główny numer „Timesa”, wskoczyła rozmowa przychodząca.

– Cześć, złoto – powiedziała Allison.

– Cześć.

– Jak ci minął dzień?

– Nie najgorzej – odparłem. – A tobie?

– Jak zwykle... Masz chwilę?

– Coś się stało?

– Nie, nie. Ja tylko... Wczoraj, kiedy przyjechałam... Alex, wiesz, że lubię Robin, zawsze się dogadywałyśmy. Ale kiedy przyjechałam... zobaczyłam was oboje...

– Wiem jak to wyglądało, ale ona tylko dziękowała mi za to, że wziąłem Spike’a.

– Wiem. – Zaśmiała się cienko. – Zadzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że wiem. Bo może

byłam trochę jakby zazdrosna. Byłam zła. Widziałam, jak ona cię całuje.

– Przyzwóicie – powiedziałem. – W policzek.

Znów się zaśmiała, potem umilkła.

– Ally?

– Nie mogłam tego zrozumieć – powiedziała. – Widziałam tylko dwoje ludzi, którzy...

Wyglądaliście jak para, jakbyście do siebie pasowali. Wtedy to mnie uderzyło. To wszystko, co razem przeżyliście. Nie ma w tym nic złego. Po prostu zaczęłam z tym kontrastować... Wydaje mi się, że nam do czegoś takiego jeszcze tyle...

– Allison...

– Wiem, wiem, jestem neurotyczna i brak mi poczucia własnej wartości – powiedziała. – Raz na jakiś czas chyba mi wolno?

– Oczywiście, kochanie, ale w tym przypadku nie masz powodów. Ona była tam tylko po to, żeby oddać Spike'a. Koniec, kropka.

– Tylko cmoknęła cię w policzek.

– Właśnie.

– Nie chcę, żebyś pomyślał, że zamieniłam się w zaborczą, paranoidalną... Och, posłuchaj mnie tylko.

– Hej – powiedziałem – gdyby sytuacja była odwrotna, zareagowałbym tak samo. Robin się mną nie interesuje, jest szczęśliwa z Timem. A mnie podnieca bycie z tobą.

– Jestem twoim szczęściem.

– Jesteś.

– Dobrze, dostałam swój zastrzyk wiary w siebie – powiedziała. – Przepraszam, że zawracam ci głowę w środku dnia.

– Jest pani moją dziewczyną, doktor Gwynn. Jak cię złapię na cmokaniu jakiegoś faceta, to

nie będzie przyjemny widok.

– Jasne. Ty, Pan Kulturalny.

– Nie wystawiaj mnie na próbę.

Zaśmiała się, tym razem z przekonaniem.

– Nie mogę uwierzyć, że zadzwoniłam. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, to być zaborcza.

– Głos uwiązał jej w gardle.

– Czasami – powiedziałem – miło jest być posiadany.

– To prawda... Dobra, koniec z Panną Płaksą. Mam jeszcze troje pacjentów i każdy z nich musi uważać mnie za wszechwiedzącą. Potem jadę do hospicjum.

– Nie masz w ogóle wolnego czasu?

– Chciałabym. Hospicjum wydaje kolację dla wszystkich wolontariuszy, więc zjem tam.

Chwilę oddechu mam tylko teraz, w ostatniej chwili pacjent odwołał spotkanie. Powinnam wypisywać karty i odpowiadać na telefony, a nie skomleć ci w słuchawkę.

– Będę za dwadzieścia minut.

– Co?

– Jadę do ciebie. Chcę cię zobaczyć.

– Alex, następny pacjent przychodzi za czterdzieści minut. Sama jazda zajmie...

– Chcę cię pocałować – powiedziałem. – To nie zajmie długo.

– Alex, doceniam to, co próbujesz zrobić, ale nic mi nie jest, nie musisz zaspokajać moich...

– Robię to dla siebie. I tak będę w okolicy. Mam spotkanie z lekarzem w Św. Janie. –

Chociaż jeszcze się z nim nie umówiłem.

– Kochanie – powiedziała – mogę cię zapewnić, że cokolwiek wywołało moje obawy, już minęło.

– Chcę cię zobaczyć.

Cisza.

– Ally?

– Ja też chcę cię zobaczyć.

Jadąc do Santa Monica, zdobyłem w informacji numer doktora Leonarda Singha i dowiedziałem się, że jest na obchodzie, wróci za godzinę. Powiedziałem jego sekretarce, że wpadnę i rozłączyłem się, zanim zdążyła spytać po co.

Kiedy dotarłem do budynku Allison, czekała na chodniku, ubrana w błękitny jak niebo kaszmirowy sweter i długą spódnicę w kolorze wina, pijąc coś z papierowego kubka i kopiąc piętą w ziemię. Czarne włosy spięta z tyłu spinką. Wyglądała na młodą i zdenerwowaną. Zatrzymałem się pod zakazem parkowania przed budynkiem, a Allison wsiadła na miejsce pasażera. Z kubka wydobywał się zapach kawy i wanilii. Nachyliłem się, objąłem dłonią jej podbródek i cmoknąłem go.

– Pocałuj mnie w usta – powiedziała i przyciągnęła mnie do siebie. Długo się całowaliśmy.

– Dopięłam swego. Chcesz łyka? – spytała, kiedy się rozdzieliliśmy.

– Nie pijam dziewczynskiej kawy.

– Ha. – Allison ma cichy, słodki głos; próba warknięcia wywołała u mnie uśmiech. – To, mój drogi, był pierwotny odgłos samicy alfa.

Popatrzyłem na kubek.

– Samice alfa piją coś takiego?

Zerknęła na beżowy płyn.

– W erze postfeminizmu można być jednocześnie dziewczynską i silną.

– Rozumiem – powiedziałem. – Co teraz? Zawleciesz mnie do swojej jaskini?

– Chciałabym. – Zdjęła spinkę, rozpuściła włosy, założyła gęste, czarne pukle za ucho. Skórę miała mlecznobiałą. Pogladziłem ledwie widoczne, niebieskie żyłki schodzące się na krawędzi jej

szczęki.

– Samica alfa, kogo ja chcę oszukać? – powiedziała. – Tylko zakwilę, a ty przyjeżdżasz. Jako psycholog muszę cię ostrzec, że niedobrze jest zachęcać do takiego uległego zachowania, Alex.

– A jako niepsycholog?

Wzięła mnie za rękę. Mijały minuty, za szybko.

– Czy „dzień minął nie najgorzej” oznacza, że zrobiliście jakieś postępy w sprawie Mary Lou? – spytała.

Opowiedziałem jej o Patty i Franco Gullu.

– Gull naprawdę jest podejrzany?

– Milo bardzo uważnie mu się przygląda.

– Psycholog morderca. Kolejny cios dla naszej profesji.

– Powiedziałaś mi, że Gull wydawał się cwany. Pamiętasz coś jeszcze na jego temat?

Zamyśliła się.

– Zrobił na mnie wrażenie kogoś, kto bardzo dba o image. To, jak się nosił, jego ubrania, fryzura. Nie zaskoczyła mnie wcale jego rozwiązłość. Miał taki dumny krok, pełen fizycznej pewności siebie, jak ktoś, kto wcześniej rozwinął w sobie charyzmę.

– Skojarzył mi się z gwiazdą sportu z liceum.

– To by pasowało – powiedziała Allison. – Gdyby się okazało, że sypiał ze swoimi pacjentkami, też nie byłabym wstrząśnięta.

– Dlaczego nie?

– Takie mam przeczucie.

– Ale nigdy o niczym takim nie słyszałaś.

– W ogóle nigdy nie słyszałam o nim nic oprócz tego, że był partnerem Mary Lou. Może to wpłynęło na mój osąd. Przez jej reputację. Przez to, że była droga i głodna sławy. Gull wydał mi

się taki sam.

– Albin Larsen nie – powiedziałem.

– To bardziej typ profesora.

– Najwyraźniej to jakiś obrońca praw człowieka. Może przyjęli go do grupy, żeby zyskać na prestiżu. Kiedy rozmawialiśmy z nim i z Gullem, Gull się pocił, a Larsen wydawał się cały czas powstrzymywać. Jakby uważał Gulla za... trochę niesmacznego.

– Nie wygląda na to, że Gull i Mary Lou jakoś specjalnie kryli się ze swoim romanssem – powiedziała Allison. – Więc może Larsen wiedział. – Pokręciła głową. – Zostawił samochód przed jej domem. Jestem na tyle psychologiem, że nie wierzę w przypadki. Mam wrażenie, że oboje chcieli, żeby żona Gulla się dowiedziała. To dość okrutne.

– Może Koppel uważała się za samicę alfa – powiedziałem.

– Prawdziwa samica alfa nie musi kraść mężczyzny innej. – Allison zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. – Mam pięć minut.

– Kurczę!

– Co będzie z praktyką, skoro Mary Lou już nie ma?

– Gull i Larsen powiedzieli, że przejmą wszystkich pacjentów, którzy będą chcieli kontynuować z nimi, a resztę przekażą gdzie indziej.

– Nawet przejęcie małego procentu jej pacjentów oznaczałoby poważny wzrost dochodów.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Widzisz tu motyw zysku?

– Zgadza się z tobą, w grę wchodzi tu dominacja i gniew, prawdopodobnie z jakimiś seksualnymi podtekstami. Ale zysk byłby przyjemną korzyścią uboczną. A jeśli to Gull jest mordercą, wszystko się zgadza. Co byłoby bardziej podniecającego dla psychopaty, niż wyeliminować kobietę, którą kiedyś posiadał seksualnie, i przejąć jej źródła zysku? To

podstawowe zasady wojny.

Na jej policzkach koloru kości słoniowej pojawiły się różowe monety. Robin zawsze brzydziła się takimi dyskusjami.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Interesująca z ciebie dziewczyna.

– Interesująca, ale dziwna, co? Przyjechałeś zakosztować romansu, a ja zaczynam analizować z prędkością światła.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, pocałowała mnie w usta i niespodziewanie się odsunęła.

– Z drugiej strony – powiedziała – posłali nas do szkoły właśnie po to, żebyśmy nauczyli się analizować. Muszę lecieć. Zadzwoń.

Doktor Leonard Singh okazał się wysoki i lekko przygarbiony, miał skórę koloru gałki muszkatołowej i jasne, bursztynowe oczy. Ubrany był w kosztowny wioski garnitur – granatowy w delikatną, czerwoną kratkę – żółtą koszulę, lśniący, czerwony krawat z pasującą do niego chusteczką w kieszeni i czarny turban. Brodę miał pełną i siwą, wąsy rodem z Kiplinga.

Był zaskoczony, widząc mnie w swojej poczekalni, zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy powiedziałem mu, po co przyjechałem. Ale nie bronił się – zaprosił mnie do ciasnego, zielonego pokoiku, który służył mu za szpitalny gabinet. Na drewnianym wieszaku wisiały trzy nieskazitelnie czyste białe kitle. Między dwa stosy kart pacjentów stał wciśnięty słoiczek miętowych paluszków. Doktor miał stopień naukowy z Yale, akcent z Teksasu.

– Doktor Gull – powiedział. – Nie, właściwie go nie znam.

– Skierował pan do niego Gavina Quicka.

Singh uśmiechnął się i założył nogę na nogę.

– Oto, jak do tego doszło. Chłopiec trafił do mnie z ostrego dyżuru. Byłem jednym z dwóch neurologów na dyżurze, miałem właśnie kończyć, ale znajomy poprosił mnie o konsultację. Jerome Quick podał nazwisko. Rodzinny lekarz, kolega od golfa...

– Doktor Silver – powiedziałem.

– Zgadza się – odparł Singh. – Dlatego obejrzałem chłopca, zgodziłem się go poprowadzić, zrobiłem, co mogłem. Zważywszy na okoliczności.

– Zamknięty uraz głowy, nic na USG.

Singh kiwnął głową i sięgnął do słoiczka ze słodyczami.

– Ma pan ochotę na popołudniową dawkę cukru?

– Nie, dziękuję.

– Jak pan chce, są dobre. – Wyjął paluszek, odgryzł kawałek, powoli przeżuł. – W takich przypadkach ma się prawie nadzieję, że USG wykaże coś oczywistego. Nie uszkodzenie tkanki, bo takie sytuacje są z reguły o wiele cięższe. Po prostu człowiek chce się dowiedzieć, co się stało mózgowi, chce móc coś powiedzieć rodzinie.

– Sytuacja Gavina była niejednoznaczna.

– Problem w przypadkach takich jak Gavin polega na tym, że człowiek wie, iż będą jakieś kłopoty, ale nie może powiedzieć rodzinie co dokładnie się stanie ani czy to się kiedykolwiek zmieni. Kiedy się dowiedziałem, że został zamordowany, pomyślałem: Jej, co za tragedia.

Zadzwoiłem i zostawiłem wiadomość jego rodzicom, ale nikt nie oddzwonił.

– Są bardzo wstrząśnięci. Ma pan jakieś przemyślenia na temat tego morderstwa?

– Przemyślenia? Na przykład kto mógł to zrobić? Nie.

– U Gavina objawy utrzymywały się przez dziesięć miesięcy – powiedziałem.

– To niedobry znak – odparł Singh. – Jakby tego było mało, wszystkie objawy były behawioralne. To działka psychiatrów. My, komórkowcy, wolimy coś konkretnego – porządną ataksję, jakiś obrzęk, który możemy zmniejszyć i poczuć się jak bohaterowie. Kiedy tylko zbaczamy na wasze terytorium, zaczynamy działać po omacku. Znów ugryzł kawałek paluszka.

– Zrobiłem dla tego chłopca, co mogłem. Czyli monitorowałem go, żeby mieć pewność, że

niczego nie przeoczyłem, a potem przepisałem terapię zajęciową.

– Miał problemy ze zdolnościami motorycznymi?

– Nie – powiedział Singh. – To miał być rodzaj wsparcia. Wiedzieliśmy, że Gavin doznał częściowego pogorszenia percepcji i zmiany osobowości. Pomyślałem, że przyda się mu wsparcie psychologiczne, ale kiedy zasugerowałem takie konsultacje jego rodzicom, nie chcieli o tym słyszeć. Gavin też nie. Wycofałem się więc z tego pomysłu i zaproponowałem terapię zajęciową, uznając, że może to będzie dla niego łatwiejsze do przełknięcia. Było, ale niestety...

Wie pan o przejściach Gavina z jego terapeutką.

–Beth Gallegos.

– Miła dziewczyna. Prawie ją zadręczył.

– Spotkał się pan już z czymś takim przy zamkniętych urazach głowy?

– Na pewno mogą wystąpić zmiany obsesyjne, ale nie, nie mogę powiedzieć, że widziałem, jak ktoś zaczyna śledzić kobiety.

Singh gryzł złamany koniec paluszka.

– A więc rodzina nie godziła się na psychoterapię – powiedziałem.

– Absolutnie. – Singh smutno się uśmiechnął. – Odniosłem wrażenie, że bardzo zależało im na pozorach. Doktor Silver też tak powiedział. Chociaż dobrze ich nie znał.

– Naprawdę? – powiedziałem. – Wydawało mi się, że to przyjaciel rodziny.

– Barry? Nie, skądże. Barry jest położnikiem-ginekologiem, dopiero niedawno zaczął zajmować się matką Gavina i jej objawami premenopauzalnymi.

Jerome Quick skłamał, mówiąc, że Silver grywa z nim w golfa. Niewielkie kłamstwo, ale dlaczego?

– A więc co pana łączy z doktorem Gullem? – spytałem.

– Nic – odparł Singh. – Kiedy Gavin wpadł w kłopoty przez to, co zrobił Beth, jego ojciec

zadzwoił do mnie i powiedział, że chłopak został aresztowany i że sąd w Santa Ana pośle go za kratki, jeżeli nie uda się wykazać jakichś okoliczności łagodzących. Chciał, żebym napisał oświadczenie, że zachowanie chłopca było bezpośrednim wynikiem wypadku. Gdyby to nie wystarczyło, miałem zeznawać w obronie Gavina.

Singh dokończył paluszek.

– Muszę panu powiedzieć, że nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nie znoszę sądów, nie wiem, co mógłbym powiedzieć, żeby nie skłamać. Beth Gallegos była jedną z naszych najlepszych terapeutek od terapii zajęciowej, naprawdę to świetna dziewczyna i było mi strasznie przykro z powodu tego, co ją spotkało. Musiałem się zastanowić, czy wypuszczenie Gavina na wolność to na pewno dobry pomysł. Chłopak najwyraźniej miał poważne problemy, więc może musiał dostać nauczkę. Z drugiej strony mowa była o więzieniu, a on jednak naprawdę doznał uszkodzenia mózgu i był moim pacjentem. Postanowiłem zadzwonić do zastępcy prokuratora okręgowego, która była w tej sprawie oskarżycielką, a ona powiedziała mi, że skoro to jego pierwsze naruszenie prawa, nie będą go wysyłać za kratki. Powiedziała, że jeśli skieruję go do psychiatry albo psychologa, jej to wystarczy. Popytałem wśród pracujących tutaj znajomych, ale wszyscy uznali, że zachodziłby konflikt interesów, bo znali Beth. Zanim zadzwoniłem gdzieś dalej, pan Quick skontaktował się ze mną i powiedział, że znalazł dobrego psychologa tutaj, w Beverly Hills, bardzo blisko domu. Powiedział, że to ważne, bo nie chciał, żeby Gavin musiał zbyt daleko jeździć.

– Pan Quick prosił o skierowanie do doktora Gulla – powiedziałem.

– Chciał, żebym wypisał skierowanie do doktor Koppel, ale ona odmówiła i wysłała go do doktora Gulla. Kazałem sekretarce zadzwonić i sprawdzić referencje doktora Gulla, wszystko było w porządku. Zadzwoniłem do Gulla i wydał mi się sympatycznym facetem, więc wypisałem skierowanie.

Wyglądził swój krawat. Jego bursztynowe oczy patrzyły na mnie bystro.

– A teraz niech mi pan powie, czy były z tym jakieś problemy? Bo moje nazwisko widnieje na skierowaniu, więc jeśli coś jest nie tak, chciałbym o tym wiedzieć.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby rzucić złe światło na pana.

– To brzmi niepokojąco mało konkretnie – powiedział Singh.

– Przykro mi – odparłem – ale jeszcze za wcześnie na konkrety. Z całą pewnością powiadomię pana, kiedy to się zmieni.

Singh dotknął turbanu.

– Jestem zobowiązany.

– Czy wiedział pan, że Gavin nie został u Gulla?

– Naprawdę?

– Nikt panu nie powiedział.

– Kontaktowałem się tylko z Gullem. Tydzień po skierowaniu zadzwonił do mnie, podziękował, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Potem ani razu się nie odezwał. Co się stało?

– Gavin nie dogadywał się z Gullem i został przeniesiony do doktor Koppel.

– Pewnie znalazła dla niego czas. Biedny Gavin. Cokolwiek zrobił Beth, nie było mu łatwo.

Cóż, jeśli to już wszystko, mam mnóstwo papierkowej roboty.

Odprowadził mnie do drzwi. Podziękowałem mu za poświęcony mi czas.

– Dallas? – spytałem.

– Houston. Tam się urodziłem; tata był chirurgiem przeszczepów serca w zespole Dentona

Cooleya. – Uśmiechnął się. – Kowboje, Indianie i wszystkie te fajne rzeczy.

Rozdział 27

Wróciłem do domu tuż po piątej, zadzwoniłem do kadr „Timesa”, dowiedziałem się, że już

nie pracują. Spróbowałem przypomnieć sobie nazwiska kolegów, o których wspominał Ned Biondi, i przyszło mi do głowy jedno, Dona Zeltina, podobnie jak Ned niegdyś reportera, teraz felietonisty. Zadzwoiłem do gazety, poprosiłem, żeby mnie z nim połączyć.

– Zeltin – powiedział szorstki głos.

Zacząłem wyjaśniać, kim jestem i dlaczego muszę się skontaktować z Nedom.

– Brzmi skomplikowanie – powiedział Zeltin. – Mógłby pan być jakimś czubkiem.

– Mógłbym, ale nie jestem. Gdyby pan mógł zadzwonić do Neda...

– Może Ned nie zostawił panu numeru, bo nie chce z panem rozmawiać.

– Czy nadużyłbym pańskiej uprzejmości, gdybym poprosił, żeby pan do niego zadzwonił i spytał? To ważne.

– Psycholog, tak? Moja była żona postanowiła, że zostanie psychologiem. Kiedy była jeszcze moją żoną. Mam trzech przyjaciół na tym samym wózku. Kiedy żona zaczyna mówić o powrocie na studia psychologiczne, czas dzwonić do prawnika od rozwodów.

Zaśmiałem się.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedział. – A właściwie jest. W końcu wyleciała, a teraz mieszka w Vegas i sprzedaje ubrania w jakimś gównianym sklepiku. Dobra, raz się żyje, zadzwonię do Neda. Jak pana godność?

Sprawdziłem Franco Gulla w spisie Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego.

Studiował na Uniwersytecie Kansas w Lawrence. Skończył psychologię i zarządzanie.

Podyplomowe studia na Berkeley opóźniły dwa lata półprofesjonalnej gry w baseball we Fresno.

Czegoś takiego zazwyczaj nie wymienia się w spisie ASP – Gull był dumny ze swoich sportowych osiągnięć.

Od młodości pełen charyzmy, pewny swojej cielesności.

Gull nie posiadał żadnych mianowań akademickich, od studiów podyplomowych nie

prowadził żadnych wartych wzmianki badań naukowych. Interesował się „stosunkami międzyludzkimi” i „terapią zorientowaną na wgląd”. Z tego, czego się dowiedziałem, wynikało, że po stażu na Uniwersytecie Kansas w Riverside od razu otworzył prywatną praktykę z Mary Lou Koppel.

Skoro miałem już przed sobą spis, sprawdziłem od razu Albina Larsena. Jego biografia była o wiele dłuższa i bardziej imponująca. Magisterka na Uniwersytecie Sztokholmskim, roczne członkostwo w Kolegium Nauk Politycznych w Cambridge, z powrotem do Szwecji po doktorat na uniwersytecie w Göteborgu i asystenturę w Instytucie Nauk Społecznych na tej samej uczelni. Interesował się czynnikami kulturalnymi w psychologicznej ocenie, zastosowaniem badań psychologicznych w rozstrzyganiu konfliktów oraz szacowaniem i leczeniem powojennych urazów i stresów. Pomagał ofiarom walk w Rwandzie i Kenii, współpracował jako konsultant z Amnesty International, Lekarzami bez Granic, Sympozjum Praw Człowieka, Światowym Ruchem Praw Więźniów i podkomitetem opieki nad dziećmi przy ONZ. Chociaż od ośmiu lat mieszkał w USA i niedługo po przyjeździe postarał się o licencję, zachował też stanowisko naukowe w Göteborgu.

Poważny facet. Czy harce Koppel i Gulla mogły go urazić?

Siadłem do komputera, załogowałem się do serwisu Kalifornijskiej Komisji Psychologicznej i sprawdziłem wykaz działań dyscyplinarnych. Nic na temat Gulla i Larsena. Jakiegokolwiek Gull miał przewiny, pozostawały jego prywatną sprawą.

Co mogło być akurat najistotniejsze.

Czy Gavin dowiedział się czegoś, przez co stał się dla Gulla zagrożeniem?

Czy sekret ten miał coś wspólnego z rodziną Quicków? Dlaczego Jerome Quick skłamał, że Barry Silver jest jego kolegą od golfa? Dlaczego nie powiedział nam, że sam, osobiście wystarał się o skierowanie?

Czy Quick miał wcześniej kontakt z Koppel i Gullem? Jakiś konkretny powód, dla którego chciał, żeby Gavin znalazł się pod opieką tych dwojga?

Jeśli tak, nie powiedział o tym, a teraz Gavin nie żył.

Tak samo jak jego terapeutka.

Zacząłem się nad tym zastanawiać, doszedłem jedynie do bólu głowy i zrobiłem przerwę na kawę. Ekspres był pusty, właśnie go napełniałem, kiedy zadzwonił Ned Biondi.

– Doktorze – powiedział – przepraszam, że nie utrzymywałem kontaktów, ale dopiero co się przeprowadziłem, mieszkam jeszcze na kartonach.

– Oregon?

– W drugą stronę. Kupiłem sobie wspaniałe małe mieszkanie na Coronado Island. Tycie, bo strasznie tu drogo, ale jestem sam, po co mi więcej.

– Ładnie tam – powiedziałem.

– Mam widok na zatokę i most. Rozwiedliśmy się z Normą. Ściśle rzecz biorąc, to ja się z nią rozwiodłem. W zeszłym roku.

– Przykro mi to słyszeć.

– Niepotrzebnie, powinienem był to zrobić wiele lat temu. To paskudna kobieta, okropna matka... Pamięta pan, jak nie chciała z panem rozmawiać, nie brała udziału w terapii Anne Marie?

– Pamiętam.

– Królowa zimy – prawie splunął. – Jak dla mnie, to właśnie między innymi przez nią Anne Marie miała problemy, powinienem był to zauważyć wcześniej. Pan pewnie to widział, ale nie mógł tego powiedzieć wprost, prawda? „Niech się pan rozwiedzie z żoną, Ned”. Jakby mi pan tak powiedział, zwolniłbym pana. Ale pan miałby rację.

– Co u Anne Marie?

– W sumie dobrze – powiedział. – Nie zawsze świetnie. Ma swoje humory, ale najczęściej nie jest źle. Ten jej mąż jest w porządku, właśnie urodziło im się trzecie dziecko. Jeśli chodzi o karierę, do niczego nie doszła, ale twierdzi, że podoba się jej bycie mamą, dlaczego miałbym jej nie wierzyć? Jest świetną matką, dzieciaki ją kochają, Bob ją kocha. Wie pan, co mi uświadomiło, że muszę się rozejść z Normą.

– Co?

– Postanowiłem rzucić palenie. W końcu podszedłem do tego poważnie. A co ona na to? Próbowwała mi to wyperswadować i mam tu na myśli zażartą bitwę. Sama nie chciała rzucać, bo palenie to było coś, co robiliśmy razem – papieros i kawa rano przy gazecie. Spacerowanie i puszczenie dymka. Oskarżyła mnie, że chcąc rzucić samemu, zdradzam ją. Ja się uparłem, ona dostała szału. Więc zastanowiłem się i pomyślałem sobie: Durniu, ona ma gdzieś, czy nie zachorujesz i nie umrzesz, obchodzi ją tylko to, żeby było tak, jak ona chce. Dla niej liczy się tylko ona sama. Trzydzieści pięć lat za późno, ale co tam, zrobiłem to, ona przeniosła się do Nowego Jorku napisać powieść, a ja noszę plastry i zszedłem do siedmiu winstonów dziennie.

– Gratulacje.

– Dzięki. A więc co mogę dla pana zrobić?

Opowiedziałem mu o zdjęciu blondynki.

– Zadzwoń, ale muszę pana uprzedzić, że nic nie obiecuję – powiedział. – Gazety nie interesuje służba społeczna, o ile kiedykolwiek ją to interesowało. Chodzi o to, żeby sprzedać jak najwięcej miejsca na reklamy, a to oznacza, że szuka się sensacji. Z tego, co mi pan opowiedział, w tej historii nie ma nic sensacyjnego.

– Podwójne zabójstwo? – spytałem. – Dwójka dzieciaków na Mulholland?

– Niestety, Los Angeles to miasto fabryczne, a sensacja oznacza coś związanego z Hollywood. Niech mi pan da gwiazdkę z kleptomanią, która kradnie majtki na Rodeo, a

gwarantuję panu kilka akapitów. Dwójka dzieciaków na Mulholland to tragedia, ale nie z rodzaju „człowiek pogryzł psa”.

– A może tak: policja nie chciała ujawniać zdjęcia, ponieważ śledztwo było na zbyt wczesnym etapie, ale anonimowe źródło przysłało je do „Timesa”.

– Hm – mruknął Biondi. – Może wydawcy na to pójdą, mają odruchowy wstręt do władz.

Kiedy tylko mogą wszystkim pokazać, że nie idą w nogę z policją, od razu mają poczucie, że są czwartą władzą, którą chcieliby być... Dobrze, spróbuję. Przy okazji, czy to prawda?

– Dział kontaktu z mediami nie chciał tego upublicznić, bo uznał, że nie ma w tym żadnego haczyka.

Biondi się zaśmiał.

– Wszędzie ten show-biznes. Zadzwoń do nich i dam panu znać. Może mi pan powiedzieć coś więcej o tej dziewczynie?

– Nic – powiedziałem. – W tym właśnie problem.

– Zobaczę, co da się zrobić, doktorze. Miło się z panem rozmawiało... Skoro już pana mam, chciałbym o coś zapytać. Wierzy pan w to opracowanie, które niedawno się ukazało, napisali tam, że faceci radzą sobie lepiej w małżeństwie niż samotnie?

– To zależy od faceta – powiedziałem. – I od małżeństwa.

– Otóż to – stwierdził Biondi. – Trafił pan w samo sedno.

Niedługo po tym, jak odłożyłem słuchawkę, zadzwonił Milo. Opowiedziałem mu, że Biondi spróbuje wcisnąć zdjęcie mediom.

– Dzięki. Przyszły odciski palców z domu Koppel i oczywiście odciski Gulla są tam wszędzie. Do tego sporo innych, których nie możemy zidentyfikować. Jedyne, jakie znajdowały się w bazie danych, należały do faceta, który był notowany za pobicie; okazało się, że pracował w firmie zajmującej się ogrzewaniem i klimatyzacją i miesiąc temu był wezwany do naprawy.

Ślady jego palców były na piecu i nigdzie indziej, więc to by się zgadzało. Notowany był za to, że dał komuś po twarzy w barze.

– Jak Roy Nichols – powiedziałem.

– Sporo w ludziach agresji. Gdyby tylko wiedzieli, kogo wpuszczają do domów.

– Czy odciski palców Gulla cokolwiek oznaczają? – spytałem. – Biorąc pod uwagę jego związek z Koppel?

– Tak właśnie by powiedział. Tak by powiedział jego prawnik. Przy okazji, wynajął sobie adwokata. Nie znam go, ale jeden z naszych tutaj zna. Nie najwyższa półka, raczej średniak.

– Czyli Gull się nie boi?

– Boi się wystarczająco, żeby wynająć prawnika – powiedział Milo. – Może nie pomyślał.

Albo na nic więcej go nie stać. Ma mercedesa i corvette, ale nie jest obłądnie bogaty, prawda?

Nawet przy konkretnych stawkach ogranicza was liczba godzin dziennie.

– Ciekawe, że o tym wspomniałeś – powiedziałem i streściłem mu, co Allison powiedziała o motywie zysku.

– Zabić Koppel i ukraść jej pacjentów... Bystra dziewczucha z tej Allison... Z przyjemnością zajrzałbym w finanse Gulla, ale nie wiem, jak to zrobić.

– Jak poszło z pokojem Gavina?

– Nie poszło – powiedział. – Nikogo nie było w domu, spróbuję jutro.

– Rozmawiałem z doktorem Singhiem. – Streściłem mu tę rozmowę.

– Jerry Quick skłamał – powiedział Milo. – Po co?

– Dobre pytanie.

– Czas przyjrzeć się bliżej mamie i tacie. Próbowałem też umówić się na spotkanie z panem Edwardem Koppem, ale nie udało mi się przebić przez jego recepcjonistkę.

– „Szef jest na spotkaniu?” – spytałem.

– Na to wygląda. Najlepiej chyba będzie wpaść tam jutro rano. Wcześniej, powiedzmy o ósmej trzydzieści, może złapiemy go, zanim pójdzie na jakieś spotkanie. Pisziesz się na to?

– Chcesz, żebym prowadził?

– A jak myślisz?

Przyjechał do mnie następnego ranka parę minut po ósmej, wmaszerował do kuchni, wypił kawę i zjadł dwie bułeczki leżące na blacie.

– Gotowy? – spytał.

Pojechałem przez Glen do Valley, potem na wschód, przez Sepulvedę, do samego serca Encino.

To była dolina boomu – wieżowce lśniły w porannym słońcu niczym chromowane, korków nie powstydziliby się śródmieście, powietrze było przesycone aromatem pieniędzy. Biuro Edwarda Koppela mieściło się jednak w pomniku dawnych czasów – niszczącym, piętrowym stiukowym pudełku przy Ventura, kawałek za Balboa, wciśniętym między komis samochodowy zapchany używanymi jaguarami, ferrari i rollsami a arabską restaurację.

Za budynkiem rozciągał się niewielki parking, z wjazdem z zaułka; większość miejsc była oznaczona jako zarezerwowana. Do środka wchodziło się przez szklane drzwi. Całość wyglądała identycznie jak w budynku Mary Lou Koppel i powiedziałem to głośno.

– Spodziewałem się jakiegoś wielkiego biurowca – odrzekł Milo. – Może Koppel specjalizuje się w małych budynkach, które łatwo wynająć. Zaparkuj na końcu, tam.

Skierował mnie do miejsca, z którego mogliśmy łatwo obserwować wszystkie wjeżdżające na parking samochody. W ciągu następnej pół godziny zjawily się cztery. Dwa osobowe, kierowane przez młode kobiety, dostawczy z wodą i spłowiały, dziesięcioletni buick, który wypłuł niechlujnego, otyłego mężczyznę w pogniecionych spodniach i za dużej, brązowej koszulce polo. Mężczyzna niósł papierową torbę i wyglądał, jakby jeszcze spał.

W ciągu następnych dziesięciu minut przyjechały dwie toyoty z sekretarkami. Niedługo potem grubas wyszedł i odjechał, już bez torby.

– Kto to był? – spytałem.

Milo zmarszczył brew, spojrzął na swojego timeksa, nie odpowiedział.

Pół godziny po przyjeździe wciąż tkwiliśmy w samochodzie. Milo był spokojny, rozglądał się żywo spod w półprzymkniętych powiek, ale ja zaczynałem się niecierpliwić.

– Wygląda na to, że pan Koppel pracuje w nienormowanym czasie – powiedziałem.

– Zajrzyjmy do jego biura.

Parter budynku dzieliły między siebie trzy firmy: Landmark Realty, SK Development i Koppel Enterprises. Na górze mieściły się biuro podróży, firma budowlana i biuro rachunkowe. Milo poruszył klamkami Koppel Enterprises i Landmark Realty, ale drzwi były zamknięte. SK Development działało jednak pełną parą.

Weszliśmy do dużego, otwartego, jasno oświetlonego pomieszczenia, podzielonego na boksy sięgającymi do pasa ściankami. Wszystkie cztery kobiety, które widzieliśmy na parkingu, siedziały przy komputerach i coś pisały. Trzy miały na uszach słuchawki.

W głębi widniały drzwi z napisem PROSZĘ NIE WCHODZIĆ. Milo minął sekretarki i spróbował je otworzyć. Również były zamknięte. Maszynistka bez słuchawek wstała i podeszła do nas. Była sympatycznie przeciętna, miała dwadzieścia kilka lat, krótkie ciemne włosy, piegi i swobodny uśmiech, nosiła kawowy kostium.

– Mogę panom w czymś pomóc?

– Szukamy pana Koppela.

– Sonny'ego? – spytała. – Właśnie wyszedł.

– Jak wygląda?

Rozejrzała się, podeszła bliżej, przysłoniła usta dłonią.

– Grubszy. Miał na sobie brązową koszulkę polo.

– Jeździ starym buickiem?

– To on. Jesteście panowie z policji?

Milo pokazał jej odznakę.

– Ojej.

– Pani godność?

– Cheryl Bogard. – Kobieta obejrzała się na pozostałe. Nie przerywały pisanie.

– Słuchają dyktowanego tekstu? – spytał Milo.

– Och, nie – odparła Bogard. – Muzyki. Sonny przygotował sporo płyt, żeby mogły słuchać, czego chcą.

– Dobry szef.

– Najlepszy.

– A więc, panno Bogard, czym się tu państwo zajmujecie?

– Dbamy o nieruchomości Sonny’ego. A panowie, dlaczego tu jesteście?

– Ktoś się włamał do któregoś z budynków?

– Czy to się często zdarza?

– Wie pan, jak to jest – powiedziała Bogard. – Przy tylu nieruchomościach, ile ma Sonny, zawsze coś się gdzieś dzieje.

– Imperium nieruchomości – powiedział Milo.

– Sporo tego ma. Mamy dzięki temu co robić – dodała wesoło. – A więc gdzie tym razem było włamanie?

– Nieważne – powiedział Milo. – A więc to był pani szef. Nie zabawił tu długo.

– Zabrał tylko jakieś papiery. – Uśmiechnęła się. – Nie tego się panowie spodziewaliście, co?

Milo pokręcił głową.

- Wie pan, jak to mówią. Pozory mylą.
 - Kiedy wraca?
 - Trudno powiedzieć. Bardzo dużo jeździ. Ma nieruchomości w czterech hrabstwach, a to oznacza sporo podróży. Śmiejemy się z niego, mówimy mu, że powinien sobie kupić nowy samochód, stać go na to. Ale on kocha buicka. Sonny nie lubi się popisywać.
 - Żyje skromnie.
 - To bardzo miły facet.
 - Mogłaby pani do niego zadzwonić?
 - Przykro mi – powiedziała. – Sonny nie używa komórki w samochodzie. Jest trochę staroświecki, twierdzi, że nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w myśleniu, poza tym niebezpiecznie jest rozmawiać w trakcie jazdy.
 - Dbą o bezpieczeństwo – powiedział Milo.
 - Jest ostrożny. Mam mu coś przekazać? W którym budynku było włamanie?
 - Dzięki, ale będzie lepiej, jeśli porozmawiamy z nim osobiście.
 - W porządku – powiedziała Bogard. – Powiem mu, że panowie tu byliście.
 - Nie domyśla się pani, kiedy można się go spodziewać?
 - Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że późnym popołudniem. Jeśli w ogóle. Z Sonnym nigdy nic nie wiadomo.
- Milo dał jej swoją wizytówkę.
- Jeżeli dzisiaj go nie złapiemy, proszę mu przekazać, żeby zadzwonił.
 - Jasne. – Cheryl Bogard wróciła do swojego boksu, położyła wizytówkę przed sobą, spojrzała na nas i pomachała.

Milo ruszył do wyjścia, potem zmienił zdanie, podszedł do niej, powiedział coś i wysłuchał odpowiedzi.

– O co ją pytałeś? – zaciekałem się, kiedy wyszliśmy na korytarz.

– Co było w torbie. – Potarł bok nosa. – Tootsie Rolls, M&Ms, Almond Joy. Dobry stary Sonny przywozi dziewczynom słodczyce. Powiedziała, że wszystkie dbają o linię, jedzą tylko trochę. On dojada resztę.

Rozdział 28

Przecnicę od siedziby korporacji Sonny'ego Koppela był bar kanapkowy ze statkiem kosmicznym w stylu lat czterdziestych, szykującym się do startu z blaszanego, niebieskiego dachu. Milo i ja usiedliśmy przy pustym kontuarze, wdychając zapach skwierczących na maśle jajek, i zamówiliśmy kawę u kelnerki dość starej, by była naszą matką.

Milo zadzwonił z komórki do wydziału komunikacji. Adres na prawie jazdy Edwarda Alberta Koppela był tym samym, który właśnie odwiedziliśmy. Zarejestrował cztery samochody: buicka, pięcioletniego cutlassa, siedmioletniego chevroleta i jedenastoletniego dodge'a.

– Kupuje tylko amerykańskie auta – powiedziałem.

– Widziałeś go – odparł Milo. – Domyśliłbyś się, że Mary Lou poleci na takiego faceta?

– Byli małżeństwem wiele lat temu, kiedy studiował prawo – powiedziałem. – Może wyglądał inaczej.

– Pan Cukierek... Jego sekretarka wyglądała raczej zdrowo. – Milo wypił kawę, zabębnił palcami o blat. – Dobry szef, szlachetny patriota, w ogóle do rany przyłóż... Jeśli coś wygląda na zbyt dobre, żeby było prawdziwe, to zazwyczaj takie jest, prawda? Możemy jechać?

– Gdzie?

– Ty do domu, a ja z powrotem do Quicków, przeszukać pokój Gavina. Sprawdziłeś może Franco Gulla w komisji licencyjnej?

– Czysty – powiedziałem.

– Naprawdę? Cóż, może Gavin tak nie uważał i popatrz, co go spotkało.

Odezwał się do mnie dopiero dwa dni później. Ned Biondi nie zadzwonił, a ja myślami odbiegłem od morderstw.

Robin przyjechała i zabrała Spike'a. Mimo dwóch dni, podczas których okazywał mi przywiązanie, na widok jej forda natychmiast zapalał do mnie pogardą. Pobiegł do Robin, która przykucnęła na podjeździe, skoczył jej w ramiona, rozśmieszył.

Podziękowała mi za opiekę i wręczyła małe, niebieskie pudełko.

– Nie trzeba.

– Dziękuję za pomoc, Alex.

– Jak było w Aspen?

– Wredni faceci z uwieszonymi na ramionach cycatymi blondynkami, mnóstwo skór zabitych zwierząt, najpiękniejsze góry, jakie w życiu widziałam. – Pociągnęła się za kolczyk.

Spike siedział posłusznie u jej stóp.

– A więc – powiedziałem.

Kiedy nachyliła się, żeby pocałować mnie w policzek, udałem, że tego nie zauważyłem i obróciłem się tak, żeby nie mogła tego zrobić.

Usłyszałem trzask zamykanych drzwi samochodu. Robin siedziała za kierownicą, ze zdziwioną miną zapalając silnik.

Pomachałem.

Z wahaniem mi odmachała. Spike zaczął lizać ją po twarzy i odjechała.

Otworzyłem pudełko. Były w nim srebrne spinki do mankietów w kształcie gitar.

Kiedy Milo wreszcie zadzwonił, wychodziłem właśnie spod prysznicza.

– Państwo Quick najwyraźniej wyjechali na wakacje. Dom jest zamknięty na cztery spusty.

Jej van stoi, ale jego samochodu nie ma, a sąsiadka powiedziała, że widziała ich, jak ładują walizki.

- Pojechali na urlop.
- Muszę się dostać do tego pokoju. Dzwoniłem do siostry, tej Paxton, ale jeszcze się do mnie nie odezwała. Wracamy do pana Sonny'ego Koppela. Może i jeździ starymi samochodami i ubiera się jak niechluj, ale na pewno nie dlatego, że jest nędzarzem. Ma tytuły własności ponad dwustu działek. Inwestycyjnych i budowlanych, w czterech hrabstwach, dokładnie tak, jak mówiła ta jego dziewczyna.
- Czyli to jednak magnat – powiedziałem.
- Posiada też przeróżne holdingi i spółki jako osłony. Sporo czasu trwało, zanim się przez to przekopałem. To duża szucha, Alex, z tego co się dowiedziałem wynika, że współpracuje z władzą.
- Federalną?
- Federalną, stanową, hrabstwa. Sporo jego holdingów ma państwowe dofinansowania. Mowa tu o osiedlach dla niezamożnych, domach starców, zabytkach. I zgadnij, o ośrodkach dla warunkowo zwolnionych. W tym ten przy Szóstej, w którym nocuje Roland Kristof. Stanowa legislatura orzekła, że mamy płacić za wikt i opierunek zbrodniarzy, a Koppel z tego korzysta.
- Obywatelska postawa – powiedziałem.
- To świetny układ. Znajdujesz jakiś budynek albo budowę, która spełnia warunki dotacji, dzielisz się kosztami z państwem, sam zgarniasz cały zysk. Jeśli chodzi o życiorys Koppela, dowiedziałem się tylko tyle, że studiował prawo na uniwerku. Ale nigdy nie praktykował, nie znalazłem też żadnego świadectwa podejścia przez niego do egzaminu na aplikację. Wziął skądś pieniądze i zbudował imperium.
- Czy biurowiec, w którym wynajmuje mieszkania Pacifica, to też spółka z państwem?
- Chyba nie – powiedział Milo. – Ale nie dlatego, że jest w Beverly Hills. Koppel posiada tam dwie nieruchomości, dom spokojnej starości na Crescent Drive i centrum handlowe na La

Cienega, które były finansowane z pieniędzy podatników. Dom starców kwalifikuje się do

dopłaty HUD* [Housing and Urban Development – departament, którego celem działania jest rozwój taniego,

ogólnodostępnego budownictwa mieszkaniowego, często we współdziałaniu z lokalnymi organizacjami społecznymi

i prywatnymi (przyp. tłum.)], a centrum handlowe dostało dotacje FEMA* [Federal Emergency

Management Agency – federalna agencja zajmująca się zwalczaniem skutków klęsk żywiołowych (przyp. tłum.)],

bo sklepy, które stały tam wcześniej, ucierpiały podczas trzęsienia ziemi.

– Wie, jak wykorzystywać system – powiedziałem.

– I go wykorzystuje. Jego nazwisko pojawia się w dokumentach sądowych tylko wtedy,

kiedy kogoś pozywa albo kiedy ktoś pozywa jego. Głównie sprawy o niepłacenie czynszu i

eksmisje. Raz na jakiś czas jakiś lokator pozywa go o pokrycie kosztów leczenia po wypadku.

Czasami idzie na ugodę, czasami się sądzi. Obsługuje go osiem różnych kancelarii prawniczych,

wszystkie ze śródmieścia, wszystkie prospołeczne. Ale posłuchaj tylko tego – nie mieszka nawet

w domu, a co dopiero w posiadłości. Jego głównym miejscem zamieszkania, a niełatwo było je

znaleźć, jest mieszkanie przy Mapie Drive w Beverly Hills. Co brzmi nieźle, ale to nie jest żadne

modne osiedle, tylko stara kamienica, dość obskurna, sześć mieszkań. Właścicielem jest jedna ze

spółek Koppela, a on sam mieszka w dwóch pokojach od podwórka. Gospodyni nie wie nawet,

że jest jej szefem, bo opisała Koppela jako „grubego faceta, bardzo spokojnego” i powiedziała, że

właścicielami są jacyś Irańczycy z Brentwood. Koppel wynajmuje małżeństwo niejakich

Fahrizadów jako swoich przedstawicieli.

– Skryty gość – powiedziałem.

– Spróbujmy to zmienić.

Należący do Sonny’ego Koppela odcinek Mapie Drive ciągnął się między Beverly Boulevard

i Civic Center Drive. Okolica była mieszana, mieszkaniowo-usługowa, od zachodu zamknięta

zakutym w granit, służącym za główną siedzibę Mercedesowi, luksusowym, ekstrawagancko zaprojektowanym kompleksem biurowym obsługującym prawników i agentów filmowych, oraz pokryta kurzem z placu budowy pobliskiego wieżowca.

Po drugiej stronie ulicy stały dwukondygnacyjne bloki, pozostałości powojennego boomu budowlanego. Należący do Koppela był jednym z najobskurniejszych – szarym, tradycyjnym pudłem z tandetnym, kompozytowym dachem. Trzy mieszkania na piętrze, trzy na parterze, wyłusniały trawnik, przywiędłe krzewy.

Za domem stał zaparkowany buick Koppela, wciśnięty w jedno z pół tuzina miejsc pod otwartą wiatą. Objechaliśmy okolicę i znaleźliśmy jego pozostałe samochody, wszystkie zaparkowane w promieniu dwóch przecznic, każdy z aktualnym pozwoleniem na parkowanie.

Olds, chevy, dodge. Szary, szary, ciemnozielony. Na pierwszych dwóch warstwa kurzu.

Dodge był niedawno myty. Zatrzymałem się, nie wyłączając silnika seville'a, a Milo wysiadał i przyglądał się wszystkim po kolei. Pusto.

Zaparkowałem i ruszyliśmy do budynku Koppela.

Sonny Koppel otworzył drzwi, jedząc garściami popcorn z plastikowej miski. Zapach przywodził na myśl korytarz w budynku Pacifiki. Zanim Milo zdążył wyjąć odznakę, Koppel kiwnął głową, jakby się nas spodziewał i gestem zaprosił do środka. Miał granatową bluzę z logo uniwerku, kraciaste spodnie od pizamy i włochate, brązowe kapcie.

Metr siedemdziesiąt, co najmniej sto trzydzieści kilo, brzuch jak melon i rzednące, rudobrązowe włosy, sterczące dookoła lśniącej łysiny na czubku głowy. Od kilku dni się nie golił; jego zarost wyglądał jak łupież. Niebieskie oczy o ciężkich, opadających powiekach, obwisłe wargi, krótkie, grube kończyny, mięsiste dłonie o parówkowatych palcach.

Za nim stary, dziewiętnastocalowy telewizor ryczał informacjami finansowymi kablówki.

Koppel go ściszył.

– Dziewczyny powiedziały, że panowie u nas byliście – powiedział ospałym basem. –

Chodzi o Mary, prawda? Byłem ciekaw, czy się odezwiecie... proszę, niech pan siada.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć notowanie akcji, wyłączył telewizor, zdjął stos gazet z

kraciastej kanapy i położył je na stoliku o metalowych nogach. Dookoła stały cztery plastikowe krzesła, na dwóch leżały książki w twardej oprawie. Połowę stołu zajmowały inne książki, notesy, długopisy, ołówki, kalkulator, puszki dietetycznego seven-up i różnej wielkości torebki węglowodanów.

Mieszkanie było urządzone banalnie. Białe ściany, niskie sufity, duży pokój, służący za salon i jadalnię, aneks kuchenny, łazienka i dwie sypialnie za stiukowym łukiem. Nic na ścianach.

Kuchnia była zagracona, ale czysta. Niedaleko blatu na stoliku na kółkach stał komputer.

Wygaszacz ekranu z obrazkiem akwarium. W oknie grzechotał klimatyzator.

– Mogę panom zaproponować coś do picia? – spytał Sonny Koppel.

– Nie, dziękujemy.

– Na pewno?

– Tak.

Miękkie, bulwiaste ramiona Koppela uniosły się i opadły. Westchnął, opadł na zielony, tweedowy rozkładany fotel, nie opuścił oparcia. Milo i ja usiedliśmy na kraciastej kanapie.

– A więc – powiedział Koppel – co mogę dla panów zrobić?

– Po pierwsze – zaczął Milo – czy może nam pan powiedzieć o swojej byłej żonie cokolwiek, co mogłoby nam pomóc znaleźć jej mordercę?

– Chciałbym. Mary była wyjątkową osobą, atrakcyjną, bardzo mądrą.

Koppel przesunął dłonią po włosach. Zamiast się ułożyć, naelektryzowały się i zwinęły jak żywe. W pokoju panował półmrok, podświetlany fluorescencją z kuchni i włosy utworzyły aureolę. Smutny facet w spodniach od pizamy i z aureolą.

– Zastanawiacie się – powiedział – jak ktoś taki jak ona mógł w ogóle zadawać się z kimś takim jak ja.

Jego wargi zwinęły się jak miniaturowe, wołowe roladki, układając się w coś zbliżonego do wyrazu rozbawienia.

– Kiedy poznałem Mary, nie wyglądałem tak jak teraz. Wtedy prezentowałem się raczej jak baseballowy obrońca niż zawodnik sumo. Byłem niezły, miałem na uniwerku stypendium sportowe, marzyłem o lidze.

Przerwał, jakby czekając na komentarze.

– Potem naderwałem ścięgno – powiedział, kiedy żadnego nie usłyszał – i musiałem naprawdę zacząć się uczyć.

Wsadził dłoń do miski z popcornem, nabrał garść i podniósł do ust.

– Poznał pan doktor Koppel na studiach? – spytał Milo.

– Studiowałem prawo, ona była na studiach podyplomowych. Poznaliśmy się w centrum rekreacji, ona pływała, ja czytałem. Próbowałem ją poderwać, ale mnie spławiła. – Dotknął brzucha, jakby go zabolął. – Za drugim razem zgodziła się pójść ze mną na kawę i świetnie nam się rozmawiało. Pobraliśmy się rok później, rozwiedliśmy dwa lata po ślubie.

– Problemy? – spytał Milo.

– Każdy je ma – powiedział Koppel. – Jak to się często mówi, oddaliliśmy się od siebie? Po części wynikało to z czasu. Ona robiła dysertację, ja miałem dużo zajęć i rzadko się widywaliśmy. Głównym problemem było to, że spieprzyłem sprawę. Miałem romans z koleżanką z grupy. Żeby było jeszcze gorzej, była mężatką, więc rozbiłem dwie rodziny. Mary się ode mnie odwróciła, chciała tylko szybko wszystko zakończyć. To była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

– Zdrada?

– To, że pozwoliłem jej odejść. Z drugiej strony pewnie i tak by mnie rzuciła, nawet gdybym był wierny.

– Dlaczego?

– Byłem wtedy trochę rozbity – powiedział Koppel. – Nie miałem żadnego celu. Poszedłem na prawo tylko dlatego, że nie wiedziałem, co innego mógłbym robić. Mary była całkowitym przeciwieństwem; skoncentrowana, zorganizowana. Ma... – Skrzywił się. – Bardzo silną osobowość. Charyzmę. Nie dotrzymałbym jej kroku.

– Chyba zbyt nisko się pan ceni – powiedział Milo.

Koppel sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego.

– Nie, nie sędzę.

– Trochę się o panu dowiedzieliśmy. Jest pan jednym z największych posiadaczy nieruchomości w południowej Kalifornii.

Koppel machnął tłustą dłonią.

– To tylko gra w monopol.

– Dobrze panu szło.

– Miałem szczęście – powiedział Koppel. – Miałem szczęście, że przegrałem.

– Przegrał pan?

– Prawie wyleciałem ze studiów, potem stchórzyłem przed egzaminem na aplikację.

Zacząłem dostawać ataków lęku, kilka razy trafiłem przez to na ostry dyżur. Wyglądało to, jakbym miał atak serca. Między mną i Mary nie było już wtedy najlepiej, ale pomogła mi.

Pomagała mi w ćwiczeniach oddechowych, kazała mi wyobrażać sobie relaksujące rzeczy.

Pomogło, ataki lęku przeszły, a Mary spodziewała się, że teraz podejść do egzaminu. Poszedłem tam, pojawiłem się za wcześnie, rozejrzałem po sali, wyszedłem. I tyle. To rozwścieczyło Mary jeszcze bardziej niż moja zdrada. Niedługo potem złożyła pozew rozwodowy.

Znów machnął dłonią, tym razem bezwładnie.

– Kilka miesięcy potem moja matka zmarła i zostawiła mi dom w Valley, więc ni z tego, ni z owego zostałem gospodarzem. Rok później sprzedałem ten dom, wykorzystałem zysk i pożyczkę z banku i zainwestowałem w większy. Robiłem tak przez kilka lat, kupowałem i sprzedawałem. Rynek nie ruchomości rozkwitał i dobrze mi się wiodło.

Wzruszył ramionami, zjadł następną garść popcornu.

– Jest pan bardzo skromnym człowiekiem, panie Koppel – powiedział Miło.

– Wiem, kim jestem, a kim nie. – Koppel odwrócił głowę, jakby uchylał się przed tym wnioskiem. Jego policzki zadrżały. – Domyślcie się panowie, kto zamordował Mary?

– Nie, proszę pana. A pan?

– Ja? Nie, oczywiście, że nie.

– Została zamordowana w domu – powiedział Miło. – Nie było śladów włamania.

– Twierdzi pan, że to był ktoś, kogo znała?

– Ma pan jakichś kandydatów?

– Nie byłem wtajemniczony w osobiste życie Mary.

– Na ile utrzymywaliście państwo ze sobą kontakty?

– Zostaliśmy przyjaciółmi, a ja utrzymywałem małżeńskie wsparcie.

– Jak duże?

– Zmieniało się z czasem – powiedział Koppel. – Zaraz po rozwodzie dostała tylko meble z naszego mieszkania, bo oboje byliśmy głodującymi studentami. Kiedy zacząłem zarabiać przyzwoite pieniądze, zadzwoniła i poprosiła o wsparcie. Ustaliliśmy kwotę, a ja z biegiem czasu ją zwiększałem.

– Na jej prośbę?

– Czasami. Czasami sam postanawiałem podzielić się z nią moim szczęściem.

– Szczęśliwa była żona – powiedział Milo.

Koppel nie odpowiedział.

– Proszę pana, ile płacił jej pan w chwili jej śmierci?

– Dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie.

– Hojny gest.

– Uznałem, że tak będzie sprawiedliwie – powiedział Koppel. – Była przy mnie, kiedy jej potrzebowałem. Pomogła mi pokonać te ataki paniki, chociaż ją zdradziłem. To coś znaczy.

– Dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie – powiedział Milo. – Przeglądałem jej wyciągi bankowe, nie widziałem żadnych wpływów na takim poziomie.

– I nie zobaczyłby pan – odparł Koppel. – Mary żyła ze swojej praktyki, a to, co dostawała ode mnie, inwestowała.

– W co?

– Byliśmy partnerami w niektórych moich inwestycjach w nieruchomości.

– Pozwalała panu zatrzymać to, co był jej pan winien i wkładała to w działki.

– Mary bardzo dobrze wyszła na tej spółce.

– Komu przypadnie jej część po jej śmierci?

Palce Koppela przesunęły się po krawędzi miski z popcornem.

– To zależy od jej testamentu.

– Nie znalazłem testamentu, nie zgłosili się też żadni wykonawcy.

– To mnie nie dziwi – powiedział Koppel. – Przez całe lata namawiałem ją, żeby zaplanowała swoją przyszłość. Mając swoją praktykę i nieruchomości mogła stworzyć sobie dobre zabezpieczenie. Można by pomyśleć, że mnie posłucha, skoro była taka zorganizowana. Ale nie słuchała. Moim zdaniem nie chciała myśleć o śmierci. Jej rodzice umarli dość młodo, czasami miała przeczucia.

– Że umrze młodo?

– Że umrze przed swoim czasem. – Na dolnych rzęsach Koppela zaperliły się łzy. Reszta jego zarośniętej twarzy pozostała niewzruszona.

– Miewała ostatnio takie przeczucia?

– Nie wiem – powiedział Koppel. – Mówię o czasach, kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem.

– Zakładając, że nie ma testamentu – powiedział Milo – co się stanie z jej nieruchomościami?

– Jeśli nie ma spadkobierców ani wierzycieli – odparł Koppel – wrócą do mnie. Sto procent w przypadku tych, na które mam hipotekę – posiadam niedużą firmę inwestycyjną, dzięki temu wszystko zostaje w rodzinie. W przypadku tych, które sfinansowały banki, będę mógł spłacić część Mary albo je sprzedać.

– Tak czy inaczej dostaje pan wszystko.

– Tak.

Milo założył nogę na nogę.

Koppel zaśmiał się niskim, grzmiącym śmiechem.

– Coś pana bawi?

– Pana sugestia – powiedział Koppel. – Pewnie jest w tym jakaś logika, panie poruczniku, ale niech pan sobie policzy; udziały Mary Lou są warte... jakieś półtora, może dwa miliony dolarów, zależnie od rynku. Przyznaję, to nie w kij dmuchał. Czekałaby ją ładna emerytura. Ale dla mnie ta suma nie jest aż tak wielka... Powiedział pan, że przyjrzał się moim udziałom?

– Dwa miliony to kropla w morzu – powiedział Milo.

– Trochę pan przesadził, ale to prawda. Kilka milionów w tę czy w tę nie robi mi różnicy.

– W dobrych czasach – powiedział Milo.

– Czasy są dobre – odparł Koppel. – Czasy zawsze są dobre.

– Nie ma pan żadnych problemów w interesach?

– W interesach zawsze są problemy. Chodzi o to, żeby postrzegać je jako wyzwania. –

Koppel wcisnął miskę z popcornem między kolana. – Jest mi o tyle łatwiej, że nie interesuje mnie gromadzenie dóbr materialnych. Zajmuję się nieruchomościami, bo w tym chyba jestem dobry. Ponieważ niewiele mi potrzeba, nie dźwigam brzemienia rzeczy, zawsze dysponuję wolną gotówką. To oznacza, że nie ma czegoś takiego, jak zły rynek. Ceny idą w dół, kupuję. Idą w górę, sprzedaję.

– Życie jest dobre – powiedział Milo.

– Chciałbym trochę schudnąć i zmartwiła mnie ta sprawa z Mary. Ale oceniając rzecz z dystansu, tak, mam za co być wdzięczny.

– Proszę mi opowiedzieć o domach przejściowych, które pan posiada.

Koppel zamrugał oczami.

– Rzeczywiście dokładnie mi się pan przyjrzał.

– Natknąłem się na byłego skazańca odkurzającego budynek doktor Koppel i to mnie zaniepokoiło.

– Och – powiedział Koppel. – Cóż, zatrudniam ich do prac przy sprzątanii i remontach. O ile przychodzą, dobrze się spisują.

– Są problemy z frekwencją?

– Nie większe niż z innymi.

– A kradzieże?

– Tak samo, ludzie są tylko ludźmi. W ciągu kilku lat straciłem trochę narzędzi, trochę mebli, ale to jest wliczone w koszty.

– Pana sekretarka mówiła, że zdarzają się włamania.

– Od czasu do czasu – powiedział Koppel. – Ale nie do domów przejściowych. Co można

stamtąd ukraść?

- Zatrudnia pan własnych lokatorów jako stróżów?
- Dostaję rekomendacje od kierowników domów przejściowych. Przysyłają mi ludzi, których uważają za odpowiedzialnych. – Koppel podniósł miskę.
- W jaki sposób wszedł pan w ten rodzaj układów?
- Siedzę w handlu nieruchomościami. Część moich inwestycji to domy przejściowe.
- Jak pan w to wszedł?
- Sam nigdy bym tego nie zrobił. Jestem liberałem, ale tylko do pewnych granic. To był pomysł Mary. Właściwie byłem temu raczej przeciwny, ale mnie namówiła.
- Skąd wzięła taki pomysł?
- Chyba zaproponował to doktor Larsen, jeden z jej partnerów. Rozmawialiście już z nim, panowie?

Milo kiwnął głową.

- To ekspert od reform więziennictwa – powiedział Koppel. – Wciągnął w to Mary, a ona się do tego zapaliła. Powiedziała, że chce zrobić coś więcej, niż gromadzić kapitał, chciała, żeby jej inwestycje przysłużyły się jakoś społeczeństwu.
- Domy przejściowe to nieruchomości, których była współwłaścicielką?
- Kupowaliśmy razem także zwykłe mieszkania pod wynajem.
- Bardzo idealistyczna postawa.
- Kiedy Mary w coś wierzyła, umiała się na tym bardzo skupić.
- Ale pan próbował ją od tego odwieść.

Koppel podniósł nogę, żeby założyć ją na drugą, zmienił zdanie i opuścił stopę ciężko na dywan.

- Podszedłem do sprawy jak biznesmen. Popatrzmy na plusy i minusy. Mary odrobiła pracę

domową, pokazała mi państwowe subsydia i musiałem przyznać, że wyglądało to nieźle. Mimo to obawiałem się szkód wyrządzanych przez najemców, mówiłem, przyjrzyj się, o kim ty mówisz. Powiedziałem jej też, że takie same albo większe dotacje można załatwić przy bezpieczniejszych inwestycjach. Domach spokojnej starości czy zabytkach, przy których, o ile nie naruszało się integralności budynku, można było zdobyć trzy oddzielne źródła dofinansowania.

Jego oczy obeschły, zaczął mówić szybciej. Był w swoim żywiole.

– Mary pana przekonała – powiedział Milo.

– Powiedziała, że lokatorzy będą bardziej pewni, a nie mniej, bo nie płacili czynszu, więc nie mieli powodu uciekać. Do tego władze stanowe zlecały nadzór kuratorom, opłacały gospodarzy domów i ochronę. Mary musiała trochę nade mną popracować, ale w końcu zgodziłem się spróbować. To najmądrzejsza rzecz jaką kiedykolwiek zrobiłem.

– Dobry interes?

– Finansowanie na mur-beton – długoterminowe dotacje stanowe, łatwo odnawialne, a same nieruchomości są tanie jak barszcz, bo zawsze leżą w najgorszych dzielnicach. Nie postawi się ośrodka pełnego kryminalistów w Bel Air, prawda? Nie ma więc protestów, nie ma problemów z lokalnym samorządem, a kiedy załatwi się już finansowanie tej części, której nie bierze na siebie państwo, czynsze są świetne. I proszę posłuchać, w przeliczeniu na metr kwadratowy dochód jest prawie taki, jak w Beverly Hills, bo to nie są wielopokojowe mieszkania, tylko pojedyncze pokoiki. A w przeciwieństwie do domów starości, gdzie najem kończy dopiero śmierć lokatora, więc nie ma żadnej pewności, tutaj wiadomo od razu, że lokatorzy są krótkoterminowi i że zawsze znajdą się następni.

– Bandziorów nigdy nie zabraknie.

– Na to wygląda – powiedział Koppel. – Okazuje się za to, że jest mniej napraw. Łazienki

wszystkie są wspólne, więc hydraulika idzie centralnie, w pokojach nie ma kuchni, wszyscy lokatorzy dostają jedynie kuchenki do gotowania. I mogą ich używać tylko w określonych godzinach. Jest przy tym trochę papierkowej roboty, ale to nic takiego, z czym wcześniej bym się nie spotkał. Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy, władze chcą, by ci się udało.

– Niech pan zdefiniuje „udało”.

– Mieszkańcy siedzą w zamknięciu i nie łążą po okolicy, gdzie mogliby kogoś zabić albo inaczej skrzywdzić.

– Gdzie mam podpisać? – zażartował Miło.

Koppel się uśmiechnął.

– Powinienem był wiedzieć, że Mary nie udziela złych rad. – Usiadł wygodniej w fotelu. – Teraz jej nie ma. Nie mogę w to uwierzyć... Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Wróćmy do domów przejściowych, proszę pana. Chociaż to najwyraźniej świetny interes, to czy nie miał pan nigdy problemów z przemocą wśród lokatorów?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale i tak bym się nie dowiedział.

– Dlaczego?

– Wszystko to załatwia się wewnątrz domu – powiedział Koppel. – Nie jestem strażnikiem. Jestem tylko właścicielem budynku, a zarządza nim państwo. Myśli pan, że to któraś z tych łajz zabiła Mary?

– Nie ma żadnych dowodów, które by o tym świadczyły – powiedział Miło. – Pytam na wszelki wypadek. – Otworzył notes. – Czym zajmuje się Planowana Dobroczynność?

– To moja fundacja – odparł Koppel. – Oddaję dziesięć procent rocznie. Z dochodu.

– Byliśmy kilka razy w tamtym budynku i nie widzieliśmy nikogo na parterze.

– To dlatego, że niewiele się tam dzieje. Dwa razy w miesiącu chodzę tam i wypisuję czeki.

To chwilę trwa, bo prośby przychodzą cały czas, są ich niemal stosy.

– Cały parter, żeby pan miał gdzie wypisywać czeki? To Beverly Hills, panie Koppel.

Dlaczego pan tego nie wynajął?

– W zeszłym roku miałem klienta na cały dół. Internetowe biuro maklerskie. Wie pan, co się stało z rynkiem. Z umowy nic nie wyszło. Planowałem podzielić te pomieszczenia, większą część wynająć, a Planowanej Dobroczynności zostawić niewielkie biuro. Ale Mary poprosiła mnie, żebym się wstrzymał, dopóki ona, Larsen i Gull nie zdecydują, czy sami tego nie wezmą.

– Co mieliby tam robić?

– Poszerzyć praktykę. Mówili o grupowych terapiach, potrzebowali większych pomieszczeń.

Ja zajmuję tylko mały gabinecik, reszta stoi pusta. Mary miała dać mi znać, jaką podjęli decyzję, za mniej więcej tydzień.

– Grupowa terapia – powiedziałem.

– Z biznesowego punktu widzenia uznałem to za mądrą decyzję. Leczyć jak największą liczbę pacjentów w jak najkrótszym czasie. Żartowałem z Mary, że długo trwało, zanim do tego doszła. – Koppel się uśmiechnął. – Powiedziała: „Sonny, ty zarabiasz pieniądze, ja leczę ludzi. Trzymajmy się tego, co umiemy”.

Skubnął bok ust, zjadł trochę popcornu.

Milo pokazał mu zdjęcie zabitej dziewczyny.

Koppel pogryzł szybko popcorn, z wysiłkiem przełknął.

– Kto to?

– Ktoś jeszcze, kto został zabity.

– Ktoś jeszcze? W związku z Mary?

– Nie wiemy, proszę pana.

– Twierdzi pan, że to, co się stało, było częścią czegoś większego... że to nie była tylko Mary?

Milo wzruszył ramionami.

– Co tu się naprawdę dzieje, panie poruczniku?

– Nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Czy nazwisko Flora Newsome coś panu mówi?

Koppel pokręcił głową. Zerknął na zdjęcie.

– To ona?

– A Gavin Quick?

– Znam jednego Quicka – powiedział Koppel – ale nie Gavina.

– Kogo pan zna?

– Jerry’ego Quicka, Jerome’a Quicka. To jeden z moich najemców. Kim jest Gavin? Jego synem? To ten, który miał wypadek?

– Wie pan o wypadku.

– Jerry mi o tym opowiadał, mówił, że jego syn miał jakieś problemy natury emocjonalnej.

Poleciałem mu Mary.

– Jak długo pan Quick jest pana najemcą?

– Cztery miesiące. – Koppel zmarszczył brew.

– Nie ma z nim problemów? – spytał Milo.

– Płaci czynsz, ale nie zawsze na czas. Poczuję się trochę... wykorzystany. Zwłaszcza po tym, jak wysłuchałem o jego kłopotach i załatwiłem mu polecenie do Mary. Musiałem złożyć Jerry’emu kilka wizyt. – Uśmiechnął się. – To nie jest tak, jak brzmi, nie przyproważyłem oprychów z baseballami, tylko rozmawialiśmy, i w końcu płacił.

– Dlaczego miałbym pomyśleć o oprychach z baseballami, proszę pana? Koppel się zarumienił.

– Nie miał. A więc co się stało z Gavinem?

– Nie żyje.

– Też zamordowany?

– Tak, proszę pana.

– Mój Boże... Ma to jakiś związek z Mary?

– W tej chwili wiemy tylko, że Gavin był jej pacjentem i że oboje nie żyją.

– Mój Boże – powtórzył Koppel. – Bardzo wielu rzeczy nie może mi pan powiedzieć.

– Czy chciałby pan dorzucić coś od siebie?

Koppel się zastanowił.

– Tak, Mary i ja... rzadko rozmawialiśmy, chyba że mieliśmy do omówienia sprawy biznesowe. Nawet wtedy rozmowa była krótka. Zasady naszej spółki ustaliłem tak, że Mary nie musiała cały czas trzymać ręki na pulsie. Miała swoją praktykę, mogła skupić się na tym. Bo nieruchomości potrafią być wymagające. Żeby pracowały, trzeba o nie dbać jak o dzieci. Cały czas gdzieś jeżdżę.

– Tyle samochodów – powiedział Milo.

– Wiem, wiem, to pewnie wygląda ekscentrycznie, ale muszę mieć pewne środki transportu...

Syn Jerry'ego? Był młody, prawda? Młody chłopak.

– Miał dwadzieścia lat.

Twarz Koppela przybrała niezdrowy kolor spaghetti, pozostawionego zbyt długo w lodówce.

– Nie może mi pan powiedzieć zupełnie nic?

– Prawda jest taka, że sami niewiele wiemy.

– Syn Quicka... Ta dziewczyna, którą mi pan pokazał, Flora, też była pacjentką Mary?

– Dziewczyna, którą panu pokazałem, nie została jeszcze zidentyfikowana, więc nie wiem, czy była pacjentką doktor Koppel. Jej akta są poufne, nie możemy do nich zajrzeć.

– A te wszystkie pytania – powiedział Koppel – o domy przejściowe. Chce pan powiedzieć, że podejrzewa pan jednego z moich... jednego z lokatorów o to, że miał coś wspólnego z czymś

naprawdę straszny? Jeśli tak, proszę mi powiedzieć. Muszę wiedzieć.

– Myśli pan, że to możliwe?

– Skąd miałbym wiedzieć?! – ryknął Koppel. Jedna z jego rąk poruszyła się spazmatycznie, trafiła w miskę z popcornem, cisnęła nią o ścianę.

Żółty deszcz. Kiedy opadł, Koppel był pokryty ziarnami prażonej kukurydzy, łupinami i pyłem.

Gapił się na nas, ciężko dysząc. Milo poszedł do kuchni i urwał kawałek papierowego ręcznika z drewnianej szpuli. Wrócił i zaczął otrzepywać Koppela. Koppel wyrwał mu papier i sam zaczął się omiatać. Kiedy w końcu przestał, bluzę i spodnie miał oblepione żółtą kaszą. Siedział, gapił się, wciąż dyszał.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Jeromie Quicku? – spytał Milo. Koppel nie odpowiedział.

– Proszę pana?

– Przepraszam, że się zdenerwowałem. Ale pan mnie przeraża. Najpierw Mary, potem syn Jerry’ego Quicka. I ta dziewczyna.

Milo powtórzył pytanie.

– Nie płacił czynszu na czas, to wszystko. Tłumaczył się niepewną naturą swojej branży.

Handluje metalami, skupuje i sprzedaje złom. Raz na jakiś czas trafia na falę popytu, która go przez chwilę unosi, potem traci pieniądze. Dla mnie to brzmiało bardziej jak hazard niż interesy.

Gdybym o tym wiedział, nigdy bym mu nic nie wynajął.

– Nie powiedział panu?

– Trafił do mnie przez agencję. Do tej pory zawsze przysyłali sprawdzonych ludzi –

powiedział Koppel. – Czynsz nie jest zaporowy. Wszystkie moje czynsze są rozsądne, chcę mieć niskie obroty.

Spojrzał na siebie i zaczął wybierać popcorn z pizamy. Pierwszych kilka ziaren wrzucił do miski. Resztę zjadł.

– Jego syn. Biedny Jerry. Pewnie będę musiał dać mu taryfę ulgową.

Nagle wstał z niespodziewaną zręcznością, otrzepał się, z powrotem usiadł.

– Jakie problemy emocjonalne opisał Jerry Quick?

– Nie wchodził w szczegóły. Z początku nie wiedziałem nawet, czy mu wierzyć. Poruszył ten temat podczas jednej z rozmów o czynszu. Drugi miesiąc, a on już miał dwadzieścia dni spóźnienia. Wpadłem, żeby o tym porozmawiać, a on uraczył mnie łzawą historyjką o tym, jak został oszukany, stracił kupę pieniędzy, a teraz, jakby tego było mało, jego dzieciak miał problemy z głową.

– Których nie opisał dokładnie.

– Nie pytałem. Doszedłem do wniosku, że próbuje tylko wzbudzić we mnie litość. Do rekomendacji doszło tak, że postanowiłem go sprawdzić. „Skoro tak, to może załatwi mu pan pomoc?”, powiedziałem. A on na to: „Tak, tak powinienem zrobić”. A ja: „Moja była żona jest psychologiem, ma gabinet niedaleko pana. Chce pan jej numer?” Powiedział, że jasne, chce, a ja mu go dałem. Jak już mówiłem, myślałem, że to wykręt. A okazuje się, że on to naprawdę zrobił. Milo kiwnął głową.

– Jak płacił czynsz od tamtej pory?

– Chronicznie się spóźniał.

– Doktor Koppel nigdy nie wspomniała panu o tym poleceniu?

– Nigdy by tego nie zrobiła – powiedział Koppel. – Bardzo poważnie traktowała poufność.

W ciągu naszego małżeństwa nie mówiła nigdy o pacjentach. To kolejna rzecz, jaką w niej podziwiałem. Etyka.

– Panie Koppel – powiedział Milo – gdzie pan był w noc, kiedy pana była żona została

zamordowana.

– Pan żartuje.

– Nie, proszę pana.

– Gdzie byłem? Tutaj.

– Sam?

– Nie musi mi pan o tym przypominać. Tamtej nocy... pomyślmy, chyba wpadłem wtedy na panią Cohen, nauczycielkę plastyki z mieszkania od frontu. Oboje wynosiliśmy śmieci. Zapyta ją pan? Jeśli tak, czy mógłby pan nie mówić, że jestem tu właścicielem?

– To tajemnica? – spytał Milo.

– Nie lubię się wychylać. W ten sposób mogę wrócić do domu i odpocząć, bez wezwań do ciekącej rynny.

– Własny dom też by to panu dał.

– Tak, wiem, jestem ekscentrykiem – powiedział Koppel. – Problem z domem polega na tym, że wymaga dużo troski, a ja mam tego dość w pracy. Poza tym niepotrzebna mi taka przestrzeń.

– Nie ma pan dużo rzeczy.

– Dlaczego ich gromadzenie uważa się za wyznacznik normalności?

– A więc całą noc był pan tutaj?

– Jak zawsze. Chyba że wyjeżdżam.

– Jak często nie ma pana w domu?

– Dzień, dwa dni w tygodniu.

– Gdzie pan wtedy nocuje?

– W motelach. Lubię Best Western. Ale tamtej nocy byłem w domu.

Milo wstał.

– Dziękujemy panu.

– Nie ma za co – powiedział Koppel, wyciskając popcorn z ubrania.

Rozdział 29

Wrażliwy magnat – powiedział Milo, kiedy znaleźliśmy się z powrotem na chodniku. –

Kupujesz to?

– Myślę, że gdyby chodziło o pieniądze, należałoby na niego uważać. Nie porozmawiasz z panią Cohen, nauczycielką plastyki?

– Żeby zweryfikować jego alibi? Widziała go tylko przy wynoszeniu śmieci. Pięć minut z całego wieczoru, wielkie rzeczy.

– Uważasz go za podejrzanego?

– Jest właścicielem kilku domów pełnych skazańców, co miesiąc bulił dwadzieścia pięć kawałków Koppel. Teraz, kiedy ona nie żyje, nie dość, że kończą się te płatności, to jeszcze wszystkie jej nieruchomości przechodzą na niego. To cholernie dobry motyw. Poza tym opowiada, jaki to z niego skuteczny biznesmen, ale trzyma puste całe piętro w Beverly Hills.

Chciałbym tam pojechać i dowiedzieć się, o co naprawdę chodzi z tą Planowaną Dobroczynnością.

– Grupowa terapia – powiedziałem. – Jeśli Sonny był naprawdę tak zadurzony w Mary, jak to opisał, wyobrażam sobie, że mógł trzymać dla niej puste pomieszczenia.

– Co, nie widzisz w nim potencjalnego złoczyńcy?

– Po twoim opisie zdecydowanie trzeba go mieć na radarze. Ale jaki miałby motyw, żeby zabijać Gavina i blondynkę?

Milo nie odpowiedział. Szliśmy w stronę mojego samochodu.

– Jak idzie obserwacja Gulla? – spytałem.

– Chodzi do pracy, wraca do domu. Na pewno prawnik kazał mu na siebie uważać.

– Kłamstwo o tym, kto polecił Gavinowi psychiatrę, mogło wynikać z tego, że Jerry Quick chciał ukryć fakt, iż dostał telefon Mary Lou od Sonny’ego. Bo gdybyśmy przesłuchali Sonny’ego, wiedzielibyśmy, że spóźnia się z opłatami. Skierowanie przez lekarza brzmi o wiele poważniej.

– Pewnie tak – powiedział Milo. – Ale jego dzieciak został zabity, można by się spodziewać, że będzie z nami bardziej szczery.

– Jeszcze jedno – zauważyłem. – Sonny skierował Gavina wprost do Mary Lou, ale ostatecznie sprawą zajął się Gull. Potem jednak oddał ją Mary. Sonny może być w to jakoś zamieszany, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że śmierć Gavina miała związek z jego terapią. Tak samo Flora Newsome. To dwoje pacjentów i ich terapeutka, i wszyscy nie żyją.

– Wszyscy przyszpileni – powiedział Milo. – Przez kogoś, kogo znali. Albo kto znał ich. Ale to może nie mieć nic wspólnego z terapią. Jakiś bandzior wysłany przez Sonny’ego, żeby posprzątać w budynku zauważył ich i postanowił się zabawić. Jakiś prawdziwy psychopata, który oszukał system i udawał spokojnego warunkowego. Poproszę Sonny’ego o listę sprzątaczy, zobaczymy, kogo tam znajdziemy. Na razie jedźmy znów do Quicków. Może Jerry i Sheila wrócili i będę mógł się zabrać do bałaganu Gavina.

Pojechałem Gregory Drive aż do Camden. Zatrzymaliśmy się przed domem Quicków.

– To samo, co ostatnio – powiedział Milo. – Jej samochód jest, jego nie ma. Nie wysiadaj, to pewnie nie potrwa długo.

Wyskoczył z seville’a, potruchtał do frontowych drzwi, zadzwonił. Zatupał. Znów zadzwonił. Pokręcił głową i miał już wracać, kiedy drzwi otworzyły się do połowy.

Mignęła mi w nich ściągnięta twarz Sheili Quick.

Milo o coś ją spytał. Odwrócił się do mnie. „Chodź”, powiedział bezgłośnie.

– Byliśmy u mojej siostry w Westlake Village – powiedziała Sheila Quick.

Głowę miała owiniętą niebieskim ręcznikiem, była ubrana w pikowany, beżowy szlafrok w motyle i powojniki. Na szlafroku widać było plamy. Twarz miała ściągniętą i bladą jak kreda, oczy odarte ze złudzeń.

– Pani i pani mąż? – spytał Milo.

– Jerry chciał wyjechać na kilka dni.

Mówiła wolno, niewyraźnie, z trudem formowała słowa. Zgadywałem, że brała środki uspokajające, potem poczułem zapach jej oddechu. Dużo miętowej gumy do żucia, ale nie dość, by ukryć alkohol.

Staliśmy we trójkę w jadalni. Robiła wrażenie ciężkiej, dusznej. Światło padające na meble ukazywało warstwę kurzu.

– Pani mąż chciał uciec – powiedział Milo.

– Od stresu. – Sheila Quick z niesmakiem ściągnęła usta.

– Pani nie chciała jechać? – spytałem.

– Eileen – powiedziała. – Uważa, że jej dom jest najlepszy... ten jej kort do tenisa platformowego. Dla niej byłoby dziwne, gdybym nie chciała jechać.

Spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia. Przytaknąłem jej.

– Jerry – powiedziała. – Czego chce, to dostaje. Wie pan, co ja myślę?

– Co?

– Myślę, że Jerry chciał mnie tam upchnąć, więc zrobił to. I pojechał sobie w świat.

– Nie został u Eileen.

– Miałam być zadowolona, bo Eileen ma basen i ten kort tenisowy. To nawet nie jest normalny kort, jest o połowę mniejszy. – Złapała mnie za rękaw. – Mieliśmy zbudować basen, Gavin lubił pływać.

Załamano rękę.

– Nie znoszę chloru. Wszystko mnie od niego swędzi. Dlaczego miałam być zadowolona, tylko dlatego że tam jest basen? Chciałam, żeby Jerry przywiózł mnie z powrotem. W końcu zadzwonił, a ja kazałam mu się przywieźć. – Ospały uśmiech. – No i jestem.

– Gdzie jest Jerry? – spytałem.

– Pracuje. Gdzieś.

– Wyjechał z miasta?

Przytaknęła.

– Jak zwyl... zwyk... To zabawne.

– Co takiego?

– Jerry nienawidzi Eileen. Ale chciał mnie u niej zostawić, żeby sam mógł Bóg wie co... To niesprawiedliwe.

Pstryknęła palcami, zaśpiewała:

– Eileen ma swój dom, ja mam swój dom.

– Lubi pani prywatność – powiedziałem.

– Nie podoba mi się jej basen. Swędzi. Nie gram w tenisa. Ona i jej mąż szli do pracy, a ja zostawałam z... z ciszą. Co ja tam miałam robić przez cały dzień? Ale Jerry... Eileen prosiła mnie w zeszłym tygodniu, żebym przyjechała, a Jerry kazał jej w ogóle o tym zapomnieć. A potem zmienił zdanie. O co tu chodzi? Powiem panom, o co tu chodzi.

Ale nie powiedziała.

– Gdzie obecnie podróżuje pan Quick? – spytał Milo.

– Kto wie? Kto wie, gdzie on jeździ? On jest jak ptak. – Sheila Quick zamachała rękami. –

Pa, pa, ptaszku, uciekł z klatki. Ja zostałam. Nigdy się stąd nie ruszam, to mój dom. Jerry nie dzwoni. Nie chce ze mną rozmawiać.

Ścisnęła moje ramię.

– To... niekonsekwentne. Jednego dnia to nadęta dziwka, która myśli, że jej gównu to perfuma. Koniec cytatu. A potem przywozi mnie do niej, wraca, żeby posprzątać w pokoju Gavina, i znika. Robi swoje. Swoje coś tam.

– Posprzątał pokój Gavina – powiedział Milo.

– Pewnie, że posprzątał! Wie pan, co ja myślę? Ja myślę, że to o to chodziło.

– O co?

– Wiedział, że bym się wściekła, gdyby posprzątał pokój Gavina, więc mnie wykiwał.

– Posprzątał, kiedy pani była u Eileen.

– Tam był burdel – powiedziała Sheila Quick. – Co do tego jesteśmy zgodni, bez dwóch zdań

burdel. Wielki. Wstrętny. Burdel. Gavin kiedyś był porządniejszy, potem miał wypadek. –

Puściła mój rękaw, zachwiała się, oparła o krzesło, żeby nie stracić równowagi. – Opowiadałam wam o tym?

– Jak pani myśli – spytałem – dlaczego Jerry posprzątał w pokoju Gavina?

– Spytajcie go. – Uśmiech. – Tyle że nie możecie. Bo go tu nie ma. Nigdy go tu nie ma. A ja zawsze tu jestem.

Ściągnęła na jej szyi się napięły.

– Nie chciałam, żeby sprzątał w pokoju Gavina. Wściekłabym się, kochałam ten burdel. To był burdel Gavina, po co ten pośpiech?

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła łkać. Zaprowadziłem ją na kanapę.

Milo poszedł na górę.

Zszedł z powrotem dziesięć minut później. Ja tymczasem poszedłem do kuchni, znalazłem pół dzbanka letniej kawy, podgrzałem ją w mikrofalówce i przyniosłem Sheili Quick, dodając bezmlecznej śmietanki i jedną tabletkę słodzika. Zlew był pełen brudnych naczyń. Błaty się lepily. Obok ekspresu stały prawie pusta butelka dżinu i dezodorant do ust.

Przytrzymałem kubek, kiedy piła. Usta wciąż jej drżały, kawa polalała jej się na podbródek.

Wytarłem ją.

Sheila Quick zerknęła na mnie.

– Jest pan bardzo miły. I przystojny.

Milo wszedł do salonu.

– Proszę pani, pamiętam, że w pokoju Gavina stał komputer.

– Tak, był tam.

– Gdzie on jest?

– Jerry go zabrał. Powiedział, że przekaże go w darze szkole Beverly Vista.

– A papiery Gavina?

– Zapakował wszystko do pudeł i wyniósł na śmieci.

– Kiedy przyjeżdżają śmieciarze?

– Jutro.

Milo wyszedł.

– Ależ mu się spieszy – powiedziała Sheila Quick.

– Jerry’emu bardzo zależało na posprzątaniu pokoju Gavina.

– Pracowita pszczołka. Pracowita, pracowita pszczołeczka.

Kiwnąłem głową.

– Powiedział, że musimy stawić czoło rzeczywistości – powiedziała Sheila Quick. – To na pewno przeze mnie. Za dużo płakałam, działałam mu na nerwy. Nic dla niego nie robię.

Pomyślałem, że ma na myśli wygasłą namiętność, ale jeszcze nie skończyła.

– Nie chcę nic dla niego robić. Wraca do domu z pracy, chce obiad, może otworzę mu puszkę. Mówi „Wyjdźmy gdzieś”. Ja mówię „nie”. Po co miałabym chcieć gdzieś wychodzić? Po co mi to?

– Poza domem nie ma nic ciekawego – powiedziałem.

– Właśnie. Pan rozumie. – A potem rzuciła w przestrzeń: – On rozumie.

Wrócił Milo, miał ponurą minę.

Sheila Quick poklepała mnie po ramieniu.

– On rozumie.

– To bardzo wyrozumiały facet – powiedział Milo.

– Jerry posprzątał, żebym stawiała czoło rzeczywistości – powiedziała Sheila Quick. – Mój pieprzony mąż nie rozumie. Nie powinien był tego robić bez pytania! Tam były rzeczy, które chciałam zatrzymać.

Rozchmurzyła się.

– Wszystko tam jest, w zaułku? W kontenerze?

– Przykro mi, proszę pani – powiedział Milo. – Kontener jest pusty.

– Bydlak – powiedziała. – Powinien za to... Tak nie wolno. Kogo obchodzi, gdzie on jest?

Kogo to, do cholery, obchodzi?

– Dzwonił?

– Wczoraj wieczorem zostawił wiadomość. Spałam. Dużo śpię. Skasowałam ją. Co niby mógł mi powiedzieć? Że za mną tęskni? Wiem, że ma tam jakąś kurwę. Kiedy podróżuje, zawsze ma jakieś kurwy. Wiecie, skąd wiem?

– Skąd, proszę pani?

– Prezerwatywy – powiedziała. – Znalazłam prezerwatywy w jego bagażu. Kazał mi go rozpakować, zostawił je tam, chce, żebym wiedziała. – Chory uśmiech. – Nie przeszkadza mi to, jestem... zadowolona.

– Z tego, że korzysta z usług prostytutek?

– Pewnie – powiedziała. – Lepiej one niż ja.

Wmusiliśmy w nią jeszcze trochę kawy, ale dalej mówiła niewyraźnie. Zastanawiałem się, ile czasu zajęło jej opróżnienie tej butelki dzinu. Ziewnęła.

– Muszę się zdrzemnąć.

– Oczywiście, proszę pani – powiedział Milo. – Jeszcze tylko parę pytań, proszę.

– Proszę? – Rozwinęła turban z ręcznika i rzuciła go na podłogę. – Dobrze, skoro pan prosi.

– Kto skierował państwa do doktor Koppel?

– Doktor Silver.

– Pani położnik?

Zamknęła oczy; jej głowa poleciała do przodu i znieruchomiała.

– Jestem zmęczona.

– Doktor Barry Silver? – spytał Milo. – Pani ginekolog?

– Aha.

– Czy doktor Silver dał państwu skierowanie osobiście?

– Dał je Jeny’emu, on do niego zadzwonił. Powiedział, że to bystry... Proszę, czy mogę iść spać?

– Jeszcze jedno, proszę pani. Pokój Gavina jest wysprzątany, ale zauważyłem, że jego ubrania wciąż wiszą w szafie.

– Jeny pewnie zamierzał je zabrać i oddać. Tam są bardzo ładne koszule Ralphi Laurenta, które kupiłam Gavowi na gwiazdkę. Gav lubił chodzić ze mną na zakupy, bo Jerry jest taki skąpy. Chodziliśmy po wszystkich sklepach. Gap, Banana Republic, Saks... Barneys. Czasami jeździliśmy na Rodeo Drive, kiedy mieli posezonowe wyprzedaże. Kupiłam tam Gavowi sportową marynarkę Valentino, lepszą niż wszystkie, które ma Jerry. Jerry pewnie oddałby ubrania Gava, ale nie miał czasu.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Jerry może się iść pierdolić, jeżeli myśli, że oddam mu ubrania Gava.

Pomogliśmy jej wejść na górę, do głównej sypialni, zaciemnionej zasłonami. Na stoliku przy łóżku leżały pogniecione chusteczki, opaska na oczy i dwie małe butelki whisky, takie, jakie podają na pokładach samolotów. Burbon i szkocka. W wysokiej, kryształowej szklance zostało trochę wody.

Milo przykrył Sheilę, a ona uśmiechnęła się do niego i oblizała spękane wargi.

– Dobranoc, pchły na noc.

– Jeszcze jedno pytanie, proszę pani. Kto jest księgowym pani męża?

– Gene Marr. Przez H.

– Maher? – spytał Milo.

Zaczęła odpowiadać, poddała się, zamknęła oczy. Kiedy wychodziliśmy z pokoju, już chrapała.

Zanim wyszliśmy z domu, Milo zaprowadził mnie do pokoju Gavina. Te same bladoniebieskie ściany, gołe. Podwójne łóżko, przykryte granatową kołdrą. Na regale kilka książek w miękkich okładkach i pism, dwa modele samolotów. Brudna, wytarta wykładzina. W szafie wisiały marynarki, spodnie, koszule i kurtki.

– Niezła garderoba – powiedziałem. – Jeny nie wyniósł papierów na śmieci. Dopilnował, żeby nikt się im nie przyjrzał.

Milo kiwnął głową i wskazał schody.

– Bydlak wie, dlaczego jego syn zginął – powiedział, kiedy odjeżdżaliśmy – i próbuje to ukryć.

Znalazł służbowy numer Quicka w swoich notatkach, zadzwonił, zaczekał, zatrzasnął telefon.

– Nie ma nawet poczty głosowej.

- Podróżuje i daje swojej sekretarce Angie o niebieskich paznokciach wolne.
- Angie notowanej za drobne, ale bardzo konkretne wykroczenie. Quick zaczyna mi śmiedzieć czymś więcej niż pogrążonym w żałobie tatą.
- Jego gospodarz zatrudnia niespokojne dusze i on też – powiedziałem. – Może współczucie jest zaraźliwe. Albo Sonny podesłał mu też Angelę Paul.
- Sonny kombinator? Załatwi skierowanie, zainwestuje pieniądze...
- Może Quick był mu winien coś więcej niż zaległy czynsz.
- Jego własny dzieciak, a on ani słowa.
- Może nie tylko wie dlaczego Gavin zginął – powiedziałem. – A jeśli sam był w to zamieszany?
- To by dopiero było.
- Co znalazłeś w kieszeniach Gavina?
- A kto powiedział, że coś znalazłem?
- Wypytywałeś o jego ubrania. Nie potrzebowałeś dziesięciu minut, żeby przerzucić kilka książek i kieszeni.

Milo wystukał swoją wielką dłoń wolny rytm trzy czwarte na desce rozdzielczej.

- Drań zabrał komputer. Myślisz, że warto w ogóle dzwonić do szkoły Beverly Vista i pytać, czy go im dał?

Nie czekając na odpowiedź, zadzwonił, rozłączył się ze wściekłym uśmiechem.

- Pierwsze słyszeli. Chcesz wiedzieć, co myślę? Gavin dowiedział się o jakichś ciemnych interesach, prowadzonych w tym budynku, o czymś związanym z Koppel, Planowaną Dobroczywnością i tatusiem. Uważał się za reportera i wymyślił sobie, że wywęszył jakiś skandal. Miał uraz mózgu, ale prowadził zapiski. A jego stary je zniszczył. Moja wina, powinienem od razu przeszukać ten pokój.

– Co znalazłeś w szafie? – spytałem.

Milo otworzył swój notes na środku i pokazał mi foliową torebkę, wciśniętą między kartki.

W torebce była pognieciona kartka papieru, bardzo podobna do kartek z notatnika Mila. Na niej wypisane niebieskim tuszem cyfry. Ściśnięte, porozmazywane. Nierówna kolumna siedmiocyfrowych kombinacji liter i cyfr.

– Numery rejestracyjne?

– Na to wygląda – powiedział Milo. – Ten mały idiota ich obserwował.

Rozdział 30

Podrzuc mnie na posterunek – powiedział. – Sprawdzą te numery, potem pojedę do archiwum, zobaczę, czy Jerry’ego Quicka i Sonny’ego łączy coś poza wynajmem. Jeśli szybko się uwinę, zdążę do śródmieścia.

– Chcesz, żebym od razu cię tam zawiózł?

– Nie, to będzie żmudna robota, zrobię to sam. Poza tym chcę porozmawiać z księgowym Quicka. Na szczęście księgowych nie obowiązuje zasada poufności. Odezwali się ci z „Timesa” od zdjęcia?

– Jeszcze nie.

– Jeśli ten twój kumpel Biondi nic nie wskóra, pogadam z moim nałogowo niezainteresowanym kapitanem. Nie cierpi mnie, więc może jeśli obiecuję, że nie pojawię się u niego przez następny rok, ominie jakoś tych palantów z działu kontaktów z mediami i coś załatwi. Tyle w tej sprawie niejasności, że nie potrzeba mi jeszcze do tego ofiary, której nie mogę zidentyfikować.

– Jeszcze raz zadzwonię do Neda.

– Dobrze – powiedział. – Dzięki. Daj mi znać, co i jak.

Zadzwoniłem na Coronado Island.

– Nikt do pana nie dzwonił? – powiedział Ned Biondi. – Jezu, przepraszam, doktorze.

Myślałem, że wszystko załatwione. Dobrze, zorientuję się, co jest grane, jak najszybciej do pana oddzwonię.

Godzinę później zadzwonił telefon.

– Pan Delaware? – Afektowany, teatralny baryton. Każda sylaba dokładnie wypieszczona.

– Przy telefonie.

– Mówi Jack Mc Tell. Z „Los Angeles Timesa”. Ma pan zdjęcie, które chciałby pan u nas wydrukować.

– Zdjęcie ofiary zabójstwa – powiedziałem. – Pewien policyjny detektyw chciałby, żebyście je państwo wydrukowali, ale jego zwierzchnicy uważają, że jest dla państwa zbyt mało sensacyjne.

– Cóż. Z całą pewnością nie mogę panu niczego obiecać.

– Mam je przywieźć.

– Jeśli pan sobie życzy.

Siedziba „Timesa” znajdowała się przy Pierwszej ulicy, w wielkim, szarym, kamiennym budynku, tkwiącym niczym kołek w sercu śródmieścia. Ugrzązłem w autostradowym śluzie, poczaiłem się trochę na miejsce do zaparkowania, w końcu znalazłem je na koszmarnie drogim parkingu pięć przecznic dalej.

Wielki, pełen ech hol „Timesa” patrolowało trzech strażników. Przepuścili kilka osób, ale mnie zatrzymali. Dwóch mundurowych urządziło szopkę, mierząc mnie groźnymi spojrzeniami, podczas gdy trzeci zadzwonił do gabinetu Jacka McTella, warknął moje nazwisko do telefonu, odłożył słuchawkę i kazał mi czekać. Dziesięć minut później z windy wyszła młoda, ostrzyżona najeża kobieta w czarnym swetrze, džinsach i turystycznych butach. Rozejrzała się, zobaczyła mnie i ruszyła w moją stronę.

– To pan jest tym człowiekiem ze zdjęciem? – Plakietka „Timesa” głosiła, że jej właścicielka nazywa się Jennifer Duff. W lewej brwi miała mały, okrągły kolczyk.

– To dla pana McTella.

Wyciągnęła rękę, ja podałem jej kopertę. Wzięła ją delikatnie palcem wskazującym i kciukiem, jakby była brudna, odwróciła się na pięcie i poszła.

Następne dwadzieścia minut spędziłem na parkingu, czekając, aż parkingowy przestawi sześć innych wozów i uwolni seville’a. Zostawiłem w tym czasie Milowi wiadomość, że „Times” wziął zdjęcie i teraz wszystko zależy od dobrej woli redaktora. O tej porze też powinien być w centrum, przeglądając mikrofilmy w archiwum, zaledwie kilka przecznic dalej.

Na wjeździe na sto pierwszą stał sznurek samochodów, więc pojechałem Olympic Boulevard na zachód. Nie chodziło mi tylko o to, żeby uniknąć korka. Jadąc tą trasą, dojechałem do biurowca Mary Lou Koppel.

Na Palm Drive byłem o trzeciej trzydzieści, skręciłem w lewo, potem wjechałem w zaułek za budynkiem. Na parkingu stały mercedesy Gulla i Larsena, obok kilku innych nowych modeli luksusowych samochodów. Przy miejscu dla niepełnosprawnych stała miedzianoczerwona furgonetka. Na obu bokach miała wyklejony duży, biały napis:

TANIE CZYSZCZENIE DYWANÓW I WYKŁADZIN

Adres przy Pico, niedaleko La Brea. Numer 323.

Tylne, szklane drzwi były otwarte i zablokowane drewnianym trójkątem. Zaparkowałem i wysiadłem z samochodu.

W korytarzu czuć było nadpleśniałym praniem. Poliestrowa wykładzina była mokra i mlaskała pod nogami. Na drugim końcu korytarza jakiś mężczyzna pchał przemysłową maszynę do czyszczenia dywanów, zataczając nią leniwe koła.

Dwoje drzwi do pomieszczeń Planowanej Dobroczynności było otwarte i podparte w ten sam

sposób. Ze środka dobiegał mechaniczny warkot. Zajrzałem.

Następny mężczyzna, niski, krępy Latynos, w pogniecionym szarym roboczym ubraniu, prowadził identyczną maszynę po cienkim, niebieskim filcu pokrywającym podłogę. Stał plecami do mnie, a hałas urządzenia zagłuszył moje kroki.

Po prawej był mały gabinet. Obrotowe krzesło leżało do góry nogami na podrapanym, stalowym biurku. Z boku, w kącie stał stolik na kółkach, na nim IBM Selectric. Na biurku obok krzesła spoczywało pięć spiętych gumkami plików poczty.

Sprawdziłem adresy zwrotne. United Way, Walka z Analfabetyzmem, Fundacja Dziękczynienia, Bal Strażaka. Przejrzałem pobieżnie każdy z plików.

Wszyscy chcieli uszczknąć nieco pieniędzy Sonny'ego Koppela.

Resztę powierzchni stanowiło jedno olbrzymie pomieszczenie z wysokimi oknami, za tanimi, nylonowymi zasłonami. Nie licząc kilkudziesięciu składanych krzeseł pod ścianą, pusto. Latynos wyłączył maszynę, wyprostował się wolno, jakby coś go bolało, przeczesał ręką włosy, sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalił. Cały czas stał plecami do mnie.

Palił ostrożnie, strząsając popiół na zwiniętą dłoń.

– Witam – powiedziałem.

Odwrócił się. Zaskoczony, ale nieprzestraszony. Spojrzał na papierosa. Zamrugał. Wzruszył ramionami.

– *No permisal*

– Nie przeszkadza mi – powiedziałem.

Zrezygnowany uśmiech. Łagodne oczy, żadnych niechlujnych tatuaży.

– *Usted no es el patron*, pan nie jest szefem?

– Nie – powiedziałem. – Nie dzisiaj.

– *Hokay*. – Zaśmiał się, zaciągnął papierosem. – Może jutro.

– Zastanawiam się nad wynajęciem tych pomieszczeń.

Puste spojrzenie.

Wskazałem mokrą wykładzinę.

– Dobra robota, *muy limpia*.

– *Gracias*.

Wyszedłem, zastanawiając się, co sprawił.

Sonny Koppel mówił prawdę na temat Planowanej Dobroczynności, ale co to oznaczało?

Może zdradzanie fragmentarycznych prawd było strategią obroną.

Tyle metrów kwadratowych leżało odłogiem na wypadek, gdyby Mary Lou ich potrzebowała.

Jeśli Milo miał rację co do tego, że Gavin się tu kręcił, szpiegował, spisywał numery rejestracyjne, to co ten chłopak zobaczył?

Puste pomieszczenie. Dwa tuziny składanych krzeseł.

Czego więcej potrzeba do grupowej terapii?

Czy sesje już się zaczęły?

Co tu się działo?

Pojechałem przecnicę dalej, zatrzymałem się przy krawężniku i znów zacząłem zastanawiać się nad Gavinem.

Miał uraz mózgu, a jednak zachował swoje sekrety.

A może nie. Może zwierzył się ojcu i dlatego właśnie Jerry Quick posprzątał jego pokój.

Teraz Quick był w podróży, zostawiwszy żonę u jej siostry. Interesy czy uciekał, bo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi?

Eileen Paxton powiedziała, że Quick zatrudniał dziwki jako sekretarki. Sekretarka, którą poznałem, miała na koncie aresztowanie za narkotyki i zbyt długie paznokcie, żeby pisać na

maszynie.

Dom w Beverly Hills, ale drugie, tajemnicze życie?

Gavin został zamordowany razem z blondynką, która nie interesowała nikogo na tyle, żeby zgłosił jej zaginięcie. Cały czas zastanawiałem się, czy to prostytutka. Jerry i Gavin byli seksualnie agresywni.

Czy blondynka była prezentem od ojca dla syna? Kolejnym skierowaniem załatwionym przez Sonny'ego Koppela?

Angie Paul twierdziła, że jej nie zna. Milo zauważył, że zamrugła. Ja tłumaczyłem to reakcją na śmierć.

Blondynka.

W typie Gavina. Trzy kilometry na północ, w zamożnym domu mieszkała blondynka, która znała go przed wypadkiem. Dziewczyna, z którą wciąż jeszcze nie rozmawialiśmy.

Ostatnim razem, kiedy śledziłem Kaylę Bartell, jechała w środku dnia do fryzjera. To oznaczało, że nie pracowała na etacie od dziewiątej do piątej.

Bogata dziewczyna z dużą ilością wolnego czasu? Może zgodziłaby się poświęcić mi go trochę.

Posiadłość Bartellów była wymarła niczym kostnica za białym, żelaznym ogrodzeniem. Na podjeździe stał biały Bentley Mullanne z rejestracją MEW ZIK, nigdzie jednak nie było widać czerwonego Cherokee Kayli.

Pojechałem dalej na Sunset. Po obu stronach pasa zieleni śmigły samochody. Zaczekałem na przerwę, żeby zakręcić w prawo, cofnąć się i zawrócić. Chwilę to trwało. W momencie, kiedy wjechałem na bulwar, w bocznym lusterku mignęło mi coś czerwonego.

Pewnie nic ważnego. Ale mimo to wróciłem na Camden.

Jeep stał przed domem.

Przejechałem sześć domów dalej i zaparkowałem, postanawiając, że poczekam pół godziny.

Osiemnaście minut później Kayla, ubrana na biało, ale z dużą, czarną torbą, wyszła z domu.

Wsiadła do czerwonej terenówki, zaczekała, aż brama się otworzy, i przemknęła obok mnie.

Dokładnie ta sama trasa, którą jechała ostatnio. Santa Monica na zachód do Canon Drive.

Kolejna sesja rozpieszczania w Umberto?

Ale tym razem minęła salon i pojechała dwie przecznice dalej, do apteki.

Najpierw włosy, teraz makijaż? Czy taka dziewczyna nie powinna kupować kosmetyków w butiku?

Po pięciu minutach obserwacji poznałem odpowiedź, ale nie taką, jakiej oczekiwałem.

Poszła prosto do lakierów do paznokci. Stałem na końcu alejki i przyglądałem się rzędom małych buteleczek. Biały kostium składał się z krótkiej koszulki, odsłaniającej opalony brzuch, białych biodrówek ze strusiej skóry i otwartych, białych sandałów na pomarańczowych, plastikowych obcasach. Długie włosy utknęła pod dżinsową, białą czapkę, którą nosiła zawadiacko przekrzywioną. Duże, białe plastikowe kolczyki. Kilka razy bujnęła się na obcasach, potem pozornie się uspokoiła, patrząc na lakiery.

Poważna decyzja. Jej ładna twarz ściągnęła się w grymasie namysłu. W końcu wybrała jasnoczerwoną buteleczkę i wrzuciła ją do koszyka. Potem, tak szybko, że niewiele brakowało, abym tego nie zauważył, dwie inne buteleczki wpadły do dużej, czarnej torby, tej samej, którą widziałem pierwszego wieczoru, wyszywanej w róże.

Nie pasowała do białego stroju, ale miała swoje zastosowania.

Kayla przeszła do tuszów do powiek. Jeden do koszyka, dwa do torby. Bezcelnie, nawet się nie rozejrzała. Sklep był cichy, obsługa nieliczna. Jeśli gdzieś znajdowały się kamery, ja ich nie widziałem.

Cofnąłem się, udałem, że przebieram płyny do płukania ust, przeszedłem do następnej alejki,

nie podnosząc głowy. Teraz stała przy szminkach. To samo.

Chodziła w ten sposób po sklepie przez dziesięć minut, skupiając się na drobiazgach. Nić dentystyczna, roztwór do płukania soczewek kontaktowych, aspiryna, cukierki. Podwajała liczbę wszystkiego, co wkładała do koszyka.

Kupiłem dziesięciopak gumy do żucia, stanąłem za nią w kolejce.

Wyszła i ruszyła wesoło do samochodu, machając torbą i kręcąc małym tyłeczkiem. Udało mi się dojść do cherokee pierwszemu, wysunąłem się zza maski i złapałem za czarną torbę.

– Co to ma... – zaczęła. Potem mnie poznała. – Glina. – Prawie się zakrztusiła.

To nie była pora na przedstawianie się.

– Masz mały problem, Kayla – powiedziałem.

Otworzyła szeroko szarozielone oczy. Rozchyliła lśniące wargi, zastanawiając się nad odpowiedzią. Taka ładna dziewczyna pomimo haczykowatego nosa. Takie puste spojrzenie.

– Robiłam doświadczenie – powiedziała. – Do pracy semestralnej.

– Na jaki temat?

– No, wie pan. – Zerknęła w bok, wysunęła biodro, spróbowała się uśmiechnąć.

– Gdzie chodzisz do szkoły? – spytałem.

– Santa Monica College.

– Kiedy?

– O co panu chodzi?

– Jest koniec czerwca. Szkoła się skończyła.

– Może mam sesję letnią.

– A masz?

Brak odpowiedzi.

– Co studiujesz?

Wbiła wzrok w asfalt, podniosła głowę, zaryzykowała kontakt wzrokowy.

– Projektowanie, eee... i psychologię.

– Psychologię – powtórzyłem. – A więc wiesz, jak to się nazywa.

– Co?

Zabrałem jej torbę, wyjąłem ze środka roztwór do szkieł, tylenol i brzoskwiniową szminkę.

– To, Kayla.

Wskazała tylenol.

– Miewam bóle głowy.

– Teraz masz bardzo poważny.

Rozejrzała się w popłochu po parkingu.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył.

– To najmniejszy z twoich problemów.

– Proszę – powiedziała.

– Niech pan taki nie będzie.

– Musimy porozmawiać, Kayla.

– Niech pan taki nie będzie – powtórzyła.

Przeciągnęła się. Zdjęła czapkę i rozrzuciła burzę blond włosów.

Zamrugła dwa razy i zabawnie wygięła głowę. Złote włosy lśniły.

– Niech pan taki nie będzie – powiedziała prawie szeptem. – Możemy się dogadać.

– Jak?

Powoli się uśmiechnęła.

– Zrobię ci loda – powiedziała. – Takiego, jakiego jeszcze nikt ci nie zrobił.

Zabrałem jej kluczyki, wsadziłem ją za kierownicę jeepa i kazałem się nie ruszać. Sam

obszedłem samochód i wsiadłem od strony pasażera, nie domykając drzwi. Jej samochód to jej

terytorium. Miałem nadzieję, że otwarte drzwi ustrzegą mnie przed oskarżeniem o próbę porwania, gdyby prawda kiedykolwiek wyszła na jaw.

Wcisnęła czapkę z powrotem na głowę. Niestarannie. Wystawały spod niej złote loki.

– Proszę – powiedziała, patrząc na wprost przez przednią szybę. Jej bluzeczka podjechała do góry. Płaski brzuch pulsował od szybkiego oddechu.

Pozwoliłem, żeby cisza się przeciągała. Na parking wjeżdżały samochody, inne z niego wyjeżdżały. Przyciemnione szyby zapewniały nam prywatność.

Byłem ciekaw, czy się rozplacze.

Wydęła wargi.

– Nie wiem, dlaczego nie chcesz mi dać tego zrobić. Zrobię ci dobrze i oddam te rzeczy, może być?

– Sonny Koppel mówił, że rzeczy to brzemię.

– Zrobimy tak – powiedziałem. – Oddasz wszystko i obiecasz, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Ale najpierw porozmawiamy o Gavinie Quicku. Jeśli będziesz szczerą i opowiesz mi wszystko, co o nim wiesz, uznamy sprawę za niebyłą.

Odwróciła się szybko i spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Haczykowaty nos miała przypudrowany. Pod cienką powłoką kosmetyku zauważyłem piegi. W szarzielonych oczach pojawiło się wyrachowanie.

– To wszystko? – spytała.

– To wszystko.

Zaśmiała się.

– Super. Nie miałam ochoty robić panu laski. Skoro mowa o Gavinie.

– Lubił to?

– Gavin lubił raz-dwa. Nawet jak na tak młodego gościa był szybki. Choćby się spuścił dwa

razy z rzędu. To znaczy, wszyscy tacy są na początku, ale można ich nauczyć. Gavina nie. Pan

Dwadzieścia Sekund. Więc dałam sobie spokój.

– Dałaś sobie spokój z uprawianiem z nim seksu.

– To nigdy nie był seks – powiedziała. – W tym sęk.

– A co to było?

– To było jak... gra w kosza. Strzela, trafia, zapina rozporek, można iść na kawę.

– Dlatego zerwaliście?

– Nie zerwaliśmy, bo nigdy tak naprawdę ze sobą nie chodziliśmy.

– Co między wami było?

– Znaliśmy się. Całe lata. Z Beverly, razem chodziliśmy na zajęcia. Potem on poszedł na studia na coś tam, ja postanowiłam studiować projektowanie. Lepiej na Santa Monica College niż na jakimś uniwersytecie.

– Dobrze wykładają tam projektowanie?

– Jasne. Można robić tylko to i nie tracić czasu na inne rzeczy.

– Jak psychologia – powiedziałem.

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

– Złapał mnie pan. Znów. Ta historyjka o doświadczeniu była nędzna, co?

– Bardziej niż nędzna.

– No – powiedziała. – Powinnam była przygotować coś lepszego. Jak mnie pan złapał?

– Nie byłaś specjalnie subtelna.

– Nigdy przedtem nikt mnie nie złapał.

– Robisz to już od dość dawna.

Zaczęła odpowiadać, zamknęła usta.

– Kayla?

– Myślałam, że nie będzie się pan tego czepiał, jeśli opowiem o Gavinie.

– Sama o tym wspomniałaś.

– Naprawdę?

Kiwnąłem głową.

– Och – powiedziała. – W takim razie spartoliłam sprawę. Trzymajmy się Gavina. No, ja tego nie robiłam, nie trzymałam się go. – Zaśmiała się. Przestała, przyłożyła palec do ust. Dała sobie klapsa w dłoń. – Niegrzeczna Kayla. Nie powinnam była tego robić.

– Czego?

– Śmiać się z niego, skoro nie żyje i w ogóle.

– Domyślasz się, kto mógł go zabić? – spytałem.

– Nie.

– Razem z nim znaleziono dziewczynę. Blondynka, mniej więcej twojego wzrostu...

– Szmaciara.

– Znasz ją?

– Widziałam ją. Gavin się nią przede mną chwalił. Jakby mnie to obchodziło. Moja przyjaciółka Ellie powiedziała, że była podobna do mnie, ale ja jej mówię, dziewczyno, zrób sobie korektę wzroku. A Ellie na to: „Nie tak jak bliźniaczka, Kayle, tylko trochę. Jak ty po ciężkiej nocy”.

Pokręciła głową.

– Nie ma mowy, to była najgorsza szmaciara. Ale potem pomyślałam, że może, skoro Gavin miał uszkodzony mózg i w ogóle, spodobała mu się, bo według niego była podobna do mnie. Bo nie mógł mieć mnie, a ona była takim jakby zamiennikiem, wie pan?

– Kiedy się nią przed tobą przechwalał?

– Gdy mu powiedziałam, że nie będzie więcej szybkich numerków.

– Po wypadku.

– Długo po wypadku – powiedziała. – To było... Dwa miesiące temu? Myślałam, że przestał mnie już męczyć, bo jakiś czas się nie odzywał, ale potem znów zaczął dzwonić. Spodziewałam się, że się złamie i będzie błagał. Bo twierdził, że bardzo mu na mnie zależy. Ale on tylko dzwonił i chciał gdzieś ze mną wychodzić. To dowodzi, że kłamał, że wcale mu na mnie nie zależało. Prawda?

– To niezwykle jak na Gavina – powiedziałem.

– Co takiego?

– Że tak łatwo się poddał. Słyszałem, że potrafił być bardzo wytrwały.

– Po wypadku zrobiło się to u niego aż dziwne. Zaczął znów wydzwaniać, czasami dwadzieścia razy dziennie. Wpadał do nas, męczył mojego tatę. – Słaby uśmiech. – Chyba w końcu zaczął błagać. Potem przestał.

– Bo śledził Beth Gallegos.

– A więc chciał z tobą gdzieś chodzić – powiedziałem.

– Chciał gdzieś jeździć, parkować i wkładać mi fiuta do ust. Było mi go żal, więc raz to zrobiłam. Ale nigdy więcej.

– Koniec z seksem na czas – powiedziałem.

– Tak pan to mówi, jakbym była wredna. – Próbowала upychać luźne kosmyki włosów pod czapkę. Nie wychodziło jej. Zerwała ją z głowy i zaczęła gniesć w dłoniach. – Powinien pan przeprosić – powiedziała.

– Za co?

– Za to, że nazwał mnie pan wredną dziwką.

– Powiedziałaś, że było ci żal Gavina...

– Właśnie. Byłam dla niego miła. Po wypadku zrobił się... Nie chcę powiedzieć opóźniony,

bo to brzmi paskudnie, ale naprawdę tak właśnie było. Więc było mi go żal i chciałam mu pomóc.

– To ma sens – powiedziałem.

– Ma – zgodziła się.

– A więc Gavin podupadł intelektualnie.

– Przedtem potrafił być wredny, ale był bystry. Ale potem... To było... – Wypchnęła policzek językiem. – Chciałabym powiedzieć, że to było „żałosne”.

– Brzmi, jakby tak właśnie było.

– Hę?

– Żałosne.

– Aha, właśnie, jakby naprawdę było.

– Ten raz, kiedy poszłaś z nim...

– To był tylko ten jeden raz. Było mi go żal.

– Gdzie parkowaliście?

– Na Mulholland? – Jej usta zamarły, ułożyły się w małe o. – To było tam, gdzie... o Boże.

– Czy często jeździłaś tam z Gavinem? Za dawnych czasów?

– Czasami. – Zaczęła płakać. – To mogłam być ja.

– Opowiedz mi o tej blondynce.

Wytarła oczy, uśmiechnęła się.

– Za bardzo tleniona, widać jej było odrosty.

– Gdzie ją spotkałaś?

– Nigdy jej nie spotkałam, nie w sensie, że gdzieś razem byliśmy. Poszłam z Ellie do kina, a potem poszliśmy do Kate Mantolini na zestaw warzyw. Czasami przychodzi tam Jerry Seinfeld.

Jej oczy powędrowały w stronę okna, zmieniły kierunek i skupiły się na znaku parkingu.

- Mam nadzieję, że nie przekroczę czasu parkowania.
- Ty i Ellie u Kate Mantolini – powiedziałem.
- Tak. Jadłyśmy warzywa, a tu wchodzi Gavin ze swoją szmaciarą, w bluzce z wyprzedaży i sukience do samej, no, wie pan. – Opuściła wzrok na swoje sandały. – Miała fajne buty. Czarne, bez pięt. Bardzo w stylu Naomi Campbell.
- Jimmy Choo – powiedziałem.
- Skąd pan wiedział?
- Miała je na sobie, kiedy została zamordowana.
- To były fajne buty. Pomyślałam, że pewnie je buchnęła. – Parsknęła śmiechem. – Żartuję!
- A więc Gavin wszedł z nią...
- I udawał, że mnie nie widzi, więc ja udawałam, że nie widzę jego. A potem musiał przejść obok nas, żeby się dostać do swojego stolika, i nagle mnie zauważył, bardzo zaskoczony, na zasadzie: „Hej, to ty, Kayla”.
- Co zrobiłaś? – spytałem.
- Zaczekałam, aż podszedł do samego stolika, ale do samiutkiego, tak, żeby nie mógł mnie zignorować.
- I co wtedy?
- Wtedy powiedziałam: „Cześć, Gav”, a on kiwnął palcem i szmaciara do nas podeszła, zdziwiona, wie pan, „Coś ty za jedna?” Jakby była tam najważniejsza. A nie była. Gavin na to: „To jest...”, nie pamiętam, jak się nazywała. A szmaciara stoi tam w swoich jimmych, jakby była gwiazdą „E!” czy czymś takim.
- Nie pamiętasz, jak miała na imię?
- Nie.
- Spróbuj.

– Właściwie nie słuchałam.

– Spróbuj – powiedziałem.

– To ważne?

– Ważne. – Dlaczego? – Bo ona nie żyje.

– Hm. – Kayla podniosła górną wargę palcem wskazującym, pozwoliła jej opaść z powrotem na zęby. Powtórzyła to kilka razy, wydając ciche, mlaszczące odgłosy. Ścisnęła czapkę i przyglądała się, jak miękki materiał pulsuje niczym ameba, odzyskując kształt.

– Kayla?

– Myślę – powiedziała. – Chyba powiedziałabym Chris. Albo Christa. Coś Chrissowatego.

– Jakieś nazwisko?

– Nie. Na pewno nie. Gavin nie wspominał jej nazwiska. To nie było jakieś oficjalne przedstawienie. Gavin zachowywał się w stylu: „Nie potrzebuję cię, patrz, co mam”.

– Powiedział coś takiego?

– Nie, ale było to po nim widać. Później przyszedł do nas i zaczął opowiadać, jaka to ona nie jest fajna.

– Kiedy później?

– Kiedy szmaciara poszła do łazienki i zostawiła go samego. Siedziała tam długo, pewnie coś brała, wyglądała jak ćpunka. Strasznie chuda. Nie wiem, jak ktoś mógł pomyśleć, że była podobna do mnie. Ale Gavin...

Zrobiła zeza i postukała się w czoło.

– Zostawiła go samego, a on przyszedł do waszego stolika.

– Tak, a Ellie mówi: „Kim jest twoja nowa dziewczyna, Gav?” A Gavin na to: „To Christa” – chyba powiedział Christa, coś w tym rodzaju, może Crystal. Ellie mówi: „Niezła, Gav”. Ale nie myślała tak, podpuszczała go, rozumie pan? A ja nic nie mówię, jem swój szpinak na parze,

najfajniejszą rzecz w całym zestawie warzyw. Wtedy Gavin się obrzydliwie uśmiechnął, odsunął od Ellie, nachylił do mnie i mówi: „Ona robi wszystko, Kayla. Bez końca”. Ja na to: „Raczej bez końca nuda i bez końca duże dziecko”, ale tylko tak pomyślałam, nie powiedziałam tego głośno. Bo Gavin nie był już normalny, to by było jak wyśmiewanie się z niedorozwiniętego. Poza tym wrócił do swojego stolika. Jakby nie interesowało go, co mam do powiedzenia.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Chrście? – spytałem.

– Może to była Crystal – stwierdziła. – Myślę, że chyba jednak bardziej Crystal.

– Nie odezwała się do ciebie ani słowem?

– Nie, ale Gavin mówił. Właściwie powiedział więcej, niż panu powiedziałam.

Zaczekałem.

– To było wstrętne, nie chcę tego pamiętać.

– To ważne, Kayla.

Westchnęła.

– Dobrze, dobrze. Kiedy się nachylił i szeptał mi do ucha, jaka jest świetna, powiedział też:

„To tancerka, Kayla. Umie się ruszać”. Jakbym ja nie umiała. Wie pan, co to znaczy, prawda?

– Co? – spytałem.

– Niech pan zejdzie na ziemię – powiedziała. – Tancerka oznacza striptizerkę. Wszystkie mówią na siebie „tancerki”. To była zwykła szmaciara, co rozkłada nogi w barze.

– Znasz jakieś striptizerki?

– Ja? Nie ma mowy. Ale miała coś takiego... To jak stała, jak się... Jakby mówiła: „Patrzcie na moje ciało, to superciało, uwielbiam moje ciało, rozbiorę się za porcję sałatki”.

– Łatwa – powiedziałem.

– To głupie. Z facetami jest tak, że jeśli chcesz, żeby cię szanowali, nie możesz im od razu dawać wszystkiego.

- Co możesz mi powiedzieć o domowym życiu Gavina?
 - Na przykład o jego rodzicach?
 - Tak.
 - Jego mama to wariatka, a ojciec to stary zboczeniec. Gavin pewnie ma to po nim.
 - Jego ojciec dobierał się do ciebie?
 - Fuj – powiedziała. – Nie. Ale słyszy się różne rzeczy.
 - O czym?
 - O tym, kto z kim sypia.
 - Jerome Quick sypiał z różnymi kobietami?
 - Tak mówił Gavin.
 - Powiedział ci?
 - Jakby się przechwalał – powiedziała. – Na zasadzie, mój tata to ogier i ja też.
 - To było po wypadku?
 - Nie – powiedziała. – Przed. Kiedy Gavin mówił jeszcze jak normalny człowiek.
 - Powiedziałaś, że jego matka to wariatka.
 - Wszyscy to wiedzą. Nigdy nie była w szkole, nie wychodzi nawet na podwórko, cały czas siedzi w sypialni, pije i śpi. Tata Gavina przychodził przynajmniej na zebrania.
 - Gavin był mu bliższy?
- Spojrzała na mnie, jakbym zadał to pytanie w obcym języku.
- Czy Gavin mówił ci kiedykolwiek o swoich planach kariery?
 - W sensie, jaką chciał mieć pracę?
 - Tak.
 - Przed wypadkiem chciał być bogatym biznesmenem. Potem mówił coś o pisaniu.
 - Pisaniu czego?

– Nie powiedział. – Zaśmiała się. – Też coś.

– Mówił ci kiedykolwiek, że kogoś o coś podejrzewa?

– Hę? – spytała. – Że niby jak szpieg?

– Coś takiego.

– Nie. Czy mogę już jechać? Proszę? Jestem umówiona z Ellie na Il Fornaio, poza tym nie chcę przekroczyć limitu parkowania. Płacenie za parking jest do bani.

– Tak jak płacenie za kosmetyki – powiedziałem.

– Hej, myślałam, że mamy to już za sobą.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Gavinie?

– Nic. Zniknął z mojego życia, uganiał się za jakimiś szmatami... Myśli pan, że przez to właśnie zginął? Bo zadawał się ze złymi ludźmi?

– Może – powiedziałem.

– No i proszę. Opłaca się być dobrym.

Rozdział 31

Kazałem jej iść do apteki i przynieść siatkę na zakupy. – Zostaw to w środku –

powiedziałem, wrzucając do siatki ukradzione rzeczy. Zza jej makijażu błysnęła niespodziewanie kościana biel.

– Niech mi pan nie każe tam wchodzić. Proszę.

Złapała mnie za rękaw. Bez uwodzenia; jej kłykcie były białe.

– Dobrze – powiedziałem. – Ale musisz obiecać, że będziesz grzeczna.

– Obiecuję. Mogę już jechać? Ellie czeka.

Gavin chełpił się przed Kaylą seksem, który uprawiał z blondynką. Może próbował w ten sposób wyrównać rachunki z byłą dziewczyną. Ale pasowało to też do teorii z call girl.

Christa albo Crystal. Znów zadzwoniłem do Mila. Wciąż miał wyłączony telefon.

Wysłuchiwanie Kayli Bartell, poznawanie smutnej historii życia Gavina Quicka wyczerpało moje siły. O siódmej miałem się spotkać z Allison i postanowiłem wyrzucić to wszystko z głowy. Prawie dotrzymałem tego postanowienia, ale pod koniec wieczoru odkryłem, że opowiadam Allison o upadku rodziny Quicków, o złych wyborach i pechu, o śmierci prywatności. Bezimienna dziewczyna w szufladzie z nierdzewnej stali, ciało pozszywane i zamknięte w chłodni.

Jak przystało na terapeutkę, Allison głównie słuchała i to mnie nakręcało. Wiedziałem, że jestem ponury, ale nie chciałem przestawać mówić. Kiedy zatrzymałem się przed jej domem, mój własny głos ranił moje uszy.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zabawowy ze mnie facet.

– Może zostaniesz na noc?

– Nie masz jeszcze dość?

– Chciałabym, żebyś został na noc.

– Nie wiedziałem, że jesteś masochistką.

Wzruszyła ramionami, bawiąc się moim palcem wskazującym.

– Lubię cię widzieć zaraz po przebudzeniu. Zawsze wyglądasz, jakbyś naprawdę się cieszył na mój widok, a nie ma nikogo innego, o kim mogłabym to powiedzieć.

Poszliśmy prosto do jej sypialni, rozebraliśmy, cmoknęliśmy się na dobranoc i szybko zasnęliśmy. Budziłem się trzy razy w środku nocy, dwa razy pogrążając się w niewesołych rozmyślaniach, raz, bo poczułem, że ktoś mnie szturcha. Z wysiłkiem otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą Allison, ze zwisającymi piersiami, trzymającą róg kołdry. Sama wyglądała na nie do końca obudzoną.

Powiedziałem coś, co zabrzmiałoby „Ech?”, gdyby działał mi język.

– Byłeś... przykryty – powiedziała niewyraźnie. – Nie widziałam, żebyś się ruszał,

chciałam... sprawdzić.

– Wszystko gra.

– Dob...noc.

Moje powieki przeszły poranne światło. Nie budziłem Allison. Poszedłem do kuchni, przyniosłem gazetę i poszukałem w niej zdjęcia zabitej dziewczyny, nie znalazłem go. Allison miała rano umówionych pacjentów i niedługo musiała wstać, więc zabrałem się do robienia śniadania.

Kilka chwil później przyszła, szurając nogami i węsząc, w za dużej, zielonej koszulce i puchatych kapciach, z odcisniętą na twarzy poduszką i włosami związanymi byle jak na czubku głowy.

– Jajka – powiedziała, trąc oczy. – Dobrze spałeś?

– Świetnie.

– Ja też. – Ziewnęła.

– Chrapałam?

– Nie – skłamałem.

– Zasnąłam jak kamień – powiedziała. – Bęc i już.

Nie pamiętała, że budziła się w nocy, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest. Troszczyła się o mnie przez sen.

Byłem w domu od piętnastu minut, kiedy Milo zadzwonił z samochodu. Ciężko sapał, jakby biegł pod górkę.

– Próbowałem dodzwonić się do ciebie od dziewiątej.

– Nocowałem u Allison.

– I bardzo dobrze – powiedział. – Jak tam twój rozkład dnia, powiedzmy dzisiaj?

– Otwarty. Możliwe, że mam imię blondynki. Crystal albo Christa.

- Jak się tego dowiedziałeś?
- Kayla Bartell. To niezła historia...
- Opowiesz mi, jak przyjadę, jestem już przy Sepulveda i Wilshire. Psisko jeszcze u ciebie kima?
- Nie, już go nie ma.
- Trudno, zjem tę suszoną wołowinę sam.

Wszedł do domu ubrany w smutno-szary garnitur, błotniście brązową koszulę i szary krawat, żując najgrubszy, najdłuższy kawał suszonego mięsa, jaki widziałem.

- Co to jest? – spytałem. – Suszony pyton?
- Bawół, o niskiej zawartości tłuszczu i soli. Mieli promocję w Trader Joe's.

Włosy miał matowe, oczy przekrwione. Poszliśmy do kuchni.

- Opowiadaj.

Streściłem mu rozmowę z Kaylą.

- Mała kleptomanka, co? – powiedział. – A ty zagrałeś złego glinę. Bardzo dobrze.
 - To chyba było nielegalne.
 - To była rozmowa dwojga dorosłych ludzi. – Szarpnął węzeł krawata.
 - Została ci jakaś kawa?
 - Nie robiłem.
 - Nie ma sprawy, i tak jestem nakręcony... Christa albo Crystal. Dlaczego Kayla uznała, że to striptizerka?
 - Bo Gavin powiedział jej, że to tancerka – odparłem.
 - No tak – stwierdził Milo. – Daj dziewczynie na imię Crystal i co jest bardziej prawdopodobne? Że zrobi doktorat z biomechaniki czy że będzie kręcić tyłkiem za napiwki?
- Zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło. Odkąd przyjechał, atmosfera była burzliwa.

– Kayla powiedziała też, że tamta wyglądała na ćpunkę.

– Koroner nic nie znalazł w jej krwi. Co z „Timesem”?

– Działają według swojego rozkładu – powiedziałem. – Dlaczego pytałeś o mój?

Milo wyjął kartkę papieru z kieszeni marynarki i podał mi ją. Była to wydrukowana lista.

1. *1999 ford explorer. Bennett A. Hacker, Franklin Avenue 48, Hollywood.*

2. *1995 lincoln sedan. Raymond R. Degussa, skrzynka pocztowa w Venice 41.*

3. *2001 mercedes benz sedan, Albin Larsen, Santa Monica 56.*

4. *1995 mercedes benz sedan, Jerome A. Quick, Beverly Hills 48.*

– To wydział komunikacji miał do powiedzenia na temat listy Gavina – powiedział.

– Gavin spisał numery rejestracyjne samochodu ojca?

– Dziwne, co? Może to wynik uszkodzenia mózgu? Macie na to jakąś nazwę?

– Nadmierna drobiazgowość... Ale uderzyło mnie coś innego. Samochód Quicka jest wymieniony na końcu. Można by zakładać, że samochód ojca jako pierwszy zwróciłby uwagę Gavina.

– Chyba że zapisywał je w kolejności, w jakiej się pojawiły, a tata przyjechał ostatni.

– Słuszna uwaga – powiedziałem. – A więc co o tym myślisz? Jakies spotkanie?

Milo kiwnął głową.

– Quick, Albin Larsen i tamci dwaj. Najważniejsze pytanie brzmi: dla czego Gavin śledził ojca? Mam wrażenie, że tatuś coś knuł i dlatego wyczyścił pokój chłopaka; pozbywał się wszelkich dowodów, jakie mógł wyszperać jego dzieciak. Potem wyjechał z miasta; dopiero co zamordowali mu syna, a on znowu gdzieś jedzie, zostawia żonę, robi interesy. To brzydko pachnie, Alex. Stary Jerry popełnił błąd, nie przeszukał kieszeni Gavina.

Wziął listę, złożył ją i schował do kieszeni.

– To niewiele. Ale według mnie to wszystko zmienia. Posłuchaj, kto jest dalej na liście.

– Ten skazaniec, który sprzątał w budynku – powiedziałem – Kristof, mówił, że jego kurator nazywa się Hacker.

Milo usiadł przy kuchennym stole.

– Jestem pod wrażeniem. Tak, to kurator pracujący w biurze w centrum, a Raymond Degussa to jeden z jego byłych klientów. Jeden z większych – seria aresztowań za napady, kradzieże, wymuszenia, napady z bronią w rękę, prochy. Degussa obronił się przed częścią zarzutów, w innych poszedł na ugodę, posiedział trochę w więzieniu hrabstwa, w końcu dostał piętnaście lat za napad z pobiciem. San Quentin, wyrok skrócony za dobre sprawowanie. Wygląda na to, że sprawował się też dobrze na warunkowym, regularnie zgłaszał się do Hackera, wyszedł na wolność dwa lata temu. Dzwoniłem do San Quentin, rozmawiałem ze strażniczką, była nowa, nie знаła Degussy. Wygrzebała dla mnie, że był dominującym typem – nie należał do gangu, ale nie dał się stłamsić. Uznali go za dostawcę, bo zawsze miał papierosy i cukierki. Był też podejrzany o zamordowanie przynajmniej dwóch współwięźniów, ale nie było dowodów.

– Bandzior karierowicz – powiedziałem. – Podejrzany o dwa morderstwa i wyszedł za dobre sprawowanie?

– Przy braku dowodów, tak. Administracja więzienna ma własne zasady. Więzienie zawsze jest przepelnione, trzeba wyrzucać z niego, kogo się da. I, cud nad cuda, Degussa sprawia wrażenie zresocjalizowanego. Odkąd skończył warunkowe zwolnienie, ani razu nie popełnił najmniejszego wykroczenia.

– Zaprzyjaźniony kurator mógł mu w tym pomóc – powiedziałem. – Udana resocjalizacja.

Albinowi Larsenowi by się to spodobało. Może Degussa był jednym z jego królików doświadczalnych. A jak nie jego, to Mary Lou Koppel. Jakiej broni użyto w tych morderstwach w więzieniu?

– Noża. W więzieniu to zawsze jest nóż.

- Ktoś został nadziany?
 - Nie pisali o tym w aktach.
 - Degussa poszedł siedzieć za napad z pobiciem – powiedziałem. – Użył wtedy jakiejś broni?
 - Tylko zastraszył.
 - Czy Bennett Hacker pracował w którejś z filii?
 - Flora Newsome – powiedział Milo.
 - Pracowała w warunkowych zwolnieniach. Niesamowity zbieg okoliczności.
 - Tak... Nie chciałem za bardzo wypytywać. Jeśli Hacker ma brudne łapy, nie chcę, żeby się zorientował, że dookoła niego węszyć. Ale zrobię, co będę mógł, żeby się czegoś dowiedzieć.
- Zabębnił palcami o stół.
- Mam takie przeczucie, że zupa zaczyna bulgotać. Ale wszystko cały czas jest na wyciągnięcie ręki, jakbym gotował w cudzej kuchni.
- Wstał, przeszedł się w tą i z powrotem, szarpnął krawat.
- Ja to widzę tak: Gavin wmówił sobie, że będzie jakimś tam reporterem, węszył przy interesach ojca. Chyba że najpierw zauważył coś dziwnego w budynku, gdzie chodził na terapię.
- Zaczął prowadzić poważne obserwacje, robić notatki.
- Psycholog, kurator i były więzień – powiedziałem. – Bez Jerry’ego Quicka to mogła być zwykła terapia resocjalizacyjna.
 - *Precissimoso*. To, że Jerry tam był, nadaje całej sprawie zupełnie inne znaczenie. Jerry to dziwkarz i kombinator, który zatrudnia kogoś pokroju Angie Paul na recepcjonistkę. Jest też lokatorem Sonny’ego Koppela. A Sonny to wspólnik Mary Lou w interesie z domami przejściowymi, człowiek od pieniędzy. To on skierował Jerry’ego do Mary Lou.
 - Dotarłeś do jakichś interesów między Sonnym i Quikiem?
 - Nic, żeby to szlag. A kopałem głęboko, wczoraj i dzisiaj rano. Powlókł się do lodówki,

wrócił, pijąc sok grejpfrutowy z kartonu.

– Na Sonnym nie mogę znaleźć nawet plamki. Nie ma problemów z lokatorami, nie ma skarg w prokuraturze, w przestępczości zorganizowanej nawet o nim nie słyszeli. Dotąd wychodzi na to, że jest dokładnie tym za kogo się podaje – gościem, który ma dużo nieruchomości. Nie kłamał też co do oddawania grubej forsy. Komisja odliczeń podatkowych twierdzi że Planowana Dobroczynność jest jedną z największych fundacji wolnych od podatku. Sonny składa papiery na czas i wydaje przynajmniej milion rocznie.

– Na kogo?

– Na biednych, chorych, upośledzonych. Wszystkie większe choroby plus Ratujmy Zatokę, Dbajmy o Drzewa, Przytul Znalezioną Sowę, wszystko.

– Święty Sonny – powiedziałem.

– Jeśli coś wygląda zbyt dobrze, żeby było prawdziwe... Nie wiem o co chodziło w tym spotkaniu, ale jedyne, co ma jakiś sens, to że wszyscy maczali palce w czymś podejrzanym.

Może Sonny ściągnął Jerry'ego Quicka, bo ten zawsze miał problemy z pieniędzmi? Ale wciąż nie mogę wymyślić, jaki miałby z niego pożytek. Zostawmy to na chwilę. Jaki szwindel mogłaby uknuć gromada psychologów, żeby zarobić na nim grubą forszę?

– Pierwsze, co przychodzi mi do głowy – powiedziałem – to najprostszy przekręt:

wyłudzanie odszkodowań od firm ubezpieczeniowych albo państwa. Najłatwiejszym celem byłoby państwo, jakiś państwowy kontrakt. Sonny wiedziałby, jak do tego podejść. Państwo finansuje jego domy przejściowe i mieszkania dla emerytów. Twierdzi, że domy przejściowe to pomysł Mary Lou i Larsena. Może to prawda, ale dzięki ich posiadaniu wszedł w dotowany przez państwo plan terapii, który na pewno poruszył jego żyłkę do interesów.

– Terapia dla skazańców – powiedział Milo.

– Niewyczerpane źródło pacjentów. Pacjentów, za których można ściągać pieniądze

niezależnie od tego, czy się ich faktycznie leczy, czy nie bo przecież nie będą się skarżyć.

– Sonny, Mary Lou i Larsen. A Gavin podejrzwał jakieś zebranie szefostwa.

– Gavin nie zapisał numeru rejestracyjnego Gulla – powiedziałem. –Więc może Gulla na tym spotkaniu nie było. Albo nie brał w tym udziału. Ma problemy osobiste i za dużo się poci.

Gdybym ja brał się za chytrą, przestępczą działalność, uznałbym go za zbyt duże ryzyko.

– Mimo to chciałbym wiedzieć, dlaczego Gavin zrezygnował z niego jako terapeuty. – Milo przeszedł parę kroków. – Żeby ktoś taki, jak Sonny zaangażował się w szwindel, musiałyby wchodzić w grę naprawdę duże pieniądze.

– Może nie – powiedziałem. – Sonny twierdzi, że nie interesuje go gromadzenie dóbr. To chyba prawda, co oznacza, że nakręca go sama gra – proces robienia pieniędzy.

– Drenowanie państwa.

– A może wpadł na pomysł, jak zarobić naprawdę grubą forszę. Twierdzi, że trzymał parter wolny do czasu, aż Koppel i pozostali podejmą jakąś decyzję co do grupowej terapii. Gdyby szykowali leczenie dla skazańców, na którym mieliby zarobić, to by tłumaczyło, dlaczego nie wynajmował pomieszczeń Planowanej Dobroczynności. Byłem tam wczoraj. Prali akurat wykładziny i udało mi się wejść do środka. Pusto, nie licząc małego gabinetu dla Sonny'ego i dużej sali ze składanymi krzesłami. Po co Sonny'emu krzesła, skoro przychodzi tam tylko podpisywać czeki? Ale przydałyby się, gdyby ktoś miał sprawdzić, a ty byś twierdził, że prowadzisz grupowe terapie. Oczywiście, gdyby sprawdzający był twoim kumplem, nie musiałbyś za bardzo przykładać się do stwarzania pozorów.

– Bennett Hacker – powiedział Milo. – Mają jakiś układ z komisją zwolnień warunkowych, a Hacker jest za to odpowiedzialny.

– Ktoś taki jak Hacker mógłby dostarczać listy nazwisk w zamian za dolę. A Raymond Degussa, jako cwany, dominujący eks-więzień, ktoś, kto napadał ludzi, używając samych grózb,

mógłby przekonywać pacjentów do współpracy.

– Psychoterapia dla warunkowych – powiedział Milo. – Czy na czymś takim można zarobić poważne pieniądze?

– Gdyby warunkowych było wystarczająco dużo – odparłem. – Policzmy. Terapie grupowe w prywatnych praktykach wahają się od pięćdziesięciu do stu dolarów za godzinę. Medi-Cal refunduje o wiele mniej – piętnaście, dwadzieścia. Ale można ich obciążyć kosztami wielu innych rzeczy. Terapie indywidualne, wpisowe, spotkania kontrolne, badania, konsultacje...

– Konsultacje. Na przykład zbieranie się po godzinach pracy. Ile Medi-Cal za to płaci?

– Trzydzieści sześć dolarów za pół godziny. Jeżeli tamtym udało się zaczepić w jakimś dodatkowym programie, który dolicza się do zwrotów z Medi-Cal, czymś, co mógł załatwić Sonny, opłaty mogły być sporo wyższe. Ale nie szarżujmy, założmy, że podstawą jest grupowa terapia po dwadzieścia dolarów od pacjenta za sesję. Widziałem co najmniej dwa tuziny składanych krzeseł. Jeśli prowadzą grupy po dwadzieścia osób albo przynajmniej tak twierdzą, każda grupowa sesja oznaczałaby czterysta dolarów za godzinę. Sześć grup dziennie, pięć dni w tygodniu to dwanaście tysięcy dolarów. Już samo to daje sześćset tysięcy rocznie. Dodajmy do tego więcej pacjentów, dodatkowe opłaty, i robi się interesująco. Zwłaszcza, jeśli tak naprawdę nic się nie robi.

– Miliony – powiedział Milo.

– Całkiem możliwe.

– Każdy skazaniec codziennie ma terapię grupową... Na ile grupowych spotkań można wysłać jednego pacjenta?

– Jeśli opracuje się model immersji, można go leczyć cały dzień.

– Jak na tych obozach, gdzie siedzisz cały dzień, a jakiś facet wrzeszczy, że masz słabą wolę i nie pozwala ci iść się wysikać?

– Est*[Est – najbardziej popularny z systemów rozwoju osobowości lat siedemdziesiątych, stworzony w USA

przez Wernera Erharda, opierający się na zajęciach grupowych i podkreślaniu pojęcia odpowiedzialności za własne

życie (przyp. tłum.), Synanon*[Synanon – wywodząca się z grup AA wspólnota pomagająca narkomanom,

pierwowzór polskiego Monaru, stworzony w 1958 roku w USA przez Charlesa Dedericha (przyp. tłum).] –

powiedziałem. – Jest mnóstwo precedensów, zwłaszcza związanych z nadużywaniem różnych substancji. Można argumentować za immersją skazańców, bo celem takiej terapii byłaby zakrojona na szeroką skalę zmiana na kilku płaszczyznach. Dociekliwemu sceptykowi można by udowodnić, że to i tak tańsze niż trzymanie ich w więzieniu. A jeśli naprawdę wyszliby na prostą, oszczędność byłaby gigantyczna.

– Mary Lou i jej resocjalizacyjne pasje – powiedział Milo. – Występy w radiu, ona i Larsen.

– Zaśmiał się. – Państwo płaci za terapie bandziorów. Pracuję w nie tym interesie, co trzeba. Ty zresztą też.

– Ilu warunkowo zwolnionych mieszka w domach przejściowych Sonny’ego? – spytałem.

– W trzech domach? Pewnie kilkuset.

– Wyobraź sobie, jakie byłyby zyski, gdyby wszystkich wpisać na listę.

– Sto dolarów tygodniowo od skazańca, pięć kawałków rocznie. Milion dolców za samą terapię grupową.

– Plus inne koszty.

– Problem tylko w tym, Alex, że dwoje psychologów fizycznie nie dałoby rady tego wszystkiego opędzić.

– Więc korzystają z asystentów, zwerbowanych spośród leczonych. Do tego po prostu kłamią, wystawiają faktury za sesje, które nigdy się nie odbyły.

– Asystenci – powiedział Milo. – Czyli inni skazańcy? Tak, to dopiero przebój, co? Byli członkowie gangów zajmują się doradztwem, ćpuny prowadzą odwyki. Do tego pasowałby facet pokroju Degussy... Szumowiny prowadzące terapię. To legalne?

– Wszystko zależy od tego, jak spisano kontrakt – powiedziałem. – A ktoś taki jak Sonny wiedziałby, jak zdobyć tłusty państwowy kontrakt.

– Przy tylu godzinach terapii tam powinno się aż kłębić – powiedział Milo. – Ale tak nie jest.

– Może to właśnie rzuciło się w oczy Gavinowi.

– Reporter z urazem mózgu ujawnia aferę – powiedział. Napił się soku, odstawił karton, otarł usta rękawem. – Żeby zarobić milion, potrzebujesz tylko sali i paru krzeseł. Tak, to zyskowny szwindel, ale Sonny wydaje milion rocznie. Po co miałby się w tym babrać? Dla rozrywki?

– Może po coś jeszcze – powiedziałem.

– Po co?

– Żeby uszczęśliwić Mary Lou. – Nie skończyła zbyt szczęśliwie.

– Może coś poszło źle.

– Czyścili wykładziny. Dzień po naszej rozmowie z Sonnym. Kto to robił, łachudry takie jak Kristof?

– Raczej nie – powiedziałem. Podałem mu nazwę firmy, a on ją zapisał.

– Szwindel resocjalizacyjny – powiedział. – Ale wracamy do podstawowego pytania, co w tym wszystkim robi Jerry Quick?

– To jego biuro – przypomniałem. – Nie za wiele się tam działo.

– Parawan.

– Może naprawdę pracuje dla Sonny'ego.

Milo zmarszczył brew.

– W tym scenariuszu Quick wychodzi na kogoś więcej niż rozwiązłego drania. To by

oznaczało, że wie, dlaczego zginął jego syn i zamiast nam o tym powiedzieć, sprząta jego pokój.

– To mogło wynikać ze strachu – powiedziałem. – Najpierw Gavin, potem Mary Lou Koppel. Dlatego Quick wyjechał z miasta. Kiedy dzwoniłeś do biura, nikt nie podnosił słuchawki. Może Quick kazał Angie wziąć sobie wolne.

– Prysnał... Zostawił żonę... bo i tak za dobrze ze sobą nie żyli. Ma ją gdzieś.

– To by też wyjaśniało, dlaczego córka, Kelly, nie wróciła do domu po śmierci Gavina.

Quick nie chciał, żeby się w coś wplątała.

– Szwindel się sypie... jeśli naprawdę istnieje.

– Szwindel tłumaczyłby też los Flory Newsome. Kiedy pracowała w ośrodku warunkowych zwolnień, dowiedziała się czegoś, czego nie powinna była wiedzieć. Może Mary Lou zrobiła się chciwa i zapragnęła większej działki. Albo zabójstwo Gavina zmieniło jej pogląd na ten interes.

– Co, nagle dostała wyrzutów sumienia?

– Wyłudzenie pieniędzy to jedno, morderstwo to zupełnie coś innego. Może Koppel spanikowała i chciała się wycofać. Albo próbowała wpłynąć na Sonny'ego.

Milo znów wstał, kilka razy okrążył pokój.

– Z Florą też mogło być inaczej, Alex. Mogła brać udział w przekręcie, zatrzymywać dane przychodzących warunkowych, przekazywać nazwiska.

– Możliwe – powiedziałem, myśląc o Evelyn Newsome, żyjącej wspomnieniami i próbującej poskładać do kupy swoje życie.

Milo długą chwilę patrzył przez okno.

– Zawodowy kryminalista, kurator, podejrzany handlarz złodem. I profesor Larsen, koleś od praw człowieka. Koncentrowaliśmy się na Gullu, nie przyjrzeliliśmy się Larsenowi.

Opróżnił karton soku, wydał z siebie długie, głośnie westchnienie.

– Jestem umówiony z księgowym Jerry'ego Quicka w Brentwood. Potem najlepiej będzie,

jeśli zacznę szczegółowo sprawdzać Degusę i Hackera, dowiem się między innymi, czy którykolwiek z nich miał coś wspólnego z filią ośrodka, w której pracowała Flora.

Zatrzasnął teczkę i zasalutował.

– Ciągłe pozostaje nam Crystal, tajemnicza blondynka.

– Dziewczyna Gavina – powiedziałem. – Zwierzał się jej. Albo nie zwierzał, tylko przypadkiem znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– Więc zmieniłeś zdanie, nie była głównym celem.

– Elastyczność to oznaka dojrzałości.

Milo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Skoro nie masz w planach żadnych zajęć, przyjmij to zaszczytne zadanie...

– Jakie?

– Wywiad akademicki. Dowiedz się wszystkiego, co się da o Albinie Larsenie i pozostałych.

Poszukaj takich łatwych, państwowych pieniędzy, o jakich rozmawialiśmy – stanowych, lokalnych, federalnych, prywatnych. Czegóż słabo kontrolowanego, co łatwo byłoby zawinąć.

– Brzmi jak typowy grant – powiedziałem.

– Taki młody, a już taki cyniczny. To jak, umowa stoi?

– Umowa oznacza wzajemność.

– Cnota, mój chłopcze, jest nagrodą samą w sobie.

Rozdział 32

Cnota nie spieszyła się z popłacaniem.

Nazwisko Jerry'ego Quicka nie wyskoczyło ani razu. Tak samo Raymonda Degussy i Bennetta A. Hackera.

Edward „Sonny” Koppel był bardzo zamożnym człowiekiem, ale publicznie udzielał się rzadko – dwadzieścia wzmianek, szesnaście dotyczących jego charytatywnej działalności.

Większość z nich składała się z samego nazwiska Koppela na liście ofiarodawców. Jeśli w ogóle coś o nim pisano, określano go „inwestorem i filantropem”. W żadnej ze wzmianek nie było zdjęć.

Albin Larsen był o wiele lepiej widoczny w cyberprzestrzeni. W ciągu ostatniej dekady godził praktykowanie psychologii z prowadzeniem wykładów na temat roli psychologii w społecznym aktywizmie w swojej rodzinnej Szwecji, a także we Francji, Holandii, Belgii, Kanadzie i Kenii. Jego nazwisko pojawiło się sześćdziesiąt trzy razy.

Takie podróże uniemożliwiały prowadzenie długoterminowych terapii, jednocześnie łatwiej było poradzić sobie z dużą liczbą pacjentów, jeżeli w rzeczywistości się tych pacjentów nie widywało.

Zacząłem przedzierać się przez kolejne trafienia. Związki Larsena z Afryką wykraczały poza wygłaszanie mów – był obserwatorem z ramienia ONZ w Rwandzie podczas ludobójstwa, które pochłonęło osiemset tysięcy Tutsich, a potem współpracował jako konsultant z trybunałem osądzającym te zbrodnie wojenne.

Niektóre wzmianki się powtarzały, ale trzydzieści, którym się przyjrzałem, opisywało z grubsza to samo – Larsena robiącego dobre uczynki.

To nie był profil oszusta czy mordercy. Zanim doszedłem do końca, zmieniłem podejście i zacząłem szukać programów psychoterapii dla warunkowo zwolnionych i innych byłych skazańców. Znalazłem ich zaskakująco mało. Żadnych państwowych projektów w Kalifornii, poza opłacanym z publicznych funduszy kursem prowadzenia ciężarówek dla świeżo wypuszczonych przestępców. Temu poświęcono trochę więcej uwagi, kiedy jeden z jego absolwentów, po uszy nabity amfą, wjechał swoim wozem w restaurację w Lodi. Nie znalazłem jednak żadnych wzmianek na temat likwidacji kursu.

Reszta dotyczyła spraw akademickich – garść naukowców od nauk społecznych

komentowała różne teorie i żonglowała liczbami. Istniejące terapie dla przestępców z reguły znajdowały się poza głównym nurtem. Grupa w Baldwin Park promowała medytację i „uzdrawianie pogładowe” dla byłych więźniów, inna w Laguna trąbiła o potędze sztuki i rzemiosła. Sztuki walki, zwłaszcza tai chi, były sposobem resocjalizacji wybranym przez organizację w San Diego, nie brakowało też grup religijnych kupczących technikami moralnej odmiany.

Zadzwońiłem do Stanowego Departamentu Zdrowia, przecierpiałem niemal godzinę nagranych komunikatów i czekania, aż w końcu dodzwońiłem się do jakiejś znudzonej kobiety, która powiedziała mi, że nie słyszała o żadnych terapiach grupowych dla warunkowo zwolnionych, ale nawet gdyby takie istniały, oni by o nich nie wiedzieli, wiedziałby Departament Więziennictwa. Następane czterdzieści minut męki z automatyczną centralą więziennictwa spędziłem przepędzany z menu do menu. Zacząłem naciskać w 0 jak opętany i w końcu dotarłem do operatora, od którego dowiedziałem się, że biuro jest już zamknięte.

Czwarta piętnaście. Dolary z moich podatków pracujące w nadgodzinach.

Wróciłem do ostatniego tuzina wzmianek o Albinie Larsenie. Kilka kolejnych mów, potem oświadczenie sporządzone wspólnie przez Larsena i komisarza ONZ, Alphonse’a Almogardiego w Lagos, w Nigerii, obiecujące, że Narody Zjednoczone zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby postawić sprawców rwandyjskiego ludobójstwa przed sądem.

Linki towarzyszące temu artykułowi zaprowadziły mnie na witrynę internetową afrykańskich spraw publicznych. Największa sensacja miała miejsce w Kigali, rwandyjskiej stolicy. W czerwcu 2002 roku trzysta pięćdziesiąt tysięcy ocalałych z ludobójstwa przemaszerowało ulicami miasta, nazywając Międzynarodowy Trybunał Karny farsą. W ciągu ośmiu lat, które upłynęły od jego powołania, przeprowadzono tylko siedem procesów o zbrodnie wojenne, we wszystkich sądząc jedynie niskich stopniem oficerów. Wraz z upływem lat świadkowie umierali i znikali.

Tych, którzy się nie uginali, spotykały szykany i groźby. Oskarżeni rzeźnicy obrastali w bogactwa, podczas gdy ich adwokaci brali kasę z finansowanych przez trybunał honorariów. O wiele dotkliwsze było oskarżenie, że sędziowie trybunału aktywnie spiskowali w celu opóźnienia procesów prawdziwych masowych morderców, bojąc się, że w trakcie przesłuchań wyjdzie na jaw współudział personelu ONZ w ludobójstwie.

Ze swojego bezpiecznego biura w Dublinie sekretarz trybunału Maria Robertson skarciła ocalałych za ich „podburzający język” i ostrzegła przed „nakręcaniem spirali przemocy”. Przemawiając w Lagos, profesor konsultant Albin Larsen podkreślał złożoność sytuacji i doradzał cierpliwość.

Dziewiętnaste trafienie również pochodziło z nigeryjskiej stolicy; zatrzymałem się nad nim. Był to opis programu nazwanego Strażnikami Sprawiedliwości, mającego na celu odciąganie młodych Afrykanów od przestępczego życia.

Grupa, składająca się z europejskich wolontariuszy, działała na zasadzie „oferowania synergistycznych alternatyw dla więzienia, rodzących skuteczną rehabilitację i zmiany pogłądowe przez holistyczny nacisk na współistnienie zachowania społecznie altruistycznego i wspólnotowych norm społecznych ustanowionych w erze prekolonialnej, lecz obalonych przez kolonizację”. Oferowane usługi obejmowały wychowanie rodzicielskie, szkolenia zawodowe, doradztwo antyalkoholowe i antynarkotykowe, interwencje w kryzysach i coś, co nazywano kulturową demarginalizacją. Synergię ilustrowano wykorzystywaniem autobusów Strażników, prowadzonych przez ich alumnów do przewozu aresztowanych do sądu. Większość ochotników nosiła skandynawskie nazwiska, a Albin Larsen był wymieniony jako starszy konsultant.

Wydrukowałem artykuł i przeszedłem do kilku ostatnich trafień. Kolejne mowy Larsena, potem ostatnia wzmianka, umieszczona trzy tygodnie temu – kalendarium wydarzeń w księgarni w Santa Monica, noszącej nazwę Pióro Jest Potężniejsze. Profesor z Harvardu nazwiskiem

George Issa Qumdis wygłosi mowę o Bliskim Wschodzie, a Albin Larsen go tam przedstawi.

Impreza miała się odbyć dziś wieczorem, za cztery godziny. Profesor Larsen był zajęтым człowiekiem.

Wyszukałem słowa-klucze z artykułu o Strażnikach Sprawiedliwości i wpisałem je do kilku wyszukiwarek. „Synergistyczne alternatywy”, „skuteczna rehabilitacja”, „zmiany pogładowe”, „de marginalizacją” i tym podobne wyrzuciły na ekran dużo naukowego bełkotu, ale nic użytecznego.

Była siedemnasta trzydzieści, kiedy wstałem od komputera, a nie miałem się czym pochwalić.

Zrobiłem sobie kawę i zjadłem słodką bułkę, zastanawiając się i spoglądając przez kuchenne okno na szarzące niebo. Zdałem sobie sprawę, że dałem się skusić tanią sztuczką, jaką były poszukiwania w cyberprzestrzeni, i postanowiłem wrócić do staromodnych sposobów.

Olivia Brickerman i ja pracowaliśmy razem w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym, ona jako pracownik socjalny, ja jako świeżo upieczony psycholog. O dwadzieścia lat ode mnie starsza, uznała się za moją zastępczą matkę. Nie miałem nic przeciwko temu, bo była dobrotliwą rodzicielką, włącznie z domowym jedzeniem i wesołym wtykaniem nosa w moje życie miłosne. Jej mąż, międzynarodowy mistrz szachowy, pisywał felietony do kolumny Ostatnie Ruchy „Timesa”. Umarł jakiś czas temu; Olivia poradziła sobie ze stratą, rzucając się z powrotem w wir pracy, podejmując się wielu krótkich, dobrze płatnych państwowych konsultacji. Potem zwolniła i przyjęła posadę na dystyngowanej, starej uczelni po drugiej stronie miasta, w której nominalnie piastowałem stanowisko profesora.

Olivia wiedziała o państwowych dotacjach i sposobie ich działania więcej niż ktokolwiek, kogo znałem.

O piątej czterdzieści wciąż była przy swoim biurku.

– Alex, kochanie.

– Olivio, moja droga.

– Tak miło, że dzwonisz. Jak leci?

– Bardzo dobrze – odparłem. – A u ciebie?

– Jeszcze dycham. Jak się sprawuje ta nowa?

– Świetnie.

– Nic dziwnego – powiedziała. – Oboje pracujecie w tym samym zawodzie, macie wiele wspólnego. Co nie znaczy, że mam cokolwiek przeciw Robin. Uwielbiam ją, jest cudowna. Tak samo, jak ta nowa. Jakie ma włosy, jakie oczy! To również nic dziwnego, w końcu kawał z ciebie przystojniaka. Kupiłeś sobie nowego psa?

– Jeszcze nie.

– Pies to dobra rzecz – powiedziała. – Kocham swojego Rudy’ego.

Rudy był kudłatym kundlem z rozbieżnym zezem i zamiłowaniem do mięsa z delikatesów.

– Rudy rządzi – powiedziałem.

– Jest mądrzejszy niż większość ludzi.

Ostatnim razem, kiedy z nią rozmawiałem, trzy czy cztery miesiące temu, miała skręconą kostkę.

– Jak noga? – spytałem. – Wróciłaś już do biegania?

– Ha! Nie można wrócić gdzieś, gdzie się nigdy nie było. Prawdę mówiąc, noga wciąż jest jeszcze trochę kapryśna, powinnam zrzucić parę kilo. Ale dziękować Bogu, jakoś się trzymam.

Najnowsza sensacja: biorę środki na nadciśnienie.

– Wszystko w porządku?

– No – powiedziała – mam rozcieńczoną krew. Niestety, nic innego nie zrobiło się cieńsze.

Co mogę dla ciebie zrobić, mój drogi?

Powiedziałem jej.

– Departament Więziennictwa – powtórzyła. – Od dłuższego czasu nie miałam już styczności z tymi wieśniakami. Odkąd prowadziłam konsultacje dla Sybil Brand. Mieli wtedy jakieś państwowe granty przeznaczone na terapie, ale to wszystko miało zostać w więzieniu, więźniarki z dziećmi miały się za to nauczyć, jak zostać dobrymi matkami. Dobry pomysł, ale przeprowadzony żałośnie. Nigdy nie słyszałam o projekcie zewnętrznym, takim, jaki ty opisujesz.

– Możliwe, że nie istnieje – powiedziałem. – A pytasz o to, bo...

– Bo może to mieć związek z pewnymi morderstwami.

– Pewnymi morderstwami – powtórzyła. – Paskudna sprawa?

– Bardzo paskudna.

– Ty i Milo... Co u niego, przy okazji?

– Ciężko pracuje.

– Zawsze tak z nim będzie – powiedziała. – Przykro mi, nic mi nie przychodzi do głowy, ale to, że o czymś nie słyszałam, nie znaczy, że to coś nie istnieje. Zajęłam się nauczaniem, straciłam kontakt z boskim światem publicznego rozdawnictwa... To, co opisujesz, mogło być pilotażowym eksperymentem, poczekaj, odpalę komputer i zobaczę... dobra, poszło, klik, klik, klik... Nie widzę tu żadnego pilotażowego programu z powięzienną terapią resocjalizacyjną NIH-u ani HHS* [National Institutes of Health oraz Health Human Services – dwie instytucje, które zajmują się szeroko pojętymi sprawami zdrowia w Ameryce (przyp. red.)], ani... państwowego... może to prywatne przedsięwzięcie... nie, na tej liście też nic nie ma. Może więc to pełny grant, a nie pilot.

– Spróbuj sprawdzić pod „Strażnicy Sprawiedliwości” – powiedziałem – a jeśli to nic nie da, mam dla ciebie parę innych haseł.

– Dawaj.

– „Synergia”, „de marginalizacja”, „zmiany pogładowe”, „holistyczne współdziałanie”...

– Ten dźwięk, który słyszysz w tle, to jęk pana Orwella.

Zaśmiałem się. Zaczekałem, słuchając, jak Olivia nuci i mruczy coś do siebie.

– Nic – powiedziała w końcu. – Nie mogą nic znaleźć w żadnych bazach danych. Ale nie wszystko trafia do mojego komputera na czas, mam poczciwe, staromodne wydruki. Nie trzymam ich tutaj, muszę się przejść do głównego biura. Które na noc zamykają... Daj mi trochę czasu, skarbie, zobaczę, co się da zrobić.

– Dzięki, Olivia.

– Nie ma za co. Wpadnij czasami, Alex. Przyrowadź Allison. Jest wegetarianką czy coś w tym rodzaju?

– Wręcz przeciwnie.

– Och, ty szczęściarzu – powiedziała. – W takim razie zdecydowanie musisz ją przyrowadzić. Zamarynuję wołowinę, moje steki są sławne. Przywieź Allison i jakieś wino. Przydaliby mi się w domu jacyś uroczy ludzie.

Szósta trzydzieści. Milo zadzwonił do mnie z pracy.

– Księgowy Jerry’ego Quicka kręcił, ale udało mi się wyciągnąć z niego kilka rzeczy. Po pierwsze, mam nieodparte wrażenie, że Quick nie jest klientem z dużymi pieniędzmi. Po drugie, jego dochody pojawiają się sporadycznie, nie ma regularnych przychodów, zarabia tylko wtedy, kiedy uda mu się sfinalizować jakąś umowę, a księgowy nie widzi czeków, wypisuje tylko to, co Jerry mu każe. Najbardziej narzekał na to, że dochody Jerry’ego są tak nieregularne, że strasznie trudno wyliczyć zaliczkę na podatek.

– Klient z niedużymi pieniędzmi – powiedziałem. – Jak mu się ostatnio wiodło?

– Nie mogłem zmusić gościa, żeby mówił konkretnie, ale powiedział, że Quick spóźniał się z

rachunkami.

– Na to samo narzekał Sonny Koppel, więc może Quick żył na krawędzi. Dom w Beverly Hills, mercedes, chociaż kilkuletni. Pozory są ważne. Dodajmy do tego rachunki za leczenie Gavina i powstaje presja.

– Jasne – powiedział Milo. – To by tłumaczyło, dlaczego Quick dał się wciągnąć w coś niepewnego i lukratywnego. Ale nie tłumaczyłoby, dlaczego Sonny i pozostali chcieliby go w to wciągać? Facet jest przeciętnym handlarzem metalem. Co mógłby im zaoferować?

– Broń jest metalowa.

– Od terapii do broni? Rozrastający się syndykat zbrodni?

– Tak mi tylko przyszło do głowy – powiedziałem. – Handlarze lubią handlować. Quick jeździ po kraju i skupuje złom. Czy departamenty policji nie złomują skonfiskowanej broni?

– Tak – powiedział Milo. – Wszystko jest możliwe, ale cały czas nie mamy nic, co by łączyło Quicka czy kogoś innego z przekrętem z terapią, a co dopiero z bronią. A ja wciąż nie mogę drania zlokalizować. Dotarłem do wykazów jego rozmów z domowego telefonu, ale nie ma tam telefonów do żadnych linii lotniczych. W ogóle niczego, co świadczyłoby o jakichś podróżach. Nie mogłem znaleźć żadnego telefonu służbowego, więc zapytałem o to Sheilę. Powiedziała, że używał komórek na kartę. Właśnie coś takiego człowiek robi, kiedy prowadzi lewy interes.

Sheila dalej nie ma pojęcia, gdzie jej mąż może być. Więc może miałeś rację i faktycznie prysnął.

– Jak ona to znosi?

– Była zdrowo zalana, ale wydawała się też trochę przestraszona. Na zasadzie, że może tym razem to coś więcej niż jeszcze jedna podróż w interesach Jerry’ego. Kiedy wytrzeźwieje, będzie jeszcze gorzej, jasność umysłu potrafi człowieka zmęczyć. Podskoczyłem też do biura Quicka.

Zamknięte, ani śladu Angie Niebieskie Paznokcie, przed drzwiami stos pocztu, same reklamówki.

– Może ważna poczta trafia gdzie indziej.

– To by nie był dla mnie szok – powiedział Milo. – Dzwoniłem do mieszkania Angie w North Hollywood. Nikt nie odbiera. Z innych spraw – pan Raymond Degussa pracuje jako bramkarz w klubie w East Hollywood. Petra go nie zna, ale sprawdziła archiwa i nazwisko Degussy pojawiło się przy okazji wezwania patrolu. Zadyma w klubie, Degussa potarł niemiłego klienta, klient wezwał policję, pokazał podbite oko i powiedział, że Degussa groził, że go zabije. Ale nie było świadków, a wzywający był upalony, nieprzyjaźnie nastawiony i ogólnie wredny, więc nie postawiono zarzutów.

– Groźba śmierci – powiedziałem. – Słodki chłopak.

– Na pewno jest w pracy wzorem taktu i dyplomacji. Poza tym jednym wypadkiem był grzeczny. Teraz coś mocniejszego, Bennett Hacker, nasz przypuszczalnie zabłąkany kurator, pracował w kilku filiach, w tym w tej, gdzie pracowała Flora Newsome, ale był tam tylko dwa tygodnie.

– To wystarczy – powiedziałem. – Jak stoisz z czasem, powiedzmy, za godzinę?

Opowiedziałem mu o wystąpieniu Albina Larsena w księgarni.

– Moglibyśmy wpaść i obejrzeć Larsena w innych okolicznościach. Chyba że według ciebie to by go spłoszyło.

– W innych okolicznościach – powtórzył Milo. – Niezła myśl. Co do płoszenia Larsena, mamy wymówkę. Chcieliśmy porozmawiać z nim o Mary Lou i Gullu, a ponieważ taka z niego pracowita pszczołka, a my nie chcieliśmy przeszkadzać mu w pracy, uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

– Oprócz tego, że to wymówka, po czymś takim będzie myślał, że cały czas skupiamy się na jego partnerze. Czy Binchy dalej obserwuje Gulla?

– Tak. Gull się nie wychyla... Mały wypad do księgarni dziś wieczorem... Jasne, zrobmy tak.

Podałem mu adres.

– Spotkajmy się – powiedział – pół przecznicy na wschód, na rogu Szóstej. Bądź trochę wcześniej, piętnaście po siódmej.

– Chcesz się najpierw rozejrzeć?

– Hej – powiedział. – Musimy zająć najlepsze miejsca.

Rozdział 33

Dotarłem na róg Broadwayu i Szóstej o siódmej dziesiątej. Niebo miało barwę tłuczonej cyny.

W Santa Monica wieczory są nieodmiennie chłodne; tego konkretnego wieczoru chłostane morskim wiatrem czerwcowe powietrze było wprost mroźne i ciężkie od zapachu wodorostów i zgnilizny – metaliczno-słodkiej obietnicy deszczu. Po bulwarze kilku bezdomnych pchało swoje sklepowe wózki. Jeden przejechał obok mnie, mamrocząc do siebie. Drugi wziął dolara, którego mu dałem.

– Dzięki, człowieku – powiedział. – Obyś miał lepszy rok.

– Ty też – odparłem.

– Ja? Ja miałem świetny rok – stwierdził dumnie. Był ubrany w łososiową, sportową marynarkę, poplamioną i postrzępioną, która kiedyś należała do potężnego, bogatego człowieka.

– Wpieprzyłem Mike’owi Tysonowi w Vegas, zabrałem jego babkę i zrobiłem z niej moją suczkę.

– Ciesz się.

– Było nieeeeeeeźle.

Wyszczerył się w szczerbatym uśmiechu, pochylił głowę przed wiatrem i ruszył dalej.

Chwilę później zza rogu Szóstej wyszedł Milo. Przebrał się na posterunku w workowate dzinsy i stary, beżowy golf, w którym wyglądał na grubszego, niż był. Wojskowe, pustynne buty stuknęły o chodnik. We włosy wtarł coś gęstego i błyszczącego, od czego miejscami sterczały.

– Trochę autorsko – powiedziałem. – Wyglądasz jak jeden z tych irlandzkich poetów.

Dla mnie cały czas wyglądał jak gliniarz.

– Teraz muszę tylko, cholera, napisać jakąś książkę. No, a kto napisał tę dzisiejszą?

– Profesor z Harvardu. George Issa cośtam, Bliski Wschód.

Zaczęliśmy iść w stronę księgarni.

– Issa Qumdis.

– Znasz go? – spytałem.

– Słyszałem o nim.

– Jestem pod wrażeniem.

– Hej – powiedział. – Czytuję gazety. Nawet jeśli nie drukują w nich zdjęć zabitych

dziewczyn. A skoro o tym mowa, przejechałem się po klubach, próbowałem znaleźć

Christę-Crystal. Ale dzisiaj wieczorem bawimy się w intelektualistów... No i jesteśmy. Jak za

studenckich czasów, co?

Milo studiował w Indianie. Na temat jego uczelnianych lat wiedziałem głównie to, że

ukrywał się ze swoją orientacją.

Staliśmy przed księgarnią, a on przyglądał się fasadzie. Pióro Jest Potężniejsze posiadało

oszkloną witrynę nad przezartą przez sól, ceglana podmurówką i liternictwo szyldu rodem z

plakatu Grateful Dead. Większą część zaciemnionego okna zajmowały ulotki i obwieszczenia. O

dzisiejszym odczycie zawiadamiała kartka zatytułowana PROF. GEORGE I. QUMDIS O

PRAWDZIWYM OBLICZU SYJONISTYCZNEGO IMPERIALIZMU. Obok widniała naklejka

z logo markowej kawy, JAVA INSIDE! i certyfikat poziomu B z Departamentu Zdrowia.

– B – powiedział Milo – oznacza dopuszczalny poziom odchodów gryzoni. Na twoim

miejscu trzymałbym się z dala od ciastek.

W środku nie pachniało kawą ani ciastkami, tylko stęchlizną – starymi, zawilgłymi gazetami.

W miejscach, gdzie ścian nie skrywały regały z surowej sosny, widać było gołe pustaki. Na środku stały beładnie ustawione szafki na kółkach. Podziurawiona, winylowa wykładzina miała kolor starego sosu do deserów. Sufit na wysokości siedmiu metrów pokrywało spaghetti przewodów wentylacyjnych i drabin – nie bibliotecznych, przesuwanych na szynach, tylko składanych, aluminiowych – dla tych, którzy byli gotowi piąć się na wyżyny erudycji.

Przy kasie siedział gruby, długowłosy młody Azjata, zaczytany w czymś obłożonym w zwykły szary papier. Za nim na ścianie wisiała tabliczka z napisem PALENIE WZBRONIONE, ale palił indiańską pałeczkę ziołową. Druga tabliczka, z wymalowaną dłonią z wyciągniętym palcem wskazującym, głosiła ODCZYTY Z TYŁU. Sprzedawca zignorował nas, kiedy przeszliśmy obok niego i zaczęliśmy się przeciskać przez labirynt przenośnych regałów.

Tytuły na grzbietach książek, które udało mi się odcyfrować, składały się głównie z „-izmów”. Krzyczały do nas ochryłym głosem niedojrzałej, podwórkowej rewolucji. Milo rozglądał się i co chwila marszczył czoło. W końcu doszliśmy do małego, ciemnego kawałka wolnej przestrzeni w głębi księgarni, z około trzydziestoma czerwonymi, składanymi krzesłami ustawionymi przed mównicą. Pustymi krzesłami. Na ścianie w głębi był napis TOALETY (UNISEX).

Tylko my.

Mimo gadania o zajmowaniu dobrych miejsc Milo nie usiadł. Wycofał się z powrotem między półki i oparł o jedną z nich.

Doskonały punkt obserwacyjny. Mogliśmy stamtąd patrzeć, samemu nie będąc widzianymi.

– Dobrze, że wcześniej przyszliśmy – szepnąłem. – Tłumy chętnych i tak dalej.

Milo zerknął na krzesła.

– Tyle składanych krzesel. Można by tu urządzać terapię grupową.

Przez następne dziesięć minut nikt się nie pojawił, więc dla zabicia czasu przeglądaliśmy

zawartość półek. Milo wydawał się rozkojarzony, rozluźnił się, a jego twarz nabrała takiego wyrazu, jakby medytował. Ja, zanim zaczęli pojawiać się pierwsi ludzie, przeszedłem przyspieszony kurs na temat: 1. Robienia bomb, 2. Upraw hydroponicznych, 3. Wandalizmu w służbie większego dobra i 4. Moralności i etyki Lwa Trockiego.

Słuchacze zajęli miejsca. Było ich około tuzina, i na pierwszy rzut oka dzielili się na dwie grupy – dwudziestoparoletnich, okolczykowanych i wytatuowanych hobbystów buntu z dreadami, w drogich, porwanych ciuchach, i paru sześćdziesięciolatków odzianych w ziemiste kolory. Kobiety nosiły hełmy stalowo-siwych koków, mężczyźni mieli nastroszone brody i oczy ocienione płóciennymi czapkami.

Wyjątkiem był krępy pięćdziesięcioparolatek o falistych włosach, ubrany w granatowy pidżak, rodzaj dwurzędowej kurtki. Był zapięty pod szyję i miał pogniecione, wełniane spodnie. Siedział na środku w pierwszym rzędzie. Jego szczeka wyglądała jak porośnięta krótką szczecina szuflada. Miał okulary w czarnych oprawkach, szerokie bary i grube uda i wyglądał, jakby właśnie skończył kierować brygadą dokerów. Siedział sztywno, z ramionami złożonymi na beczkowatej piersi i skrzywiony wpatrywał się w mównicę.

Milo przyjrzał mu się i zmrużył oczy.

– Co? – szepnąłem.

– Tam, z przodu, wściekły facet.

– Pewnie tutaj to nic niezwykłego.

– Jasne – powiedział. – Jest się na co wściekać. Przytulniej i milej jest w pieprzonej Korei Północnej.

Siódma czterdzieści, czterdzieści pięć, pięćdziesiąt. Ani śladu Albina Larsena, mówcy czy kogoś z pracowników księgarni. Cicha publiczność. Wszyscy tylko siedzieli i czekali.

Tuż przed ósmą do pomieszczenia wszedł Larsen z wysokim, szacownie wyglądającym

mężczyzną w kraciastej marynarce z zamszowymi łatami na łokciach, brązowych flanelowych spodniach i błyszczących, jasnobrązowych półbutach. Spodziewałem się kogoś o bliskowschodnich rysach, ale profesor George Issa Qumdis miał czerstwą cerę i dystygowany sposób bycia oksfordzkiego wykładowcy. Ocenilem go na pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu lat, wygodnie przeżywany wiek średni. Długawe, szpakowate włosy zawijały mu się nad kołnierzem wykrochmalonej, białej koszuli. Pasiasty krawat przypuszczalnie coś oznaczał. Prosty, wydatny nos, zapadnięte policzki, wąskie wargi. Odwrócił się do publiczności bokiem i zerknął do notatek.

Albin Larsen stanął za mównicą i zaczął przedstawiać temat. Żadnych uprzejmości, żadnych podziękowań dla słuchaczy. Od razu do rzeczy.

Izraelski ucisk Palestyńczyków.

Larsen mówił płynnie, monotonnym głosem, uśmiechając się kpiąco, kiedy wspomniał o „wielkiej dziejowej ironii” – Żydzi, ofiary ucisku, stali się największymi oprawcami dzisiejszego świata.

– Jakie to niepojęte i jakie smutne – zaintonował – że ofiary nazistów przyjęły nazistowskie metody.

Zgodny pomruk słuchaczy. Twarz Mila była zupełnie pozbawiona wyrazu. Wodził wzrokiem od Larsena do publiczności i z powrotem.

Larsen zachowywał się spokojnie, ale wymowa jego słów była coraz gorętsza i bardziej mściwa. Za każdym razem, kiedy wymawiał słowo „syjonizm”, mrugał gwałtownie. Słuchacze zaczęli się zagrzewać do tematu, przytakując mu z rosnącym entuzjazmem.

Wszyscy, z wyjątkiem krzepkiego mężczyzny w pidzaku. Opuścił ręce na kolana i kołysał się lekko na krześle. Odwrócił głowę od mównicy. Zobaczyłem wyraźnie jego profil. Zaciśnięte zęby, mocno zamknięte oczy

Milo przyjrzał mu się dokładniej, sam napiął mięśnie szczęki.

Larsen mówił jeszcze przez chwilę, w końcu szerokim gestem wskazał George'a Issę Qumdisa, wyjął kartkę papieru i zaserwował wszystkim resume osiągnięć akademickich profesora. Kiedy skończył, Issa Qumdis podszedł do podium. Gdy zaczął mówić, odgłos kroków za nami sprawił, że obaj – Milo i ja – odwróciliśmy się.

Do naszego przejścia między regałami wszedł mężczyzna. Trzydzieści parę lat, czarnoskóry, schludny, bardzo wysoki, ubrany w dobrze skrojony szary garnitur i czarną, zapiętą pod szyję koszulę. Zobaczył nas, uśmiechnął się przepaszająco, wycofał.

Milo patrzył, jak mężczyzna skręca pospiesznie w prawo. Nieznajomy już się nie pojawił i dłonie Mila zaczęły się zaciskać.

Skąd tyle napięcia? To był odczyt w księgarni. Może za dużo pracy i za mało wyników. A może instynkt Mila był bardziej wyostrzony niż mój.

Profesor George Issa Qumdis rozpiął marynarkę, przygładził włosy, uśmiechnął się do słuchaczy, zażartował, że jest przyzwyczajony do wykładania na Harvardzie, gdzie publiczność nie osiągnęła jeszcze wieku pokwitania. Kilka osób parsknęło śmiechem. Człowiek w pidzaku znów zaczął się kołysać. Jedną ręką sięgnął za głowę i zaczął się z zapalem drapać.

– Prawdą – powiedział Issa Qumdis – niezbywalną prawdą jest, że syjonizm to najbardziej odrażająca doktryna ze wszystkich w świecie, pełnym przecież wrogich człowiekowi dogmatów.

Syjonizm należy traktować jako złośliwą anemię współczesnej cywilizacji.

Jeden z wytatuowanych i obwieszonych kolczykami zachichotał do ucha swojej dziewczyny.

Issa Qumdis zagrzeł się do tematu, nazywając Żydów, którzy przeprowadzili się do Izraela, „ni mniej, ni więcej, tylko wojennymi zbrodniarzami”.

– Każdy z nich zasługuje na śmierć. – Pauza. – Zastrzeliłbym ich osobiście.

Milczenie.

Nawet jak dla tych słuchaczy to były mocne słowa.

Issa Qumdis uśmiechnął się i przyglądał klapy marynarki.

– Czyżbym kogoś uraził? Mam taką nadzieję. Samozadowolenie jest wrogiem prawdy, a dla mnie, jako naukowca, prawda jest jedynym katechizmem. Tak, mówię o dżihad. O amerykańskiej dżihad, w której...

Przerwał, z otwartymi ustami. Mężczyznę w pidżaku zerwał się na nogi.

– Pierdol się, nazisto! – wrzasnął, zmagając się z guzikami kurtki.

Milo biegł w jego stronę, kiedy Pidżak wyciągnął pistolet, wielki, czarny pistolet, i strzelił Issie Qumdisowi prosto w pierś.

Śnieżnobiała koszula Issy Qumdisa zrobiła się czerwona. Profesor stał z wybałuszonymi oczami. Sięgnął w dół, dotknął piersi i spojrzał na lepki, czerwony palec.

– Ty żaloszny faszysto – zbulgotał.

Wciąż stał. Oddychał gwałtownie, ale oddychał. Nie tracił równowagi. Nie bladł śmiertelnie.

Czerwone strumyki spływały mu po koszuli, brudząc brzegi marynarki.

Poniżony, ale cały i zdrów.

Mężczyzna w pidżaku znów wystrzelił i twarz Issy Qumdisa zamieniła się w czerwoną maskę. Issa Qumdis wrzasnął i zaczął ją pospiesznie wycierać. Albin Larsen siedział na swoim krześle, oszołomiony, nieruchomy.

– O mój Boże – powiedział ktoś.

– To świńska krew! – wrzasnął mężczyzna w pidżaku. – Arabski świniojebco!

Rzucił się na Issę Qumdisa, potknął, upadł, wstał. Issa Qumdis, oślepiiony krwią, wciąż przecierał oczy. Pidżak uniósł broń. Czarny, plastikowy pistolet na wodę.

– Faszysta! – zawyła kobieta w drugim rzędzie, jedna z siwych. Zerwała się na nogi i uczepliła broni. Pidżak próbował ją strząsnąć, ale zawisła mu na rękawie.

Milo przeciskał się do przodu między krzesłami, kiedy towarzysz kobiety, łysy mężczyzna o cofniętym podbródku, w babcinych okularach i czerwonej bluzie z napisem CCCP, przyskoczył do Pidzaka i zaczął po dziecięcemu okładać pięściami jego kark. Pidzak machnął ręką w tył, trafił go w bark i mężczyzna klapnął na podłogę.

Issa Qumdis wytarł oczy i gapił się na szarpaninę. Albin Larsen stanął oszołomiony za nim, podał mu chusteczkę i poprowadził go w głąb księgarni.

Zanim Milo dobiegł do szamotaniny, włączył się do niej jeszcze jeden siwowłosa i Pidzaka obalono na ziemię. Kobieta, która próbowała wyszarpnąć mu pistolet, wreszcie to zrobiła.

Wycelowwała w dół i wystrzeliła w niego strumień farby, ale Pidzak ją kopnął i czerwona struga zamiast w niego, trafiła w jej towarzysza, plamiąc mu dzinsy.

– Cholera! – krzyknął. Poczzerwieniał na twarzy i zaczął wściekle kopać nieruchomego Pidzaka.

Milo go odciągnął. Pidzak jakoś wstał, zamachnął się na odlew na Babcine Okulary, chybił i znów stracił równowagę. Issa Qumdis i Larsen wśliznęli się do koedukacyjnej toalety.

Kobieta znów wycelowwała pistolet, ale Milo ściągnął go w dół i broń trysnęła na podłogę.

– Coś ty za jeden? – zawołała siwowłosa.

Dwóch wytatuowanych i obwieszonych kolczykami wstało. Dobiegłem do Mila w chwili, kiedy ktoś krzyknął: „Brać faszystę!” i tłum wybuchł krzykami i przekleństwami.

Milo złapał Pidzaka za rękaw i zawlókł go do tylnego wyjścia.

Młodzi mężczyźni podeszli na wyciągnięcie ręki. Milo zatrzymał większego z nich szybkim, mocnym ściśnięciem jego gołego bicepsu. Mężczyzna zamrugał.

– Wszystko pod kontrolą, *compadres* – powiedział Milo. – Cofnijcie się.

Nie błysnął odznaką. Zmroził ich ton jego głosu.

Otworzyłem drzwi, a Milo wypchnął Pidzaka w pachnącą solą noc.

Kiedy drzwi wolno się zamykały, obejrzałem się. Większość gapiów pozostała na swoich miejscach.

Za składanymi krzesłami, na pół ukryty wśród regałów – na swoim punkcie obserwacyjnym – stał wysoki, szczupły, czarny mężczyzna w dobrym, szarym garniturze i czarnej koszuli.

Za księgarnią znajdował się zaułek, w nocy całkiem czarny. Milo popchnął Pidzaka na zachód, ruszając szybkim krokiem i szturchając mężczyznę, kiedy ten zwalniał. Pidzak zaczął się wyrywać i przeklinać, a Milo zrobił mu z łopatką coś, od czego tamten zaskomlał.

– Puść mnie, komuchu!

– Zamknij się.

– Ty...

– Jestem z policji, durniu.

Pidzak próbował stanąć. Milo kopnął go w piętę i mężczyzna mimowolnie skoczył do przodu.

– Policja... – powiedział. Głos miał stłamszony i chrapliwy, wyduszał z siebie słowa pomiędzy płytkimi oddechami. – Więc jesteś faszystą, a nie komuchem.

– Co za palant. – Milo zauważył kilka metrów dalej zaparkowany samochód, pchnął Pidzaka w tamtą stronę, przycisnął go do klapy bagażnika. Wykręcił mu rękę za plecy, odpiął od paska kajdanki, zatrzęsął je na nadgarstku mężczyzny, wykręcił drugą rękę, dokończył dzieła.

Od chwili, kiedy Pidzak wyjął pistolet na farbę, do teraz, nie minęło pięć minut.

– Antysemicki... – zaczął.

– Trzymaj mordę na kłódkę i nie podnoś głowy.

Milo szybko go przeszukał, znalazł portfel i klucze.

– Wiem dobrze, ile tam jest, więc...

Palec Mila wylądował na łopatkę Pidzaka. Wspomnienie pierwszego dotyku sprawiło, że

mężczyzna urwał w pół zdania.

Słyszałem warkot samochodów, przejeżdżających bulwarem, ale poza tym noc była cicha.

Milo zajął się portfelem.

– Jest tam dwadzieścia dolarów. Zgadza się?

Cisza. W końcu się odezwał.

– Tak.

– Dwadzieścia dolarów – powiedział Milo. – Szykowałeś się na nocne szaleństwo, cwaniaku?

– To hitlerowiec – powiedział Pidzak. – Ta świnią. On kłamie, to hitlerowiec...

Milo zignorował go i przeczytał prawo jazdy.

– Elliot Simons... co my tu mamy... karta identyfikacyjna z Cedars-Sinai, pielęgniarz... Jesteś pielęgniarzem?

– Instrumentariuszem – powiedział Elliot Simons.

– Gratuluję. Trochę się pan zapomniał, panie Simons.

– To hitlerowiec, on kłamie, twierdzi...

– Tak, tak.

– Niech mi pan przestanie przerywać, dajcie mi skończyć – powiedział Simons. – Twierdzi, że jest...

– To oszust – wtrącił Milo. – Napisał książkę, twierdzi, że jest palestyńskim uchodźcą z Jerozolimy, ale urodził się we Włoszech, jest pół Anglikiem, pół Syryjczykiem. Pisali o tym w jednym z żydowskich pism.

Wytrzeszczyłem oczy na mojego przyjaciela. Elliot Simons też. Milczał, kiedy Milo przeglądał jego karty kredytowe.

– Obserwowaliście go? – spytał w końcu. – Kto was przysłał?

– A jak pan myśli? – odparł Milo.

– Rząd? Wreszcie zmartwychwstali i się nim zainteresowali? W samą porę, ten człowiek to zdrajca, zdarza się jedenasty września, a rząd cały czas nie wie, co ma robić. Ile trzeba wam zrobić, żebyście wreszcie jakoś zareagowali?

– Uważa pan Issę Qumdisa za terrorystę.

– Słyszeliście go.

Simons miał prostą twarz robotnika. Pospolitą, z wyjątkiem oczu – płonęło w nich coś więcej niż gniew. Zagrzechotał kajdankami.

– Proszę mi to zdjąć.

– Od jak dawna go pan śledzi? – spytał Milo.

– Nikogo nie śledziłem – odparł Simons. – Czytam gazety, dowiedziałem się, że rozpowszechnia swoje kłamstwa i postanowiłem coś z tym zrobić. Nie zamierzam za nic przeproszać, jeśli chcecie mnie aresztować, proszę bardzo. Wszystko opowiem.

– To znaczy co?

– Ten facet to hitlerowiec z tytułem Ligi Bluszczowej* [Do tzw. Ligi Bluszczowej zalicza się amerykańskie uczelnie z tradycjami, których kampusy mieszczą się w starych obrosniętych bluszczem budynkach

(przyp. red.)] – Oczy Simonsa rozgorzały jeszcze bardziej. – Moi rodzice byli w Oświęcimiu. Nie zamierzam tolerować jakiegoś jebanego nazisty, który rozgłasza takie kłamstwa.

Milo wskazał czerwoną plamę na przodzie jego kurtki.

– To naprawdę świńska krew?

Simons wyszczerzył się w dumny uśmiech.

– Skąd ją pan wziął? – spytał Milo.

– Z East Los Angeles – odparł Simons. – Z jednej z rzeźni. Przyniosłem z pracy trochę heparyny i zmieszałem je. To antykoagulant, chciałem mieć pewność, że krew nie skrzepnie.

– Sprytne. Jest pan w końcu instrumentariuszem i w ogóle.

– Jestem najlepszy – oznajmił Simons. – Mógłbym być lekarzem, ale nie stać mnie było na studia. Tata zawsze był chory, nie mógł pracować po tym, co mu zrobili w obozie. Nie narzekam, radzę sobie. Posłałem czwórkę dzieci na uczelnie Ligi Bluszczowej. Jestem najlepszy. Jak mi pan nie wierzy, niech pan sprawdzi, lekarze mnie uwielbiają. Proszą o mnie, bo jestem najlepszy.

– Zna pan doktora Richarda Silvermana?

Simons pospiesznie przytaknął.

– Znam go, a on mnie. Czarodziej skalpela, skąd go pan zna?

– Słyszałem o nim – powiedział Milo.

– No tak – stwierdził Simons. – Niech pan zadzwoni i spyta doktora Silvermana o Elliota Simonsa. On wie, że nie jestem żadnym świrem. Kiedy mam coś zrobić, jestem totalnie skupiony.

– Dzisiaj skupił się pan na zniszczeniu ubrania Issy Qumdisa.

– Gdybym tylko miał prawdziwy pistolet...

– Proszę nic więcej nie mówić, proszę pana – ostrzegł Milo. – Dla pana własnego dobra nie chcę słyszeć żadnych gróźb.

– „Proszę pana” – powtórzył Simons. – Nagle zrobił się pan oficjalny? – Znów potrząsnął kajdankami. – I co teraz?

– Gdzie pana dzieci chodzą do szkoły?

– Trzy do Columbii, jedno do Yale. Pieprzyć ich – powiedział Simons, pryskając śliną. – Nie moje dzieciaki, ale ich, tych nazistów i komuchów tam w księgarni, którzy wierzą w to gówno. Pięćdziesiąt lat temu chcieli nas eksterminować, a my przeżyliśmy i powiedzieliśmy: „Pierdolcie się, jesteście od was mądrzejsi”. Więc pieprzyć ich. Chce mnie pan aresztować za to, że bronię swojego narodu, proszę bardzo. Wezmę prawnika i pozwę do sądu tego nazistowskiego drania,

który mnie kopnął, razem z jego nazistowską suką. A potem pozwę tego arabskiego szmacciarza i szwedzkiego fiuta, który pewnie rżnie go w dupę, i pana też dorzucę.

Znów zaczął dyszeć.

– Dlaczego wybrał pan Iszę Qumdisa? – spytał Milo.

– To nazista i był na miejscu.

– Jakiś inny powód?

– To nie wystarczy? *Goyishe kopf* – mruknął Simons.

– Tak, jestem głupim gojem – powiedział Milo. – Ale na razie to pan jest cały wysmarowany krwią i zakuty w kajdanki, a jedyne, co pan tam wskórał, to podbudował pan poparcie dla tego faceta.

– Gówna prawda – odparł Simons. – Przyszli jako żydożercy i wyjdą jako żydożercy, ale przynajmniej wiedzą, że nie będziemy biernie czekać, aż zapędzą nas do pieców.

Zerknął podejrzliwie na Mila.

– Nie jest pan Żydem, prawda?

– Obawiam się, że nie.

– Czyli co, Niemcem?

– Irlandczykiem.

– Irlandczykiem – powtórzył Simons, jakby nie mieściło mu się to w głowie. Spojrzał na mnie. – A pan jest Żydem?

Pokręciłem głową.

– Czyli co, gliniarze czytają „Żydowski Kaganek”?

– Słyszysz się różne rzeczy tu i tam.

Simons uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Dobra, czyli zabraliście się do niego na poważnie. W samą porę.

– Ten człowiek, który przedstawił Iszę Qumdisa – powiedział Milo. – Co z nim?

– Co z nim?

– Co powinienem o nim wiedzieć?

– Pieprzony Szwed – powiedział Simons. – Jeszcze jeden jebany profesorek. Moje dzieci miały profesorów na studiach, mógłbym wam opowiedzieć takie rzeczy...

– Zostańmy przy profesorze Larsenie – przerwał Milo. – Co powinienem o nim wiedzieć?

– Był z tym nazistą, więc pewnie sam jest nazistą... Wiedzieliście, że Szwedzi podczas wojny twierdzili, że są neutralni, ale jednocześnie robili interesy z Niemcami? Że żołnierze SS pieprzyli się ze Szwedkami na prawo i lewo, urządzali orgie i zapładniali je? Pewnie połowa tych, którzy się podają za Szwedów, to Niemcy. Może on jest jednym z nich. Ten Larsen. Słyszeliście, co on tam mówił? Jego też powinienem zastrzelić.

– Dość – powiedział Milo. – Jeśli dalej będzie pan mówił takie rzeczy, będę musiał pana zamknąć.

Simons popatrzył na niego.

– A nie zamierza pan?

Zaułkiem nadjechał samochód, zwolnił, żeby nas wyminąć, pojechał do Szóstej i skręcił w lewo.

Milo milczał.

– Co? – powiedział Simons. – O co tu chodzi?

– Przyjechał pan tu własnym samochodem?

– To Los Angeles, jak pan myśli?

– Gdzie pan zaparkował?

– Za rogiem.

– Za którym rogiem?

– Na Szóstej – odparł Simons. – Co, chce mi go pan skonfiskować?

– Jaki to samochód?

– Toyota. Jestem pielęgniarzem, a nieprzeklętym lekarzem.

Nie zdejmując mu kajdanków, zaprowadziliśmy go do samochodu. Dwa wozy przed moim seville'em, po drugiej stronie ulicy stał wóz Milo.

– Teraz tak – powiedział Milo. – Pojedzie pan prosto do domu, bez oglądania się, i więcej pan tu nie wróci. Nigdy. Proszę się trzymać z dala i niech to będzie nauczka.

– Jaka nauczka?

– Że mądrze jest mnie słuchać.

– A co w panu takiego wyjątkowego?

– Jestem głupim gojem, który wie, co jest grane.

Milo złapał Simonsa za kołnierz, zacisnął go na grubej szyi mężczyzny. Simons wybałuszył oczy.

– Pan...

– Robię ci przysługę, durniu. I to dużą. Nie wystawiaj na próbę mojej dobrej woli.

Simons gapił się na niego.

– Pan mnie dusi.

Milo poluzował materiał o milimetr.

– Dużą przysługę – powtórzył. – Oczywiście, jeśli pan woli, mogę pana aresztować i zapewnić duży rozgłos. Niektórzy uznają pana za bohatera, ale nie sądzę, żeby lekarze w Cedars-Sinai dalej o pana prosili, kiedy do wiedzą się, jaki jest pan nierozsądny.

– Będą prosili – powiedział Simons. – Jestem...

– Jest pan głupi – przerwał mu Milo. – Zachlapał się pan cały świńską krwią i nic nie wskórał.

– Ci ludzie...

– Nienawidzą pana i dalej będą nienawidzić, ale to skrajna mniejszość. Chce pan coś osiągnąć? Niech pan się zgłosi jako wolontariusz do Centrum Holocaustu, oprowadzać szkolne wycieczki. Niech pan nie marnuje czasu na tych idiotów.

Wzruszył ramionami.

– To tylko moje zdanie. Jeśli się pan z nim nie zgadza, spełnię pana marzenia o męczeństwie i zamknę pana w ślicznej, małej celi z jakimś facetem, który na pewno nie miał w szkole piątki z wrażliwości etnicznej.

Simons przygryzł wargę.

– Życie jest krótkie. Chcę o coś walczyć.

– I o to chodzi – powiedział Milo. – Przeżycie jest najlepszą zemstą.

– Kto tak powiedział?

– Ja.

Simons w końcu się uspokoił, a Milo go rozkuł. Pielęgniarz popatrzył na swoją zakrwawioną kurtkę, jakby zauważył plamę po raz pierwszy. Skubnął czysty kawałek kłapy.

– To już do wyrzucenia, nie mogę się tak pokazać żonie.

– Słuszna uwaga – stwierdził Milo. – Niech pan się stąd w cholerę wynosi.

Oddał Simonsowi portfel i kluczyki i wsadził go do jego toyoty. Simons szybko odjechał, popędził do Broadwayu, skręcił w prawo bez kierunkowskazu.

– To dopiero – powiedział Milo – była frajda.

Obejrzał własne ubranie.

– Czyste – powiedziałem. – Już patrzyłem.

Odprowadził mnie do seville'a. Kiedy do niego doszliśmy, usłyszeliśmy za sobą głos, miękki, kulturalny, na skraju słyszalności.

– Panowie? Panowie policjanci?

Wysoki czarny mężczyzna w szarym garniturze stał na chodniku, może trzy metry od nas.

Dłonie trzymał splecione przed sobą i ciepło się uśmiechał. Bardzo się starał wyglądać niegroźnie.

– O co chodzi? – spytał Milo, opuszczając dłoń do pistoletu.

– Czy mogę z panami pomówić, proszę? O jednym z ludzi w księgarni?

– O kim?

– O Albinie Larsenie – powiedział mężczyzna.

– O co chodzi?

Mężczyzna mówił, nie przestając się uśmiechać.

– Czy możemy porozmawiać na osobności?

– Dlaczego? – spytał Milo.

– To, co chcę powiedzieć, proszę pana, to nie są... miłe rzeczy. To nie jest miły człowiek.

Rozdział 34

Proszę podejść bardzo powoli, z rękami na widoku – powiedział Milo. – Dobrze, teraz proszę mi pokazać jakiś dowód tożsamości.

Mężczyzna posłuchał, wyjął lśniący, czarny portfel, wyciągnął z niego wizytówkę i podał ją Milowi. Ten przeczytał ją i podał mnie. Gruby, biały papier, pięknie tłoczony.

PROTAIS BUMAYA

Wysłannik specjalny

Republika Rwandy

Konsulat Zachodniego Wybrzeża

Montgomery Street 125, apartament 840

San Francisco, CA 94104

– Wystarczy, proszę pana? – spytał Bumaya.

– Na razie tak.

– Dziękuję panu. Czy mogę poznać pana nazwisko?

– Sturgis.

Możliwe, że Bumaya oczekiwał cieplejszego przedstawienia, bo uśmiech w końcu spelzł mu z twarzy.

– Jest tu pewien lokal, tawerna, przecnicę dalej. Czy możemy się tam zebrać?

– Tak – powiedział Milo. – Zbierzmy się.

„Tawerna” znajdowała się po drugiej stronie Broadwayu, między Czwartą i Piątą. Była to pozbawiona okien speluna o nazwie Morska Bryza, w zamierzeniu w stylu tudor, z przeżartymi solą drzwiami, kiedyś uchodzącymi za angielski dąb. Była pozostałością po Santa Monica, jakie istniało między dwiema falami populacji, które zbudowały to nadmorskie miasto – przyciężkimi mieszkańcami ze Środkowego Zachodu, którzy ciągnęli na zachód na początku XX wieku, szukając ciepła i – siedemdziesiąt lat później – lewicującymi społecznymi aktywistami, wykorzystującymi najlepszy w Kalifornii system kontroli czynszów.

Między nimi zaistniało zepsucie, które osiąga się, mieszając turystów, cwaniaków, rozkoszną pogodę i ocean, ale Santa Monica pozostało miastem ukształtowanym przez zadufanie w sobie:

Milo zmierzył wzrokiem nieprzyjazną fasadę lokalu.

– Był pan tu już wcześniej?

Bumaya pokręcił głową.

– Wybrałem ten lokal, bo jest najbliżej.

Milo pchnął drzwi i weszliśmy do środka. Długa, niska, ciemna sala, po lewej trzy proste budki, po prawej drewniany bar pociągnięty błyszczącym lakierem. Ośmiu pijaków, siwowłosych i szarych na twarzach, opartych brzuchami o winylowe obicie, naprzeciw barmana, który wyglądał, jakby w regularnych odstępach czasu próbował swoich towarów. W powietrzu dość wilgotnym, by hodować tu paprocie, unosił się zapach chmielu, drożdży i niemytych ciał. Kiedy weszliśmy, powitało nas dziewięć spojrzeń. Frankie Valli z szafy grającej poinformował nas, że jesteśmy za dobrzy, żebyśmy byli prawdziwi.

Zajęliśmy najdalszą budkę. Barman nas zignorował. W końcu podszedł jeden z pijaków, brzuchaty facet w zielonej koszulce polo i szarych, spodniach. Małe, chromowane etui na drobne, wiszące przy jego pasku dawało do zrozumienia, że jest tu służbowo.

Spojrzał na Bumayę, skrzywił się.

– Co ma być?

Milo zamówił szkocką.

– Dla mnie też – powiedziałem.

– Poproszę boodlesa z tonikiem – powiedział Protais Bumaya.

– Mamy gilbeysa. – Może być.

Zielona Koszulka prychnął.

– Ja myślę, że może.

Bumaya odprowadził go wzrokiem. – Najwyraźniej kogoś obraziłem.

– Pewnie nie lubią tu wysokich, ciemnych nieznajomych – powiedział Milo.

– Czarnych?

– Może to też.

Bumaya się uśmiechnął.

– Słyszałem, że to postępowe miasto.

– Życie jest pełne niespodzianek – powiedział Milo. – A więc co mogę dla pana zrobić, panie Bumaya?

Bumaya zaczął mówić, lecz zamilkł, kiedy barman przyniósł drinki.

– Dziękuję panu – powiedział do Zielonej Koszulki.

– Coś jeszcze?

– Solone orzeszki, jeśli macie – powiedział Milo. – Jeśli nie, trochę ciszy i spokoju, przyjacielu.

Zielona Koszulka spojrzał na niego nieprzyjaźnie.

Milo wychylił szkocką. – I jeszcze raz to samo.

Zielona Koszulka wziął jego szklanekę, podszedł do baru, wrócił z dolewką i miseczką poskręcanych precelków.

– Są wystarczająco słone?

Milo zjadł jednego i chrząknął.

– Uczciwie zarobię na zawał.

– Co?

Milo błysnął swoim wilczym uśmiechem.

Zielona Koszulka zamrugnął i wycofał się.

– Tak – powiedział Milo, kiedy mężczyzna siadł z powrotem na swoim stołku. Zjadł następnego precelka. – To bardzo postępowe miasto.

Protais Bumaya siedział bez ruchu, starając się nie dać po sobie poznać, że się nam przygląda. W kiepskim świetle jego skóra zdawała się mieć kolor śliwki. Szeroko rozstawione

oczy w kształcie migdałów prawie w ogóle się nie poruszały. Dłonie miał olbrzymie, ale nadgarstki cienkie. Był wyższy nawet od Mila, mierzył metr dziewięćdziesiąt parę. Miał długie nogi; siedział nisko, sprawiając dziwnie chłopiące wrażenie.

Przez chwilę piliśmy w milczeniu. Frankie Valli ustąpił pola Dusty'emu Springfieldowi, który chciał być tylko z nami. Bumaya wydawał się rozkoszować swoim dżinem z tonikiem.

– A więc – powiedział Milo – o co chodzi z Albinem Larsenem?

– Postępowy człowiek, poruczniku Sturgis.

– Pan uważa inaczej.

– Obserwowaliście go w księgarni – powiedział Bumaya.

– Kto powiedział, że to jego obserwowaliśmy?

– A kogo? George Issa Qumdis bez przerwy wygłasza polityczne mowy. To osoba publiczna.

Czego mógłby się dowiedzieć policjant z obserwowania go? A ten koleżka w marynarskiej kurtce. Impulsywny, ale żaden z niego przestępca.

– Tak brzmi pańska diagnoza, tak?

– Psika w ludzi farbą – powiedział wymijająco Bumaya. – Przesłuchał go pan i wypuścił. Jest pan detektywem, prawda?

Milo jeszcze raz przeczytał wizytówkę Bumayi.

– Specjalny wysłannik. Jeśli zadzwonię pod ten numer i zapytam o pana, co mi powiedzą?

– O tej porze, proszę pana, usłyszysz nagraną wiadomość, polecającą, żeby zadzwonił pan w godzinach urzędowania. Jeśli zadzwoni pan podczas godzin urzędowania, usłyszysz kolejną nagraną wiadomość, pełną rozmaitych możliwości. O ile dokona pan właściwego wyboru, w końcu uda się panu porozmawiać z czarującą kobietą o imieniu Lucy, która jest sekretarką pana Lloyda MacKenzie, elokwentnego, uroczego adwokata z San Francisco, który de facto pełni rolę konsula Zachodniego Wybrzeża, Republiki Rwandy. Pan MacKenzie z kolei poinformuje pana,

że jestem legalnym przedstawicielem swój ego kraju.

Bumaya błysnął zębami.

– Jeżeli wolałby pan tego wszystkiego uniknąć, może mi pan po prostu uwierzyć.

Milo dopił drugą szkocką. Była mocna, ostra; ja męczyłem się jeszcze z pierwszą.

– Specjalny wysłannik – powiedział. – Jest pan gliną?

– Obecnie nie.

– Ale?

– Ale pracowałem w policji.

– Więc niech pan przestanie pieprzyć i powie mi, czego chce.

Oczy Bumayi zabłyśły. Oplótł długie, wypielęgnowane palce wokół szklanki, wsadził jeden do drinka i obrócił cząstkę limonki.

– Chcę, żeby Albin Larsen dostał to, na co zasłużył.

– A co to takiego?

– Kara.

Bumaya sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął błyszczący, czarny portfel.

Otwierając go, przesunął palcem po szwie. Pozornie mocno trzymający szew rozdzielił się, ukazując szparę. Bumaya sięgnął do środka i wyjął małą, białą kopertę.

Patrząc nad stołem, podrzucił ją wypolerowanym paznokciem.

– Ile panowie wiecie o ludobójstwie, które spustoszyło mój kraj w 1994 roku?

– Wiem, że zginęło mnóstwo ludzi, a świat stał z boku i patrzył – odparł Milo.

– Prawie milion ludzi – powiedział Bumaya. – Najczęściej podawaną liczbą jest osiemset tysięcy, ale uważam, że to liczba zaniżona. Rewizjoniści, którzy pragną zminimalizować horror, twierdzą, że wyróżniono jedynie trzysta tysięcy ludzi.

– Jedynie – powtórzył Milo.

Bumaya przytaknął.

– Według mojej oceny, popartej obserwacjami i znajomością konkretów, jeśli wliczyć zmarłych od ciężkich obrażeń, ostateczna liczba będzie bliższa miliona, a może nawet większa.

– Co to ma wspólnego z Albinem Larsenem?

– Larsen przebywał w moim kraju podczas rzezi, pracując dla Narodów Zjednoczonych w Kigali, naszej stolicy, w czasie najgorszych okrucieństw. Doradzał. Był konsultantem do praw człowieka.

– Co to oznaczało, w kontekście pańskiego kraju?

– Wszystko, cokolwiek Larsen chciał, żeby oznaczało. ONZ wydaje miliardy dolarów, opłacając ludzi, którzy robią, co chcą.

– Nie jest pan zwolennikiem międzynarodowych organizacji, panie Bumaya.

– ONZ nie zrobiło nic, żeby powstrzymać rzeź w moim kraju. Wręcz przeciwnie, pewne osoby, opłacane przez ONZ, odegrały aktywne i bierne role w masowych mordach. Organizacje międzynarodowe zawsze były dobre w potępianiu tragedii po fakcie, ale całkowicie niezdolne im zapobiec.

Bumaya podniósł szklankę i wypił długi łyk. Mała koperta pozostała wetknięta między palce jego wolnej dłoni.

– Twierdzi pan, że Larsen brał udział w ludobójstwie? – spytał Milo. – Mówimy o udziale aktywnym czy biernym?

– A to jakaś różnica?

– Proszę zaspokoić moją ciekawość.

– Nie wiem, detektywie Sturgis – powiedział Bumaya. – Jeszcze. Zerknął w stronę baru.

– Chce pan jeszcze jednego drinka?

– Tak, ale muszę podziękować. – Bumaya znów pstryknął kopertę. – W styczniu 2002 roku

człowiek nazwiskiem Laurent Nzabakaza został aresztowany za współudział w rwandyjskim ludobójstwie. Przedtem pracował jako naczelnik więzienia na przedmieściach Kigali. Większość więźniów stanowili Hutu. Kiedy zaczęły się zamieszki, Nzabakaza otworzył ich cele, uzbroił ich we włócznie, maczety, pałki i całą broń palną, jaką znalazł, a potem wskazał im domy Tutsich. To było przedsięwzięcie rodzinne, żona i nastoletni synowie Nzabakazy brali w tym udział, zachęcając morderców do gwałtów i rzezi. Zanim wszystko to wyszło na światło dzienne i Nzabakaza został w końcu aresztowany w Genewie, znalazł sobie nową pracę. Jako śledczy Międzynarodowego Trybunału Karnego w Rwandzie. To Albin Larsen pomógł mu zdobyć to stanowisko. Larsen robił to samo dla innych ludzi, spośród których kilku uznano za podejrzanych o udział w rzeziach.

– Żli pracowali dla sądu, który miał ich osądzić.

– Proszę sobie wyobrazić Goeringa albo Goebbelsa, opłacanych przez trybunał monachijski.

– Larsen jest jakąś szyszką wśród Hutu?

– Larsen był... jest oportunistą. Ma niepodważalne referencje. Doktorat z psychologii, profesura w Szwecji i Stanach Zjednoczonych. Był na liście płac ONZ i kilku organizacji humanitarnych przez ponad dwie dekady.

– Ekspert od praw człowieka – powiedziałem.

Bumaya otworzył białą kopertę i wyjął z niej małe, kolorowe zdjęcie, które położył na środku stołu.

Dwaj uśmiechnięci chłopcy w białych koszulach i kraciastych, szkolnych krawatach.

Lśniaca, mahoniowa skóra, jasne oczy, krótkie włosy, białe zęby. Jeden nieco starszy od drugiego, na moje oko dziewięć i jedenaście lat.

– Ci chłopcy – powiedział Bumaya – to Joshua i Samuel Bangwa. Kiedy robiono to zdjęcie, mieli osiem i dziesięć lat. Joshua był doskonałym uczniem, który uwielbiał fizykę, a Samuel,

starszy, świetnie sobie radził w sporcie. Ich rodzice byli adwentystami, uczyli w szkole przykościelnej w wiosce Butare. Niedługo po tym, jak Kigali padło pod naporem powstańców Hutu, Butare zostało namierzone jako cel, ponieważ było osadą Tutsich. Oboje rodziców rozsiekali żołnierze Laurenta Nzabakazy. Ich matka została wielokrotnie zgwałcona, przed i po śmierci. Joshua i Samuel, schowani w szafie i oglądający to wszystko przez szparę w drzwiach, uciekli i ostatecznie zostali wywiezieni z Rwandy przez ministra adwentystów. Jako naoczni świadkowie w sprawie przeciw Nzabakazie zostali przewiezieni do Lagos w Nigerii i umieszczeni w szkole z internatem, w której uczyły się dzieci dyplomatów ONZ i potomstwo wysokiego szczebla urzędników nigeryjskiego rządu. Dwa tygodnie po zatrzymaniu Laurenta Nzabakazy w Szwajcarii chłopcy nie pokazali się na śniadaniu. Przeszukano pokoje i znaleziono ich obu w łóżkach. Mieli gardła poderżnięte od ucha do ucha. Jedno pociągnięcie brzytwy na jedno dziecko, bez marnowania energii.

– Zawodowiec – powiedział Milo.

Bumaya wyciągnął limonkę ze szklanki, wyssał ją odłożył z powrotem.

– Szkoła była strzeżoną, pilnowaną placówką, detektywie, nie było śladów włamania.

Sprawa pozostaje nierozwiązana.

– A Albin Larsen...

– Był psychologiem, konsultantem przy szkole, chociaż rzadko przebywał na jej terenie.

Jednakowoż na tydzień przed morderstwem chłopców przyjechał do Lagos i zajął pokój w skrzydle nauczycieli. Powodem jego wizyty miało być wystawienie certyfikatu placówce ONZ.

Będąc na miejscu, zaangażował się również w inną lokalną działalność.

– Taką jak...

– Niech mi pan pozwoli dokończyć, proszę – powiedział Bumaya. – Okazało się, że Larsen miał wizytować szkołę dopiero za kilka miesięcy, ale postanowił przyspieszyć swój przyjazd.

– Myśli pan, że zabił tych dwóch chłopców? – spytał Milo.

Bumaya zmarszczył czoło.

– Nie dowiedziałem się niczego, co by dowodziło, że Larsen kiedykolwiek używał przemocy. Wiadomo jednak, że miał powiązania z gwałtownymi ludźmi i ułatwiał im działanie.

Co pan, jako detektyw, powiedziałby o następującym połączeniu faktów: przyjaźń Larsena z Laurentem Nzabakazą, zagrożenie, jakim dla Nzabakazy byli chłopcy, niespodziewana obecność Larsena w szkole?

Milo wziął zdjęcie, przyjrzał się uśmiechniętym twarzom.

– Jestem przekonany – powiedział Protais Bumaya – że Larsen wynajął kogoś, żeby zamordował te dzieci. Ale jeszcze nie jestem w stanie tego dowieść.

– Przysłano tu pana, żeby pan tego dowiódł?

– Przy okazji innych zadań.

– Na przykład?

– Poznawania faktów.

– Poznał pan jakieś? – spytał Milo.

Bumaya opadł na oparcie i westchnął.

– Jak dotąd niewiele udało mi się osiągnąć. Dlatego, kiedy zobaczyłem panów, obserwujących Larsena, pomyślałem: To moja szansa.

Rozpłaszczył dłonie na stole. Kłykcie miał szare.

– Czy istnieje możliwość, żebyście panowie dzielili się ze mną informacjami?

– To tak nie działa.

Długie milczenie.

– Rozumiem.

– Co jeszcze pan wie o Larsenie? – spytał Milo.

– W sensie?

– Co to była za „lokalna działalność”?

– Profesor Larsen posiada dalekosiężne zainteresowania – powiedział Bumaya – ale dla moich celów są one nieistotne.

– Ja myślę o swoich celach – odparł Milo.

– Był związany z różnymi programami. – Bumaya wymówił to słowo, jakby to było przekleństwo. – Sponsorowanymi przez ONZ, prywatnymi. Larsen zajmuje się różnymi programami dla osobistych korzyści.

– Alfons nieszczęścia – powiedział Milo.

Bumaya słabo się uśmiechnął.

– Nigdy nie słyszałem tego określenia. Podoba mi się. Tak, to trafne sformułowanie.

– Mowa tu o dużych pieniądzach?

Uśmiech Bumayi stał się szerszy.

– Można by pomyśleć, że przy papierkowej robocie, której wymaga biurokracja, ktoś ustali limit godzin w tygodniu.

– Larsen wystawia fałszywe rachunki – powiedziałem.

– Konsultacja tu, konsultacja tam. Jeśli wierzyć jego fakturom, jest najbardziej zajęтым człowiekiem na świecie.

– O jakich programach tu mówimy? – spytał Milo.

– Znane są mi tylko te z mojego kraju i z Lagos. W większości są to szkoły i towarzystwa opieki społecznej. Przynajmniej tuzin. Kiedy przyjrzeć się papierom *in toto*, okazuje się, że Larsen pracuje sto pięćdziesiąt godzin w tygodniu.

– Czy któreś z tych programów obejmowały resocjalizację więźniów? – spytał Milo.

Bumaya się uśmiechnął.

– O co chodzi?

– Larsen poznał Laurenta Nzabakazę właśnie dzięki pracy w więzieniu. Uzyskał dotacje luterańskiego kościoła na program szkolenia psychologicznego, mający pomóc więźniom Nzabakazy przemóc swoje przestępcze skłonności. Strażnicy Sprawiedliwości. Sowite opłacanie Nzabakazy pomogło... czy mówi się „nasmarować koła”?

– Osie – powiedział Milo. – Smarować osie.

– Ach – powiedział Bumaya. – W każdym razie więźniowie leczeni przez Strażników Sprawiedliwości byli tą samą grupą, którą Nzabakaza uzbroił i wysłał na Butare. Larsen rozpoczął już identyczny program w Lagos, a kiedy ludobójstwo położyło kres jego działalności w Rwandzie, zaczął się koncentrować na filii nigeryjskiej.

Wielka, ciemna dłoń zacisnęła się na szklance.

– Myślę, że jeszcze się napiję.

Milo wziął szklankę, podszedł do baru i wrócił z napełnioną po brzegi. Bumaya wypił połowę.

– Dziękuję... Larsen próbował podczepić się pod kryzys w Bośni, ale nie udało mu się, bo była za duża konkurencja. Ostatnio wyraża spore zainteresowanie kwestią palestyńską. Był jednym z cudzoziemców, którzy pojechali do Jenin, żeby wyrazić poparcie dla Arafata podczas izraelskiego oblężenia. Dostarczył ONZ opowieści o jenińskiej masakrze.

– Tej, której nie było – powiedział Milo.

– Tak, wynikł z tego krótki, ale ostry międzynarodowy skandal, a Larsenowi zapłacono za konsultacje. Jego pojawienie się w tym rejonie jest prawdopodobne, bo jego kuzyn, Torvil

Larsen, jest urzędnikiem UNRWA* [United Nations Relief and Work Agency for Palestine Refugees in the

Near East – Agencja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Zatrudniania Uchodźców Palestyńskich na

Bliskim Wschodzie (przyp. red.)] w Gazie. Kiedy powstaje międzynarodowy konflikt, Larsen zawsze pojawi się na miejscu, żeby zarobić parę dolarów. Jeśli ktoś go nie powstrzyma.

– Zamierza go pan powstrzymać? – spytał Milo.

– Ja – powiedział Bumaya, stukając się w pierś – jestem poszukiwaczem faktów, nie człowiekiem czynu.

Milo popatrzył na zdjęcie uśmiechniętych chłopców.

– Gdzie pan mieszka w Los Angeles?

– W domu przyjaciela.

Milo wyjął notes.

– Nazwisko, adres i numer telefonu.

– Czy to konieczne?

– O co chodzi? – spytał Milo. – Nie może mi pan powiedzieć?

Bumaya spuścił wzrok. Dopił drinka.

– Mieszkam u Charlotte i Davida Kabandów. – Wolno wymówił nazwisko. – To lekarze, stażyści w Szpitalu Weteranów w Westwood.

– Adres? – spytał Milo.

– Charlotte i David znają mnie jako kolegę ze studiów. Studiowałem prawo. Wierzą, że jestem prawnikiem.

Milo postukał w notes.

– Adres.

Wyrecytował numer mieszkania przy Ohio.

– Telefon?

Bumaya wyrzucił z siebie siedem cyfr.

– Jeśli zadzwoni pan do Charlotte i Davida i wyjawi im, o czym rozmawialiśmy, nie będą

rozumieli. Sądzą, że prowadzę tu badania prawnicze.

– Ich mieszkanie to pana jedyne miejsce pobytu? – spytał Milo.

– Tak, detektywie.

– Jest pan wysłannikiem, ale nie dostał pan bonów hotelowych?

– Jesteśmy bardzo biednym krajem, detektywie, walczymy o zjednoczenie. Pan Lloyd MacKenzie, nasz de facto konsul, pracuje dla nas za zaniżone wynagrodzenie. To prawdziwie humanitarny człowiek.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Larsenie? – spytał Milo.

– Powiedziałem panu już dużo.

– Mam powtórzyć pytanie?

– Wolałbym, aby informacje przepływały w obydwie strony – powiedział Bumaya.

– Aha.

Protais Bumaya pokazał dwa rzędy równych, perłowo-białych zębów.

– A więc to wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia.

– W porządku. – Milo zamknął notes.

– Proszę pana – powiedział Bumaya – w naszym obopólnym interesie leży współpraca.

– Proszę pana – odrzekł Milo – jeśli będzie coś, o czym powinien pan wiedzieć, poinformuję pana. Tymczasem proszę zachować ostrożność. Zagraniczny agent wmieszany w toczące się śledztwo... Nie wyniknęłoby z tego nic dobrego.

– Detektywie, nie mam najmniejszego zamiaru...

– W takim razie nie mamy problemu.

Bumaya zmarszczył brew.

– Napije się pan jeszcze? – spytał Milo. – Ja stawiam.

– Nie – odparł Bumaya. – Dziękuję.

Zdjęcie zamordowanych chłopców nadal leżało na stole. Podniósł je, schował z powrotem do portfela z wężowej skóry.

– Dobrze pan sobie radzi z bronią palną, panie Bumaya? Jako były policjant i w ogóle.

– Wiem, jak się strzela. Ale podróżuję nieuzbrojony.

– A więc jeśli rozejrzę się po mieszkaniu pana przyjaciół, nie natknę się tam na żadną broń?

– Ani sztuki – powiedział Bumaya. Jego usta poruszyły się, wyrażając po kolei kilka stanów emocjonalnych, w końcu zastygły w małym, bezbarwnym uśmiechu. – Być może nie wyraziłem się jasno, detektywie Sturgis. Moim jedynym zadaniem jest zebrać fakty i zameldować się u przełożonych.

– Tyle zachodu dla Albina Larsena.

– Dla niego i innych.

– Innych tutaj, w Los Angeles?

– Tutaj, w innych miastach. W innych krajach. – Bumaya zamknął oczy, potem otworzył je i zamrugał. Jego spojrzenie, przedtem jasne i zaciekawione, teraz się zachmurzyło. – Będę się tym zajmował jeszcze przez bardzo długi czas.

Patrzyliśmy, jak wychodzi z baru.

– Myślisz, że byłem dla niego za ostry? – spytał Milo.

– Trochę.

– Jestem po jego stronie, ale chodzi mu o własne cele, a mnie niepotrzebne są komplikacje.

Jeśli uda mi się zdjąć Larsena z ulicy, wyświadczę tym Bumayi i jego przełożonym największą przysługą z możliwych.

– To ma sens – powiedziałem.

– Ma? – Zmarszczył czoło. – Ci dwaj chłopcy.

Odwrocił wzrok, wezwał Zieloną Koszulkę i zamówił trzeciego drinka.

Zielona Koszulka spojrział i na mnie.

– Dla pana też?

Przykryłem szklankę dłonią i pokręciłem głową.

– Bumaya ma własne sprawy – powiedziałem, kiedy szklanka Mila wróciła napełniona. – Ale to, co powiedział, wiele nam wyjaśnia. Larsen w przeszłości zajmował się dokładnie takimi przekrętami, o jakich myśleliśmy. I nie waha się przed użyciem przemocy, jeśli mu to pasuje.

– Cisi i spokojni – mruknął Milo.

– Dzisiaj wieczorem, kiedy przedstawiał Issę Qumdisa, miał w sobie dużo ognia.

– Ideologia i zysk.

– Alfons nieszczęścia. Podoba mi się to.

Milo wypił łyk szkockiej.

– Tak z ciekawości – spytałem – skąd tyle wiesz o Issie Qumdisie?

– Co, gliniarze nie mogą czytać?

– Nie wiedziałem, że interesujesz się polityką.

Wzruszył ramionami.

– Rick rozkłada wszędzie pisma i książki. Ja je zbieram. Przypadkiem natknąłem się na „Żydowski Kaganek”, z artykułem, w którym napisali, że Issa Qumdis sam się stworzył i wylansował.

– Nie wiedziałem, że Rick interesuje się polityką.

– Nie interesował się. Nawet kwestie gejowskie go nie mobilizowały. – Milo przeciągnął szyję i skrzywił się. – Jego rodzice ocaleli z Holocaustu.

Po tylu latach tak mało wiedziałem o Ricku. O tym, jak wyglądało życie Mila, kiedy zamykał drzwi swojego małego domku w West Hollywood.

– Zadręczali go tym – powiedział.

– Holocaustem?

Kiwnął głową.

– Chcieli, żeby bardziej przejmował się tym, że jest Żydem. Zawsze było ciężko, bycie gejem tylko wszystko skomplikowało. Kiedy jego starzy się dowiedzieli, odbiło im, wmieszali w to Holocaust. Jego matka płakała, jakby ktoś umarł. Jego ojciec wrzeszczał na niego i powtarzał mu, jaki jest głupi, bo teraz naziści mieliby dwa powody, żeby go zagazować.

Napił się jeszcze szkockiej, przepłukał nią usta.

– Jest ich jedynym dzieckiem, nie było mu łatwo. Poprawiło się z upływem czasu, jego rodzice się zestarzeni. W końcu mógł porozmawiać o tym ze swoim starym.

Milo nie doświadczył tego przed śmiercią swojego ojca.

– Potem przyszedł jedenasty września i Rick się zmienił – powiedział. – Odebrał to osobiście. Fakt, że stali za tym Arabowie, rewizjonistyczne teorie winiące Żydów. Antysemicki bełkot Egiptu i Arabii Saudyjskiej. Nagle Rick zainteresował się „byciem Żydem”, zaczął czytać o ich historii i Izraelu, wpłacać datki na syjonistyczne sprawy, subskrybować pisma.

– Które ty przypadkiem zbierałeś.

– To o Issie Qumdisie przykuło moją uwagę, bo generalnie chodziło o to, że facet jest oszustem, ale to nie zaszkodziło jego karierze akademickiej. To mnie zawsze fascynowało. Jak niewiele wspólnego rzeczywistość ma z tym, jak toczy się życie – to Uosobienie Dożywotności, pełna kultura, a potem stanął za pulpitem i powiedział, że należy zabijać ludzi. Cholernie dużo w tym nienawiści jak na profesora uczelni wyższej.

– W tym światku jest sporo nienawiści – powiedziałem.

– Spotkałeś się z tym osobiście?

– Zazwyczaj przejawia się to trochę bardziej subtelnie, ale byłbyś zdumiony, widząc, co się dzieje na wydziałowych imprezach, kiedy ciało nauczycielskie myśli, że nikt go nie słyszy.

– Zastanawiam się, czy Issa Qumdis bluzga tak na Harvardzie. Czy nie ma przepisów przeciw szerzeniu nienawiści na uczelniach?

– Zasady egzekwuje się wybiórczo.

– Tak, to cudowny świat. Wystarczy tego dobrego, czas się skupić na złym doktorze Larsenie. Dowiedziałeś się czegoś o jakimś miejscowym szwindlu?

– Jeszcze nie. Poprosiłem Olivię, żeby się tym zajęła. Jako główny trop podałem jej program Strażników, bo trafiłem na to w Internecie.

– Strażnicy Sprawiedliwości... Olivia jest najlepsza... Przy okazji, Franco Gull wreszcie przerwał rutynę i poszedł na siłownię. Dźwigał ciężary, ignorował panie, wrócił do domu. Może więc wie o przekręcie i o tym, jaka jest stawka, Facet ma skłonności do emocjonalnych zachowań. Może uda się go złamać. Dobrze mówię?

– Wystawisz się w ten sposób.

– Tak, ale jeśli szybko nie zrobię jakichś postępów, co innego mi pozostaje? – Potarł twarz. – Dobrze, zaczekam, aż Olivia się odezwie, ale w końcu będę musiał podjąć tę decyzję...

Zadzwoiła jego komórka, przyłożył ją do ucha.

– Sturgis... kiedy? Naprawdę. Dobrze, podaj numer.

Nie schował jeszcze ołówka ani notesu i teraz nabazgrał coś pospiesznie. Zamknął telefon z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Proszę, proszę.

– Kto to był?

– Detektyw Binchy. Posłuszny z niego chłopak, siedzi za swoim biurkiem i odwala papierkową robotę przed kolejną sesją śledzenia Gulla. Właśnie ktoś do mnie zadzwonił, a on odebrał. Sonny Koppel chce porozmawiać. Je obiad. W lokalu przy Pico. Zaprosił mnie, żebym wpadł.

– Razem ze mną?

– Jasne – powiedział Milo. – Zabieram cię ze sobą.

Rozdział 35

Bar nazywał się Gene's i był jednym z nielicznych jasno oświetlonych miejsc w ciemnym, cichym kwartale. Po południowej stronie Pico, zaledwie kilka metrów od ruchu na La Cienega.

Krótki spacer od wschodniej granicy dystryktu Mila.

Była dziesiąta czterdzieści, kiedy tam dotarliśmy, a bar był w pełni oświetlony. Długa, wąska sala z brudną, winylową wykładziną na podłodze, kontuarem z formiki i siedmioma identycznymi stolikami, splewiałymi od światła mocnych lamp. Szyld przed wejściem głosił OTWARTE DO PÓLNOCY. W środku dwaj młodzi mężczyźni w za dużych okularach szeptali konspiracyjnie nad kawą, plackiem i zbindowanym scenariuszem, leżącym dokładnie pomiędzy nimi. Starsza kobieta przeżuwała bezzębnymi dziąsłami kanapkę z jajkiem. Za nią, muskularny mężczyzna w szarym roboczym ubraniu czytał stare wiadomości w porannej gazecie, męcząc hamburgera.

Sonny Koppel siedział w obwisłym, szarym płaszczu przy kontuarze, zajadając jajecznicę na bekonie. Sprzedawca zupełnie go ignorował, czyszcząc frytkownicę. Kiedy podeszliśmy, obejrzał się przez ramię i wrócił do swojego zajęcia.

Koppel wytarł usta, wstał ze stołka i przeniósł talerz, serwetkę i sztucce do stolika przy drzwiach, z dala od pozostałych jedzących. Pod płaszczem miał kawowy sweter z białymi wstawkami. Jego małe, szerokie stopy obute były w luźno zawiązane tenisówki. Niedawno się golił i kilka razy się zaciął.

Zostawił na kontuarze kubek kawy; Milo przyniósł go do stolika. Sprzedawca odwrócił się do niego.

– Coś dla panów? – spytał.

– Nie, dzięki.

Koppel ciągle stał, kiedy Milo wrócił z kawą.

– Dzięki – powiedział. – Jedną chwilę.

Wróciwszy do kontuaru, zabrał z niego keczup i sos tabasco. W końcu odsunął krzesło, usiadł i wytarł usta. Postukał widelcem o brzeg talerza i uśmiechnął się do niego.

– Lubię jeść śniadanie na kolację.

– Co kto lubi – powiedział Milo. – Co możemy dla pana zrobić?

– Zdjęcie, tej dziewczyny. Ma pan je jeszcze przy sobie?

Milo sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął fotkę i podał ją Koppelowi. Koppel przyjrzał się jej i pokiwał głową.

– Kiedy pierwszy raz mi ją pan pokazał, coś w niej było. Ale nie umiałem tego nazwać, nie wiedziałem, co wam powiedzieć, więc powiedziałem, że jej nigdy nie widziałem. Naprawdę nie byłem pewien, czy tak nie było. – Obliznął usta. – Ale utkwilo mi to w głowie.

– Teraz wydaje się panu, że ją znał – powiedział Milo.

– Nie mam pewności – odparł Koppel. – Jeśli to ona, widziałem ją tylko parę razy, dosłownie. Dwa razy. – Znowu zerknął na zdjęcie. – Tutaj tak wygląda, że ciężko powiedzieć...

– Śmierć tak wpływa na ludzi.

Koppel się zachłysnął. Nadział na widelec pasek bekonu, zgubił go w drodze do ust, patrzył tępo, jak mięso ląduje tuż obok talerza. Podniósł je palcami, położył obok kopczyka jajecznicy, scałował tłuszcz z palców.

– Gdzie mógł ją pan widzieć, panie Koppel? – spytał Milo.

– Możliwe, że to dziewczyna, którą widziałem w biurze Jerry'ego Quicka. Rozmawiała z sekretarką Jerry'ego.

– Sekretarką Jerry'ego...

– Angie Paul.

– Zna pan Angie osobiście?

– Znam ją z wizyt u Jeny’ego, kiedy przychodziłem porozmawiać o czynszu. – Koppel podrapał się w bok nosa. – Ona też was interesuje? Zawsze mnie dziwiła.

– Co konkretnie pana dziwiło?

– Chyba niewiele robiła. Nie wybrałbym jej na sekretarkę. Z drugiej strony pewnie nie musiała robić dobrego wrażenia.

–Dlaczego?

– W biurze Jerry’ego mało co się działo. Nie widziałem tam nikogo poza nim i Angie.

– I być może tą dziewczyną?

– Może – powiedział Koppel. – Tylko może.

– Nie wpadał pan zbyt często do biura pana Quicka – powiedział Milo – ale ta dziewczyna była tam dwa razy.

Koppel się zaczerwienił.

– Ja nie... ja tylko mówię... co ja wiem? Przepraszam, jeśli marnuję panom czas.

Milo dotknął palcem wskazującym rogu zdjęcia.

– To musi się panom wydawać dziwne – powiedział Sonny Koppel. – Najpierw mówię, że jej nie znam, a potem do pana dzwonię.

Milo się uśmiechnął.

– Próbuję tylko robić to, co słuszne, poruczniku.

– Doceniam to, proszę pana. Co jeszcze może nam pan powiedzieć o tej dziewczynie?

– Tylko tyle – powiedział Koppel, jeszcze przez kilka sekund patrząc na zdjęcie. – To mogła być ona.

– Dziewczyna rozmawiająca z Angie w recepcji biura pana Quicka.

- Tak było za pierwszym razem. Dwa, trzy miesiące temu. Drugi raz to było niedawno, sześć tygodni temu. Widziałem je razem, ją i Angie, jak wychodziły z budynku. Była pora obiadowa, założyłem, że idą coś zjeść.
- Gdzie poszły?
- Nie śledziłem ich, poruczniku. Przyjechałem tam do Jeny'ego.
- W sprawie czynszu.
- Tak. – Koppel podrapał się za uchem. – Zaczynam mieć uczucie, że próbując robić to co słuszne, komplikuję sobie życie.
- W jaki sposób, proszę pana?
- Jak powiedziałem, na pewno wydaję się dziwny. – Koppel pchnął zdjęcie w stronę Milo. – Tak czy inaczej, to wszystko, co wiem.
- Milo przesunął zdjęcie z ręki do ręki, jak gracz w trzy karty.
- Rozmawiała z Angie.
- Rozmawiała. Jak to dziewczyny.
- Dziewczyny chcą się bawić – powiedział Milo.
- Nie wyglądało to, jakby się dobrze bawiły – odparł Koppel. – To znaczy nie śmiały się ani nie chichotały. Właściwie kiedy widziałem, jak razem wychodzą, pomyślałem, że prowadzą jakąś poważną dyskusję, bo kiedy mnie zobaczyły, od razu się zamknęły.
- Poważna dyskusja w drodze na obiad.
- Może nie szły nic jeść. Założyłem tak, bo była pora obiadowa.
- Czy Angie zwracała się do tej drugiej dziewczyny po imieniu?
- Nie.
- Co jeszcze może mi pan o niej powiedzieć? Chodzi mi o opis.
- Nie była wysoka, średniego wzrostu. Szczupła. Miała ładną figurę. Ale była trochę... nie

wyglądała jak ktoś, kto dorastał w zamożnej rodzinie.

– Nuworyszka? – podsunął Milo.

– Nie – powiedział Koppel. – Bardziej... Miała ładne ubranie, ale może trochę zbyt...

oczywiste? Jakby chciała rzucać się w oczy. Może miała też trochę za dużo makijażu, nie pamiętam dokładnie. Nie chcę zmyślać.

– Trochę krzykliwa?

Koppel pokręcił głową.

– To nie to. Nie chcę być okrutny... Wyglądała... trochę tandetnie. Na przykład jej włosy.

Nikt nie ma takiego odcienia blond, chyba że ma pięć lat.

– Brzmi to tak, jakby dobrze się jej pan przyjrzał.

– Zauważyłem ją – powiedział Koppel. – Była ładna. Miała niezłą figurę. Jestem facetem, sam pan wie, jak to jest.

Milo słabo się uśmiechnął.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. – Koppel podniósł widelec. Jajecznicę stężała. Nadział duży kawałek i wepchnął go sobie do ust. Dwaj goście ze scenariuszem wstali od stolika, poirytowani, i wyszli z baru bez słowa.

– Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni – powiedział Milo – wspominał pan, że pana była żona chciała urządzać na parterze budynku grupowe terapie.

– Nie zdążyła mi dać ostatecznej odpowiedzi zanim... przed śmiercią.

– Powiedziała coś więcej o tej terapii?

– Nie – powiedział Koppel. – Dlaczego miałyby mówić?

– Bez żadnego konkretnego powodu – odparł Milo. – Wciąż gromadzimy fakty.

– Zrobiliście jakiegokolwiek postępy?

Milo wzruszył ramionami.

– Cokolwiek to miało być – powiedział Sonny Koppel – nic z tego nie będzie. Albin Larsen dzwonił do mnie wczoraj, powiedział, że mogę wynająć parter. Mary była spoiwem, które trzymało ich razem. Kiedy jej nie ma, nie zaskoczyłoby mnie, gdyby Larsen i Gull spróbowali zerwać umowę dzierżawy.

– Nie podoba im się ten budynek?

– Nie wiem, czy będą chcieli przejąć obciążenia finansowe. Mary miała u mnie taryfę ulgową, nie było umowy dzierżawnej, przedłużaliśmy najem z miesiąca na miesiąc.

– Podniesie pan czynsz?

– Biznes to biznes – powiedział Koppel.

– Ma pan z nimi problemy?

– Prawie wcale nie miałem z nimi styczności. Jak mówiłem, wszystkim zajmowała się Mary.

Kiedy trzeba było cokolwiek omówić – naprawy, wszystko jedno co – to Mary do mnie dzwoniła. – Koppel się uśmiechnął. – Nie miałem nic przeciwko temu. Mieliśmy okazję porozmawiać. A teraz...

Załamał rękę.

– To ona dbała o interesy – powiedział Milo – ale to Larsen zainteresował ją domami przejściowymi.

– Zrobił na mnie wrażenie mózgu grupy – powiedział Koppel. – Ale kiedy dochodziło do realizacji, wszystkim zajmowała się Mary.

– Mary i pan.

– Nie miałem nic wspólnego z ich codziennymi sprawami. Ja po prostu znam się na nieruchomościach. – I zdobywaniu państwowych dofinansowań – powiedział Milo. Koppel skinął głową. Nie zamrugnął, nie drgnął mu ani jeden mięsień.

– Czy pana była żona prosiła kiedykolwiek o zdobycie publicznego dofinansowania terapii grupowych, które planowała prowadzić na dole?

– Dlaczego miałyby to robić? Przecież nie znam się na terapiach.

– Jest pan zaradnym człowiekiem.

– Na swoim ograniczonym polu – powiedział Koppel. – Już panom mówiłem, Mary nigdy nie rozmawiała ze mną o swoich sprawach zawodowych. – Obrócił w palcach widelec. – To do mnie zaczyna docierać. Śmierć Mary. Głupie, co? Nie byliśmy razem od lat, rozmawialiśmy ze sobą góra raz w miesiącu. Ale łapię się na tym, że o tym myślę. Jak to jest, że ktoś, kogo się zna, ot tak znika.

Pogłaskał się po wydatnym brzuchu.

– To moja druga kolacja. Robię to – dodaję sobie posiłki – kiedy mam dużo na głowie.

Jakby chcąc to zilustrować, zjadł dwa paski bekonu.

– Mary była bardzo silna – powiedział między kęsami. – To wielka strata.

Milo krążył wokół kwestii resocjalizacji, ale Koppel nie dawał się podpuścić. Kiedy zawołał kelnera i zamówił podwójne grzanki z dżemem i herbatę z miodem, zostawiliśmy go, otwierającego pudełeczka z marmoladą, i wróciliśmy do seville’a.

– I jak myślisz – spytał Milo – w co on pogrywa?

– Sonduje cię. I daje do zrozumienia, że nie wie nic o zawodowych układach Mary Lou.

– Popycha nas do blondynki.

– Do Jerry’ego Quicka – powiedziałem. – Odwraca uwagę od siebie.

– Grubas, ale umie się uwinąć. Ten telefon od Larsena, że nie będą potrzebować parteru – myślisz, że zwijają żagle?

– Pewnie tak.

– Blondynka rozmawiająca z Angie. Jestem ciekaw, czy to w ogóle miało miejsce.

– Można się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób.

Ostatni znany adres Angeli Paul okazał się wielkim, mieszczącym pięćdziesiąt mieszkań blokiem na zachód od Laurel Canyon Boulevard i na północ od Victory, w niewyróżniającej się niczym części North Hollywood. Autostrada biegła półtora kilometra na południe, niedaleko Riverside Drive, ale mimo to słychać było jej uporczywe dudnienie.

Temperatura była o pięć stopni wyższa niż w głębi miasta. Według tablicy przed blokiem w nowe umowy najmu były wliczone dwa miesiące darmowej telewizji satelitarnej, a kompleks był strzeżony. Oznaczało to, iż posiadał podziemny parking na kartę i dwie niewysokie bramy.

Wszystko to nie miało żadnego wpływu na śmieci w rynsztokach i plamiste wykwyty graffiti na brudnej fasadzie.

Nie było miejsc do parkowania. Milo kazał mi się zatrzymać pod zakazem na rogu, obiecał, że zapłaci mandat.

Dwie bramy oznaczały dwa skupiska skrzynek pocztowych. Guzik domofonu A. Paul znajdował się po północnej stronie budynku. Mieszkanie numer 43. Nikt nie otwierał. Nie było mieszkania gospodarza. Wróciliśmy do południowego wejścia.

Mieszkanie numer 1, bez nazwiska, tylko Gosp.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści. Milo dźgnął palcem dzwonek.

–Miejmy nadzieję, że to nocny marek – powiedział.

– Czymże jest pozbawienie snu wobec służby sprawiedliwości?

– Tak? – odezwał się męski głos.

– Policja.

– Chwileczkę.

– Nie wydaje się zaskoczony – powiedziałem. – Może mieszkają tu interesujący ludzie.

Zamek furtki zabzyczał. Weszliśmy do środka.

Pięćdziesiąt mieszkań było rozmieszczonych na dwóch kondygnacjach, otaczających podłużne, prostokątne podwórze, na którym powinien być basen. Zamiast niego rosła tam wyschnięta trawa, ustawiono krzesła ogrodowe i złamany parasol. Na dwojgu drzwiach na parterze widniał napis NA PARKING. Z płaskiego dachu sterczały trzy talerze anten satelitarnych. Podwórko rozbrzmiewało odgłosami włączonego telewizora. Słyszało się jeszcze muzykę, ludzki głos i brzęk tłuczonego szkła.

Mieszkanie gospodarza było od razu po prawej. W otwartych drzwiach stał mężczyzna.

Młody, około trzydziestki, niski z ogoloną na łyso głową i krótką szczeciną na podbródku. Miał na sobie spodenki gimnastyczne, luźną białą koszulkę z napisem Wolf Trap 2001 i gumowe klapki.

– Spodziewałem się mundurowych – powiedział, kiedy podeszliśmy.

– Często tu przyjeżdżają?

– Wie pan, zakłócanie ciszy nocnej i tak dalej.

Milo pokazał mu swoją legitymację.

– Porucznik? To coś poważnego?

– Jeszcze nie, panie...

– Chad Ballou. – Mężczyzna wyciągnął rękę do rockerskiego uścisku, zmienił zdanie, obrócił ją do konwencjonalnej pozycji.

– Często zakłócają tu ciszę nocną? – spytał Milo.

Ballou powiódł wzrokiem po piętrach.

– Nie częściej niż można by się spodziewać po takich ludziach. Mówię najemcom, żeby najpierw mówili mnie, jeśli jest jakiś problem, ale czasami tego nie robią. I bardzo dobrze, nie mam ochoty babrać się w ich sprawach.

– Pracuje pan tu na pełny etat? – spytał Milo.

– Stosunkowo pełny – odparł Chad Ballou. – Ten budynek należy do moich rodziców.

Studiuje gitarę klasyczną na Uniwersytecie Kalifornia. Oni uważają, że powinienem studiować informatykę. Umowa jest taka, że siedzę tutaj, zamiast po prostu brać od nich pieniądze.

Uśmiechnął się wesoło.

– A więc co jest grane?

– Szukamy Angeli Paul.

Ballou dotknął zarostu na brodzie prawą dłonią. Paznokcie miał długie i polakierowane. Te u lewej dłoni były krótko przycięte.

– Paul... Czterdzieści trzy?

– Właśnie ona.

– Striptizerka?

– Wie pan to na pewno?

– Napisała to na umowie wynajmu – powiedział Ballou. – Przynosiła paski z klubu, żeby to udowodnić. Moim starym by się to nie podobało, ale ja mówię: „Dlaczego nie?” Zarabia lepiej niż większość tych, którzy próbują się tu dostać.

Uśmiechnął się.

– Skoro ja jestem tu gospodarzem, uznałem, że ja decyduję. W każdym razie nie było z nią problemów, płaci czynsz. O co chodzi?

– Chcemy zadać jej kilka pytań w związku z toczącym się śledztwem.

– Dzwoniliście do niej do mieszkania?

– Nikt nie otwiera.

– Pewnie jej niema.

– Często jej nie ma?

– Nie wiem – powiedział Ballou.

– Ma pan dobry widok ze swojego mieszkania – powiedział Milo.

– Kiedy jestem w domu, uczę się albo ćwiczę. Chyba że jest skarga. A ona nigdy się na nic nie skarżyła.

– Miewała gości?

– Tego też panom nie powiem. Rzadko ją widywałem. Czterdzieści trzy jest na północnym końcu, na górze. Paul może schodzić schodami na rogu do drzwi parkingu, wchodzić i wychodzić tak, że jej stąd nie widać.

– Więc nigdy jej pan z nikim nie widział?

– Nic takiego sobie nie przypominam.

Milo pokazał mu zdjęcie blondynki.

Ballou szeroko otworzył oczy.

– Wygląda na nieżywą.

– Bo jest.

– Rany, więc to naprawdę poważna sprawa. Będzie miała kłopoty, ta striptizerka? Potrzeba mi tylko jakiejś awantury, żeby moi rodzice dostali szału.

Milo pomachał zdjęciem.

– Nigdy jej pan nie widział?

– Nigdy. Co się jej stało?

– Ktoś ją zabił.

– Jezu... Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że powinienem zacząć się martwić?

– Jeśli zwłoki Angie Paul pleśnieją w jej mieszkaniu, możliwe.

Chad Ballou pobladł.

– Cholera... Mówi pan poważnie?

– Możemy tam zajrzeć?

– Dam wam klucz – powiedział Ballou. – Sami zajrzyjcie.

– Z prawnego punktu widzenia – stwierdził Milo – mielibyśmy z tym problem. Pan, jako gospodarz, ma prawo dokonywać koniecznych inspekcji. Powiedzmy, jeśli podejrzewa pan wyciek gazu albo jeśli wyśiądą korki. Wszystko jedno, Ballou nie odrywał od niego wzroku.

– Pleśniej... Jasne, jasne... Czy mogę tylko otworzyć wam drzwi, a panowie sami tam zajrzycie?

– Może być.

– Mamy tam iść już?

– Za chwilę – powiedział Milo. – Najpierw proszę mi powiedzieć, gdzie panna Paul się rozbiera.

– To mogę zrobić. Nie ma sprawy.

Weszliśmy za Ballou do jego mieszkania. Schludnie, oszczędnie, bez charakteru; sześćdziesięciocalowy cyfrowy telewizor w salonie, obok trzy klasyczne gitary na stojaku.

Telewizor był nastawiony na MTV – głośny heavy metal. Ballou go ściszył.

– Lubię różnorodność.

W kuchni, obok lodówki, stały trzy szafki na akta, każda z trzema szufladami. Ballou otworzył środkową i wyłowił z niej czarną teczkę. Otworzył ją, przejrzał.

– Proszę – powiedział i wyciągnął kartkę papieru.

Podanie o wynajem Angeli Paul. Deklarowała dochód wysokości trzech tysięcy dolarów miesięcznie netto, dopisek na marginesie głosił Sprawdzone. W rubryce Miejsce zatrudnienia wpisała *Klub Głodny Byk, filia West Los Angeles (tancerka egzotyczna)*. Opuściłem wzrok na koniec formularza. OSOBISTE REFERENCJE.

1. *Rick Savarin (kierownik klubu)*

2. *Christina Marsh (współpracownica)*

Christa albo Crystal.

– Sprawdził pan jej referencje?

– Pokazywała paski – odparł Ballou.

– A poprzedni gospodarze? – spytał Milo. – Powinno się do nich dzwonić.

– Powiedziała chyba – przypomniał sobie Ballou – że jest spoza miasta.

– Skąd?

– Czy to ważne? O rany.

– Skąd spoza miasta? – powtórzył Milo.

– Nie pamiętam. Zarabiała dość, żeby bez problemu poradzić sobie z czynszem, wpłacała zaliczkę i kaucję za zniszczenia. Rozbierała się, wielkie rzeczy. Jako lokator była w porządku.

Milo złożył podanie i schował je do kieszeni.

– Zajrzyjmy do niej.

Mieszkanie Angie Paul wielkością było porównywalne z mieszkaniem Chada Ballou.

Również czyste, z mniejszym telewizorem, tanimi meblami, bawełnianymi narzutami, kilkoma obrazkami na ścianach, przedstawiającymi róże i kotki. Zapach ciężkich, piżmowych perfum dotarł do drzwi, gdzie stałem obok Chada Ballou.

Milo zniknął w sypialni.

Ballou zatupał nogą.

– Jak na razie wszystko gra – powiedział.

Uśmiechnąłem się. Nie uspokoiło go to.

Chwilę później pojawił się Milo.

– Nic tam nie pleśnieje. Kiedy panna Paul się pojawi, proszę nie mówić jej, że tu byliśmy, tylko do mnie zadzwonić.

Podał Ballou wizytówkę.

– Jasne... Mogę zamknąć?

– Aha.

Wszyscy trzej zeszliśmy na dół, a Milo kazał Ballou zaprowadzić się do miejsca parkingowego Angie Paul. Było puste.

– Ciągle jeździ camaro rocznik 95?

– Chyba tak – powiedział Ballou. – Tak, jasnoniebieskim.

Wróciliśmy do seville'a. Wpół do pierwszej w nocy. Mandatu nie było.

– Szczęście się do nas uśmiechnęło – powiedział Milo. – Nareszcie.

– Christina Marsh.

– Tak, możliwe.

Włączyłem silnik, a Milo wystukał wariacką cza-czę na desce rozdzielczej. Trzy szkockie i

Bóg wie ile ciągłych godzin pracy, a on biegł w myślowym maratonie.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Zmęczony?

– Ani troszkę.

– Ja też nie. Kiedy ostatni raz byłeś w barze ze striptizem?

– Dawno.

– Ja w paru byłem – powiedział i wyszczerzył zęby. – Widziałem nawet kilka gołych kobiet.

Rozdział 36

Głodny Byk, filia West Los Angeles, znajdował się na Cotner przy Olympic, w przemysłowej dzielnicy cuchnącej gumą i betonem. Obok było złomowisko rolls-royce'ów.

Truchła wspaniałych niegdyś karoserii i samochodowe bebechy piętrzyły się za płotem z drucianej siatki.

Niedaleko stąd znajdowała się galeria sztuki, w której łazience uduszono utalentowaną

malarkę. To była ostatnia sprawa, nad jaką pracowałem razem z Milem. Jeśli o tym myślał, nie było tego po nim widać.

Klub mieścił się w pozbawionym okien hangarze, pomalowanym na matowy czarny kolor. Podwójnie wygłuszone, chromowane drzwi wyglądały jak przyczepione. Neon nad nimi obiecywał mocne drinki i piękne kobiety.

Położenie w przemysłowej okolicy było idealne – żadnych sąsiadów z misyjnymi zapędami, nikogo, kto by narzekał na dyskotekowy beat na dwie czwarte, przebijający się przez czarny stiuk.

Bar reklamował się jako „klub dżentelmena”. Parking był zastawiony zakurzonymi sedanami i pikapami, a dwóch ciemnowłosych facetów pilnujących wejścia przypominało wytatuowane słonie. Z jakiejś przyczyny nie łudziłem się, że w środku zastaniemy gromadę starszych panów, sączących koniak i delektujących się drogimi cygarami pośród splendoru ksiąg w twardych oprawach i mahoniu.

Milo pokazał odznakę Słoniowi Numer Jeden, który w odpowiedzi uniżenie mu się uklonił.

– Dobry wieczór panu, czy mogę panu w czymś pomóc?

– Jest dzisiaj Rick Savarin?

Dyniowatą twarz bramkarza przedzielała szara blizna po nożu, biegnąca od środka czoła, skręcająca u nasady nosa, wiła się meandrami przez usta i niknęła na podbródku, o który można by się oprzeć.

– Tak, proszę pana. Jest w swoim biurze. Ktoś pokaże panu drogę.

– Dzięki.

– Nie ma za co, proszę pana.

Słoń Numer Dwa, jeszcze większy i w ciemnych okularach, otworzył nam drzwi. Kiedy tylko przez nie przeszliśmy, następny olbrzym – tym razem chudy, długowłosy i o wyraźnych

karaibskich korzeniach – wskazał nam krótki korytarz po lewej, zakończony wahadłowymi drzwiami, również wygłuszonymi i obitymi czarnym winylem.

Kolorystyka głównej sali opierała się na czerni z karmazynowymi wykończeniami. Trzy stopnie prowadziły do wpuszczonego w podłogę kanału, w którym podekscytowani mężczyźni otaczali półkolistą scenę. Dwie kobiety tańczyły nago, odstawiając całkiem niezłe akrobacje i kochając się z rurami z nierdzewnej stali. Obie były tlenionymi blondynkami o utapirowanych włosach, chudymi jak szczapa, z piersiami powiększonymi do nienaturalnych rozmiarów. Każda na lewym udzie miała podwiązkę. Dziewczyna z wytatuowanym słońcem, zakrywającym niebieską plamą całe jej plecy, miała w swojej więcej pieniędzy.

Doszliśmy do czarnych drzwi. Chudy olbrzym wskazał je i otworzył. Został na korytarzu, a my weszliśmy do małego przedpokoju, z dwoma nieoznakowanymi, drewnianymi drzwiami i jednym z aluminiową tabliczką KIEROWNIK.

Zanim Milo zdążył zapukać, drzwi się otworzyły i młody mężczyzna w ekstrawaganckiej czarnej peruce wyciągnął z uśmiechem dłoń.

– Rick Savarin. Proszę wejść.

Miał luźny, szaroniebieski garnitur, czarną jedwabną koszulę, niebieskie mokasyny od Gucciego bez skarpetek i złoty łańcuch na zbyt opalonej szyi. Biuro małe i funkcjonalne, pachnące Shirley Tempie. Na biurku stało oprawione w ramki zdjęcie pospolicie wyglądającej kobiety i zdziwionego niemowlaka.

– Moja siostra, z Iowa – wyjaśnił Savarin. – Proszę usiąść, rozgościć się. Podać panom coś do picia?

– Nie, dziękujemy – odparł Milo. – Pan też jest z Iowa?

Savarin się uśmiechnął.

– To było dawno temu.

– Farma?

– To jeszcze dawniej.

Wśliznął się za biurko, usiadł, odsunął krzesło pod ścianę i oparł but o uchwyt szuflady. Na ścianie wisiało kilka rozbieranych kalendarzy z logo Głodnego Byka i jeden od miejscowego dystrybutora alkoholi.

– A więc – powiedział, składając razem czubki palców. Wyglądał na około trzydzieści pięć lat, był dobrze zbudowany, miał podpuchnięte, niebieskie oczy i zaciśnięte usta. Kiedy je otwierał, błyskał szeregiem równych, śnieżnobiałych zębów. Peruka wyglądała na pożyczoną.

– Angie Paul – powiedział Milo.

– Angie? – powtórzył Savarin. – Pracowała tu jakiś czas temu. Miała sceniczną ksywę Niebieska Angie.

– Paznokcie.

– Paznokcie, stringi, jeździła niebieskim samochodem. To rywalizujące środowisko, dziewczyny chcą mieć coś, co będzie je wyróżniać. W przypadku Angie pomogłyby niezłe bufory, ale wmówiła sobie, że ten niebieski to coś ważnego. – Savarin parsknął śmiechem. – Co takiego przeskrobała?

– Szukamy jej jako świadka – powiedział Milo. – Kiedy przestała tu pracować?

– Cztery miesiące temu.

– Odeszła czy została zwolniona?

– Odeszła – powiedział Savarin. – Jeden z klientów, jej stałych gości, sprzątnął ją stąd.

– Była blisko z klientami?

– To wbrew zasadom, i staramy się do tego nie dopuszczać. Ale dziewczyny, które tu pracują, nie przejmują się za bardzo przestrzeganiem zasad.

– Kim był ten stały gość?

– Jakiś facet w średnim wieku, przychodził dwa, trzy razy w tygodniu, potem go nie widywaliśmy, potem znów się pojawiał.

– Żeby zobaczyć Angie?

– Zawsze – powiedział Savarin. – Miała szczęście. Przesunął dłonią nad klatką piersiową. –

Niektórzy wolą naturalny wygląd. Po całym tym silikonie i soli, jakie oglądam tu przez cały dzień, szczerze mówiąc, bardziej kręci mnie dziewczyna ze słodką buzią i naturalnym zestawem. Ale większość klientów? – Pokręcił głową. – Nawet goście, którzy lubią naturę, chcą zobaczyć cokolwiek, a Angie była prawie płaska. Nie chciałem jej zatrudniać, ale miała zgrabne biodra i tyłek, na przesłuchaniu ładnie się ruszała. Poza tym trafiła do mnie w okresie, kiedy miałem mało dziewczyn.

– Bardzo przypadła do gustu temu stałemu klientowi.

– Przychodził tylko w dni, kiedy tańczyła, siadał tuż przed nią, nie odrywał od niej oczu.

Zaczęła tańczyć dla niego. Dawał jej duże napiwki, chyba coś się między nimi zawiązało.

Savarin podrapał się po głowie.

– Nigdy nie widziałem, żeby siadała mu na kolanach, to powinno mnie ostrzec.

– Jak to?

– Nie potrzebował tego, miał ją po godzinach.

– Proszę go opisać.

– W średnim wieku, bardzo zwyczajny – powiedział Savarin. – Nie dowiedziałem się, jak się nazywał, bo zawsze płacił gotówką i siadał sam, raz, kiedy podszedłem zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, spławił mnie.

– Co powiedział?

– Machnął tylko ręką, na zasadzie: „Nie przeszkadzaj, oglądam”. Mnie to nie przeszkadzało, to jego forsa. Pił zwykle słabe rzeczy, ale dużo. Pięć, sześć coli w jeden wieczór. Z limonką.

Czasami chciał, żeby dolać mu do tego trochę rumu.

– W średnim wieku – powiedział Miło.

– Powiedziałbym, około pięćdziesiątki. Metr osiemdziesiąt wzrostu, jakby chudy, trochę sflaczały.

– Sflaczały.

– Garbił się, jakby coś przyginało mu ramiona.

Milo kiwnął głową.

– Co jeszcze?

– Pomyślmy... Siwe włosy.

– Czesane „z pożyczką”?

Savarin się wzdrygnął.

– Nie nazwałbym tego pożyczką. To nie była typowa, spryskana lakierem zaczeska. Bardziej jakby zaczesał wszystko co miał na jedną stronę i tak to zostawił.

– A ubranie?

– Zwyczajne, swetry. Mogę panu powiedzieć, czym jeździł. Małym mercedesem klasy A, czarnym, a może szarym. Ciemnym. Pan Biznesmen. Zrobił na mnie wrażenie kogoś z pieniędzmi, gościa z własnym biurem, prawnika czy kogoś takiego.

– Zawsze przyjeżdżał sam?

– Zawsze. I trzymał się też sam.

– Angie nie wspominała, jak się nazywał?

– Zastanawiam się – powiedział Savarin. – Może Larry? Wspomniała to tylko raz, kiedy składała rezygnację. Szczerze mówiąc, nie żałowałem, że sobie poszła.

– Małe bufory – powiedział Milo.

– To i nie najlepsze nastawienie. Tam, na scenie, chodzi o to, żeby przybrać odpowiednią

pozę. O dawanie. Trzeba przekonać klientów, że człowiekowi na nich zależy. Angie była ponura.

Niektórzy to lubią, podnieca ich pościg. Ale większość chce szerokiego uśmiechu, wyraźnego zaproszenia. O to właśnie nam chodzi.

– O zapraszanie klienteli.

– O gościnność – powiedział Savarin. – Gdyby przyszedł do nas ktoś z większym entuzjazmem, zwolniłbym Angie. Można kogoś nauczyć, jak się poruszać, ale jeśli nie chce się nauczyć gościnności, to nic z tego.

– A więc przyszła tu, dała panu rezygnację i powiedziała, że odchodzi z Larrym.

– To chyba był Larry – powiedział Savarin. – Niech mnie pan nie prosi, żebym to zeznawał pod przysięgą.

– Co o nim mówiła?

– Powiedziała, że dostała lepszą ofertę od stałego klienta. Brzmiało to w jej ustach, jakby chodziło o jakąś poważną pracę, ale doszedłem do wniosku, że z nią po prostu sypiał.

– Dlaczego?

– To był taki typ – powiedział Savarin. – Forsy jak lodu, ona trzydzieści lat młodsza. Nie przychodzi się tu szukać kierowniczek biura.

– Powiedziała, że miał biuro?

– Może... To było kilka miesięcy temu.

– Czy ten stały klient mógł się nazywać Jerry? – spytał Milo.

Savarin się ożywił.

– A wie pan, chyba tak. Lany, Jerry... Kto to?

– Nikt szczególnie.

– Zrobił jej krzywdę?

Milo pokręcił głową.

– A Christina Marsh?

– Christi? Przyjaciółka Angie. To ona nam ją poleciła. Też odeszła, może z miesiąc po Angie. Jej akurat żałowałem. Nie nosiła za wiele z przodu, ale wystarczająco duże i w ładnym kształcie, jak gruszki. Słodziutkie, małe, różowe suteczki, nie musiała ich podbarwiać różem. Całe ciało miała takie mleczne, zdrowe. I była wygimnastykowana. Świetna przy rurze.

– Dlaczego odeszła?

Savarin pokręcił głową.

– Nie wiem, przestała się po prostu pokazywać. Zadzwoiłem do niej raz, drugi, nie odebrała, dałem sobie spokój. – Wyciągnął ręce. – W tym biznesie filozoficzne podejście popłaca.

– Ma pan jej numer?

– Pewnie gdzieś mam. Właściciele przyjeżdżają raz na jakiś czas i wywożą wszystkie papiery, ale może coś zostało.

– Kim są właściciele?

– Konsorcjum biznesmenów chińskiego pochodzenia. Szczęściarze.

– Biznes się kręci – powiedział Milo.

– Biznes idzie świetnie, chciałbym mieć z tego coś dla siebie. Ale dostaję premie.

– Gdzie jest siedziba korporacji? – spytał Milo.

– W Monterey Park. Jest tam pierwszy klub, przeznaczony dla azjatyckiej klienteli. Oprócz tego jest jeszcze siedem. W Ontario, San Bernardino, Riverside. Aż do hrabstwa San Diego. Mam jedne z najlepszych obrotów.

– Czy są jeszcze jacyś właściciele, poza tymi z Monterey Park?

– Nie.

– Do kogo należy ten budynek?

Savarin się uśmiechnął.

– Do miłej, drobnej, osiemdziesięcioletniej pani z Palm Springs, która odziedziczyła go po mężu. Grace Baumgarten. Przyjechała tu raz, obejrzała tańczące dziewczyny i powiedziała, że pamięta, jak sama potrafiła się tak ruszać.

– Ktoś jeszcze ma tu jakieś udziały?

– Oprócz pracowników?

– Są jeszcze jacyś właściciele?

– Nie, to wszystko.

– A bramkarze? Są jacyś oprócz tych, którzy pracują tu dzisiaj?

– Od czasu do czasu zatrudniamy futbolistów z uniwersytetu – powiedział Savarin.

– Czy zatrudniał pan kiedykolwiek niejakiego Raya Degusse?

– Nie. Kto to?

– Ktoś.

– W porządku, nie pytam – powiedział Savarin. – Ale czy mogę spytać, dlaczego interesuje pana Angie, ten Jeny i Christi? Chodzi mi o to, czy coś może mieć wpływ na klub?

Milo pokazał mu zdjęcie. Opalenizna Savarina straciła trochę ze swego brązu.

– To Christi. O rany. Co się jej, u diabła, stało?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć.

– Christi – powiedział Savarin. – O rany. Była w sumie miłą dziewczyną. Nie za bystrą, ale miłą. Taką dziewczyną z farmy, jak pan mówił. Chyba z Minnesoty czy skądś. Naturalna blondynka. O rany. Jaka szkoda.

– Wielka szkoda – powiedział Milo.

– Chodźmy sprawdzić, czy znajdemy te papiery.

Na zewnątrz, w korytarzu Savarin otworzył kluczem jedno z nieoznakowanych drzwi i

wszedł do schowka pełnego pudeł i butelek z płynami do czyszczenia. Zaczął przetrząsać kartony. Chwilę to trwało, ale w końcu znalazł pojedynczą kartkę papieru, zatytułowaną DANE PRACOWNIKA, na której znajdował się numer ubezpieczenia społecznego i adres korespondencyjny Christiny Marsh, i nic więcej.

Vanowen Boulevard, North Hollywood. Niedaleko bloku Angie Paul. Christina Marsh zaczęła pracować w klubie osiem miesięcy temu, pół roku później przestała się pojawiać. Niedługo po tym, jak Gavin zaczął terapię.

– Nie ma tu numeru telefonu – powiedział Milo.

Savarin spojrział na kartkę.

– Chyba nie. Chyba powiedziała, że jeszcze go nie ma. Dopiero co się przeprowadziła czy coś takiego.

– Z Minnesoty.

– Chyba z Minnesoty. Wyglądała na kogoś z Minnesoty, była po prostu śmietankowa. Słodki dzieciak.

– Niezbyt bystra – powiedziałem.

– Wypełnienie tego – powiedział Savarin – zabrało jej bardzo dużo czasu, pisząc, poruszała ustami. Ale pracowała świetnie.

– Nie miała ograniczeń – powiedziałem.

– Za dolara kucą, mogła pokazać wszystko. Ale nie było w tym nic... wyuzdanego.

– Było sexy bez wyuzdania?

– Było sexy właśnie dlatego, że nie było wyuzdane – powiedział Savarin. – Chcę powiedzieć, że nie było w niej nic wyzywającego. Jakby pieprzenie się z rurą i pokazywanie wszystkiego było tylko po to, żeby pochwalić się wszystkim, czym obdarzyła ją natura. Miała wszystko na swoim miejscu. Faceci to lubią.

– Czy wspominała, gdzie pracowała przedtem? – spytał Milo.

Savarin pokręcił głową.

– Kiedy zobaczyłem, jak się ruszała, nie zadawałem już więcej pytań.

– Miała stałych klientów?

– Nie, ona taka nie była, ona krążyła.

– Angie wiedziała, że nie może z nią konkurować ciałem, więc koncentrowała się na znalezieniu sobie jednego faceta, a potem go obrabiała. Christi lubiła wszystkich, wyciągała największe napiwki. Dlatego byłem zaskoczony, kiedy przestała przychodzić. Jak dawno temu ją... Kiedy to się stało?

– Dwa tygodnie temu – powiedział Milo.

– Och. A więc robiła coś w tym czasie.

– Domyśla się pan, co?

– Mogła tańczyć w innym klubie, ale dowiedziałbym się o tym.

– Klubowa poczta pantoflowa.

Savarin przytaknął.

– To mały świat. Kiedy dziewczyna przechodzi do konkurencji, od razu się o tym słyszy.

– Kim jest konkurencja?

Savarn wyrecytował listę klubów, a Milo je zapisał.

– A dziewczyny pracujące dzisiaj – powiedział – czy któraś z nich zna Christi albo Angie?

– Wątpię. Żadna z nich nie pracuje tu dłużej niż parę miesięcy. A przynajmniej w tym lokalu.

To dla nas bardzo ważne. Cyrkulacja talentu.

– Dzięki temu można uniknąć zbyt wielu Jerrych – powiedziałem.

– Dzięki temu wszystko jest świeże – powiedział Savarin.

– To mały świat – stwierdził Milo. – Może któraś z dziewczyn znała Angie albo Christi z

dawniejszych czasów.

– Możecie panowie pójść za scenę i z nimi porozmawiać, ale raczej zmarnujecie tylko czas.

– No – powiedział Milo – to akurat dla mnie nie pierwszozna.

Za sceną znajdował się zagracony korytarz, pełen kostiumów na wieszakach i makijażu na stołach, butelek aspiryny i midolu, olejków i spinek do włosów, i dziwacznych peruk na styropianowych głowach. Trzy dziewczyny odpoczywały w szlafrokach i paliły papierosy. Czwarta, smukła i ciemna, siedziała nago z jedną nogą opartą o stół, goląc sobie krocze maszynką do golenia. Z bliska makijaż wyglądał jak skorupa, a dziewczyny – jak nastolatki bawiące się w przebieranki.

Żadna z nich nie знаła Angeli Paul ani Christiny Marsh, a kiedy Milo pokazał im zdjęcie, w ich szeroko otwartych oczach pojawił się ból. Dziewczyna z maszynką zaczęła płakać.

Wymamrotaliśmy kilka słów pocieszenia i wyszliśmy z klubu.

Pokój detektywów był pusty. Poszliśmy do gabinetu Milla. Zostawił drzwi otwarte i wyciągnął się na swoim fotelu. Była prawie druga w nocy.

– Co się robi w Minnesocie? – spytał. – Doi krowy? Zbiera dziki ryż?

Pokręcił głową.

– Śmietankowa.

– Za wcześnie, żeby zacząć dzwonić do miejscowych? – spytałem.

Milo potarł oczy.

– Chcesz kawy?

– Nie, dzięki.

Wyciągnął zdjęcie Christi Marsh i zapatrzył się w nie.

– W końcu nazwisko.

Włączył komputer i sprawdził ją w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnej, w lokalnych

bazach danych. Żadnych trafień. Nie miała nawet prawa jazdy, a pod jej numerem ubezpieczenia społecznego nie było żadnych danych o zatrudnieniu.

– Dziewczyna widmo – powiedział Milo.

– Jeśli była wolnym strzelcem w gotówkowym interesie – powiedziałem – nie byłoby potrzeby rejestrowania czegokolwiek.

– Profesjonalistka, tak jak podejrzewałeś. Gdzieś tam poznała Angie?

– Pracowała w klubie, który nie rejestruje pracowników. Albo Angie też się sprzedawała.

Obyczajówka nie znała Christi, bo dziewczyna była nowa w mieście, jeszcze jej nie złapali.

– Minnesota – powiedział Milo. – Zacznę tam dzwonić za kilka godzin. Czeka mnie naprawdę dużo telefonów. Na pewno nie chcesz kawy? Ja się napiję.

– Umęczonych sen nie czeka?

– Rzuciłem to.

Milo odepchnął się od fotela, wstał, wyszedł zgarbiony, wrócił ze styropianowym kubkiem.

Opadł na fotel i napił się, znów przecierając oczy.

– Kiedy ostatnio spałeś? – spytałem.

– Nie pamiętam. A co, zasypiasz?

– Jeszcze przez chwilę dam radę.

Milo odstawił kubek.

– To wygląda tak, jakbyśmy mieli dwie równoległe intrygi, z jednej strony Jerry Quick, z drugiej Albin Larsen i Sonny Koppel. Nie potrafię ich połączyć. Zacznijmy od Jerry'ego.

Tajemniczy facet, seksualnie niedostosowany, korzysta z komórek na kartę, dużo podróżuje, podobno handluje metalami, ale dużo na tym nie zarabia. Nie płaci czynszu na czas, lata za babami i nie próbuje nawet kryć się z tym przed żoną. Kiedy jest w mieście, zostawia żonę samą, żeby oglądać swoją ulubioną striptizerkę. W końcu zatrudnia ją podobno jako sekretarkę, chociaż

dziewczyna ma za długie paznokcie, żeby pisać na maszynie. Savarin miał prawdopodobnie rację, Jerry trzymał Angie na boku, posadził ją w biurze, żeby wyglądało jak trzeba. W ten sposób miał ją pod ręką na wypadek, gdyby naszła go ochota na biurkową gimnastykę. Teraz zniknął, razem z nim Angie.

– Oboje się ukrywają – powiedziałem.

– Pytanie, przed czym.

– Wszystko się sypie, przekręt nie wyszedł. Jerry i Angie wiedzą, dla czego Gavin został zamordowany. Wiedzą, że oni mogą być następni.

Milo się nad tym zastanowił.

– Cały czas nie kojarzę, jaką rolę w przekręcie miałby odegrać Quick, ale kto wie, o co w tym cholerstwie chodzi... Dobra, może nawet ma wyrzuty sumienia z powodu Gavina, ale przede wszystkim nie chce, żeby prawda wydostała się na światło dzienne, bo wtedy wszyscy uznają go za współwinnego śmierci własnego dziecka. Sprząta pokój Gavina, zostawia Sheilę u siostry, zamierza wrócić do domu i dokończy zacieranie śladów, ale coś go płoszy, więc pryska, zabierając Angie ze sobą. Ona też musiała być spanikowana, straciła swoją przyjaciółkę Christi. Dziewczynę, którą razem z Jerrym podesłali Gavinowi, żeby zrobić chłopakowi przyjemność.

– Angie nie wyglądała na spanikowaną, kiedy z nią rozmawialiśmy – powiedziałem. –

Zamrugła, kiedy pokazałeś jej to zdjęcie, ale to i tak niewiele.

– To prawda – powiedział Milo. – Opanowana dziewczyna. Profesjonalistka.

– Co do roli Jerry’ego w przekręcie, może pracował dla Sonny’ego jako człowiek od wszystkiego, taki, co wszystko załatwia. A jeśli zabrał Angie z klubu, bo chodziło mu o coś więcej niż seks na boku? Dziwka-striptizerka mogła znać jakichś skazańców, a skazańcy to w tym przekręcie podstawa.

– Jerry alfons... Od załatwiania skazańców mieli Bennetta Hackera i Raya Degusę.

– Ale równie dobrze – powiedział Milo – to właśnie Jerry mógł skontaktować Hackera i Degusę z pozostałymi. Degussa to bramkarz, a ktoś taki jak Jerry, często odwiedzający kluby ze striptizem, znałby bramkarzy. Przez Degusę Jerry poznał Hackera. Przedstawił obu Sonny’emu Koppelowi, który akurat zainteresował się domami przejściowymi.

– Wynajmowanie pomieszczeń od Sonny’ego było tylko przykrywką, a Sonny wcisnął nam ten kit o zaleganiu z czynszem, żeby nas zmylić.

– I żeby się zdystansować od Jerry’ego. Taki przedsiębiorczy facet jak Sonny nie przeoczyłby okazji. Ma domy przejściowe i, przez Jerry’ego Quicka, dojścia. Do tego była żona zainteresowana reformą więzienną i jej partner, człowiek z dwudziestoma latami doświadczenia w zarabianiu na ludzkim nieszczęściu, i wszystko zaczyna wyglądać idealnie.

– Spotkanie paskudnych, małych ludzików – powiedział Milo. – Wszystko szło świetnie i nagle przestało.

– Wypadek Gavina zapoczątkował spiralę niepowodzeń. Chłopak przeszedł zmiany osobowości, zaczął śledzić ludzi, złapali go, z polecenia sądu musiał iść na terapię. Sonny mógł temu zaradzić, posyłając Gavina do kogoś, na kim można było polegać, że powie w sądzie to, co trzeba. Ale ten dobry uczynek się na nim zemścił, bo Gavin zaczął się uważać za tropiciela sensacji. Zaczął węszyć i wywęszył spory przekręt.

Milo zamknął oczy, znieruchomiał. Przez chwilę myślałem, że zasnął. Potem wyprostował się i spojrzał na mnie pustym wzrokiem, jakby śnił.

– Nadążasz za mną? – spytałem.

Wolno kiwnął głową.

– Jeny skłamał nam o skierowaniu, zmyślił, że doktor Silver jest jego kumplem od golfa, bo chciał ukryć swoje powiązania z grupą. Zasugerował, że to mogła być zbrodnia na tle seksualnym. Kolejna próba zmylenia cię.

– Kochany tata – powiedział Milo. – Twierdzi, że jest handlarzem metali, ale naprawdę to alfons.

– Biorąc pod uwagę problem Gavina ze śledzeniem kobiet, Jeny uważał pewnie, że jest wspaniałym ojcem, swatając go z Christi. A Gavin wyglądał na zadowolonego, chwalił się Kayli swoim życiem seksualnym z nową dziewczyną. Jedyne problem polegał na tym, że po urazie mózgu cały czas myślał w wypaczony sposób. Spisał numery rejestracyjne, w tym własnego ojca. Ktoś się o tym dowiedział i przez to właśnie Gavin i biedna Christi Marsh zginęli. Mary Lou do tego doszła i przeraziło ją to jak cholera. Naciąganie Departamentu Więziennictwa to jedno, morderstwo to co innego. Może naciskała Sonny’ego i Larsena, żeby dać sobie spokój z całą sprawą. Wiedziała, że Sonny’emu na niej zależy, myślała, że nad nim panuje. Ale zapędzony w kąt Sonny nie okazał się wcale nieszkodliwy. Albin Larsen też nie.

– Jeśli można co do niego wierzyć Bumayi, to prawdziwy potwór.

– Potwór z doktoratem – powiedziałem. – Cwany, wyrachowany, niebezpieczny. Mary Lou przeceniła własną charyzmę.

– A Sheila? Nic o tym wszystkim nie wie?

– Sheila ma poważne problemy emocjonalne. Ona i Jerry byli sobie obcy już od lat, ale nie rzucił jej dla pozorów. Teraz jedno z dzieci opuściło już dom, drugie nie żyje. Do tego szczypta paniki i okazuje się, że nadeszła idealna pora, żeby zniknąć.

– Pozory – powiedział Milo. – Dom, mercedes, okręg szkolny Beverly Hills dla dzieci.

Potem Gavinowi mąci się w głowie i wszystko się sypie. A nadziewanie? Seksualny kontekst? Jeśli to były zwykłe egzekucje, wystarczyłoby zastrzelenie.

– Nadzianie to deser – odparłem. – To ktoś, kto lubi zabijać. Ktoś, kto już to robił.

– Ray Degussa – powiedział Milo.

Wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał na pusty korytarz.

– Cicho tu – powiedział i usiadł z powrotem. – Więc Mary robiła przekręty, ale morderstwa już nie zniosła?

– Mogła jakoś usprawiedliwiać przekręty przed samą sobą, wmawiać sobie, że nie robi nic złego, tylko trochę zawyża faktury. Zresztą kto był ofiarą tych machinacji? Przeżarty zgnilizną system więziennej biurokracji.

– Dokładnie takich bzdur naopowiadałby jej Larsen. – Milo zmarszczył czoło. – Problem w tym, że cały ten domek z kart oparliśmy na przekręcie, a nie wiemy nawet, czy taki przekręt istnieje.

– Za kilka godzin zadzwonię do Olivii.

– Naprawdę myślisz, że Mary Lou byłaby dość głupia, żeby grozić Larsenowi i pozostałym? Byłaby tak ślepa, że nie widziałaby, z jakimi ludźmi ma do czynienia?

– Wiara we własny PR potrafi być bardzo niebezpieczna.

– A co z Gullem?

– Albo brał w tym udział, albo nie.

– Zastanawiam się, dlaczego Gavin się od niego przeniósł.

– Ja też.

– Mały wariat – powiedział Milo. – Głupi, mały wariat. Wariacka rodzina.

– A drugie dziecko z tej rodziny? – spytałem. – Ta dziewczyna, która nie wróciła, kiedy zginął jej brat? Czasami to ci, których nie ma, mają do powiedzenia najciekawsze rzeczy.

– Kelly, studentka prawa z Bostonu.

– Kolejna pozycja na liście rzeczy do zrobienia. Sporo mam rzeczy do zrobienia. Muszę się przespać.

– Obaj musimy – powiedziałem.

Milo z trudem wstał. Wokół oczu miał czerwone obwódki, twarz szarą.

– Dość tego – powiedział. – Wynosimy się stąd.

Rozdział 37

Obudził mnie telefon. Położyłem się spać o wpół do czwartej rano. Kiedy przejrzałem na oczy, spojrzałem na zegarek. Było sześć godzin później. Sięgnąłem po słuchawkę, nie trafiłem, złapałem ją.

– Mam – powiedziała Olivia Brickerman. – Kluczem było myślenie rozbieżne.

– Dzień dobry – odparłem.

– Mówisz, jakbyś spał.

– Długa noc.

– Biedactwo. Chcesz umyć ząbki i oddzwonić?

Zaśmiałem się.

– Nie, opowiadaj.

– Problem – powiedziała – polegał na tym, że za bardzo się ograniczałam, skupiałam na odszkodowaniach i dopłatach. Jakby tylko w ten sposób można było coś finansować. W końcu zmieniłam podejście i *voilà!* Określono to ustawą, Alex. Dołączono jako poprawkę pod skazania za ciężkie przestępstwa. Radny Reynard Bird, okręg Oakland; znasz go, to ten, co był w Czarnych Panterach?

– Jasne.

– Bird upchnął poprawkę w ramach wzajemnych ustępstw. Teraz można więc wysyłać bandziorów do więzienia na dłużej, ale kiedy wychodzą, terapię mają za darmo.

– Wszyscy?

– Wszyscy warunkowo zwolnieni, którzy poproszą o terapię, są na nią kierowani. Do roku indywidualnego albo grupowego leczenia dla każdego, bez ograniczeń godzinowych, na koszt Medi-Cal. Dlatego właśnie nie mogłam znaleźć źródła pieniędzy. To kropla w morzu świadczeń

medycznych.

– Dla przestępców to idealny układ – powiedziałem. – I dla terapeutów.

– Zgadza się, ale niewielu terapeutów z niego skorzystało. Albo o nim nie wiedzą, albo nie chcą w poczekalniach tłumów kryminalistów. Pewnie to pierwsze. Bird nigdy nie nagłośnił programu, a on zazwyczaj jest pierwszy do konferencji prasowych. Dowiedziałam się, że jego trzecia żona jest psychologiem, i zgadnij, prowadzi dwa z największych programów w Oakland i Berkeley. Prawie cała działalność skupia się na północy. Jest jeden program w Redwood City i kilka grup w Santa Cruz, prowadzonych przez osiemdziesięcioletniego psychologa, który praktykował w Los Angeles i przeszedł na emeryturę. Ciebie interesują pewnie Usługi Psychologiczne Pacifica, Beverly Hills, Kalifornia. Zgadza się?

– Skąd wiedziałas?

– To jedyny program w południowej Kalifornii.

– Wszystko opłaca Medi-Cal – powiedziałem. – Ile zwracają?

– Zaczekaj, to nie wszystko, mój drogi. Medi-Cal to nie wszystko. Ustawa dopuszcza koszty dodatkowe, wynikające ze „specjalnych okoliczności”. Pieniądze na to pochodzą z jakichś funduszy na legislacyjne łapówki, ale administruje nimi Medi-Cal.

– Co znaczy, że to pacjenci, których zwykły lekarz nie chce badać, więc państwo zapewnia dodatkową motywację. Jak dużą?

– Podwaja zwrot – powiedziała Olivia. – Właściwie trochę więcej, niż podwaja. Medi-Cal płaci czternaście dolarów za terapię grupową prowadzoną przez psychologa, piętnaście przez psychiatrę. Terapeuci biorący udział w programie dostają trzydzieści pięć. To samo dotyczy terapii indywidualnych. Od dwudziestu do czterdziestu pięciu za godzinę. Siedemdziesiąt dolarów opłaty wstępnej i czterdzieści osiem za konsultacje.

– Trzydzieści pięć za godzinę za grupę – powiedziałem, przeliczając na nowo wcześniejsze

szacunki. Dużo zer. – Nieźle.

– Nie ma nad tym żadnej kontroli skarbowej, o ile się zorientowałam, wystawiasz tylko fakturę państwu i odbierasz pieniądze.

– Można się jakoś dowiedzieć, ile który program kosztował?

– Ja nie mogę, ale Milo pewnie by mógł – powiedziała Olivia. – Jeśli chce się tym zająć dokładniej, na jego miejscu zadzwoniłabym do Sacramento. Proście o Dwighta Zevonsky’ego, to porządny facet, zajmuje się wyłudzeniami.

Zapisałem numer telefonu.

– Jak oficjalnie nazywa się ten program? – spytałem.

– Nie ma nazwy, to tylko Uchwała Zgromadzenia 5678930-CRP-M, poprawka F – odparła Olivia. – Podpisano: *Psychokulturowa demarginalizacja zwolnionych przestępców*. To było jedno z twoich słówek. Zna lażłam jeszcze kilka w tekście dokumentu. „Zmiana nastawienia”, „holistyczny nacisk”. Indywidualne programy mogą przyjmować dowolne nazwy. Ten w Beverly Hills nazywa się...

– Strażnicy Sprawiedliwości.

– Tak, tak jak powiedziałeś. Czyli co, ktoś już to kiedyś robił?

– O, tak.

– Gdzie?

– Nie chcesz wiedzieć.

Znalazłem nazwisko trzeciej żony członka zgromadzenia stanowego Reynarda Birda i sprawdziłem ją w Internecie.

Doktor Michelle Harrington-Bird. Wysoka, urodzona w Szkocji, ruda czterdziestoparolatka, lubiąca afrykańskie stroje i wypowiadająca się często na tematy polityczne. Sam radny miał siedemdziesiąt parę lat, był legislacyjnym weteranem, znanym z pełnych żaru przemówień i

sprawności w łataniu wybojów na drogach swojego okręgu.

Na jednym z licznych zdjęć, jakie znalazłem, Harrington-Bird pozowała z grupą innych psychologów, w tym Albinem Larsenem. Terapeuci na wyjeździe. Larsen stał obok niej, z kocią bródką, w okularach, tweedowym garniturze założonym na wełnianą kamizelkę. Wyglądał jak hollywoodzkie wcielenie Freuda. Jego mowa ciała nie sugerowała żadnej bliskości z obecną żoną członka zgromadzenia stanowego.

Tylko interesy. A do nich miał dużą motywację.

Harrington-Bird zapożyczyła terminologię Larsena i użyła jej w swoim programie. Bez wątpienia Larsen zaimponował jej opisami swojej walki o prawa człowieka w Afryce. Byłem ciekaw, co by pomyślała o jego roli w afrykańskim ludobójstwie. O dwóch małych chłopcach, zostawionych w swoich łózkach z poderżniętymi gardłami.

Znalazłem Larsena i Harrington-Bird razem jeszcze trzy razy, jako sygnatariuszy politycznych apeli. Wydrukowałem wszystko, co wydało mi się ważne, i podniosłem słuchawkę telefonu.

– O rany, ta Olivia – powiedział Milo. – Powinna mieć władzę nad światem.

– Jest przekwalifikowana – odparłem. – Teraz wiemy, że państwowe finansowanie to rzeczywistość i że Larsen załapał się na nie już dawno.

– Reynard Bird. Ciekaw jestem, jak wysoko to sięga.

– Nie ma dowodów, że Bird albo jego żona maczali palce w jakimkolwiek przekręcie. Larsen znał ją na płaszczyźnie zawodowej, spotykali się też przy okazji różnych przedsięwzięć politycznych. Ją też mógł wykorzystać.

– Ona też siedzi w prawach człowieka?

– Lubi petycje. Protesty przeciwko obecności wojsk amerykańskich w Afganistanie i Iraku i tak dalej. Larsen podpisywał te same apele.

Milo odchrząknął.

– Kiedy zaczęły się te dotacje?

– Półtora roku temu. Zwroty Medi-Cal'u szesnaście miesięcy temu. Pacifica załapała się na jedno i drugie na samym początku.

– Trzydzieści pięć dolarów za każdą więźniogodzinę – powiedział Milo. – To nawet więcej, niż liczyliśmy.

– Poważna zachęta, żeby się tym zająć. I żeby kryć sprawę w razie groźby ujawnienia tego, co się naprawdę dzieje. Jeśli Mary Lou była zagrożeniem, najoczywistszym rozwiązaniem było wyeliminowanie jej.

– Kula i nadzianie. Skoro o tym mowa, tu jest mój wkład w bazę danych. Dzięki przebiegłej, detektywistycznej pracy nóg zlokalizowałem emerytowanego nadzorcę z Quentin, który znał Raymonda Degussa. Jest pewien, że Degussa jest odpowiedzialny nie za dwa, ale trzy zabójstwa współwięźniów na zlecenie i być może nawet pięć na wolności. Więzienny egzekutor, gangi wynajmują takich, żeby samemu nie brudzić sobie rąk. Wszyscy o tym wiedzieli, a jednak nie udało im się znaleźć żadnych dowodów przeciwko dupkowi. Kiedy Degussa nie wykańczał ludzi, robił wszystko to, do czego komisje zwolnień warunkowych się ślinią. Chodził do kościoła, służył jako ministrant, zgłaszał się na ochotnika do robienia zabawek dla dzieci z gett i pracy w bibliotece. I jeszcze jedno, regularnie chodził do poradni. Oto facet, który w pełni docenia wartość terapii.

– Na pewno.

– Teraz zabawna część, Alex, ten nadzorca, niech go Bóg błogosławi, powiedział mi, że wszystkie te morderstwa zostały popełnione przez zadźganie i nie tylko, co jest niezwykle w więzieniu, tam zazwyczaj podrzyna się delikwentowi gardło i w nogi. Degussa też podrzynał gardła i zostawiał wielokrotne rany cięte. Ale potem dobijał ofiarę ciosem w szyję albo piers

jakimś ostrym narzędziem. W dwóch przypadkach je znaleziono – zaostrzone wieczne pióro i rożen zwinięty z więziennej kuchni. Raymond to zdecydowanie człowiek, którego szukamy.

– Nie był notowany za przestępstwa seksualne?

– W karcie ma jedynie to, o czym mówiłem: kradzieże, narkotyki, napady z bronią w rękę.

Ale to tylko rzeczy, na których go przyłapano. Kto wie, co robi w wolnym czasie? Od dzisiaj przenoszę Seana Binchy’ego z obserwacji Gulla na Degusę. Pojeżdżę z nim trochę, by się upewnić, że nie wpakuje się w jakieś kłopoty. Podglądanie spoconego doktora to jedno, ten bandzior to co innego.

– Dajemy sobie spokój z Gullem?

– Wręcz przeciwnie. Teraz, kiedy już wiemy, że przekręt naprawdę ma miejsce, mamy coś, co możemy użyć przeciwko niemu. Zakładając, że wciąż uważasz go za najślabsze ogniwo.

– Jeśli chcesz kogoś przycisnąć, ja bym wybrał jego.

– Bardzo chcę kogoś przycisnąć – powiedział Milo. – Jeszcze kilka rzeczy. Adres, który podała Christi Marsh, to skrytka pocztowa. Niespodzianka. Wynajęła ją tylko na dwa miesiące, a pracownik jej nie pamięta. Sprawdziłeś rano gazetę?

– Jeszcze nie.

– W końcu wydrukowali zdjęcie. Strona trzydziesta druga, na samym dole, do tego trzy zdania, że jeśli ktoś ją zna, ma zadzwonić do mnie. Na razie nikt nie dzwonił. Na froncie Quicków wytropiłem siostrę, Kelly. Pracuje w Bostonie w kancelarii prawniczej. Ale właśnie wzięła niespodziewany urlop, podobno wyjechała do chorej babci w Michigan.

– Uważasz, że może być spory kawałek na zachód od Michigan.

– Dzwoniłem do domu, ale nikt nie odbiera, zadzwonię do Eileen Paxton na wypadek, gdyby znów obudziły się w niej siostrzane uczucia. Co ty na to, żebyśmy się spotkali, raczej niedługo, jeśli się da, i pogadali o Francu Gullu? Mam kilka teorii na temat trudnej sztuki społecznego

nacisku.

Rozdział 38

Franco Gull skorzystał z usług obrońcy Armanda Mossa. Ten zaś przekazał zadanie swojej współpracownicy, oszałamiająco pięknej brunetce koło czterdziestki, Myrnie Wimmer.

Spotkanie miało miejsce w gabinecie Wimmer, przeszklonym pokoju na najwyższym piętrze biurowca na Wilshire, niedaleko Barrington. Dzień był śliczny, a szkło spełniało swoje zadanie. Myrna Wimmer była ubrana w kostium w kolorze burgunda i miała nieskazitelnie gładką skórę o odcieniu kości słoniowej. Dyplom z Yale wisiał na ścianie jak ikona, którą w sumie był. Ze zdjęć na szafce wynikało, że mecenas Wimmer ma cudownego męża i piątkę uroczych dzieci. Poruszała się jak tancerka, przywitała nas ciepło. Spojrzeniem lekko skośnych, szarych oczu pod elegancko wyskubanymi brwiami mogłaby zdzierać farbę.

– Gwoli wyjaśnienia – powiedziała – doktor Gull jest tu dobrowolnie i nie ma obowiązku odpowiadania na jakiegokolwiek pytania, nie wspominając już o niestosownych.

– Tak jest, proszę pani, jak pani sobie życzy – odparł Milo.

Wimmer spojrzała na niego z rozbawieniem, odwróciła się do Gulla, który siedział na fotelu pod najdłuższą szklaną ścianą. Obie stopy postawił na dywanie, wyglądał na znękanego i wychudzonego. Fotel miał kółka i dygotał od jego poruszeń.

Gull ubrany był w czarny garnitur, biały półgolf i mokasyny z cielęcej skóry w kolorze byczej krwi. Jego czarne skarpetki miały wzór w małe, czerwone zegarki. W dłoni trzymał zmiętą, lnianą chustkę. Nie pocił się jeszcze, ale może był na to przygotowany? A może dała mu ją jego prawniczka.

Milo usiadł na fotelu stojącym najdalej od niego. Ja bliżej.

– Dzień dobry – powiedziałem. Była jedenasta, a widok rozciągający się za szklanymi ścianami gabinetu Myrny Wimmer zasługiwał na chwilę podziwu. Ale nie po to tu przyszedłem,

ubrany w swój najlepszy granatowy garnitur, białą koszulę z francuskimi mankietami zapinanymi na spinki i złoty zakardowy krawat. Kiedy ostatnio tak się ubrałem, ktoś wziął mnie za prawnika. Jak to się człowiek poświęca dla publicznego dobra...

Od chwili wydrukowania zdjęcia Christiny Marsh w gazecie minęły dwa dni. Do Milo zadzwoniło kilku schizofreników, każdy z dziwnie zbieżną z pozostałymi opowieścią o porwaniu przez kosmitów, każdy pewien, że Christina tak naprawdę była z Wenus. Komiczny przerywnik; przy narzuconym sobie tempie pracy Milo tego potrzebował.

Dwie noce spędzone na próbach obserwacji Raymonda Degussy spełzły na niczym, bo bramkarz nie pojawił się w pracy w klubie. Jego ostatni znany adres okazał się od osiemnastu miesięcy nieaktualny – Milo miał znów czego szukać.

Zanim pojechaliśmy do kancelarii Myrny Wimmer, pokazał mi zdjęcia Degussy i foto Bennetta Hackera z wydziału komunikacji. Według danych Degussa mierzył metr osiemdziesiąt, ważył sto kilo i miał liczne tatuaże. Pociągła, pobrużdżona twarz, gruby kark, mocne rysy, czarne włosy pociągnięte żelem i zaczesane do tyłu. Na jednym ze zdjęć nosił grube, obwisłe wąsy. Na pozostałych był gładko ogolony. Małe szparki oczu emanowały dogłębnym znudzeniem. Hacker miał metr osiemdziesiąt pięć, rzednące, wyblakłe włosy i podbródek, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest zdecydowany. Był ubrany w białą koszulę i krawat, uśmiechał się słabo do aparatu fotograficznego urzędnika.

Według śledczego Medi-Cal'u Dwighta Zevonsky'ego, kurator był bogatym człowiekiem.

Podobnie jak Degussa.

Franco Gull nie odpowiedział na moje przywitanie, więc je powtórzyłem.

– Dzień dobry – odrzekł.

Nie rozpinalem marynarki, przyjąłem władcą postawę.

– Ładnie dziś – powiedziałem. – Ale to dla pana bez znaczenia.

Brak reakcji.

– Taki dysonans musi być panu ciężko znieść, Franco.

– Słucham? – powiedziała Myrna Wimmer.

– Dysonans. Kiedy własny image zderza się z bezlitosną rzeczywistością.

Przysunąłem się bliżej do Gulla. Wcisnął się w oparcie swojego fotela. Fotel odjechał kilka centymetrów w tył.

– Co to ma być? – spytała Wimmer. – Odwołałam spotkanie, żeby wysłuchiwać psychobelkotu?

– Przede wszystkim – powiedziałem do Gulla – musi pan wiedzieć, że nie jestem policjantem, ale pana kolegą po fachu.

Lewe oko Franco Gulla zadrżało w tiku, zerknął na Wimmer.

– O co tu chodzi? – spytała.

– Doktor Delaware jest psychologiem – powiedział Milo. – Współpracuje z nami jako konsultant.

Gull spojrział na mnie złowrogo.

– Nie przyszło panu do głowy, żeby to powiedzieć wcześniej.

– Nie miałem powodu – odparłem. – Teraz mam.

Wimmer skrzyżowała ręce na piersi.

– No, to inna sprawa.

– Coś nie tak? – spytał Milo.

Podniosła ostrzegawczo palec.

– Cicho, myślę.

– Może tak będzie przyjemniej dla pani klienta – powiedział Milo. – Zamiast gumowego węża odrobina koleżeńskiego zrozumienia.

– To się zobaczy. – Zwróciła się do mnie. – Jaka jest pana specjalizacja? A przede wszystkim, jeszcze raz, jak się pan nazywa?

Powiedziałem jej, zapisała to ostentacyjnie.

– Dobrze, a teraz: jaka jest pana specjalizacja?

– Psychologia kliniczna. – Odwróciłem się do Gulla. – Próbowałem zrozumieć, jak znalazł się pan w tej fatalnej sytuacji.

Gull odwrócił wzrok.

– Trochę się o panu dowiedziałem – ciągnąłem – ale to tylko dodało nowych elementów do układanki.

Przysunąłem się jeszcze bliżej. Gull próbował się cofnąć, ale kółka fotela ugrzęzły w dywanie.

– Franco... Mogę mówić panu Franco? Franco, rozdźwięk między człowiekiem, o którym czytałem, a tym, co się teraz z panem dzieje, jest dość duży.

Gull oblizał wargi.

Myrna Wimmer się zaśmiała.

– O rany, „Psychologia, sto jeden pytań!”

Odwróciłem się do niej.

– Nie ma pani nic przeciwko?

Zaskoczyło ją to pytanie.

– Pyta mnie pan o zdanie?

– Chodzi mi o to – powiedziałem – że jeśli obrałem niewłaściwy sposób... jeśli zna pani lepszy sposób porozumiewania się z doktorem Gullem, proszę mi o nim powiedzieć.

Mówiłem cicho, żeby musiała się do mnie nachylić.

– Nie... Proszę kontynuować. Mam następne spotkanie za czterdzieści pięć minut.

Odwróciłem się z powrotem do Gulla.

– Ukończył pan z wyróżnieniem studia na Uniwersytecie Kansas w Lawrence. Udało się to panu osiągnąć, jednocześnie cztery lata grając w uniwersyteckiej lidze baseballu. I to nie było jak. Na ostatnim roku niewiele panu brakowało, by pobić uniwersytecki rekord RBI. To bardzo imponujące, Franco. Wszechstronne wykształcenie. Grecki ideał, prawda? Ale pan o tym wie, na drugim roku studiów przeniósł się pan z filologii klasycznej na psychologię.

Myrna Wimmer okrążyła biurko i usiadła. Robiła wrażenie rozszłoszczonej i zafascynowanej.

Franco Gull nie poruszał się i nie odzywał.

– Dwa lata w małej lidze i wszyscy nie mogli się pana nachwalić. Szkoda, że naderwał pan sobie to ścięgno.

– Zdarza się – powiedział Gull. I zaczął się pocić.

– To samo z Berkeley – ciągnąłem. – Obaj wiemy, jak trudno się dostać na taką uczelnię, ale pan był na samej górze listy. Jako przyszły magister nie spoczywał pan na laurach. Pana promotor, profesor Albright, jest w podeszłym wieku, ale pamięć wciąż ma dobrą. Powiedział mi, że ciężko pan pracował, badania prowadził pan solidnie i rzeczowo, umiał się pan skupić na rozwiązywaniu problemów. Profesor miał nadzieję, że poświęci się pan pracy naukowej, ale to już inna historia.

Gull potarł kark.

– A potem nastąpiło wiele wspaniałych osiągnięć – powiedziałem. – Oprócz wymaganych do doktoratu godzin w klinice, pracował pan jako wolontariusz w schroniskach dla maltretowanych dzieci. W tym samym roku, kiedy pisał pan doktorat. To robi wrażenie. Jak pan znalazł czas?

– Trzeba robić swoje.

– Pan robił o wiele więcej, Franco. O wiele więcej. A pana dysertacja – „Reakcje dziewczynek z rozbitych rodzin w okresie latencji na niedostatek przestrzeni osobistej” – dobra

rzecz, wydrukowali to panu w „Clinical and Consulting Psych”, to niemałe osiągnięcie jak na studenta. Po obronie nie ciągnął pan tego. Szkoda. Pana wnioski skłaniały do myślenia.

– To dawne dzieje – powiedział Gull. Założył nogę na nogę, uśmiechnął się wymuszenie do Wimmer. – Czy to ma jakiś sens, Myrna?

Wimmer dotknęła swojego platynowego zegarka, nic nie powiedziała.

– Pana zwierzchnik na stażu, doktor Ryan – powiedziałem – również pamięta pana jako bystrego i zaradnego. Przez cały ten rok nie dopuścił się pan ani jednego naruszenia zasad etyki. Najdziwniejsze jest to, że doktor zapamiętała pana jako wyjątkowo pełnego szacunku dla kobiet. Gull zacisnął usta. Ja milczałem.

– Nadal taki jestem – powiedział.

– Kiedy się pan obronił, z posadami na uczelniach było krucho, a wszystkie propozycje, jakie pan otrzymywał, pochodziły ze Środkowego Zachodu. Czy dlatego zdecydował się pan otworzyć prywatną praktykę? Jak można zatrzymać kogoś na farmie, kiedy zobaczył już Beverly Hills?

– Był pan kiedyś w Kansas? – spytał Gull. Przełożył chustkę do drugiej ręki. – Skończyłem studia z poważnym długiem. Nikt nie dał mi nic za darmo.

– Nie musi pan się usprawiedliwiać. Nikt tu nie twierdzi, że naukowcy aż tak przysługują się społeczeństwu.

– Fakt.

– Na przykład taki Albin Larsen. Akademickie stanowiska na dwóch kontynentach, podróżuje po całym świecie i głosi szczytne ideały. Ale obaj wiemy, skąd pochodzi większość jego pieniędzy.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – powiedział Gull.

– Dobrze, w takim razie wróćmy do kwestii pana i kobiet – zgodziłem się. – Pana rozwiązłość, kompulsywne bieganie za spódniczkami. Kiedy to się dokładnie zaczęło, Franco?

Udało się panu oszukać doktor Ryan czy też zabrał się pan do tego dopiero wtedy, gdy uświadomił pan sobie, jaką władzę ma pan jako terapeuta?

Gull poczerwieniał.

– Pieprz się pan – powiedział, zaciskając palce na chustce. – Myrna, koniec tego dobrego.

– Zgadzam się – powiedziała Wimmer. – Panowie, skończyliśmy.

– Nie ma sprawy – zgodził się uprzejmie Milo.

– To było po prostu bezczelne – powiedział Gull, wstając.

– Bez wątplenia – przytaknęła Wimmer.

Nie wstaliśmy.

– Panowie, mam napięty kalendarz – powiedziała Wimmer.

– Rozumiem to, proszę pani – powiedział Milo.

Wstał i wyjął z kieszeni poskładany papier. – Postaram się wprowadzić w życie ten nakaz aresztowania doktora Gulla najszybciej, jak się da.

Gull poprawiał golf na szyi. Jego dłoń opadła jak oparzona, a głowa odskoczyła w tył.

– Co!?

Milo podszedł do niego bliżej.

– Doktorze, to nakaz aresztów.

– Pod jakim zarzutem, poruczniku? – spytała Wimmer.

– Zarzutami – odparł. – Wielokrotne morderstwo, udział w planowaniu morderstwa, wyłudzenie odszkodowania. Kilka innych rzeczy. Pani klient powinien być...

Gull wytrzeszczył oczy.

– O czym pan, do cholery...

– Ja się tym zajmę, Franco – przerwała mu Wimmer.

Odwróciła się do Mila. – Proszę mi to pokazać.

Podał jej nakaz. Był w biurze prokuratora okręgowego, polując tam na zastępcę, który byłby skłonny wydać mu papier. Odciski Gulla w domu Mary Lou Koppel pomogły to osiągnąć, podobnie jak telefon od Dwighta Zevonsky'ego, stanowego śledczego ds. wyłudzeń. Ostatnim, kosmetycznym posunięciem była butelka dwudziestopięcioletniego glenlivet, wciśnięta w dłoń sześćdziesięcioletniego, zawziętego prokuratora Ebena Marovitcha, dwa miesiące przed emeryturą, którego żona zostawiła dla psychiatry.

– Jesteś ze mnie dumny? – spytał mnie Milo, kiedy wjeżdżaliśmy windą do biura Wimmer. – Zastosowałem psychologię i w ogóle.

Kiedy Wimmer czytała szczegóły nakazu, Franco Gull odsunął się od Mila, cały czas odwrócony plecami do szkła. Za nim rozciągało się wspaniałe, błękitne niebo i miedziane kontury zalanego słońcem śródmieścia. Gull stał jak posąg. W skali jeden do jednego.

Kalifornijska zgroza z panoramicznym widokiem.

Wimmer skończyła czytać, cofnęła się do pierwszej strony, przejrzała całość jeszcze raz.

Ściągnęła usta.

– Co, co? – spytał Franco Gull.

Bez odpowiedzi.

– Myma...

– Óóó, daj mi skończyć.

– Co skończyć? To niedorzeczne, to...

Wimmer uciszyła go machnięciem ręki, skończyła przeglądanie nakazu, złożyła go.

– To ewidentnie niedorzeczne, Franco, ale najwyraźniej ważne.

– Co to znaczy, Myrna? Co to, kurwa, znaczy?

Chusteczkę zmiął ciasno w dłoni, jego kłykcie były gruzłami z kości słoniowej. Spod włosów po czole ściekał mu pot, ale Gull nie próbował go ocierać.

– Myrna?

Milo wyjął kajdanki. Metaliczny chrzęst sprawił, że Gull podskoczył.

– Och, niech pan da spokój – powiedziała Wimmer.

– Czytała pani zarzuty – odparł Milo.

– Myrna... – powiedział Gull.

– To znaczy, Franco – odparła – że musisz z nimi iść. – Dezaprobata w głosie. Jakby Gull ją zawiódł. – Gdzie go pan zamknie, poruczniku?

– Przy takich zarzutach? – odparł Milo. – Areszt główny.

– Areszt? – powtórzył Gull. – O Boże, nie.

Wimmer uśmiechnęła się do Mila.

– Czy mógłby pan zrobić mi przysługę i zamknąć go w West Los Angeles? Oszczędziłby mi pan jazdy.

– Zamknąć go? – powtórzył Gull. – Myrna, jak możesz tak...

– Nie da rady, pani mecenas – odparł Milo. – Przykro mi.

Wimmer wyglądała, jakby zamierzała go opluć.

Oczy Gulla zaszczyły łzami.

– Myrna, ja nie mogę.

– Czy twoja żona ma dostęp do twoich finansów? – spytała go Wimmer.

– Jeśli tak, zadzwonię do niej i zajmujemy się ustaleniem kaucji. Jeśli nie...

– Kaucji? Myrna, to szaleństwo...

– Czy to oficjalna diagnoza, doktorze? – spytał Milo.

– Proszę – powiedział Gull, cofając się jeszcze i opierając plecami o szkło. – Nie wiecie, co robicie. Nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżacie. Proszę. Oddychał szybko i z wysiłkiem. –

Proszę.

– Proszę się odwrócić i położyć dłonie na biurku pani Wimmer, doktorze polecił Milo. – Jeśli ma pan przy sobie broń lub jakieś nielegalne substancje, powinien mi pan o tym teraz powiedzieć.

– Morderstwo?! – Gull zaczął krzyczeć. – O czym pan mówi, do cholery? Morderstwo? Czy pan oszalał?

Otworzył dłoń i chusteczka spadła na podłogę. Spojrzał na nią i ugięły się pod nim kolana, ale udało mu się utrzymać na nogach.

– Uspokój się, Franc... – zaczęła Myrna Wimmer.

– Uspokoić się? Łatwo ci powiedzieć, to nie ciebie...

– Jako twój adwokat, Franco, radzę ci nic nie mówić...

– Mówię tylko, że nic nie zrobiłem, co złego w mówieniu, że nic nie zrobiłem?

– Ręce na biurko, proszę – powiedział Milo. Ruszył w stronę Gulla. – Franco Gullu, masz prawo zachować milczenie...

Potężna sylwetka Gulla stężała. Zgiął się wpół, zaczął łkać.

– O Boże, jak to możliwe!

Myrna Wimmer spojrzała na mnie z wyrazem twarzy: „Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni”.

Milo potrząsnął kajdankami. Gull podszedł do biurka, oparł na nim ręce. Zaszlochał jeszcze kilka razy.

Milo wykręcił mu rękę za plecy i zakął ją.

Gull krzyknął.

– Czy sprawia pan ból mojemu klientowi? – spytała ostro Wimmer.

– Może psychiczny – odparł Milo. – Nie za ciasno, prawda, doktorze?

– Boże, Boże – łkał Gull. – Jak mogę to naprawić?

Milo nie odpowiedział.

– Dlaczego mówicie, że kogoś zabiłem? Kogo? Mary? To bez sensu, Mary była moją przyjaciółką, byliśmy... Ja bym nigdy nie...

Milo wykręcił mu drugą rękę.

– Czego ode mnie chcecie?! – krzyknął Gull.

– Żeby zaczął pan być bardziej rozmowny – powiedziałem.

– Rozmowny? Na jaki temat?

– Bądź cicho, Franco – powiedziała Myrna.

– Co? I mam pozwolić, żeby mnie skuli i zawieźli do więzienia?

– Franco, jestem pewna, że to się...

– A ja jestem pewny, że nikogo nie zabiłem, nic nie planowałem ani w ogóle nie robiłem nic z tych rzeczy! – Gull wykręcił głową, żeby spojrzeć mi w oczy. – To co pan robi jest nieetyczne.

Powinien się pan wstydzić.

– Może pan złożyć na mnie skargę – powiedziałem. – Ale nie wydaje mi się, żeby chciał pan to zrobić.

– Co daje panu prawo mnie osądzać?

– Rozmowność – powiedziałem – nie oznacza gry nie fair. – Zwróciłem się do Mila. –

Według mnie powinniśmy go zwinąć.

Milo złapał Gulla za kark, odwrócił go i drugą ręką chwycił za spodnie.

– Czas do więzienia, doktorze.

– Nie! – krzyknął Gull. – Proszę! Będę rozmowny. Dobrze, tak, trochę ganiałem za spódniczkami. Chcecie o tym rozmawiać? Proszę, mogę o tym rozmawiać. Mam mały problem, to chcieliście usłyszeć? Zadowalałem kobiety, sam byłem zadowolany, to nie ma nic wspólnego z żadnym więzieniem, morderstwem czy innymi pierdolonymi bzdurami, za które miał bym trafić

do więzienia! I tak, to oficjalna diagnoza, mam kwalifikacje do diagnozowania, jestem dobrym psychologiem, kurewsko dobrym psychologiem, wszystkim moim pacjentom się poprawia!

– Tak jak Gavinowi Quickowi? – spytałem.

– On... to... – zająknął się Gull. – To nie był naprawdę mój pacjent.

– Nie?

– Widziałem go cztery, pięć razy. To wszystko.

– Dlaczego?

– Zdejmijcie to ze mnie, to powiem.

– Powie pan teraz.

– Franco – powiedziała Wimmer – radzę ci nic im nie...

– Głupi dzieciak nie chciał do mnie przychodzić – powiedział Gull – bo się dowiedział, że sypiałem z pacjentką. Zadowoleni? Jestem upokorzony, zostałem oficjalnie obesrany i upokorzony. Ale nigdy nikogo nie zabiłem

– Zdejmijcie mi to.

– Muszę wziąć ibuprofen – powiedziała Myrna Wimmer.

Milo zdjął kajdanki i Gull usiadł z powrotem w tym samym fotelu.

– Czy możemy się wszyscy uspokoić i zacząć zachowywać rozsądnie? – spytał. Twarz ociekała mu potem.

– Jeśli dalej będzie pan szczery – powiedział Milo – może jakoś się dogadamy.

– Chcę to mieć na piśmie – powiedziała Wimmer.

– Przykro mi, nie – odparł Milo.

– W takim razie nie zgadzam się, żeby mój klient...

– Myrna, przestań komplikować sprawę, przestań być cholernym prawnikiem! – powiedział Gull. – To nie twoje życie!

Wimmer skrzywiła się, połknęła na sucho dwa ibuprofeny, które trzymała w dłoni.

– Ostrzegałam cię, Franco.

Gull odwrócił się do mnie.

– Szczery odnośnie do czego? – spytał. – Powiedziałem wam, sypiałem z pacjentką.

– Tylko jedną? – odpowiedziałem pytaniem.

Spojrzał mi w oczy. Próbował zgadnąć, jak dużo wiem.

– Więcej niż jedną – odparł. – Ale niewiele więcej i zawsze za obopólną zgodą. Ten głupi dzieciak się o tym dowiedział, wściekł się i powiedział, że nie może mi już ufać, chciał mnie zwolnić. Potem groził, że na mnie doniesie. I to on, ze wszystkich ludzi.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – spytałem.

– Był u mnie tylko dlatego, żeby zapanować nad własnymi problemami z seksualnością.

Śledził kobiety. Kim był, żeby się tak wywyższać?

– Nie rozumie pan, dlaczego nie uważał pana za idealnego terapeutę, Franco?

– Rozumiem, rozumiem – powiedział Gull. – Nie powinno było do tego dojść, ale doszło.

Ale on węszył, to nie tak, że się z tym obnosiłem czy coś takiego. Najważniejsze jest to, że ten dzieciak miał uraz mózgu, zaburzenia mentalne.

– Nie myślał jasno – przetłumaczyłem dla Mila.

– W dodatku – powiedział Gull – był patologicznie kompulsywny, krańcowo uporczywy.

Myślowo i behawioralnie.

– Kiedy raz się na coś zawziął – powiedziałem – nie odpuszczał.

– Właśnie – powiedział Gull. Jakby to rozstrzygało całą sprawę.

– Jak się dowiedział? – spytałem.

– Powiedziałem panu, węszył. – Gull zaśmiał się ochryple. – Śledził mnie.

– Gdzie?

– Kręcił się pod budynkiem po sesji, wracał po godzinach i czekał w samochodzie, na ulicy.

– Gdzie na ulicy?

– Na Palm Drive. Z tyłu, za parkingiem. Nie widziałem tego wtedy, ale później, kiedy do mnie z tym przyszedł, uświadomiłem sobie, że tam był.

– W jakim samochodzie?

– W mustangu.

– Kolor?

– Czerwony. Czerwony kabriolet. Ale zawsze jeździł z rozłożonym dachem, miał też przyciemniane szyby, więc nigdy nie widziałem, czy ktoś był w środku.

– W tym samochodzie został zabity – powiedziałem.

– Przykro mi, to tragedia – powiedział Gull. – Ale nie miałem z tym nic wspólnego.

– Przyszedł do pana i groził, że na pana doniesie.

– Za takie rzeczy się nie zabija.

– A za co się zabija?

– Za nic. Przemoc nigdy nie jest słuszna. – Gull zaczął szukać chustki.

Zauważyłem ją na podłodze za nim, ale nic nie powiedziałem.

– Nie zabija się nikogo za nic – odpowiedział. – Stanowczo wierzę w powstrzymanie się od przemocy.

– *Make love, not war.*

– Mówi pan, jakbym był wyszczekany lubieżnikiem. To nie było tak. Niektóre kobiety potrzebują czułości.

Wimmer zacisnęła pięści.

– A więc Gavin kręcił się pod budynkiem – powiedziałem.

– Zgadza się.

– Jak często?

– Nie wiem – powiedział Gull. – Złapałem go raz.

– Kiedy on złapał pana.

Cisza.

– Jak to się stało?

– Użyjcie tego przeciwko mnie?

– Pogwałcenie etyki to najmniejszy z pana problemów.

– Czego chcecie?

– Wszystkiego, co pan wie o wszystkim, o co spytamy.

– Wielka inkwizycja – powiedział. – Jak pan jest w stanie wytłumaczyć to sobie zawodowo?

–Wszyscy trochę naginamy – powiedziałem.

Milo zadzwonił kajdankami.

– Jasne. Dobrze – powiedział Gull. – Zróbmy tak.

Wimmer się zawahała.

– Myyyrna? – jęknął Gull.

Wimmer spojrzała na zegarek, westchnęła, znów usiadła w fotelu.

– Jasne, czujcie się jak u siebie w domu, chłopaki.

Rozdział 39

Powinienem był słuchać instynktu – powiedział Franco Gull. – Od początku nie chciałem go leczyć.

– Nie był w pańskim typie pacjenta – powiedziałem.

Nie odpowiedział.

Kilka minut wcześniej kilka razy odchrząknął, a Milo zasugerował Myrnie Wimmer, żeby ktoś przyniósł jej klientowi wody. Zirytowana Wimmer zadzwoniła po dzbanek wody i szklanki,

ale kiedy je przyniesiono, Gull odmówił.

– Dlaczego nie chciał pan leczyć Gavina Quicka? – spytałem.

– Nie lubię młodych – odparł Gull. – Za dużo kryzysów, za dużo zmiennych.

– Do tego jeszcze uraz mózgu.

– To też. Nie znoszę neuropsychologii. Jest nudna. Mało twórcza.

– Młody człowiek z urazem mózgu – powiedziałem. – Poza tym mężczyzna.

– Przyjmuję mężczyzn.

– Niewielu.

– Skąd pan wie?

– A myślę się?

– Nie wyjawię poufnych informacji o moich pacjentach – powiedział Gull. – Nieważne, jak mnie przyciśnięcie.

– Etyka zawodowa i tak dalej – powiedziałem.

Gull milczał.

– Gavin obserwował budynek – ciągnąłem. – Jak się dowiedział, że sypia pan z pacjentką?

Gull się skrzywił.

– Czy to konieczne?

– Tak.

– Dobrze, dobrze. Był na parkingu, kiedy razem wyszliśmy.

– Pan i pacjentka.

– Tak. Uroczą osobą. Odprowadzałem ją. Było późno, ciemno, była moim ostatnim pacjentem tego dnia, też już wychodziłem.

– Zachował się pan bardzo rycersko – powiedziałem. – Co zobaczył Gavin?

Gull się zawahał.

Milo wyprostował nogi.

Myrna Wimmer polerowała rękawem szkiełko zegarka.

– Pocałowaliśmy się – powiedział Gull – Tak, byliśmy głupi, robiąc to otwarcie. Ale skąd mieliśmy wiedzieć, że ktoś nas obserwuje? Dzieciak postawił samochód przy krawężniku, na Boga.

– Wścibski – powiedziałem.

– Musicie zrozumieć jedno, nie wykorzystywałem jej. To było uczucie. Wzajemne uczucie.

Ta kobieta przeżyła poważną stratę, potrzebowała pocieszenia.

– Głębokiego pocieszenia – powiedział Milo.

– To, co zrobiłem, było niewłaściwe. W sensie formalnym, normatywnym. Ale specyfika sytuacji wymagała pewnej bliskości.

– Terapeutyczna uprzejmość – powiedziałem.

Myrna Wimmer wzięła notes i zaczęła udawać, że czyta. Miała minę, jakby wypła szklanke wody ze ścieku. Gull odwrócił się do mnie, zaczerwienił.

– Nie oczekuję, że pan to zrozumie.

– A więc zrobiliście to w gabinecie – powiedziałem. – Na leżance? Na biurku?

– To wulgarne...

– Pana zachowanie było wulgarne.

– Powiedziałem wam. Była samotna...

– I przeżyła poważną stratę.

Myrna Wimmer pokręciła głową.

– W porządku – powiedział Gull. – Jestem draniem. To chcieliście usłyszeć?

– Cofnijmy się do początku – powiedziałem. – Nie lubi pan młodych mężczyzn, ale zgodził się pan na leczenie Gavina.

– To była przysługa dla Mary. Skierowano go do niej, ale miała komplet, a ja właśnie zwolniłem pacjentkę, bardzo udany przypadek, dodam. Więc miałem wolne miejsce. Co zdarza się niezwykle rzadko.

– Dlaczego Mary poprosiła o leczenie Gavina pana, a nie Albina Larsena?

– Albin pracuje w niepełnym wymiarze godzin.

– Jest za bardzo zajęty robieniem dobrych uczynków – powiedziałem.

Gull wzruszył ramionami.

– Czy Mary powiedziała panu, jak trafiło do niej skierowanie?

– Przez jej byłego męża. To nasz gospodarz, a ojciec Gavina wynajmował od niego lokal, wspomniał o problemach Gavina z prawem. Samo skierowanie wypisał neurolog, o którym nigdy nie słyszałem. Gavin twierdził, że śledzenie było efektem urazu mózgu.

– Pan w to nie wierzy.

Gull zbył pytanie wzruszeniem ramion.

– Nie potrzeba urazu mózgu, żeby być seksualnie agresywnym – powiedziałem.

Gull westchnął.

– Zaczyna mnie to męczyć.

– Tak mi przykro.

– Czy jest coś jeszcze? – spytała Wimmer.

– Kontaktował się pan z rodzicami Gavina? – spytałem.

– Tylko z ojcem – odparł Gull – i tylko raz. Pomyślałem, że to niezwykle, najczęściej przychodzi matka. Zapytałem go o to, powiedział, że jego żona nie czuje się dobrze.

– Czego dowiedział się pan od pana Quicka?

– Niewiele, wypytałem szybko o podłoże rodzinne. Wydawał się bardzo przejęty losem syna.

– Na początku Mary nie miała czasu dla Gavina – powiedziałem – ale kiedy pana zwolnił,

przyjęła go.

– Pewnie znalazła czas – powiedział Gull. – Zrobiła mi przysługę.

– Żeby Gavin nie narobił szumu.

Milczenie.

– Co pan jej dał w zamian?

– Zgodziłem się na nocne wizyty przez dwa miesiące.

– Czy to oznaczało też odwiedzanie jej w nocy? – spytał Milo.

Gull spojrzał na niego z gniewem.

– Proszę odpowiedzieć, doktorze.

– Mary miała duże potrzeby seksualne, a ja umiałem je zaspokoić. Lubiliśmy swoje towarzystwo. Nie widzę w tym niczego zdrożnego. Ale odpowiadając na pana pytanie: nie. Mary i ja potrafiliśmy doskonale oddzielać nasze życie osobiste od zawodowego.

– Kto ją zamordował? – spytałem.

– Nie mam pojęcia. Sądząc po waszych pytaniach, podejrzewacie, że miał w tym jakiś udział

Gavin Quick.

– A pan nie?

– Ja nic nie podejrzewam.

– Terapeutka i jej pacjent zamordowani w odstępie kilku dni. Nie zastanawiało to pana?

– Zastanawiało – powiedział Gull. – Po prostu nie mam żadnych odpowiedzi.

– A domysły?

Pokręcił głową.

– Dziewczyna, która została zamordowana razem z Gavinem – powiedziałem. – Widział ją pan wcześniej?

– Mówiłem już za pierwszym razem, kiedy pokazał mi pan to zdjęcie. Nie.

– Zdjęcie ukazało się we wczorajszej gazecie. Nic panu nie przypomniało?

– Nie czytałem wczorajszej gazety.

– Nie interesuje się pan wydarzeniami na świecie.

– Niezbyt – powiedział Gull.

– Nie interesuje mnie polityka.

– W przeciwieństwie do Albina Larsena.

– Ciągłe pan o nim wspomina.

– Zgadza się. – Spojrzałem na Mila. Wydawał się spokojny.

Myrna Wimmer podeszła bliżej, siadając na skraju krzesła przed biurkiem. Usta miała zaciśnięte, ramiona spięte.

– Gavin Quick, teraz Albin – powiedział Gull. – Zgubiłem się.

– Dlaczego Albin poinformował Sonny'ego Koppela – spytałem – że wasza grupa nie jest już zainteresowana wynajmem parteru?

– Nie jest już zainteresowana? A po co nam w ogóle parter? Jest już wynajęty, prawda?

Jakiejś charytatywnej fundacji.

– Planowanej Dobroczynności.

Gull kiwnął głową.

– Czym się zajmują? – spytałem.

– Nie wiem.

– Byliście sąsiadami od dość dawna.

– Nie widziałem nigdy, żeby wchodził tam ktoś oprócz Sonny'ego Koppela. A i to nie za często.

– Jak często?

– Raz, dwa razy w miesiącu. Może to jedna z jego firm. Ma ich kilka.

- Magnat?
 - Najwyraźniej.
 - Skąd pan to wie?
 - Od Mary. Załatwiła nam od niego lokal. Zajęła się całą papierkową robotą przy wynajmie.
 - Obrotna dziewczyna – powiedziałem.
 - Mary lubiła działać. Albin i ja jesteśmy bardziej... mózgowcami. Załatwiła nam świetne warunki wynajmu, bo Sonny wciąż miał do niej słabość.
 - Tak panu powiedziała?
 - Powiedziała mi to i śmiała się z tego – powiedział Gull.
 - Śmiała się z Sonny'ego.
 - Szczerze mówiąc, nie miała o nim zbyt wysokiego mniemania. Mary umiała być... cięta.
- Nie była taka zawsze, ale umiała być.
- A Sonny wywoływał w niej tę ciętość.
 - Wie pan, jakie są byłe.
 - Co konkretnie mówiła panu Mary o Sonnym?
 - Że zaraz po ślubie zaczął się zamieniać w tłustego niechluj. Że nigdy nie uważała go za atrakcyjnego, ale łudziła się, że może coś z niego zrobić. Podobało się jej, że studiował prawo.
- Potem oblał egzamin na aplikację, a ona zaczęła uważać go za typową ofiarę losu. To jej słowa.
- Ofiara losu, która zamieniła się w magnata.
 - To ją zaskoczyło. Powiedziała, że Sonny marnotrawi swoje bogactwo, nie umie wydawać pieniędzy, nie umie cieszyć się życiem.
 - Wygląda na to, że słabość była jednostronna – powiedziałem.
 - Myślicie, że to on ją zabił?
 - Dlaczego mielibyśmy tak myśleć?

– Były mąż – powiedział Gull. – Nieodwzajemniona miłość. Może dowiedział się, co Mary naprawdę o nim myślała. Może wreszcie miał już dość.

– Czy Mary kiedykolwiek zasugerowała w jakikolwiek sposób, że między nią i Sonnym panują wrogie stosunki?

– Nie, ale nie powiedziałyby mi czegoś takiego.

– Mimo tego, że byliście przyjaciółmi, mimo waszej bliskości.

– Mogę wam opowiedzieć tylko o tym, co się wydarzyło – powiedział Gull.

– Czy pan uważa, że Sonny Koppel mógłby być podejrzany?

– Powiem tak: biorąc pod uwagę sytuację, przyjrzałbym się mu.

– Lepiej jemu niż panu – powiedział Milo.

Gull zazgrzytał zębami.

– Nikogo nie zabiłem.

– Ilu pacjentów prowadzi pan w tej chwili? – spytałem.

Zmiana tematu zbiła Gulla z tropu. Usiadł prosto, przeczesał palcami włosy, pokręcił głową.

– Powiedziałem panu, nie mogę rozmawiać o pacjentach.

– Nie pytam o nazwiska, tylko o przybliżoną liczbę.

Gull zerknął na Myrnę Wimmer. Zignorowała go.

– Pieprzy się pan z nimi, ale nie chce o nich mówić – powiedział Milo. – Darowałby pan sobie.

– Zaraz, zaraz...

– Nie, żadne zaraz, doktorze. – Głos Mila nabrał tego niedźwiedziego pomruku. –

Rozmowny oznacza koniec tych pierdoł. Pytanie brzmiało: ilu pacjentów pan prowadzi, a nie, jakie mają kaprysy czy rozmiary staników.

Twarz Gulla straciła kolory.

– Dobrze, dobrze, niech pomyślę... Pracuję... trzydzieści osiem godzin w tygodniu ze stałymi pacjentami, mam jeszcze... może dwudziestu pięciu, którzy wpadają na okazjonalne sesje.

– Na tuning – powiedział Milo.

– Nie prowadzę warsztatu.

– Razem sześćdziesięciu pięciu – powiedziałem.

– W przybliżeniu.

– Pamięta pan ich nazwiska.

– Oczywiście.

Wyjąłem z kieszeni marynarki komputerowy wydruk i rozłożyłem go sobie na kolanach.

Czy mówi panu coś nazwisko Gayford Woodrow?

– Nie.

– A James Leroy Craig?

– Też nie – odparł Gull.

– Carl Philip Russo – ciągnąłem. – Ludovico Montez, Daniel Lee Barendo, Shendley Paul, Orlando Jones.

Pokręcenie głową.

– Roland Kristof, Lamar Royster Collins, Antonio Ortega.

– Kim są ci ludzie?

– Pacjentami, za których leczenie w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy wystawił pan Medi-Calowi faktury na duże sumy pieniędzy.

Gull wyglądał na wstrząśniętego.

– To niedorzeczne. Po pierwsze, nie przyjmuję pacjentów z Medi-Cal. Po drugie, to wszystko mężczyźni, a moimi pacjentami są niemal wyłącznie kobiety. Po trzecie, wiedziałbym, gdybym kogoś leczył.

– I brał za to pieniądze.

– To jakaś psychoza.

Podniosłem listę i przeczytałem jeszcze kilka nazwisk.

– Akuno Williams, Salvador Paz, Mattias Soldovar, Juan Jorge Montoya, Juan Eduardo

Lunares, Baylor Hawkins, Paul Andrew McCloskey...

– Nie, żadnego z nich – powiedział Gull. – To jakaś pomyłka.

– Nigdy nie leczył pan żadnego z nich? Ani razu?

– Ani razu.

– Nie przyjmuje pan w ogóle pacjentów z Medi-Cal.

– Po co? Zwroty są żałośnie nędzne, a ja mam komplet płacących klientów.

– Więc dlaczego zawracał pan sobie głowę załatwianiem numeru rozrachunkowego

Medi-Cal?

– A kto powiedział, że tak zrobiłem?

Podszedłem do niego i przytrzymałem wydruk przed jego oczami.

– Czy to pański podpis na tym zgłoszeniu do prowadzenia terapii?

– Na to wygląda – powiedział Gull. – Mogłem wystąpić o numer, ale nigdy tak naprawdę z niego nie korzystałem.

– W ciągu ostatnich szesnastu miesięcy otrzymał pan ponad trzysta tysięcy dolarów zwrotu z Medi-Cal. Trzysta czterdzieści trzy i pięćdziesiąt dwa centy, dokładnie mówiąc.

Gull sięgnął po wydruk.

Zabrałem go.

– Niech mi pan to pokaże!

– Otrzymał pan numer prowadzącego, ale tak naprawdę pan z niego nie korzystał.

Milczenie.

– W tym momencie dochodzimy do „rozmowności”.

– Dobrze, w porządku, wystąpiłem o numer – powiedział Gull – ale tylko po to, żeby... żeby mieć coś w pogotowiu. Na wypadek, gdybym przez jakiś czas nie miał pacjentów. Ale trzysta tysięcy? Odbiło panu!

– Płatności szły na adres rozrachunkowy w Marina Del Rey.

– Proszę – powiedział Gull. – Nie mam adresu w Marina. Nie pamiętam, kiedy ostatnio w ogóle tam byłem. Ktoś najwyraźniej coś spieprzył, wasze tak zwane śledztwo się sypie.

Na jego usta powoli wypełził uśmiech.

– Sugeruję następnym razem lepiej odrobić lekcje. Wam obu.

– Nie jeździ pan do Marina? – spytałem. – Nie zabiera pan tam kobiet na kolację?

Gull odwrócił się do Wimmer.

– Dasz wiarę, Myrna? Właśnie im udowodniłem, że są na zupełnie złym tropie, a oni nie potrafią tego przyznać. Myślisz o tym co ja? Pozew o nękanie.

Wimmer nie odpowiedziała. Zaszleściłem wydrukiem.

– Żadne z tych nazwisk nic panu nie mówi?

– Żadne. Ani jedno.

W takim razie, co pan powie na tę nazwę: Strażnicy Sprawiedliwości. Gull przestał się uśmiechać. Jedna jego dłoń wystrzeliła spazmatycznie w górę i ścisnęła górną wargę. Zaczął ją wykręcać. Jak dziecko bawiące się gumową maską. Smutną maską.

– Zna pan tę nazwę – powiedziałem.

– O to chodzi – odparł. – O rany.

Rozdział 40

Gull wskazał dzbanek z wodą na biurku Myrny Wimmer.

– Chyba się napiję.

Wimmer uśmiechnęła się do niego zimno. Gull wstał i nalał sobie szklanekę. Opróżnił ją, stojąc koło biurka, napełnił ponownie.

– Muszę – powiedział – poukładać sobie wszystko w odpowiednim kontekście.

– Proszę bardzo – odparłem. – Jeśli pozwoli na to rozkład dnia pani Wimmer.

– Och, jasne – powiedziała Wimmer. – Potraktujmy to jako przerwę na rozrywkę.

– Tak – zaczął Gull – złożyłem podanie o numer, ale tylko dlatego że namawiali mnie do tego Mary i Albin. Oboje byli społecznie uświadomieni. Jedną z kwestii, którymi się zajmowali, była resocjalizacja skazańców.

– Kto wszedł w to pierwszy?

– To chyba był pomysł Albina, ale Mary zaczęła to rozkręcać.

– Ona zawsze była od działania.

– Mary – powiedział Gull – nie była może najbardziej kreatywną osobą pod słońcem, ale kiedy na czymś się skupiła, nic jej nie zniechęcało. Oboje wpadli na pomysł rozpoczęcia terapii dla warunkowo zwolnionych przestępców, w celu zwalczania recydywy. Podziwiałem ich za to, ale postanowiłem się do tego nie mieszać.

– Dlaczego? – spytałem.

– Jak wam powiedziałem i bez tego byłem dość zajęty. I sceptycznie nastawiony. Ci ludzie, kryminaliści. Mają głęboko zakorzenione zaburzenia osobowości. Psychoterapia nigdy nie pomagała na takie rzeczy.

– Mary i Albin uważali inaczej.

– Zwłaszcza Mary. Zapaliła się do pomysłu. Mieli uwolnić państwowe pieniądze, to było coś więcej niż tylko teoria.

– Jak się o tym dowiedziała?

– Jednym z politycznych kontaktów Albina – on bierze udział w wielu postępowych

przedsięwzięciach – jest żona polityka z północy. Też jest psychologiem i nakłoniła męża, żeby sporządził projekt ustawy dopuszczającej psychoterapię na żądanie dla warunkowo zwalnianych przestępców. Albin pomógł jej to sformułować. Powiedział o tym Mary, ona powiedziała mnie.

– Ale pan odmówił – powiedziałem. – Głęboko zakorzenione zaburzenia osobowości.

– Tak.

– Poza tym stawki zwrotów nie mogły się równać z pana prywatnymi stawkami.

– Zarabiam na życie – powiedział Gull. – Nie rozumiem, za co miałbym przeproszać.

– Ile liczy pan sobie za godzinę?

– Czy to ma związek ze sprawą?

– Tak.

– Używam ruchomej skali. Od stu dwudziestu do dwustu dolarów za godzinę.

– Medi-Cal płaci dwadzieścia i ogranicza liczbę sesji.

– Medi-Cal to dowcip – powiedział Gull. – Mary powiedziała, że ustawa podwajała stawki, to była jakaś polityczna ugoda. Ale czterdzieści to wciąż śmiesznie mało. Postanowiłem w to nie wchodzić.

– Jak zareagował na to Albin Larsen?

– Albin nie mówił dużo. Rzadko to robi. Mary była na mnie zła, ale jej przeszło.

– Byliście bliskimi przyjaciółmi i w ogóle – powiedział Milo.

Gull pociągnął nosem.

– Odmówił pan udziału – powiedziałem – ale wystąpił o numer usługodawcy Medi-Cal.

– Po namowach Albina i Mary. Powiedzieli, że stan woli układy z kilkoma usługodawcami, że będzie wyglądało lepiej, jeśli wszyscy się wpiszemy. Mary wypełniła dokumenty, ja podpisałem i już.

Obficie się pocił, znów zaczął szukać swojej lnianej chustki. Wyjąłem chusteczkę

higieniczną z pudełka na biurku Wimmer i podałem mu ją. Pospiesznie wytarł twarz, a chusteczka zamieniła się w małą, szarą kulkę.

– Twierdzi pan, że nigdy nie przyjmował żadnych pacjentów w ramach programu?

– W sumie nie – odparł.

– W sumie?

– Przyjąłem kilku, bardzo niewielu. Na samym początku, żeby sprawa ruszyła z miejsca.

– Ilu to jest „niewielu”?

Gull wyjął z kieszeni okulary do czytania z niedużymi soczewkami i zaczął się bawić zausznikami.

– Franco?

– Trzech. Tylko tylu. I żadnego z nich pan nie wyczytał.

– Jak się panu leczyło byłych skazańców?

– To nie było przyjemne doświadczenie.

– Dlaczego?

– Dwaj chronicznie się spóźniali, a kiedy już przychodzili, byli czymś naćpani. Było oczywiste, że po prostu przeczekują sesje.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Skąd mam wiedzieć?

– Czy cokolwiek wskazywało, że ktoś im zapłacił za przyjście?

Gull uniósł brwi.

– Nikt nigdy o tym nie wspominał. Jakikolwiek był tego powód, nie mieli motywacji.

Żadnego wglądu, żadnej chęci współpracy.

– A trzeci pacjent? – spytałem.

– Tamten. – Gull zmarszczył czoło. – Tamten mnie niepokoił. Nie był pijany ani naćpany i

mówił. Dużo mówił. Ale nie o sobie. O swojej dziewczynie. Czego potrzebowała i jak chciał jej to dać.

– A czego potrzebowała? – spytałem.

Gull składał i rozkładał okulary.

– Orgazmu. Najwyraźniej była niezdolna do orgazmu, a on postanowił rozwiązać ten problem.

– Czy prosił pana o pomoc?

– Nie – powiedział Gull – w tym właśnie sęk, nie chciał niczego ode mnie, był przekonany, że sam wszystko wie. Był bardzo agresywny, bardzo... To nie był przyjemny człowiek. Chociaż usiłował być uroczy. Próbował mówić inteligentnie.

– Ale mu nie wychodziło.

– Ani trochę. Udawał, z typowym antyspołecznym wdziękiem. Jeśli miał pan jakieś doświadczenia z socjopatami, wie pan, o czym mówię.

– Był pretensjonalny – powiedziałem.

– Właśnie, to była prototypowa, antyspołeczna pretensjonalność. – Gull się rozluźnił.

Udawał, że jesteśmy kolegami po fachu, którzy prowadzą kliniczną pogawędkę. – Kwiecista wymowa, nadmiernie uważny dobór słów. Grał kulturalnego i myślał, że się na to nabieram. Ale te jego fantazje...

Westchnął.

– Sadystyczne?

– Dominacja, wiązanie i tak, powiedziałbym, że odrobina sadyzmu. Bez przerwy opowiadał o związaniu tej kobiety i kochaniu się z nią tak długo, jak długo będzie trzeba, żeby wydusić z niej orgazm. Nie używał wyrażenia „kochać się”.

– Seksualny twardziel – powiedziałem.

– Jego fantazje obejmowały wielokrotną penetrację, wiązanie, używanie ciał obcych.

Próbowałem uświadomić go o potrzebach kobiety, sugerowałem, że może potrzebowała trochę czułości, bliskości, ale wyśmiał mnie. Planował, cytuję „nadziewać ją we wszystkie możliwe sposoby, aż będzie krzyczeć o litość”.

Uśmiechnął się z wyćwiczonym znużeniem. Wszelka niechęć do rozmowy o pacjentach zniknęła.

– Nie byłem w stanie dostrzec w tym żadnego związku z zapobieganiem recydywie, więc kiedy przestał przychodzić, powiedziałem Mary, że mam dość tego całego programu i ludzi, z jakimi musiałem się spotykać.

Schował okulary z powrotem do kieszeni, splótł dłonie i nachylił się do przodu.

– Musicie to zrozumieć, nigdy bym nie skrzywdził Mary. Nigdy.

– A więc przyjął pan tylko trzech pacjentów Strażników Sprawiedliwości – powiedziałem. – Ile to było razem sesji?

– Chyba dwanaście, jeżeli więcej, to niewiele. Pamiętam, jak myślałem, że projekt jest nie tylko nieprzyjemny i bezproduktywny, ale też finansowo zapowiada się na klapę. Całość sumy, jaką zarobiłem, nie przekroczyła chyba pięciuset dolarów. Dlatego wasze trzysta tysięcy to absurd. A pieniądze nie przyszły do Marina del Rey, przyszły do Mary, na adres gabinetu. Spieniężyła czek i wypłaciła mi moją część. Naprawdę, musicie jeszcze raz sprawdzić swoje dane, panowie.

– Mary była kwestorką.

– Można tak powiedzieć. Tak.

Milo wyjął kilka kartek ze swojej teczki i podał je mnie. Pokazałem Gullowi zdjęcie Raymonda Degussy.

– Tak, to on – powiedział. – Ray.

– Pan Dominacja.

Gull kiwnął głową.

– To on zamordował Mary?

– Dlaczego pan pyta?

– Bo zrobił na mnie wrażenie człowieka zdolnego do przemocy. To jak się nosił, jak siadał, chodził... Jak ledwie spętane zwierzę.

Przyjrzał się zdjęciu.

– Spójrzcie na te oczy. Czuję się przy nim nieswojo. Powiedziałem o tym Mary. Wyśmiała mnie, powiedziała, że nie ma się o co martwić.

– Ta dziewczyna, o której mówił – powiedziałem. – Czy wspominał, jak się nazywała?

– Nie, ale ją widziałem. A przynajmniej wydaje mi się, że to była ona.

– Wydaje się panu?

– Niedługo po tym, jak Ray przestał do mnie przychodzić, widziałem go z kobietą.

Obejmował ją ramieniem. Zachowywał się... jak jej właściciel.

– Gdzie ich pan widział? – spytałem.

– Wszedłem do poczekalni po pacjenta i tam oboje siedzieli. W pierwszej chwili pomyślałem, że zaszła jakaś pomyłka co do umówionych sesji, że Ray przyszedł do mnie. Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyszła Mary i wprowadziła kobietę do siebie.

– Dziewczyna była pacjentką Mary.

– Najwyraźniej.

– Pokazałem mu zdjęcie Flory Newsome, żywej i uśmiechniętej.

– Tak – powiedział. – Dobry Boże, o co w tym wszystkim chodzi?

– Czy widział pan tę kobietę z Raymondem Degussą jeszcze kiedyś?

– Raz – powiedział Gull – kiedy przyjechałem pod budynek, a oni wychodzili na parking.

Zaskoczyło mnie to, jak wtedy wyglądała. Nie tak wyobrażałem sobie kobietę, o której opowiadał. Przy takim mężczyźnie spodziewałem się kogoś bardziej... oczywistego.

– Tlenionej blondyny – powiedział Milo.

– Ta kobieta była... Wyglądała jak kasjerka z banku.

– Była nauczycielką – powiedziałem.

– Była – powtórzył Gull. – Chce pan powiedzieć... Boże, dokąd to się ciągnie?

– Wiedząc, że Degussa to opryszek, czy opowiedział pan Mary o jego fantazjach na temat jej pacjentki?

– Nie, nie mogłem. Poufność. Co do tego akurat byliśmy nieugięci. Wszyscy troje. Kiedy drzwi się zamknęły, nic się zza nich nie mogło wydostać. Nie rozmawialiśmy ze sobą o pacjentach.

– Nie uważał pan Degussy za zagrożenie dla Flory Newsome?

– Flora – powiedział Gull. – A więc tak się nazywała... dobry Boże.

Zerwał się, złapał następną chusteczkę.

– Nie było o czym kogo ostrzegać. Nie było mowy o Tarasoffie* [Tzw. Zasada Tarasoffa – przepis ustanowiony przez kalifornijski sąd w sprawie Tarasoff kontra Władze Uniwersytetu Kalifornijskiego z 1976 roku,

nakazujący terapeutę informować władze, jeżeli ma powody przypuszczać, że jego pacjent zamierza wyrządzić

komuś krzywdę (przyp. tłum.)]. Nie powiedział nigdy, że chce ją skrzywdzić, tylko że chce ją doprowadzić do orgazmu.

– Sprawić, żeby krzyczała o litość – powiedziałem.

– Uznałem to za metaforę.

– Bo Degussa był typem poety – powiedział Milo.

– Zabił ją? – spytał Gull. – Chcecie powiedzieć, że ją zabił?

– Ktoś to zrobił.

– O Boże. To mój najgorszy koszmar.

– Jej był gorszy – powiedział Milo.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Czy napastował ją seksualnie? – spytał Gull.

– To my zadajemy pytania – odparł Milo.

– Dobrze, dobrze... Boże, jak mnie suszy. – Gull znów wstał, nalał sobie dwie szklanki wody i obie wypił. Twarz mu błyszczała. Gull wlewał płyn w siebie, a płyn się z niego wylewał. Oto mało konkretny człowiek.

– Kto jeszcze był zaangażowany w Strażników Sprawiedliwości? – spytałem.

– Tylko Mary i Albin.

– A Ray Degussa?

– On? Twierdźcie, że był... Wie pan co, teraz, kiedy pan to powiedział, faktycznie, często się kręcił przy gabinetach. Kiedy już przestał przychodzić na terapię.

– Gdzie bywał?

– Widywałem go, jak idzie ulicą, a on kiwał głową, uśmiechał się i pokazywał mi podniesiony kciuk. Jakbyśmy byli kumplami. Zakładałem, że pracuje gdzieś w pobliżu.

– Rozmawiał pan z nim?

– Mówiliśmy sobie tylko dzień dobry i do widzenia.

– W pobliżu kręcił się bandzior, a panu to nie przeszkadzało?

– Mary i Albin leczyli kryminalistów.

– Ale pan założył, że Degussa pracuje gdzieś w pobliżu.

Gull wzruszył ramionami.

– Właściwie nie przywiązywałem do tego wagi.

– Kiedy odbywały się sesje Strażników?

– Zakładałem, że po godzinach.

– Żeby nie niepokoić regularnych klientów.

Gull kiwnął głową.

– Pan, Mary i Albin Larsen nigdy nie rozmawialiście o szczegółach?

– Szczerze mówiąc – odparł Gull – nie interesowały mnie one.

– Dlaczego nie?

– Przestępcy. Uważam, że wszyscy są podejrzani. Chciałem trzymać się z dala od wszelkich.

– Wszelkiego czego? – spytał Milo.

– Wszelkich nieprzyjemności.

– Więc podejrzewał pan, że mogło tam mieć miejsce coś nielegalnego.

– Nie odpowiadaj – powiedziała Myrna Wimmer. – Możesz się w ten sposób sam obciążyć.

– Ale nie zrobiłem nic nielegalnego – odparł Gull.

Wimmer spojrzała na niego złowrogo i zamknęła usta.

– Pani mecenas – powiedział Milo – pani klient w interesujący sposób odcina się od rzeczy, z którymi nie chce mieć nic wspólnego. Czy celem terapii nie jest przełamanie takiego wypierania?

– Pani poruczniku, z mojego punktu widzenia mój klient okazał się nadzwyczaj skory do współpracy. Czy macie panowie jeszcze jakieś pytania, które uznałabym za dopuszczalne?

Milo skinął mi głową, a ja pokazałem Gullovi zdjęcie Bennetta Hackera.

– A ten mężczyzna? Widział go pan kiedyś?

– Widziałem go kilka razy z Albinem.

– Gdzie?

– W Roxbury Park, jadł obiad z Albinem. W tym samym miejscu, gdzie nas znaleźliście.

Albin często tam chodzi, mówi, że przypomina mu to parki w Szwecji.

- Albin poznał pana z tym człowiekiem?
- Nie. Założyłem, że to też terapeuta.
- Dlaczego?
- Właściwie nie wiem... Może przez to, jak się zachowywał.
- A jak się zachowywał?
- Był cichy, uprzejmy.
- A Sonny Koppel? – spytałem. – Jaka była jego rola w Strażnikach Sprawiedliwości?
- Sonny? Nic mi o tym nie wiadomo.
- Mary nie wspominała nigdy o jego udziale? – spytał Milo.
- Mary powiedziała mi tylko, że Sonny posiada jakieś nieruchomości, że przekonała go, żeby wykorzystał je jako domy przejściowe, i że stamtąd właśnie ona i Albin będą brać swoich pacjentów. Powiedziała, że to wszystko ułatwiło.
- Gotowe źródło pacjentów.
- Uważam, że kierowały nią wyłącznie szlachetne pobudki. Uważała, że może zrobić coś dobrego i jednocześnie na tym zarobić.
- Nawet przy niskich stawkach zwrotów.

Gull zamilkł.

- Cokolwiek tam miało miejsce – powiedział w końcu – ja w tym nie brałem udziału. Chyba należy mi się za to trochę uznania.
- Przylepimy panu złotą gwiazdkę na karcie, doktorze.
- Twierdzi pan, że Sonny nie brał w tym udziału – powiedziałem.
- Wątpię, żeby Mary włączyła Sonny'ego w cokolwiek poważnego. Brzydziła się nim.

Szczerze mówiąc, wiedziała, co Sonny do niej czuje i wykorzystywała to. Żeby załatwić dobre warunki wynajmu naszych gabinetów, żeby finansować własne inwestycje w nieruchomości.

– Pożyczała od Sonny’ego pieniądze?

– Nie pożyczła, dostawała. Prosiła go o pieniądze, a on się zgadzał. Żartowała z tego.

Mówiła: „Ze świni nie wykorzystuję tylko kwiku”.

Paznokcie Myrny Wimmer zastukały w krawędź jej biurka.

– Nie chcę malować tu negatywnego portretu Mary – powiedział Gull. – Małżeństwo z człowiekiem takim jak Sonny nie mogło być łatwe. Poznaliście go?

– Tak.

– Wyobrażacie sobie Mary z kimś takim?

– Dlaczego? Sonny źle ją traktował?

– Nie, nic takiego. Wręcz przeciwnie. – Gull skupił się nagle na własnych palcach.

– Co?

– Szczerze mówiąc, Mary lubiła, kiedy się ją trochę... Lubiła być dominowana. W sensie miłości. Kiedy już dochodziła do punktu zaufania i bliskości.

– Wiązanie?

– Nie, nigdy nie było w użyciu żadnych sznurów, tylko fizyczny nacisk.

– Przytrzymywanie.

– Na jej prośbę – powiedział Gull.

– Sonny nie chciał tego robić.

– Sonny nie mógłby tego zrobić. Opowiadała, że kiedy byli małżeństwem, żądanie dominacji natychmiast robiło z niego impotentą. Bo to on potrzebował dominacji. Mary uważała to za część jego ogólnego problemu, jak to nazywała: „w sflaczałym ciele sflaczały duch”.

Gull poklepał się po brzuchu.

– Według mnie dlatego właśnie go rzuciła. Nie umiał być przy niej zdecydowany.

– Więc go wykorzystwała.

– Powiedziała: „Sonny chce być kontrolowany, robię mu przysługę, pociągając za jego sznurki”.

– Ale nie wspominała o udziale Sonny’ego w Strażnikach?

– Mówiła tylko o tym, że jest właścicielem budynków.

– A Albin Larsen? – spytałem. – Czy między nimi doszło do jakiegoś zbliżenia cielesnego?

Gull zrobił urażoną minę.

– Na pewno nie.

– Dlaczego?

– Albin nie jest w typie Mary.

– Też nie lubi dominować?

– Z tego, co wiem, Albin jest aseksualny.

– Niby taki mnich? – powiedział Milo.

– Odkąd znam Albina, nigdy nie wyraził żadnego zainteresowania seksem ani sprawami seksualnymi. A pracujemy razem od lat.

– Jest zbyt zajęty robieniem dobrych uczynków – powiedziałem.

– Ludzie ukierunkowują swoje popędy na różne sposoby – powiedział Gull. – Ja tego nie osądzam. Zawsze uważałem Albina za kogoś, kto czułby się dobrze w klasztorze. Żyje bardzo prosto.

– Godne podziwu – stwierdził Milo.

– A te wszystkie nazwiska – powiedział Gull. – Twierdzicie, że według kogoś leczyłem tych ludzi i wystawiałem za to rachunki Medi-Calowi?

– Tak twierdzi stan Kalifornia.

– To niedorzeczne. To się nigdy nie zdarzyło.

– Według dokumentów zdarzyło się, doktorze.

– W takim razie ktoś coś popieprzył albo ktoś kłamie. Sprawdźcie moje konta bankowe, przepływ pieniędzy czy jak to tam nazywacie. Nie znajdziecie żadnych trzystu tysięcy bez pokwitowania.

– Jest mnóstwo sposobów ukrywania pieniędzy, doktorze.

– Ja ich nie znam.

– Dokumenty, doktorze...

– Ktoś kłamie! – wrzasnął Gull.

Milo się uśmiechnął.

– Ciekawe, kto.

Gull zamilkł.

– Ma pan jakieś teorie? – spytałem.

– Uważaj, Franco – powiedziała Myrna Wimmer.

Gull głęboko odetchnął i bardzo powoli wypuścił powietrze.

– Chcecie powiedzieć, że Mary i Albin fałszowali rachunki w moim imieniu i zgarniali pieniądze dla siebie.

– To pan to powiedział, doktorze – powiedział Milo.

Gull otarł lśniące czoło.

– Chyba tak. A teraz Mary nie żyje.

– Nie żyje, doktorze.

Gull spocił się jeszcze bardziej, już się nawet nie wycierał.

– Nie mówicie poważnie.

Jego głos się zmienił. Był wyższy, zduszony.

– W tym samym okresie, w którym pan wystawił faktury na sumę trzystu czterdziestu tysięcy dolarów za terapię przestępców, Mary wystawiła je na sumę trzystu osiemdziesięciu tysięcy, a

Albin Larsen – czterystu czterdziestu tysięcy dolarów.

– Albin? – powiedział Gull z niedowierzaniem.

– To właśnie jest pytanie – powiedziałem. – Teraz popracujmy nad odpowiedzią.

Rozdział 41

Wycisnąłeś go jak cytrynę – powiedział Milo, kiedy zjeżdżaliśmy windą na parter biurowca

Wimmer. – Gratulacje.

– Dzięki.

– Nie jesteś zadowolony?

– Trzeba było to zrobić.

– Gdy poluję i udaje mi się coś złowić – powiedział, kiedy włączyliśmy się do ruchu – robię się głodny. Chodzi mi po głowie jakieś czerwone mięso.

– Dobrze.

– Nie masz ochoty?

– Może być czerwone mięso.

– Jadłeś duże śniadanie?

– Nic nie jadłem.

– Aż tak brzydzi cię granie wielkiego inkwizytora?

– Trochę wykracza poza moje przygotowanie.

– To wojna psychologiczna – powiedział Milo. – W Wietnamie armia kazałaby ci pisać pamflety.

– Gdzie jest czerwone mięso? – spytałem.

– Dobra, zmieńmy temat... Wilshire, niedaleko plaży, jest tam nowy lokal, gdzie dają dobrą wołowinę, dojrzewającą na sucho, ale jeśli ucztowanie po tym, jak złamałeś drugą istotę ludzką, jest ci wstrętne, zrozumiem. I to mimo tego, że owa istota jest samolubnym, oślizgłym gadem.

– Skoro tak to ujmujesz...

– Gull może i nie brał bezpośredniego udziału w przekręcie ani morderstwach, ale nie kupuję jego całkowitej niewinności. Myślę, że zatwierdzony przez prokuraturę układ to dla niego prezent od losu.

Dwuletnie zawieszenie licencji psychologa w zamian za pełną współpracę we wszystkich karnych i cywilnych kwestiach dotyczących...

– Bardziej niż fair – powiedziałem. – Chodźmy jeść.

W restauracji mieli własne piwo i dojrzewalnię mięsa z panoramicznym oknem wychodzącym na ulicę. Rodzina turystów zatrzymała się przy nim, by podziwiać wołowe półtusze zwisające z lśniących haków, a Milo stanął na chwilę obok nich. Dwoje małych dzieci pokazywało sobie coś palcami i chichotało.

– Fajne – powiedział ich ojciec.

– Moim zdaniem to okrutne – zaopiniowała matka.

– Kontrolowany rozkład poprawia smak – powiedział Milo, kiedy siedzieliśmy już w budce w środku. – Trochę jak w życiu.

– Życie trudniej kontrolować – odparłem.

Poklepał mnie po ramieniu.

– To jeszcze jeden powód, żeby się dobrze najeść.

Nad dwiema górami steków Delmonico, pieczonymi ziemniakami wielkości adidasów i butelką czerwonego wina omówiliśmy to, czego dowiedzieliśmy się od Gulla.

– Sonny wychodzi w tym wszystkim na ofiarę, nie na złego – powiedział Milo.

– Gull nie miał powodów kłamać. Wręcz przeciwnie. Jeśli mógłby zwalić winę na kogoś jeszcze, zrobiłby to.

– Albo nie zna wewnętrznych układów, albo Sonny naprawdę jest tylko biednym frajerem,

naciągany przez byłą żonę. Który przypadkiem zrobił duże pieniądze.

– I nie wiedział, jak je wydać – powiedziałem.

– Więc Mary z dobroci serca mu pomogła. Ona to lubiła forszę, co? Ładna, lukratywna praktyka, dodatkowe pieniądze od byłego i jeszcze ryzykowała przekręt.

– Może chodziło o coś więcej niż pieniądze – powiedziałem. – Może podniecało ją zrobienie czegoś nielegalnego. Tak jak mówiliśmy, prawdopodobnie tłumaczyła sobie, że kara skorumpowany system.

Milo zjadł kawałek steku.

– Interesująca kobitka z tej naszej Mary. Kultywuje wizerunek profesjonalistki i szafarza mądrości, ale bez skrupułów naciąga Sonny'ego. A do tego wszystkiego lubi, jak się ją przytrzymuje.

– Władza to dziwny narkotyk. Czasami ludzie posiadający władzę lubią być kontrolowani seksualnie.

– Gdzie to słyszałeś?

– Widziałem coś takiego.

– Och. – Milo wytarł sos kawałkiem chleba. – Wierzysz, że Gull nigdy nie rozmawiał z Mary o fantazjach Degussy dotyczących Flory?

– Nawet jeśli nie – powiedziałem – Mary musiała się domyślać, co się dzieje. Flora przyszła do niej ze swoją seksualną obojętnością, a Mary знаła Degusę, bo razem robili przekręt.

Wiedziała, jakim był człowiekiem. Równie dobrze Degussa mógł posłać Florę na terapię. Żeby ją seksualnie podrasować.

– Brian Van Dyne powiedział, że Flora usłyszała Mary w radiu.

– Brian Van Dyne o wielu rzeczach nie wiedział.

– Narzeczona z drugim życiem – powiedział Milo. – Flora bawiła się i jednym, i drugim?

– Poznała Degusę, pracując w agencji warunkowych zwolnień. Miał ten swój wdzięk socjopaty macho, więc rzuciła Roya Nicholisa dla kogoś jeszcze twardszego. Podniecał ją zakazany owoc. Potem poznała Van Dyne’a i zaczęła myśleć o małżeństwie, ale nie chciała rezygnować z zabawy.

– Miły, szanowany nauczyciel na pokaz dla mamy, twardziel na boku.

– Możliwe, że morderstwo Flory nie miało nic wspólnego z przekrętem – powiedziałem. – Na miejscu było o wiele więcej krwi niż w pozostałych przypadkach i nie było śladów włamania.

Dla mnie to nieszczęśliwy rezultat pożądania i seksu. Kiedy poznaliśmy Roya Nicholisa, zastanawiałeś się nad motywem zazdrości. Dlaczego nie przypisać go Degussie?

– Degussa dowiedział się o Van Dyne’ie i eksplodował – powiedział Milo.

– Zdradziła niewłaściwego faceta. Do tego niezdolność Flory do szczytowania i mamy gotowy przepis na morderczy szal. Ktoś taki jak Ray Degussa seksualną obojętność potraktowałby jak osobistą zniewagę.

– Nadziewać ją we wszystkie możliwe sposoby. To w końcu z nią zrobił. A Mary Koppel jej nie ostrzegła.

– Zasada poufności – przypominałem. – Traktowała to bardzo poważnie.

Milo zaczął kroić stek, przestał.

– Więc mam wykreślić Florę z listy naciągaczy?

– Nie ma żadnych dowodów, że brała w tym udział.

– Poza tym – stwierdził Milo – jej mama to miła, starsza pani.

– To też.

– Zasada poufności... Mary nie chciała narażać napływu gotówki. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy plus jej własne, zawyżone stawki, do tego dzieliła się z Larsenem tymi trzystoma tysiącami, które przychodziły na nazwisko Gulla. To ponad pół miliona na głowę, oprócz tego,

co zarabiali legalnie. A Mary miała jeszcze alimenty.

– Mary gardziła Sonnym za to, że nie wiedział, jak korzystać z życia.

– Ona za to korzystała całą gębą. Aż powinęła się jej noga. Najważniejsze to znaleźć te pieniądze. Zevonsky zabrał się za kontrole skarbowe.

– Znajomość afrykańskich kontaktów Larsena mogłaby się przydać.

– Za nadzieję. – Milo wznosił toast, dokończył mamuci kawał steku, pogryzł go powoli i połknął. – Jak myślisz, jak doszło do zamordowania Mary? Zrobiła awanturę Larsenowi, stała się niebezpieczna, a ten wysłał Degusę, żeby ją wykończył?

– Tak właśnie myślę.

Dolałem sobie wina i wypilem długi łyk. Niezły cabernet. Obowiązujące ostatnio stanowisko medycznych wyroczni głosiło, że alkohol jest zdrowy, jeśli się z nim nie przesadza.

To było sedno każdej sprawy – znać granice.

– Wszystko pasuje, ale cały czas mam za mało dowodów – powiedział Milo. – Nie mam nawet adresu Degussy. Klub, w którym pracuje, płaci mu do ręki.

– Spróbuj w Marina – powiedziałem. – Flora zabierała tam Van Dyne’a na obiad. Może dlatego że była tam wcześniej z Degussa.

– Bobby J’s... tak, podoba mi się ten pomysł, jeśli się nimi bawiła, to by się jej podobało.

Zajrzę tam jeszcze raz, pokażę zdjęcie Degussy.

Podciągnął spodnie i wyszliśmy z restauracji. Musiał zostawić olbrzymi napiwek – gliniarski napiwek – bo kelner odprowadził nas aż na chodnik, podziękował mu i uściśnął mu dłoń.

– Na zdrowie – powiedział Milo i wróciliśmy do samochodu. – Z tym, co teraz wiemy – powiedział – powinno mi się też udać zdobyć trochę więcej ludzi do obserwacji. Dobrze jest, Alex. Nie świetnie, ale nieźle.

– Miło mi, że się cieszysz.

– Ja? Ja zawsze jestem wesoły jak promyczek słońca. – Jakby chcąc to zademonstrować, rozciągnął usta w czymś, co mogło być uśmiechem i włączył policyjne radio.

Nucił coś atonalnie do taktu z recitalem dyżurnego o przemoc i nieszczęściu.

– Pozostaje jeszcze pytanie, jak wpasować w to wszystko Jerry’ego Quicka – powiedział w połowie drogi na posterunek.

– Może się nie da – odparłem. – Gull znał go tylko jako ojca Gavina i może o to właśnie chodzi. Jerry zaczął śledzić Gavina. Bo Gavin dziwnie się zachowywał. Gavin o tym nie wiedział, zauważył tatę i zapisał jego numery rejestracyjne. Dla jego uszkodzonego umysłu wszyscy brali udział w spisku.

– Gavin miał paranoję?

– Uraz płatów przedczołowych mógł to spowodować.

– Zatroškany ojciec pomagałby nam, Alex, a nie niszczył dowody i ukrywał się. Quicka nie ma już od ilu? Pięciu dni. O co tu chodzi, do cholery?

– Słuszna uwaga – powiedziałem.

– Samo to, że Gull nie wiedział o udziale Quicka, nie znaczy, że Quick był czysty jak lilijka.

To facet, który zatrudnia striptizerkę jako fałszywą sekretarkę, używa telefonów na kartę, zostawia prezerwatywy w bagażu, żeby dopiec żonie, dobiera się do szwagierki i nie płaci rachunków w terminie. Dla mnie to typowy przykład obywatela, któremu bardzo spodobałoby się coś w rodzaju Strażników Sprawiedliwości. Zatroškane go tatusia kupuję do pewnego momentu – do momentu, kiedy Quick dostarczył Gavinowi Christi Marsh. Przez co ona też zginęła. Quick wie, że jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, będzie miał przechłapanie u rodziny, nie wspominając już o kłopotach z prawem. Dlatego prysnął i zostawił Sheilę, żeby radziła sobie sama. Ward Cleaver* [Postać z amerykańskiego serialu *Leave it to beaver*, przykładowy mąż i ojciec (przyp. tłum.)] to on nie jest.

– Zastanawiam się, jak sobie radzi Sheila – powiedziałem.

– Wieczny psycholog. Możesz do niej wpaść i urządzić jej małą terapię. Bóg jeden wie, jak bardzo jej tego trzeba. Tymczasem ja zarobię na pensję, którą płaci mi miasto.

Przecznicę dalej powiedział:

– Czy podziękowałem ci za twoją pomoc?

– Wielokrotnie – odparłem.

– To dobrze – stwierdził. – Trzeba być kulturalnym.

Rozdział 42

South Camden Drive o drugiej po południu prezentowała się bardzo ładnie.

Umiarkowana pogoda Beverly Hills, niezmacona porami roku, ładne domy, ładne samochody, ładni ogrodnicy koszący ładne trawniki. Kawałek za domem Quicków starszy pan szedł chodnikiem, wspierając się na chodziku i maleńkiej Filipince. Kiedy przejeżdżałem, uśmiechnął się i pomachał.

Szczęście ma tak niewiele wspólnego ze stanem kości.

Drzwi do białego domu były otwarte, a na podjeździe stał minivan Sheili Quick z włączonym silnikiem. Rura wydechowa wypluwała delikatne obłoczki dymu, które rozwiewały się szybko w łagodnie ciepłym powietrzu.

Na przednim fotelu pasażera rozpoznałem sylwetkę kobiety. Wsiadłem i podszedłem do samochodu. Sheila Quick siedziała sztywno, jak zahipnotyzowana, za zamkniętą szybą.

Nie zauważyła mnie i miałem właśnie zastukać, kiedy z domu wyszła młoda kobieta z dużą, niebieską torbą.

Kiedy mnie zobaczyła, zamarła.

Wysoka, szczupła, o ciemnych włosach ściągniętych z tyłu głowy w prosty kucyk.

Przyjemna twarz, mniej pospolita niż na rodzinnym zdjęciu. Była ubrana w niebieską bluzę z

kapturem, dżinsy i białe adidas. Kąciki jej oczu lekko opadały, kwadratową szczękę miała po ojcu. Odziedziczyła też po nim lekkie garbienie. Wyglądała przez to, jakby była zmęczona. Może była.

– Kelly?

– Tak?

– Nazywam się Alex Delaware. Współpracuję z policją Los Angeles...

– Współpracuję? Co to znaczy?

Studentka pierwszego roku prawa, uczona analizować to, co słyszy? Czy wybrała ten zawód, bo pasował do jej natury?

– Jestem psychologiem, policyjnym konsultantem – powiedziałem. – Brałem udział w śledztwie...

Na słowo „psycholog” odwróciła głowę i spojrzała na matkę.

– Dopiero co przyjechałam, nic o tym nie wiem – powiedziała.

– Dzień dobry! – zawołał wesoły głos za mną.

Sheila Quick opuściła szybę, uśmiechała się i machała do mnie.

– Dzień dobry! Znów się widzimy!

Kelly Quick podniosła torbę, podeszła do przodu, ustawiła się między mną a matką.

– Pan jest z policji, Kell.

– Wiem, mamó. – Do mnie zaś powiedziała: – Przepraszam, ale trochę się nam spieszy.

– Wyjeżdżacie na jakiś czas?

Cisza.

– Dokąd, Kelly?

– Wolałabym nie mówić.

– Do ciotki Eileen?

– Wolałabym nie mówić. – Kelly Quick precisięła się obok mnie, przeszła na tył samochodu, otworzyła klapę i załadowała torbę do bagażnika. Leżały tam już dwie duże walizy.

– Wciąż ani śladu Jerry’ego! – powiedziała Sheila Quick. – Może już nie żyje!

Wciąż radosna.

– Mamo!

– Nie ma powodu do nieszczerości, Kelly. Nieszczerości wystarczy mi już na...

– Mamo! Proszę!

– Przynajmniej powiedziałaś: „Proszę” – powiedziała Sheila Quick. Zwróciła się do mnie. –

Dobrze ich wychowałam.

– Dokąd jedziecie? – spytałem.

Kelly Quick znów stanęła między nami.

– Spiesz się nam. – Wykrzywiła usta. – Proszę.

– Ona jest bystra, z głową ma wszystko w porządku – powiedziała Sheila Quick. – Zawsze świetnie się uczyła. Gavin miał urok i wygląd, Kelly miała stopnie.

Oczy Kelly Quick zaszły mgłą.

– Możemy porozmawiać, Kelly? – poprosiłem. – Tylko chwilę.

Trzepot rzęs, wysunięcie biodra. Pozostałość okresu dojrzewania, który dopiero co zostawiła za sobą.

– Dobrze, ale tylko przez chwilę.

Przeszliśmy kilka metrów za samochód.

– Dokąd się wybieracie? – zawołała Sheila Quick.

– Za chwilę wrócimy, mamo. – Zaraz mnie zapytała: – O co chodzi?

– Jeśli jedziecie do ciotki Eileen, łatwo będzie was znaleźć.

– Wcale tam... Możemy jechać, gdzie nam się podoba.

– Oczywiście. Nie przyjechałem was zatrzymywać.

– Więc po co?

– Kontaktował się z tobą ojciec?

Cisza.

– Kelly, jeśli się z tobą kontaktował i dał jakieś instrukcje...

– Nie dał. W porządku?

– Na pewno polecił ci, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Na pewno myślisz, że słuchając go, pomagasz mu.

– Nikogo nie słucham – powiedziała. – Myślę niezależnie. Musimy już jechać.

– Nie możesz powiedzieć dokąd?

– To nieważne, naprawdę nieważne. Mój brat został zamordowany, a moja mama... ma problemy. Muszę się nią zaopiekować, to wszystko.

– A twój tata?

Opuściła wzrok na chodnik.

– Kelly, możliwe, że on ma poważne kłopoty. Ludzi, z którymi się zadaje, nie wolno nie doceniać.

Wyprostowała się, ale spojrzała gdzieś za mnie.

– Nikt nie wie lepiej od ciebie, jak wrażliwa jest twoja matka i jak łatwo ją zranić. Jak myślisz, jak długo dasz radę się nią opiekować?

Odwróciła się do mnie gwałtownie.

– Wydaje się panu, że pan coś wie.

– Na pewno nie wiem.

– Proszę – powiedziała. – Niech pan nie utrudnia.

Oczy zaszyły jej łzami. Stare oczy w młodej twarzy.

Odsunąłem się na bok, a ona wróciła do samochodu, siadła na miejscu kierowcy i zamknęła drzwi. Kiedy zapaliła silnik, Sheila zaczęła trąkotać i gestykulować.

Świąteczny nastrój. Kelly z ponurą miną położyła dłoń na kierownicy. Nie zamierzała odjechać, dopóki tu byłem. Ruszyłem spod krawężnika.

Kiedy dojechałem do rogu, spojrzałem w lusterko. Van wciąż stał na miejscu.

Mila nie było, więc poprosiłem detektywa Seana Binchy'ego.

– Myśli pan, że pan Quick zadzwonił do córki? – spytał.

– Tak sędzę.

– Więc ona pewnie wie, gdzie jest tatuś. Myśli pan, że powinienem kazać śledzić vana?

– Najpierw spytałbym Mila. Kiedy wróci?

– Nie powiedział – odparł Binchy. – Mówił coś, że jedzie do Marina na obiad. Chyba chodziło o coś więcej, ale powiedział tylko tyle. Zazwyczaj w końcu wyjaśnia.

Godzinę później Milo pojawił się u mnie w domu i wyjaśnił.

– Strzeliłem fajnego drinka w Bobby J's – powiedział, masując brzuch. – Znalazłem kelnerkę, która pamięta, że Flora i Degussa jedli tam kilka razy. Drugie śniadanie i obiad.

Zapamiętała ich, bo pomyślała, że to dziwna para.

– Nauczycielka i bandzior.

– Powiedziała, że Degussa bezwstydnie z nią flirtował, a Flora tylko siedziała i patrzyła.

Powiedziała też, że Degussa dziwnie jadł, skulony nad talerzem, jakby ktoś miał mu go zabrać.

– Więzienna etykieta – powiedziałem. – Widziała Florę z Van Dyne'em?

– Nie. Albo nie było jej na tej zmianie, albo Brian nie zrobił na niej wrażenia. Wielkie dzięki za ten trop. Znalazłem tam adres Bennetta Hackera.

– Myślałem, że mieszka na Franklin.

– Siedem miesięcy temu miał dwa adresy, mieszkania na Franklin i na Marina Way. Może

uciekał tam na weekend.

– Zgadnij, za co je utrzymywał – powiedziałem. – Zastanawiam się, ile dostawał ze Strażników.

– Ogólny zarobek wynosił ponad milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy w ciągu szesnastu miesięcy, więc starczyło dla każdego. Larsen i Mary mogli odpalać jemu i Degussie jedną trzecią i wciąż mieć dużo dla siebie.

– Może na to szły fałszowane faktury Gulla.

– To już zadanie dla Zevonsky’ego. Ja skupiam się na czterech zabójstwach, co oznacza, że kiedy Bennett Hacker wyjdzie dzisiaj z biura, będzie śledzony. Wyszukałem ładny, nierzucający się wóz na parkingu departamentu, zamierzam być w śródmieściu za pół godziny. Binchy będzie ze mną w kontakcie radiowym. Chcesz jechać? Porobisz zdjęcia, jeśli będę miał zajęte ręce.

– Proszę o uśmiech – powiedziałem.

„Ładnym i nierzucającym się w oczy” wozem było ciemnoszare volvo kombi, z przyciemnianymi szybami i naklejką na zderzaku, głosząca: Kocham Los Angeles. W środku czuć było papierosami i kadzidełkiem. Na fotelu pasażera leżał polaroid i pięć filmów. Położyłem to wszystko sobie na kolanach.

– Niezła fura.

– Skonfiskowana handlarzowi narkotyków – powiedział Milo. – Lepsza niż wygląda, zamontował turbodoładowanie.

– Handlarze narkotyków jeżdżą kombiakami?

– Życie jest pełne niespodzianek – powiedział Milo. – Ten studiował na uniwerku, sprzedawał ekstazę kolegom. Tata chirurg, mama sędzia. Samochód był kiedyś jej.

Po drodze do śródmieścia opisałem mu spotkanie z Kelly i Sheilą Quick.

– Zdolne dziecko – powiedział. – Quick ściągnął ją do domu, żeby mu pomogła.

– Wie, że ma kłopoty, i chce ukryć rodzinę. Poza tym potrzebuje kogoś do opieki nad Sheila.

– Znowu zostawi ją u Eileen Paxton?

– Kiedy o tym wspomniałem, Kelly się najeżyła.

Na następnych czerwonych światłach Milo znalazł w notesie numery telefonów Paxton i zadzwonił do niej do biura. Połączył się z nią, bardzo mało mówił, dużo słuchał, rozłączył się i szcęknał zębami.

– Sheila i Kelly rzeczywiście miały przyjechać do niej dzisiaj wieczorem, ale Kelly właśnie dzwoniła, powiedziała, że była zmiana planów, nie chciała powiedzieć, jaka. Paxton próbowała się z nią kłócić, ale Kelly się rozłączyła, a kiedy Paxton zadzwoniła jeszcze raz, telefon w samochodzie był wyłączony. Paxton mówi, że Kelly zawsze była uparta. Mówi, że jej siostra psychologicznie jest w coraz gorszym stanie, że nie widziała jej jeszcze w tak złym. Właśnie miała do mnie dzwonić. Sheila wyglądała dla ciebie źle?

– Jest bardzo krucha – powiedziałem. – Wszystko, co myślała, że ma, właśnie się jej wymyka z rąk. Sean zastanawiał się, czy nie kazać śledzić vana.

– Sean ogląda za dużo telewizji. Sheila i Kelly nie są podejrzanymi, tylko dwiema przerażonymi kobietami. I mają powody, żeby się bać. Takie polecenie umieściłoby je obie na celowniku, a ja tego nie zrobię.

Skręcił w Czteryście Piątą i przejechał do Dziesiątej Wschodniej.

– Zastanawiam się, czy Quickowie mają paszporty – powiedział dwa zjazdy dalej.

– Ucieczka całą rodziną? – powiedziałem. – Jeśli Jerry ma odłożone dość pieniędzy, to możliwe.

– Aż mi się go robi żal – stwierdził Milo. – Dopóki nie pomyślę o tych poprzebijanych zwłokach. Równie dobrze mógł już gdzieś polecieć, a teraz czeka, aż żona i córka do niego dołączą. Albo przejechał tylko przez granicę do Meksyku.

– Żona, córka i Angie Paul? – spytałem.

Milo mlasnął.

– Tak, pozostaje ten mały problem... Każę Seanowi sprawdzić lotniska i podzwonić po straży granicznej, potem zajrzeć jeszcze raz do mieszkania Angie.

Zjechał na szybki pas, zadzwonił do Binchy'ego, jadąc ponad setką.

– Sean, mam dla ciebie parę rzeczy do zrobienia... Naprawdę? Tak myślisz? Dobra, tak, jasne, dawaj. – I poprosił mnie: – Możesz zapisać?

Znalazłem w schowku papierek po gumie do żucia i zapisałem nazwisko i numer telefonu.

Milo przekazał Binchy'emu polecenia i rozłączył się.

– Albo nic, albo wszystko naraz. Właśnie zadzwonił ktoś, kto może nam sporo powiedzieć o Christinie Marsh. Facet twierdzi, że jest jej bratem, zobaczył jej zdjęcie w gazecie. Studiuje na uniwersytecie w Santa Barbara, mieszka w Isla Vista. Kiedy skończymy z Hackerem, zobaczę, co to za jeden.

Kalifornijski Departament Więziennictwa, Wydział Zwolnień Warunkowych, Region III znajdował się przy South Broadway niedaleko Pierwszej, w samym sercu śródmieścia.

Wjechaliśmy na Sto Dziesiątą, zjechaliśmy przy Czwartej ulicy, pojechaliśmy na południe i utknęliśmy w korku przy Drugiej. Milo kazał mi zadzwonić do biura zwolnień i spytać o Bennetta Hackera.

– Umiesz udawać skazańca?

– Hej – powiedziałem, obniżając głos. – Nie wkurzaj mnie, gościu.

Milo się roześmiał. Przedarłem się przez system nagranych wiadomości, ułożonych tak, żeby mnie zniechęcić, w końcu połączyło mnie z opryskliwą, zagonioną kobietą. Ilu skazańcom starczyłoby cierpliwości?

– Jest pan jego przydziałem? – warknęła.

– Tak mi powiedzieli.

– Jest pan umówiony?

– Nie, ale...

– Musi się pan umówić. Nie ma go tu.

– O, rany – powiedziałem. – A kiedy wróci?

– Wyszedł – powiedziała. – Minutę temu.

Poddałem się.

Milo zaklął.

– Trzecia, a jego już nie ma.

– Powiedziała, że minutę temu. Jeśli parkuje pod budynkiem, może zauważymy, jak wychodzi.

Samochody stały dookoła. Potem podpełzły do przodu. I znów stanęły. Przed nami cztery.

Śródmiejskie cienie nadały chodnikowi kolor węgla drzewnego.

– A, co tam – powiedział Milo, parkując. Wsiadł i spojrzał w obie strony Broadwayu.

Prawy pas był zamknięty, zablokowany pomarańczowymi pachołkami, odgradzającymi podłużne wykopy. Powietrze cuchnęło gorącym asfaltem, ale nigdzie nie było widać robotników.

Milo błysnął odznaką czterem zaskoczonym kierowcom, wsiadł z powrotem do samochodu, popatrzył, jak zjeżdżają w prawo, niebezpiecznie blisko pachołków. Przejechał.

– Władza – powiedział, dziękując im machaniem. – Uderza do głowy.

Przejechał z rozpędu jeszcze trzy metry, znalazł miejsce do niedozwolonego zaparkowania obok otoczonego pachołkami hydrantu. Dokładnie naprzeciwko budynku biura zwolnień warunkowych. Chodniki były zatłoczone, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Kilka sekund później podeszła do nas ponura strażniczka miejska z bloczkiem mandatowym w ręku. Kiedy doszła do okna Mila, zobaczyła odznakę. Milo mówił szybko, nie dopuścił jej do

głosu. Odeszła, patrząc na niego ze złością.

– Obsadziłbym ją w dramacie więziennym – powiedział. – Bezwzględna matrona bez złotego serca.

Czekaliśmy. Ani śladu Bennetta Hackera.

– Minutę temu, co?

– Może jest tylne wyjście – powiedziałem.

– To by dopiero był pech.

Kolejne pięć minut. Wielki, szary, państwowy budynek, mnóstwo ludzi wchodziło i wychodziło.

Trzy minuty później frontowe drzwi wypłuły Bennetta Hackera, wraz z falą innych pracowników służby publicznej.

Łatwo było go zgubić, stanął z boku, żeby przypalić papierosa.

Ale kiedy tłum przeszedł, on wciąż palił. Ubrany w źle leżącą, szarą sportową marynarkę i granatowe spodnie, ciemnoniebieską koszulę i krawat w srebrno-niebieskie paski. Nie przerywając palenia, przeszedł przecznice dalej do budki z hot dogami.

Milo podjechał do przodu, a ja zrobiłem Hackerowi zdjęcie. Miał usta pełne chili doga.

Hacker przeszedł następną przecznice, paląc i jedząc. Bez pośpiechu. Całkiem bez troski.

Jechanie za nim na tyle wolno, żeby nas nie zauważył, było wyzwaniem. Ruch na ulicy albo zamierał, albo wystrzeliwał naprzód. Milo złamał mnóstwo przepisów, jakoś mu się udało. Ja robiłem zdjęcia, kiedy tylko udawało mi się złapać dobre ujęcie. Ukazywały całkowicie pospolitego człowieka: wysokiego, chudego, o zwyczajnych rysach twarzy i nieciekawym kolorze włosów. Jedyna zauważalna cecha: lekka szpotawość. Wydawał się przez nią chodzić trochę niepewnie, prawie jak pijany.

Na następnym rogu Hacker skończył chili doga, rzucił tłusty papier do kosza, nie trafił.

Skręcił, nie cofając się po niego.

– Proszę – powiedziałem. – Możesz go aresztować za zaśmiecanie.

– Podliczam mu wszystko. – Milo podtoczył się do rogu.

Hacker wszedł na publiczny parking.

– Zostaniemy tu i zaczekamy, aż wyjedzie – powiedział Milo. – Szukamy eksplorera rocznik 99. Według rejestracji czarnego, ale to się mogło zmienić.

– Ma dwa mieszkania, ale tylko jeden samochód?

– Aha.

– Nie wydaje pieniędzy na lepsze wózki – powiedziałem. – Ani ciuchy. Mieszkanie w Marina to jego skarb.

– Pewnie tak. Mieszkanie na Franklin to nora. Kawalerka w starej, dwupiętrowej kamienicy.

Przejechałem tamtędy wczoraj wieczorem, miałem nadzieję, że go zobaczę, może z Degussą. Nic z tego. Skrzynka pocztowa pełna. Teraz wiem, dlaczego. Woli morską bryzę.

Explorer był czarny, poszarzały od kilkutygodniowego brudu. Dach i maskę znaczyły kropki ptasich odchodów.

Bennett Hacker trzymał się z dala od autostrady i pojechał na zachód bocznymi uliczkami:

przez śródmieście do Figueroa, potem na południe do Olympic, obok Staples Center, aż do

Robertson. Potem w prawo w Pico, do Motor, na południe do Washington, gdzie ulica kończyła się ślepo na parkingu studia Sony. Jeszcze jeden zakręt w prawo i jechaliśmy do Marina.

Okrężna droga. Jazda trwała prawie godzinę. Hacker nie próbował skrótów ani szybkich manewrów. Jeździł tak, jak chodził. Powoli, spokojnie, nie zmieniając nawet pasów, chyba że musiał. Bez przerwy palił, opuszczał szybę i pstrykał niedopałkami.

Milo trzymał się trzy samochody za nim i nic nie wskazywało na to, że Hacker coś zauważył.

W Palms Milo zadzwonił do Seana Binchy'ego i kazał mu zapomnieć o przyłączaniu się do

ogona, zadanie nie wyglądało na skomplikowane. Binchy siedział po uszy w biurokracji i czuł się jak ryba w wodzie. Sprawdzał dane z linii lotniczych, straży granicznej, wydostawał z urzędu skarbowego zeznania podatkowe Jerome'a Quicka.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz, Sean – powiedział mu Miło.

Na Washington, kawałek na wschód od Palawan Way, Bennett Hacker zatrzymał się przy sklepie całodobowym i kupił napój, a ja zrobiłem mu zdjęcie, jak pije przez dwie słomki. Wciąż pijąc, wsiadł do explorera, skręcił w Via Marina i przejechał obok swojego mieszkania. Wyrzucił pusty kubek za okno; plastik potoczył się po pasie zieleni.

Hacker pojechał dalej przez Marina, obok Bobby J's i szeregu innych portowych restauracji, i zatrzymał się przed pasażem handlowym na południowym skraju.

Automatyczna pralnia, sklep z alkoholem, firma zakładająca kraty w oknach, wyposażenie łodzi.

HOG TRAIL MOTOCYKLE.

Wypisane grubymi literami, fosforyzujące banery nad garażem obwieszczały światu wielką wyprzedaż. Wielkie, lśniące motocykle, wiele z nich poprzerabianych i udużonych, stały przed sklepem w przechylonym szeregu.

– Proszę – powiedział Milo. – Nowa zabawka dla pracownika publicznego.

Sfotografowałem Hackera wchodzącego do sklepu i pstrykałem zdjęcia dalej, kiedy wyszedł kilka chwil później, rozmawiając z drugim mężczyzną.

Jego towarzysz poczęstował się papierosem. Był potężnym, dobrze zbudowanym facetem w białym T-shircie i obcisłych, niebieskich dżinsach. Na nogach miał robocze buty. Ręce i koszulkę pokrywały plamy smaru.

Liczne tatuaże, przylizane do tyłu czarne włosy. Raymond Degussa wyglądał na starszego i cięższego niż na swoich najnowszych zdjęciach. Znow zapuścił wąsy, teraz siwiejące, i krótką

bródkę, podkreślającą jego grubą obwisłą dolną wargę.

– Proszę, proszę – powiedział Milo. – Pan Ray ma dzienną pracę. Pewnie taka sama wygodna gotówka jak w klubie. Żadnych papierów, żadnych zeznań podatkowych.

– Spójrz, co leży na podłodze po jego prawej – powiedziałem.

Trzy rolki czarnego brezentu. Neopren, jego strzęp znaleziono w mieszkaniu Flory Newsome.

Milo zacisnął zęby.

– Nie wiem, czy nie oczekuję od naszego szczęścia zbyt wiele – powiedziałem – ale tamta firma z kratami do okien na pewno sprzedaje żelazne pręty. To się nazywa zrobić wszystkie zakupy w jednym miejscu.

– O, tak – powiedział Milo. – Może jeszcze kilka zdjęć?

Pstryk, pstryk, pstryk.

Degussa znalazł szmatę i wytarł ręce. Bennett Hacker mówił, obaj puszczaali obłoczki dymu, które znikaly w plażowym powietrzu. Pociągła, surowa twarz Degussy pozostawała bez wyrazu.

Potem kiwnął głową, wyszczerzył się w uśmiechu, strzepnął szmatę i cisnął ją do stojącego trzy metry dalej białego wiadra, tuż za rolkami neoprenu. Dwa punkty. Miał oko.

Zdjął brudną koszulkę, ukazując potężną klatkę piersiową, twardy, wydatny brzuch, zwaliste, włochate ramiona, ręce i kark, grubą talię, zmiękczoną uchwytami miłości. Trochę rzeźby, ale głównie rozmiar. Więzienne, darmowe sztangi służyły do nabierania masy, a nie finezyjnego kształtowania ciała.

Degussa zmiął koszulkę, wrócił do sklepu, wyszedł ubrany w czarną, jedwabną koszulę z krótkimi rękawami, wiszącą luźno nad tymi samymi dzinsami i butami.

– Nie włożył jej w spodnie – powiedziałem. – Ciekawe, czy jest uzbrojony.

– Nie byłbym zaskoczony.

Zmieniłem film w aparacie i sfotografowałem Degusę i Hackera, wsiadających do explorera. Terenówka zawróciła, łamiąc zakaz, wróciła na Washington, skręciła na południe w Inglewood i zatrzymała się przy krawężniku tuż przed Culver Boulevard, przed barem o nazwie Winners.

Było to jedno z tych brych dzieł sztuki z pustaków, z szyldem Budweisera w jedynym, upstrzonym przez muchy oknie i wiszącym nad drzwiami banerem z napisem HAPPY HOUR DRINKI.

Milo zauważył wolne miejsce po drugiej stronie ulicy, dziesięć metrów na północ. Zawrócił pod zakazem i zaparkował.

Pstryk – pstryknąłem front baru.

– Jest za mały, żebyśmy weszli niezauważeni – powiedział Milo – więc po prostu poczekamy.

Godzinę później Hacker i Degussa wciąż jeszcze nie wychodzili. Po pół godzinie Milo zaryzykował krótki spacer i zajrzał za bar.

– Tylne wyjście jest zamknięte. W końcu będą musieli wyjść od frontu.

Kiedy tak siedzieliśmy, kilka razy zadzwonił do Seana Binchy’ego. Jak na razie nie było żadnych dowodów, że Jerome Quick albo Angela Paul gdziekolwiek polecieeli.

Jerry i Angie.

Gavin i Christi.

Jaki ojciec, taki syn. Wynikł z tego koszmar i odkryłem, że współczuję Quickowi, niezależnie od tego, co jeszcze zrobił.

– Na meksykańskiej granicy nic – gderał Milo – ale czy to cokolwiek znaczy, do cholery?

Można by pomyśleć, że po jedenastym września będą zapisywać każdy cholerny samochód, ale nie, cały czas robią to losowo. Zostawiają wielką dziurę, przez którą Quick może spokojnie

przejsć.

Miałem właśnie wyrazić swoje współczucie, kiedy kątem oka zobaczyłem jakiś ruch przed Winnersem.

– Impreza się zaczyna – powiedziałem.

Hacker, Degussa i dwie kobiety stali na chodniku, mrużąc oczy w ostrym słońcu.

Blondynka i brunetka, obie pod czterdziestkę. Tapirowane fryzury, ciężkie piersi i biodra.

Blondynka była ubrana w czarny top i obcisłe dzinsy, top brunetki był czerwony. Sandały bez pięt, na wysokim obcasie, sprawiały, że obie chodziły drobnymi krokami, kręcąc tyłkami. Wypity alkohol sprawił, że kołysały się trochę bardziej.

Twarze, kiedyś ładne, teraz wybrukowane były zbyt wieloma złymi decyzjami.

Hacker zatrzymał się, żeby zapalić, a Degussa objął ramionami obie kobiety. Złapał je za piersi. Blondynka odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Brunetka żartobliwie złapała go za krocze.

– Mają klasę – powiedział Milo.

Cała czwórka wsiadła do explorera i wróciła do mieszkania Hackera, wjeżdżając do podziemnego garażu przez elektrycznie otwieraną bramę.

– Będzie impreza – powiedział Milo – a mnie, jak zwykle, nikt nie zaprosił.

Rozdział 43

Gospodarzem budynku był mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, Stan Parks. Był ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i szare spodnie, miał rzednące włosy i wyrażające dezaprobatę usta. Za jego biurkiem wisiał trzydziestoletni dyplom inżyniera z Caltechu. Biuro miał na parterze, obok windy, której łoskot wstrząsał pokojem co jakiś czas.

– Hacker nie ma umowy, płaci z miesiąca na miesiąc – powiedział. – On i jego współlokator.

– Raymond Degussa?

– Raymond jakiś tam. Niech sprawdzę. – Parks postukał w klawisze laptopa. – Aha, Degussa.

– Wprowadził się w tym samym czasie, co Hacker?

– Dwa miesiące później. Hacker to ze mną ustalił. Powiedziałem mu, że nie ma żadnych podnajmów, czek ma być od niego dla mnie, nie zgadzam się na płacenie po połowie.

– Jacy są jako lokatorzy?

– W porządku. Ci z miesiąca na miesiąc najczęściej sprawiają kłopoty. Wolę umowy dzierżawne, ale to było jedno z gorszych mieszkań, długo stało puste.

– Co z nim nie tak?

– Nic, po prostu mamy lepsze. Nie jest od strony portu, a drzewa rosną tam do takiej wysokości, że nie widać niczego po drugiej stronie.

– Jakie miał pan z nim kłopoty?

Parks się nachmurzył i zaczął się bawić ołówkiem, dotykając kolejno trzech opuszków palców, a potem przekładając go między nimi.

– Proszę posłuchać, jestem nie tylko gospodarzem, ale też współwłaścicielem. Więc jeśli dzieje się coś, co może mieć wpływ na budynek, muszę o tym wiedzieć.

– Kim są pozostali właściciele, proszę pana?

– To moi przyrodni bracia, dentyści. – Winda zatrzęsała pokojem. Parks przeczekał ją ze stoickim spokojem. – Żyję z tego domu. Czy powinienem się czymś martwić?

– W tym momencie nie – odparł Milo. – Jakie kłopoty sprawiali panu Hacker i Degussa?

– W tym momencie – powtórzył Parks.

– Kłopoty, proszę pana?

– Kilka skarg na hałasy na początku. Rozmawiałem z Hackerem i więcej już tego nie było.

– Jakie to były hałasy?

– Głośna muzyka, głosy. Najwyraźniej sprowadzają sobie kobiety i urządzają przyjęcia.

– Najwyraźniej?

– Najczęściej siedzę tutaj – powiedział Parks.

– Widział pan kiedyś te kobiety?

– Kilka razy.

– Te same?

Parks pokręcił głową.

– No, wie pan.

– Co wiem, proszę pana?

– Ten typ.

– Jaki typ? – spytał Milo.

– Niekoniecznie... wyższe sfery.

– Wesołe dziewczyny.

Parks przewrócił oczami.

– Hacker płaci czynsz. Nie wnikam w osobiste życie lokatorów. Po tych kilku skargach wszystko było dobrze.

– Ile płacą czynszu za mieszkanie?

– Chodzi o pieniądze? To jakieś przestępstwo finansowe?

– Czynsz, proszę.

– Hacker płaci dwa tysiące dwieście miesięcznie – odparł Parks. – W mieszkaniu są dwie pełne sypialnie i gabinet, dwie łazienki i wbudowany bar. Od strony portu zapłaciliby za to trzy tysiące.

– Te kobiety, które pan widział, rozpoznałby pan którąś?

Parks pokręcił głową.

– Każdy tu pilnuje własnych spraw. O to właśnie chodzi w Marina. Przychodzą tu

rozwodnicy, wdowcy. Ludzie chcą mieć spokój i prywatność.

– Każdy zajmuje się swoimi sprawami – powiedział Milo.

– Tak jak pan, poruczniku. Zadaje pan te wszystkie pytania, nic mi nie mówi. Jest pan bardzo dobry w zachowywaniu swoich spraw dla siebie.

Milo się uśmiechnął.

Parks odpowiedział uśmiechem.

Milo poprosił, żeby pokazać mu miejsce parkingowe Hackera, a Parks zaprowadził nas na dół, do podziemnego garażu, cuchnącego olejem silnikowym i mokrym cementem. Połowa miejsc była pusta, ale czarny explorer stał na swoim miejscu. Milo i ja zajrzeliśmy do środka.

Pudełka po jedzeniu, wiatrówka, mapy, luźne papiery.

– Chodzi o narkotyki? – spytał Stan Parks.

– Dlaczego? – odparł Milo.

– Przyglądacie się panowie samochodowi. – Parks podszedł do nas i zajrzał do środka przez szybę. – Nie widzę niczego obciążającego.

– Gdzie jest miejsce pana Degussy?

Parks zaprowadził nas tuzin miejsc dalej do lincolna town cara, dużego, kwadratowego modelu sprzed miniaturyzacji. Chromowe listwy, lśniący lakier. Robiony na zamówienie, ciężki, brązowo-czerwony.

– Paskudny kolor, nie sądzicie panowie? – spytał Parks. – Włożyć tyle pieniędzy w odnowę, żeby dostać coś takiego. Mam kilka kolekcjonerskich aut, nigdy bym się nie zdecydował na taki kolor.

„Taki kolor” miał odcień zaschniętej krwi.

– Paskudny – powiedziałem. – Jakie ma pan samochody?

– Cadillac rocznik 48, jaguar e-type 62, mini cooper 64. Jestem inżynierem, wszystko robię

przy nich sam.

Kiwnąłem głową.

– Przy okazji – powiedział Parks – Degussa jeździ też motocyklem, stawia go tam.

Wskazał w prawo, na mniejsze miejsca dla jednoślądów. W zasięgu wzroku nie było żadnych motocykli.

– Płaci za to dodatkowo – powiedział Parks. – Chciał za darmo, ale policzyłem mu dwadzieścia dolarów miesięcznie.

– Dobra cena – powiedział Milo.

Parks wzruszył ramionami.

– To nie jest nasze najlepsze mieszkanie.

Opuściliśmy Marina. Milo poprosił, żebym podyktował mu numer, który zapisałem i towarzyszące mu nazwisko.

Cody Marsh.

Volvo było wyposażone w zestaw głośnomówiący, Milo podłączył do niego swój mały, niebieski aparacik. Wybrał numer Cody'ego Marsha. Dwa dzwonki i głos poinformował go, że nastąpi przekierowanie na komórkę. Następne dwa dzwonki.

– Halo? – powiedział męski głos.

– Pan Marsh?

– Tak.

– Mówi porucznik Sturgis.

– O, witam. – Kiepski odbiór. – Chwileczkę, wyłączę radio... Już jestem, dziękuję za telefon.

Jestem w samochodzie, jadę do Los Angeles. Możemy się jakoś spotkać?

– Gdzie pan jest?

– Na Sto Pierwszej, dojeżdżam do... Balboa. Ruch jest spory, ale prawdopodobnie dojadę do

Los Angeles za pół godziny.

– Christina Marsh jest pana siostrą?

– Jest... była... Znajdzie pan dla mnie chwilę? Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Jasne – powiedział Milo. – Spotkajmy się w restauracji niedaleko posterunku. Cafe Moghul. – Przeliterował nazwę i podał adres.

Cody Marsh podziękował mu i przerwał połączenie.

Pojechaliśmy prosto do restauracji, dotarliśmy na miejsce po dwudziestu pięciu minutach.

Cody Marsh siedział już przy stoliku w rogu, pijąc herbatę z mlekiem.

Łatwo było go zauważyć – był jedynym klientem.

Kiedy przeszliśmy przez zasłonę ze szklanych paciorków, już stał. Wyglądał dokładnie tak, jakby ktoś mu umarł.

– Dzień dobry, panie Marsh.

– Dziękuję, że się pan ze mną spotkał, poruczniku. Kiedy będę mógł zobaczyć siostrę, żeby zidentyfikować ciało?

– Na pewno chce pan przez to przechodzić, proszę pana?

– Pomyślałem, że muszę – powiedział Cody Marsh. – Christi nie ma nikogo więcej.

Wyglądał na około trzydzieści lat, miał długie, faliste, ciemne włosy z przedziałkiem na środku. Ubrany był w szarą koszulę pod spękaną, brązową skórzaną kurtką, na zgięciach przetartą do białości, do tego pogniecione spodnie bojówki i białe adidas. Czerstwa, kwadratowa twarz, grube usta, zmęczone, niebieskie oczy za okularami w rogowych oprawkach. Metr osiemdziesiąt, zawiązek piwnego brzucha. Jediną sugestią jego podobieństwa do zabitej dziewczyny był dołek na brodzie.

– Nie musi pan tego robić osobiście – powiedział Milo. – Może pan popatrzeć na zdjęcie.

– Och – odparł Marsh. – Dobrze. Gdzie mam iść, żeby zobaczyć zdjęcie?

– Mam jedno przy sobie, proszę pana, ale muszę pana ostrzec...

– Spojrzę.

– Może wszyscy najpierw usiądziemy? – zaproponował Milo.

Cody Marsh patrzył na zdjęcie. Zamknął i otworzył oczy, ściągnął usta, podwijając wargi do środka.

– To Christi.

Podniósł pięść, jakby chciał uderzyć w stół, ale kiedy dokończył zamach, dłoń zatrzymała się przed samym dotknięciem.

– Niech to szlag.

Uprzejma kobieta w sari, która prowadziła restaurację, odwróciła się w naszą stronę. Milo nigdy nie rozmawiał z nią o pracy, ale wiedziała, czym się zajmował.

Uśmiechnął się do niej, a ona wróciła do składania serwetek.

– Przykro mi z powodu pana straty.

– Christi – powiedział Cody Marsh. – Co się stało?

Milo wziął zdjęcie i schował je.

– Pana siostra została zastrzelona w samochodzie zaparkowanym na Mulholland Drive, wraz z pewnym młodym mężczyzną.

– Czy ten młody mężczyzna był jej przyjacielem?

– Na to wyglądało – powiedział Milo. – Nazywał się Gavin Quick. Zna go pan?

Cody Marsh pokręcił głową.

– Domyślacie się panowie, dlaczego tak się stało?

– Nad tym właśnie pracujemy. A więc Christi nigdy nie wspominała o Gavinie Quicku.

– Nie, ale Christi i ja nie byliśmy... w bliskich stosunkach.

Kobieta w sari podeszła.

– Tylko herbatę, proszę – poprosił Milo. – Jutro pewnie wpadnę na obiad.

– To by było cudownie – powiedziała kobieta. – Będziemy mieli *sag paneer* i łosiosa *tandoori*.

– Czy cia... Czy Christi można zabrać? – spytał Cody Marsh, kiedy odeszła. – Żeby urządzić pogrzeb?

– To zależy od biura koronera – odparł Milo.

– Ma pan do nich numer?

– Zadzwoń w pana imieniu. Uporządkowanie papierów zajmie pewnie kilka dni.

– Dzięki. – Marsh brzęknął w filiżankę palcem. – To straszne.

– Czy może nam pan powiedzieć o swojej siostrze cokolwiek, co by nam pomogło?

Brzęk, brzęk.

– Co chcieliby panowie wiedzieć?

– Na początek, kiedy Christi przeprowadziła się do Los Angeles?

– Nie wiem dokładnie, ale dzwoniła do mnie jakiś rok temu, żeby powiedzieć, że tu jest.

– Pana rodzina pochodzi z Minnesoty?

– Z Baudette w Minnesocie – powiedział Marsh. – Walleye’owa Stolica Świata. Ludzie, którzy jakimś cudem tam trafiają, dostają zdjęcie z Williem Walleyem.

– Z rybą.

– Z piętnastometrowym modelem ryby. Uciekłem stamtąd, kiedy tylko mogłem. Zrobiłem licencjat na Stanowym Orgeońskim, potem przez kilka lat uczyłem w szkole w Portland, żeby odłożyć pieniądze na magisterium i studiowanie historii.

– Historii – powtórzył Milo.

– Ci, którzy zapominają o grzechach przeszłości, są skazani na... i tak dalej.

– Czy pana pobyt w Santa Barbara odegrał jakąś rolę w wyjeździe pana siostry do Kalifornii?

– Byłoby miło powiedzieć, że tak – odparł Marsh – ale poważnie w to wątpię. Przez cały rok widzieliśmy się dokładnie dwa razy. Rozmawialiśmy przez telefon trzy, może cztery. A nie mieliśmy kontaktu już na długo przed tym, zanim Christi wyjechała z Minnesoty.

– Te dwa razy – powiedziałem.

– Tutaj, w Los Angeles. Przyjechałem na sympozjum i zadzwoniłem do niej. Dzwoniłem trzy razy, ale zawsze była zajęta.

– Czym? – spytał Milo.

– Nie powiedziała.

– Gdzie ją pan spotkał?

– Jedliśmy kolacje w moich hotelach.

– Których?

– Czy to ważne? – spytał Marsh.

– Wszystko może być ważne, proszę pana.

– To pan się na tym zna... Zobaczmy, raz w Holiday Inn w Pasadenie, drugi raz w Holiday Inn w Westwood. Christi spotkała się ze mną w kawiarni. Przyszła ubrana zupełnie nieodpowiednio, to znaczy, jak na akademickie spotkanie. Nie chodzi o to, że chodziła na takie spotkania, ale... lokal był pełen ludzi z uczelni.

– A ona nie wyglądała na wykładowcę – powiedział Milo.

– Zupełnie.

– Co to znaczy nieodpowiednio? – spytałem.

– Naprawdę nie chciałbym mówić źle o mojej siostrze.

– Rozumiem.

Marsh jeszcze kilka razy brzęknął w filiżankę.

– Za każdym razem miała na sobie topy bez pleców, bardzo, bardzo krótkie spódniczki, buty na szpilkach, dużo makijażu. – Marsh westchnął. – Dookoła był cały wydział, wszyscy się gapili. Za pierwszym razem dałem spokój, uznałem, że nie wiedziała, czego się spodziewać. Za drugim razem coś jej powiedziałem i to był bardzo nieprzyjemny obiad. Oznajmiła, że musi iść, wstała i wyszła bez słowa. Nie próbowałem jej zatrzymać. Potem uświadomiłem sobie, że zachowałem się jak palant, zadzwoniłem z przeprosinami, ale nie oddzwoniła. Próbowałem jeszcze raz, ale numer był już wyłączony. Miesiąc później się odezwała i nie wspomniała o tamtym zajściu. Poprosiłem ją o nowy numer, ale powiedziała, że korzysta z komórek na kartę jednorazowego użytku, więc nie warto zapisywać jej numeru. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Powiedziała, dlaczego korzysta z prepaidów?

– Powiedziała, że tak jest prościej. Uznałem, że nie miała wystarczającej historii kredytowej, żeby dostać normalny telefon. Albo nie miała stałego domu.

– Mieszkała na ulicy?

– Nie, myślę, że gdzieś mieszkała, ale nie w stałym miejscu. Próbowałem się tego dowiedzieć, nie chciała mi powiedzieć. Pomyślałem, że pewnie bym tego nie pochwał.

Brzęk, brzęk.

– Pewnie by tak było. Christi i ja bardzo się różnimy.

– To ona do pana dzwoniła, żeby się spotkać.

– Udało się jej wytropić mnie na wydziale historii. Wchodzę tam któregoś dnia, a w mojej skrzynce wiadomość: dzwoniła moja siostra. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakaś pomyłka. – Cody Marsh się skrzywił. – Nie myślałem o tym w ten sposób, nie uważałem, że mam siostrę. Christi i ja mamy tego samego ojca, ale różne matki i nie wychowywaliśmy się razem. Christi była ode mnie dużo młodsza... Ja mam trzydzieści trzy lata, a ona ma... miała

dwadzieścia trzy. Kiedy osiągnęła taki wiek, że można było się z nią dogadać, ja byłem już w Oregonie, więc tak naprawdę nic nas nie łączyło.

– Czyjej rodzice żyją?

– Nasz ojciec nie. Tak samo moja matka. Matka Christi żyje, ale ma poważne problemy umysłowe, od lat przebywa w zakładzie.

– Od ilu lat? – spytałem.

– Odkąd Christi skończyła cztery lata. Nasz ojciec był nałogowym alkoholikiem. Jeśli zapytałby pan mnie, kto zabił moją matkę, odpowiedziałbym, że on. Palił w łóżku, pijany do nieprzytomności. Matka też piła, ale papieros był jego. Dom stanął w płomieniach, jemu udało się wytoczyć na zewnątrz. Stracił rękę i pół twarzy, ale nie rzucił picia. Miałem siedem lat, trafiłem pod opiekę dziadków ze strony matki. Niedługo potem ojciec po znał w barze matkę Christi i założył nową rodzinę.

– Poważne problemy umysłowe – powiedziałem.

– Carlene jest schizofreniczką – powiedział Marsh. – Dlatego właśnie zadała się z jednorękim, bliznowatym pijakiem. Na pewno łączyło ich picie. Ono i mieszkanie z moim ojcem nie pomogło jej na głowę. Ja miałem szczęście, dziadkowie to wykształceni ludzie, oboje byli nauczycielami, religijnymi ludźmi. Matka była z wykształcenia pracownikiem socjalnym. Małżeństwo z ojcem to był jej bunt.

– To on wychował Christi po tym, jak jej matka trafiła do zakładu?

– Jakie to mogło być wychowanie. Nie znam szczegółów, mieszkałem w Baudette, a on zabrał Christi do St. Paul. Słyszałem, że wyleciała z liceum, ale nie jestem pewien, w której klasie. Później pojechała z nim do Duluth, pracował tam w jakiejś brygadzie. Potem powrót do St. Paul. Paskudna okolica.

– Brzmi to tak, jakby miał ją pan cały czas na oku – powiedział Milo.

– Nie – odparł Marsh – słyszałem różne rzeczy od dziadków. Przefiltrowane przez ich uprzedzenia.

Marsh skubał kilka kosmyków włosów, zwisających mu przed twarzą, potem założył je za ucho, pokręcił głową.

– Nienawidzili mojego ojca, winili go za śmierć matki i całe zło tego świata. Uwielbiali wyliczać ze szczegółami jego nieszczęścia. Slumsy, w których musiał mieszkać, to, że Christi wyleciała ze szkoły. To, że pakowała się w kłopoty. Wszystko trochę przekręcali. Uważali Christi za jego przedłużenie, złe nasienie. Nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. To nie była ich krew. A więc Christi i ja rośliśmy osobno.

– W jakie kłopoty się pakowała? – spytałem.

– Zwyczajne: narkotyki, złe towarzystwo, drobne kradzieże ze sklepów. Dziadkowie powiedzieli mi, że wysłano ją do jednego z tych obozów w dziczy, potem do poprawczaka. Po części brało się to z ich schadenfreude, rozkoszowania się cudzym nieszczęściem. Druga kwestia to taka, że w głębi serca bali się o mnie. Genetycznie byłem w połowie ojcem. Wykorzystali więc Christi i tatę jako zniechęcający przykład. Wyważali jednak otwarte drzwi, bo Christi reprezentowała sobą wszystko, czym gardziłem. Śmietnikowa gałąź, jak nazywali to dziadkowie. Ja byłem dobrym uczniem, grzecznym, przeznaczonym do rzeczy wielkich. Kupowałem to. Aż do rozwodu... – Uśmiechnął się. – Zapomniałem wspomnieć, że gdzieś w międzyczasie się ożeniłem. Małżeństwo trwało dziewiętnaście miesięcy. Nie długo po rozwodzie oboje dziadkowie zmarli i zostałem całkiem sam. Uświadomiłem sobie, że mam przybraną siostrę, którą ledwie znam, i że może powinienem przestać być takim zadufanym w sobie palantem. Spróbowałem się więc skontaktować z Christi. Męczyłem moją ciotkę, siostrę babci, aż powiedziała mi, że Christi dalej mieszka w St. Paul, „robi burleski”. Obdzwoniłem kilka klubów ze striptizem – miałem motywację, fantazję o spotkaniu po latach, i w końcu zlokalizowałem

miejsce, w którym pracowała Christi. Nie cieszyła się, że ją znalazłem, więc ja przekupiłem studolarowym przelewem. Potem zaczęła dzwonić co parę miesięcy. Czasami, żeby porozmawiać, czasami, żeby poprosić o pieniądze. Chyba ją peszyło to, że musiała prosić. Była trochę nieśmiała, udawała twardą, ale umiała być słodka.

– Opowiadała panu jakieś szczegóły o swoim życiu? – spytał Milo.

– Tylko tyle, że tańczyła, nie wchodziliśmy w detale. Dzwoniła zawsze z klubów, słyszałem muzykę. Czasami miałem wrażenie, że była naćpana. Nie chciałem robić niczego, co by nas mogło od siebie oddalić. Podobało się jej, że jestem nauczycielem. Chwilami mówiła na mnie „Psorze”, zamiast po imieniu.

Marsh zdjął okulary i przetarł je serwetką. Nieosłonięte oczy okazały się małe i słabe.

– Potem telefony się urwały, w klubie powiedzieli, że Christi już u nich nie ma, nie przekazują wiadomości. Nie odzywała się przez ponad rok, aż znalazłem wiadomość od niej w mojej skrzynce w szkole.

– Nie wie pan, co robiła przez ponad rok?

Marsh pokręcił głową.

– Mówiła, że tańcem zarobiła dość, żeby chwilę odpocząć, ale ja się zastanawiałem.

– Nad czym?

– Czy nie wdała się w coś innego. Zrzuciłem te domysły, bo nie miałem żadnych faktów.

– Coś innego, na przykład...

– Sprzedawanie się – powiedział Marsh. – To była kolejna rzecz, którą dziadkowie zawsze powtarzali mi o Christi. Była rozwiązła. Oni używali mniej taktownych określeń. Nie chciałem tego słuchać.

Podniósł filiżankę, udało mu się napić trochę herbaty.

– Christi miała problemy z nauką, ale zawsze chyba mogła liczyć na swoją urodę. Była

wyjątkowo pięknym dzieckiem. Kiedy była mała, była chuda jak patyk, miała wręcz białe włosy do pasa. Nigdy nie były czyste ani wyczesane, nosiła też niedopasowane ubrania – tata się na tym nie znał. Czasami, nieczęsto, wpadał bez zapowiedzi. Dziadek zawsze zamykał się z hukiem w swoim pokoju i nie schodził na dół. Babcia nazywała Christi „ulicznym urwisem”. „Oho, idzie łajza ze swoim ulicznym urwisem. Lepiej zdezynfekować filiżanki i szklanki”. Zazwyczaj też uciekałem do swojego pokoju. Raz – Christi nie mogła mieć więcej niż cztery lata, więc ja miałem czternaście – wbiegła po schodach na górę, wpadła do mnie do pokoju i rzuciła się na mnie.

Marsh skubnął palcami skórę pod szczęką.

– Obejmowała mnie, łaskotała, chichotała, idiota by zobaczyć, że szukała przyjaciela. Ale mnie to zirytowało. Wrzasnąłem, żeby przestała. Ryknąłem. Zeskoczyła ze mnie, popatrzyła takim wzrokiem... I uciekła. Na prawdę ją to zdruzgotało.

Oczy miał suche, ale je otarł.

– Miałem czternaście lat, co ja wtedy mogłem wiedzieć?

– Co pan wie o jej życiu tu, w Los Angeles? – spytałem.

– Nie prosiła mnie o pieniądze, to na pewno. – Odsunął na bok filiżankę. – To mnie chyba niepokoiło. Zastanawiałem się, co robiła, z czego żyła. Czy zadawała się ze złymi ludźmi?

– Czy sugerowała coś takiego?

Marsh się zawahał.

– Proszę pana?

– Opowiadała mi szalone historie – powiedział. – Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, przez telefon.

– Kiedy to było? – spytał Milo.

– Trzy, cztery miesiące temu.

- Co to były za opowieści?
 - Bardziej niestworzone niż szalone – powiedział Marsh. – Mówiła bardzo szybko, więc zastanawiałem się, czy nie wpadła w narkotyki – amfetaminę, kokainę, coś, co ją przyspieszyło. Albo jeszcze gorzej, mogła skończyć jak jej matka.
 - Proszę nam opowiedzieć o tych historiach – powiedziałem.
 - Twierdziła, że współpracuje z tajnymi agencjami, że jest agentką szpiegującą gangsterów, którzy spiknęli się z terrorystami. Że zarabia grube pieniądze, nosi drogie ubrania – drogie buty, długo opowiadała o butach. Nie miało to wszystko wielkiego sensu, ale nie przerywałem jej. Potem nagle przestała mówić, powiedziała, że musi iść, odłożyła słuchawkę. Szarpnął krzesło.
 - Wtedy rozmawialiśmy po raz ostatni.
 - Tajne agencje – powiedział Milo..
 - Jak powiedziałem, niestworzone rzeczy.
 - I bardzo ważne były dla niej buty – powiedziałem.
 - Szpiegowanie w dobrych butach – powiedział Marsh. – Wymieniła nawet markę, coś chińskiego.
 - Jimmy Choo.
 - Właśnie. – Marsh zrobił wielkie oczy. – Co? To prawda?
 - Miała na sobie buty Jimmy’ego Choo w nocy, kiedy została zabita.
 - O Boże. A reszta?
 - Resztę zmyśliła.
 - Biedna Christi – powiedział Marsh. – Zmyśliła w sensie choroby umysłowej?
- Milo zerknął na mnie.
- Nie – powiedziałem. – Została oszukana.

– Przez człowieka, który ją zabił?

– Możliwe.

Marsh jęknął, zakrył twarz dłonią.

Patrzyliśmy, jak jego ramiona unoszą się i opadają.

– Przynajmniej nie wariowała – powiedział.

– To dla pana ważne.

– Moi dziadkowie... Dobrze mnie wychowali, w pseudomoralności. Ale z biegiem czasu uświadomiłem sobie, że nie byli dobrymi ludźmi. To, jak opisywali Christi, jej matkę. Nawet tatę. Nienawidziłem go, ale w końcu zrozumiałem, że każdy zasługuje na łaskę i dobroć. Babcia i dziadek zawsze powtarzali, że Christi skończy jak jej matka. Żartowali z tego. „Szurnięty pomylenie”. „Będzie pleść koszyki w Bedlam*” [Zakład dla najgroźniejszych szaleńców, założony na

wyspie na Pacyfiku w latach trzydziestych XX w. (przyp. tłum.)]. Mówili tak o dziecku. O mojej siostrze.

Nie lubiłem tego słuchać, ale nigdy się nie sprzeciwiłem.

Ścisnął w dłoni pukiel włosów i wykręcił go tak, że zmarszczyło mu się czoło.

– Nie mieli racji. To dobrze.

– Czy Christi wymieniała nazwiska ludzi, z którymi pracowała w tych tajnych agencjach?

– Powiedziała, że nie może. „To tajna akcja, Psorze, to kurewsko wielka rzecz, Psorze”.

Marsh przysunął bliżej filiżankę.

– Ktoś ją oszukał... Kto?

– W tej chwili nie możemy powiedzieć nic więcej, proszę pana – powiedział Milo.

Twarcz Marsha rozjaśnił zrezygnowany uśmiech człowieka zadowolonego z własnego rozczarowania.

– Prowadzicie własną, tajną operację?

– Coś w tym rodzaju.

– A możecie mi powiedzieć przynajmniej, czy jesteście dobrej myśli? Co do znalezienia tego, kto to zrobił?

– Robimy postępy, proszę pana.

– Chyba to musi mi wystarczyć – powiedział Cody Marsh. – Czy to już wszystko?

– W tej chwili tak. – Milo zapisał sobie jego numer.

Marsh wstał.

– A więc zadzwoni pan ode mnie do koronera? Naprawdę, chciałbym zobaczyć swoją młodszą siostrzyczkę.

Patrzyliśmy, jak odchodzi.

– Tajni agenci – powiedział Milo. – Myślisz, że mogło jej odbijać?

– Myślę, że ktoś wmówił dziewczynie, która ma problemy z nauką, że rozgrywała szpiegowskie gry. Pomyśl, telefony na kartę.

– Jeny Quick.

– Zetknął ją z Gavinem – powiedziałem. – Może postanowił dać jej następne zadanie:

szpiegowanie swoich współników w przekręcie. A jeśli prowadził podwójną grę, oni to odkryli i dlatego teraz musi uciekać?

– Używał Christi jako kreta.

– Doskonale by się do tego nadawała. Niewykształcona, łatwowierna, z niską samooceną, żyjąca na krawędzi. Wychowywana przez ojca-alkoholika, który ją zaniedbywał, łaknęłaby uwagi starszego mężczyzny. Jerry był cwaniakiem, który nie płacił czynszu w terminie, ale jeździł mercedesem i mieszkał w Beverly Hills. Dziewczynom pokroju Angie Paul i Christi musiał wydawać się księciem z bajki.

– Christi byłaby doskonała do czegoś jeszcze – powiedział Milo. – Do imprezowania z

Degusą i Hackerem i przynoszenia Jerry'emu informacji. W porównaniu z tymi wycieruchami, z którymi ich widzieliśmy, Christi to чудо.

Kobieta w sari podeszła i spytała, czy czegoś nam potrzeba.

– Może mieszane zakąski? – powiedział Milo.

Odeszła rozpromieniona.

– Drań kupował jej buty od Choo.

– Perfumy Armaniego i różne inne zabawki – powiedziałem.

– Parks twierdzi, że nie rozpoznałby żadnej z kobiet, z którymi imprezowali Hacker i

Degussa, ale mógłbym pokazać mu zdjęcie Christi. Problem w tym, że wtedy wpadłby w panikę i próbował eksmitować Hackera i Degusę, więc nie mogę mu zaufać, że będzie siedział cicho

Przybyła taca pełna różności.

– Chcesz trochę?

– Nie, dzięki.

– W takim razie wszystko dla mnie.

Milo umoczył coś okrągłego w jogurcie posypanym pietruszką.

– Christi nie zginęła tylko dlatego, że przypadkiem była z Gavinem. Przejrzeli ją – cholera, może to mimo wszystko ona była celem, nie Gavin, tak jak myśleliśmy na początku. To by wyjaśniało seksualne podteksty.

Zastanowiłem się nad tym.

– Degussa nadziewał mężczyzn w więzieniu, zrobił to samo z ostatnimi trzema kobietami.

Nie przebił Gavina. Możesz mieć rację, skupił swoją wściekłość na Christi. Jednak nawet w tym scenariuszu Gavin nie był tylko przypadkową ofiarą. Jako syn Jerry'ego Quicka byłby ofiarą zemsty. Albo Degussa odtwarzał sobie Florę Newsome.

– Co masz na myśli?

– Scenariusz zazdrości – powiedziałem. – Jeśli Degussa imprezował z Christi, widok jej kochającej się z Gavinem nie mógł go uszczęśliwić.

– Degussa spotykał się z Florą – powiedział Milo. – Christi była dziewczyną do zabawy. Ten palant podrywa dupodajki w barach, nie interesuje go emocjonalne zaangażowanie.

– Może interesuje. Nie romantyczne, tylko na zasadzie własności. Sam to powiedziałeś, Christi byłaby dla niego krokiem do przodu. Młoda, ładna, uległa. A jeśli Degussa chciał ją mieć tylko dla siebie? Pomyśl o scenie zbrodni z Mulholland, o tym, jak znaleziono ciała – Gavin miał rozpięty rozporek, a Christi ściągnięty top. Degussa jechał za nimi, patrzył, jak parkują, jak zaczynają grę wstępną. Gdyby przyjechał z zamiarem wykonania szybkiej egzekucji, mógł wkroczyć wcześniej i szybko zakończyć sprawę. Zamiast tego czekał. Obserwował ich. Ważny wybór odpowiedniej chwili – nie mogło dojść do skonsumowania. Przesłanie brzmiało: możesz próbować, ale ci się nie uda. Strzelając do Gavina na oczach Christi, pokazał jej, że jest dominującym samcem. Była wstrząśnięta, przerażona. Może próbowała ratować się flirtem. Degussa zabawił się żelaznym prętem, a potem też do niej strzelił.

Milo odłożył widelec. Wyglądał, jakby jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

– Im więcej o tym myślę, tym logiczniej to brzmi – powiedziałem. – To supermacho, porywczy psychopata, który źle znosi odrzucenie.

Milo położył gotówkę na stole, zadzwonił do Seana Binchy’ego, kazał mu znaleźć sobie jeszcze dwóch gliniarzy i zacząć ostrożną obserwację Hackera i Degussy.

– Nie zgubcie ich, Sean.

Rozłączył się i potarł twarz.

– Jeśli masz rację co do tego, że Jerry Quick wysłał Christi do Gavina i Degussy, to wykorzystał ją bardziej, niż wszyscy inni zdołali to zrobić.

Złapał zakąskę, połknął ją. Zmarszczył czoło.

–Niedobry kawałek?

– Niedobry świat.

Rozdział 44

Roxbury Park, godzina szesnasta czterdzieści. Stoliki piknikowe. Cień chińskich wiązków i zachodzące słońce nadało palisandrowi kolor starego asfaltu.

Tak późno po południu na placu zabaw było tylko czworo dzieci. Dwóch małych chłopców, wrzeszczących i rozbieganych, ledwie chodząca dziewczynka, wprowadzana za rękę przez matkę po drabince małej zjeżdżalni i zjeżdżająca na dół, raz za razem. Jeszcze jeden chłopiec, zamyślony, sam, siedzący na piasku, nabierający go w dłoń i obserwujący, jak ziarenka przesypują się między jego palcami. Trzy opiekunki w mundurkach dyskutowały o czymś z ożywieniem i wesołością. Sójki pokrzykiwały, a drozdy je przedrzeźniały. Szum ruchu z Olympic był odległy i stłumiony.

Dziesięcioletnia ciężarówka lodziarza, kiedyś biała, teraz szara, stała przed ogrodzeniem. Jej boki ozdabiały ręcznie namalowane, cukiernicze rozkosze w udziwnionych kolorach. Pracowicie wykaligrafowany napis głosił: GLO-GLO MROŻONE DESERY, RAMON HERNANDEZ, COMPTON, KALIFORNIA.

Na przednim siedzeniu pasażera stała lodówka pełna lodowych batoników, kanapek i rozków. Na wypadek, gdyby ktoś o nie prosił.

Dotychczas nikt tego nie zrobił. Tylko kilkoro dzieci i późna godzina pospołu zniechęcały do handlu. Tak samo jak ustawienie ciężarówki, której nie było widać z placu zabaw.

Stała na tyle blisko, żeby było z niej dobrze widać stoliki.

Na siedzeniu kierowcy siedział detektyw, Sam Diaz, technik specjalista z Parker Center.

Trzydzieści pięć lat, krępy, wąsaty, Diaz był ubrany w białą bluzę i białe, bawełniane malarskie spodnie. U pasa wisiał mu futerał na drobne. W kieszeni spoczywała licencja handlu żywnością,

wystawiona na Ramona Hernandeza i portfel pełen drobnych monet. Pod bluzą wisiał w kaburze pistolet kaliber 9 milimetrów.

W deskę rozdzielczą samochodu wbudowano wartą czterdzieści tysięcy dolarów aparaturę podsłuchową i nagrywającą. Taką, jakiej National Geographic używa do nagrywania głosów ptaków. Mikrofony były ściszone, redukując arie sójek i drozdów do cichych popiskiwań. Tak samo jak gwar z placu zabaw – piski radości, pomruk dorosłych głosów.

Sprzęt trudno było zauważyć, dopóki nie wsiadło się do ciężarówki i nie zobaczyło tych wszystkich pokręteł, diod i kabli, biegnących pod ścianką dzielącą kabinę od części transportowej. W ścianie wycięto otwór do rozmawiania, wyposażony w odsuwaną klapkę, teraz otwartą. Drzwi ciężarówki były zamknięte na klucz, a okna przyciemnione nieco bardziej niż dopuszczały przepisy. Zrobiono to w pośpiechu – przyciemniający plastik odłaził trochę wzdłuż krawędzi. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie trud maskowania wnętrza ciężarówki z lodami, było pytaniem oczywistym, ale nikt go nie zadawał.

Milo i ja siedzieliśmy z tyłu, na dwóch plastikowych ławkach, pożyczonych ze skonfiskowanej toyoty i przynitowanych do podłogi. Znow w pośpiechu – sztywne poduszki chwiały się i skrzypiały, kiedy się poruszaliśmy, a siedzenie w bezruchu doprowadzało Mila do szału. Skończył dwie lodowe kanapki i pałeczkę z orzechami, zmiął papierki i cisnął je w kąt. – Łakomstwo rządzi – mruknął.

Za ciężarówką był zaułek, a za nim otoczone wysokimi płotami podwórza ładnych domów z widokami przy South Spalding Drive. Przez małe okienko w kształcie serca, wycięte w tylnych drzwiach samochodu, widzieliśmy na piętnaście metrów na północ i południe. W ciągu godziny, jaką tu już spędziliśmy, przejechało za nami osiem samochodów. W domach nic się nie poruszało. Tego należało się spodziewać – to było Beverly Hills.

Po naszej stronie do przepierzenia przynitowany był mały, kolorowy telewizor, z cyfrowym

zegarem, odmierzającym upływ czasu. Kolorów nie było. Jaskrawa zieleń Beverly Hills zbladła do ciemnooliwkowej, pnie drzew były szare, a niebo maślano-żółte.

Głośnik, wiszący na metalowym haczyku na prawo od monitora, zapewniał efekty dźwiękowe.

Jedynym dźwiękiem było szuranie Franco Gulla, kręcącego się na palisandrowej ławce.

Przezesywał włosy, spoglądał w dal, badał blat stolika. Starał się wyglądać na znudzonego, próbując napić się kawy z kubka Star-bucks. Dużego kubka, grande-mega-big czy jak oni go tam nazywają.

Podczas naszego drugiego spotkania starał się zachowywać przyjaźnie. Mówił mi, że rozumie, że mam dobre zamiary. W połowie przesłuchania wymknęło mu się, że podejrzewał, iż „coś jest nie w porządku” ze Strażnikami Sprawiedliwości, ale nie wiedział, co w tej sprawie zrobić.

Doceniał zaproponowany mu układ. To była jego zapłata.

Miniaturowy mikrofon, przekazujący jego westchnienia, był przymocowany od spodu blatu stolika.

Założenie podsłuchu pod stolikiem było jedynym rozsądnym wyjściem. Samowi Diazowi wystarczyło jedno spojrzenie na Gulla.

– On się tak poci – powiedział – że jak założę mu druty, to trzepnie go prąd.

Poza tym jednak zdenerwowanie Gulla nie było problemem. Miał być zdenerwowany.

Teraz czekał.

Wszyscy czekaliśmy.

Pięć po piątej.

– Ktoś się zbliża od strony Roxbury – oznajmił Diaz. – Przez boisko do bocci.

Postać – anonimowego mężczyznę – widać było w górnej prawej ćwiartce monitora. Potem

niżej, większą, w miarę, jak się zbliżała. Kiedy mężczyzna podszedł do ławki Gulla, sylwetka nabrała kształtów Albina Larsena. Dzisiaj był ubrany w jasną, sportową marynarkę, beżową koszulę i spodnie. Przynajmniej tak mi się wydawało – monitor spłaszczał wszystkie kolory do złamanej bieli.

– To on – powiedział Milo,

– Pan Beżowy – powiedział Diaz. – Mogłem użyć czarno-białej kamery.

– Tak, burza barw.

Kiedy Larsen zbliżył się do ławki, przywitał Gulla małym skinieniem głowy. Usiadł. Nic nie powiedział.

Diaz pokręcił jakimś potencjometrem i śpiew ptaków stał się głośniejszy.

– *Dzięki, że się ze mną spotkałeś, Albin* – powiedział Gull. W głośniku jego głos zabrzmiał metalicznie.

– *Wydawałeś się zdenerwowany* – odparł Larsen.

Guli:

– *Bo jestem, Albin.*

Larsen założył nogę na nogę i popatrzył na dzieci. Została dwójka. Jedna opiekunka.

Diaz poruszył następną gałką i kamera pokazała zbliżenie twarzy Larsena. Obojętnej.

Niewzruszonej.

Diaz powiększył obraz, obejmując obu mężczyzn.

– *Przesłuchiwała mnie policja.*

– *Naprawdę?*

– *Nie jesteś zaskoczony.*

– *Domyślałem się, że chodziło o Mary.*

– *Zaczęło się od Mary, ale teraz zadają pytania, których nie rozumiem. Pytają o nas, o naszą*

grupę, nasz budynek.

Milczenie.

– Albin?

– Mów dalej – powiedział Larsen.

– O Strażników Sprawiedliwości.

– Facetowi się wydaje, że jest aktorem – powiedział Milo.

– Dzisiaj jest – odparłem.

Albin Larsen wciąż nie odpowiedział.

Słuchaliśmy nawoływań ptaków, krzyków trzylatka.

– Albin? – powiedział Gull.

– Doprawdy – powiedział Larsen.

– Doprawdy.

– Jakiego rodzaju pytania?

– Czym pomysłem był program, skąd się o nim dowiedzieliśmy, jak długo trwał, czy wszyscy troje braliśmy w nim udział. Potem zaczęli wypytywać o sprawy osobiste i to mnie właśnie niepokoi. Na ile wystawiłem rachunki, czy mogę zweryfikować te sumy. Czy Mary albo ty rozmawialiście ze mną o zamierzonym zawyżaniu rachunków. Byli strasznie pewni siebie, Albin. To faszyści. Jak dla mnie, podejrzewają jakąś aferę. Czy jest coś, o czym ty i Mary mi nie powiedzieliście?

Milczenie. Jedenaście sekund.

– Kto zadawał te pytania? – spytał Larsen.

– Ci sami gliniarze, co za pierwszym razem, do tego jakiś idiota z Medi-Cal.

Milczenie. Gull przysunął się bliżej Larsena. Larsen ani drgnął.

– To dopiero cwaniak – powiedział Sam Diaz. – Założę się, że jest suchy jak pieprz.

Czternaście sekund. Piętnaście, szesnaście.

– *Czy coś się tam dzieje, Albin? Bo jeśli tak, muszę o tym wiedzieć. To mnie napastują, a ja nie wiem, co im powiedzieć. Czy powinienem o czymś wiedzieć?*

– *Dlaczego coś miałoby się dziać?*

– *Wydają się strasznie pewni siebie. Jakby naprawdę coś zwęszyli. Wiem, że ty i Mary chcieliście przyjmować więcej pacjentów z programu, ale mówiłem ci, nie interesuje mnie to. Więc dlaczego niepokoją właśnie mnie? Nie miałem z tym nic wspólnego.*

Milczenie. Dziewięć sekund.

– *Prawda, Albin?*

– *Może myślę, że coś wiesz.*

– *Nie wiem.*

– *Więc nie masz się czym przejmować.*

– *Albin, czy jest coś, czym mógłbym się przejmować?*

– *Co im powiedziałeś o swoich rachunkach?*

– *Że wystawiłem je za tych kilku pacjentów, których przyjąłem, i to wszystko. Potraktowali to sceptycznie. Widziałem to po ich twarzach. Jakby mieli zaraz nazwać mnie kłamcą i powiedzieć, że trudno im w to uwierzyć. A to przecież była prawda, wiesz o tym.*

Jedenaście sekund.

– *Daj spokój, Albin. Były jakieś faktury, o których nie wiedziałem?*

– *To cię naprawdę martwi.*

– *Nie baw się ze mną w psychoanalizę.*

Larsen położył dłoń na sercu i słabo się uśmiechnął.

– *Zadałem ci proste pytanie, a ty mi na to: „To cię naprawdę martwi”. Przemaglowali mnie ci faszyci, to nie pora na jakieś rogeriańskie bzdury, Albin.*

Szesnaście sekund. Potem Larsen wstał.

– Oho – powiedział Sam Diaz.

Larsen odszedł kilka kroków od stolika, z rękami splecionymi za plecami. Blżej placu zabaw. Głęboko zamyślony pan profesor.

Franco Gull obejrzał się w kierunku ciężarówki. Na wilgotnej twarzy miał wyraz bezradności. Patrzył prosto na nas.

– Idiota – powiedział Milo.

Larsen wrócił do stolika i usiadł.

– *Jesteś najwyraźniej zdenerwowany, Franco. Śmierć Mary i to, co ona dla nas oznacza, jest bardzo niepokojące.*

– *O to właśnie chodzi, Albin. Mam przeczucie, że policja uważa, iż śmierć Mary miała coś wspólnego ze Strażnikami. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale oni tak uważają, kto wie, do czego to doprowadzi?*

Cztery sekundy.

– *Dlaczego mieliby tak myśleć?*

– *Ty mi powiedz. Jeśli wiesz o czymś, o czym ja powinienem wiedzieć, musisz mi powiedzieć.*

To mnie magluje policja, nie masz pojęcia, jak traktują człowieka, kiedy go o coś podejrzewają. Bez przerwy do mnie wydzwanają, każą mi odwoływać umówione spotkania i przyjeżdżać na przesłuchania. Byłeś kiedyś na posterunku policji, Albin?

Larsen się uśmiechnął.

– *Od czasu do czasu bywam.*

– *Tak, pewnie gdzieś w Afryce. Nieważne. Ale nie byłeś podejrzany. Powiem ci, że to nic przyjemnego.*

Trzydzieści sekund.

– Nazywają to rozmową, ale to przesłuchanie. Przysięgam ci, Albin, czuję się jak jakaś cholerna postać z filmu. Jak u Kafki, Hitchcocka, wszystko spotyka Boga ducha winnego głupca, i to właśnie jestem ja.

– Brzmi przerażająco.

– To po prostu straszne. I dokuczliwe, zaczyna wpływać na moją pracę. Jak, do cholery, mam się koncentrować na pacjentach, kiedy następna wiadomość na sekretarce może być od nich? A jeśli zaczną mi przysyłać jakieś papiery, wezwania? A jeśli zaczną grzebać w moich archiwach?

– Czy użyli słowa „wezwanie”?

– Myślisz, że pamiętam? Chodzi o to, że ryją dookoła mnie jak świnie za truflami.

– Ryją. To właśnie robią i nic więcej.

– Albin, mam wrażenie, że się nie rozumiemy.

Złapał Larsena za ramiona. Ten się nie poruszył i ręce Gulla opadły.

– Dlaczego skupiają się na Strażnikach? Powiedz mi prawdę. Co ty i Mary zamierzaliście?

Milczenie. Sześć sekund.

– Zamierzaliśmy wstrzyknąć trochę współczucia amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

– Jasne, jasne, to już słyszałem. Chodzi mi o konkrety, o rachunki. To rachunków się czepiają. Sugerują, że podejrzewają nas o wyłudzenia z Medi-Cal, Albin. Majstrowałeś coś przy fakturach?

– Dlaczego miałbym to robić?

– Sprytna bestia – powiedział Milo.

– Nie wiem. Ale oni coś podejrzewają. Zanim to wszystko wymknie się spod kontroli, muszę się dowiedzieć, czy w ich podejrzaniach jest ziarno prawdy. Nawet jeśli to był jakiś błąd, coś w papierach. Czy ty albo Mary zrobiliście coś, cokolwiek, czym mogliby się pożywić? Bo myślę, że

oni chcą krwi, Albin. Naprawdę. Myślę, że po śmierci Mary zaczęli traktować to wszystko bardzo poważnie. Dostali obsesji. Jak ten pacjent Mary, który zginął, wiesz, że go leczyłem. Gavin Quick. Oprócz wszystkich innych problemów miał zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Byłem szczęśliwy, że mogłem go zwalić na głowę Mary, ale przysięgam ci, Albin, przez tę policję zaczynam się czuć, jakby ktoś siłą wtłoczył mnie do jakiejś mydlanej opery, zaburzonej obsesyjno-kompulsywnie. Bez przerwy te same pytania. Jakby próbowali mnie złamać. Osiemnaście sekund.

– Nic nie mówisz.

– Słucham.

– W porządku... Wiesz, jak to jest z obsesjami. Pacjent wdaje się w coś i zaczyna w tym drążyć. Wszystko w porządku, jeśli jesteś terapeutą i możesz określić granice. Ale kiedy się jest po drugiej stronie... To nie są wyrafinowani ludzie, Albin, ale wytrwali. Postrzegają świat w kategoriach myśliwy-ofiara i nie mają szacunku dla naszego zawodu. Czuję się, jakby zrobili ze mnie ofiarę, a to mi się nie podoba. I chciałbym myśleć, że tobie też nie.

– A komu by się podobało?

– Ile współczucia – powiedział Milo.

– Gdyby podpiąć go pod wykrywacz kłamstw – powiedział Diaz – igły nawet by nie drgnęły.

Przy Gullu maszyna by wybuchła.

Gull zamachał rękami. Diaz oddalił obraz, ukazując całe sylwetki obu mężczyzn.

Larsen po prostu siedział.

Minęły trzydzieści dwie sekundy milczenia.

– Muszę powiedzieć, że czuję się trochę... zlekceważony, Albin. Zadałem ci konkretne pytania, a od ciebie usłyszałem tylko ogólne zapewnienia.

Larsen położył dłoń na jego ramieniu. Głos miał łagodny.

– *Nie mam ci nic do opowiedzenia, przyjacielu.*

– *Nic?*

– *Nic, o co należałoby się martwić.*

Trzy sekundy.

– *Nic, co powinno spędzać ci sen z powiek, Franco.*

– *Łatwo ci powiedzieć, to nie ciebie...*

– *Poczułbyś się lepiej, gdybym z nimi porozmawiał?*

– *Z policją?*

– *Z policją, z Medi-Calem. Z kim zechcesz. Poczułbyś się lepiej?*

Gull obejrzał się na ciężarówkę, potem odwrócił się do Larsena. Larsen znów patrzył na dzieci.

– *Tak, poczułbym się lepiej, o wiele lepiej, Albin.*

– *Więc tak zrobię.*

Sześć sekund.

– *Co im powiesz?*

– *Że nie miało miejsca nic... nieprzewidzianego.*

– *I to prawda?*

Larsen znów poklepał go po ramieniu.

– *Ja się nie martwię, Franco.*

– *Naprawdę myślisz, że uda ci się wszystko wyjaśnić?*

– *Nie ma czego wyjaśniać.*

– *Nie ma?*

– *Nie ma.*

– *Zimny drań – powiedział Milo. – Nie wysypie się, możemy jechać do*

domu.

Fotel Sama Diaza zaskrzypiał.

– Chce pan jeszcze jedną pałeczkę?

– Nie, dzięki.

– Może spróbuję pomarańczowego batona, ta waniliowa połówka wygląda nieźle.

Na monitorze Franco Gull przeczesał dłonią włosy.

– *Dobrze, mam taką nadzieję. Dzięki, Albin.*

Wstał.

– Nie, nie, nie – powiedział Milo. – Siedź na tyłku, durniu.

Ostatnia opiekunka zebrała swoich podopiecznych i poszła.

Larsen zatrzymał Gulla, łapiąc go za nadgarstek.

– *Posiedźmy chwilę, Franco.*

– *Po co?*

– *Poodychajmy świeżym powietrzem. Nacieszmy się parkiem. Życiem.*

– *Nie masz już dzisiaj więcej pacjentów?*

– *W rzeczy samej, nie mam.*

Dziewięćdziesiąt sekund. Obaj milczeli.

W sto trzydziestej dziewiątej sekundzie odezwał się Sam Diaz.

– Zbliża się mężczyzna. Znów od strony Roxbury.

Kolejna sylwetka w oddali przecinała ukośnie park ze wschodu. Przez trawnik, od północnej strony placu zabaw, w cień chińskich wiązów.

Diaz skierował kamerę na nieznanego, zrobił zbliżenie.

Potężny mężczyzna, o szerokich barach i beczkowatej piersi. Niebieska, jedwabna koszula, na monitorze zielonkawa, wyciągnięta na spodnie.

Ciemne włosy zaczesane do tyłu. Siwiejące wąsy. Raymond Degussa zgolił bródkę.

– To bandzior, bądź gotowy na wszystko, Sam – powiedział Milo.

Rozpiął kaburę, ale nie wyjął pistoletu. Otworzył tylne drzwi ciężarówki, wysiadł, zamknął je cicho za sobą.

Odwrociłem się do monitora. Gull i Larsen dalej milczeli. Gull siedział tyłem do Degussy, zbliżającego się do piknikowego stołu. Larsen go widział, ale nie reagował.

Wtedy Franco Gull się odwrócił.

– A co on tu robi? – spytał.

Larsen nie odpowiedział.

– Co tu się dzieje, Albin... Hej, puszczaj mój rękaw, dlaczego mnie trzymasz, puszczaj, co tu się, do cholery...

Degussa szedł prosto do stolika. Zostały mu jeszcze dwa metry, sięgnął pod koszulę, kiedy Gull wyrwał się Larsenowi.

Larsen siedział bez ruchu.

Degussa wyjął mały pistolet, wyglądający jak zabawka, wycelował go w Gulla. Pewnie tania dwudziestka dwójka, można taką wyrzucić i kupić nową na ulicy za drobne.

Półtora metra od Gulla, czysty cel. Pomyślałem o Jacku Rubym, strzelającym do Oswalda.

Gdzie był Milo?

Gull uchylił się, pchnął Larsena między siebie i Degusę.

– Pomocy!

Franco Gull padł na trawę i odtoczył się. Kamera Diaza wciąż pokazywała wszystko z bliska.

Degussa wyminął Larsena, żeby dobrze widzieć Gulla. Larsen przykucnął, ułatwiając mu to.

Gull próbował wstać, ale uwiązał z nogami pod stolikiem, ze skrzyconym korpusem.

Zasłonił rękami głowę, tworząc z nich bezużyteczną tarczę.

Degussa pochylił się nad ławką.

Wycelował.

Trzask. Odgłos pojedynczego klaśnięcia w dłonie.

Na czole Degussy pojawiła się dziurka – czarna, na monitorze ciemnobrązowa, tego samego koloru, co jego odrestaurowany lincoln. Otworzył usta. Zmarszczył czoło. Zirytowany.

Podniósł pistolet, wciąż próbując strzelić. Opuścił go. Padł twarzą na stolik. Dwudziestka dwójka wyleciała mu z dłoni i upadła na ziemię. Albin Larsen rzucił się po nią. Umiał się zmobilizować, kiedy musiał.

– O, rany – powiedział Sam Diaz – powinienem tam być.

– Gdzie jest Milo?

– Nie widzę go... Wzywam wsparcie, a potem wyskakuję, doktorze. Pan zostaje.

Włączył policyjne radio. Patrzyłem, jak Albin Larsen nachyla się i podnosi pistolet Degussy.

Gull uwolnił nogi, kopnął Larsena, chybił, zerwał się, rzucił do ucieczki.

Larsen przyjrzał się broni, a potem wycelował, odwracając się tyłem do kamery.

Trzask, trzask. Dwie eksplozje aplauzu. Na plecach sportowej marynarki Larsena zmaterializowały się dwa otwory, dwa centymetry jeden od drugiego, na prawo od środkowego szwu.

– Następny trafiony – mówił Sam Diaz. – Kod Trzy Plus, przyjacielu.

Larsen się wyprostował. Wyciągnął szyję, jakby nagle dopadł go skurcz. Kropki na jego marynarce zamieniły się w brązową plamę. Prawą ręką sięgnął w tył, żeby podrapać swędzące miejsce.

Zmienił zdanie. Odwrócił się, pokazał częściowy profil do kamery.

Twarz bez wyrazu. Znów straszliwy aplauz, coś wyszarpało kawałek szyi Larsena. W miejscu, gdzie skóra niknęła pod kołnierzykiem.

Larsen sięgnął też tam. Jego ręce zatrzepotały spastycznie i opadły wzdłuż boków.

Padł do przodu, na trawę.

Gull stał dziesięć metrów dalej, wytrzeszczał oczy i krzyczał.

W głośnieku śpiew ptaków.

Na monitorze martwa natura.

Kubek Starbucks nawet nie drgnął.

Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wskoczył Milo.

Biały jak duch, ciężko dyszał.

– Ktoś tam jest – wysapał. – To musi być któryś dom na Spalding, podwórko. Na pewno karabin, przyszpilił mnie przy samochodzie.

Diaz wrócił do kabiny, otworzył przepierzenie.

– Wsparcie jest w drodze. To musiała być luneta. Wszyscy cali?

– Tak, nic mi nie jest.

Siedemnaście sekund później, według monitora, usłyszeliśmy syreny.

Rozdział 45

Bennett Hacker szybko pękł.

Skonfrontowany z górą dowodów, zebranych przez śledczego Dwighta Zevonsky'ego, dwudziestodwuletniak o wyglądzie studenta-hipisa i sposobie bycia wielkiego inkwizytora, kurator poszedł na ugodę i zamienił pełne zeznanie na przyznanie się do wyłudzenia, za które dostał sześć lat w federalnym więzieniu. Poza Kalifornią, w odosobnieniu, bo Hacker chodził kiedyś na patrole w Barstow, a byli gliniarze nie są mile widziani za kratkami, nawet ci zaprzyjaźnieni ze skazańcami.

Przekręt odbywał się tak, jak sobie to wymyśliliśmy. Hacker i Degussa wyszukiwali mieszkańców domów przejściowych, których można było zarejestrować jako pacjentów

Strażników. Wynagradzając im to drobnymi sumami pieniędzy, narkotykami, a czasami niczym.

Na początku skazańcy pojawiali się na sesjach wstępnych i jednej uzupełniającej, w pustej sali na parterze. Potem zarzucono nawet to.

Populacja pacjentów sięgnęła poza domy przejściowe i Degussie powierzono znajdowanie nowych rekrutów.

– Czasami dawaliśmy im prochy, czasami Ray po prostu zastraszał ćpunów – mówił Hacker.

– Ray umiał tak spojrzeć, że to wystarczyło.

Uśmiechał się i palił. Wiedział, że zawarł dobry układ. Pewnie planował następne sześć lat.

Milo i Zevonsky siedzieli naprzeciw niego w sali przesłuchań. Ja patrzyłem przez weneckie lustro. Zanim go zamknięto, Hackerowi zabrano soczewki kontaktowe i wydano tanie, więzienne okulary o przezroczystych, plastikowych oprawkach. O rozmiar za duże, zsuwały mu się z nosa i sprawiały, że jego podbródek wyglądał na jeszcze bardziej cofnięty. Ogólny efekt był dość upiorny – złośliwy kujon w więziennym ubraniu.

Hacker próbował opowiadać o wydarzeniach, jakby nie brał w nich udziału. Degussa i „jego partner” dostawali dwie trzecie sum, fakturowanych nazwiskiem Franco Gulla, dzieląc między siebie nieco ponad dwieście tysięcy dolarów w okresie szesnastu miesięcy.

– Ray był niezadowolony – powiedział Hacker. – Uznał, że skoro pozostali zarabiają miliony, on powinien dostawać więcej.

– Co w tej sprawie zrobił? – spytał Milo.

– Zamierzał z nimi o tym porozmawiać.

– Z nimi – powiedział Zevonsky – to jest z...

– Z psychologami, Koppel i Larsenem.

– To oni wszystkim kierowali.

– Tylko oni. Wymyślili wszystko, przyszli z tym do mnie.

- Skąd ich pan znał?
 - Koppel spotykała mnie w domach przejściowych, których była właścicielką. Sprawdzała moich podopiecznych.
 - Przyszła do pana – powiedział Zevonsky.
 - Zgadza się.
 - A pana zadaniem było...
 - Podpisywanie się na formularzach terapii. I wynajdowanie dobrych kandydatów.
 - To znaczy?
 - Ćpunów, oferm, takich, którzy nie robiliby problemów. – Hacker się uśmiechnął. – To była kobieta interesu.
 - Posiadała domy przejściowe w ramach spółki ze swoim byłym mężem – powiedział Milo.
 - I?
 - Co z nim?
 - Z grubciem? Był właścicielem domów, ale nie miał z tym nic wspólnego.
 - Jest pan pewien, że chce pan, żeby to wpisać do protokołu? – spytał Zevonsky.
 - Wpiszcie to do protokołu, bo to prawda. Po co miałbym kłamać? – Puff, puff. – Cholera, gdybym mógł wciągnąć w to kogoś jeszcze, zrobiłbym to. Pomnożyłbym bogactwo, zrobił sobie dobrze.
 - Może kłamie pan dla zabawy? – spytał Milo.
 - To wcale nie jest zabawne – odparł Hacker. – Ani trochę.
 - A Jerome Quick? – spytał Milo.
 - Znów to samo? Jedyne Quick, jakiego znam, to Gavin, już wam o nim opowiadałem. Kim jest Jerry, to jego brat?
- „Już wam o nim opowiadałem”.

Chłodno streścił, jak Gavin węszył wokół budynku po godzinach, widział niechlujnych mężczyzn wchodzących i wychodzących po czterdziestu pięciu minutach, podsłuchiwał rozmowy. Rozmowy dotyczące wystawianiu faktur.

Gavin, niedoszły reporter z urazem mózgu, potknął się o prawdziwą sensację. I przez to zginął.

– Głupi wariat – powiedział Hacker.

– Głupi wariat, bo węszył – powiedział Milo.

– I nie trzymał zamkniętej jadaczki. Poszedł i opowiedział Koppel o swoich podejrzeniach.

Podczas terapii. Nie widział jej ze skazańcami, więc pewnie założył, że nie miała z tym nic wspólnego. Ona powiedziała Larsenowi, twierdziła, że to załatwi. Larsen jej nie uwierzył, kazał się tym zająć Rayowi.

Zasada poufności.

– Kogo Gavin widział ze skazańcami? – spytał Milo.

– Raya i Larsena.

– Nie przeoczył pan kogoś? – spytał Zevonsky.

Hacker zaciągnął się i kiwnął głową.

– Bywałem tam czasami. Moim zadaniem było przede wszystkim zbieranie nazwisk i pilnowanie, żeby skazańcy byli spokojni.

– Przekazywanie łapówek – powiedział Zevonsky.

– Jak zwał, tak zwał.

– Czy Koppel wiedziała, że Gavin ma zostać zabity? – spytał Milo.

– Nie – odparł Hacker. – Jak powiedziałem, uważała, że to załatwi.

– Larsen jej nie wierzył.

– Larsen nie chciał czekać.

– Więc wezwał Raya.

– Ray robił to już wcześniej.

– Zabijał dla Larsena?

– Nie, dla siebie.

– Kogo?

– Ludzi w więzieniu.

– A inną kobietę?

Chwila milczenia.

– Może też.

– Może? – spytał Milo.

– Nie wiem na pewno. Ray coś takiego sugerował. Mówił, że kobiety, które go rzucają, dostaną za to rachunek. Kiedy to mówił, bawił się nożem. Czyścił sobie paznokcie.

– Rachunek. Użył tego słowa?

– To było... takie jego powiedzenie. Kiedy komuś coś się przydarzało, dostawał rachunek.

Ray potrafił być hojny. Kiedy się bawiliśmy, dawał kobietom wszystko, czego chciały. Pod warunkiem że go nie rozczarowały.

– Jak rozczarowały?

– Nie robiąc tego, czego chciał.

– Władczy facet – powiedział Milo.

– Bywał taki – przyznał Hacker.

– A więc Koppel nie brała udziału w morderstwie Gavina.

– Powiedziałem wam. Nie. Kiedy się dowiedziała, domyśliła się, jak to było, dostała szau.

Zagroziła, że zwinie cały interes. Larsen próbował ją uspokajać, ale była strasznie

zdenerwowana. Najbardziej chyba przeszkadzało jej to, że to jeden z jej pacjentów został

sprzątnięty. Odebrała to osobiście.

– Więc Ray zabił także ją.

Hacker kiwnął głową.

– Powiedział panu, że zamierza to zrobić. O Gavinie też panu mówił.

– Nie. Gdyby mi powiedział, próbowałbym do tego nie dopuścić.

– Bo jest pan praworządnym obywatelem i w ogóle – powiedział Milo.

Hacker mrugnął.

– Byłem w końcu jego kuratorem.

– A Christina Marsh?

– Balowała z nami, to dziwka, Ray ją pieprzył. Była striptizerką, lubił ją, bo była głupia i miała niezłe ciało. Kupował jej drogie rzeczy.

– Na przykład?

– Ciuchy, perfumy. Mówiłem, Ray potrafił być hojny.

– Przy takich pieniądzach, jakie dostawaliście, było go na to stać.

– Przelatywały mu przez palce – powiedział Hacker. – Typowy skazaniec.

– Ray kupował Christinie buty?

– Nie byłbym zdziwiony.

– Lubił ją.

– Lubił to, co dla niego robiła.

– Dopóki...

– Dopóki co? – spytał Hacker.

– Ona też była na Mulholland, Bennett.

– To prawda.

– To ma być wyjawienie całej prawdy? Układ można jeszcze odwołać.

Hacker poprawił okulary.

– Układ jest już podpisany.

– Jak dalej będzie pan kręcić tak, żeby jak najmniej obciążać siebie, podrzemy papiery i wyślemy pana do prokuratora, a on oskarży pana z artykułu sto osiemdziesiąt siedem.

– Staram się obciążać jak najmniej siebie, bo nie miałem z tym nic wspólnego – powiedział Hacker. – Ze Strażnikami, tak. Z pomaganiem przy papierach, tak. Ale nie z Mulholland.

– Wiedział pan, że Ray ma sprzątnąć Gavina.

– Nie powiedział mi tego głośno.

– Sugerował – powiedział Milo. – Powiedział, że ktoś dostanie rachunek.

Hacker się zawahał. Kiwnął głową.

– Opowiedział panu o tym potem.

– Kto tak powiedział?

– Byliście współlokatorami.

– Nie byliśmy kolesiami od dupki.

Milo wykonał gest darcia papieru.

– Powiedział: „Rozwiązałem nasz problem” – rzekł Hacker. – Nie pytałem. Kilka dni później wciągnęliśmy trochę w mieszkaniu, Ray poczuł się dobrze i opowiedział mi o szczegółach.

Powiedział, że poszło łatwo, dzieciak był zaskoczony, nie bronił się.

– Dlaczego zabił Christinę Marsh?

– Bo tam była.

– Jakiś jeszcze powód?

– Powiedział, że zirytowało go to, że była z tym chłopakiem.

– Zirytowało.

– Takiego użył słowa. Ray lubił... używać małych słów na określenie dużych spraw. Wiem,

że Christi irytowała go też kiedy indziej, bo mi powiedział.

– Co robiła?

– Chodziło o to, czego nie robiła. Nie było jej pod ręką, kiedy Ray tego chciał. Raz zdobył kokę z górnej półki, chciał z nią zabalować, a ona nie miała czasu. Potem zrobiła to jeszcze raz.

Powiedziała, że jest zajęta. Ray nie lubił, kiedy ktoś mu odmawiał.

– Jak poznał Christi?

– W jakimś barze – powiedział Hacker. – Poderwał ją.

– Gdzie był ten bar?

– W Playa Del Rey. Whale Watch. Często tam chodziliśmy.

– I Christi tam była – powiedział Milo.

– Właśnie tam – potwierdził Hacker. – Gotowa do poderwania, to słowa Raya.

– Pan też z nią balował?

Hacker zaśmiał się, zaciągnął papierosem, znów poprawił okulary, zdjął je.

– Potrzebuję rozmiar mniejszych.

– Czy balował pan z Christi Marsh, Bennett? – spytał Milo.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ray nie lubił się dzielić.

– Czy Ray wspominał kiedykolwiek o niejkiej Florze Newsome?

– O niej? – zdziwił się Hacker. – Znałem Florę, pracowała ze mną w jednym biurze.

– Ray tam przychodził?

– Tak – powiedział Hacker. – Właściwie on też ją znał. Przez jakiś czas ze sobą chodzili.

– Właściwie – powtórzył Milo.

– Dlaczego? Co ona ma z tym wspólnego?

– Dostała rachunek.

Hacker wytrzeszczył krótkowzroczne oczka.

– Pan żartuje.

– Nie wiedział pan?

– Przeniesiono mnie z tego biura, to była filia, po jakichś dwóch tygodniach. Flora? Lubiłem ją. Miła dziewczyna, spokojna. Sam się zastanawiałem, czyjej gdzieś nie zaprosić, ale potem zaczęła się spotykać z Rayem.

– A Ray nie lubił się dzielić.

– Zabił ją?

– O, tak – powiedział Milo.

– Szkoda. – Hacker powiedział to zduszonym głosem.

Wyglądał, jakby naprawdę tak myślał.

– Coś nie tak, panie Bennett?

– Czym wkurzyła Raya?

– Nie wie pan?

– Przysięgam, że nie.

– Mówił pan, że Ray sugerował, iż zabijał kobiety.

– Tak, ale jak mówiłem, tylko coś napomykał... Mówi pan, że chodziło mu o nią? O Florę? O cholera.

– To pana zmartwiło, panie Bennett?

– Pewnie. Lubiłem ją. Miła dziewczyna. Kiedy Ray powiedział, że już się z nią nie spotyka, powiedziałem, że może teraz ja spróbuję. Zirytował się, powiedział, że po kimś dojadają tylko oferty. – Hacker oblizał wargi. – Ale i tak się nad tym zastanawiałem. Lubiłem Florę. Ale nie należy irytować Raya. Pisali o tym w gazetach?

– Nie – powiedział Milo. – To nie była żadna sensacja.

– Flora – powiedział do siebie Hacker. – Niewiarygodne.

– Dobrze wam się mieszkało w Marina?

– To był jego pomysł, nie mój – powiedział Hacker. – Miał płacić za siebie czynsz, więc pomyślałem, czemu nie, nie będziemy sobie przeszkadzać. Zapłacił za jeden miesiąc.

– Niech zgadnę – powiedział Milo. – Nie narzekał pan.

– Jak mówiłem.

– Ray był dobrym współlokatorem?

– Właściwie tak – powiedział Hacker. – Słał łóżko, odkurzał. Wie pan, jacy są skazańcy, potrafią być bardzo porządni. Pomyślałem, że oszczędzę trochę pieniędzy. Chciałem kupić mieszkanie, nie tylko wynajmować. Moje pierwsze mieszkanie to nora, widzieliście je. Lubię wodę... Na pewno wszystko już załatwione z tym federalnym więzieniem? Nie spotkam nikogo, z kim mogłem pracować w Kalifornii? Nie chcę cały czas oglądać się za siebie.

– Zapięte na ostatni guzik.

Hacker zaciągnął się, uśmiechnął. Flora Newsome zniknęła z jego myśli.

– Coś pana bawi, Bennett? – spytał Milo:

– Pomyślałem sobie – odparł Hacker – że po tych sześciu latach trafię do kogoś takiego, jak ja sam.

Rozdział 46

Miało minąć dużo czasu, zanim cała historia Jerry’ego Quicka zostanie opowiedziana.

– Może nigdy – powiedział Milo.

Był krótki zryw nadziei. Tydzień po moim spotkaniu z Kelly Quick i jej matką, Kelly popełniła błąd i użyła zwykłej komórki, zamiast prepaida, dzwoniąc do Rio de Janeiro. Milo zdobył nakaz i namierzył połączenie.

– Hotel Staybridge Suites, Sao Paulo, Brazylia.

– Brazylia nie ma podpisanej umowy o ekstradycji ze Stanami – powiedziałem.

– Zabawna sprawa. Quick zameldował się tam cztery dni temu z kobietą, zapłacił gotówką, wymeldował wczoraj, nie wiadomo dokąd pojechał. W księdze gości są wpisani jako pan Jack

Schnell z żoną, zamieszkali w Englewood w New Jersey, mieli paszporty, żeby to potwierdzić.

Recepcjonista powiedział, że była między nimi duża różnica wieku. Siwy facet, młodsza kobieta, ciemnowłosa, szczupła.

– Miała niebieskie paznokcie?

– Bum, trach, wygrał pan laleczkę. Recepcjonista powiedział, że wyglądali na bardzo w sobie zakochanych. Pan Schnell kupił pani Schnell bikini i różne inne drobiazgi.

– Schnell po niemiecku znaczy Quick* [Szybki (przyp. tłum.)] – powiedziałem.

– Tak, wiem. Ha, ha, ha.

Błąd numer dwa – kartą kredytową należącą do Sheili Quick zapłacono za pokój w Days Inn w Pasadenie. Milo i ja pojechaliśmy tam, zobaczyliśmy Sheilę, czytającą książkę nad basenem, opatuloną w gruby szlafrok – nie miała bikini. Wydawała się blada i drobna. Nie rozmawialiśmy z nią, poszliśmy do jej pokoju.

Milo zapukał. Odpowiedział mu młody, damski głos.

–Tak?

– Obsługa.

Kelly Quick otworzyła drzwi. Zobaczyła jego, potem mnie.

– O, nie.

Była boso, miała upięte włosy, okulary, obcięte spodnie i za dużą, ciemnozieloną koszulkę z napisem Siły Specjalne US Army, zawsze załatwiamy sprawę. W rękach trzymała pięć kilo podręczników prawa.

– Cześć, Kelly – powiedział Milo i pokazał jej odznakę.

– Nic nie zrobiłam – powiedziała.

– Jak pogoda w Sao Paulo?

Oklapła.

– Spieprzyłam sprawę, trzeba było zadzwonić z budki. On mnie...

Zacisnęła usta.

– On co, panno Quick?

Oczy zaszyły jej łzami.

– Będzie mną rozczarowany.

Milo wprowadził ją tyłem do pokoju. Dwa łóżka, porządnie zasłane. Wszędzie puszki po napojach, pudełka po jedzeniu na wynos, damskie ubrania. Na stoliku przy łóżku następne podręczniki.

Milo posadził Kelly na łóżku.

– Jak idzie nauka?

– Ciężko się skupić.

– Wracasz jesienią na uczelnię?

– Kto wie.

– To nie musi być trudne, Kelly.

– Tak się panu wydaje? – powiedziała. – Wolne żarty.

– Jak długo zamierzasz tak żyć? Opiekować się mamą.

Ciemne oczy Kelly rozblęły.

– Nie opiekują się nią. Ona... nie można się nią opiekować, można jej tylko pilnować.

– Żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

– Tak. Nie.

– Ona potrzebuje prawdziwej pomocy, Kelly – powiedziałem. – A ty musisz zająć się swoim życiem.

Spojrzała na mnie wrogo. W kącikach jej ust zebrała się piana.

– Taki jest pan cholernie mądry, niech mi pan powie, jak to zrobić.

– Zadzwońmy do twojej ciotki...

– Eileen to suka.

– Ale jest dorosła i mieszka w Kalifornii. Ty musisz wracać do Bostonu.

– Skoro tak pan mówi. – Zamrugła.

– Możemy ci w tym pomóc – powiedziałem.

– Na pewno.

– Gdzie jedzie twój tata? – spytał Milo.

– O, nie, pieprzę waszą pomoc, zostawcie mnie w spokoju.

– Twoja koszulka – powiedział Milo. – Dostałaś ją od taty?

Brak odpowiedzi.

– Trochę się podowiadawałem, Kelly. Znalazłem stronę internetową, a tam napisano, że jeździł na spotkania weteranów. Nie napisano tylko, że był w jednostce sił specjalnych. Jako snajper.

Kelly zamknęła oczy.

– Sam byłem w Wietnamie, znam tę jednostkę – mówił Milo. – Tata był w kilku ciężkich sytuacjach.

– Nie wiedziałam.

– Na pewno wiedziałaś, Kelly. Założę się, że tata dużo ci opowiadał.

– Przegrałby pan.

– Jeszcze jedna rzecz, której się dowiedziałem, to to, że nikt nie może znaleźć żadnych

dowodów, że twój tata handlował metalami. Wiemy, czym naprawdę zarabiał na życie, Kelly. Ostatnie zlecenie wykonywał dla pewnego dżentelmena z Afryki. Opowiadał ci o tym? Mówił, co robi, żeby zapłacić rachunki?

Odwróciła się od nas.

– Był biznesmenem. Utrzymywał nas.

– Więc gdzie jest teraz?

Pokręciła głową.

– W Brazylii – powiedział Milo. – Z dziewczyną niewiele starszą od ciebie.

– Wolno mu – wyrzuciła z siebie Kelly. – Robił co mógł, starał się dla... niej. Mojej mamy.

Nie wiecie, jak to jest.

– Z mamą jest ciężko.

– Mama... – Kelly załamała ręce. – Mama jest, jaka jest.

– Dlatego właśnie nie powinnaś być jej pielęgniarką.

– Nie jestem jej pielęgniarką nie wiecie, o czym mówicie.

– Posłuchaj – powiedział Milo. – To tylko kwestia czasu. Będziemy drążyć i dowiemy się, skąd miał pieniądze i gdzie je trzyma. Kiedy to się stanie, skończy się jakiegokolwiek finansowe wsparcie dla mamy.

Kelly spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego to robicie? Mój brat nie żyje, moja matka jest chora, a jego nie ma. Czy ja nie zasługuję na życie?

– Zasługujesz. Oczywiście, że zasługujesz.

– Więc zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnęła. – Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

Położyła się na łóżku, zwinęła w kłębek i ze ściągniętą twarzą zaczęła okładać piętami materac.

Milo spojrział na mnie bezradnie.

– Chodźmy – powiedziałem.

Zatrzymaliśmy się w kawiarni przy Colorado Boulevard, żeby napić się kawy i wymyślić jakąś teorię.

– Protais Bumaya naprawdę istniał – powiedział Milo. – Ty go widziałeś, ja go widziałem.

Ale nigdzie nie ma żadnego świadectwa, że wjeżdżał do kraju albo go opuszczał, a nazwiska, które nam podał, tych jego niby przyjaciół? Nie ma kogoś takiego. Nie chciało mi się sprawdzić.

Nieźle mnie załatwił.

– Prawdopodobnie podczepił się do jakiejś misji dyplomatycznej.

Milo wycelował we mnie palec.

– I znów bum, brzdęk. W zeszłym miesiącu po kraju jeździła delegacja handlowa z Rwandy.

Na liście uczestników nie było nazwiska Bumaya, ale czy to cokolwiek oznacza? Tymczasem pan McKenzie, niegdysiejszy konsul rwandyjski w San Francisco, okazał się uroczy, ale mało pomocny.

Zakryłem oczy, potem uszy i usta.

– Ekipa techników przeczesła to podwórko przy Spalding. Właściciele od miesiąca nie było w mieście, brama zamknięta, ale łatwo było przeskoczyć górą. Doskonały widok na ławkę w parku i dobra kryjówka za kępą bananowców. Mokra ziemia, można by pomyśleć, że będą ślady, ale nada. Ani jednego wgłębienia, żadnych łusek ani niedopałków.

– Jerry to zawodowiec – powiedziałem. – Wykonuje zlecenia dla zagranicznych rządów.

Idealna praca w cywilu dla niespokojnego emerytowanego komandosa.

– Technicy z Beverly Hills obejrżeli jego dom. Znaleźli spalony proch i żelazne opiłki w garażu, ale żadnej broni. Stała tam jednak duża szafka, w sam raz na większy sprzęt. Karabiny, lunety, co chcesz.

– Bumaya wynajął Quicka, żeby pomścić zamordowanych chłopców – powiedziałem – a może też i innych ludzi. Quick obserwował Larsena, dowiedział się o przekręcie, czekał na właściwy moment. Może próbował wymyślić jakiś sposób, żeby przejąć pieniądze Larsena z wyłudzeń. Jak porwanie – zmusiłby Larsena, żeby ten podał mu PIN-y do zagranicznych kont. Połączył Larsena z Mary Lou, a Mary Lou z Koppem. Wynajął lokal u Sonny'ego, żeby być bliżej. Potem Gavin miał wypadek i to dało mu kolejną sposobność – wiedział, że Mary Lou jest zamieszana w przekręt, ale nic do niej nie miał. Dogadał się z Sonnym, namówił go, żeby ten polecił go Mary Lou. Wysłał syna na terapię i dzięki temu mógł łatwo wytłumaczyć swoją obecność w budynku. Mary Lou skierowała go do Gulla, ale dla Jerry'ego to nie był problem. Pamiętasz, jak Gull nam powiedział, że to Jerry, a nie Sheila, przywiózł Gavina na pierwsze spotkanie?

– Zatraskany ojciec – powiedziałem. – Zawodowiec po szkoleniu w siłach specjalnych, a nie płaci czynszu na czas.

– Każdy ma swoje słabości – powiedziałem. – Jego słabością były pieniądze. Utrzymywanie takiego stylu życia przy nieregularnych dochodach z kontraktów na pewno nie było proste. Dlatego udawał szacownego obywatela, a na boku trzymał kochankę. Gruby okup dałby mu więcej swobody działania. Dlatego nie spuszczał wzroku z przekrętu. Potem Gavin wszystko popsuł swoją zabawą w szpiega. Zapisał numery rejestracyjne, nawet te swojego ojca. Tamtego wieczoru to Jerry mógł śledzić Gavina. A może prowadził własną obserwację i nie miał pojęcia, że Gavin go zauważył. Może nawet Gavin mu o tym powiedział, a Jerry zbył go jakimś wyjaśnieniem. Ale Gavin miał obsesję. Nie ustępował i został zabity, a Jerry wiedział, dlaczego, miał więc jeszcze jeden powód, żeby pozbyć się Larsena i – drugi cel – Degussy. Wyczyścił pokój Gavina, żeby dowiedzieć się dokładnie, ile Gavin wiedział, i żeby zniszczyć wszystkie powiązania ze sobą. Potem się ukrył.

– Larsen i Degussa. A ja go do nich zaprowadziłem.

– Przeszkadza ci to?

– Ani trochę. Naprawdę myślisz, że Gavin rozmawiał o tym wszystkim z ojcem?

– Trudno powiedzieć, na czym polegała ich komunikacja oprócz tego, że Jerry próbował kupić Gavinowi seks. Kiedy rozmawialiśmy z nim po raz pierwszy, powiedział nam, że on i Gavin byli blisko, ale pamiętam, że jakoś mi się to nie zgadzało. Robił wrażenie, jakby nie był na bieżąco z życiem syna. To, że Kelly natychmiast nie przyleciała, też było dziwne. Rodzina w końcu się rozpadła, ale to wisiało nad nimi już od dawna. Wypadek Gavina nie mógł być łatwy dla żadnego z nich, włącznie z Jerryem.

– Współczujesz temu facetowi – powiedział Milo. – Jeżeli zaczniemy sprawdzać jego trasy podróży, wiesz, że znajdziemy całe mnóstwo trupów.

– Jeśli to ludzie tacy, jak Albin Larsen, nie będę po nich płakał.

Milo się uśmiechnął.

– Obaj oceniamy.

– To ludzka cecha.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinienem przyglądać się jego trasie podróży.

– Chcę powiedzieć, że Kelly Quick to miła dziewczyna. Czym zgrzeszyła oprócz tego, że była lojalna wobec rodziców?

– Tak – powiedział. – Może nawet wróci do szkoły i zostanie prawnikiem. Cokolwiek to miałyby oznaczać.

I to był ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy o rodzinie Quicków.

Rozdział 47

Piątek, dziesiąta rano. Allison i ja za osiem godzin mieliśmy lecieć do Vegas. („Co byś powiedział na coś zdrożnego, Alex? Na przykład światła, hałas i przepuszczanie ciężko

zarobionych pieniędzy przy stołach?”) Postanowiłem dokończyć od dawna zaniechywaną papierkową robotę i wyjechać z czystym sumieniem. O jedenastej czternaście zadzwonił Milo.

– Potrzebuję przysługi, ale jeśli jesteś zawałony robotą, powiedz.

– O co chodzi?

– Poznaję po głosie, przeszkadzam ci.

– Czego ci trzeba?

– Chwilę trwało, zanim udało się wydostać ciało Christi Marsh. Cody Marsh wrócił do Minnesoty, znalazł miejsce na grób, teraz wrócił i jedzie do kostnicy. Ma jeszcze kilka pytań o to, dlaczego zginęła, chce się tam spotkać. Pojechałbym, ale mam na głowie Gavina, Christi, Mary Lou i dwóch handlarzy narkotyków zastrzelonych w Mar Vista, nie wyrobię się.

– Kiedy wzięłeś tę nową sprawę?

– Trzy godziny temu – powiedział. – Dla odmiany coś normalnego. Nie przejmuj się, nie będę ci tym zawracał głowy. Podsumowując: nie mam czasu zajmować się biednym Codym i okazywać mu współczucia, na które zasługuje.

– Co mam mu powiedzieć? – spytałem.

– Na pewno nie całą prawdę. Połóż nacisk na zalety Christi. Pozostawiam to twojemu wyczuciu.

– Kiedy będzie w kostnicy?

– Za dwie godziny.

– Nie ma sprawy.

– Dzięki – powiedział. – Jak zwykle.

Pojechałem do Boyle Heights i znalazłem wolne miejsce na parking przed biurem koronera. Kiedy wysiadałem z seville'a, na parking wtoczył się w kłębach dymu dudniący, stary, szary chevy i ostrożnie wjechał na miejsce obok.

Sonny Koppel wysiadł, osłonił oczy od słońca, popatrzył na szyld nad drzwiami i skrzywił się. Miał na sobie żółtą koszulę z krótkimi rękawami, pogniecione, szare bawełniane spodnie i tenisówki. Jego włosy były przylizane, a twarz niezdrowo zaczerwieniona.

Ruszył do drzwi. Przystanął, zobaczył mnie i wstrzymał oddech.

– Dzień dobry – powiedział. – Co pana tu sprowadza?

– Jestem z kimś umówiony.

– Coś związanego z Mary?

– Nie – powiedziałem.

– Dużo ludzi umiera – stwierdził. – Przyjechałem po ciało Mary. Staralem się od kilku tygodni, nie było podstaw prawnych, bo nie byliśmy już małżeństwem. W końcu udało mi się pokonać biurokrację.

– Bywa ciężko.

– Najważniejsze, że mam pozwolenie. – Westchnął. – Mary nigdy nie mówiła, czego by chciała w tej sytuacji. Uznałem, że byłaby zadowolona z kremacji.

Patrzył na mnie, czekał na radę.

– Pan to wie najlepiej – powiedziałem.

– Ja? Nie sądzę. Chyba niezbyt dużo wiem.

– Robił pan dla niej, co mógł.

– To miło z pana strony.

– Uważam, że to prawda.

Koppel sapał.

– Mam nadzieję, że ma pan rację.

Doszliśmy do oszklonych drzwi kostnicy. Otworzyłem je przed nim.

– Dziękuję – powiedział. – Miłego dnia.

– Panu również.

– To niełatwe – powiedział. – Ale się staram.